

SZALONY EKSPERYMENT, KTÓRY ZMIENI NA ZAWSZE
PRZYSZŁOŚĆ NADCHODZĄCYCH POKOLEŃ...

TRZECIA LUDZKOŚĆ



BERNARD WERBER



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

BERNARD WERBER

TRZECIA
LUDZKOŚĆ

Z języka francuskiego przełożyła
Marta Turnau



Tytuł oryginału:

TROISIÈME HUMANITÉ (1)

Copyright © Editions Albin Michel et Bernard Werber -
Paris 2012

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo
Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by
Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska

Korekta: Edyta Antoniak-Kiedos, Agnieszka Majewska,
Grzegorz Krzymianowski

ISBN: 978-83-7999-802-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli

cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Akt pierwszy. Wiek oślepienia

Ekspedycja na Antarktykę

Rocznik „Ewolucja”

Pigmeje i Amazonki

Apocalypse Night

Fazy rozwoju

Akt drugi. Wiek zmiany

Zielony jeździec

W szklanym sześcianie

Misja „Ladies of the Rings”

Homo metamorphosis

Podziękowania

Przypisy

Dla Benjamina

OSTRZEŻENIE

Niniejsza historia toczy się w czasie względnym, a nie w absolutnym.

Rozgrywa się dokładnie dziesięć lat – co do dnia – po tym, jak otworzycie tę książkę i zaczniecie ją czytać.

Wszystko nieustannie ewoluuje.

Nadchodzi jednak czas, w którym zmiana następuje szybciej, gwałtowniej, bardziej spektakularnie.

Zwarty pąk przekształca się w rozwinięty kwiat.

Gąsienica wydostaje się z ciemnej otoczki i przeobraża się w lekkiego kolorowego motyla.

Nastolatek staje się dorosły.

Plemię żyjące wśród strachu, egoizmu i przemocy zmienia się w świadomą i solidarną cywilizację.

Metamorfoza ta dokonuje się często w spazmach, skurczach i bólu.

Pozostawia po sobie starą pustą powłokę na gałęzi drzewa, przykre wspomnienia związane z pożółkłymi zdjęciami, tragedie spisane na kartach podręczników historii, ruiny i muzea nic nieznaczących szczątków archaicznego świata.

Przeobrażona istota może pofrunąć ku słońcu i osuszyć nowe skrzydła.

Niemniej w miarę zbliżania się momentu metamorfozy wyłaniają się siły mające na celu uniemożliwienie jej wystąpienia. Emanują one ze wszystkich osób, które obawiają się transformacji w nieznane i wolą stagnację albo nawet powrót do tego, co było. Nie można nie doceniać hamujących sił.

Przede wszystkim dlatego, że często mają one przewagę, a także z tego powodu, że są potężniejsze i lepiej zakorzenione niż siły ewolucyjne.

Chęć pozostania w dawnym świecie budzi zaufanie. Obawa przed postępem jest naturalna. Mimo to organizm, jeśli odmawia zmiany, ulega skostnieniu, dusi się w starej skórze, nie mogąc ujawnić prawdziwego potencjału.

Kiedy danemu osobnikowi udaje się poszerzyć pole widzenia w czasie i przestrzeni, naturalnie zaczyna go pociągać

metamorfoza zarówno własna, jak i dotycząca otaczających go istot.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

AKT PIERWSZY

Wiek oślepienia

1.

Czy istoty ludzkie potrafią ewoluować?

Czasami mnie niepokoją.

Powinnam im pomóc czy zostawić je na łaskę losu?

Nie mogę jednak ich porzucić, zaplanowałam bowiem ich udział w wielkim projekcie.

Do tej konkretnej misji muszę wybrać kilka osób spośród najbardziej pomysłowych i najmniej lękliwych.

Jak je znaleźć? Jest ich tak dużo.

A jeśli się pomylę i trafię na nieudaczników? Znam ich szkodliwość.

Choćby dziś rano jacyś nieprzytomni ludzie doprowadzili do eksplozji jednej z bomb atomowych pod moją skórą!

Była potężniejsza niż zazwyczaj.

Nie zdają sobie sprawy ze szkód, jakie mi wyrządzają.

A potem się dziwią, że reaguję.

2.

WIADOMOŚCI SPECJALNE: Dziś rano o godzinie 9.23 popękały płyty kontynentalne na dnie Oceanu Indyjskiego. Tarcie spowodowało na powierzchni trzęsienie ziemi o sile 9,1 stopnia w skali Richtera. W następstwie wstrząsów powstała trzydziestometrowa fala, która wdarła się dziesięć kilometrów w głąb lądu. Łączymy się natychmiast z naszym korespondentem na miejscu zdarzenia, Georges'em Charasem.

– Georges, wszystko widziałeś. Czy możesz nam opowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło?

– Istotnie, oglądałem tragedię z helikoptera. Wyglądało to tak, jakby morski potwór zaatakował pakistańskie wybrzeże. Ciemnozielona ściana wody zwieńczona srebrzystą pianą runęła niczym wściekły potok na Karaczi, ekonomiczną stolicę Pakistanu, zmywając budynki i małe domy, jak gdyby były zrobione z masy papierowej. Zapewniam cię, Lucienne, że było to straszliwe widowisko. Ludzie dosłownie wylewali się na ulice, pędzili do samochodów. Nieszczęśni, nie zajechali za daleko. Pojazdy stanęły w korkach. Pasażerowie opuszczali w pośpiechu swoje nieprzydatne stalowe muszle. Biegli. Zastępy uciekinierów z bagażami i dziećmi lawirowały między unieruchomionymi samochodami. Wodna lawina postępowała niepowstrzymanie. Okropny widok. Dopadła tysiące osób – zatopiła, zmiażdżyła, zalała. Unoszące się na wodzie pojazdy zderzały się z wirującymi statkami, zgniecionymi autobusami, zniszczonymi pociągami, połamanymi latarniami, kawałkami dachów. Karaczi jest już tylko miastem zatopionym w błotnistych wodach.

– Dziękuję, Georges. Właśnie się dowiedziałam, że jest organizowana międzynarodowa pomoc dla poszkodowanych. Przedstawiciele władz pakistańskich szacują liczbę ofiar na dziesięć do dwudziestu tysięcy osób. Będziemy państwa informować w miarę rozwoju sytuacji.

3.

*Proszę, już po wszystkim.
Wciąż ulepszam moje „dreszcze”.
Nadal jednak brakuje mi precyzji.
Nie celowałam wcale w ludzi z tych terenów.
Trzeba było uderzyć znacznie dalej na północnym zachodzie, tam, gdzie nastąpiła ostatnia podziemna eksplozja*

jądrowa.

Cóż, powinno im to mimo wszystko dać do myślenia.

Czy jestem wobec nich zbyt surowa?

Muszę wybrać jednego lub dwoje i zainspirować ich moim wielkim projektem.

Jak ich znaleźć wśród tej mrowiącej się masy osobników?

Przede wszystkim muszę się uspokoić, zapomnieć chwilowo o misji, jaką powierzę kilku istotom ludzkim. Muszę odpocząć.

Co się jednak dzieje? Coś mnie kłuje w biegun południowy. Czy to możliwe, że już usiłują się zemścić?

Nie. Nawet jeszcze nie uświadomili sobie mojej egzystencji jako żywej istoty, jak więc mogliby chcieć mnie ukarać?

Ekspedycja na Antarktykę

4.

Głowica z węgliku wolframu z osadzonym diamentem przebiła właśnie twardą powłokę skorupy ziemskiej.

Końcówka świdra wiertniczego, nie napotkawszy już oporu, zanurza się dalej swobodnie niczym śrubokręt zagłębiany w miękkie drewno.

Na powierzchni – w białym i lodowatym piekle Antarktyki, chłostani przenikliwymi wiatrami – troje członków ekspedycji Charlesa Wellsa zgromadziło się w pobliżu dziesięciometrowej wieży wiertniczej, którą cierpliwie złożyło.

Silniki, stękając, wyciągają ciężkie stalowe pręty, które przebiły się przez wszystkie warstwy osadowe podłoża.

Na ekranach maszyny wiertniczej wyświetlają się wyniki pierwszych pomiarów. Na głębokości dokładnie trzech tysięcy sześciuset dwudziestu trzech metrów zauważono kieszeń powietrzną. Pod obojętnymi spojrzeniami grupy pingwinów troje ludzi demontuje po kolei wciągniki urządzenia i nachyla się nad ziejącym otworem. Głowica wywierciła otwór średnicy jednego metra, wystarczający, aby członkowie ekspedycji mogli się przezeń przedostać.

Spuszczają w głąb otworu długie, miękkie drabiny ze stalowej linki.

Opatuleni w grube pomarańczowe skafandry, trzej badacze zanurzają się w ciemnościach.

Rozjaśnione białym światłem latarek elektrycznych, a także przytłumionymi żółtymi promieniami lampek na kaskach, ukazują się ich oczom wnętrzności ziemi – lśniące i pełne zakamarków.

Celem badaczy jest weryfikacja hipotezy najstarszego spośród nich, profesora Charlesa Wellsa, od którego wzięła się nazwa tej ekspedycji. Jego zdaniem, na biegunie południowym utrzymywała się niegdyś znacznie łagodniejsza temperatura i rósł tu rozległy las iglasty, prawdopodobnie zamieszkiwany przez dinozaury.

Hipoteza ta została zresztą umocniona odkryciem dokonanym dzięki satelicie Radarsat w latach osiemdziesiątych w pobliżu rosyjskiej stacji Wostok – na głębokości trzech kilometrów miało się znajdować podlodowcowe jezioro długości dwustu pięćdziesięciu kilometrów i szerokości pięćdziesięciu kilometrów. W lutym 2012 roku rosyjska sonda zdołała przebić się aż do samego jeziora, otwór jednak, ledwie kilkucentymetrowy, umożliwił wyłącznie wydobycie próbek minerałów i lodu.

Dziś dziura jest wystarczająco szeroka, by pozwolić trzem osobom zapuścić się pod skorupę ziemską.

Profesor Wells jest przekonany, że jeśli na Antarktyce kiedykolwiek kwitło życie, to – zgodnie z zasadami logiki – w jeziorze powinny się zachować skamieliny.

Po bezskutecznych staraniach o uzyskanie subwencji od instytucji publicznych słynny naukowiec znalazł w końcu prywatnego sponsora, który zgodził się sfinansować odważną ekspedycję. Na pomarańczowym skafandrze widnieje więc, zapisana dużymi czarno-białymi literami, nazwa marki należącej do przemysłowca związanego z produkcją mrożonek: Mrożonki GELUX, tuż nad hasłem przedsiębiorstwa: „Najlepsze przechowywane w chłodzie mięsa w najniższych cenach”. Pewna stacja telewizyjna zamówiła film dokumentalny i przydzieliła kamerzystkę, pod warunkiem, że na kasku i rękawicach szefa ekspedycji pojawi się napis: „CANAL 13 –

program ekstremalnych podróży”.

Dziennikarka Vanessa Biton z kamerą zawsze trzyma się z tyłu, żeby filmować Charlesa Wellsa i jego asystentkę, młodą badaczkę Mélanie Tesquet. Wszyscy troje schodzą ostrożnie pod ziemię po miękkich drabinach spuszczonej w głąb ciemności. Trzy tysiące sześćset dwadzieścia trzy metry do pokonania pionowo w dół wymagają odpoczynku co tysiąc metrów.

Wreszcie podeszwy ich butów dotykają płaskiej powierzchni.

Snopy światła przeszukują ciemność, odsłaniając powoli przestronną jaskinię.

– Jezioro Wostok... – szepcze Vanessa Biton.

W blasku latarek migoce wodne rozlewisko.

– Miał pan rację, profesorze. To nie legenda, pod ławicą lodową Antarktyki rzeczywiście znajduje się podziemne jezioro – przyznaje Mélanie Tesquet.

Posuwają się naprzód brzegiem jeziora migoczącego turkusem i fiołkowym różem. Temperatura jest niewiele wyższa niż na powierzchni i ich oddechy zamieniają się w słupy białej pary. Stalaktyty i stalagmity otaczają doskonały owal jeziora w odcieniach granatu i fioletu.

– Można by pomyśleć, że znajdujemy się w czyichś ustach – zauważa młoda dziennikarka, oświetlając długie wypustki białego lodu przypominające zęby.

– Sklepienie wygląda jak podniebienie. A to jezioro mogłoby być śliną – przyznaje asystentka naukowca.

Stawiają duże kroki.

Na ścianach zauważają ślady roślinnych skamielin – mchów i paproci.

– Tu naprawdę istniało życie – potwierdza Mélanie.

Kontynuują badanie terenu i trafiają na skamieliny

zwierząt: ślimaków i małży dwuskorupowych. Mélanie Tesquet odrywa kilka z nich za pomocą dłuta. Fotografuje je, po czym ogląda pod przenośnym mikroskopem elektronicznym.

– To gatunek trylobitów, które są znajdowane w strefach umiarkowanych. To potwierdza pana hipotezę, profesorze: swego czasu panowała tutaj łagodna temperatura.

W miarę jak poruszają się naprzód, odkrywają jeszcze inne mięczaki wrosnięte w ściany, głównie ślimaki wodne, skorupiaki i robaki.

– Są olbrzymie – stwierdza Mélanie. – Nigdy nie widziałam amonitów o takich rozmiarach.

Idą brzegiem jeziora, oświetlają otoczenie, fotografują, nagrywają, pobierają próbki skał i natychmiast je analizują. Profesor Wells z kolei daje pierwszeństwo swojemu drogiemu notesowi, w którym gorączkowo coś zapisuje.

– Cóż, nie przybyliśmy tu na próżno, profesorze – oznajmia asystentka. – Możemy wydostać się na powierzchnię i ogłosić nasze odkrycie światu.

Dziennikarka podchodzi do profesora i kręci ujęcie notesu w zbliżeniu.

– Papier i ołówek, jak za czasów dawnych naukowców – zauważa młoda kobieta. – Dość staroświeckie. Nie wiedziałam, że światowej sławy badacz, taki jak pan, korzysta jeszcze z tego typu narzędzi.

Uczony nie odpowiada, notuje kilka zdań, po czym chowa notes i rusza naprzód.

– Profesorze! Profesorze! Proszę się zanadto nie oddalać, nigdy nie zdołamy zbadać całego brzegu. Musimy wrócić ze sprzętem – woła asystentka.

Mężczyzna w pomarańczowym skafandrze nieruchomieje z latarką wycelowaną w konkretnym kierunku.

– Tędy! – rzuca.

5.

Co ich napadło, żeby nakłuwać mnie na biegunie południowym, tak daleko od zgrupowań jakichkolwiek populacji?

6.

Tunel biegnie prostopadle do osi jeziora.

W świetle latarek skała zdaje się miejscami pożyłkowana ochrą, czerwienią i różem.

Troje członków ekspedycji przemierza kilometr łagodnej pochyłości, która kończy się drugą pieczarą, równie wysoką, jak pierwsza, lecz nieco węższą.

Nad podłożem unosi się cienka warstwa szarej mgły. Snopy światła rzucone przez lampy wydobywają z matowych oparów spiczaste skały.

– Po jamie ustnej jama brzuszna? – sugeruje Vanessa Biton, cały czas filmując.

– Albo serce – dodaje Mélanie Tesquet, oświetlając fragment sklepienia poprzecinany skomplikowanymi czarnymi i lśniącymi żyłkami.

Charles Wells wodzi wokoło snopem światła latarki, aż nagle zatrzymuje go na nietypowym elemencie: białej i wąskiej wypukłości wyłaniającej się z mgły. Lekko zaokrąglona, wznosi się na kilka metrów.

– Co to? – pyta zaintrygowana dziennikarka.

– Zbyt krzywe, żeby mogło być stalagmitem – stwierdza asystentka.

Podchodzą bliżej i oświetlają osobliwy kształt otoczony aureolą oparów.

– To nie jest minerał, roślina zresztą też nie – zauważa Mélanie.

Głos zabiera profesor Wells:

– To nie stalagmit, to zwierzęca kość. Jakby... żebro.

Wielometrowe żebro.

Słysząc przyspieszone oddechy.

– Żebro?

– Należące, moim zdaniem, do szkieletu dinozaura – oznajmia uczonej z nieumiejętnie powstrzymanym podnieceniem.

Pociera rękawicą warstwę szronu i wyjaśnia swoją hipotezę.

– Załóżmy, że żyły tutaj dinozaury. Znalazły pod ziemią schronienie przed nieprzyjawnymi warunkami środowiska, jakie zapanowały na zewnątrz. Być może po zmianie temperatury lub grawitacji.

Asystentka profesora Wellsa opuszcza krąg światła latarki na podłozę i stwierdza, że olbrzymie żebro jest jednym z wielu równie olbrzymich, tworzących mostek zespolony z kręgiem kręgosłupa połączonego z kościstą kulą przypominającą czaszkę.

– Wydaje mi się, że to nie dinozaur – oświadcza.

Ruchomy snop światła ślizgający się wśród cieni zdaje się ożywiać oczodoły wielkiej głowy.

– Prawdę mówiąc, to mi nie wygląda nawet na gada – szepcze Mélanie. – Mam wrażenie, że to raczej... olbrzymia małpa albo inne zwierzę naczelne.

– To człowiek, ale gigantycznych rozmiarów – uzupełnia profesor Wells.

7.

Tym razem wwiercili się naprawdę bardzo głęboko.

*Znajdują się dobre trzy kilometry pod moją skórą.
Co zamierzają zrobić?*

8.

Dziennikarka Vanessa Biton filmuje półkulę, na którą składa się wierzchołek, czoło i łuki brwiowe prehistorycznej czaszki.

Dwoje badaczy fotografuje osobliwy szkielet pod wszystkimi kątami, po czym postanawia kontynuować przerwana eksplorację podziemnej jaskini. Trafiają na drugi człekokształtny szkielet, tej samej wielkości co pierwszy. Tu również wszystkie kości są nienaruszone, doskonale zakonserwowane w chłodzie, pokryte cienką warstwą szronu.

Usta Charlesa Wellsa wykrzywiają się teraz nerwowo, wyrażając z trudem powstrzymaną radość. Ociera wierzchem dłoni białe wąsy i brodę.

– Jeśli moje przypuszczenia się sprawdzą, być może wpadł nam w ręce dowód na to, że w zamierzchłych czasach istniał na naszej planecie inny gatunek ludzi o tytanicznych rozmiarach.

Mélanie wyciąga miernik laserowy i odczytuje liczbę, która wyświetla się na ekranie.

– Od stóp aż po głowę mierzy on siedemnaście koma dziesięć metra długości – oznajmia.

– Wysokość budynku – wtrąca Vanessa. – Jak to możliwe, by istoty człekokształtne były dziesięć razy większe od nas?

Dziennikarka filmuje odkrycie, podczas gdy naukowiec fotografuje scenę pod różnymi kątami własnym aparatem. Profesor Wells zapełnia karnet znakami, notatkami, niewielkimi szkicami i pytajnikami.

Podchodzi do niego Mélanie.

– O czym pan myśli, profesorze Wells?

– Nie mogę się doczekać, aż mój syn dowie się o tym odkryciu.

– Syn? Jest pan na Antarktyce i myśli o synu?

– David ma dwadzieścia siedem lat i pasjonuje się biologią. Jesteśmy rodziną badaczy, mój dziadek był specjalistą od mrówek. David zajmuje się głównie redukowaniem roślin, bonsai, ale teraz, w świetle tego odkrycia... – Wskazuje czaszkę końcem długopisu. – Trudno będzie przebić tę naukową stawkę.

Mélanie Tesquet nie podoba się zarozumiały ton uczonego. Odkąd wyruszyli w podróż, wciąż słyszy z jego ust superlatywy, jak gdyby musiał bezustannie wychwalać swoją śmiałość, swoje szczęście i talent.

– Przed każdym pokoleniem stoi to samo wyzwanie: przewyższyć dzieło poprzedniej generacji – mówi asystentka profesora. – Ten olbrzym stanowi zapewne pozostałość zaginionej ludzkości, my stanowimy teraźniejszość, a pana syn jest przyszłością. Na pewno poradzi sobie lepiej od nas. Zawsze można być lepszym od swoich rodziców.

Charles Wells ociera czoło i ciągnie, jak gdyby niczego nie usłyszał:

– David wreszcie pozna ignorowaną do tej pory prawdę. Odtąd on, całe jego pokolenie, a także przyszłe generacje będą dowiadywać się z podręczników historii, że przed współczesnym człowiekiem istniały te siedemnastometrowe kolosy.

Wypowiedział te słowa uroczyście, po czym wyjaśnił swoim towarzyszkom:

– Właśnie odkryliśmy, że przed *Homo sapiens* istniał nieznany nam dotąd gatunek ludzki.

Charles Wells waha się, notuje kilka zdań w notesie, żeby nie zapomnieć, przekreśla kilka innych, z których nie jest zadowolony, i mówi:

– *Homo gigantis?*

9.

*Kiedy ludzie drżą tak głęboko, zawsze powód jest ten sam.
Żeby pompować moją ropę.*

*Gdyby tylko wiedzieli, że ta substancja... jest moją krwią,
moją niezbędną czarną krwią.*

Kradną mi ją zawsze z tego samego powodu.

Żeby się poruszać.

Nigdy nie widziałam równie ruchliwego gatunku.

*Dzięki mojej czarnej krwi, którą napęniają baki swoich
samolotów, statków, ciężarówek, samochodów, motocykli,
kosiarek do trawy, mrowią się jeszcze szybciej.*

W jakim celu?

*Najczęściej, żeby powrócić do punktu wyjścia. Są
niespokojnym gatunkiem. Wyrrywają mi, co mam
najcenniejszego, aby przekształcić to w niepotrzebny ruch. Nie
rozumieją, że ciecz ta znajduje się pod moją skórą nie bez
powodu.*

Moja czarna krew pełni bardzo konkretną funkcję.

10.

Stalaktyty ociekają kroplami krystalicznej wody
przypominającymi łzy.

Troje badaczy w pomarańczowych skafandrach sprawia
wrażenie maleńkich w obliczu dwóch gigantycznych szkieletów
odkrytych w jaskini na głębokości ponad trzech kilometrów pod
powierzchnią skorupy ziemskiej.

Asystentka profesora wyciąga urządzenie miernicze i
oskrobawszy delikatnie zebro elektrycznym dłutem, uzyskuje
próbkę, którą umieszcza w fiolce. Włącza ekran, dokonuje

regulacji, uruchamia procedurę analizy, po czym oznajmia:

– Datowanie radiowęglowe wskazuje, że te *Homo gigantis* mają prawdopodobnie... uwaga... Osiem tysięcy lat!

Profesor Wells pochyla się nad kręgiem białego światła padającego na płaskie i szerokie kości.

– Elementy szkieletu są pod każdym względem identyczne, z zachowaniem odpowiednich proporcji, z tymi należącymi do naszej ludzkości.

– Sądząc po kształcie miednicy, osobnik po prawej stronie to kobieta, osobnik po lewej to mężczyzna.

– Niech pan spojrzy, profesorze! – woła Vanessa. – Tutaj! Młoda dziennikarka Canal 13 potarła ścianę jaskini i odkryła pod warstwą szronu wyrzeźbione kształty, różniące się znacznie od chaotycznych motywów na skale.

– To bez wątpienia – stwierdza Charles Wells – efekt pracy rąk.

Vanessa wciąż trze ścianę w świetle swojej latarki i powoli odsłania długi fresk.

– To musi być płaskorzeźba.

Spod jej rękawiczki wyłania się oko.

– Chcieli przedstawić samych siebie...

– Wryli w ścianie sceny i postacie w różnych sytuacjach, jak w komiksie – szepcze Mélanie.

Pospiesznie wyciąga z plecaka palnik gazowy. Nakłada trójkątną płaską końcówkę, po czym włącza urządzenie i zbliża je do warstwy szronu osłaniającej fresk. Wypukłe sceny, uwolnione wreszcie od przezroczystej błony, ukazują się oczom trojga badaczy.

– Jaka precyzja! – woła Mélanie. – Można by pomyśleć, że rzeźbiono bardzo wąskim dłutem, zdolnym drążyć kamień niczym laser.

Widzą twarze, klatki piersiowe, grupy osobników wykonujących codzienne czynności na tle zmieniających się scenerii.

– Wygląda na to, że opowiedziana tu została pewna historia, z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem – sugeruje Vanessa.

Profesor Wells podchodzi jeszcze bliżej, przyświeca sobie, maca, wciska paznokiec w wyżłobienia.

– Chcieli zrelacjonować historię swojej cywilizacji. Opisali, kim byli, żeby o nich nie zapomniano i dowiedziano się, jaki spotkał ich los.

Mélanie Tesquet rozpoczyna fotografowanie scen jedna po drugiej, od prawej do lewej, od miejsca, które zdaje się początkiem fresku.

Vanessa zwiększa moc swojej latarki, uruchamia mikrofon i włącza nagrywanie. Na ekranie pojawiają się trzy czerwone litery REC.

– Profesorze Wells, czy mógłby pan specjalnie dla widzów Canal 13, stacji ekstremalnych podróży, wyjaśnić, co widzimy na ścianach?

– Sądząc po scenach wyrzeźbionych w kamieniu, cywilizacja *Homo gigantis* byłaby starsza niż wszystkie znane nam do tej pory. Ponad osiem tysięcy lat temu osiągnęli to, co pozostałe cywilizacje o „normalnych” rozmiarach odkryły znacznie później.

Młoda badaczka, nie chcąc pozostać w tyle, zajmuje miejsce przed obiektywem i wyjaśnia:

– Jeśli wierzyć freskom, olbrzymy te posiadały zdolność długotrwałego przebywania pod wodą. Na tym obrazku widzimy, jak nurkują z wielorybami.

– Rozmiary ich klatek piersiowych świadczą o wyjątkowej

wydajności płucnej, umożliwiającej długie okresy bezdechu – ciągnie profesor Wells.

– Spójrzcie tutaj! Jakby scena operacji chirurgicznej.

Rejestrując cały czas głosy naukowców, Vanessa filmuje starannie każdy fragment fresku, jak gdyby chciała się upewnić, że jeśli będzie mnożyć obrazy, ich prawdziwość nie zostanie podważona przez jakikolwiek sceptyczny umysł.

Profesor Wells komentuje:

– Tutaj najwyraźniej wspominają o katastrofach naturalnych. Popatrzcie na te szczegóły, nie ma wątpliwości: pierwszy ważniejszy przewrót, jakiemu musieli stawić czoło, był związany z wodą: tsunami. Widzimy, jak wysoka fala zalewa wszystkie domy.

– Potop? – dopytuje dziennikarka.

– Zapewne „ich” potop. Sądząc po tej rycinie, a także po tej i po tej, wyspa, którą zamieszkiwali, została zatopiona, co zmusiło ocalałych do ucieczki na widocznych tu statkach.

Asystentka profesora wskazuje inną skalną płaszczyznę.

– Zobaczcie! Coś jakby bardzo szczegółowa mapa, możemy na niej rozpoznać pięć kontynentów. A jeśli przyjrzeć się trasie, którą pokonały ich statki, można stwierdzić, że dotarli do wybrzeża Meksyku, na wysokości półwyspu Jukatan, a także do Afryki Północnej, na poziomie Maroka.

– Czyli przebyli kontynent afrykański z zachodu na wschód, aż po Egipt – kończy Charles Wells, wskazując wykropkowaną trasę wyrytą w skale.

– A tutaj, na tym rysunku... widzimy, że skontaktowali się z ludźmi dziesięciokrotnie mniejszymi od nich. Wreszcie normalni ludzie... Krótko mówiąc, my – dodaje. – Albo przynajmniej nasi przodkowie.

Troje uczestników ekspedycji kontynuuje rozpoznanie,

odkrywając wciąż nowe obrazy wyłaniające się spod palnika gazowego.

– Jeśli wierzyć tym scenom, potop wypędził ich z wyspy i zmusił do życia z naszymi przodkami – ciągnie Charles Wells. – Tutaj widzimy, jak kształcą lokalną ludność, uczą ją pisać i są obiektem czci.

Vanessa usiłuje dokonać podsumowania, żeby mieć całkowitą jasność.

– A więc, panno Tesquet, ci ludzie o fenomenalnych rozmiarach mogliby być wynalazcami pisma, którego początki przypadają dokładnie na ten okres, czyli osiem tysięcy lat temu? – dopytuje.

– Tak w każdym razie twierdzą freski. Wygląda na to, że podobnie rzecz się miała z medycyną. Na tej rycinie wyraźnie widać laboratoria i szpitale, w których leczeni są ludzie.

– A tutaj olbrzymi uczą małych ludzików astronomii – dodaje profesor Wells.

Troje badaczy posuwa się naprzód. W miarę jak topnieje ochronna warstwa szronu, ich dłonie dotykają wypukłych rysunków, a umysły interpretują obrazy, które ukazują się ich zafascynowanym oczom.

– Tutaj! Chodźcie zobaczyć! – woła Mélanie. – Ta scena udowadnia, że mali ludzie traktowali ich jak bogów. Olbrzymi uczą ich budować pomniki, a nawet piramidy.

– Jakie to dziwne... Wygląda na to, że budowle te służyły za nadajniki radiowe wzmacniające ich fale mózgowe – uściśla Wells. – Egipscy giganci potrafili zatem porozumiewać się ze swoimi olbrzymimi braćmi z Meksyku za pośrednictwem piramid.

Dwoje uczonych zaczyna przerzucać się hipotezami na temat znaczenia wyrytych scen.

– Zapewne dlatego panteon egipski składa się z olbrzymich bogów – zauważa Mélanie.

– Podobnie jak panteon meksykański – podkreśla Wells.

– I panteon grecki. Mówi o tym Platon w *Timajosie*.

Twierdzi, że na zachodzie, z dala od wybrzeży Europy, istniała wyspa zaludniona olbrzymami dysponującymi wyjątkowo zaawansowaną technologią: „Atlantyda”. Wyspa ta miałaby być zatopiona. Odpowiada to idealnie płaskorzeźbom, które obecnie odkrywamy. Nie wiedzieliśmy jednak, że Atlanci mieli siedemnaście metrów wzrostu.

– Ich inteligencja była być może proporcjonalna do objętości mózgu wyposażonego w znacznie większą liczbę neuronów.

Troje poszukiwaczy powoli fotografuje i filmuje sceny, jedna po drugiej.

– Spójrzcie tutaj – ciągnie Mélanie. – Te fragmenty pokazują, że mali ludzie przestają szanować olbrzymów. Wygląda na to, że się buntują przeciwko swoim bogom i, ostatecznie, zwalczają ich.

Roztopia warstwę lodu, po czym rzuca światło na sceny batalistyczne, na których mali wojownicy stawiają czoło gigantycznym przeciwnikom.

– Sądząc po tych rysunkach, z początku olbrzymy zdobyły przewagę.

– Zwycięstwo Tytanów w wojnie bogów opisane w mitologii greckiej – przypomina Charles Wells.

– Popatrzcie jednak na ten rysunek ze słońcem przysłoniętym chmurami i z sypiącym śniegiem.

– Zmiana klimatu. Druga wielka katastrofa po potopie: gwałtowne zlodowacenie. Spadek temperatury wpłynął niekorzystnie na olbrzymy – wyjaśnia uczoney.

– W ich wypadku większa powierzchnia skóry była wystawiona na działanie zimna.

– Myślicie, że cierpiały z powodu kataru? – pyta Vanessa.

– W każdym razie były osłabione. Przyjrzyjcie się tej partii fresków. To oczywiste. Wyglądają na chore. Zostały pokonane, a następnie wygnane ze wszystkich kontynentów przez małe ludziki – zauważa Mélanie.

– A tu Odyseusz dobijający ostatniego cyklopa w *Odysei* Homera – dodaje Charles Wells.

– Albo bóg wikingów Thor walczący z olbrzymimi Jotunami.

– David stający do walki przeciw Goliatowi. Można by podawać setki przykładów. We wszystkich mitologiach odnajdujemy sytuację, w której nasi przodkowie walczą przeciwko wielkoludom i triumfują nad nimi.

Badacze są pod wrażeniem szczegółowych obrazów relacjonujących pradawną tragedię.

– Moim zdaniem dopiero trzecia katastrofa wyjaśnia ich zniknięcie – ciągnie Wells. – Po potopie i osłabiającym chłodzie ostatecznie niszczy ich wojna z małymi ludzikami dążącymi do emancypacji.

Paleontolog daje znak Vanessie, żeby podeszła bliżej.

– Spójrzcie, niektórzy z *Homo gigantis* uciekają na statkach i przybijają do wybrzeży wysp, których ludność zmuszają do oddawania im czci.

– Te wielkie posągi wydają mi się znajome.

– Do licha! Sądząc po ich umiejscowieniu na mapie, nie może być żadnej wątpliwości: to Wyspa Wielkanocna!

Trzy latarki przeczesują nerwowo płaskorzeźbę, która ukazuje olbrzymów zmuszających ludzi do przedstawienia ich w formie naturalnych rozmiarów rzeźb i otoczenia ich kultem.

Lampa błyskowa Mélanie znów się uruchamia.

– Ostatnie olbrzymy walczą o życie na wszelkie możliwe sposoby, następuje jednak czwarta katastrofa – ciągnie Charles Wells.

Snop światła latarki omiata fresk, który przedstawia przerażone wielkoludy wpatrzone w coś przed nimi. Rysunek kończy się gwałtownie kamienną ścianą.

– Skała musiała runąć po tym, jak zakończyli rzeźbić swoją historię. Dalszy ciąg serialu jest ukryty za tym skalnym murem.

Poszukiwacze stoją przed pokrytą lodem ścianą, w której odbijają się niczym w lustrze. Uderzają ze wszystkich sił czekaniami, ledwie zarysowując przeszkodę.

Profesor Wells wyciąga z plecaka wiertarkę i przypuszcza atak na gładką i lśniącą powierzchnię.

Wiertło się wygina.

– Twarda jak metal. Będziemy zmuszeni użyć nadzwyczajnych środków, aby obalić ostatnią zasłonę, która dzieli nas od prawdy na temat minionych czasów.

Uczony klęka i wydobywa z plecaka laski dynamitu. Układa je u stóp ściany.

– Profesorze Wells, nie sądzi pan, że to przesada? – pyta Vanessa, cały czas filmując.

– Co najmniej tyle będzie potrzebne, żeby zaatakować równie oporną skałę.

Cofają się i kładą na ziemi, zatykając uszy dłońmi, aby ochronić bębenki.

Mężczyzna wciska detonator.

11.

Tym razem wyraźnie poczułam.

Używają ładunków wybuchowych, żeby przyspieszyć prace.

Zaraz pewnie ustawią swoje wieże wiertnicze i te okropne pompy do wydobywania mojej czarnej krwi.

Wkurzają mnie.

Przecież mają własne pasożyty wysysające krew, komary – i nie są wobec nich łagodni. Dlaczego więc ja miałabym ich oszczędzić?

Nadszedł czas, żebym ich poinformowała, kim naprawdę są: „tymczasowymi lokatorami”.

12.

Lustro pękło.

Między ścianami jaskini wciąż jeszcze niesie się echem huk wybuchu. Ponure trzaski rozchodzą się wśród lodowych tafli kamiennego sklepienia. Podłoże również złowieszczo skrzypi, po czym wszystko się stabilizuje. Dym się przerzedza i wiszące cząstki opadają, odsłaniając kolejną jaskinię.

Troje badaczy podąża ostrożnie naprzód.

– Oto czwarta katastrofa, która spadła na ich cywilizację – oznajmia Vanessa.

Oświetlają obraz przedstawiający swego rodzaju kulę wyłaniającą się spośród chmur.

– Coś jakby... asteroida – szepcze.

– Jej uderzenie mogło zmodyfikować grawitację na korzyść małych ludzi, ze szkodą dla ostatnich gigantów – potwierdza Mélanie.

– Niczym czterech jeźdźców z Apokalipsy świętego Jana, cztery plagi, które zniszczyły ich cywilizację – mówi profesor Wells. – Sądząc po płaskorzeźbach, można by nawet pomyśleć, że biblijna księga świętego Jana, którą traktujemy jako przepowiednię dotyczącą naszej przyszłości, mówi w rzeczywistości o ich przeszłości. Zawsze fascynował mnie ten

tajemniczy i poetycki tekst, w którym czterech jeźdźców, biały, czerwony, czarny i zielony, wyłania się zza horyzontu, żeby zniszczyć ludzkość.

– Popatrzcie na rysunek tutaj, w tym miejscu. Wygląda na to, że po uderzeniu asteroidy cudem ocalało troje olbrzymów – oznajmia Mélanie, wskazując jedną ze scen fresku. – Mieliby się oni ukryć tutaj i aby nie zostać odnalezieni przez małych ludzików, zejść na głębokość trzech tysięcy sześciuset dwudziestu trzech metrów pod lód, aż do... jeziora Wostok.

– Troje ostatnich *Homo gigantis*, ocalałych przedstawicieli wysoko rozwiniętej cywilizacji, obróconej w nicą przez cztery niszczycielskie katastrofy – szepcze Charles Wells, nie mogąc oderwać oczu od płaskorzeźb.

– Wygląda na to, że podczas długotrwałego wygnania pod powierzchnią bieguna południowego olbrzymy postanowiły opowiedzieć historię swojej zaginionej cywilizacji – podsumowuje Mélanie.

– Zapewne umarły z głodu, zimna albo ze starości.

Vanessa przerywa nagrywanie.

– Poczekaj, coś mi w tej hipotezie nie pasuje. Z fresku wynika, że powinno być troje gigantów, a my znaleźliśmy tylko dwa szkielety. Czy to możliwe, żeby jeden obrócił się całkowicie w pył?

– A dwa pozostałe miałyby pozostać nienaruszone? Nie, to nie do pomyślenia – przyznaje Mélanie.

Tymczasem Charles Wells przeszukuje latarką każdy zakamarek ciemności, zaglądając w szczeliny i pęknięcia.

– Jeszcze jedna kwestia – ciągnie Vanessa, zadowolona, że udało jej się zaskoczyć swoim pytaniem dwoje naukowców. – Dlaczego zadali sobie tyle trudu, żeby wyryć komiks w tym miejscu, na tej głębokości? Szansa, że ktoś go odkryje, była

właściwie... zerowa.

Profesor Wells uśmiecha się.

– Zrobili to dla nas.

– Jak to „dla nas”?

– Myślę, że podejrzewali, że pewnego dnia najsmielsze, najdociekliwsze i najbardziej uparte z istot ludzkich dotrą tutaj. Chcieli, żeby poznały prawdę.

Milczą ze wzrokiem utkwionym w ostatniej scenie, przedstawiającej olbrzyma rzeźbiącego podobiznę samego siebie... rzeźbiącego ostatni rysunek. Efekt głębi jest ujmujący.

Charles Wells sięgnął po notes i długopis, wsadził latarkę do ust i zaczął pospiesznie zapisywać myśli w obawie, że mu umkną.

– *Homo gigantis* byli bardzo inteligentni, a mimo to wyginęli. Na czym poległ, pana zdaniem, profesorze Wells? – pyta Vanessa, zbliżając ponownie oko do celownika kamery.

– Nie dokonali właściwych wyborów – odpowiada za niego Mélanie.

– A gdybyśmy po prostu uznali, że mieli pecha? Meteoryt to zrzędzenie losu – protestuje dziennikarka.

– Powinni byli się przystosować. Istota ewolucji polega na ciągu katastrof, które zmuszają dany gatunek do mutacji. Ci, którym uda się dostosować, ocaleją. Mali ludzie znaleźli drogę ewolucji dostosowaną do okoliczności, jakkolwiek dramatyczne one były. Na dowód tego my, potomkowie małych ludzi, istniejemy do dziś, a oni nie.

Charles Wells wciąż notuje w notesie, podczas gdy Mélanie rozwija jego teorię przed obiektywem kamery.

– Meteoryt mógł zmienić ziemską grawitację, utrudniając im życie ze względu na ich wzrost, podobnie jak to było kilka milionów lat temu w wypadku dinozaurów. To tylko pech

działający na niekorzyść wielkich i dający przewagę małym.

Profesor Wells nie zaprzecza. Wciąż skrobie ciągi zdań w notesie. Następnie zdejmuje kaptur, odsłaniając włosy równie długie, jak jego biała broda, wyciąga z kieszeni buteleczkę z alkoholem, jak gdyby potrzebował rozpuszczonych i sfermentowanych roślin, żeby przetrwać ogrom odkrycia i skupić się na jego konsekwencjach.

– Mimo wszystko... Do licha... Cóż za odkrycie! Ale się zdziwi, gdy się dowie – szepcze.

– Wciąż myśli pan o swoim synu? – pyta dziennikarka.

– Nikt nie będzie chciał nam uwierzyć – przyznaje Mélanie.

– Nikt. Wszystkim pomiesza się w głowach. Olbrzymy.

Cywilizacja olbrzymów... prawdopodobnie bardziej rozwinięta od naszej... to policzek dla historyków, archeologów, a nawet dla religii! Pomyśleć, że większość starożytnych kultów nazywała *Homo gigantis* „bogami”. Ileż tajemnic przeszłości zostałyby wyjaśnionych.

Charles Wells bierze kolejny łyk napitku.

– Będą zmuszeni nam uwierzyć! Są moje notatki, jest film Vanessy i mamy zdjęcia – odpowiada. – Mogę zagwarantować, że za kilka dni wszystkie gazety będą się rozpisywać na ten temat. Trafimy na czołówki wiadomości. Później nastąpi najazd na Antarktykę i jezioro Wostok. Zjawią się tu setki badaczy. A kiedy odkryją dwa olbrzymie szkielety i ten fantastyczny fresk, będą zmuszeni zrewidować wszystkie podręczniki do historii i prehistorii. Czy tego chcą, czy nie, osiem tysięcy lat temu naszą ludzkość poprzedzała ludzkość gigantów. Tak jak przed jaszczurkami istniały dinozaury.

– Znam środowisko naukowe – mówi młoda kobieta, robiąc sceptyczną minę. – Pan i ja jesteśmy nikim wobec uniwersytetów i dawnych przekonań. Co zaś dotyczy zdjęć i

filmów, na pewno znajdą sposób, żeby podważyć ich prawdziwość.

– Nie będą mieli wyboru. Przyjadą tutaj i stwierdzą fakty. Będą zmuszeni zmienić punkt widzenia. Bo taka jest prawda.

Vanessa odstawia kamerę i zdejmuje plecak.

– Zgłodniałam. Nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy zrobili sobie przerwę na obiad?

– Nie spieszmy nam się – mówi Charles Wells. – To miejsce czekało osiem tysięcy lat, żeby przekazać nam swój sekret, może więc poczekać jeszcze kilkadziesiąt dodatkowych minut. Jeżeli oczywiście nie zmarzłyście za bardzo.

Mélanie zapala palnik, na którym stawia garnek, wlewa do niego wodę z manierki i zawartość torebek z liofilizowanym jedzeniem o smaku łososia ze szczawiem i kurczaka po baskijsku.

– Pańscy koledzy mają wyjątkowo sztywne poglądy, drogi profesorze, sam pan wie – stwierdza. – Nie mówiąc już o ich zazdrości względem pana.

– Zmienia się. Oni też „zmutują”.

– Proszę się nie łudzić. Kiedy tylko poruszymy ten temat, roześmieją się nam w twarz. Już słyszę, jak nas wykpiwają.

– Publiczność nas wesprze.

– Publiczność to dla nich tylko banda ignorantów. I cóż znaczy wsparcie słuchaczy, jeśli ma się przeciwko sobie wszystkich współpracowników!

– Obawiam się, że pańska koleżanka ma rację, profesorze – wtrąca dziennikarka. – W naszym interesie jest jak największa ostrożność. Istnieje obawa, że nawet dysponując dowodami rzeczowymi, wyjdzie pan na wariata albo oszusta.

– Ach! Pani także swoje?

– Wiem coś o lekceważeniu, jakie otacza niektóre tematy,

takie jak Atlantyda albo nawet potop, a jeśli dorzuci pan do tego olbrzymy i upadłą wysoko rozwiniętą cywilizację...

Na twarzach obu kobiet maluje się sceptycyzm.

Pochłaniają biszkopty maczane w gorącej kawie.

– Do licha, w obliczu takiego odkrycia nie możemy się poddawać! Mentalność da się zmienić. Sądzę, że zostaniemy nawet docenieni za wyjawienie wielkiej tajemnicy.

– Jest pan optymistą.

– Cóż znaczą obrazy wobec stuleci przesądów? – pyta Mélanie.

– A nasze próbki kamieni i lodu?

– Ich prawdziwość zostanie podważona. W naszych czasach, gdy mamy do dyspozycji skamieliny, nawet teoria Darwina ma mniejsze powodzenie niż teoria kreacjonizmu. Jeśli to może pana uczynić bardziej pokornym, profesorze, przypominam, że większość nauczycieli na świecie uczy dzieci, że to Bóg stworzył człowieka.

– Do czego pani zmierza?

– Będziemy mieć przeciwko sobie naukowców ORAZ wierzących!

– A fresk? Po nas przyjdą tu inni ludzie.

Mélanie wzrusza ramionami i układa próbkówkę w plecaku. Charles Wells, zirytowany tymi uwagami, wyciąga notes i długopis, po czym zabiera się do redagowania tekstu. Pisze i poprawia każde zdanie, jak gdyby szykował przemówienie, tymczasem dwie młode kobiety przyglądają mu się.

Uczony przerywa i pociąga długi łyk whisky. Chce zamknąć piersiówkę, lecz korek wypada mu z rąk i toczy się po podłożu. Wells schyla się po niego i nagle zamiera ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt.

– Chyba... chyba znalazłem ostatniego olbrzyma.

Kłęka i rękawem skafandra przeciera warstwę szronu na podłożu.

13. ENCYKLOPEDIA: APOKALIPSA

Z greckiego *apo* i *calypsis*, wyraz „apokalipsa” oznacza dosłownie „zdjęcie zasłony”.

Tłumaczony później jako „objawienie” albo „obnażenie prawdy”, termin ten stał się synonimem „końca świata”, ponieważ człowiek nie dostrzega prawdy (ukrytej za zasłoną jego własnych iluzji i kłamstw) i jej objawienie byłoby dla niego fatalne w skutkach.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej (powtórzenie z tomu V)

14.

Pod lodem dostrzegają beżową masę.

Paleontolog rzuca się w stronę latarki. Snop światła rozprasza się na milion błysków w sercu błękitnego lodu. Charles Wells zdejmuje rękawice i pociera podłoże gołymi rękoma.

Widoczny przez warstwę przezroczystego lodu człowiek sprzed wieków jest nienaruszony. Mierzy piętnaście metrów wysokości, ma długie białe włosy i brodę, jest odziany w zużyte ubrania.

- Przypomina... – szepcze Vanessa.
- Kogo?
- Świętego Mikołaja albo Boga.
- To tylko stary mężczyzna z bardzo długą białą brodą –

stwierdza trzeźwo Mélanie.

Profesor Wells nie kryje radości.

– Oto mamy nasz dowód nie do odparcia. Tego, moje panie, nikt nie zakwestionuje, to nie artefakt.

– Trzeba pobrać odrobinę zakonserwowanej pod lodem tkanki i przeprowadzić analizę DNA. Wreszcie poznamy biologię praludzi.

Wciąż uzbrojona w palnik, młoda badaczka roztopia lód na wysokości twarzy olbrzyma, po czym, odsłoniwszy jego usta, szpatułką pobiera próbkę komórek nabłonkowych z wnętrza policzków.

Pod elektronicznym mikroskopem tkanki okazują się zupełnie nienaruszone.

Mélanie powtarza zabieg i umieszcza pobrany materiał w aparaturze do datowania radiowęglowego.

– Sądząc po jądrach komórek tego *Homo gigantis*, zmarł w bardzo zaawansowanym wieku – oznajmia.

– Ile miał lat? – pyta niecierpliwie dziennikarka.

– Nie uwierzycie. Zgodnie ze wstępnymi danymi człowiek ten ma blisko tysiąc lat. Moja aparatura jest w tej kwestii kategoriowa.

– Matuzalem – szepcze profesor Wells.

– Być może autorzy Biblii znali ich życie i chcieli je opisać. Widzicie, Biblia nie jest naszym wrogiem, przeciwnie, potwierdza nasze badania. Wszyscy uważali, że życie trwające ponad pięćset lat to legenda, tymczasem to prawda – stwierdza uradowana Vanessa.

– Tysiąc lat? Zdziwiająca, że tyle elementów związanych jest z liczbą dziesięć – zauważa profesor Wells. – Olbrzymy we wszystkim przewyższają nas dziesięciokrotnie. Są dziesięć razy większe od nas. Żyją dziesięć razy dłużej.

Uczony notuje tę obserwację, a także kilka pomysłów nią zainspirowanych. Zadowolony chowa notatnik razem z kartą pamięci aparatu fotograficznego do nieprzepuszczalnej saszetki, którą wkłada do wewnętrznej kieszeni skafandra z napisem MROŻONKI GELUX.

Młoda badaczka pobiera kolejne próbki, aby uzyskać cechy charakterystyczne DNA olbrzyma, nagle jednak zaczyna wiercić ją w nosie i kicha.

– Musiałaś się zaziębić – zauważa dziennikarka.

Asystentka wyciera nos i wraca do pracy.

– Jeśli się przebywa na zewnątrz przy temperaturze dobrze poniżej zera i obmacuje zamrożone skamieliny, nie można się dziwić tego rodzaju niedogodnościom – usiłuje zażartować badaczka.

15.

Co oni tam robią?

Co knują na moim biegunie południowym?

Muszę ich powstrzymać, zadziałać bardzo precyzyjnie.

Jak zadrzeć tylko w jednym miejscu mojej skóry?

Przy odrobinie koncentracji powinno mi się udać.

16.

Profesorem wstrząsa dreszcz. Wyciąga z plecaka sprzęt do kopania, żeby wydobyć ciało z jego lodowego kokonu. Trzy osoby zaczynają kopać wokół zamrożonego olbrzyma.

Mélanie dostaje tak gwałtownego ataku kaszlu, że musi na chwilę przerwać pracę.

– W porządku, Mélanie? Zakrztusiłaś się?

– To nic, zaraz minie – udaje jej się wyartykułować.

Dziennikarka filmuje.

– Profesorze Wells, sądzi pan, że i nasza cywilizacja mogłaby zniknąć?

– Kto wie? Swego czasu olbrzymy również musiały czuć się niepokonane.

Wskazuje mężczyznę pod lodem.

– A jednak wystarczył jeden kamień przybyły z kosmosu. Dokładnie w tym momencie wielki stalaktyt odrywa się od sklepienia i zatapia się w zamrzniętym jeziorze.

Huk roznosi się echem po całej jaskini. Ziemia zaczyna drżeć.

Temperatura gwałtownie wzrasta. Troje poszukiwaczy podbiega do ściany, żeby uniknąć spadających włócznie, które świszczą wokół nich. Vanessa nie może przestać wyobrażać sobie, że stalaktyty to zęby zamykających się ust, które chcą ich zmiażdżyć.

Przywierają do skały.

Z kamiennego gardła na drugim końcu pieczary zaczyna wydobywać się para. Temperatura staje się nieznośna.

– W pobliżu musiało dojść do wycieku lawy – woła uczony, usiłując pojąć nieoczekiwane zjawisko.

Jak gdyby na potwierdzenie jego hipotezy gardziel wypluwa dymiącą melasę. Rozpalona magma zalewa zamrznięte jezioro, doprowadzając je natychmiast do wrzenia. Ogień i lód mieszają się, ale temperatura wciąż rośnie.

– Tędy! – krzyczy Vanessa, wskazując w głębi jaskini niszę, która mogłaby im posłużyć za opatrnościowe schronienie.

Biegną, lecz lodowa skorupa jeziora coraz bardziej się ugina. Nagle pęka na całej długości z odgłosem rozdzieranego materiału.

Troje uczestników wyprawy czuje, że ziemia umyka im

spod stóp.

Charles Wells nie zdąży na czas przytrzymać się brzegu i ześlizguje się. Szamocze się, usiłuje utrzymać głowę nad powierzchnią, lecz potężny wir wciąga go w głąb jeziora. Pochłania go wąskie gardło i wsysa niczym syfon umywalki.

Vanessa i Mélanie w następnej kolejności zostają wciągnięte do kamiennego jelita.

Na szczęście ich grube izotermiczne stroje są odporne na ekstremalne temperatury. Prąd znosi całą trójkę w stronę podziemnej zjeżdżalni, która przekształca się w labirynt. Małe latarki na kaskach oświetlają nieregularnie przesuwające się obok nich ściany.

Profesor Wells znajduje się na czele. Niesiony wartkim prądem znika w szerokim gardle, nie mając możliwości zwolnić. Jego skafander postrzępił się o krawędzie skał. Nagle tuż przed nim wyłania się ściana z otworem o średnicy zbyt małej, by mógł się w nim cały zmieścić. Wie jednak, że przy obecnej prędkości nie zdoła go uniknąć.

Otwiera usta. Przerażony wybałusza oczy. Instynktownie wyciąga naprzód ręce w obronnym geście.

Ciało zostaje doszczętnie zniszczone.

Krew tworzy purpurowy ślad, który ciągnie się przez klatkę piersiową, ukazując miążgę złożoną z mieszaniny trzewi i nówek.

David Wells wyciera ręce. Komar, który mu dokuczał, został unieszkodliwiony. Wciera go w białą chusteczkę i pozbywa się resztek szczątków szkodnika. David Wells nienawidzi komarów.

Bierze głęboki wdech, przekracza monumentalne uniwersyteckie progi Sorbony i dociera przed dębowe lakierowane wrota. Sala imienia Darwina. Na tabliczce widnieje napis: „Kandydaci na konkurs o ewolucji – proszę wchodzić bez pukania”.

Trochę się denerwuje.

Spogląda na zegarek. Dziesiąta pięćdziesiąt osiem.

Został wezwany na jedenastą. Zazwyczaj, mając nazwisko zaczynające się na „W”, przychodzi na ósmą i zostaje przyjęty ostatni, ale tym razem nakaz stawienia się przypada na chwilę, kiedy miał największe szanse się tu pojawić.

Naciska kłamkę. Sala jest olbrzymia, ze ścianami pokrytymi boazerią i z freskiem na suficie przedstawiającym ewolucję. Jest to długa procesja, w której defilują ameba, ryba, płaz, jaszczurka, małpiatka, małpy, a następnie ludzie, którzy prostują się, pojawia się na nich kamizelka z niedźwiedziego futra, następnie skórzane spodnie, dżinsy, a na końcu stroje kosmonautów. Wszyscy oni zdają się zazdrościć stojącemu przed nimi i gardzić tym, który idzie z tyłu.

Na ścianach widnieją portrety wybitnych profesorów

zasłużonych dla historii uniwersytetu. Pierwsi noszą stroje renesansowe i dzierżą instrumenty należące do swojej epoki. Następnie, w porządku chronologicznym, ubrania się zmieniają – od aptekarza i golarza w długiej sukni i spiczastej czapce po naukowca w białym kitlu trzymającego cyfrowy tablet. Najstarszych namalowano na wielkich obrazach, najbardziej współcześni pojawiają się na kolorowych przestrzennych fotografiach.

Przed Davidem Wellsem, na podwyższeniu, siedzi w rzędzie dziewięćosobowe jury.

Wysoka kobieta o młodym wyglądzie, z włosami zaczesanymi w ciasny kok, w okularach w rogowej oprawie, zajmuje miejsce pośrodku. Najwyraźniej przewodniczy składowi sędziów. Na tabliczce przed nią widnieje nazwisko: Christine Mercier.

Po obu jej stronach siedzą starsze osoby. Na lewym krańcu stołu jedna z nich śpi, cicho pochrapując, ignorowana całkowicie przez współpracowników. Na prawym krańcu zasiada druga kobieta. David nie zauważył jej od razu, gdyż jest bardzo niska, zajmuje miejsce na specjalnie podwyższonym krześle. Bezustannie manipuluje przy swoim smartfonie, jak gdyby odczytywała wiadomości spływające jedna po drugiej.

David Wells podchodzi bliżej.

Pod ciągiem wysokich witraży na bocznych ścianach siedzi około sześćdziesięciu zaniepokojonych młodych osób. Ściskają na kolanach teczki z dokumentacją. Po prawej dwoje z nich przegląda nerwowo notatki w oczekiwaniu na swój występ przed sądem konkursowym.

– Następny! – rzuca Christine Mercier. – Kandydat numer sześćdziesiąt siedem. Doktor Francis Frydman. Projekt „Android: ku sztucznej świadomości robotów”.

David Wells dyskretnie dołącza do trojga kandydatów i siada, skupiony.

Francis Frydman jest młodym, bladym i przyszczatym mężczyzną w okularach z grubymi szklami i w butach na gumowej podeszwie. Wyjaśnia zwięźle, że jest związany z wydziałem robotyki w Montpellier. Jeśli zostanie wybrany, ma nadzieję dokonać znacznego przełomu w budowie maszyn: wpoić im pojęcie „ja”.

Byłoby to jego zdaniem przejście od „sztucznej inteligencji”, która jest tylko umiejętnością obliczeniową, do „sztucznej świadomości”, która umożliwia odróżnienie swojej osobowości od reszty świata.

– Kiedy roboty androidy posiadą samoświadomość, staną się robotnikami zdolnymi do osobistych inicjatyw, idealnymi służącymi. Mogliby stworzyć liczny i mało kosztowny proletariatus, co pozwoliłoby na rozwiązanie niektórych problemów ekonomicznych i socjalnych. Moglibyśmy je zaprogramować, usuwając wszelką skłonność do buntu lub strajku. Dzięki świadomości „ja” byłyby twórcze i potrafiłyby rozwijać własne pomysły, nie mając jednocześnie postawy roszczeniowej. Same zalety, żadnych wad.

– A jeśli oszaleją? – pyta jeden z członków jury.

– Należałoby wymyślić psychologię, psychiatrię i psychoanalizę dostosowane specjalnie do nich i do pytań, które mogłyby zadać. Pod kątem mojej pracy dyplomowej zamierzałem udać się do centrum wysokich technologii w Seulu w Korei Południowej, żeby pracować nad pierwszymi populacjami inteligentnych robotów i sprawić, żeby przekroczyły próg świadomości.

– Do Seulu?

– Tam znajdują się najdoskonalsze roboty. Koreańczycy

znacznie wyprzedzili resztę świata, zarówno w dziedzinie chipów, ekranów czy obwodów scalonych, jak i mechaniki czy robotyki.

Zapada cisza, słychać tylko chrapanie drzemiącego członka komisji. Pozostali konsultują się między sobą, wymieniają uwagi na małych karteczkach, po czym, nie patrząc kandydatowi w oczy, kobieta z kokiem sięga po listę i oznajmia:

– Dziękujemy, doktorze Frydman. Następny. Kandydat numer sześćdziesiąt osiem. Doktor Aurore Kammerer. Projekt „Amazonki: wzmocnienie systemu odpornościowego dzięki kobiecym hormonom”.

Z gracją wstaje młoda kobieta i zajmuje miejsce przed składem sędziów. Kasztanowe włosy ma ścięte krótko, jest ubrana w czarne spodnie, żółty żakiet i czarną bluzkę, co nadaje jej męski wygląd, ledwie złagodzony broszką w kształcie pszczoły w tych samych kolorach.

– Jestem związana z wydziałem medycyny w Tuluzie, a moją specjalnością jest endokrynologia. Odkryłam ostatnie żyjące plemiona Amazonek na południowym wschodzie Turcji, przy granicy z Iranem. Nazywają się „kobietami-pszczołami” i otaczają te owady czcią. Dzięki miodowi, a także pszczelemu mleczku królowej oraz propolisowi kobiety te zdołały opracować oryginalny zestaw leków, które wydają się niezwykle skuteczne – wskaźnik zachorowań utrzymuje się wśród nich znacznie poniżej normy. Kobiety te cechuje również inny od naszego zestaw hormonów, jak gdyby były mutantami. Sądzę, że duży wpływ na to ma przyjmowanie żeńskich hormonów pszczelich. Obecnie plemię jest rozproszone w Turcji i Iranie. Gdyby wyginęły, ich wiedza zostałaby zapomniana. Mam zamiar udać się na miejsce i zbadać im krew, a także zgłębić ich wiedzę z zakresu chemii organicznej.

Kobieta z kokiem chce coś zanotować długopisem, ten jednak nie działa. Potrząsa nim, wreszcie pożyczka inny od sąsiada.

– Dziękuję, panno Kammerer. Ostatni kandydat. Numer sześćdziesiąt dziewięć. Doktor David Wells. Projekt „Pigmej: ewolucja przez zmniejszenie”.

Młody człowiek występuje naprzód przed komisję.

– Doktoryzowałem się na wydziale biologii w Paryżu, moją specjalnością jest badanie wpływu środowiska na fizjologię ludzką i zwierzęcą. Mój projekt dotyczy fenomenu redukcji rozmiaru gatunków. Według mnie wszystko się miniaturyzuje: dinozaury zmieniły się w jaszczurki, a mamuty w słonie. Swego czasu rozpiętość skrzydeł ważki wynosiła półtora metra, obecnie wynosi zaledwie piętnaście centymetrów. W naszym bliższym otoczeniu wilki przekształciły się w yorki, a tygrysy w koty syjamskie.

Niska kobieta krzywi się, okazując całkowity brak zainteresowania tematem, który powinien dotyczyć jej w pierwszej kolejności.

– Moglibyśmy również wymieniać rośliny – ciągnie David.
– Niegdyś niektóre sekwoje osiągały do stu metrów wysokości. Obecnie należą do królestwa drzew średnio dziesięciometrowych. Niedawno odkryto, że karaluchy zmniejszyły się, żeby móc przemieszczać się rurami nowoczesnych domów. Wreszcie w dziedzinie przedmiotów: samochody konstruuje się coraz mniejsze, aby zaadaptować je do zatłoczonych miast, komputery również mają tendencję do miniaturyzowania się, nawet średnia powierzchnia mieszkań się kurczy ze względu na przeludnienie dużych miast.

– To jest pański temat? – dopytuje kobieta z kokiem. – Chce pan „zmniejszyć świat”?

Kilkoro jurorów usiłuje powstrzymać wybuch śmiechu.

– Moja praca miałaby polegać na realizacji reportażu w Afryce, konkretnie na terenie Demokratycznej Republiki Konga, na temat śladów ostatnich Pigmejów. Są oni uważani za istoty zacofane, pod pretekstem, że są potomkami najstarszego znanego nam gatunku ludzkiego. Tymczasem znalazłem studium wykazujące, że rozwinęli oni niewyjaśnioną odporność na ukąszenia komarów odpowiedzialnych za przenoszenie wirusów dengi i chikungunya. Są bardziej odporni na malarię, śpiączkę i dyzenterię. Chciałbym, podobnie jak moja przedmówczyni, udać się na miejsce i zbadać ich krew. Liczę również, że uda mi się zrozumieć, dlaczego ich system odpornościowy jest lepiej rozwinięty niż ten tak zwanych cywilizowanych ludzi. Być może uda mi się też sprawdzić, czy Pigmeje nie są przypadkiem ludźmi przyszłości, gdyż daleko im do zacofania.

Zapada przeciągająca się cisza. Jurorzy spoglądają po sobie. Wreszcie zabiera głos karlica.

– Hm... Panie Wells, czy jest pan rzeczywiście synem profesora Charlesa Wellsa? Charlesa Wellsa, który wybrał się w ramach wspieranej przez media ekspedycji na biegun południowy?

– Hm... Istotnie.

– Dotarły do nas najnowsze wieści. Bardzo nam przykro. Mamy nadzieję, że odnajdą pana ojca.

David nawet nie drgnął.

Christine Mercier sprawdza, czy jej długopis działa, notuje coś i daje Davidowi znak, żeby dołączył do pozostałych kandydatów zajmujących krzesła po lewej stronie sali. W tym momencie śpiący członek komisji budzi się gwałtownie i przytakuje temu, co zostało powiedziane.

Uczni, którzy przedstawili swoje projekty, czekają na

werdykt. Christine Mercier naradza się z ośmioma kolegami, po czym wstaje i zwraca się do kandydatów.

– Są państwo pierwszym rocznikiem nowej sekcji na Sorbonie, specjalizującej się w badaniu „Przyszłej ewolucji ludzkości”. Jest to temat, który testujemy, ale mamy zamiar wspierać. Wkrótce zaproponujemy możliwość bronięcia doktoratu, a ewolucjonizm być może okaże się nową pełnoprawną dziedziną nauki. Wszyscy państwo mają tytuły naukowe wysokiego stopnia, wszyscy są związani z renomowanymi szkołami wyższymi i uniwersytetami, wszyscy podążają różnymi ścieżkami kariery, ale mają głęboko zakorzenioną potrzebę zrozumienia, „dokąd zmierzamy”.

Młodzi ludzie potakują.

– Konkurs ten pozwala nam wypromować nową naukę. Stanowicie grupę sześćdziesięciu dziewięciu kandydatów prezentujących sześćdziesiąt dziewięć oryginalnych projektów. Wybierzemy spośród was trzech finalistów, którym przyznamy stypendium umożliwiające realizację pracy na wybranym terenie. Oczywiście podróż i wszelkie koszty zostaną sfinansowane w całości.

Wśród kandydatów rozchodzi się szmer zadowolenia.

– Chciałabym jednak najpierw przypomnieć wam o pewnych zasadach. Sorbona to miejsce tradycji. Z uniwersytetu – jakże przesiąkniętego wspomnieniami – spogląda na nas tysiąc lat historii nauki. To świątynia wiedzy. Naszym pierwszorzędnym kryterium przy wyborze trzech finalistów będzie zatem to, „co poprawi życie przyszłych pokoleń”. Poproszę teraz, aby poczekali państwo tutaj. Za godzinę zakończymy obrady i ogłosimy nazwiska trzech laureatów pierwszego rocznika „Ewolucji”.

David Wells przygląda się rywalom. Po jego prawej pewien

naukowiec otwiera papierową teczkę z napisem: „Kandydat 21”. Doktor Gérard Saldmain. Projekt: „Fontanna młodości”, z podtytułem: „Aby ludzie żyli ponad dwieście lat”. Teczka jest ozdobiona rysunkiem przedstawiającym roześmianego staruszka wyrzucającego w górę swoją laskę. Nieco dalej inny uczony trzyma koszulkę na dokumenty opatrzoną informacją: „Kandydat 03”. Doktor Denis Ledélezir. Projekt: „Klonowanie bez lęku. Aby wybierać swoje dzieci i reprodukować w nieskończoność najlepszych”. Ilustracja: zdjęcie uśmiechniętego płodu powtórzone dwanaście razy.

Najdłużej David przygląda się młodej kobiecie od projektu z Amazonkami. Ma wrażenie, że gdzieś się już zetknęli. Kobieta odwzajemnia mu jego uporczywe spojrzenie i David spuszcza wzrok.

Przypominają mu się słowa karlicy-jurorki. „Dotarły do nas najnowsze wieści. Bardzo nam przykro. Mamy nadzieję, że odnajdą pana ojca”. David wyciąga smartfona, włącza go i wybiera aplikację telewizyjną, żeby obejrzeć wiadomości na całodobowym kanale informacyjnym.

18.

PIŁKA NOŻNA: Wkrótce w Rio de Janeiro rozpoczną się mistrzostwa świata w piłce nożnej i oczy całego globu są już zwrócone w stronę tego wielkiego brazylijskiego miasta. Ponad tysiąc dwustu dziennikarzy przyjechało na miejsce, przybycie zapowiedziały także liczne głowy państw, które zamierzają wspierać swoje drużyny narodowe. Według trenera drużyny francuskiej gracz jeszcze nigdy nie byli tak mocno zmotywowani, a kapitan Narcisse Diep jest przekonany o sukcesie. W wyniku losowania Francja zmierzy się w swojej grupie z krajami, które – jego zdaniem – bardzo łatwo będzie

pokonać.

KATASTROFA W PAKISTANIE: Szacuje się, że w wyniku katastrofy w Karaczi zginęło lub zaginęło od piętnastu do dwudziestu tysięcy osób. Stolica ekonomiczna Pakistanu została całkowicie spustoszona przez trzęsienie ziemi i niszczycielskie tsunami. Pierwsze oddziały ratowników dotarły już na miejsce i zaczynają oczyszczać zalane błotem ulice. Ludność, która zdołała uciec, została umieszczona w tymczasowych obozach. Łączymy się teraz z naszym specjalnym korespondentem, Georges'em Charasem. Powiedz mi, Georges, jak wygląda sytuacja na miejscu?

– Karaczi jest od dziś miastem w ruinie, miastem-widmem, miastem zmiażdżonym. Sąsiadujące Indie pierwsze udzieliły pomocy miastu i przyjęły tłumy uchodźców. Wiemy, że między tymi dwoma krajami panowały napięte stosunki polityczne i wojskowe, którym początek dały zamachy na dworcu w Bombaju i na targu w New Delhi, o które rząd indyjski oskarża grupy ekstremistów szkolonych przez tajne służby pakistańskie. W obliczu tragedii Indie okazały jednak solidarność, a dramat ten być może przyczyni się do pojednania skłóconych braci. Dwie kwestie mogą niepokoić: przede wszystkim lęk przed drugim trzęsieniem ziemi, będącym echem pierwszego, i obawa przed epidemiami, które mogłyby wybuchnąć w obozach. Sytuacji nie poprawiają obfite monsunowe deszcze, które utrudniają jeszcze kursowanie samolotów z międzynarodową pomocą humanitarną.

– Dziękuję, Georges. Przejdźmy teraz do pozostałych wiadomości ze świata.

IRAN: Po wyborach, których właściwy przebieg został zdecydowanie podany w wątpliwość przez obserwatorów Organizacji Narodów Zjednoczonych, pokojowa manifestacja

zgromadziła dziś po południu na głównym placu w Teheranie setki tysięcy ludzi skandujących: „Gdzie jest mój głos?”. Powtórzył się scenariusz z 2009 roku. Jeśli wierzyć przeciekowi z jednego z oficjalnych źródeł, strażnicy rewolucji dopełniali urny w większości lokali wyborczych. Te same źródła twierdzą, że w ostatniej chwili dorzucono blisko dwadzieścia milionów kart do głosowania faworyzujących prezydenta Jaffara. Ten ostatni uprzedził, że nie będzie tolerował reakcji „tych, którzy nie potrafią przegrywać”, i wydał policji rozkaz strzelania do tłumu z użyciem ostrej amunicji. Mówi się już o dziesiątkach zabitych i setkach aresztowanych. Zostały utworzone sądy doraźne.

Ani trochę niezrażeni manifestanci nawołują za pośrednictwem Internetu do zorganizowania jutro drugiego pokojowego protestu, wciąż pod hasłem: „Gdzie jest mój głos?”. Spodziewana jest dwukrotnie większa liczba uczestników. Prezydent Jaffar poprosił wszystkich zagranicznych dziennikarzy o opuszczenie Iranu.

TURCJA: W wyniku kolejnej zasadzki przygotowanej przez komando kurdyjskich bojowników Peshmerga na granicy turecko-irańskiej, na terenach położonych między Hakkâri a Mahabadem, zginęło osiem osób: siedmiu policjantów tureckich i jeden bojownik Partii Pracujących Kurdystanu.

DEMOGRAFIA: Według najnowszych szacunków Narodowego Instytutu Badań Demograficznych na Ziemi żyje obecnie osiem miliardów ludzi, w ciągu dziesięciu lat liczba ta wzrośnie do dziesięciu miliardów.

Badanie to wykazało, że średnia wysokość współczesnego *Homo sapiens* to sto siedemdziesiąt centymetrów (sto siedemdziesiąt pięć dla mężczyzny i sto sześćdziesiąt pięć dla kobiety). Średnia waga to siedemdziesiąt kilogramów.

Na osiem miliardów ludzi pięćdziesiąt trzy procent to mężczyźni, a czterdzieści siedem – kobiety. Człowiek żyje średnio siedemdziesiąt lat (sześćdziesiąt pięć – mężczyźni, siedemdziesiąt pięć – kobiety).

Futurologi przewidują, że ludzkość rozwinie się w dwóch kierunkach. Po pierwsze, w stronę wyższego wzrostu, co jest związane z lepszym odżywianiem się dzieci, bogatszym w wapń i proteiny. Po drugie, ku maskulinizacji spowodowanej dostępem do ultrasonografii w krajach trzeciego świata – możliwość poznania płci dziecka przed urodzeniem pociąga za sobą liczne aborcje, jeśli płód okaże się dziewczynką.

SZALONY PROJEKT: Pewien prywatny inwestor, kanadyjski miliarder Sylvain Timsit, zaproponował wyprodukowanie gigantycznego statku kosmicznego z zamiarem skolonizowania planety spoza Układu Słonecznego. Jego maszyna miałaby podróżować przez tysiąc dwieście lat, co oznacza, że członkowie wyprawy musieliby się rozmnażać, aby zapewnić istnienie załogi w momencie dotarcia do punktu docelowego. To obłąkany pomysł, na którym jednak bardzo zależy miliarderowi, mimo krytyki i kpin, jakich jest obiektem w środowisku naukowym, przede wszystkim astronautycznym. Sylvain Timsit zainwestował już kilkadziesiąt milionów dolarów kanadyjskich w badania nad wykonalnością tego projektu i ma zamiar w ciągu najbliższych miesięcy przystąpić do konstrukcji pierwszych elementów statku kosmicznego. Inspirację dla jego projektu stanowi książka science fiction z 2006 roku *Gwiazdny motyl*, w hołdzie której postanowił on nazwać swój statek „Gwiazdny Motyl 2”.

NAUKA: Wciąż brak wieści o ekspedycji słynnego paleontologa Charlesa Wellsa, który wyruszył na poszukiwanie dinozaurów w podziemnym jeziorze Wostok na Antarktyce, a

także o dwóch towarzyszących mu osobach, w tym naszej koleżance Vanessie Biton. Minister do spraw badań naukowych postanowił wysłać okręt wojskowy wyposażony w radary najnowszej generacji w okolice, skąd badacze nadali ostatnią wiadomość. Statek ten, wykorzystywany podczas akcji ratunkowych, umożliwi przeprowadzenie dokładnych poszukiwań na miejscu. Będzie mógł przechwycić sygnały emitowane automatycznie przez nadajniki GPS wszyte w podszewkę skafandrów trojga uczestników ekspedycji. Ostatnia wiadomość wysłana przez profesora Wellsa pochodzi z wczorajszego wieczora: „Udało nam się przebić do kieszeni powietrznej znajdującej się prawdopodobnie nad jeziorem, schodzimy”. Od tamtej pory trwa cisza.

19.

Proszę, mówią o tym w najnowszych wiadomościach.

„Trzęsienie ziemi i niszczycielskie tsunami”.

Gdyby tylko wiedzieli, że zdążyłam nauczyć się podłączać do ich systemów komunikacji.

Nauczyłam się interpretować ich fale dźwiękowe.

Mówię we wszystkich ich językach.

Słyszę całą muzykę.

Odbieram wszystkie programy telewizyjne, a nawet rozmowy telefoniczne.

Wszystko zależy od tego, na czym skupię uwagę. Niektóre słowa sprawiają, że reaguję szybciej. Na przykład wtedy, kiedy wspominają o mnie osobiście.

Ziemia.

Gaja.

Albo nawet: świat.

Mają mnie po prostu za nieorganiczną kulę. Taka jest ich

koncepcja słowa „planeta”.

Nieruchomy obiekt, w którym można drążyć dziury, aby wykradać minerały, płyny, gaz, bez żadnego „proszę” czy „dziękuję”.

Nigdy się nie zastanawiali, dlaczego jestem ciepła.

Nigdy się nie zastanawiali, dlaczego się obracam.

Nigdy się nie zastanawiali, dlaczego na mojej powierzchni istnieje życie.

Nigdy nie przyszło im do głowy, że żyję, a przede wszystkim, że potrafię myśleć.

Gardzą wszystkim, co nie jest do nich podobne.

Jeśli coś nie ma oczu – nie ma inteligencji.

Jeśli coś nie ma ust, żeby krzyczeć – nie cierpi.

Muszę się uspokoić.

W wypadku ekspedycji na biegun południowy nie chodziło wyjątkowo o wykradanie mi czarnej krwi. Tych troje szukało starych kości, szkieletów dinozaurów.

Istna kpina, gdyby tylko wiedzieli, co się tam naprawdę wydarzyło...

Dobrze, wypluję tych troje imbecyli.

20.

Z butelki wystrzeliwuje korek i uwalnia szampańską pianę, która kończy swój lot w ustawionych rzędem kieliszkach.

Jest dwudziesta trzecia i sześćdziesięciu dziewięciu naukowców ewolucjonistów oraz dziewięciu członków jury zgromadziło się na wielkim kwadratowym dziedzińcu Sorbony.

David Wells podchodzi do Aurore Kammerer, która powoli degustuje bąbelkowy napój.

– No i proszę, jesteśmy „szczęśliwymi zwycięzcami” – mówi, żeby nawiązać rozmowę.

Kobieta rzuca mu szybkie spojrzenie.

– Jeszcze nie wygraliśmy.

– Zostaliśmy wybrani jako finaliści. Troje spośród sześćdziesięciu dziewięciu, to już coś.

– W takim razie możemy się uważać za zwycięzców w innych „konkursach”. Spermatozoid, który umożliwił panu narodziny, wygrał z trzystoma milionami rywali – ironizuje.

– Istotnie, my, żyjący, wszyscy jesteśmy zwycięzcami.

– Żyjący? Powiedziałabym raczej: ocalali. Wyobraża pan sobie, ile setek naszych przodków musiało dożyć do wieku co najmniej szesnastu lat i uprawiać miłość, żeby zaistnieli nasi rodzice, którzy również uprawiali miłość, dając życie naszym dwóm niewiele znaczącym osobom? Ile milionów przypadków...

– Unikniętych epidemii, klęsk głodu, wojen – dodaje David. – Można też tak na to patrzeć. Wyszliśmy cało ze wszystkich przygód naszych przodków.

– I ze wszystkich ich błędów. Możemy dopatrywać się w nich winy za wiele nieszczęść, które obecnie nas spotykają. Dziś płacimy za ich niewłaściwe wybory.

– Tyle w kwestii naszych rodziców, ale nasze dzieci również się liczą. Jest pani endokrynologiem, do czego więc, pani zdaniem, będzie dążyć ewolucja przyszłych pokoleń? – pyta David.

– Do większej liczby kobiet. A jak pan uważa jako biolog?

– Do mniejszych ludzi.

– Nic dziwnego. Mówi pan tak, ponieważ sam jest niski.

Widziałam korki w pana butach.

– Do licha, zostałem namierzony – żartuje David.

– Tak, wszyscy wierzymy, że nasza cecha charakterystyczna wyznaczy kierunek ewolucji całemu gatunkowi.

Kobieta wykonuje ruch głową.

– Proszę tam spojrzeć. Facet od projektu „Klon” ma brata bliźniaka! Facet od projektu „Fontanna młodości” przyjechał tu ze swoim dziadkiem. A ten od projektu „Robot ze świadomością do psychoanalizy” jest w towarzystwie dziwnego dandysa o wyglądzie Zygmunta Freuda. Nie zdziwiłabym się, gdyby to był jego psychiatra.

– A pani wierzy, że ewolucja będzie zmierzać w stronę feminizacji, ponieważ... jest pani kobietą.

David Wells ponownie napełnia jej kieliszek.

– Powinniśmy się nawzajem informować o losach naszych ekspedycji, żeby sprawdzić, czy wygra wyścig w stronę kobiecości, czy też w stronę skurczenia ludzkości.

Kobieta pociąga łyk szampana, po czym dopytuje z ciekawością:

– Czy w Kongu spodziewa się pan odkryć mniejszą i bardziej rozwiniętą ludzkość?

– Mam taką nadzieję.

– A jeśli ją pan znajdzie, co to zmieni?

– Sądzę, że moje przyjrzenie się temu ludowi, do tej pory zdecydowanie niedocenianemu, może przynieść wiele reperkusji. Zmiana sposobu spojrzenia jednego człowieka może zmienić ewolucję całego gatunku. Mój ojciec mawiał: „Kropla oceanu może przeppełnić ocean”.

Aurore odwraca się w stronę zabieganego kelnera, porywa z tacy kanapeczkę i ciągnie z pełnymi ustami:

– Widziałam humorystyczny rysunek przedstawiający dwie ryby. Mniejsza pyta dużej: „Powiedz, mamo, podobno niektóre z nas wyszły z wody, żeby stąpać po stałym lądzie. Kto to był?”.

A matka odpowiada...

– „Niezadowoleni” – przerywa jej David.

– Prawie. Ja znałam wersję z „przerażonymi”.

– W każdym razie osobniki, które miały powód, żeby wyrwać się ze środowiska swoich rodziców, w którym się nie rozwijały, i skierować się w stronę nieznanego i ryzyka.

Dwoje uczonych obserwuje pozostałych współtowarzyszy, którzy dyskutują w dwu- lub trzyosobowych grupach.

– Pewnego dnia jakiś człowiek musiał postanowić, że opuści dżunglę i swoją rodzinę, żeby wyjechać z Afryki – szepcze Aurore.

– Pewnego dnia jakiś człowiek musiał postanowić, że wsiądzie na pokład statku i zasiedli inne kontynenty – dokańcza David.

– Rodziny musiały ich znienawidzić.

– Musieli być traktowani jak zdrajcy, dezercerzy, tchórze.

– Niewdzięcznicy?

– „Uchybiający tradycjom”.

Spoglądają po sobie i dając upust napięciu zgromadzonemu w ciągu całego dnia, wybuchają śmiechem. Milkną i wpatrują się w siebie intensywniej, zaintrygowani sobą nawzajem.

David powoli zbliża się do Aurore.

– Mam wrażenie, że skądś się znamy.

– Klasyczna metoda podrywu – rzuca Aurore z ironicznym uśmiechem.

Mężczyzna podchodzi jeszcze bliżej.

– Czuję, że coś nas łączy.

– Być może dlatego, że oboje jesteśmy „przerażeni, niezadowoleni, ponadto mamy ochotę wyjść z wody i ryzykować”. Nie wiem, co by to mogło być innego.

David obserwuje ją bez mrugnięcia okiem.

Kobieta ma mały spiczasty nosek, jak surykatka, duże jasnobezowe, niemal złote oczy w kształcie migdałów, mięsiste

wargi i zaokrąglony podbródek. Okulary w czarnej oprawie nadają jej poważny wygląd.

Ona również przygląda mu się uważnie i stwierdza, że bez wkładek w butach nie ma on więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, czyli jest dobre pięć centymetrów niższy niż ona. Owalna głowa przypomina nieco głowę dużego niemowlęcia. Jego skóra jest zadziwiająco delikatna i gładka. Nos okrągły, oczy ciemnobrażowe, niemal czarne.

David przysuwa się jeszcze trochę do jej twarzy. Ich wargi dzieli już tylko odległość kilkudziesięciu centymetrów. Mężczyzna dziwi się, że ona się jeszcze nie cofnęła.

Wówczas za jej plecami rozlega się głos.

– Ach, Aurore, tutaj jesteś!

David rozpoznaje profesor Mercier, przewodniczącą jury.

– Pański projekt o Pigmejach jest wspaniały, panie Wells! Szczerze mówiąc, bardzo mi się podobała historia o karaluchach, które kurczą się, żeby dopasować się do średnicy rur w domach. Nigdy bym na to nie wpadła. „Ewolucja przez zmniejszanie”. Prawdę powiedziawszy, moich kolegów mniej porwał pański pomysł, ale ja nalegałam, żeby pana wybrali. Pułkownik Natalia Ovitz, wie pan, ta niska kobieta po mojej lewej, bardzo mnie wsparła, promując ideę „małe jest piękne”. Pozostali woleli narcystyczne roboty. Ciekawe dlaczego?

Christine Mercier uwalnia włosy z koka. Tym prostym gestem gwałtownie się odmładza.

– Pigmeje są lepsi od robotów – przyznaje Aurore sztucznie rozbawionym tonem.

Christine Mercier słucha tylko jednym uchem, pożera bowiem dosłownie młodą kobietę wzrokiem. Bierze wdech, żeby się opanować, po czym zmusza się do uśmiechu. Nagle coś przyciąga jej uwagę i oddala się, żeby dołączyć do trzeciego

finalisty.

– Ach, doktor Saldmain. Brawo. Pański projekt „Fontanna młodości” jest pasjonujący. Wymiana uszkodzonych organów starszych ludzi na nowe i ich ponowne formatowanie to naprawdę niezwykle oryginalny pomysł. Wreszcie mogę wyobrazić sobie świat, w którym wszyscy żyjemy po dwieście lat. Cudownie będzie wypełnić jedno życie dziesięcioma małżeństwami, dwudziestoma różnymi zawodami i trzydziściorgiem dzieci! Wyjedzie pan zatem do Miami, stolicy emerytów i protez, w celu przeanalizowania najnowszych technologii odtwarzania uszkodzonych organów na bazie komórek macierzystych. Cóż to będzie za przygoda!

21.

Gdyby tylko wiedzieli, że to, co nazywają ropą, służy mi za najważniejszy nośnik pamięci.

Moja czarna krew odpowiada ich szarej materii.

Odkąd ludzie ją ze mnie wypompowują, obawiam się amnezji.

Muszę stawić im opór.

Mam zadanie pamięciowe.

Wszystko, co sobie przypomnę, musi być zabezpieczone.

Z początku byłam tylko energią skupioną w nerubiańskim jajku, któremu ludzie nadali nazwę „Big Bang”.

A potem wszystko zapłonęło, eksplodowało i wywołało cudowny wytrysk światła, ciepła, ształu i pyłu w gwiazdną pustkę.

Tak, właśnie w ten sposób wszystko się zaczęło – od małej iskiej w ciemności.

22.

Płomień obejmuje zapalkę, po czym sunie w stronę

końcówki papierosa umieszczonego między wargami Aurore Kammerer.

Dwie twarze pochylone nad przemijającym blaskiem nabrały na moment pomarańczowego odcienia.

Młoda badaczka zaciąga się głęboko, po czym wypuszcza dym ustami. Puszysty szary stożek rozpływa się wśród nocy.

– Wiem, o czym pan myśli – mówi.

Chowa pudełko zapalek do kieszeni.

– niesprawiedliwie jest wygrywać, mając chody...

– Wcale o tym nie pomyślałem – kłamie.

Przyglądają się Christine Mercier, która dyskutuje ze specjalistą od dwustuletniego życia, najwyraźniej zafascynowana tym tematem.

– Mamy zamiar zawrzeć związek partnerski. W przyszłości chcemy mieć dzieci. Musimy tylko poczekać, aż zostanie przegłosowana ustawa o anonimowych dawcach spermy. W krajach skandynawskich prawo to już weszło w życie. Zazwyczaj nowoczesność zaczyna się na północy i schodzi ku południu, prawda?

– Domyślam się, że jeśli nie będziecie miały prawa do skorzystania z anonimowego dawcy spermy, to po zawarciu oficjalnego związku adoptujecie dziewczynki. Być może nawet, dzięki wiedzy na temat *in vitro*, będziecie mogły je sobie „wyprodukować”.

Spoglądają po sobie.

– A pan, panie Wells, jest pan z kimś związany?

– Oczywiście, jak pani.

– Jak ja?

– Mam na myśli: „z kobietą, która mnie kocha”.

Aurore uśmiecha się, odkłada papierosa i dopija szampana.

– Jak nazywa pan swoją szczęśliwą wybraną?

– Mama.

Aurore krztusi się napojem, po czym wybucha śmiechem. Zaczyna się dusić i David musi poklepać ją po plecach. Wreszcie udaje jej się złapać oddech.

– Wciąż mieszka pan z matką? W pana wieku?

– Czekam na księżniczkę z bajki, dlatego większość moich związków się rozpada. Postawiłem poprzeczkę zbyt wysoko, zawsze jestem rozczarowany.

Aurore odstawia kieliszek.

– To prawda. Jak się tak panu dobrze przyjrzeć, wygląda pan na romantyka.

– Przyznaję się do tego. Mój ojciec mawiał: „Każdy błąd, za który bierzemy odpowiedzialność, staje się artystycznym wyborem”.

– Ładne zdanie.

Zasłona dymu papierosowego znikła i do Davida dotarł zapach paczuli, zza niego zaś doleciała woń jej skóry.

Z kolei ona wyczuwa zapach potu z lekką nutą opium, przesyconego męskimi hormonami i wody toaletowej z bergamotką.

David zbliża się do niej.

– Naprawdę mam wrażenie, że znam panią od dawna. Mówię szczerze.

Ona wciąż się nie wycofuje, pozwalając mu przekroczyć granicę przestrzeni osobistej. Tym razem magię chwili niszczy sygnał jego telefonu. Waha się, po czym sięga po aparat i odbiera. W miarę jak przez mały głośniczek dociera do niego strumień wypowiedzanych słów, mężczyzna blednie.

Rozłącza się i mechanicznym gestem chowa smartfona. Jest trupioblady.

– Odnaleziono mojego ojca, martwego. W bryle lodu.

23.

Nie zapomnieć.

Muszę przywołać wspomnienia, zanim zostaną wysane przez pozbawionych wyczucia ludzi.

Pamiętam swoje narodziny.

Nastąpiły cztery miliardy sześćset milionów lat temu.

Pyły scalały się, tworząc skały. Skały się stłoczyły.

„Zjednoczyłam się”.

Im byłam większa, tym więcej pyłów i skał gromadziłam wokół siebie.

Rosnąc, ukształtowałam się w końcu w piękną, ciężką kulę unoszącą się w przestrzeni.

Moje żelazne jądro otaczała pomarańczowa magma.

Byłam jajem.

Moje serce było zwarte, zaczęłam krążyć wokół własnej osi.

Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, kim jestem.

Aż zdarzył się wypadek.

24.

Samochód hamuje gwałtownie, lecz zbyt późno. Wszystko zdaje się toczyć w zwolnionym tempie. Taksówkarz, chcąc uniknąć zderzenia z szarym samochodem, który zajechał mu drogę z lewej strony, nie zważając na czerwone światło, gwałtownie odbija kierownicą. Guma opon traci przyczepność i samochód kontynuuje swoją trajektorię, zahacza o pieszego, rower i psa, ale niesiony siłą rozpędu jedzie zygzakiem, przekracza białą linię i z dużą siłą uderza w nadjeżdżający z naprzeciwka autobus.

David Wells wytrzeszcza oczy.

Blacha na masce taksówki zgnięta się wśród odgłosu

rozrywanego metalu. Szyba rozpryskuje się na tysiąc kawałeczków, a kierowca i pasażer zostają gwałtownie pchnięci naprzód, bez tchu. Uruchamiają się poduszki powietrzne. Twarz Davida uderza o bezpieczną wilgoć worka jak o miękki brzuch.

Tłum, który oddalił się w chwili charakterystycznego miauknięcia opon i metalicznego dźwięku zderzenia, zbliża się teraz ostrożnie, żeby oszacować szkody. Autobus jest nietknięty, za to taksówka jest zupełnie zmiądzona.

David szamocze się i po chwili udaje mu się wydostać z samochodu. Waha się. Widząc, że kierowca utknął między dwiema poduszkami powietrznymi, wyciąga banknot o wartości pięćdziesięciu euro i wsuwa go w dłoń wystającą spomiędzy wypełnionych powietrzem worków. Zaciska palce dłoni kierowcy, a następnie, czując ulgę, że wyszedł cało z wypadku, zaczyna biec. Żałuje, że nakłaniał taksówkarza do szybszej jazdy. Na razie ma inne priorytety.

Pędzi ile sił w płucach, pokonuje wiele ulic i wreszcie dociera do celu. Łapie oddech przed dużym budynkiem, na którym widnieje namalowany napis: KOSTNICA MIEJSKA W PARYŻU.

W staroświeckim wnętrzu unosi się woń saletry. Stróż prosi Davida, żeby przeszedł do poczekalni. Obok niego grupa pielęgniarzy w białych kitlach dyskutuje na temat najbardziej pokiereszowanych klientów. Jeden opowiada o książce na temat Nagrody Darwina, która honoruje ludzi zmarłych w najgłupszy z możliwych sposobów, dowodząc tym samym, że człowiek ewoluuje w stronę nie inteligencji, lecz głupoty.

Do Davida docierają strzępki rozmowy.

– ...i facet otworzył list-pułapkę, który sam nadał i który wrócił do niego, ponieważ nie nakleił na kopertę wystarczającej liczby znaczków!

– A ten Brazylijczyk, który próbował pobić rekord najdłuższego lotu na balonach? Przypięty do tysiąca balonów wypełnionych helem został zniesiony przez wiatr. Jego ciało zostało odnalezione trzy miesiące po starcie.

Towarzystwo wybucha śmiechem.

– A ten gość, który płynął barką po jeziorze i został wessany wraz z wodą przez samolot Canadair, a następnie zrzucony na płonący las?

– A ten, który grał w rosyjską ruletkę... pistoletem automatycznym?

Wreszcie wzywa go dozorca:

– Panie Wells?

Młody człowiek podchodzi bliżej i chcąc wyjaśnić swój podarty strój, zmierzwił włosy i krew na koszuli, wykonuje tylko gest mówiący: „Za dużo by opowiadać”.

– Czekamy na pana w laboratorium, panie Wells. Za głównym dziedzińcem, sala numer sto dwadzieścia siedem bis, w głębi po prawej.

David przemierza biegiem olbrzymią instytucję zajmującą się istotami ludzkimi u kresu podróży. Na dziedzińcu stoją sterty trumien, a na tabliczkach w kształcie strzałek widnieją napisy: „Dom pogrzebowy”, „Krematorium”, „Medycyna sądowa”, „Kostnica”, „Laboratorium analityczne”. Mężczyzna kieruje się w tę właśnie stronę. W poczekalni znajduje się już jego matka.

Mandarine Wells, drobna kobieta odziana w liczne warstwy czarnych ubrań, ma twarz ukrytą w dłoniach. Po wejściu Davida wstaje i wyciąga ku niemu rękę.

Podchodzi do nich mężczyzna w kitlu.

– Rodzina Wells, jak mniemam?

Lekarz sądowy jest brunetem o dużych brązowych oczach i potężnych dłoniach, które zdają się mu przeszkadzać do tego

stopnia, że usiłuje ukryć je za plecami, a następnie w kieszeniach.

– Pani mąż został odnaleziony dziś rano. Był już w tym stanie. Kiedy tylko wojskowi namierzyli go dzięki nadajnikowi GPS wszytemu w skafander, wyczarterowali samolot, który go tu sprowadził. Prawdę mówiąc, znajduje się u nas dopiero od kwadransa.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „w tym stanie”? – mamrocze kobieta w czerni.

Mężczyzna zachowuje się tak, jak gdyby nie usłyszał pytania, kiwa tylko głową na znak współczucia. Na jego piersi widnieje plakietka: „Doktor Michel Vidal, lekarz sądowy”.

– Oczywiście mógłbym zareagować, ale biorąc pod uwagę wyjątkowe okoliczności i stan zwłok, państwa obecność była niezbędna do wszczęcia jakiegokolwiek procedury. Dziękuję, że przybyli państwo tak szybko. Uznałem za bezpieczniejsze nie umieszczać pana Wellsa tutaj, lecz w szafie chłodniczej należącej właściwie do restauracji przy kostnicy. Ale rozumieją państwo, że tak naprawdę nie miałem wyboru.

– Jaki jest jego „stan”? – nalega Mandarine Wells.

Lekarz sądowy nie odpowiada, lecz prowadzi ich w stronę schodów, na których unosi się zapach lawendowo-cytrynowego środka odkażającego.

Robi zmartwioną minę.

– Hm... samolot był wyposażony w ulepszony system konserwacji i kiedy ich odnaleziono, wojskowi uznali, że... To znaczy... Dla mnie to również było ogromne zaskoczenie, po raz pierwszy ciała dotarły do nas w takiej formie, dlatego zadziałalem w trybie awaryjnym. Zresztą sami się państwo przekonają.

Lekarz przekręca klucz w drzwiach i wprowadza ich do

szczelnego pomieszczenia. Przełącznik światła nie działa i mężczyzna kieruje latarkę ratunkową w stronę trzech przeźroczystych dwumetrowych bloków.

David i Mandarine Wells podchodzą bliżej i wtedy uświadamiają sobie, że są to lodowe bloki wykrojone piłą elektryczną.

Wewnątrz pierwszego dostrzegają kobietę w pomarańczowym skafandrze z napisem MROŻONKI GELUX. Wzrok nie może także ominąć sloganu przedsiębiorstwa umieszczonego poniżej: „Najlepsze przechowywane w chłodzie mięsa w najniższych cenach”.

Stopy kobiety uwięzionej w lodzie nie dotykają podłogi, dlatego przypomina ona jedno z tych zdjęć osób uwiecznionych podczas skoku. W jej szeroko otwartych oczach widać zdziwienie. Rude włosy zastygły w nieładzie. Na jej szyi wisi aparat fotograficzny, jak gdyby unoszący się w stanie nieważkości.

W drugim lodowym bloku znajduje się inna kobieta w kasku z napisem „CANAL 13 – program ekstremalnych podróży”. Na jej szyi wisi kamera, a na twarzy maluje się przerażenie. Kobieta osłania rękami twarz, jak gdyby broniła się przed zbliżającym się potworem.

Wreszcie lekarz sądowy oświetla trzeci przeźroczysty blok i Mandarine Wells nie potrafi powstrzymać krzyku. W lodowej bryle, idealnie zachowany, tkwi jej mąż. On także ma na sobie pomarańczowy skafander z napisem MROŻONKI GELUX.

O ile pierwsza kobieta uwięziona w lodzie miała minę zdziwioną, a druga przestraszoną, o tyle na twarzy profesora Wellsa maluje się totalne przerażenie. Stary uczyony również lewituje wśród przeźroczystego lodu. Jego biała broda i brwi wydają się rozwichrzone jak przez burzę. Oczy i usta ma szeroko

otwarte, widać dokładnie język i zęby.

– Charly! Och, kochanie! – jęczy Mandarine Wells, dotykając lodu.

Doktor Vidal gwizdże na palcach i pojawia się dwóch pomocników w szarych kitlach.

– Są państwo pierwszą rodziną, która przychodzi odebrać swoją bry... Swojego bliskiego. Profesor Wells był właściwie... gwiazdą tej dostawy... Chciałem powiedzieć: tej ekspedycji.

Asystenci z trudem podnoszą przezroczysty blok i stawiają go na wózku. Michel Vidal otwiera pochód. Przekraczają próg komory chłodniczej, wracają do laboratorium i ustawiają lodową bryłę na stole do autopsji. Lekarz sądowy daje pomocnikom znak, żeby się wycofali, po czym zwraca się do Davida i Mandarine Wells.

– Jeżeli państwo pozwolą, sugeruję go rozmrozić... To znaczy uwolnić. Ale mogą państwo dokonać identyfikacji i odejść, jeśli nie życzą sobie państwo uczestniczyć przy tej operacji.

– Słyszałem, że ciało zachowane w chłodzie może być „żywe” – odzywa się David. – O ile dobrze pamiętam, Walt Disney zastosował na sobie kriogenikę w nadziei na odrodzenie się w przyszłości.

– Istotnie.

– Czy istnieje szansa, choćby najmniejsza, że mój ojciec mógłby zostać reanimowany?

Lekarz sądowy zdejmując powoli okulary i czuje się w obowiązku przetrzeć szkła skrawkiem chustki.

– Przykro mi, panie Wells, kriogenika to science fiction. W rzeczywistości prawa fizyki są nie do obalenia. Przy temperaturze zera stopni woda zamarza, a jądro komórki eksploduje. Nie można się odrodzić po dłuższym niż

kilkuminutowy pobycie w zamrażalniku. Pański ojciec przebywa w lodzie od co najmniej dwunastu godzin.

David przygląda się ojcu, który pod każdym względem wydaje się żywy. Jego skóra jest nienaruszona, rozchylone usta otaczają idealnie czerwone wargi, oczy są szeroko otwarte, ręce wyciągnięte naprzód, jak gdyby chciały odepchnąć nacierające na niego straszne zagrożenie.

– To, co państwo widzą – ciągnie lekarz – przypomina żywą istotę, ale jest tylko przedmiotem. Swego rodzaju rzeźbą. Jeśli posiadają państwo odpowiedni system chłodzący, mogą go sobie nawet ustawić w salonie w charakterze ozdoby.

Przerywa, zakłopotany niestosownością swojego pomysłu, po czym odkasłuje i się opanowuje:

– Jeśli oczywiście jest to dozwolone. Mam go więc rozmrozić?

Biorąc brak odpowiedzi za zgodę, doktor Vidal daje znak asystentom, którzy podchodzą do lodowej bryły z palnikami. W blasku płomieni blok zaczyna topnieć. Woda spływa, tworząc na podłodze kałuże, a niebieskawa para wypełnia pomieszczenie. Kiedy pomocnicy zbliżają się do samego ciała, zamieniają palniki na suszarki do włosów, w których temperatura nawiewu jest łatwiejsza do regulowania.

Wkrótce różowa, niemal porcelanowa dłoń wyłania się z lodowego kokonu.

Później ręka.

Później ramię.

Szyja i twarz.

– Charly! – łka Mandarine. – Och, mój Charly!

Kiedy uwolniony zostaje tors, ciało opada naprzód.

Mandarine chce je podtrzymać, ale lekarz sądowy powstrzymuje ją, tymczasem asystenci zabierają się do

ekstrakcji. Na dany sygnał układają profesora Wellsa w pozycji horyzontalnej, która bardziej przystoi zmarłym. Następnie delikatnie rozbierają słynnego badacza i składają jego ubrania w metalowym pojemniku. Naga klatka piersiowa jest pokryta mlecznobiałą skórą usianą plamami starczymi i srebrzystymi włoskami.

– Czy rozpoznaje pani ciało? – doktor Vidal kieruje pytanie do wdowy.

Ta znów mamrocze: „Mój Charly!”, co lekarz sądowy uznaje za potwierdzenie.

– Proszę tu podpisać.

Jeden z asystentów przekłada zawartość metalowego pojemnika do dużej torby i wręcza ją Davidowi, mówiąc:

– Młody człowieku, to chyba jest pański spadek.

David nie odpowiada. Przygląda się tylko nagiemu ciału ojca, uświadamiając sobie, że nigdy więcej nie zobaczy go poruszającego się czy mówiącego. Odruchowo sięga po plastikową torbę. Matka płacze cicho, a na twarzy lekarza maluje się sztuczny wyraz współczucia, opracowany zapewne na potrzeby wszystkich jego „klientów”.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia, proszę pani. Moje kondolencje, proszę pana.

Czuje się w obowiązku dodać:

– Przykro mi, czasami zdarzają się takie wypadki. To się może przytrafić każdemu, gdziekolwiek, w jakikolwiek sposób. Nic na to nie poradzimy. To nie jest niczyja wina. Po prostu pech.

Zadowolony ze swojej wypowiedzi, ponownie przyjmuje nienaturalną pozę i mówi:

– Jestem pewien, że nie cierpiał.

*To mnie zabolalo. Bardzo.
Zdarzylo sie to cztery miliardy czterysta milionow lat temu.
Po dwustu milionach spokoju problem wylonil sie z
najdalszego zakatka wszechswiata.*

*Olbrzymia asteroida, znacznie wieksza niz wszystkie, ktore
do tej pory zderzyly sie z moja powierzchnia.*

*Znacznie pozniej, kiedy ludzcy astronomowie odkryli jej
istnienie, nazwano ja Teja.*

*Teja byla wlasciwie wielkosc Marsa, czyli o polowe
mniejsza ode mnie, miala srednice szesciu tysiecy kilometrow.*

*Teja pedzila na mnie z predkoscia czterdziestu tysiecy
kilometrow na godzinę.*

Zderzenie bylo nie do unikniecia.

*Teja zadrapala moja skore pod katem, zerwala mlode
powierzchniowe warstwy ochronne, drzyla w glab, az wreszcie
zatopila sie glęboko, uwalniajac moja pomarańczową magmę w
gwiezdna przestrzeń.*

*Poczulam sie tak, jak gdyby obdarto mnie zywcem ze skory
na polowie powierzchni.*

Jak wtedy, kiedy ludzie obieraja jablko.

Gdybym miala usta, na pewno bym wrzeszczala.

*Ale nie mialam nic, aby wyrazic ten bol, zreszta nikt by
mnie nie uslyszal.*

*To traumatyczne zdarzenie rozbudziło jednak moja
swiadomosc.*

*Teja nie tylko mnie podrapala, otworzyla rowniez moj
umysl.*

*W chwili gdy bylam przekonana, ze umieram, zrozumialam,
ze... zyje.*

Rozlega się przenikliwy dźwięk dzwonka.

Zmęczona dłoń wytrącona z błęgiego letargu snu podnosi słuchawkę i zbliża ją do ucha.

– Halo?

– Pan Pellegrin? Thomas Pellegrin?

– We własnej osobie. Co pani przyszło do głowy, żeby mi przeszkadzać o tej porze?

– Mam dla pana dobrą i złą nowinę, panie Pellegrin.

– Kim pani jest?

– Zacznijmy od dobrej. Został pan ojcem.

Oddech słuchającego mężczyzny przyspiesza.

– Proszę się nie niepokoić, panie Pellegrin, dziecko ma się dobrze, jest nawet w doskonałej formie.

– A zła nowina?

– Dziecko waży pięćdziesiąt osiem kilo.

– Co?

– To dziewczynka. Przykro mi.

Teraz mężczyzna się podnosi.

– Ale kim pani jest?

– Ja jestem tym dzieckiem.

Następuje długa cisza.

– Rozumiem pańskie zaskoczenie. Jeśli pan chce, jestem w pobliżu, mogę pana odwiedzić.

27.

David Wells wie, że jego matka szybko nie wróci. Zostanie w kostnicy przy zwłokach, żeby płakać i się modlić.

Wspina się po schodach i wchodzi do swojego pokoju.

Kładzie torbę na łóżku, siada i rozgląda się po pomieszczeniu.

Naprzeciw niego, nad biurkiem, króluje olbrzymia

reprodukcja obrazu przedstawiającego Napoleona przekraczającego Alpy, autorstwa malarza Jacques'a-Louisa Davida. Zamiłowanie Davida Wellsa do Napoleona trwa już od bardzo dawna. Gdy tylko zobaczył go w podręczniku do historii, stwierdził: „Ten człowiek wskaże mi drogę”. Nie wiedział jeszcze wówczas, że sam będzie niskiego wzrostu.

Dopiero kiedy problem okazał się uciążliwy, David pomyślał, że Napoleon reprezentuje zemstę niskich na wysokich. Nastolatek przeczytał wiele dzieł na temat cesarza. Zbierał ryciny, odgrywał za pomocą ołowianych żołnierzyków bitwę pod Austerlitz. Makieta przedstawiająca decydujący moment bitwy wciąż jeszcze zajmuje poczesne miejsce na jego komodzie. Drzewka bonsai ponazywał na cześć oficerów armii napoleońskiej: Berthier, Murat, Davout, Ney, Masséna. Czarnej karłowatej królicy nadał zaś imię Joséphine.

Jego spojrzenie znów zatrzymuje się na plastikowej torbie z rzeczami ojca. Przypomniały mu się jego słowa: „Dzisiejsze marzenia stworzą ludzkość jutra. Wszystko, co nam się przytrafiło, musiało przyśnić się kiedyś któremuś z naszych przodków. A to, co dobrego spotka naszych potomków, na pewno jest owocem wyobraźni kogoś żyjącego obecnie. Może ciebie”.

David przywołuje z pamięci jeszcze inne zdanie ojca, które głęboko go naznaczyło: „Historia przyspiesza tak bardzo, że w ciągu jednego życia zobaczymy być może tyle zmian, ile wszyscy nasi przodkowie razem”.

Wreszcie zbiera się na odwagę, wyjmuje rzeczy ojca i rozkłada je na podłodze. Po prawej pomarańczowy skafander, czapkę, plecak, rękawiczki. Następnie metodycznie przeszukuje każdą kieszeń i trafia na opasłą plastikową saszetkę zawierającą notes i długopis, a także kartę pamięci aparatu fotograficznego.

Umieszcza ją w komputerze, usiłuje otworzyć, lecz pojawia się informacja: „Błąd pliku: odczyt niemożliwy”. Chłód musiał uszkodzić obwody. Za pomocą różnych programów naprawczych próbuje odzyskać zdjęcia, lecz na próżno.

Królica Joséphine podchodzi i obwąchuje po kolei przedmioty leżące na podłodze, poruszając cały czas kikutem ogonka. Na szczęście saszetka okazała się idealnie szczelna i notes zachował się w nienaruszonym stanie.

Otwiera go i czyta pierwszą stronę:

Antarktyka

Współrzędne: 77° 0' szerokości geograficznej, 105° 0' długości geograficznej

Czwartek, 11 marca, 12h 42

Wreszcie dotarliśmy do kieszeni powietrznej.

Dzięki temu zdołaliśmy zejść aż do jeziora Wostok. Jest dokładnie takie, jak sądziłem, na przewidzianej głębokości i o oszacowanych przeze mnie rozmiarach.

Pokonawszy kilka kilometrów południowym brzegiem jeziora, odkryliśmy tunel prowadzący do drugiej komory położonej pod pierwszą. Tam znaleźliśmy nie tylko skamieniałe ślady życia w formie paproci, amonitów i insektów... ale także szkielety olbrzymich istot ludzkich.

To niesamowite odkrycie wkrótce zmieni naszą wizję historii. Zgodnie z moimi pierwszymi oszacowaniami oraz pomiarami laserem i węglem ¹⁴C, wykonanymi przez moją asystentkę Mélanie, olbrzymy te nie żyją od ośmiu tysięcy lat.

Mierzyły siedemnaście metrów wysokości, a ich waga dochodziła do wielu setek kilogramów.

Prawdopodobna długość życia to tysiąc lat.

Skala „dziesięciokrotna” zdaje się idealnie ich definiować.

Zatem tuż przed: „*Homo sapiens*, 1,70 m. Długość życia

100 lat”, należy dodać w podręcznikach do historii: „*Homo gigantis*, 17 metrów. Długość życia: 1000 lat”.

Na szczęście znalezienie szkieletów (a nawet jednego nienaruszonego ciała zachowanego w bryle lodu) przyszło w parze z odkryciem fresku wyrytego w skale, na którym olbrzymy, natchnięte dobrym pomysłem, opowiedziały swoją historię.

Dzięki temu znajdujemy się w posiadaniu nie tylko dowodu na ich istnienie, ale także precyzyjnego opisu ich narodzin, szczytu rozwoju i agonii ich cywilizacji.

Freski te, pokrywające setki metrów kamiennej ściany, pozwalają nam na odtworzenie chronologii wydarzeń. Oto, jak ją ją rozumiem.

Przede wszystkim liczebność *Homo gigantis* była wówczas tysiąc razy mniejsza niż *Homo sapiens* dziś. Moim zdaniem musiało ich istnieć na całej Ziemi około ośmiu milionów. Przeważali mężczyźni.

Zamieszkiwali Ziemię przez wiele tysięcy lat i zdążyli stworzyć wysoko usystematyzowaną strukturę. Mimo to ich cywilizacja upadła w wyniku czterech niebywałych katastrof, które nastąpiły po sobie i których skutki się zsumowały.

Jeśli wierzyć ściennemu freskowi, pierwszą plagą byłby potop, który zatopił ich kontynent (położony między kontynentami europejskim i amerykańskim – stąd być może wziął się mit Atlantydy w tekstach Platona i potop z Noem w Biblii).

Drugą plagą miałyby być zlodowacenie, które ochłodziło atmosferę (eksponowana powierzchnia ich skóry była znacznie większa od naszej, byli więc bardziej wrażliwi).

Trzecią plagą była podobno wojna z ludźmi znacznie od nich mniejszymi (zapewne przodkami *Homo sapiens*). Ci ostatni

mieliby ich z początku czcić, po czym wyzwolić się i ostatecznie eksterminować *Homo gigantis*.

Wreszcie czwartą plagą byłaby asteroida, która miała zaburzyć ziemską grawitację na korzyść istot o niewielkim wzroście, a utrudnić życie dużym.

Z detali fresku (patrz załączone zdjęcia: img_116 do img_354) można wywnioskować, że osobnicy ci znali się nie tylko na rolnictwie, hodowli, medycynie, metalurgii (gdy tymczasem osiem tysięcy lat temu większość naszych przodków zajmowała się polowaniem i zbieractwem), ale dysponowali również wiedzą z dziedziny komunikacji czy radiologii.

Dzięki wzrostowi *Homo gigantis* ich możliwości fizyczne były wielokrotnie większe od naszych.

Ich dziesięciokrotnie bardziej pojemne płuca pozwalały im na pływanie na bezdechu dziesięć razy dłużej, niż potrafimy to robić my. Niektóre płaskorzeźby przedstawiają ich ujeżdżających wieloryby, które zanurzają się w otchłani (img_491 do img_495).

Ich serca, mięśnie i postura zapewniały im większą siłę, ta z kolei pozwalała na szybsze wznoszenie konstrukcji, które z naszego punktu widzenia wydają się monumentami. Ich mózgi również musiały być bardziej wydajne niż nasze.

Patrząc wstecz, wszystkie starożytne mitologie odnoszą się do ich istnienia. Wiele z nich wspomina o ostatecznej klęsce *Homo gigantis* w starciu z małymi przeciwnikami, czyli w rzeczywistości z przodkami *Homo sapiens*.

Mimo to w obliczu tego odkrycia trzeba przyznać, że mitologiczne zwycięstwo antycznych herosów nad olbrzymami oznacza w istocie zwycięstwo małych niewdzięcznych dzikusów nad „cywilizowanymi” olbrzymami. Zapewne skazując ich na śmierć, straciliśmy coś cennego.

W zadziwiający sposób mój dziadek, Edmund Wells, wspomniał już w swojej *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* (rozdział *Cywilizacja olbrzymów*) o istnieniu przerośniętego gatunku ludzkiego, który miałby poprzedzać nasz gatunek.

Uważał on również, że katastrofy naturalne były najlepszymi akceleratorami mutacji danego gatunku (rozdział *Czterech jeźdźców Apokalipsy*, którzy stanowili jego zdaniem nie tyle proroctwo, ile świadectwo przeszłości). Jakim sposobem miał on tę intuicję, którą ja dziś potwierdzam? Nie potrafię tego wyjaśnić, ale muszę przyznać, że wszystko to zapisał, a ja to przeczytałem przed przybyciem tutaj. Mimo to nie podzielałam wszystkich jego domysłów. Sądził on na przykład, że ludzkość zmierza do zmniejszenia rozmiarów, tymczasem jestem przekonany, że podążamy w stronę wzrostu gatunku ludzkiego. A to z przyczyn, które dobrze znamy: dzieci są lepiej odżywiane, jedzenie bogatsze, medycyna skuteczniejsza.

Mój dziadek pasjonował się obserwacją i poznawaniem mrówek. Uważam, że ta umiejętność na pewien czas go oświeciła, a następnie zaślepiła. Wierzył on, że człowiek zmniejszy się i upodobni do... jego ukochanych mrówek.

Obecnie wszystko każe nam sądzić, że przynajmniej w tej kwestii mój dziadek się mylił. Jego teorie nie sprawdzają się w zetknięciu z rzeczywistością. Niezależnie od jego poglądów przykładem do naśladowania nie jest mrówka, lecz dinozaur.

Byliśmy olbrzymami, olbrzymami znów się staniemy. Pętla się zamyka.

Ja z kolei jestem przekonany, że pewnego dnia będziemy przypominać tych kolosów, których szczątki odkryłem pod jeziorem Wostok. Będziemy mierzyć siedemnaście metrów, ważyć siedemset kilogramów i żyć po tysiąc lat, komunikując

się falami mózgowymi, jak najwyraźniej czynili to *Homo gigantis*.

Taka intuicja. Moja.

W każdym razie jedno jest pewne, *Homo sapiens* stanowi gatunek pośredni między dwoma gatunkami ludzkimi: człowiekiem przeszłości i człowiekiem przyszłości. Ten ostatni jeszcze się nie pojawił. Trzeba go wynaleźć.

28.

Cały aż podskakuje.

Dzwonek do drzwi jest bardzo głośny.

Thomas Pellegrin schodzi i otwiera drzwi. Stoi w nich młoda kobieta o kasztanowych krótko ściętych włosach, ubrana na żółto i czarno, trzymając w ręce skórzaną walizeczkę.

– Niespodzianka! – woła.

Mężczyzna reaguje dopiero po chwili.

– To ja, pańska córka. Wkrótce wyjadę zbierać materiał do reportażu. Może się to okazać niebezpieczne, naszła mnie więc ochota, żeby do pana zadzwonić. Od dawna chciałam z panem porozmawiać...

Nagle niebo przecina błyskawica. Zaczyna kropić.

Kobieta wchodzi, tymczasem na zewnątrz spadają już wielkie krople deszczu. Gość zajmuje największy fotel.

– Przypomina pan sobie Wigilię sprzed dwudziestu siedmiu lat? Podobno sporo pan wypił i twierdził, że nie osiągnie nic dobrego. No więc wspomniane „nic dobrego” to... ja.

Thomas Pellegrin ma szerokie czoło, siwiejące skronie, prosty nos, wąskie wargi. Ma na sobie sportowy szlafrok. Wzdycha głęboko.

– Myślałam, że fakt mojego istnienia sprawi panu przyjemność. Odzyskując mnie w wieku dwudziestu siedmiu lat,

korzyścią dla pana jest posiadanie dziecka, przy jednoczesnym uniknięciu kłopotliwego okresu bezsennych nocy, śmierdzących pieluch, karmienia o trzeciej nad ranem i kryzysów związanych z ząbkowaniem.

Kobieta przygląda mu się.

– Nie jest pan zbyt rozmowny, co? Postawię się na pana miejscu. Pewien epizod z przeszłości, o którym wolałoby się zapomnieć, powraca nagle pod postacią osoby z krwi i kości, to rzeczywiście niezbyt... „wygodne”.

Mężczyzna pozostaje niewzruszony.

– Chciałam się z panem zobaczyć przed wyjazdem. Obawiam się, że przyjdzie mi tam zginąć, i nie mogłam zniknąć bez przywitania się choćby raz z... własnym ojcem. Nie zajmę panu dużo czasu. Odchodzę i więcej pan o mnie nie usłyszy.

Kobieta wstaje. On jej nie powstrzymuje. Ona staje nieruchomo przy drzwiach, jakby na coś czekając.

– Czy nie przypomina pan sobie zupełnie mojej matki, Françoise Kammerer?

Mężczyzna sprawia wrażenie, jak gdyby przeszukiwał pamięć.

– Nie, przykro mi... Jak mnie pani odnalazła?

– Matka mówiła, że był pan „draniem, który dręczył zwierzęta, żeby podobno posunąć naprzód rozwój nauki”. Wydedukowałam z tego, że jest pan biologiem. Mówiła o panu, że „trzymał się pan ze wszystkimi zarozumiałymi dupkami z uniwersytetu Descartes’a”, że nosił pan to samo imię, co święty Tomasz, i że podobnie jak on wierzył pan tylko w to, co zobaczył na własne oczy. To znacznie zawężyło pole poszukiwań, czyż nie? Od dawna interesuję się panem, chociaż się nie odzywałam. Wiele wiem o pana życiu, o pańskich badaniach i podziwiam pana. W dużej mierze dzięki temu sama

zostałam biologiem, specjalizuję się w hormonach. Przeczytałam w całości pańską pracę *Wpływ hormonów w społecznościach pszczelich*.

Mężczyzna marszczy brwi.

– A pani matka, Françoise Kammerer, tak? Gdzie ona teraz jest?

– Nie żyje. Rak płuc. Była bardzo nerwowa. Prawdę mówiąc, cierpiała na stany lękowe. Dwie paczki papierosów dziennie, nie ma przebaczyć. Na dodatek cierpiała na depresję. Między nami mówiąc, rozumiem, że nie miał pan ochoty z nią zostać, nawet dla mnie było to chwilami uciążliwe... Ponieważ byłam jej jedyną bliską rodziną, biorąc również po uwagę, że mama umarła przez papierosy, postanowiłam, w celu zachowania ciągłości, ją... skremować. Z popiołu powstałeś, w popiół się obrócisz.

Wypowiadając te słowa, Aurore Kammerer wyciąga paczkę papierosów i zanim gospodarz ma czas zareagować, zapala jednego i wydmuchuje dym.

Thomas Pellegrin unosi brew, zaskoczony, nie śmie jednak jej przeszkodzić.

– Żartuję, tak naprawdę nie miałam środków, żeby zafundować jej marmurową płytę nagrobną i całą tę pompę, to bardzo droga impreza. Mała urna jest praktyczniejsza i tańsza. Zresztą, oto ona!

Kobieta otwiera skórzaną walizeczkę i wyciąga z niej metalową skrzynkę. Thomas Pellegrin przejmuje ją od niej ostrożnie, jak gdyby chodziło o świętą relikwię. Na boku widnieje napis: „Trufle nadziewane czekoladą, gwarantowana zawartość kakao 75%”.

– Żartowałam – mówi Aurore i odbiera pudełko czekoladek z rąk ojca, podnosi wieczko i wyciąga jedną trufkę, którą

następnie mu proponuje.

– Ma pan ochotę? Są przepyszne.

– Nie, nie, dziękuję. Proszę mi jeszcze opowiedzieć o pani matce. A zatem skremowała ją pani. A potem?

– Sama wygłosiłam mowę pogrzebową przed nielicznymi członkami rodziny. Wie pan, jaki tekst zacytowałam?

– Być może słowa któregoś z apostołów?

– Odczytałam horoskop z dnia jej śmierci. Wszystkie trzy rubryki. Zdrowie. Miłość. Praca. Kolejny zbieg okoliczności: była Rakiem w zwrotniku Raka. Horoskop zapowiadał, że będzie to dla niej wyjątkowo szczęśliwy dzień.

Młoda kobieta pochłania trufkę.

– Ma pani jakieś zdjęcia matki?

Aurore grzebie w walizeczce i wyciąga niewielki album ze zdjęciami. Thomas Pellegrin przygląda się poszczególnym fotografiom.

– Dół twarzy mam po niej, spiczasty podbródek i spiczasty nos, a górę po panu. Proszę spojrzeć na złote oczy i szerokie czoło. Wysokie i proste.

Mężczyzna przygląda jej się zakłopotany.

– Podejrzewam, że będzie pan chciał dla pewności wykonać test DNA, prawda?

– Wspominała pani, że miała dalszą rodzinę.

– Sądząc po sposobie, w jaki na mnie patrzyli, zrozumiałam, że oni także traktują mnie jak „godny pożalowania incydent”. Ostatnim razem, kiedy o mnie mówili, użyli określenia „błąd młodości”. Czy wyglądam jak „błąd młodości”?

Thomas Pellegrin nie może pohamować nerwowego chichotu.

– No i proszę, udało mi się: trochę się pan rozluźnia!

Zachęcona, ciągnie dalej:

– Zapomniał mi pan zadać pewnego pytania, panie Pellegrin.

– Tak? Jakiego?

– „Jak się pani nazywa?”

Mężczyzna już chce powtórzyć pytanie, ale dziewczyna jest szybsza.

– Aurore. Jutro wyjeżdżam do Turcji w poszukiwaniu kobiet Amazonek, które każą się również nazywać „kobietami-pszczołami”. Rozbawi to pana, ale przysłałam po rozmowie z kolegą z uczelni, który odnalazł swojego ojca, nie uwierzy pan, zamrożonego w całości w bryle lodu. Uznałam, że ja również powinnam odnaleźć swojego, zanim i on całkiem nie wystygnie.

– Aurore...

Kobieta spogląda na zegarek.

– No dobrze, to jeszcze nie wszystko, ale muszę zdążyć na samolot.

29.

Teja.

Zderzenie było tak potężne, że zmieniło nachylenie mojej osi z 0° do 15°. Ta drobna zmiana dała początek porom roku.

Odtąd posiadałam cztery oblicza.

W wyniku przyciągania mojej masy szczątki Teji połączone z odpryskami mojej powierzchni utworzyły pas asteroid, mnóstwo kamieni unoszących się wokół mojego równika.

Przez kilka milionów lat, które nastąpiły po tym straszliwym incydencie, naprawdę wyglądałam inaczej. Można było mnie pomylić z Saturnem, gdyż teraz ja także byłam opasana zmrożonymi odłamkami skał tworzącymi szeroką kryzę. Pory roku następowały po sobie, tymczasem utrzymujące się w

przestrzeni kamienie zbiły się w kulistą masę, która nadal krążyła wokół mnie. Później ludzie nazwali ten zbitek śmieci na orbicie „Księżycem”.

Cóż za żalosne ciało niebieskie.

Nagromadzenie szczątków wystarczająco mocno ubite, żeby uformować kulę, ale nie dość masywne, by oderwać się od mojego pola grawitacji i chociaż kręcić się wokół własnej osi.

Pomyśleć, że dla większości ludzi stanowi on obiekt inspiracji poetyckiej. To tak, jak gdyby czcili stos trupów i blizn.

Księżyc. Nawet sam nie świeci, odbija tylko w przytłumiony sposób blask Słońca.

Księżyc. Zakrzepłe wspomnienie mojego najdotkliwszego bólu, ale także i rozbudzenia świadomości.

Nie jestem asteroidą, nie jestem stertą kamieni, nie jestem zwykłą bierną nieorganiczną kulą.

Moja masa, mój rozmiar, moja orbita, moje ciepłe serce i moje żelazne jądro czynią ze mnie wyjątkową istotę.

30.

– Czy pan wie, kim ja jestem? Jestem prezydentem Republiki Francuskiej, proszę pana! To ja sprawiam, że słońce wstaje i zachodzi nad tym krajem! Zapewniam, że pańskie gierki na mnie nie działają. Jest pan żalosny. Do widzenia.

Prezydent Stanislas Drouin odkłada słuchawkę zniecierpliwionym gestem. Po chwili znów ją podnosi:

– Bénédicte? Proszę mnie z nikim nie łączyć, mam dość tych nieudaczników, potrzebuję chwili spokoju.

Rozdrażnionym ruchem otwiera szufladę i wyciąga swoje przybory. Krysztalki kokainy w szkatułce z masy perłowej i srebrną lufkę. Formuje trzy równoległe kreski. Wciągając zrąca

substancję, stwierdza, że wszyscy jego poprzednicy działali na podobnych jak on zasadach: kokaina, żeby poczuć się silnym, i kochanki dla odprężenia. A kiedy sytuacja zaczynała się komplikować, wszyscy sięgali po trzeci rodzaj wsparcia: astrologa lub czarownika ukrywającego się gdzieś za kulisami, który podejmował za nich decyzje.

Stanislas Drouin odchyła się i stwierdza, że jego poprzednicy z lewicy i prawicy zostali wybrani dzięki takim samym programom: „mniej przywilejów, więcej równości, mniej bezrobocia, więcej bezpieczeństwa”, i – podobnie jak on – uprawiali politykę, która doprowadziła do „większego bezrobocia, mniejszego bezpieczeństwa, mniejszej równości i większej liczby przywilejów”.

Stwierdza także, że popularność kilku francuskich prezydentów, którzy usiłowali przeprowadzić reformy, szybko runęła w dół, ci zaś, którzy tylko rozkoszowali się władzą, tworząc jedynie pomniki ku własnej chwale, cieszyli się coraz większym poparciem.

Przypomniawszy sobie słowa generała de Gaulle’a: „Francuzi to cielęta”, tymczasem wszystkie sondaże wskazują, że jest on przez Francuzów uważany za najlepszego prezydenta.

Wciąga kolejną kreskę białego proszku i zastanawia się, czy de Gaulle również brał kokainę. W każdym razie – z tego, co mu było wiadomo – był on jedynym prezydentem, który nie uczestniczył w orgietkach.

Naprzeciw wiszą portrety jego poprzedników o zadowolonych obliczach, z ręką na sercu, na konstytucji albo na mapie Francji.

Jego wzrok zatrzymuje się na dłużej przy Mitterrandzie, „Siła spokoju”. Przypomina sobie to, co na jego temat powiedział premier, który dobrze znał byłego prezydenta.

„Mitterrand dopracował system: »Niech wygra lepszy«. W młodości działał w ruchu skrajnej prawicy, następnie, podczas drugiej wojny światowej, zastosował tę właśnie strategię. Miał przyjaciół opozycjonistów *oraz* przyjaciół kolaborantów”.

„Niech wygra lepszy”.

Członkowie ruchu oporu zwyciężyli i Mitterrandowi przypadły medale i zaszczyty.

„Oto właściwa metoda sprawowania rządów – myśli prezydent Stanislas Drouin. – Grać jednocześnie w dwóch obozach i patrzeć, który zyska przewagę”.

Zdaniem premiera, który został wybrany na prezydenta Republiki Francuskiej, Mitterrand zapewnił bezwarunkowe wsparcie związkom zawodowym *oraz* związkom pracodawców.

Każda strona sądziła, że prezydent prowadzi sekretne działania na jej korzyść.

Tymczasem on oczekiwał odpowiedni okres i sprawdzał, czyja pozycja jest silniejsza. Tym sposobem wprowadził Francję ponownie do NATO, deklarując się uprzywilejowanym sprzymierzeńcem Stanów Zjednoczonych, *oraz* powołał komunistycznych ministrów, naturalnie sprzymierzonych z komunistyczną Rosją. Wspierał nawet jednocześnie energetykę jądrową *oraz* ekologów.

„Istny geniusz polityczny! Czyli żeby być naprawdę kochanym przez lud, trzeba nabrać do niego dystansu”.

Prezydent Drouin przypomina sobie podły dowcip, który opowiedział mu premier: kiedy dowiedziano się, że Mitterrand ma raka prostaty *oraz* raka tarczycy, jeden z jego ministrów przytoczył słynną formułę: „Niech wygra lepszy”.

Stanislas Drouin kontempluje znamienite portrety. Sam został wybrany dzięki programowi lewicy, którego na szczęście nigdy nie wdrożył z prostego powodu – był on niewykonalny.

Wszyscy i tak zapomnieli o jego obietnicach.

„Co dowodzi, że w chwili oddawania głosu wyborcy podświadomie wiedzą, że obietnice, które sprawiły, że wybierają danego kandydata, nigdy nie zostaną wprowadzone w życie”.

Prezydent przegląda na smartfonie zdjęcia swojej kolekcji kochanek. To jego konik: dysponować jak najliczniejszym harem. W tym zakresie również byłoby mu trudno pokonać swoich poprzedników. Zdaniem woźnych Pałacu Elizejskiego François Mitterrand kazał sobie importować sekretarki z krajów skandynawskich, które wybierał z albumu. Giscard podobno szczególnie cenił sobie autostopowiczki. Chirac usiłował uwieść wszystkie kobiety, które znalazły się w jego zasięgu. W każdym razie tak mówiono i nie wydawało się to przesadą. Największym talentem w tej dziedzinie wykazał się mimo wszystko Kennedy, który – podobno – organizował orgietki z najpiękniejszymi dziewczynami w każdym z amerykańskich miast, w których prowadził kampanię wyborczą.

„Amerykanie zawsze mają nad nami przewagę. A ten biedny Clinton dał się przyłapać na zwykłych pieszczotach ze stażystką”.

Prezydent rozmyśla o swoich najszacowniejszych poprzednikach.

„Jeśli wierzyć lekarzowi sądowemu, który wykonał sekcję zwłok cesarza, członek Napoleona był wielkości przyrodzenia dwunastoletniego dziecka. Nie przeszkodziło mu to jednak w rozlicznych miłosnych podbojach.

Ludwik XIV wybudował zamek w Wersalu i urządził tam liczny dwór, żeby mieć do swojej dyspozycji jeszcze więcej kobiet.

Henryk IV, jak twierdzą źródła z epoki, nie odpuszczał żadnej kobiecie – czy to służącej, arystokratce, czy żonie

ministra”.

Stanislas Drouin uśmiecha się.

„Właściwe zadośćuczynienie za wysiłek konieczny do wspięcia się na szczyt władzy. Nawet u małą i szczurów dominujący samiec wykorzystuje młode, płodne samice”.

Prezydent zerka na ekran po prawej stronie, na którym wyświetlają się krzywe wymagające kontroli. Jako kapitan statku „rząd” wie, że należy mieć oko na te cyferblaty, jeśli nie chce się wypaść za burtę.

Konsumpcja wśród gospodarstw domowych wzrasta.

Indeks CAC 40 wzrasta.

Liczba mieszkańców wzrasta.

Produkcja samochodów wzrasta.

Budowa mieszkań wzrasta.

„Wszystkie kontrolki świecą na zielono. Chwilowo. Trzeba trzymać kurs”.

Rozlega się brzęczyk interfonu.

– Co znowu, Bénédicte? Prosiłem o chwilę spokoju.

– To pułkownik Ovitz.

Prezydent zerka na zegarek, chowa smartfona, po czym rozsiada się w fotelu.

– Prosić.

Naprędce układa kilka poduszek na fotelu stojącym naprzeciw niego.

Do prezydenckiego biura wchodzi zdecydowanym krokiem bardzo niska kobieta.

Ma na sobie ten sam strój co na posiedzeniu sądu konkursowego na Sorbonie. Niesie teczkę, która sprawia wrażenie dość ciężkiej.

– Natalio. Zawsze miło panią widzieć.

– Dzień dobry, panie prezydencie.

Kobieta sadowi się na stosie poduszek.

– Czemu zawdzięczam pani wizytę?

Natalia poprawia się na siedzisku.

– Ewolucja. Proponuję, żeby przestał pan zadowalać się byciem prezydentem zarządzającym krótkoterminowymi, bieżącymi sprawami i stał się prezydentem z dalekosiężną wizją. Krótko mówiąc, prezydentem, który być może zapisze się na kartach historii dla przyszłych pokoleń – ciągnie.

Stanislas Drouin przygląda się karlicy. Trafiła w samo sedno. Jego ambicją od zawsze było nie pójść w zapomnienie, nie być jednym z długiej listy następujących po sobie prezydentów.

– W okresie moich pięcioletnich rządów interesuje mnie wyłącznie ewolucja ekonomiczna. Potem niech się dzieje, co chce.

– Kto tu mówi o pięcioleciu? Ja wprowadzę pana w następne tysiąclecie. Proszę także, żeby nagrał pan teraz wszystko, co powiem. Gdybym przypadkiem została zamordowana, będzie miał pan możliwość odsłuchania i rozważenia moich słów.

Prezydent Drouin nienawidzi otrzymywania rozkazów, szczególnie gdy padają one z ust karlic. Coś jednak w postawie jego osobliwej rozmówczyni zmusza go do uszanowania jej woli. Nachyla się w stronę interfonu.

– Bénédicte? Niech przez kwadrans nikt mi nie przeszkadza.

Następnie uruchamia znajdującą się za nim aparaturę rejestrującą obraz i zwraca się do swojego gościa.

– Proszę się streszczać.

– Moje źródła podają, że znajdujemy się obecnie w punkcie kluczowym dla historii nie tylko Francji, ale całej ludzkości.

Dzięki satelitom, dziennikarzom i smartfonom, które dają nam możliwość nagrywania i udostępniania obrazów w Internecie, dysponujemy milionami oczu i uszu wyczulonymi na wszystko, co się dzieje na powierzchni naszego globu.

Prezydent przytakuje zniecierpliwiony.

– Chwila obecna jest również kluczowa ze względu na to, że liczba zmarłych (sumując wszystkie dotychczasowe pokolenia) jest równa liczbie żyjących teraz. Około ośmiu miliardów. Po raz pierwszy mamy możliwość opuścić planetę na pokładach statków kosmicznych i zaludnić inne globy. Mamy możliwość zniszczyć wszelkie formy życia na naszej planecie dzięki broni atomowej.

Prezydent zachęca ją gestem do kontynuowania.

– Wniosek: jest pan prezydentem generacji, która może wszystko zmienić.

Prostując się w fotelu, mężczyzna wyobraża sobie nowego prezydenta, który za sto lat będzie patrzeć na jego, Stanisława Drouina, zdjęcie.

– Słucham, pani Natalio.

– Znajdujemy się na rozdrożu siedmiu dróg, które odkryłam i które możemy obrać, a raczej które może obrać ludzkość, na dobre i na złe.

– Proszę o jedno: niech się pani zlituje i nie opowiada mi o finansach ani o ekologii, to mnie usypia.

– Bez obaw, prezydencie, moje siedem wizji przyszłości jest znacznie bardziej „nowoczesnych”. Proszę sobie wyobrazić drzewo o siedmiu gałęziach.

31.

Dwa liście wiśniowego bonsai opadają, lecz on nie zwraca na to uwagi. Dwa inne małe drzewka błagają w swoim języku o

więcej wody. Królicia Joséphine chrupie kabel elektryczny. Żołnierzyki napoleońskie zastygły w szarzy, lecz nie posuwają się naprzód.

David Wells po raz kolejny odczytuje notes zmarłego ojca. Bezustannie rozmyśla o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Sorbona. Jurorzy. Aurore Kammerer. Wypadek samochodowy. Zapłakana matka. Niezręczny lekarz sądowy. Trzy bryły lodu. Jego zastygły ojciec, z otwartymi ustami, jakby zapatrzony w coś nieopisywalnego. Notes pokryty nerwowym pismem w poprzek kartek, schematy, szkice, listy liczb ezoterycznych, osobliwe aluzje. Odkrycie cywilizacji... olbrzymów.

Wszystko wydaje mu się nierzeczywiste. Jak gdyby ten jeden dzień nigdy nie istniał.

Słyszy trzaśnięcie drzwi na dole i domyśla się, że wróciła matka. Hałas wytrąca go z zadumy. Królicia stawia uszy i przestaje poruszać ogonkiem. David schodzi powoli po schodach prowadzących do salonu. Mandarine Wells płacze przed zdjęciem męża w stroju podróżnika w dżungli, dzierżącego ząb trzonowy mastodonta.

David kładzie jej dłonie na ramionach.

– Mamo...

Dochodzi do wniosku, że jego matka przez całe życie robiła tylko dwie rzeczy: milczała i płakała. Być może także, w mniejszym stopniu, kochała. Jego ojca. Potem jego. Zastanawia się, czy nie jest to w gruncie rzeczy główna słabość kobiet: kochanie mężczyzn.

– Mój Charly nie zasługiwał na to.

David obejmuje ją mocno, dodając otuchy:

– Nikt nie zasługuje na śmierć, mamo.

– Twój ojciec był człowiekiem cennym dla ludzkości.

Poznając przeszłość, rozjaśniał przyszłość.

– Wiem, mamó. Wiem.

Mandarine Wells ujmuje jego głowę w obie dłonie, jak gdyby chciała być pewna, że ją rozumie.

– Davidzie, musisz przejąć pochodnię. Musisz kontynuować jego dzieło zwiadowcy.

– Tak, mamó.

– Musisz też znaleźć sobie kobietę i mieć dzieci. Żeby nazwisko Wells przetrwało. Jesteś ostatnim potomkiem rodu, wiesz o tym?

– Oczywiście, mamó.

– Musisz stworzyć rodzinę, tego życzyłby sobie twój ojciec. Kobieta ujmuje dłonie syna i wsuwa w nie chłodny przedmiot.

– Oto klucz do jego biura. Nie pozwalał nikomu zaglądać do środka. Musi trzymać tam wszystkie swoje skarby. Wszystkie sekrety, narzędzia i zapiski. Teraz należą one do ciebie.

David odrywa się od matki, wychodzi na górę, staje naprzeciw drzwi i powoli przekręca klucz w zamku. Jego niecierpliwa dłoń musi próbować kilkakrotnie, zanim rygiel ustąpi ze zgrzytem. Następnie wciska przełącznik światła i pomieszczenie zalewa żółte światło. Na półkach leżą rzędy zębów i czaszek dinozaurów. David zauważa komputer, uruchamia go i znajduje plik „Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej profesora Edmunda Wellsa”.

Księga jego pradziadka, na którą ojciec powoływał się w swojej wiadomości.

„Edmund Wells, »myrmekolog«”.

Ojciec trochę mu o nim opowiadał. Ale z tego, co mu było wiadomo, pradziadek nie ograniczał się do opowiadania o mrówkach – interesował się ogólną ewolucją ludzkości i uważał,

że zmierza ona ku skurczeniu się.

„Pomysł przeskoczył jedno pokolenie”.

David wpatruje się w ekran komputera. Nie miał pojęcia, że pradziadek napisał encyklopedię swoich odkryć i rozważań.

Wówczas, przypomniawszy sobie o notatce odzyskanej z Antarktyki, David wpisuje do wyszukiwarki „Cywilizacja olbrzymów”.

Otwiera się plik tekstowy:

32. ENCYKLOPEDIA: CYWILIZACJA OLBRZYMÓW

Wszystkie mitologie wszystkich cywilizacji pięciu kontynentów w taki czy inny sposób odnoszą się do cywilizacji olbrzymów, która miałaby niegdyś sprawować władzę nad światem.

Dla starożytnych Egipcjan pierwsza dynastia wywodzi się z rasy olbrzymów przybyłych drogą morską, którzy mieliby ich wykształcić, nauczyć tajników medycyny i sztuki budowania piramid.

W Biblii (Księga Liczb 13,33) napisano: „Widzieliśmy tam nawet olbrzymów – Anakici pochodzą od olbrzymów – a w porównaniu z nimi wydaliśmy się sobie jak szarańcza i takimi byliśmy w ich oczach”¹.

W mitologii greckiej giganci narodzili się na Ziemi z krwi Uranosa. Najślynniejszym z nich był Antajos, uważany za wyjątkowo odpornego z powodu bliskiej relacji, jaka łączyła go z jego matką, Gają – Ziemią. Można było go zabić, tylko odrywając go od podłoża, którego to wyczynu dokonał dopiero Herkules. U Greków giganci i bogowie stanowią dwa pokrewne pojęcia. Tak więc Tytan Prometeusz uczył ludzi, jak korzystać z ognia, Cyklopi wyjaśniali zaś zastosowanie metalurgii.

U Rzymian Pliniusz Starszy twierdzi w swojej *Historii naturalnej* (księga 7, rozdział 6), że po zapadnięciu się wzgórza znalazł on szkielet giganta o wysokości blisko dwudziestu metrów, którego nazywa Orionem.

Uczony Filostrat donosi z kolei, że odkrył w Etiopii grobowiec z ludzkim szkieletem długości szesnastu metrów.

Tajlandczycy uważali, że pierwsi ludzie mieli kolosalne rozmiary.

Skandynawowie sprzed czasów chrześcijańskich wierzyli, że pierwsze stworzone istoty były wysokie jak góry. Ojczyzną olbrzymów miała być wyspa położona na zachód od ich wybrzeża, zwana Thule.

W 1171 roku historyk Sigilbert donosi, że podczas powodzi wyłoniły się szczątki ludzkiego szkieletu długości siedemnastu metrów.

Dominikanin Reginaldo de Lizárraga podczas podróży do Peru w 1555 roku odnotowuje istnienie mitu wspominającego o istotach, których wysokość przekracza piętnaście metrów.

W XVI wieku historyk Pedro Cieza de León opowiada, jakoby swego czasu miała nastąpić inwazja olbrzymów, pojawiająca się w opowieściach mieszkańców Santa Elena. Giganci mieli się zjawić na statkach i wybudować świątynię Tiahuanaco w ciągu jednej nocy.

W indyjskiej Ramajanie wspomina się o olbrzymach, które pokonały Rama. Jeden z nich, olbrzym Hanuman o małpiej twarzy, sprzeciwił się swoim braciom i stanął po stronie ludzi.

Historia Tolteków napisana przez Fernanda de Alve Ixtlilxochitl nawiązuje do olbrzymów zwanych Quinametzins, które miały żyć w dawnych czasach i które

niemal całkowicie wyginęły podczas niszczycielskich trzęsień ziemi. Po nich żyły rasy ludzkie normalnych rozmiarów, Olmekowie i Xicalanca, które ostatecznie zdziesiątkowały ostatnich gigantów ocalałych z katastrof.

W domenie nauki również znajdujemy odniesienia do cywilizacji olbrzymów poprzedzającej *Homo sapiens*. Antropolog Larson Kohl odkrył w 1936 roku na brzegu jeziora Eyasi w Afryce Południowej szkielet ludzki długości ponad dziesięciu metrów. W latach sześćdziesiątych australijski archeolog Rex Gilroy trafił na Górze Wiktorii na skamieniałe odciski olbrzymich istot ludzkich. Wspecjalizowawszy się w tego rodzaju poszukiwaniach, znalazł następnie gigantyczne szczęki na Jawie, w Afryce Południowej i w południowych Chinach. W 1964 roku badacz Brukhalter, członek francuskiego towarzystwa zajmującego się prehistorią, ogłosił, że odkrył dostatecznie dużo ludzkich kości nienaturalnie dużych rozmiarów, by móc potwierdzić istnienie gigantów w czasach kultury aszelskiej (okres dolnego paleolitu).

Jeśli olbrzymy naprawdę istniały, ich zniknięcie stanowi dowód na to, że naturalnym kierunkiem ewolucji człowieka jest kurczenie się.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

33.

W biurze prezydenta Republiki Francuskiej Natalia Ovitz wyciąga przenośny komputer i podłącza go do przewodu prowadzącego do rzutnika.

Uruchamia diaporamę w celu wyjaśnienia swojej wizji siedmiu możliwych dróg ewolucji człowieka.

– Uczestniczyłam w ostatnim zebraniu badaczy rocznika „Ewolucja”, aby przedstawić panu te hipotezy możliwie najbardziej całościowo. Krótko mówiąc, ostatnie nowości w dziedzinie wizji na przyszłość.

Otwiera folder DROGA NUMER 1: DROGA WZROSTU. Seria następujących po sobie obrazów pokazuje w przyspieszonym tempie gęste tłumy wylewające się z wylotów metra, fabryki wypuszczające na przenośnikach taśmowych nieskończoną ilość produktów spożywczych, manifestantów skandujących slogany, pomieszczenia giełdy wypełnione hałaśliwym, przesadnie podekscytowanym tłumem przed jasnymi ekranami.

– Droga wzrostu to czysto kapitalistyczny projekt: wciąż więcej wszystkiego po najniższych kosztach i przy maksymalnych zyskach. Takie panują obecnie zasady. O tym też marzy amerykański prezydent Wilkinson, człowiek wysoki, silny, były sportowiec, dawny aktor w filmach akcji, republikanin. Jest za wolnością rynków i „wciąż więcej”. Na dłuższą metę droga ta pociąga za sobą rozliczne konsekwencje:

1. Zwiększenie się średniej wzrostu ze względu na polepszenie się sposobu żywienia dzieci, szczególnie szerszą dystrybucję produktów mlecznych.

2. Wzrost indywidualizmu tkwiącego w istocie społeczeństwa konsumpcyjnego, systemu, do którego dążą wszystkie ludzkie społeczeństwa po prostu z upodobania do osobistego komfortu.

3. Wzrost demograficzny osiągnięty dzięki rozwojowi medycyny, pociągający za sobą spadek śmiertelności wśród dzieci i wzrost średniej długości życia.

4. Wzrost masy odpadów. Obecnie istnieje szósty kontynent składający się wyłącznie z odpadów gospodarczych. Jest wielkości jednej trzeciej Europy i unosi się na wodach północnego Pacyfiku między Ameryką i Japonią.

– Nie wiedziałem.

Prezydent Republiki Francuskiej zapada się nieco głębiej w fotelu.

– „Wciąż więcej” to dawny, sprawdzony system – przyznaje.

Gestem dłoni Stanislas Drouin zachęca Natalię do kontynuowania.

– Tym sposobem w ciągu najbliższych lat liczba ludzi urośnie z ośmiu do dziesięciu miliardów, co oznacza większą konsumpcję, a więc i większy wzrost ekonomiczny. Problem polega na tym, że o ile ludzkość, konsumpcja i ekonomia wzrastają, o tyle planeta już nie. Zapasy surowców, czystego powietrza i wody pitnej nie mogą rozmnażać się w nieskończoność. Nie zdołamy zapewnić dziesięciu miliardom osobników amerykańskiego komfortu z dwoma telewizorami, dwoma samochodami, dwiema lodówkami i dwoma klimatyzatorami przypadającymi na każdą rodzinę. Szczególnie przy obecnym poziomie marnotrawstwa jedzenia. Jeżeli nadal będziemy konsumować w ten sposób, koniecznością okaże się posiadanie dwóch planet takich jak Ziemia, by wyżywić całą ludzkość.

– Ale postępy nauki...

– ...również nie są bez granic i następstw. Intensywna uprawa sterylizuje glebę. Większość warzyw, owoców i mięs staje się coraz uboższa w mikroelementy i witaminy. Nasza planeta traci siły, karmiąc ludzi.

– Podobno pomocne są nawozy.

– Zna pan ich wpływ na zwierciadło wód podziemnych. Na drodze „wciąż więcej” konkuruje ze sobą dwóch liderów posiadających tę samą wizję dzikiego kapitalizmu: Ameryka i Chiny.

– Niech zwycięży lepszy. Ale Chiny wydają mi się lepiej uplasowane, na ich korzyść działa brak wolnych związków zawodowych, systemu sprawiedliwości, niezależnej prasy i partii zielonych. Ponadto ich masa demograficzna pozwala na drastyczne obniżanie kosztów produkcji. Po upływie jakiego czasu pani zdaniem znaleźlibyśmy się w poważnych tarapatach, gdybyśmy wybrali tę drogę wzrostu?

– Optymistyczna wersja: za trzydzieści lat. Wówczas zapasy wody, ropy, powietrza i pożywienia zmniejszą się wyraźnie do tego stopnia, że zaczną stanowić problem dla... Francji.

Prezydent zerka na zegarek.

– To droga numer jeden, kapitalistyczny wzrost. Droga numer dwa? Słucham panią, proszę się łaskawie streszczać.

Pułkownik Ovitz uruchamia nową diaporamę, na której widać procesje pokutników okładających sobie plecy biczami ponabijanymi gwoździami.

Brodacze przemawiają do tłumów skandujących chórem te same slogany, potem pojawiają się policjanci na motorach, którzy aresztują studentów, wisielcy, odcięte dłonie. Podpis głosi: DROGA MISTYCZNA.

– Oto projekt religii totalitarnej: droga, która obecnie rozwija się najprężniej. Wszędzie nawraca się terrorem i uwodzeniem.

– Jakim uwodzeniem?

– Proszę nie wątpić w przyciągającą moc religii. W złożonym i słabym świecie „irracjonalny”, prosty i zasadniczy

system budzi zaufanie. Szczególnie jeśli dopuszcza przemoc. Z początku dotyczyło to tylko osób niewykształconych, teraz jednak uwodzi nawet intelektualistów. Kwalifikują się wszystkie warstwy społeczne. O tym marzy obecny irański prezydent Jaffar i król Arabii Saudyjskiej. Projekt ten jest zasilany manną pochodzącą z ropy.

Prezydent krzywi się z powątpiewaniem.

– Znam Jaffara. Prywatnie jest uroczym człowiekiem.

Podatnym na korupcję. Mogę pani zagwarantować, że przyjmuje wszystkie łapówki, co moim zdaniem dowodzi, że nie jest takim fanatykiem, za jakiego może uchodzić.

– To zasada podwójnego języka, wyjaśniona w *Księdze podstępów*². Proszę jednak nie dać się zwieść, prezydent Jaffar to czysty produkt prądu ortodoksyjnego. Zachwala przyszłość, w której wszyscy ludzie będą albo nawróceni, albo... martwi.

Nawet już się nie kryje ze swoimi poglądami.

– Ewolucja ludzkości w stronę fundamentalizmu? Nie wierzę. Coś takiego nie może funkcjonować w inteligentnym współczesnym społeczeństwie. Nauka jest silniejsza niż wiara.

– Myli się pan, prezydencie. Od dawien dawna pokusa powrotu do brutalności uwodzi tłumy, szczególnie młodych.

– Młodych? Ale oni są coraz lepiej wykształceni.

– I co z tego?

– Wykształcenie tłumy fascynację przemocą i pociąg do tego, co irracjonalne.

– Jest pan tego pewien?

Prezydent Drouin zaczyna się niecierpliwić.

– Na czym polega ich „problem”? Bo musi być jakiś problem.

– Żeby utrzymać swoją pozycję, bogobojni są zmuszeni do nieustannego prześcigania się w obietnicach. Dzisiejsi

ekstremiści jutro będą uchodzić za osoby o umiarkowanych poglądach.

– Sądzę, że pani przesadza. Poproszę o następną drogę ewolucji.

Natalia Ovitz uruchamia kolejną diaporamę, na której widać Johna von Neumanna, Alana Turinga, Billa Gatesa, Steve'a Jobsa, a także licznych młodych ludzi w okularach, wszystkich podobnych do siebie, którzy siedzą przed monitorami. W przyspieszonym tempie przewijają się obrazy wirtualnych gier, wspaniałych grafik komputerowych, hangarów, w których siedzą setki odretwiałych młodych ludzi, otumanionych w świetle ekranów i przebierających palcami po klawiaturach.

– Droga informatyki, jak mniemam?

– Nie tylko. TRZECIĄ DROGĄ EWOLUCJI JEST MASZYNA.

– Androidy?

– Komputery, roboty, sieci społecznościowe, gry sieciowe, inteligentne smartfony, krótko mówiąc: informatyczny sztuczny świat stworzony przez człowieka, do którego może on przesyłać swoje myśli.

– To są tylko narzędzia, Natalio, jak odkurzacze czy samochody. Nie mają wolnej woli. Powinniśmy się zacząć bać pralek?

– Na Sorbonie słyszałam, jak pewien naukowiec przedstawiał projekt, który wyjątkowo mnie zaintrygował. Nazywa się Francis Frydman. Chce zaprogramować roboty albo komputery w taki sposób, by uświadomiły sobie własne istnienie.

– Inteligentne roboty? To bujda dla dziennikarzy. Nie uwierzę w to.

– Co więcej: roboty myślące. Frydman zamierza sprawić, by maszyny przekroczyły próg samoświadomości. Moim zdaniem kiedy tylko to nastąpi, roboty zaczną, podobnie jak wszystkie pozostałe żyjące istoty, dążyć do nieśmiertelności i płodzenia dzieci. Francis Frydman już to przewidział i wspomina o robotach zdolnych do reprodukcji się.

– Partenogeneza maszyn?

– Dlaczego nie? Frydman przeciera szlak dla generacji robotów, które rozmnażając się, same będą się ulepszać.

– Trochę jak my sami ewoluowaliśmy od małpy?

– Tak, można tak na to spojrzeć. Pierwsze roboty byłyby małpami, ich potomkowie zaś poprawialiby się z pokolenia na pokolenie. A wszystko to bez ingerencji człowieka. Wyłącznie dzięki logice programu, który skłaniałby je do nieustannego ulepszania się.

Prezydent bawi się smartfonem leżącym na biurku.

– Co oznacza, że w rezultacie komputer mógłby przerosnąć człowieka?

– Maszyny systematycznie pokonują nas już w szachy i we wszystkie gry strategiczne. Nie będą mieć żadnych granic. Można by nawet wyobrazić sobie w przyszłości prezydenta-androida Republiki Francuskiej zaprogramowanego do obrony interesów współobywateli. Tym sposobem nie istniałoby zagrożenie, że będzie on skorumpowanym egoistą, fanatykiem albo leniem.

– Już się widzę rywalizującego z robotem w najbliższych wyborach! Jakie są wady tej drogi?

– Doktor Frydman już je przewidział. Gdzie jest samoświadomość, pojawiają się pytania, które mogą skutkować neurozą i lękiem egzystencjalnym.

– Dziękuję, święty Freudzie.

– Właśnie z tego powodu istotą projektu tego naukowca jest otoczenie sztucznej ludzkości opieką psychiatryczną.

– Jak by to wyglądało za dwadzieścia lat?

– Zdaniem Frydmana roboty rozwiązałyby kwestię pracy.

Wypełniałyby wszystkie uciążliwe obowiązki. Mielibyśmy więcej proletariatu. Żylibyśmy wreszcie w prawdziwym społeczeństwie rozrywki wśród leniwej, otyłej, ociężalej ludzkości.

– Zapowiada się przyjemnie.

– Mimo to byłaby to ludzkość „zdziecinniała i służalcza”. A gdyby roboty nie zostały poddane właściwej psychoanalizie i uświadomiły sobie prymitywność ludzi, mogłyby podjąć decyzję o przejęciu władzy.

– Ta przyszłość przypomina scenariusz filmu *2001: Odyseja kosmiczna*. Albo *Terminator*.

– Aż po *Matrix*. Możemy sobie wyobrazić ludzkość w stagnacji oraz ewoluujące równoległe i nieustannie roboty. Zostalibyśmy zepchnięci na drugie miejsce. Stalibyśmy się „dawnymi władcami świata”, przerośniętymi przez nasz własny wytwór.

– Patrząc pod tym kątem, wygląda to mniej kusząco.

– Dlatego uczyniłam, co w mojej mocy, żeby projekt pana Frydmana nie otrzymał poparcia.

Stanislas Drouin jest jednocześnie podekscytowany i zaniepokojony. Ta długoterminowa wizja sprawia, że zaczyna czuć się jak ziarnko piasku w mechanizmie, który go przerasta. Przygląda się małej kobiecie, która zdaje się doskonale orientować w swojej dokumentacji.

Żaden z jego doradców do spraw nauki, wojskowości czy ekonomii nie przedstawił mu tak szerokiego, głębokiego i dalekosiężnego zakresu przyszłych możliwości ludzkości.

– Jakie są jeszcze drogi oprócz dzikiego kapitalizmu, fanatyzmu religijnego i dominujących robotów?

– CZWARTA DROGA to KOLONIZACJA PRZESTRZENI.

Pułkownik Ovitz ponownie uruchamia diaporamę. Widać na niej plany statków kosmicznych.

– Nie wiem, czy słuchał pan wiadomości, ale Sylvain Timsit, słynny kanadyjski miliarder, który zbił fortunę na komputerowych grach sieciowych, postanowił skonstruować statek kosmiczny o nazwie „Gwiazdny Motyl 2”.

– Co to takiego?

– Chodzi o solarny żaglowiec zdolny przyjąć na pokład około stu tysięcy osób i wyruszyć w podróż w kierunku nadającej się do zamieszkania planety w innym systemie słonecznym.

– W pewnym sensie kosmiczna arka Noego?

– Zamiast usiłować rozwiązywać problemy na miejscu, sugeruje on, żeby wyjechać. Tak od zawsze postępowali nasi przodkowie: uciekać, kiedy nic już nie gra.

– Ale gdyby podróż trwała tysiąc lat, wszyscy, którzy wsiedliby na pokład, zginęliby na statku.

– Mieliby dać życie nowemu pokoleniu, które również umrze, aż po generację, która zejdzie na nadającą się do zamieszkania planetę.

– Statek musi być olbrzymi.

– To luneta teleskopowa długości trzydziestu kilometrów i średnicy jednego kilometra. Jeśli wierzyć Timsitowi, cylinder ten kręci się wokół osi, odwzorowując ziemską grawitację. Dzięki temu wewnątrz statku będzie można zainstalować pola, lasy, jeziora. Oś jest świetlna, stanowi swego rodzaju sztuczne słońce, deszcze będą wywoływane przez kondensację.

Kompletny ekosystem.

– A napęd? Wasz żaglowiec nie złapie wiatru w przestrzeni, o ile mi wiadomo.

– Dzięki światłu. Solarny żaglowiec jest napędzany promieniami świetlnymi gwiazd. To słaba energia, ale „Gwiezdny Motyl 2” jest wyposażony w żagle o powierzchni równej całemu kontynentowi australijskiemu!

– Piękny pomysł! Jakie są jego złe strony?

– Długi czas realizacji i wysokie koszty produkcji. Nie ma także pewności, że się uda, i będzie dotyczyć najwyżej stu tysięcy osób na osiem miliardów. Wreszcie, nie jest powiedziane, że pasażerowie nie pozabijają się nawzajem. Czynnikiem psychologicznym będzie moim zdaniem głównym utrudnieniem. Prawdę mówiąc, na razie nikt nie wie, jak stworzyć ludzką społeczność zdolną przeżyć równie długo w pokoju na tak ograniczonej przestrzeni.

– Korzyści?

– Jeśli tutaj polegniemy, ludzkość będzie mogła odrodzić się gdzie indziej za... tysiąc lat. To jak wrzucenie butelki do morza. Projekt ma przynajmniej tę zaletę, że w ogóle istnieje.

Prezydent Drouin bawi się zegarkiem.

– Kolejna droga? Mogłaby pani przyspieszyć, pułkowniku? Za kilka minut mam kolejne spotkanie. Wszystko to jest fascynujące, ale muszę zarządzać teraźniejszością, zanim zajmę się przyszłością.

Pułkownik Ovitz uruchamia kolejną diaporamę, na której pojawiają się uśmiechnięte starsze osoby obok bliźniąt i płodów w słojach.

– PIĄTA DROGA: DROGA GENETYKI. To również projekt złożony przez jednego z naukowców Sorbony, doktora Gérarda Saldmaina. Jego pomysł polega na manipulacji

telomerem, czyli fragmentem chromosomu zlokalizowanym na jego końcu, wywołującym starzenie się i śmierć.

– Czy ludzie mogliby żyć wiecznie?

– Prawdę mówiąc, człowiek może żyć w nieskończoność, jeśli odprogramuje mu się śmierć. Uczony nazywa swój projekt „Fontanną młodości”. Zainspirowały go karpie z zamku w Wersalu i żółwie morskie, które starzeją się bez końca, nie umierając, ponieważ ich telomer nie posiada zegara destrukcji z opóźnionym zapłonem. Gérard Saldmain przewidział również przeszczepy komórek macierzystych w celu zastąpienia uszkodzonych organów.

– Jak sprawić, by przeszczepy nie były odrzucane?

– Tworząc bank klonów, braci bliźniaków, którzy służyliby za magazyny idealnie zgodnych części zapasowych.

– Wady?

– Co w sytuacji, gdy nikt już nie będzie umierał? Czekają nas świat starców usiłujących nie płodzić dzieci. A zatem brak nowych pokoleń, tylko uprzywilejowane osobniki, które bez końca przedłużają swoją egzystencję.

– Przynajmniej doświadczyliby długiego żywota. Następny projekt?

– SZÓSTA DROGA: FEMINIZACJA. Pomysł pochodzi również od jednej z badaczek programu „Ewolucja” na Sorbonie. Od doktor Aurore Kammerer. Obecnie trwa naturalna feminizacja społeczeństwa, po prostu dlatego, że spermatozoidy stają się coraz mniej liczne i wrażliwsze, a osobniki dysponujące żeńskim chromosomem XX są bardziej odporne od tych wyposażonych w męski chromosom XY. Jeśli pozwolić danemu gatunkowi rozwijać się, nie wtrącając się w jego działania, liczba kobiet powinna przewyższyć liczbę mężczyzn. Drodze tej jednak sprzeciwia się tradycja, szczególnie w Afryce i Azji. Użycie

echografii umożliwia poznanie płci dziecka przed narodzeniem. Jeśli to dziewczynka, ojcowie zmuszają matki do aborcji.

– Dopóki nie poczną chłopca. Tak, widziałem to w wiadomościach telewizyjnych.

– Stąd bierze się wciąż rosnąca przewaga mężczyzn. To walka tradycji z naturą.

Prezydent bawi się swoim smartfonem, w którym znajdują się zdjęcia wszystkich jego kochanek.

– W jaki sposób feminizacja miałaby otworzyć determinującą drogę dla naszej przyszłości?

– Teoria doktor Aurore Kammerer polega na tym, że wraz z feminizacją wzrasta odporność jednostki, szczególnie na promieniowanie. W Turcji pewne plemię Amazońki żyjące w pobliżu wysypiska odpadów nuklearnych rozwinęło niebywały system odpornościowy.

– Co oznacza, że w razie wypadku nuklearnego albo wojny światowej...

– ...te kobiety zdołałyby przeżyć tam, gdzie „zwykli” ludzie nie.

– Hm... co doprowadziłoby do społeczeństwa zaludnionego wyłącznie kobietami? To niemożliwe.

– Myli się pan. Natura już dokonała wyboru. Jak zauważyła Aurore Kammerer podczas swojego wystąpienia, jedynymi gatunkami zwierząt, które przeżyły Hiroszimę i Nagasaki, są pszczoły i mrówki. Dwa gatunki socjalnych insektów składających się w dziewięćdziesięciu procentach z osobników płci żeńskiej.

– Ale my nie jesteśmy insektami!

– Jesteśmy zwierzętami wśród mnóstwa innych zwierząt.

– Mimo wszystko, świat złożony z samych kobiet!

Koszmar! Proszę wybaczyć, Natalio, ale byłby to ślepy zaułek

niespełniający warunku polarności męsko-żeńskej. Następny projekt?

– SIÓDMA DROGA: MINIATURYZACJA. Projekt przedstawił doktor David Wells.

– Syn naukowca zaginionego na Antarktyce?

– We własnej osobie. O ile jego koleżanka chce odwiedzić Amazonki w Turcji, on zamierza badać Pigmejów w Kongu. Odkrył bowiem, że ci ostatni są naturalnie zaszczepieni na większość wirusów i zarazków. David Wells uważa, że gen odpowiedzialny za redukcję wzrostu wyposaża ich równocześnie w nietypową odporność na choroby.

– Kobiety, Pigmeje... Podejrzewam, że pani jako karlica skłania się ku tym projektom. Czy są jeszcze inne drogi, których nie rozpatrywaliśmy?

– Na razie zatrzymamy się przy tych siedmiu. Jeśli jednak przyszedł do pana, to nie tylko po to, by wygłosić wykład na temat ewolucji ludzkości. Projekt numer dwa nabiera rozpędu. Zapewne wie pan, prezydencie, że Irańczycy z sukcesem przeprowadzili podziemne próby nuklearne o szerokim zasięgu. Sądzę, że należałoby wesprzeć rywalizujące projekty, żeby pokrzyżować ich plany.

– Roboty, Amazonki, Pigmeje, kapitaliści, kosmiczni żeglarze... przeciw fanatykom religijnym?

Prezydent Drouin powstrzymuje wybuch śmiechu.

– To wyścig siedmiu wizji przyszłości – odpowiada pułkownik Ovitz. – Należy wspierać te, które wydają nam się najbardziej sprzyjające, i spowolnić te, które oceniamy jako szkodliwe dla rozwoju naszych potomków.

Prezydent odchyła się w fotelu.

– Oczywiście, oczywiście. Proszę nie myśleć, że nie doceniam pani rekomendacji, nie bardzo jednak widzę, jakie

działania powinniśmy podjąć w tej grze siedmiu dróg.

– Proszę mi zaufać, prezydencie, w odpowiednim momencie powiem, co należy robić.

Mężczyzna wykonuje w jej stronę porozumiewawczy gest, na który ona odpowiada wojskowym ukłonem, pakuje dokumenty i komputer, po czym znika równie nagle, jak się pojawiła.

Prezydent odruchowo wyłącza rejestrację obrazu, obiecując sobie, że odsłucha materiał w spokojniejszej chwili, przekonany, że nie pojął wszystkich niuansów tego zaskakującego *exposé*. Szkicuje w notesie swoje wrażenia z rozmowy: serce, gwiazdę i trupią czaszkę.

34.

*Widziałam nagranie prezydenta Republiki Francuskiej.
Siedem projektów ewolucji związanych z siedmioma
wizjami przyszłości.*

*Brakuje mi ósmej: drogi, w której ludzkość jedna się ze
mną. Tej, w której ludzie zmieniliby swój status szkodliwych i
egoistycznych pasożytów na pełnych szacunku partnerów.*

*Ach, żeby zjednoczyć się z maszynami udającymi
inteligentne albo z wymyślonym bogiem, żeby żyć w
nieskończoność, gdyż są tak dumni i zadowoleni z samych siebie,
uciec ode mnie albo zwiększać konsumpcję surowców – do tego
zawsze są chętni i pełni entuzjazmu, ale żeby chronić swoją
planetę przed grożącymi jej niebezpieczeństwami, to im nawet
nie przejdzie przez myśl. Nawet ci ich tak zwani ekologowie nie
rozważają wprowadzenia kontroli wzrostu demograficznego. To
temat tabu, gdy tymczasem byłby to jedyny akt naprawdę
harmonijnej integracji ze środowiskiem, w którym żyją.
Automatycznie zmniejszyłyby się konsumpcja, zanieczyszczenie,*

nierówności, ryzyko wojny.

Ekologowie nie zrozumieli podstawowej zasady: przede wszystkim należy zapanować nad ilością, a dopiero potem poprawiać jakość. Ci, którzy powinni mnie rozumieć, są jednocześnie tymi, którzy bronią przeciwieństwa moich interesów.

Rodzi się więc pytanie: czy ludzie mogą ewoluować?

Na tym etapie ich rozwoju mam wątpliwości. Mimo wszystko będę obserwowała z bliska te siedem projektów ewolucji, szczególnie zaś te dwa ostatnie, gdyż feminizacja i miniaturyzacja w żaden sposób mi nie zagrażają.

Pigmeje i Amazonki

35.

Międzynarodowe lotnisko w Çarşamba Havaalani na północnym wschodzie Turcji. Powietrze jest ciężkie i wilgotne. Lądują muchy, po nich kruki, a na koniec międzynarodowe samoloty.

Przesuwają się metalowe drzwi, podjeżdżają rękawy i niewielka wielobarwna grupa turystów schodzi po schodach, by odzyskać bezpieczny kontakt z podłożem.

Aurore Kammerer zakłada okulary przeciwsłoneczne i przygląda się scenerii. Powietrze jest przesiąknięte zapachem tymianku i lawendy. Kobieta odbiera bagaże z taśmy i podchodzi do wynajmującego samochodu, który wskazuje jej diesla indyjskiej marki Tata, w całości wykonanego z plastiku. Niektórzy nazywają te samochody jednorazowymi, ponieważ sprzedawane są w cenie rowerów, a ich żywotność jest ograniczona.

Aurore przekręca kluczyk w stacyjce i wibracje silnika wprawiają lekką kabinę w drganie. Na podróż założyła strój reporterki – kamizelkę z mnóstwem kieszonek. Jedzie teraz autostradą.

Na tablicy rozdzielczej umieszcza smartfona, żeby móc korzystać z aplikacji GPS, i włącza muzykę.

The Doors. *THE END*.

Utwór zatytułowany „Koniec” przywołuje wspomnienia jej własnych początków.

Po raz pierwszy to matka, Françoise, puściła jej muzykę Jima Morrisona. Doznała olśnienia. Głęboki i zmysłowy głos przyprawił ją o deszcze, osobliwość słów uniosła ją.

This is the end, my beautiful friend...

Tłumaczy sobie w myślach:

„To już jest koniec, najdroższy.

To już jest koniec, jedyny, koniec.

Koniec naszych obmyślonych planów.

Koniec wszystkiego, co trwało.

Nic ze zbawienia czy zaskoczenia. Koniec.

Nigdy więcej nie spojrzę w twe oczy.

Zobaczysz, jak to będzie

Bez granic i więzów

Rozpaczliwa żądza obcych dłoni

Na wyniszczzonej ziemi.

Gubię się w rzymskiej okolicy, dzikiej i pełnej bólu

Gdzie wszystkie dzieci są szalone.

Wszystkie dzieci są szalone”.

Za nią rozlega się dźwięk klaksonu i ciężarówka

załadowana butlami z gazem, związanymi ze sobą drutem, wyprzedza ją w tumanach brudnego dymu. Kierowca wykonuje pod jej adresem obsceniczny gest i zwalnia gwałtownie, zmuszając ją do ostrego hamowania.

Aurore podkreśla głośność i powraca do tłumaczenia piosenki z lat siedemdziesiątych.

„Dokąd nas wieziesz, kierowco?

Morderca obudził się przed świtem, założył buty

Twarz przykrył maską ze starożytniej galerii

I ruszył korytarzem

Wszedł do pokoju, w którym mieszkała jego siostra

A potem złożył wizytę bratu

Szedł dalej korytarzem i

Stanął przed drzwiami, zajrzał do środka

– Ojczy?

– Tak, synu?

– Chcę cię zabić! Matko... chcę cię... pieprzyć”.

Prowokatorskie słowa wywołują uśmiech na jej twarzy.

Aurore wyobraża sobie, że konformistyczna Ameryka z czasów Nixona musiała odebrać edypowe słowa tej piosenki niczym smagnięcie batem.

Utwór dobiegł końca, ale ona włącza go jeszcze raz i zaczyna śpiewać coraz głośniej w swoim wibrującym samochodzie:

Father? I want to kill you

Mother?... Want to... FUCK YOU!

Powraca myślami do ojca. Spotykając się z nim, „przetrawiła” problem ojcostwa, jednocześnie zaś zaakceptowała swoją męską stronę. Teraz, kiedy jej matka nie żyje, a ojciec został zidentyfikowany, Aurore czuje się uwolniona od swoich przodków i może przeżyć życie, kierując się własnymi wyborami.

Młoda kobieta przyspiesza, auto coraz mocniej nią trzęsie. Droga jest jednym wielkim ciągiem wybojów.

Wzdłuż drogi defilują reklamy amerykańskich napojów gazowanych, niemieckich samochodów, koreańskich telewizorów i japońskich aparatów fotograficznych. Jedyna turecka reklama to plakat przedstawiający dwa lizaki. Na opakowaniu tego po prawej napisano po turecku i angielsku: „W chuście”, ten po lewej obsiadła chmara czarnych much, poniżej napisano: „Bez chusty”.

Aurore Kammerer w ostatniej chwili omija dziurę w asfalcie.

Przypomina sobie.

Jej matka...

Matka jej powiedziała: „Wszyscy mężczyźni to łajdacy.

Przyszłość należy do kobiet. Oni są jak dinozaury skazane na zagładę. Próbują więc nas zmiążdżyć siłą. To jednak ostatnie podskoki prymitywnych brutali, którzy nie zrozumieli jeszcze kierunku ewolucji, jaki obrał nasz gatunek”.

Matka była zagorzałą bojowniczką ruchu feministycznego. Zabierała ją na wszystkie manifestacje Ruchu Wyzwolenia Kobiet: przeciwko przemocy wobec kobiet, przeciwko aranżowanym małżeństwom nieletnich, przeciwko noszeniu chusty, przeciwko wycinaniu łechtaczki, przeciwko zszywaniu warg sromowych, przeciwko handlowaniu prostytutkami z Europy Wschodniej. Tyle walk, które uważała za wygrane i zapomniane i które nagle objawiały się ponownie z jeszcze większą intensywnością. Pewnego dnia, kiedy manifestowały przed ambasadą Jemenu, z budynku wyszła kobieta w burce i poprosiła o chwilę rozmowy. Matka spontanicznie wysunęła się naprzód. Kobieta powiedziała: „Czy nigdy nie brałyście pod uwagę, że możecie się mylić? Czy nigdy nie przyszło wam do głowy, że noszenie stroju chroniącego przed pożądanymi spojrzeniami mężczyzn może być przyjemne? Wy, kobiety Zachodu, nie rozumiecie, że to nasz wolny wybór, uważacie, że nasi mężowie nam go narzucają, ale wcale tak nie jest, motywuje nas poczucie godności. Mnie szokuje, że odsłanianie nogi i ramiona, włosy i łydki, że na okładkach waszych czasopism o modzie pozują półnagie kobiety! Szokuje mnie, że chodzicie obok waszych mężów, jakbyście były im równe, i że palicie papierosy. To są zachowania... prostytutek! A potem dziwicie się, że zdarza się tyle gwałtów...”. Nie zdążyła dokończyć zdania, ponieważ Françoise Kammerer skoczyła na nią, zerwała jej burkę i kobiety zaczęły się bić, ciągnąć za włosy, drapać, gryźć i rozdzierać sobie nawzajem ubrania na oczach zachwyconych dziennikarzy, którzy wszystko rejestrowali.

Tym sposobem matka wstąpiła na ścieżkę sławy. Nazywano ją „zdzierającą chusty”. Później, podczas manifestacji, matka kroczyła na czele pochodów, niosąc Aurore, wówczas czteroletnią, na barana. Nie wahała się, na mityngach lub podczas wywiadów, przed podnoszeniem jej niczym symbolu i głoszenia, że Aurore należy do pokolenia dysponującego wszystkimi narzędziami koniecznymi do dokonania zmiany. „Moja córka ocali świat” – powiedziała nawet kiedyś w telewizji. Wystarczy jedno zdanie, by zaprogramować los danej istoty.

Między dwoma podskokami na wyboistej szosie Aurore zauważa na poboczu mężczyznę ubranego w białą koszulę, za którym podąża pięć kobiet zakwefionych na czarno od stóp do głów.

Aurore podkręca głośność muzyki.

„Oto koniec

Najdroższy

Oto koniec

Jedyny, koniec.

Z żalem pozwalam ci odejść

Ale ty nigdy nie podążysz za mną

Koniec śmiechu i słodkich kłamstw

Koniec nocy, podczas których chcieliśmy umierać

Oto koniec”

Kobieta wciska klakson.

Mężczyzna nawet na nią nie zerka, spuszcza głowę, przytłoczony. Wydaje się główną ofiarą tego systemu.

„Każda akcja pociąga za sobą reakcję. Musiały wymyślić zabójcze sposoby zemsty” – myśli Aurore, przejeżdżając przez urocze miasteczko turystyczne Terme. Jedzie wzdłuż rzeki Thermodon w poszukiwaniu miasta Themiscira, rzekomo

ostatniej stolicy Amazonek, lecz znalazłszy się na miejscu, odkrywa tylko ruiny zarośnięte chwastami, krzakami i ostami. Dociera do niej, że rząd turecki nie miał zamiaru zmieniać antycznego miasta Amazonek w muzeum czy miejsce wykopalisk archeologicznych.

„Odżegnują się od tej przeszłości. Samo wspomnienie istnienia królestwa wolnych kobiet jest »politycznie niepoprawne« w oczach obecnej władzy”.

Młoda badaczka pochyla się, pociera brunatny mech pokrywający bruk i odsłania niewyraźny napis pod na wpół zamazaną ryciną przedstawiającą Amazonkę naciągającą strzałę. Robi zdjęcie swoim smartfonem, po czym przerzuca kartki przewodnika turystycznego:

Pokonawszy króla Mitrydatesa VI podczas bitwy nad Granikiem w 71 roku p.n.e., rzymski generał Lukullus zwrócił się przeciwko największym sprzymierzeńcom Mitrydatesa: Amazonkom z Themisciry. Wojowniczkami broniły się tak długo, jak to było możliwe, ale Rzymianie mieli przewagę liczebną. Themiscira ostatecznie upadła. Rzymianie obrabowali i spalili miasto. Ocalałe Amazonki zostały zgwałcone, a następnie sprzedane na targach jako niewolnice.

Nagle jakiś odgłos przyciąga uwagę Aurore. W oddali dostrzega obserwującą ją postać. Kiedy tylko na nią spogląda, ta znika wśród zrujnowanej kolumnady.

– Hej, proszę poczekać!

Aurore rzuca się za nią w pogoń. Długie nogi pozwalają jej szybko zmniejszyć dystans. Kiedy wreszcie udaje jej się pochwycić uciekiniera, twarz, która odwraca się w jej stronę, należy do najwyżej trzynastoletniej dziewczynki usiłującej wyrwać się kobiecie ze wszystkich sił. Aurore udaje się ją unieruchomić i uspokoić. Nastolatka przygląda się obcej, dysząc

ciężko, wycieńczona. Aurore uśmiecha się do niej i powtarza wyraźnie:

– Amazons? Amazonas?

Dziewczynka waha się, po czym energicznie kręci przecząco głową.

Aurore wyciąga dziesięcioletni banknot, na który dziewczyna patrzy obojętnie.

– Posłuchaj, mała, szukam Amazonek. Gdzie one są?

Ma nadzieję, że chociaż dziecko nie zna języka, zrozumie znaczenie jej słów. Wskazuje mapę drogową.

– Amazons? Gdzie?

Aurore wyciąga dwa kolejne banknoty po dziesięć lirów. Tym razem dziewczynka zgadza się wziąć od niej ołówek i mapę. Powolnymi ruchami zaczyna ciągnąć linię, na której końcu stawia krzyżyk. Następnie wyrywa z rąk Aurore trzy banknoty dziesięcioletnie i ucieka ile sił w nogach.

Badaczka podnosi mapę i stwierdza, że zaznaczone miejsce leży w pobliżu granicy irańskiej. Wraca do samochodu marki Tata i rusza. Wokół niej przesuwają się coraz bardziej nierówne krajobrazy. Równina usytuowana na wysokości tysiąca metrów zaczyna przypominać księżycową scenerię, pokrytą kraterami o geometrycznych kształtach. Zauważa olbrzymie kopalnie odkrywkowe węgla. Aurore hamuje na poboczu drogi. Wysiada z samochodu i rozgląda się.

Seria eksplozji, po których następuje zapadnięcie się skał, wprawia w drgania ziemię pod jej stopami. Aurore widzi ciężarówki załadowane stosami ciemnych brył i dociera do niej, że góra została dosłownie zrównana z ziemią w celu wydobycia węgla.

Rusza w dalszą drogę. Kilkadziesiąt kilometrów dalej trafia wreszcie na tablicę, na której widnieje napis łacińskimi literami:

„Uçhisar”. Stoją tu wykute w kamieniu domy z czasów pierwszych chrześcijan. Ukrywali się tutaj przed prześladowaniami. Aurore jedzie dalej drogą, która nagle urywa się gwałtownie, zagrodzona tablicą z napisem: STOP. NO TRESPASSING i posterunkiem wojskowym.

Mężczyzna w zielonym uniformie, okularach przeciwsłonecznych i z sumiastym wąsem podchodzi do niej krokiem kowboja. Przykłada dwa palce do czoła, salutując oficjalnym gestem.

– *Closed, finish*, proszę pani – oznajmia z silnym akcentem.

Aurore zauważa, że światło odbija się w jego złotym siekaczu. Podaje mu swój paszport i pozwolenie wydane przez tureckie Ministerstwo Nauki.

– Jestem francuską badaczką.

– Ach? Francja? Paryż? Ale *sorry*, niemożliwe. Cała strefa jest zamknięta. Zamknięta, *closed, finish*.

– Dlaczego?

Policjant usiłuje przywołać całą swoją znajomość francuskiego i mówi:

– Pani nie słyszeć *news*? Doszło tutaj do kurdyjskich ataków terrorystycznych Partii Pracujących Kurdystanu. Korzystają z manifestacji studentów w Iranie, żeby robić problemy po obu stronach granicy. Zasadzka. Trzy ofiary śmiertelne. Teraz tutaj strefa partyzantki. *Very dangerous for strangers*. My i Irańczycy *together against* Kurdowie, ale wy, Francuzi, nie lubiani.

– Dlaczego?

– Wy zakazać kobietom nosić chusty. Zresztą wy zakładacie szaliki, żeby ukrywać włosy. Takie włosy, *shocking*.

Wskazuje na swoje koleżanki w mundurach, które przyglądają im się z daleka, rozbawione.

– Wiem, dlaczego pani tutaj – mówi policjant, który zauważył zaznaczony punkt na mapie drogowej.

Jego ton stał się oschlejszy.

– Z powodu Amazonek, prawda?

Aurore sztywnieje.

– To legenda dla turystów. *It is a fake. No exist.* Tutaj tylko kurdyjscy terroryści, a dalej irańscy żołnierze. *Very very dangerous.* Pani odjechać. *Come back* do siebie.

Mężczyzna spogląda w niebo, które gwałtownie pociemniało.

– *It is late.* Wkrótce *the night.* Pani jechać do hotelu w miasteczku. *Not far. Secure.* I *also* ryzyko małego wiatru i deszczu *fresh.*

Kilka minut później francuska badaczka parkuje swoją tatę naprzeciw jedyne go hotelu w oryginalnym miasteczku.

Miejsce przypomina alpejską chatę okraszoną nutą orientu. Kierownik placówki obnosi gęste czarne wąsy. Bierze bagaże Aurore, prowadzi ją do pokoju, w którym zostawia walizki, zapala światło i otwiera okna, żeby pokazać jej widok na góry. Kobieta rzuca się na łóżko ogarnięta poczuciem porażki i zasypia, włączając raz jeszcze, tym razem na pełen regulator i przez słuchawki, utwór Doorsów.

Here is the end.

36. ENCYKLOPEDIA: CZTERECH JEŹDŹCÓW APOKALIPSY

Apokalipsa jest ostatnią księgą Nowego Testamentu. Rzekomo została podyktowana uczniom przez świętego Jana, wówczas osiemdziesięciodwuletniego i spędzającego czas na wygnaniu na greckiej wyspie Patmos (w 79 roku n.e., w okresie erupcji Wezuwiusza).

Miał się on mocno inspirować starszym tekstem przypisywanym Zachariaszowi. Jest to najbardziej ezoteryczny i najbardziej spektakularny z tekstów Nowego Testamentu.

„I ujrzałem, oto biały koń, a siedzący na nim miał łuk. I dano mu wieniec, i wyruszył jako zwycięzca, by jeszcze zwyciężać.

I wyszedł inny koń barwy ognia, a siedzącemu na nim dano odebrać ziemi pokój, by się wzajemnie ludzie zabijali, i dano mu wielki miecz.

I ujrzałem, a oto czarny koń, a siedzący na nim miał w ręce wagę. I usłyszałem jakby głos w pośrodku czterech Zwierząt, mówiący: kwarta pszenicy za denara i trzy kwarty jęczmienia za denara, a nie krzywdź oliwy i wina!

I ujrzałem, oto koń trupio blady, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłań mu towarzyszyła.

I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta”.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

37.

David Wells wyłącza smartfona, na którym czytał encyklopedię swojego pradziadka znaną w komputerze ojca. Po *Cywilizacji olbrzymów* tekst *Czterej jeźdźcy Apokalipsy* wprawia go w zakłopotanie.

Jego ojciec chciał najwyraźniej powiedzieć, że słowa te odnoszą się nie do tego, co ma dopiero spotkać naszą cywilizację, ale do tego, co przytrafiło się olbrzymom.

Proroctwo pozornie dotyczące przyszłości, w rzeczywistości opowiadające o zatajonej przeszłości, wydaje mu się dobrym żartem.

David podnosi plastikową zasłonę okienka w samolocie, chociaż pozostali pasażerowie wciąż jeszcze śpią. Przez grube szkło dostrzega gęste lasy ciągnące się aż po horyzont. Widziana z góry północna część Demokratycznej Republiki Konga przypomina bezkresne morze zieleni.

Im bardziej zbliżają się do granicy między Kongiem i Kamerunem, tym bardziej las wydaje się zaatakowany przez stado żarłocznych gryzoni, którymi są – jak David podejrzewa – buldożery. Machiny z żelaza i stali niczym żyłетки ścinają drzewa w linii prostej. Przypomina mu się reklama:

KRISS. ŻYLETKA O CZTERECH OSTRZACH

Pierwsze ostrze ciągnie włos.

Drugie ostrze ciągnie nieco bardziej włos.

Trzecie ostrze ścina włos.

Czwarte ostrze wyrywa korzeń.

Stwierdzam, że żyłетка Kriss ze swoimi czterema ostrzami to Apokalipsa dla naskórka.

„Chyba że to Apokalipsa jest żyłetką o czterech ostrzach dla... ludzkości”.

Myśl ta wywołuje uśmiech na jego twarzy. Rozgląda się po olbrzymim lesie i dostrzega w oddali miasto.

„Zapewne Ouésso”.

Wie, że miasto jest obecnie światową stolicą handlu cennym drewnem, a wycinanie lasów stało się głównym źródłem dochodów kraju.

David powraca myślami do Aurore Kammerer, swojej rywalki w konkursie. Ma przed oczami jej drobną twarz, wielkie złote oczy w kształcie migdałów i sprytny uśmieszek.

Zastanawia się, co też może ona robić o tej porze, i dochodzi do wniosku, że zapewne rozmawia z Amazonkami, przygotowując sfeminizowaną ewolucję ludzkości.

Znów powraca osobliwe uczucie, że zna ją od dawna.

Zamyka oczy i przypomina sobie swoje poprzednie przygody miłosne. Po licznych porażkach (usłyszał już zdania: „Przykro mi, jesteś dla mnie nieco za młody”, „Przykro mi, jesteś dla mnie trochę za niski”) zaczął się zastanawiać, dlaczego dziewczyny wolą umawiać się z dojrzałymi mężczyznami, a nie z rówieśnikami. Nie spodziewał się, że młody wygląd może stanowić utrudnienie podczas podrywu. Jakże chciałby mieć niski głos, siwiejące skronie albo nawet brodę. Niestety, nawet włoski na brodzie miał rzadkie i nieśmiałe.

Wreszcie pozbył się niewinności, podchodząc do problemu od drugiej strony.

„Każdy błąd, za który bierzemy odpowiedzialność, staje się artystycznym wyborem”.

Nie mogąc grać roli opiekuńczego samca, David zaczął udawać wrażliwe dziecko potrzebujące obrony, żeby budzić w kobietach instynkt macierzyński.

Tym samym zmienił obiekty swoich zainteresowań. Koniec z drobnymi lolitkami zgrywającymi uwodzicielki – teraz zwracał się ku dojrzałym kobietom o obfitych kształtach. Tu rezultaty przeszły jego najśmielsze nadzieje. Owszem, przemawiały do niego jak do dziecka, uwielbiały go tulić, wciskać jego głowę między piersi, kołysać lub zasypywać pieśczośliwymi słówkami. Nieważne, w końcu znalazł taniec godowy, który prowadził go do zwycięstwa: podkreślanie swojej inności.

Tym sposobem mnożył podboje niczym Napoleon, który służył mu za przykład, i stopniowo przeszedł od tych najłatwiejszych ku tym „niedostępnym”, pożądanym przez

wszystkich innych mężczyzn.

Dzięki strategii, którą opanowywał coraz lepiej, zdołał zmusić do poddania się najtrudniejsze do zdobycia fortece.

Afryka przesuwa się w okienku samolotu i w umyśle Davida pojawia się nagle obraz ojca. Przypomina sobie, w jaki sposób przedstawił on syna w jednym z wystąpień w wiadomościach telewizyjnych: „Mój syn ocali świat. Należy do pokolenia, które nie zna granic i na którym spoczywa ogromna odpowiedzialność. Jestem pewien, że mu się uda”. David dochodzi do wniosku, że wystarczy czasami jedno zdanie, żeby zaprogramować los danej jednostki.

Samolot ląduje na lotnisku w Ouésso.

Odebrawszy bagaże, David Wells zmierza do stanowiska odprawy celnej.

Kongijski celnik wielokrotnie sprawdza, czy jego paszport nie jest fałszywy, aby wreszcie pogodzić się z myślą, że ten Francuz o młodzieńczym wyglądzie jest pełnoletni, i wbija mu do dokumentu tożsamości pieczęć z wizerunkiem prezydenta na tronie, w koronie i z berłem.

David opuszcza klimatyzowaną halę lotniska i wdycha wrzące z natury powietrze na zewnątrz. Stwierdza, że we wszystkich krajach, które włączają słowo „demokratyczny” do swojej nazwy, często w rzeczywistości panuje dyktatura: „Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna”, „Niemiecka Republika Demokratyczna”, „Demokratyczna Kampucza”.

„Jeszcze jeden paradoks: w imię wolności ludu pozbawia się go wolności”.

David dostrzega w holu mężczyznę z tabliczką z napisem: DOKTOR WELLS. To postawny Afrykanin o krótko ściętych włosach, ubrany w beżowy garnitur w stylu kolonialnym. Na klapie jego marynarki widnieje kilka dyskretnych medali.

Mężczyzna uśmiecha się do niego szeroko i energicznie ściska mu dłoń.

– Nazywam się N’goma, będę pańskim przewodnikiem.

– Miło mi, N’goma.

– Pierwsza rada, proszę użyć kremu z filtrem, od kilku dni słońce naprawdę daje popalić. Zabrałem ze sobą kilka manierek, nie można się odwodnić. Dalej, naprzód ku nowym przygodom! – oznajmia.

David pakuje bagaże do wspaniałego terenowego peugeot, który na nich czeka, i ruszają gładką asfaltową drogą. Opuszczają Ouésso, jadą wzdłuż rzeki Saangha aż do miejsca, w którym ta łączy się z rzeką Ngoko.

Pierwszym odczucie młodego francuskiego naukowca to ogrom wszystkiego. Ludzie są więksi, drzewa są większe, insekty są większe, nawet słońce wydaje się większe.

Wszystko tu jest kolorowe. Wszędzie kwiaty, rośliny, motyle, owady. Nigdy wcześniej David nie widział takiego bogactwa wyrazu natury.

Powietrze jest przepelnione tysiącem różnych woni, zapachem piasku, liści, kurzu, żywicy. Kiedy przejeżdżają przez miasteczka, ludzie pracują i rozmawiają na zewnątrz. Dzieci wydają się radosne, kobiety w wyrafinowanych tunikach chętnie wybuchają śmiechem.

N’goma wygląda na bardzo rozluźnionego. Kręci gałką radia i wybiera *Dziwiotą symfonię* Beethovena, która zadziwiająco dobrze pasuje do fantastycznego krajobrazu.

Mijają tablicę z napisem: **PARK NARODOWY POD OCHRONĄ. ZAKAZ WSTĘPU** i zatrzymują się przed ogrodzeniem strzeżonym przez uzbrojonych mężczyzn z naszywkami **OCHRONA** na ubraniach. Wystarczył jeden gest dłoni przewodnika, żeby strażnicy go rozpoznali i podnieśli

szlaban.

– Pięknie tu, co? Te drzewa wznoszą się na wysokość sześćdziesięciu metrów, a niektóre mają ponad tysiąc lat! – oznajmia N’goma uczonym tonem. – To pozostałości po lasach z początków świata. Masa roślinności produkuje ogromną ilość tlenu. Tutaj, w Kongu, znajdujemy się w płucach Afryki, ale też całej planety. Razem z Amazonią, oczywiście.

Młody badacz zauważa, że niektóre drzewa istotnie wznoszą się tak wysoko, że z ziemi nie widać ich koron. Po drodze N’goma wyjaśnia, że jest siostrzeńcem właściciela tej eksploatacji. To dlatego mogli wjechać na uprzywilejowanych zasadach.

– Eksploatacji? Ale przy bramie było napisane, że to park narodowy pod ochroną.

– Wie pan, tutaj nie należy wierzyć tablicom. To park narodowy pod ochroną, który jednocześnie został sprzedany mojemu wujowi w celu eksploatacji drzew. Trochę jak parki narodowe w Tanzanii, gdzie zwierzęta są pod ochroną i gdzie nie wolno polować nikomu... z wyjątkiem przyjaciół prezydenta. Powiedzmy, że tutaj się nie poluje, ale eksploatuje. Te drzewa to rzadkie gatunki. Można je spotkać tylko tutaj. Są warte fortunę, naturalnie więc budzą pożądanie. Grasują tu mafie.

– Leśne mafie?

– Znajduje się pan na jednym z największych terenów nowoczesnego użytkowania lasów na świecie, panie Wells. Zresztą na pana miejscu przygotowałbym również reportaż na temat naszego przemysłu drzewnego. Cały świat traktuje nas jak kraj rozwijający się, ale zobaczy pan, nasze zakłady eksploatacji są z informatyzowane, zmechanizowane, wyposażone w nadzór wideo. Nie mamy czego zazdrościć największym przedsiębiorstwom zachodnim. Nawet w Brazylii nie potrafią

równie szybko upłynniać pni. Nasza produkcja wzrasta wykładniczo.

– Na razie to nie mój temat – odpowiada David, odganiając z rozdrażnieniem krążące wokół niego komary.

Poci się obficie i nie wypuszcza z rąk bukłaka z chłodną wodą. Przejeżdżają przez błotniste połączenie ziemi pokryte pniakami.

– Moim zdaniem powinniśmy ich tutaj znaleźć – oznajmia przewodnik.

Wjeżdżają na polanę i dostrzegają ślady niedawno opuszczonego obozowiska: grot strzały i pęknięty drewniany kubek.

– Kiedy widział ich pan po raz ostatni? – pyta David.

– W zeszłym miesiącu. Problem polega na tym, że chciał pan spotkać „dzikich Pigmejów”, a nie „cywilizowanych”, tymczasem dzicy to wędrujące plemię żyjące z polowań i zbieractwa. Nie znają rolnictwa ani hodowli, nie prowadzą osiadłego trybu życia. Często się przemieszczają. Dlatego działają na nerwy rządowi. A teraz bądź tu człowieku mądry i domyśl się, gdzie akurat przebywają! Nie mówiąc już o tym, że urządzają biwaki w głębokiej dżungli. Osłonięci listowiem są niewidoczni dla helikopterów i satelitów.

– Ale my mimo wszystko ich znajdziemy, prawda? W tym celu przyjechałem – przypomina francuski uczonec.

Przewodnik przygląda się nielicznym chmurom wysoko na niebie.

– Moim zdaniem, biorąc pod uwagę, że jest wiosna, musieli udać się na zachód. Często to robią.

W tym momencie do ich uszu dobiega trzask. Po pierwszym niskim odgłosie następuje kilkanaście kolejnych. Rozrywają się drewniane włókna. Drzewa pochylają się ku nim,

niczym w służalczym ukłonie, po czym upadają wśród szumu liści, uwalniając kwiaty i liście.

David jest zafascynowany widokiem tych olbrzymich roślin powalanych z taką łatwością.

Wielkie dymiące buldożery o mechanicznych ramionach zakończonych stalowymi szczypcami chwytają za pień, następnie piła tarczowa nacina korę nieco nad korzeniami.

Powalenie tysiącletniego drzewa zajmuje zaledwie kilka minut.

Piły wyją piskliwie, a umierające drzewa odpowiadają krzykiem agonii w niskich rejestrach. Przewodnik przykręca głośność symfonii Beethovena.

– Mamy obecnie zwiększone zapotrzebowanie na jednorazowe pałeczki dla restauracji japońskich.

– Niszczy się te drzewa, żeby produkować... jednorazowe pałeczki?

– Ach, wy, ludzie Zachodu, jesteście wszyscy tacy sami: chętnie konsumujecie, ale nie chcecie wiedzieć, skąd dany produkt pochodzi. My, Bantu, nie jesteśmy aż takimi hipokrytami. Wiemy, że dla hamburgerów zarżnięto krowy, dla nuggetsów porażono prądem kurczaki, a dla kawioru skradziono ikrę jesiotra. A chusteczki do nosa i jednorazowe pałeczki pochodzą z drzew.

Zadowolony ze swojej wypowiedzi uśmiecha się, odsłaniając piękne białe zęby.

David przygląda się, jak buldożery usuwają pnie, które są już teraz tylko brązowymi walcami.

– Jesteśmy w stanie powalić jedno drzewo co trzy minuty. Ale od niedawna dysponujemy nową, jeszcze bardziej wydajną maszyną. Nazwaliśmy ją „kosiarką”. Ścina drzewa w minutę! – oznajmia z dumą.

Za buldożerami rozciąga się horyzont, odsłaniając zarośla, spomiędzy których tu i ówdzie wyłaniają się pojedyncze pnie.

– Jedziemy – mówi N’goma. – Te buldożery są tak wysokie, że obsługujący je robotnicy mogą nas nie zauważyć z kabiny i zmiażdżyć. Tym bardziej że większość z nich jest naćpana i słuchają muzyki na pełen regulator.

– Jak można ścinać drzewa, będąc naćpanym i ogłuszonym przez muzykę?

– Wewnątrz wszystko jest zautomatyzowane. To się nazywa postęp!

Przewodnik daje mu znak, że trzeba wsiąść do peugeot’a i pędzić ku zachodowi. Jadą drogą, która stale się zwęża, aż wreszcie całkiem się urywa. Roślinność jest tu tak gęsta, że nie sposób dalej jechać. Wtedy wysiadają, zrzucają duże plecaki i kontynuują wędrówkę piechotą.

Przez moskitierę słońce operuje mniej agresywnie, ale upał nadal jest uciążliwy. Komary krążą wokół Davida, który klepie się w kark w chwili, gdy trzy owady usiadły już na wilgotnej skórze, żeby wkuć się w niego aż do krwi. Spogląda na dłoń, na której widnieją ich szczątki.

– Nienawidzę komarów.

Kongijczyk klepie go mocno po ramieniu.

– To wina Noego. Dlaczego ten imbecyl wpadł na pomysł, żeby spośród żyjących istot zabrać parę komarów?

Francuski badacz wciąż młóci powietrze rękami.

– Na dodatek mam wrażenie, że je przyciągam. Zawsze najpierw zlatują się do mnie.

– Pańska krew musi wydawać im się słodka. Dla nich biali mają inny smak, są jak łakocie.

Mężczyźni docierają na polanę i stawiają namioty w dżungli, żeby zjeść kolację i przespać się. Przewodnik rozkłada

moskitierę, żeby zabezpieczyć swojego klienta. Na zewnątrz eskadra dwuskrzydłych myśliwców przybyłych w charakterze posiłków wydaje skrzydłami wysoki, piskliwy dźwięk, żeby im dokuczyć.

– Jest ich coraz więcej. Podobno to przez dziurę ozonową, w wyniku której wzrasta temperatura, a przez to ich aktywność.

– Nienawidzę ich. Złodzieje krwi. Pasożytnicze wampiry – mówi David, rozgniatając zuchwalca.

– Co gorsza, przenoszą przeróżne choroby. Osobiście najbardziej się boję chikungunya. Bardzo szybko się rozwija. Krew wylewa się przez oczy, nos i uszy. No i są jeszcze muchy tse-tse! Kiedy człowiek to złapie... przestaje się ruszać. Jest jak duch. Ma zagubione spojrzenie i na nic nie reaguje.

– Podobno leśni Pigmeje nie łapią tych chorób...

– Pigmeje? Nie, nie chorują, ale może to dlatego, że nie zgłaszają się do szpitali, umierają więc, ale nie wiadomo na co!

Przewodnik raz jeszcze odsłania zęby, tłumiąc śmiech, po czym ciągnie:

– Poza tym wolę być chorym i inteligentnym niż Pigmejem. Oni są po prostu... głupi.

Bantu znów klepie Davida po plecach, jak gdyby chciał mu wpoić tę sentencję.

– Nie sądzę, żeby byli głupi – odpowiada David poważnie.

– Jest pan komiczny! Bądźmy realistami. Pigmeje to prehistoryczni ludzie żyjący we współczesnym świecie. To normalne, że nie łapią współczesnych chorób.

– Jestem przeciwnego zdania. Sądzę, że są przedstawicielami przyszłej ludzkości.

– Pigmeje? Przyszłość? Z całym szacunkiem, chyba wszystko się panu pomieszało. Rozumie pan świat na opak. Myli pan przyszłość z przeszłością, inteligencję z głupotą, ewolucję z

prehistorią, siłę ze słabością, wielkość z... Nie, proszę wybaczyć, poniosło mnie.

Przewodnik wybucha śmiechem.

– Bądźmy poważni, Pigmeje żyją w lesie, polują przy użyciu łuku, jedzą gąsienice, nie mają... smartfonów! Nie mają nawet nazwisk, tylko imiona! Ci, którzy pracują przy uprawach mojego ojca, są trochę niedorozwinięci. Niczego nie rozumieją. Ojciec musi ich bić, jak rozrabiające dzieciaki. Wie pan, w czym wypłaca im pensje? W cukierkach. I są bardzo zadowoleni. Za wykarczowanie czterystu metrów pola, zaoranie i zasianie Bantu płaci Pigmejowi butelką wina palmowego! Za to tym, których spotkamy, wie pan, czym zapłacę za dostarczenie panu rozrywki? Tym!

Pokazuje małe lusterka „made in China” na plastikowych podstawkach.

– To ich fascynuje. Nie potrafią ich wyprodukować. Kiedy im je daję, wpatrują się w nie długo, jak gdyby zastanawiali się, kim są. Jak dzieci. Nawet dorośli nie są dojrzałymi osobnikami, tylko... dziećmi, które nie przekroczyły jeszcze etapu lustra.

– W takim razie przyszłość być może należy do dzieci.
N’goma nie przestaje się śmiać.

– Nie chcę pana rozczarować, ale kiedy ich pan zobaczy, sam pan zrozumie. To karły, większość stanowią kobiety i to one rządzą. Dwa noworodki na trzy umierają. Średni czas ich życia nie przekracza czterdziestu lat. Ciężko ich nazwać rozwiniętymi ludźmi.

David otwiera paczkę makaronu z liofilizowanymi krewetkami, który wrzuca do wrzątku i miesza dużą plastikową łyżką.

– Nawet w Japonii ludzie są obecnie wyżsi średnio o dziesięć centymetrów, ponieważ dzieci zaczęły jeść produkty

mleczne. Przyszłość należy do wielkości, wszyscy specjaliści zgadzają się co do tego, proszę pana.

N'goma błyskawicznym gestem rozgniała komara, któremu wydawało się, że znajduje się poza jego zasięgiem.

– Natura lubi czasami zaskoczyć „specjalistów”. Nawet jeśli wszyscy się ze sobą zgadzają – odpowiada David dla zasady.

– Czyli pan miałby jedyny mieć rację w przeciwieństwie do reszty świata?

Naukowiec wzrusza ramionami.

– Mój ojciec mawiał: „To, że wielu się myli, nie znaczy, że mają rację”.

– Mimo wszystko wystarczy się chwilę zastanowić, proszę pana, człowiek przyszłości musi być większy, silniejszy, piękniejszy, zdrowszy. Logiczne. Niezaprzeczalne!

– Wciąż mi pan nie odpowiedział na pytanie, dlaczego Pigmeje nie zarażają się typowymi tutaj chorobami. Podobno są nawet odporni na HIV. Czy to prawda?

– Owszem, odpowiedziałem panu, ale nie słuchał mnie pan. To dlatego, że nie udają się do szpitali, ich choroby nie są więc odnotowywane.

Przewodnik wzdycha, zgniatając kolejnego komara.

– Chyba jest już późno, proszę pana. Lepiej iść spać, będziemy mieć jutro więcej sił na poszukiwanie pańskich „ludzi przyszłości”.

Na deser N'goma obiera jabłko, tworząc długą girlandę ze skórki.

38.

Przypominam sobie.

Po bólu rozdzierania pojawia się strach, że to się powtórzy.

A jeśli inna asteroida, większa niż Teja, wyłoni się z przestrzeni?

Być może dlatego, że zaczynam nabierać świadomości tego, czym jestem, i szczęścia, jakie mam, że jestem żywa i myśląca, myśl o śmierci wydaje mi się zupełnie nie do zniesienia.

Musiałam zacząć się bronić.

Pierwszą moją reakcją obronną była „gorączka”. Z moich wulkanów wytrysnęła para, tworząc gęstą i nieprzezroczystą atmosferę, która stała się moim pierwszym płaszczem ochronnym. Wiedziałam, że ta zbita masa gazów będzie mnie chronić przed kamieniami z przestrzeni.

Tak się stało.

Kiedy się zbliżały, stawały w płomieniach w wyniku tarcia w gazach i obracały się w popiół.

Mimo to wiedziałam, że atmosfera ochroni mnie tylko przed małymi asteroidami, nie przed dużymi.

Podczas gdy wszystkie śmieci przestrzeni kosmicznej, przyciągane moją grawitacją, zapalały się w nowej atmosferze, nie szkodząc mi w najmniejszym stopniu, ja myślałam o tym, że trzeba poprawić tę ochronę na wypadek, gdyby wydarzył się kolejny incydent.

39.

Komary.

Znowu komary. Wszędzie dziesiątki wirujących, drżących, muskających, kłujących, ssących komarów.

David wyslizguje się ze śpiwora. Obok niego N'goma śpi z zaciśniętymi pięściami. David bierze koc i wychodzi na zewnątrz. Afrykańska noc jest wspaniała. Powietrze emanuje tysiącem niesamowitych, różnorodnych zapachów, śpiew owadów i ptaków brzmi niczym hymn na cześć życia.

David podziwia lśniące srebrzyście w oddali zbocza wulkanu Nyiragongo i uświadamia sobie, że to prawdopodobnie tutaj siedem milionów lat temu pojawili się pierwsi ludzie.

Przełyka ślinę, unosi oczy ku rozgwieżdżonemu niebu. Księżyc w pełni rozjaśnia dżunglę. Spadająca gwiazda mija konstelację Łabędzia i David wypowiada życzenie.

„Zobaczyć ją raz jeszcze”.

Sięga po smartfona i wybiera jej numer.

– Halo? Nie przeszkadzam? Tu mówi David Wells. Pamięta pani? Facet z wkładkami, który tropi Pigmejów.

– Która godzina u pana?

– Późna. A u pani?

– Wczesna.

– Czy możemy mimo to porozmawiać?

– Nie może pan zasnąć? Ma pan szczęście, bo ja również.

– Ja z powodu komarów i upału, a pani?

– Ja z powodu wiatru, chrapiących staruszków i hotelowych ścian cienkich jak tektura.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– I z powodu wspomnień.

– Proszę, oto, co spowalnia działania badaczy ewolucji: chrapanie staruszków, brzęczenie komarów, upał i wspomnienia.

Upływa dłuższa chwila milczenia.

– Jest pani tam jeszcze, Aurore?

– Cały czas.

– Proszę wybaczyć, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że podczas tamtego wieczoru zachowałem się nieco... niezręcznie.

– Podrywając mnie otwarcie przy mojej dziewczynie? – ironizuje Aurore. – To już zapomniane. Mężczyźni bywają często dość prymitywni. Dlatego zresztą wolę kobiety.

– Przykro mi.

– Chociaż mimo wszystko wydał mi się pan uroczy w swojej niezręczności.

– Muszę to jednak pani powiedzieć: doznałem... lekkiego szoku podczas naszego spotkania.

Aurore chichocze kpiąco.

– Naprawdę mam wrażenie, że panią znam – ciągnie z powagą.

Ona udaje, że nie dosłyszała i pyta:

– Co tam słyhać w Afryce?

– Tutaj gardzi się Pigmejami. A u pani?

– Tutaj gardzi się Amazonkami. Co my właściwie robimy, Davidzie, tak daleko od naszych domów?

– Chyba uciekamy przed starym, znanym nam światem. Nigdzie nie widziałem równie jasnego nieba i równie pięknych spadających gwiazd.

– Ja sądzę, że usiłujemy dostrzec przyszłość, starając się zrozumieć przeszłość. Wszystkie nasze wybory ewolucyjne są znamienne dla pewnej szczególnej percepcji danego momentu historii. W pana wypadku to epoka plemion wędrownych Pigmejów, w moim to starożytność i królestwo Amazonek.

David rozgniała komara.

– Ma pani rację, mój ojciec usiłował dopatrzeć się znaczenia ewolucji, poszukując skamielin dinozaurów sprzed sześćdziesięciu milionów lat, a mój pradziadek – obserwując mrówki liczące sobie sto dwadzieścia milionów lat. Wygląda na to, że aby spojrzeć daleko przed siebie, trzeba uprzednio obserwować to, co znajduje się daleko w tyle.

Grupa hien chichocze wśród afrykańskiej nocy.

Aurore chowa się głębiej pod kołdrę.

– No cóż, dobranoc, Davidzie. Zdzwońmy się, jeśli nasze sprawy posuną się naprzód.

Rozłącza się. On robi to samo, wie jednak, że nie zdoła od razu zasnąć, uruchamia więc na smartfonie aplikację, która umożliwia śledzenie wiadomości telewizyjnych.

40.

MISTRZOSTWA ŚWIATA W PIŁCE NOŻNEJ: W jednej szesnastej finału mistrzostw świata w Rio de Janeiro drużyna Francji została pokonana przez Danię nieodwołalnym wynikiem trzy do zera. Podobno problem był natury psychologicznej, gdyż kilka minut przed rozpoczęciem meczu zawodnicy francuscy postanowili zastrajkować z powodu tak zwanej „oszczerczej kampanii” relacjonującej jeden z wieczorów, na który zaproszono nieletnie *call girls*. „Był to prezent urodzinowy dla napastnika, nie mieliśmy pojęcia, w jakim wieku były te dziewczyny” – oznajmił kapitan drużyny Francji Narcisse Diep. Następnie czym prędzej wrócił prywatnym odrzutowcem do swojego zamku w Szwajcarii, odmawiając jakichkolwiek komentarzy na temat przegranej.

AFERA SZCZEPIONKOWA: Skandal związany z niepotrzebnymi szczepieniami na gripę A-H1N1 powraca, mimo że o sprawie było głośno już kilka lat temu. Ówczesny minister zdrowia stanął przed trybunałem administracyjnym w celu wyjaśnienia marnotrawstwa pieniędzy, a teraz będzie sądzony przez sąd karny za defraudację. Istotnie zakupił on osiemdziesiąt milionów dawek szczepionki na gripę, która ostatecznie okazała się niegroźna. Były minister zdrowia bronił się, uzasadniając ten poważny wydatek koniecznością przedsięwzięcia środków ostrożności. Tak zwane marnotrawstwo szczepionek A-H1N1 wciąż jednak wywołuje żywe reakcje. „W chwili gdy problemy finansowe w systemie ubezpieczeń społecznych są wyjątkowo duże, strata milionów

euro na niepotrzebne leki jest po prostu skandaliczna. Została utworzona komisja parlamentarna, która zbada tę sprawę równoległe z wymiarem sprawiedliwości – oznajmił szef opozycji, dodając: – Media, które przeceniły niebezpieczeństwo i podsycaly zbiorową paranoję, powinny również uznać swoją winę i w przyszłości wykazać się większą ostrożnością”.

IRAN: Odkrycie nowych, bardzo głęboko położonych złóż ropy przy północnej granicy państwa. Prezydent Jaffar obiecał, że cały dochód zostanie przeznaczony na wojnę z „syjonistycznym wrogiem”: „Ropa została nam dana przez Boga w celu zgładzenia niewiernych i przepędzenia ich z naszych świętych ziem” – oznajmił przed kamerami irańskich mediów. Organizacja Amnesty International mówi z kolei o licznych aktach dywersji stosowanych przez rząd w celu stłumienia trwających manifestacji ruchu „Gdzie jest mój głos?” i odwrócenia uwagi od wysokiego poziomu korupcji wśród władzy. Dziś po południu policja znów strzelała ostrą amunicją do manifestantów, w wyniku czego śmierć poniosło dwadzieścia osób, a około stu zostało rannych. Ponad pięciuset studentów zostało aresztowanych i postawionych przed religijnym sądem wyjątkowym. Zdaniem Amnesty International stosowanie tortur rodem ze średniowiecza odbywa się systematycznie. Grupa „Gdzie jest mój głos?” postanowiła mimo wszystko zwołać kolejną manifestację pokojową na jutro.

CIEKAWOSTKA NAUKOWA: W Bergen w Norwegii grupa naukowców od dziesięciu lat bada osobliwy fenomen – zmniejszanie się rozmiarów dorsza. Dorsz, podstawowy produkt spożywczy ludów nordyckich, jest ważnym czynnikiem ekonomicznym, fenomen ten niepokoi więc norweski rząd. Ekipa z Bergen stwierdziła, że z pokolenia na pokolenie dorsze zmniejszyły się sześciokrotnie. Mutacja ta zdaniem Norwegów

jest wynikiem zadziwiającej adaptacji do działań ludzkich. Dorsze miałyby ewoluować w tym kierunku, aby móc... przeciskać się przez oka sieci rybackich.

TESTY NA INTELIGENCJĘ: Po raz pierwszy w historii światowe wyniki testów IQ zaczynają się pogarszać. Od 1940 roku (kiedy zainicjowano takie testy) aż do lat dziewięćdziesiątych krzywa rezultatów na całym świecie rosła. Począwszy od 1990 roku zaczęła utrzymywać się na tym samym poziomie, a od ubiegłego roku średnie wyniki testów gwałtownie spadają. Podaje się następujące przyczyny tego zjawiska: 1) Nasze dobrze odżywione i starannie pielęgnowane mózgi osiągnęły maksymalny poziom wydajności. 2) Internet, oferując nieustanny dostęp do wszystkich odpowiedzi, powoduje utratę umiejętności skupienia się i refleksji, szczególnie wśród młodych ludzi. Świadomość, że informacja jest zawsze do dyspozycji, zniechęca ludzi do zapamiętywania. 3) Dążenie do wydajności ekonomicznej skłania ludzi do ograniczenia czasu nauki. 4) Świat stał się tak złożony, że jednostki coraz rzadziej pozwalają sobie na zrozumienie go w całości. 5) Zanieczyszczenie środowiska. 6) Brak snu.

SABOTAŻ: Szalony projekt kanadyjskiego miliardera Sylvaina Timsita ledwie się rozpoczął, a już w głównym hangarze wybuchł spektakularny pożar, niszcząc wszystkie makiety służące jako modele konstrukcji statku kosmicznego o fotonowym napędzie „Gwiezdny Motyl 2”. Policja trafiła na ślady materii łatwopalnej, co pozwala sądzić, że nastąpiło podpalenie lub sabotaż ze strony przeciwników projektu. Wiadomo bowiem, że od czasu ogłoszenia planów konstrukcji gwiazdowego żaglowca liczba nieprzychylnych reakcji nieustannie wzrasta. Miliarder oznajmił, że incydent ten zwolni postęp prac, ale on sam nie odstąpi od swojego projektu,

niezależnie od przeszkód.

WYPRZEDAŻ: Ogłoszenie rozpoczęcia okresu wyprzedaży w paryskich galeriach handlowych spowodowało dziś rano pojawienie się tłumów, szczególnie przy bulwarze Haussmanna. Dwadzieścia tysięcy osób – zdaniem policji, ponad pięćdziesiąt tysięcy – zdaniem właścicieli sklepów. Niektóre klientki koczowały na chodnikach, chcąc mieć pewność, że znajdą się na dobrej pozycji w chwili otwarcia bram świątyni konsumpcji. Niespodziewana informacja o dodatkowym dziesięcioprocentowym upuście dla pierwszych kupujących wywołała w jednym ze sklepów istne szaleństwo, kilka osób zostało potrąconych i stratowanych. Naliczono około trzydziestu rannych, na szczęście niegroźnie.

POGODA: Pogoda powinna poprawić się w ciągu najbliższych dni. Nigdy nie notowano jeszcze równie łagodnych temperatur o tej porze roku.

41.

Co się dzieje?

Wykopali bardzo głęboki otwór na terytorium zwanym Iranem, na granicy z tak zwaną Turcją. Tym razem to odwiert, ale ja się nie dam. Mój sukces z dreszczami na biegunie południowym dowodzi, że potrafię celować z dokładnością do kilkuset metrów.

Właściwie to mam ochotę spróbować czegoś innego niż dreszczy.

Dlaczego by nie... kichania?

42.

Sąsiedzi chrapią, a odgłos przenika przez ścianę.

Aurore Kammerer wciąż nie może zasnąć. Widzi, jak w

oddali wschodzi słońce. Jest bardzo głodna. Schodzi do hotelowej restauracji, która szczęśliwie jest już otwarta i wydaje śniadania rannym ptaszkom.

Właściciel o sumiastym wąsie pełni służbę.

– Mówię po francusku – oznajmia.

Radzi, żeby skosztowała lokalnego specjału: grillowanej głowy owczej w sosie jogurtowym, ale Aurore woli chleb z masłem, konfiturę i kawę. Wypytuje mężczyznę o swój ulubiony temat.

– Kogo? Amazonki? Nie, przykro mi, to tylko legendy. Owszem, są okolice, w których żyje więcej kobiet niż mężczyzn, ale to zazwyczaj przez przypadek.

Aurore pokazuje mu książkę z wizerunkami Amazonek. Dyrektor przygląda wąsy, pełen powątpiewania.

– Papier przyjmie wszystko. To bajki dla dzieci. Jeśli o nas chodzi, uważamy, że to tylko aluzje do zacofanych ludów.

– Czy mogłabym prosić o kawę z kropelką rakii na rozgrzewkę? – prosi Aurore.

– Przykro mi, nie podajemy tutaj alkoholu, proszę pani. To szanujący się lokal.

Po czym nachyla się ku niej i ciągnie szeptem:

– Wczoraj po pani przyjeździe niektórzy klienci się skarżyli. Czy mogłaby pani, dla higieny, zakrywać włosy chustą, bardzo proszę, i nie odsłaniać łydek, kiedy pani chodzi?

W tym momencie na zewnątrz rozlega się głuchy pomruk, wprawiając hotel w drżenie. Aurore odwraca się w stronę okna i dostrzega, że niebo, które powoli się rozjaśniało, teraz gwałtownie pociemniało, zasłonięte grubą warstwą chmur. Pchane podmuchami wiatru ciemne obłoki zbijają się, tworząc swego rodzaju lej z szarej koronki, którego czubek skierowany jest w dół i zmiata wszystko na swojej drodze.

Przypominają jej się słowa policjanta z poprzedniego dnia:
„Ryzyko słabego wiatru i deszczu”.

W oddali drzewa, domy, samochody, krowy i kozy są
wsysane przez tornado.

Szary lej przemieszcza się powoli w ich stronę.

Francuska badaczka natychmiast rusza w kierunku
korytarza, w którym zgromadzili się już wszyscy goście
hotelowi. Zamierzają dostać się na wąskie kamienne schody
prowadzące do piwnicy. Mając zwykłą żarówkę za całe
oświetlenie, dziesięć zaniepokojonych osób czeka. Aurore
przypominają się słowa Jima Morrisona.

Here is the end, my beautiful friend.

Of our elaborate plans. The end.

– Czy często macie tutaj do czynienia z tornadami? – pyta
szepem dyrektora hotelu młoda badaczka.

– Nigdy – odpowiada mężczyzna, którego czoło jest
zroszone dużymi kroplami potu. – To się dzieje po raz pierwszy.
Nic nie rozumiem.

43.

Dobrze, machina ruszyła.

Co teraz?

*Ach, tak! Niepokoją mnie także ci z Afryki. Wycinają moje
lasy coraz bardziej niszczycielskimi maszynami.*

Moje drzewa...

*Strzygą moje futro ochronne. Ścinają włosy, które służą do
regulacji temperatury i poziomu tlenu. Tam również muszę
zareagować.*

Dreszcze? Kichanie?

Spróbujmy czegoś oryginalniejszego.

44.

David Wells ziewa i wstaje. Dzięki zatyczkom do uszu, maści na komary, środkowi nasennemu i szklance „Kill-Me-Quick” (oryginalna lokalna wódka) zdołał zasnąć. Kawalek dalej N’goma czeka przy ognisku, gdzie już nadział kawałki chleba na długie patyki. Kongijczyk zdejmuje kawiarkę z ognia i napełnia kubek parującym płynem.

David kosztuje, rozkoszując się gorącym napojem.

– Zapowiada się bardzo gorący dzień – mówi N’goma. – Nigdy nie spotkałem się z takim upałem. Temperatura gwałtownie się zmieniła. Na szczęście znajdujemy się w cieniu drzew, ale na wykarczowanych terenach musi panować straszna duchota. Współczuję tym, którzy pracują dziś w polu.

David smaruje się grubą warstwą kremu ochronnego.

– Jaki mamy plan?

Przewodnik rozkłada mapę.

– Będziemy nadal kierować się na wschód. Moim zdaniem dzicy Pigmeje muszą tam być, to okolica najgęściej zalesiona, jest także dostęp do wody. Trzeba przyznać, że posiadają oni dar znajdowania wód powierzchniowych.

Sięga po miswak i szoruje sobie zęby na sucho.

W tym momencie daje się słyszeć osobliwy odgłos, jakby rozgniatanie mnóstwa suchych liści. N’goma wydaje się nagle bardzo zaniepokojony.

Dwaj podróżnicy szukają źródła hałasu i wreszcie dostrzegają czarny strumień zmierzający w ich stronę z dużą prędkością.

– Co to jest? Lawa?

– To nic mineralnego, raczej coś zwierzęcego. To mrówki.

– Sprawia pan wrażenie przerażonego. Co się dzieje, N’goma? Sam pan powiedział, że to tylko mrówki.

Przewodnik podaje Davidowi lornetkę, żeby ten wreszcie mógł zobaczyć, o co chodzi.

– Nie byle jakie. To mrówki z rodzaju *Dolyrus*.

Zaintrygowany David wyostrza obraz i dostrzega na czole ciemnej melasy sunącej w ich stronę rozliczne zwierzęta: jaszczurki, węże, myszy, króliki, które topią się w kwasie ostrych żuwaczek. Kilka ptaków próbuje poderwać się do lotu, ale ich skrzydła są już obciążone mrówkami i po kilku podskokach opadają w sam środek ciemnej kałuży mięsożernych mrówek, które natychmiast je pochłaniają.

– Nigdy ich tylu nie widziałem – przyznaje młody badacz.

– Można by pomyśleć, że ziemia wysuwa język, który wszystko wsysa.

Kongijczyk pospiesznie pakuje najpotrzebniejszy sprzęt do plecaka.

– Ciekawe, że dzieje się to właśnie teraz, jest jeszcze za wcześnie. Być może upał obudził je przed czasem.

Przewodnik milknie i ciągnie Davida za ramię.

45. ENCYKLOPEDIA: NAJSTARSZY GATUNEK

**Mrówki pojawiły się sto dwadzieścia milionów lat temu.
Człkoksztaltne żyją na ziemi od siedmiu milionów lat.
Mrówki wyprzedzają więc przodków człowieka o sto trzystaście milionów lat.**

Jesteśmy młodym gatunkiem i powinniśmy czerpać wiedzę z obserwacji „starszego” gatunku społecznego, który potrafi budować miasta dla milionów osobników, ale także wynalazł rolnictwo, hodowlę i wojnę.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

46.

Są przerażeni, siedzą wtuleni w siebie nawzajem. Ponure trzaski i świsty dają się słyszeć nad ich głowami. Nadciąga głuchy pomruk. Aurore Kammerer drży.

„Po co budować domy i miasta, konstruować samoloty i statki kosmiczne, skoro zwykła turbulencja atmosferyczna wystarczy, żeby wszystko zrujnować?”

Żarówka kołysze się i nagle gaśnie. Mija kilka długich sekund, podczas których odgłosy się nasilają. Słysząc coraz głębsze i szybsze oddechy. W końcu żarówka znów się zapala.

Wszyscy odczuwają ulgę. Światło ponownie gaśnie, tym razem na dłużej, po czym zaczyna migotać, a huk i grzmoty nad głowami zebranych nadal przybierają na sile.

Jakaś kobieta zaczyna krzyczeć, inna – ulegając panice – rzuca się do drzwi. Dwóch mężczyzn usiłuje ją powstrzymać, ale ona mimo wszystko otwiera drzwi i ogłuszający hałas wdziera się do piwnicy. Podbiega trzeci mężczyzna i wspólnie udaje im się zapanować nad kobietą, podczas gdy czwarta osoba blokuje wyjście żelazną sztabą. Dają się słyszeć straszliwe trzaski, światło nagle gaśnie i już się nie zapala. Płacze niemowlę. Ktoś krzyczy, wszyscy tulą się do siebie.

Ogarnia ich atawistyczny strach, taki sam, jaki musieli odczuwać ludzie pierwotni skonfrontowani z potęgą żywiołów. Niewielkie ludzkie stadko kuli się jeszcze bardziej. Drzwi przytrzymywane żelazną sztabą zdają się opierać ogromnemu naciskowi. Aurore zaciska zęby, podczas gdy wszystko wokół trzeszczy, a ziemia drży coraz mocniej.

Tym razem to koniec.

Podmuchy i świsty zastępują teraz skrzypienie drewna i

szczęk kamieni. Puszka elektryczna eksploduje snopem iskier. Ściany zapadają się, rury pękają, uwalniając fontanny cieczy. Przy każdym odgłosie zebranymi wstrząsa dreszcz, jak gdyby byli jednym ciałem. Nad nimi hotel rozpada się i zostaje wessany kawałek po kawałku.

Myśli Aurore kierują się ku jej rywalowi, Davidowi Wellsowi.

Odniesie zwycięstwo swoim komfortowym reportażem o Pigmejach.

47.

Siedząc na grubej gałęzi drzewa w kongijskim lesie, David i N'goma patrzą na zbliżającą się czarną rzekę mrówek.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że pewnego dnia ocali mnie drzewo, biorąc pod uwagę, że wyciąłem ich tak wiele piłą mechaniczną – wzdycha przewodnik.

– Oby tylko mrówkom nie przyszło do głowy wspiać się na pień – odpowiada David, który poci się obficie. – Kierują się zapachem pożywienia. Nie możemy pozwolić, żeby nasz pot spłynął na sam dół. Dla nich wszystko, co pachnie mięsem, stanowi zaproszenie.

Przewodnik modli się po cichu, żeby kolumna mrówek skręciła w bok, ale trójkąt na czele procesji owadów nieodwołalnie zmierza w ich stronę.

Odgłos milionów nózek jest zagłuszony dźwiękami wydawanymi przez piszczące i krzyczące zwierzęta, które chwilę potem dają się pożreć zgrai zaślepionych mrówek. Uwieszeni wśród gałęzi drzewa dwaj mężczyźni czekają i liczą na to, że pochód przejdzie obok, nie zainteresowawszy się nimi.

Czarna żywa rzeka wciąż zmierza naprzód.

Ogarnięte lękiem ciało wymyka się Davidowi spod

kontroli. Mężczyzna nie jest w stanie utrzymać moczu, który przesiąka przez szorty i spływa wzdłuż pnia.

Jedna z mrówek zbliża się, porusza czułkami w kierunku wonnej cieczy, po czym prostuje je gwałtownie, wzywając towarzyszki. Długa brunatna linia zaczyna wspinać się po pniu.

– Musimy podejść wyżej – szepcze N’goma.

Wdrapują się po pniu w kierunku cieńszych gałęzi.

Na tej wysokości David zaczyna odczuwać zawroty głowy. N’goma wciąż się wspina, ale jego wzrost i masa działają na jego niekorzyść – szczytowa gałąź, zbyt cienka, nie jest w stanie udźwignąć jego ciężaru. Łamie się zniecacka i przewodnik spada w czarną mrowiącą się rzekę. Nie mając czasu na wymyślenie niczego bardziej oryginalnego, „Nie, nie!” są jego ostatnimi zrozumiałymi słowami. Owady natychmiast zapychają mu usta i wdzierają się przez inne otwory – nos, oczy i uszy. Prowadzą badania speleologiczne w żywym organizmie, drążąc czerwone i ciepłe ciało niczym miękki i wilgotny tunel.

David wczepia się jeszcze mocniej w gałąź. W tej chwili może docenić zalety swojego niskiego wzrostu i niewielkiej wagi. Tymczasem mrówki kontynuują wspinaczkę, ale on nie może wdrapać się już wyżej. Ścisną mocno gałąź i usiłuje nie ruszać się i wstrzymać oddech.

W połowie drogi grupa ślepych eksploratorek zatrzymuje się, a następnie zawraca.

Wszystkie prócz jednej.

Jedna mrówka, bardziej zuchwała lub bardziej ciekawska od swoich sióstr, samotnie wspina się po pniu, aż wreszcie dociera do stopy Davida. Wdrapuje się na jego spodnie, podczas gdy pozostałe schodzą w dół po korze. Przez ułamek chwili David ma ochotę zmiażdżyć tę małą, pewną siebie zwiadowczynię, obawia się jednak, że zaalarmuje to resztę.

Ogranicza się więc do trwania w bezruchu.

Mrówka-eksploratorka wciąż się wspina, jak gdyby gryzła ją wątpliwość, którą miała zamiar przekształcić w pewność. Wyczuwa urynek i wysuwa czułki, żeby sprawdzić jej skład chemiczny.

David zaciska szczęki.

„Sądziłem, że znalazłem się na początku filmu mojego życia, w rzeczywistości to jego ostatnia scena. Mam dwadzieścia siedem lat i co zrobiłem z moją egzystencją? Pomyśleć, że mój ojciec uważał, że zmienię świat! Skończę jako carpaccio dla mrówek”.

Samotna zwiadowczyni kontynuuje wspinaczkę, podczas gdy na ziemi żywa rzeka nadal opływa pień drzewa. Mrówka wspina się i znika w kieszeni Davida.

Z miejsca, w którym się znajduje, David dostrzega ciało N'goma przeobrażone w starannie oczyszczony szkielet. W tym momencie wpada na osobliwy pomysł, żeby sięgnąć po smartfona i wybrać numer.

– Halo, Aurore? Chciałem panią powiadomić, że wygrała pani, za kilka sekund umrę.

– Ach, tak? – odpowiada ona, siląc się na spokój wśród otaczającego ją rozgardiaszu. – Co za zbieg okoliczności... Ja również.

– Wpadłem w tarapaty z powodu małych mrówek, a pani co zagraża?

– Nieco kapryśna pogoda.

Mrówka-eksploratorka, zauważywszy poruszenie i pomnożenie się zapachów feromonów, stawia czułki na sztorc i wzywa na pomoc siostry.

– Cieszę się, że ostatnie słowa kieruję do pani, Aurore.

Z drugiej strony słuchawki dobiega go hałas, tymczasem

czarna chmara mrówek wciąż rozlewa się po ziemi, a kolumna sprowadzona przez ciekawską eksploratorkę wspina się w jego stronę.

– Wciąż mnie pan podrywa? – Aurore usiłuje się śmiać. – Podoba mi się pański styl, doktorze Wells.

W końcu, przekrzykując z trudem harmider panujący wokół niej, mówi:

– Związku między nami nie należy szukać w dzieciństwie, lecz w śmierci. Nasze równoległe losy urwą się jednocześnie. Żegnaj Dav...

Połączenie zostaje nieoczekiwanie zerwane, zanim Aurore zdąży wypowiedzieć ostatnią sylabę.

48.

Mam wrażenie, że uderzyłam nieco obok celu.

Trudno. Mam czas, żeby nauczyć się robić to dobrze.

Na jakim to etapie wspomnień się zatrzymałam?

Atmosfera: mój pierwszy płaszcz.

Miałam wreszcie warstwę powietrza i chmur, które chroniły mnie przed meteorytami. Chciałam, żeby była jak najgęstsza.

Wraz z gęstością stała się jednak ciemna i naelektryzowana.

Burze poruszyły tę masę gazów. Para wodna skropliła się.

Płakałam.

Padalam deszczem.

A moje łzy, rozlewając się po dolinach mojej powierzchni, wypełniły je. Kałuże stały się jeziorami. Jeziora połączyły się, tworząc morza. A morza połączyły się, tworząc oceany.

A ja wciąż płakałam.

Deszcz nadal padał.

Wody podnosiły się.

Odtąd miałam w oceanach nową ochronę amortyzującą,

tym razem płynną.

Kiedy przyciągane moją grawitacją asteroidy przenikały przez atmosferę, zapalały się, płonęły, lecąc przez warstwę gazów, po czym ich resztki spadały amortyzowane przez powierzchnię wód.

Mimo to trwał we mnie ten lęk przed śmiercią.

Co zrobić, żeby zapewnić sobie lepszą ochronę przed masowym atakiem asteroidów?

Chyba to strach rozbudził we mnie „inteligencję”.

W tamtym okresie zaczęłam rozważać pewną myśl: „Żyję i myślę. Dla własnej ochrony muszę wynaleźć istoty, które byłyby jak ja: żywe i myślące”.

Jak stworzyć inne życie?

Zastanawiałam się kilka milionów lat i wreszcie znalazłam rozwiązanie.

49.

David zamyka oczy i czeka na śmierć.

Nagle słyszy za sobą głos.

– Psyt!

Unosi powiekę, odwraca się i dostrzega młodą dziewczynę o ciemnej skórze, najwyżej piętnastoletnią. Wyłoniła się spośród gałęzi drzewa jeszcze wyższego niż to, na którym on się znajduje. Trzyma w dłoni lianę, a drugą podaje jemu. Jest ubrana w różową koszulkę Chanel. Daje mu znak, że nie ma teraz czasu na prezentację.

David chwyta lianę i rzuca się w pustkę.

50.

Hałas ucichł. Tornado ustąpiło.

Kiedy Aurore wreszcie wychodzi z piwnicy, która służyła

za schron, odkrywa, że hotel i wszystko wokoło wygląda jak po bombardowaniu. Dach zniknął, ściany zapadły się lub chyły się niebezpiecznie.

Goście hotelowi, wciąż jeszcze pod wpływem emocji, nie wiedzą, czy powinni rozpaczać na widok ruin, czy też gratulować sobie, że uszli z życiem.

Młoda badaczka myśli szybko. Stwierdza, że oto nadarza się wyjątkowa okazja. Dyskretnie wybiera swoje rzeczy spośród gruzu, odnajduje również samochód Tata, który szczęśliwie ocalał na parkingu.

Uruchamia silnik i odjeżdża. Po drodze dociera do niej ogrom katastrofy. Wygląda na to, że jakiś olbrzym zabawiał się niszczeniem wszystkiego, co powstało w wyniku pracy człowieka: słupy elektryczne, chaty, domy. Poprzewracane samochody, postręcane do rowów, zaczepione na drzewach, z których zwisają niczym poobijane metalowe owoce. Młoda badaczka przyspiesza.

Wkrótce dociera do szlabanu, który powstrzymał ją poprzedniego dnia. Zgodnie z jej oczekiwaniami stanowisko kontroli jest puste. Aurore podnosi szlaban.

Kilka kilometrów dalej szosa zmienia się w szutrową drogę. Jej wynajęty samochód nie jest dostosowany do nierównych tras. Parkuje za ścianą z gęstych zarośli i w dalszą drogę rusza piechotą.

Po kilku godzinach marszu dostrzega w oddali wzgórza pokryte jaskiniowymi domkami, których okna są zwykłymi szczelinami w skale.

Przyglądając się mapie, Aurore nabiera przekonania, że jest to miejsce, które wskazała jej nastolatka w ruinach Themiscyry.

Okolica wydaje się opuszczona.

Aurore stwierdza, że lepiej by było, gdyby nie pojawiła się

teraz żadna nowa anomalia atmosferyczna, nie miałyby się bowiem gdzie schronić.

„Nie ma zysku bez ryzyka”.

Tymczasem niebo pokrywa się groźnymi antracytowymi chmurami.

51.

Pamiętam.

Opracowałam życie na bazie tego, co budziło we mnie największy lęk: kamieni podróżujących w przestrzeni.

Trzy i pół miliarda lat temu wykorzystałam upadek meteorytu zawierającego atomy amoniaku i metanu, żeby zmieszać je z moim osobistym wodorem i tlenem. Ocean posłużył za kociołek, w którym przygotowałam tę miksturę.

Dzięki podwodnym erupcjom wulkanicznym wywołującym gorące prądy, a nawet trzęsienia ziemi (w celu lepszego wymieszania), zdołałam podgrzać i wstrząsnąć składnikami, z których powstało moje arcydzieło.

Życie.

Zajęło to sporo czasu, miliard lat, ale dzięki próbom i cierpliwości osiągnęłam sukces.

Z początku wydawało się to nic nieznaczące: pierwsza komórka z jądrem mniejsza od ziarnka piasku, ale wiedziałam, że od tego zarodka wszystko się zacznie.

Otrzymałam życie.

Odtworzyłam życie.

Po pierwszej komórce pojawiła się druga.

Proste, mikroskopijne jednokomórkowe istoty, które były już jednak zaprogramowane, by dokonywać cudów.

Znacznie później ludzie będą z pogardą nazywać je „mikrobami” (co po grecku oznacza „małe życie”), a jednak,

patrząc wstecz, mogę stwierdzić, że spośród wszystkich moich lokatorów one najdłużej zajmowały moją powierzchnię. Czy to algi, czy bakterie, królowały bezsprzecznie przez dwa i pół miliarda lat.

Po tylu latach samotności potrafiłam docenić tych pierwszych towarzyszy. A oni przynajmniej szanowali mnie i nie ranili.

Jedyną ich wadą był brak możliwości działania w celu realizacji mojego tajnego projektu. Zawarliśmy więc sekretny układ. Ja pomogę im zmutować, modyfikując temperaturę mojej powierzchni (dzięki erupcjom wulkanicznym), a one będą ewoluować, tworząc we własnych szeregach istotę żywą i wystarczająco złożoną, żeby była w stanie mi pomóc.

To właśnie się stało.

Mikroby zmutowały.

Zjednoczyły się w istoty wielokomórkowe.

Robiły bardzo szybkie postępy.

52.

Zręcznie użyta maczeta rozcina liany i liście zagrządzające im drogę. W gęstym lesie, wibrującym od małych ruchliwych zwierzątek i szeleszczących owadów, młoda dziewczyna, która uratowała Davida, porusza się bez trudu, orientując się w przestrzeni najwyraźniej dzięki oznaczeniom pozostawionym na niektórych drzewach.

Nagle naprzeciw nich pojawia się szeroka, wzburzona rzeka. Dziewczyna daje mu znak, że trzeba będzie płynąć, żeby przedostać się na drugi brzeg.

– Ja... mam fobię na punkcie wody – mówi David. – Nie potrafię pływać.

Dziewczyna przygląda mu się, po czym gwałtownym

ruchem wtrąca go w zimną toń. Podczas gdy on się miota, sama również nurkuje, wyciąga go za szyję, dzięki czemu jego broda znajduje się ponad powierzchnią, i pomaga mu przedostać się na drugą stronę. David zamyka oczy, usiłuje zapomnieć o wszystkich formach rzeczności życia, tych małych i tych dużych, które krążą zapewne wokół nich, począwszy od pijawki, na krokodylu kończąc, i dopiero kiedy dociera do brzegu, wzdycha z ulgą, jak gdyby pokonał najgorszą przeszkodę w swoim życiu.

Dziewczyna daje mu znak, żeby szli dalej we wskazanym kierunku. Wychodzą na polanę, na której wokół ogniska stoją w półokręgu zielone chaty przypominające kształtem igloo. Francuski badacz stwierdza, że te okrągłe szałas są zbudowane z gałęzi wbitych w ziemię i wygiętych tak, żeby tworzyły belki – na nich ułożono mniejsze gałązki, między które powplatano szerokie liście.

Kobiety siedzące przed chatami szyją, splatają włókna albo łuskają bób. Niektóre żują ziarna i wypluwają następnie miazgę do naczyń, inne filtrują osad tworzący jasną ciecz.

Młoda przewodniczka przykazuje Davidowi, żeby poczekał przed największym i najwyższym z liściastych igloo. Zbliżają się do niego zaciekawione dzieci. Kobiety przyglądają mu się z daleka, zasłaniając twarze, jak gdyby tłumili kpinę, David nie wyczuwa jednak choćby cienia niechęci. Wszyscy są niskiego wzrostu.

„Chyba zawinąłem do właściwego portu – myśli. – To mogliby być oni... dzicy Pigmeje, wędrowni myśliwi-zbieracze”.

Dziewczyna znów się pojawia i zaprasza go do wnętrza chaty.

Nad położonym pośrodku paleniskiem unosi się gryzący w oczy dym. David stwierdza, że to najsprytniejsza strategia ochrony przed komarami, lecz gęsty dym ogranicza pole

widzenia do kilku centymetrów. Porusza się jak we mgle, choć na zewnątrz pogoda jest piękna.

– Czy jest tu kto?

Dostrzega skóry jeżozwierzy, antylop i guźców, aż wreszcie zauważa nieruchomą postać. Zbliża się ostrożnie. Mężczyzna przypominający duże, brzuchate i łyse dziecko o sterczącym pępku i przymkniętych powiekach siedzi w dużym bambusowym fotelu. Kiedy naukowiec dotyka jego dłoni, chcąc sprawdzić, czy żyje, ten otwiera ogromne i zaczerwienione od dymu oko. Następnie unosi drugą powiekę i skierowuje na Davida dwie czerwone gałki oczne. W końcu jego usta rozchylają się, żeby wypowiedzieć niezrozumiałe zdanie.

Stojąca za Davidem dziewczyna tłumaczy:

– Pyta: „Dlaczego tak długo zwlekał pan z przybyciem? Jeżeli szybko nie zabierzemy się do pracy, istnieje ryzyko, że wydarzy się najgorsze”.

– Mówi pani w moim języku? Dlaczego nie dała mi pani tego wcześniej do zrozumienia? Proszę mu powiedzieć, że...

– Nie, zajmę się tym. Wiem, co trzeba mu powiedzieć. Bez urazy, ale jest pan tylko bi'peNe, czyli „białym człowiekiem”.

Dziewczyna rozpoczyna długi wywód. David domyśla się, że opowiada mu epizod z mrówkami. Mężczyzna zaczyna się uśmiechać, wreszcie wybucha śmiechem. Nieco urażony David wyjaśnia:

– Jestem badaczem w dziedzinie biologii i jestem Francuzem. Przyjechałem, żeby zrozumieć, co takiego wyjątkowego jest w waszej krwi, że jesteście odporni na większość chorób pasożytniczych, szczególnie na chikungunya, śpiączkę i malarię.

Dziewczyna tłumaczy jego wypowiedź jednym zdaniem. Mężczyzna znów wybucha śmiechem. Śmieją się oboje i

przerzucają zdaniami, które wywołują u nich rozbawienie.

– Nazywa się Maye'mpa. To wódz czarownik – wyjaśnia przewodniczka.

– Maye'mpa? To jego imię czy nazwisko?

– Nosimy tylko jedno imię. A kim pan jest?

– Nazywam się David Wells. Czy mógłbym tu zostać i dokonać analizy waszej krwi w celu zidentyfikowania, co chroni was przed bakteriami i wirusami, które nas zabijają?

– Chce pan znaleźć specyficzną dla Pigmejów sekwencję kodu DNA? – pyta dziewczyna.

David jest zaskoczony, że używa ona technicznego słownictwa, ale nie daje się zbić z tropu.

– Czy może go pani o to spytać?

Dziewczyna spełnia prośbę.

Czarownik przybiera poważną minę, po czym wdaje się w długie i skomplikowane wyjaśnienie złożone z wielu zdań, które dziewczyna tłumaczy jednym słowem:

– Nie.

– Hm... co nie?

– Odpowiedź brzmi „nie”. Nie zgadza się na to, żeby badał pan naszą krew, dopóki sam pan nie zostanie oczyszczony.

– Oczyszczony? Mam wejść do rzeki?

– Nie, oczyszczony z maski iluzji.

Mały brzuchaty człowieczek śmieje się i wykonuje dłońmi taki gest, jak gdyby obmywał sobie twarz.

– Ale powiedział pan, że na mnie czeka! Po co w takim razie?

Dziewczyna tłumaczy pytanie. Odpowiedź czarownika zawiera się w jednym słowie, któremu przewodniczka nadaje sens.

– Żeby ocalić świat. Grozi mu zagłada, jeśli nie zrobi pan

tego, co powinien.

Czarownik znów wybucha śmiechem, jak gdyby ta perspektywa go cieszyła.

– Proszę mi wyjaśnić...

Stary czarownik pochyła się i zwracając się bezpośrednio do Davida, mówi:

– Ma'djoba.

– Co to znaczy?

– To nazwa oczyszczenia. Nie ma swojego odpowiednika w języku francuskim. Zazwyczaj zanim dokona się Ma'djoba, wymaga się sześciomiesięcznego okresu abstynencji seksualnej i trzech dni postu. Ma pan szczęście, że zgadza się je panu ofiarować, chociaż nie spełnił pan żadnej z tych elementarnych zasad.

Wódz czarownik wykonuje w stronę Davida porozumiewawczy gest, dając mu do zrozumienia, że pora przejść do działania. Wstaje, wychodzi na zewnątrz i klaszcze w dłonie. Pozostali Pigmeje wyłaniają się z chat. Jest ich około setki. Większość jest ubrana w koszulki ze sloganami reklamowymi i szorty plażowe, niektórzy noszą na szyi w charakterze wisiorków lub w uszach jako kolczyki przedmioty codziennego użytku: kurek od kranu, otwieracz do butelek, muterkę, solniczkę, klucz nastawny, wycior do fajki. Jedna z kobiet zrobiła sobie naszyjnik z korków, inna szal z płótna materacowego. Kilkoro tubylców ma na nogach japonki, większość chodzi boso.

Czarownik wskazuje nowo przybyłego i wygłasza skomplikowaną deklarację, której wszyscy przytakują.

– Ma'djoba?

Pigmeje natychmiast powtarzają za nim chórem.

– Ma'djoba!

Dziewczyna zwraca się do Davida.

– Brawo, jest pan odważny, cenimy to tutaj.

W tym momencie Davida ogarnia złe przeczucie. Żałuje, że zgodził się na „oczyszczenie”, o którego dokładnych warunkach nie ma pojęcia. Stwierdza, że Pigmejów ogarnia nagle zbiorowa gorączka: wszyscy zbierają siatki, torby, włócznie, łuki i strzały. Dziewczyna i czarodziej, nieprzeniknieni, otaczają go i pilnują z boku właściwego rozwoju wydarzeń. W końcu grupa Pigmejów ustawia się rzędem. David pyta dziewczynę:

– Musimy wyruszyć w drogę?

– Oczywiście, po Ba'sa'ba'bangi'ya.

– Co to jest?

– Pójdziemy po Ba'sa'ba'bangi'ya, a dopiero potem będziemy mogli dokonać Ma'djoba.

– Oczywiście, jak mogłem sam na to wcześniej nie wpaść?

– ironizuje David.

Czarownik przyznaje mu rację.

– Hm... Mam tylko jedno pytanie: skąd czarownik wie, że może nadejść koniec świata?

Dziewczyna tłumaczy pytanie, mężczyzna kiwa głową, wchodzi do chaty i wraca z drewnianą skrzynką o solidnym zamku. Uruchamia liczne mechanizmy, sprężyny ustępują z trzaskiem, odsłaniając drugą skrzynkę wyposażoną w kłódkę z szyfrem, który z kolei – odpowiednio ustawiony – daje dostęp do trzeciej skrzynki zamykanej na zamek. Czarownik sięga po wiszący na jego szyi klucz, zwalnia zabezpieczenie i wyciąga ze środka przedmiot owinięty w kilka warstw czarnej folii i materiału.

W końcu pokazuje cenną zawartość.

David rozpoznaje stary egzemplarz francuskiego tygodnika „Paris Match”, nieco wygnieciony i podarty. Na okładce,

dużymi czerwonymi literami, widnieje napis: ZBLIŻA SIĘ KONIEC ŚWIATA – WYDARZY SIĘ ZA SZEŚĆ MIESIĘCY. Na drugim planie jest widoczne zaćmienie słońca i podtytuł: *Majowie wyznaczyli dokładną datę. A obok: Nostradamus już to przewidział. Liczne media potwierdzają dokładną datę.* Poniżej kolorowe zdjęcia ukazują pomarańczowo-czarnego grzyba atomowego, nocną erupcję wulkanu i tsunami zalewające miasto na wybrzeżu.

53. ENCYKLOPEDIA: PIGMEJE

Pigmeje zostali przedstawieni na rysunkach w ruinach Pompejów, a nawet na niektórych motywach starożytnych piramid egipskich. Oficjalnie zostali odkryci w 1870 roku przez angielskich badaczy. W tamtych czasach naukowcy uważali, że stanowią oni brakujące ogniwo między małpą a człowiekiem. Przywieziono ich do Europy i pokazywano jako ciekawostkę w cyrkach.

Pigmeje nie są karłami (karłowatość jest spowodowana mutacją jednego z genów), lecz istotami przystosowanymi do specyficznego środowiska lasu równikowego. Ich wzrost waha się od jednego do półtora metra. Zamieszkują najcieplejsze i najbardziej wilgotne regiony wokół równika.

Dzielią się na specyficzne plemiona używające różnych języków. W Kamerunie żyją Bagyeli i Medzan. W Gabonie: Bongo i Kola. W Afryce Środkowej: Aka i Mbenzele. W Demokratycznej Republice Konga: Cwa i Mbuti. Zamieszkują również, choć w mniejszej liczbie, Rwandę, Burundi i Ugandę.

Chociaż mówią różnymi językami, używają wspólnych określeń, na przykład „Jengi”, co oznacza Wielkiego Ducha lasu.

W Demokratycznej Republice Kongo niektórzy etnolodzy wysunęli hipotezę, jakoby Pigmeje i lud Bantu wywodzili się z tej samej grupy etnicznej, lecz rozdzielili się dwadzieścia tysięcy lat temu, żeby dostosować się do otaczających ich warunków naturalnych. Żyjący na równinach Bantu zachowali swój wzrost i zaczęli zajmować się hodowlą i rolnictwem, a dzięki lepszemu odżywianiu rośli jeszcze bardziej.

Wzrost Bantu zamieszkujących lasy zmniejszył się w wyniku trudności ze znalezieniem pokarmu, co pociągało za sobą gorsze odżywianie dzieci. Jako istoty niskie – a przez to mogące łatwiej się kamuflować – unikali drapieżników i sami byli w stanie upolować zwierzynę. Na dwieście tysięcy zliczonych obecnie Pigmejów sto pięćdziesiąt tysięcy ostatecznie prowadzi osiadły tryb życia, najczęściej z przymusu, pod wpływem nacisków władz narodowych. Są traktowani jak niewolnicy (szczególnie w Demokratycznej Republice Kongo, gdzie Bantu zmuszają ich do ciężkiej pracy za znikomym wynagrodzeniem).

Pięćdziesiąt tysięcy Pigmejów pozostało wiernych dawnemu trybowi życia, żyjąc ze zbieractwa, z polowań i połówów oraz przemieszczając się nieustannie w zależności od temperatury i wędrówek zwierząt. Tym ostatnim grozi wyginięcie właśnie z powodu przyspieszonej dewastacji afrykańskich lasów równikowych.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

Panuje cisza, okiennice jaskiniowych domków są zamknięte. Aurore Kammerer ma wrażenie, że znalazła się w opuszczonej wiosce. Są jednak widoczne ślady niedawnych czynności. Pieje kogut.

– Czy jest tu kto?

Młoda badaczka nawołuje kilkakrotnie po angielsku, bez skutku.

Kiedy skręca w jedną z ulic, dostrzega światło przenikające przez grubą okiennicę. Podchodzi do domku. Nad progiem widnieje napis – ponieważ jest po turecku, nie może go zrozumieć. Zbiera się na odwagę i puka do drzwi, a nie otrzymawszy odpowiedzi, naciska klamkę. Odkrywa przestronną tawernę oświetloną skąpo dzięki jednemu małemu oknu. Wewnątrz ustawiono około dwudziestu stołów nakrytych obrusami w czerwoną kratę i wazonami z białymi kwiatami.

Po prawej kamienna lada tworzy narożnik, za którym stoi młoda kobieta w haftowanej sukni, o długich, czarnych, prostych włosach, i nie zwracając uwagi na nowo przybyłą, wyciąga z wyłożonych słomą skrzyń szklanki i talerze.

– Dzień dobry, *hello, günaydin* – rzuca Francuzka.

Kobieta nie odpowiada, skupiona na wykonywanej czynności.

Aurore siada przy jednym ze stolików.

– *Breakfast?* Można?

W końcu szynkarka reaguje. Podchodzi do niej, stawia na stole dwie filiżanki, nalewa syropowatej, pachnącej herbaty i podaje miodowe ciasteczka. Nakrywszy wszystkie stoliki, włącza telewizor i szuka kanału informacyjnego. Turecka prezenterka wydaje się przejęta, oddając głos korespondentowi stojącemu pośród gruzu i ruin. Następnie pojawiają się nagrania wykonane przez ludzi smartfonami. Widać tornado wciągające

wszystko, co zastało na swojej drodze. Seria wielu scen, na których samochody, ciężarówki, domy lub bydło wzlatają w powietrze.

– Straszne – mówi Aurore, usiłując nawiązać rozmowę z autochtonką.

Szynkarka podkreśla głośność, dając wyraźnie do zrozumienia, że chciałaby wysłuchać wiadomości w spokoju. Na ekranie pojawiają się teraz karetki pogotowia pędzące wśród tłumów, widoki z helikopterów ukazujące zniszczone miasteczka. Aurore popija – nieco jej zdaniem przesłodzoną – herbatę i rozgląda się po pomieszczeniu obwieszonym portretami kobiet w tradycyjnych strojach. Stojący na kontuarze duży bakelitowy telefon zaczyna dzwonić. Kobieta odbiera, słucha, marszczy brew, kiwa głową, wypowiada słowo, które – sądząc po intonacji – oznacza „OK”, po czym otwiera tylne drzwi i daje znak cudzoziemce, że powinna szybko się tam ukryć. Aurore wykonuje polecenie instynktownie, nie wdając się w wyjaśnienia.

Trafia do komórki wypełnionej sprzętem domowym. Czeka i nasłuchuje. Parkuje jakiś samochód, otwierają się drzwi, rozlega się odgłos męskich kroków. O czymś rozmawiają. Sądząc po intonacji, Aurore zdaje się rozróżniać pytania i groźby. Szynkarka odpowiada neutralnym, bezosobowym tonem. Mężczyźni odchodzą. Kobieta czeka dziesięć dobrych minut, zanim przyjdzie do ukrytej klientki. Daje jej znak, żeby jak najszybciej uciekała, w tym momencie jednak inna młoda kobieta wchodzi do jaskiniowej tawerny. Obie rozmawiają dialektem, który zdaje się różnić od języka tureckiego, pełnym gardłowych dźwięków. Z tego, co udaje się zrozumieć Aurore, kobiety nie zgadzają się ze sobą. Ton rozmowy staje się coraz ostrzejszy, padają inwektywy. Właścicielka baru odwraca się do

Aurore i ponownie daje jej znak, żeby jak najszybciej opuściła to miejsce, ale nowo przybyła się sprzeciwia i zwraca się do niej nienaganną francuszczyzną:

– Może pani zostać. Świat musi się dowiedzieć, co nas tu spotyka. Straciliśmy już dość czasu, żyjąc jak ścigana zwierzyna.

– Pani przyjaciółka chyba jest innego zdania – odpowiada Aurore nowo przybyłej.

– Diana mówi, że łatwo jest chcieć pomagać ludziom, którzy są tu tylko przejazdem. Kiedy pani odjedzie, nam przyjdzie zapłacić. Nawiązuje do Amerykanów, którzy w 1991 roku twierdzili, że chcą pomagać Kurdom w walce z Saddamem Husajnem, i którzy ostatecznie ich porzucili. Saddam w ramach odwetu użył bomb z gazem toksycznym. Skończyło się na dwustu tysiącach ofiar, ale świat się wcale nie przejął.

– Wydaje mi się, że Amerykanie dorwali w końcu Saddama.

– Tak, ale tymczasem Kurdowie, którzy im zaufali, musieli pochować zmarłych. Diana ma kurdyjskie korzenie.

Ta ostatnia, wyraźnie niezadowolona, woli cisnąć fartuch na ziemię, wyrzucić z siebie potok przekleństw i odejść. Druga, bardziej ugodowa, zaprasza Aurore do stolika i nie pytając jej o zdanie, serwuje napój alkoholowy, który przypomina piwo, ale okazuje się miodem pitnym.

Nie wygląda na więcej niż trzydzieści lat, a jednak z każdego jej gestu emanują charyzma i autorytet. Ma długie rude włosy i niezwykle czarne oczy. Jest ubrana w skórzany strój odsłaniający krągłości ramion i dekolt oraz szerokie spodnie, których nogawki wsunęła w botki z czerwonej skóry.

– Trzeba ją zrozumieć, mamy dużo zmartwień. Tutaj jesteśmy tylko *dhimis*, czyli „tolerowaną mniejszością”. Policja

znów tu była w zeszłym tygodniu, obiecali, że zamienią nam życie w takie piekło, że w końcu się nawrócimy.

– Jesteście innej wiary?

Kobieta zapala złotego papierosa i zaciąga się niespokojnie, po czym częstuje Aurore, która przyjmuje jednego. Aromat nikotyny zdominowany nutami goździków, pieprzu, a nawet kwiatu pomarańczy szczypie w nozdrza.

– Okoliczni ludzie nazywają to miejsce „wioską czarownic”. Myślą, że jesteśmy w posiadaniu tajemnic.

Uśmiecha się smutno i opróżnia swój kieliszek jednym łykiem. Rozchodzi się zapach pieprzowego tytoniu.

– Nazywam się Pentezylea Kéchichian – oznajmia.

– Aurore Kammerer. Doktor Aurore Kammerer.

– Miło mi, pani doktor. Żeby odpowiedzieć na pani pytanie, czcimy Isztar, Boginię Matkę. Rząd uważa, że to pogański kult, a my jesteśmy bałwochwalczyniami. Ale tak naprawdę nie mogą znieść, że żyjemy w społeczności matriarchalnej. Kiedy kobiety są wolne i wyrażają własne zdanie, mężczyźni zaczynają panikować.

Wzrusza ramionami.

– Za czasów tureckiego prezydenta Mustafy Kemala, urzędującego na początku XX wieku, nasz lud zaznał chwilowego spokoju. Kemal ustanowił republikę z założenia nowoczesną i laicką, na wzór europejski. Ale odkąd zmienił się rząd, nasze prawa wciąż są ograniczane. Paradoksalnie, lepiej nam się żyło w epoce rządów militarnych niż „umiarkowanie religijnych”, które, swoją drogą, są coraz mniej umiarkowane, a coraz bardziej religijne.

Śmieje się z ironią.

– Obecnie, kiedy Turcja żyje w zgodzie z islamistami z Iranu, nie mamy już dokąd uciekać, jesteśmy przepędzane z obu

stron granicy.

– Jak Kurdowie? – pyta Aurore ze współczuciem.

– Kurdowie... tak. Oba rządy używają tego pretekstu, żeby zamknąć przejścia graniczne i siać terror w regionie. Większość Kurdów to laicy. To ich denerwuje.

Pentezylea Kéchichian wypuszcza obłok gęstego, mocno pachnącego dymu.

– Musi pani opowiedzieć o nas w swoim kraju, w przeciwnym razie znikniemy, zanim ktokolwiek się zorientuje. Tego właśnie chcą. Nawiasem mówiąc, nie wyjaśniła mi pani, dlaczego tu przyjechała. Podejrzewam, że nie w celach czysto turystycznych.

– Jestem badaczką w dziedzinie endokrynologii. Dowiedziałam się od koleżanki pracującej dla pisma naukowego, że rząd turecki usiłuje pozbyć się ostatnich Amazonek, zakopując toksyczne odpady radioaktywne w pobliżu miejsc ich zamieszkania. Zamiast jednak je zabijać, odpady te spowodowały wystąpienie swego rodzaju mutacji, która uczyniła je bardziej odpornymi. Chcę sprawdzić tę pogłoskę i zrozumieć, co się wydarzyło na poziomie ich komórek krwi.

Pentezylea przygląda jej się, po czym wybucha śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – pyta Aurore, nieco dotknięta.

– To, co opowiedziała pani koleżanka. Prawdę mówiąc, to ja napisałam do angielskiej gazety. To było jak wrzucenie butelki do morza. Chciałam, żeby świat się dowiedział. Napisałam do wielu czasopism w mniej więcej dziesięciu krajach.

– Włada pani tyloma językami?

– Mówię siedmioma. Tutaj to powszechne, lepiej umieć rozmawiać z najeźdźcami: tureckimi, rosyjskimi, irańskimi,

angielskimi czy nawet francuskimi. W każdym razie spodziewałam się odzewu na tę wiadomość. Byłam zawiedziona, że nie nadszedł.

– Dziennikarze nie mogą pisać, nie sprawdziwszy informacji. A jeśli tu przyjechali, na pewno zatrzymała ich policja, tak jak to stało się w moim wypadku.

Pentezylea przygląda jej się z rozbawieniem, po czym dodaje, jak gdyby nie usłyszała jej słów:

– Cieszę się, że pani tu jest, doktor Kammerer. Odpowiem na pani pytania i wszystko pani pokażę.

Pentezylea wydmuchuje dym, rozgniata papierosa bezpośrednio na drewnianej podłodze i wygląda przez okno, żeby sprawdzić, czy pogoda się poprawia.

– Proszę iść za mną.

W chwili gdy wychodzą, Aurore dostrzega przed tawerną wiele kobiet o nieprzyjaznych obliczach. Pentezylea idzie naprzód, nie zwracając na nie uwagi. Wyłania się przed nią Diana, chwyta za ramię i przytrzymuje. Ponownie obie kobiety wymieniają się inwektywami w swoim dialekcie, aż wreszcie Pentezylea łapie Dianę za ramię i podkładając jej nogę, przewraca na ziemię.

Nachyla się nad nią i wygłasza prosto w twarz zdanie, które wydaje się zakańczać spór, po czym staje w wyzywającej pozie naprzeciw pozostałych kobiet.

Żadna nie wysuwa się naprzód. Wówczas Pentezylea przemawia do nich, a one zdają się zgadzać na to, by poszła dalej w towarzystwie cudzoziemki.

– Nie sądziłam, że moja obecność wywoła taką niechęć – przeprasza Aurore.

Szynkarka wciąż jeszcze się nie podniosła.

– Diana nie zrozumiała, że najgorszą rzeczą, jaka może nam

się przydarzyć, nie jest zatrucie odpadami radioaktywnymi, ale to, że świat nie będzie wiedział o naszym istnieniu. Wszystkie te dziewczyny są krótkowzroczne. W imię bezpieczeństwa wolą zniknąć w ciszy i ogólnej obojętności. Ja nie.

Pentezylea prowadzi ją do jaskini kryjącej w sobie stajnię.

– Jeśli o mnie chodzi, nie sędzę, żeby należało cokolwiek ukrywać. Moja osobista teoria sprowadza się do trzech słów: „Zrozumie, kto może”. Jeśli zdradzi pani sekretną wiedzę imbecylowi, ten tak czy inaczej nie będzie wiedział, co z nią zrobić.

Nie pytając nawet cudzoziemki, czy potrafi dosiadać konia, wskazuje jej zwierzę, a sama wskakuje na wspaniałego kasztana, którego puszcza galopem. Na szczęście Aurore ma kilka wspomnień z lekcji jazdy konnej i pędzi swojego wierzchowca śladem pierwszego, zanim ten zdąży zniknąć za horyzontem.

55. ENCYKLOPEDIA: AMAZONKI

Zdaniem historyka Herodota Amazonki pojawiły się po ataku armii egipskiej w 2000 roku p.n.e. Oddziały faraona, które miały zapuścić się aż do Kapadocji, trafiły na plemiona scytyjskie i sarmackie. Egipcjanie wybili wszystkich sprawnych mężczyzn, a kobiety – jedyne ocalałe – zdecydowały się stworzyć armię oporu wobec egipskiego najeźdźcy. Inne greckie teksty nawiązują do ludu kobiet amazonek (*a-mazos*, od *a*: bez i *mazos*: piersi, gdyż zgodnie z legendą okaleczały się, usuwając sobie prawą pierś, żeby móc łatwiej trzymać łuk), żyjącego nad brzegiem rzeki Thermodon, na północnym wschodzie obecnej Turcji.

Utrzymywały one z mężczyznami jedynie okazjonalne relacje ograniczone do celów prokreacyjnych (zazwyczaj raz do roku, z najprzystojniejszymi mężczyznami z sąsiednich

plemion, których porywały w charakterze samców rozplodowych).

Inny historyk, Diodor Sycylijski, twierdził, jakoby nie miały one ani wstydlivosti, ani poczucia sprawiedliwosci. Ich rodowody powstawaly w linii zenkiej. Kiedy rodzily męskiego potomka, sprowadzaly go do roli niewolnika, oślepialy lub czynily chromym.

Uzbrojone byly w luki i strzaly o grotach z brązu, oslanialy sie niewielkimi tarczami w ksztalcie półksięzyca. Sygnal do ataku byl wydawany przez sistrum, rodzaj brązowej grzechotki.

W czasach swojej świetności ich królowa Lizyppe byla zdobywczynią i doskonałym strategiem wojskowym. Zaatakowala wszystkie sasiednie ludy, az udalo jej sie dotrzec do rzeki Thais. Lizyppe odczuwala tak wielka pogarde dla malzenstwa i tak wielka pasje dla wojny, ze bogini Afrodyta sprawila, ze w matce zakochal sie jej własny syn. Zeby nie popelnic kazirodztwa, chłopiec rzucil sie do rzeki Thais i utonal. Aby uciec przed wyrzutami sumienia, Lizyppe zaprowadzila swoje dziewczęta nad brzeg Morza Czarneego, gdzie kazda z nich zalozyła swoje miasto: Efez, Smyrne, Cyrene i Myrine.

Potomkinie Lizyppe, królowe Marpessa, Lampado i Hipolita, rozciagnely wplywy Amazonek az po Frygie (zachodnie rejony obecnej Turcji) i Tracje (obecna Bulgaria). Kiedy mloda Amazonka Antiope zostala porwana przez greckiego króla Tezeusza, jej wspóltowarzyszki zaatakowaly Grece i wszczely oblezenie Aten. Król Tezeusz mial duze trudności z ich odparciem i zostal zmuszony poprosic o pomoc Herkulesa. Walka z Amazonkami byla zreszta jedna z jego dwunastu prac.

Podczas wojny trojańskiej Amazonki pod wodzą słynnej królowej Pentezylei przybyły pomóc Trojańczykom w walce z greckimi najeźdźcami. Pentezylea zginęła ostatecznie w osobliwym pojedynku z Achillesem, lecz – zdaniem Homera – jej ostatnie spojrzenie sprawiło, że wojownik na zawsze zakochał się w swojej ofierze.

Jedna z legend wspomina również o spotkaniu Aleksandra Wielkiego z królową Thalestris. Władczyni Amazonek życzyła sobie podobno mieć dziecko z greckim przywódcą, aby rozpocząć ród, który dysponowałby jego zaletami. Mieli rzekomo uprawiać miłość nieustannie przez trzynaście dni, aby zyskać pewność, że nasienie się przyjmie. Znacznie później, w siedemdziesiątym pierwszym roku, rzymski generał Lukullus najechał stolicę Themiscyrę, niszcząc doszczętnie ostatnią twierdzę dumnych wojowniczek.

Dziś na wschodzie Turcji i północy Iranu istnieją jeszcze wioski zamieszkałe w większości przez kobiety, które uważają się za potomkinie Amazonek z Themiscyry.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

56.

Komar zanurza już głęboko swoją ssawkę w epidermie Davida, nie ma jednak czasu rozpocząć ssania, gdyż zostaje zmieciony dużą dłonią. Inne komary krążą wokół młodego, bladego i pocącego się Francuza. Ten stara się o nich zapomnieć i skupić na wyprawie mającej na celu znalezienie „Ba’sa’ba’bangi’ya, niezbędnego do wykonania Ma’djoba”.

Dziewczyna, która ocaliła mu życie, kroczy przed nim.
Dołącza do niej.

- Jak to się stało, że mówi pani tak dobrze po francusku?
- Chce pan powiedzieć: „jak na dziką Pigmejkę z dżungli”?
- Nie powiedziałem tego.
- Ale tak pan pomyślał.
- Jak brzmi odpowiedź?
- Obroniłam doktorat z botaniki na uniwersytecie Paris Sud

XI w oddziale Bures-Sur-Yvette. Byłam prymuską mojego rocznika. Specjalizacja: liany.

Mówiąc to, rozcina olbrzymie liany zagrządzające im drogę.

David patrzy teraz inaczej na dziewczynę w różowej koszulce, idącej boso wśród suchych liści.

- Doktorat z botaniki na temat lian? Ale ile pani ma lat?
- Trzydzieści jeden. A pan?
- Hm... dwadzieścia siedem.

– W takim razie jestem od pana starsza i winien mi jest pan szacunek. Czy jest pan rasistą, bi’peNe Wells?

Ponownie zbity z tropu David odkasłuje.

– Nie! Ani trochę, w przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj! Broniąc waszej sprawy na dodatek.

– Rasizm jest naukowo głupi. To, że przychodzimy na świat w danej rodzinie lub w danym kraju, jest w pełni przypadkowe i niezwiązane z jakimikolwiek osobistymi zasługami. Tak samo jest z urodą.

– Z urodą?

– Moim zdaniem to największa niesprawiedliwość. Ludzie krytykują ludzi bogatych, którzy mają u swojego boku piękne kobiety. Ale żeby stać się bogatym, potrzeba wiele wysiłku, chociażby po to, żeby inteligentnie zarządzać rodzinną spuścizną. Za to jeśli ktoś urodzi się brzydki, ma przechlapane.

Zawsze już będzie traktowany jak parias, we wszystkich kulturach bez wyjątku.

Dziewczyna przecina lianę.

– Wierzy pan w równość między ludźmi, bi'peNe Wells?

– Oczywiście.

– Niesłusznie. Na przykład mężczyźni i kobiety różnią się bardzo od siebie. Kobiety przechwytyją znacznie więcej informacji niż mężczyźni, ponieważ ich zmysły są bardziej wyostrzone. Wiedział pan, że kobiecy orgazm jest dziesięć razy bardziej intensywny niż męski? A receptory skórne są dziesięć razy liczniejsze?

– No więc...

– Czego uczy się na biologii w waszych szkołach?

Pigmejka zadała to pytanie z nutą wyrzutu w głosie.

– Pani słowa spodobalyby się jednej z moich koleżanek, która broni tezy, że kobiety są przyszłością naszego gatunku.

Dziewczyna kilkakrotnie usiłuje przeciąć wyjątkowo oporną lianę.

– Kobiety są przyszłością ludzkości po prostu dlatego, że gamety noszące męskie cechy są coraz bardziej wrażliwe. To nieunikniona tendencja: wszystkie gatunki feminizują się, chcąc nabyć odporność i umieć łatwiej się dostosowywać. Logicznie rzecz biorąc, ludzie powinni ewoluować w kierunku mrówek: społeczności składającej się z dziewięćdziesięciu pięciu procent aseksualnych kobiet i pięciu procent żyjących krótko mężczyzn.

– Mówi pani teraz jak mój pradziadek. Był wielkim znawcą tych owadów.

– To z jego powodu znalazł się pan tutaj?

– Częściowo. Uważał, że człowiek przyszłości będzie przypominał mrówki. Stając się mniejszym, łatwiej komunikującym się, bardziej społecznym i bardziej kobiecym.

W ciągu stu dwudziestu milionów lat mrówki przeżyły kryzysy, jakie my dopiero poznamy, dokonały właściwych wyborów, które umożliwiły im przeżycie, podczas gdy tyle innych gatunków pomyliło się i wyginęło.

Jej maczeta toruje drogę przez coraz gęstsza ścianę roślinności.

- A pan zgadza się z tą wizją, co najmniej... ekscentryczną?
- Prawdę mówiąc, to temat mojej pracy doktorskiej.
- Ach, rozumiem już, dlaczego mrówki tak pana „kochają”
- stwierdza dziewczyna z ironią.

Rozgniała dłonią wielkiego pająka.

– Ma pan szczęście, bi'peNe Wells, że nas pan spotkał. Nasz lud nie nazywa się Pigmejami, jak pan sądził. Słowo „Pigmej” pochodzi z greckiego *pygmaios* oznaczającego jednostkę miary odpowiadającą łokciowi. Określenie to stosowano następnie do populacji, których średni wzrost nie przekraczał półtora metra. Nazywamy się między sobą „Twa”, co oznacza „ludzie”. Ale nasze plemię nosi konkretnie nazwę „Twa Maku'nda”, co oznacza ludzie-mrówki. Przyjęliśmy tę nazwę, ponieważ uważamy się z dumą za najmniejszych Pigmejów.

- Dlaczego wspominała pani przed chwilą o rasizmie?
- Jesteśmy jedynym ludem na świecie, którego status istoty ludzkiej nie jest w pełni oczywisty. Dla Bantu, najliczniejszej grupy etnicznej w Kongu, nie jesteśmy ludźmi. Akceptują nas oficjalnie pod presją Zachodu, który chce mieć czyste sumienie. Zresztą dla większości czarnych ludów Afryki jesteśmy w połowie małpami. Tak nazywają nas Bantu. W ich przedsiębiorstwach, w których pracują Pigmeje, wciąż stosuje się kary cielesne. W zeszłym tygodniu jeden z Pigmejów został zachłostany na śmierć przez Bantu, ponieważ popatrzył mu w

oczy „z arogancją”. Do dziś żołnierze armii narodowej uważają również, że sodomia na Pigmeju zwiększy ich odporność na kule.

– Żartuje pani?

– Chciałabym, ale sprawa została upubliczniona dzięki świadectwu jednego z żołnierzy z osiemdziesiątej piątej brygady nie dalej jak w zeszłym miesiącu. Widzi pan, potrafię być precyzyjna. Mówiąc ogólniej, wszyscy Bantu uważają, że mają prawo gwałcić Pigmejki. Jest to nawet stosowane jako lek na lumbago.

– Nie sądziłem, że możemy być jeszcze na takim etapie w XXI wieku.

– Bantu traktują nas jak „seksualne bydło”, a skargi składane w kongijskich komisariatach nie są nawet rejestrowane. Kogo to martwi? Rząd zabronił stowarzyszeniu Lekarze bez Granic nas leczyć. Niewielu z nich ma zresztą odwagę zapuszczać się tak głęboko w dżunglę. Nawet Organizacja Narodów Zjednoczonych nie chce uznać, że cierpimy z powodu rasizmu. Ponieważ traktowanie Afrykańczyków jako rasistów nie jest politycznie poprawne!

– Nie przesadza pani trochę?

– W maju tego roku w Brazzaville odbył się wielki koncert, panaafrykański festiwal muzyczny łączący muzyków wszystkich kultur. Polifoniczna grupa Pigmejów jedyna nie otrzymała wynagrodzenia. Na dodatek organizatorzy nie znaleźli im lepszego zakwaterowania od miejskiego zoo, twierdząc, że „Pigmeje lepiej czują się w otoczeniu dzikich zwierząt niż w pokojach hotelowych, skąd kradną wszystkie przedmioty, jakie tylko się da”.

David zagryza dolną wargę.

– Nie wie pan jeszcze najgorszego. Wieść, że przebywają w

zoo, rozniosła się i stali się atrakcją. Przychodzili turyści i rzucali muzykom przez siatkę orzeszki. Działo się to kilka miesięcy temu, nie przed stu laty!

– Nie miałem pojęcia.

Dziewczyna zatrzymuje się z dłonią zaciśniętą na maczecie, z trudem powstrzymując wściekłość.

– Kto się przejmuje Pigmejami? Jesteśmy ginącym gatunkiem, jak pandy czy nutria stalowosrebrzysta. Nie mamy nawet paszportów.

Uderza maczetą w krzew.

– Skoro jesteście do tego stopnia wykluczani, jak udało się pani studiować we Francji?

– W każdym systemie pojawiają się jednostki, które w utrudnieniach szukają motywacji. W wieku szesnastu lat opuściłam plemię z zamiarem udania się do Francji. Uciekłam. Szłam bardzo długo na zachód, podczas gdy moje plemię kierowało się na wschód. Dotarłam do drogi, do stacji benzynowej, i czekałam. Wypatrzyłam w końcu samochód z bi'peNe, czyli z białymi. Byli członkami francuskiej ekipy filmowej. Kręcili film dokumentalny o papugach. Nie mówiąc w ich języku, zaproponowałam im pomoc. W końcu się zgodzili. Stałam się dla nich niezbędna, wskazując odpowiednie miejsca, gdzie będą mogli znaleźć najrzadsze okazy ptaków. W ramach wynagrodzenia poprosiłam, żeby nauczyli mnie swojego języka, czytać i pisać. A że byłam mocno zmotywowana, nauczyłam się szybko.

Droga zrobiła się łatwiejsza, szli więc szybciej.

– Następnie postarałam się o to, żeby najślabszy z nich zakochał się we mnie. Przekonał kolegów i wszyscy stanęli na głowie, żeby zdobyć dla mnie dokumenty, dzięki którym mogłam udać się do Europy. Udało im się załatwić mi status

„uchodźcy politycznego”.

– Poślubiła go pani?

– Ten bi'peNe był pierwszym modułem rakiety. Kiedy wyszłam na orbitę, rzuciłam go. Poczekiałam na dokumenty, zapisałam się na wydział biologii i zdobyłam pokój w domu studenckim, a dopiero potem powiedziałam mu, że nie możemy być dalej parą. Wpadł w depresję.

– Nie jest pani zbyt miła.

– Natura także nie jest „miła”. Działa na zasadzie punktowej współpracy, tylko naiwniacy wierzą w wieczne małżeństwo. Ten mężczyzna mi pomógł, kochałam go, ale to nas do niczego nie zobowiązuje. Wam, Francuzom, niewiele potrzeba, żeby się załamać. Jesteście wydelikaceni. Poza tym lubicie rutynę. Chcecie, żeby jutro było podobne do wczoraj, w przeciwnym razie czujecie się zagubieni.

– Nie można uogólniać. Proszę nie być rasistką!

– Kiedy zaczęłam się kształcić, stałam się żądna wiedzy. Każda lekcja była dla mnie niczym prezent. Informacja, że Ziemia jest okrągła, była dla mnie objawieniem. Wiedza, że punkty na niebie to inne słońca – oczarowaniem.

– Potrafię to zrozumieć.

– Spędzałam czas na czytaniu, następnie na eksperymentowaniu z roślinami. Nauczyciele mnie uwielbiali, byłam najlepsza. Dysponowałam praktyczną wiedzą na temat leśnej roślinności, która ich pasjonowała. Te lata studiów w Paryżu były cudowne. Miałam wielu kochanków, którzy nie umawiali się ze mną ze względu na mój wygląd, lecz na mój umysł. Mówili często, że z innymi kobietami się nudzą.

Wybuchają śmiechem.

– Komfort i łatwość usypiają. Jesteście zblazowanymi, rozpieszczonymi dziećmi.

David jest pod wrażeniem jej zwierzeń.

– Jak ma pani na imię? – pyta.

– Ach, wreszcie mnie pan o to pyta... Mam na imię Nuçx'ia.

– Żadnego nazwiska zatem? Co było wpisane w pani paszporcie?

– Nuçx'ia Nuçx'ia.

– Po studiach wróciła pani tutaj...

– Miałam wyzwanie: pokazać, że możemy odnosić sukcesy, nawet u bi'peNe. Zew lasu był jednak silniejszy. Po pewnym czasie samochody, beton, plastik, jedzenie bez smaku, ludzie bez zapachu, przechodnie złoścący się z powodu byle głupoty, wszystko to wydało mi się śmieszne. Zateęskniłam za lasem, za jego zapachami, kolorami, roślinami i zwierzętami. Tutaj skupia się siła witalna. Paryska ziemia nie emanuje żadną energią. Idąc po asfalcie, niczego się nie czuje. Kiedy chodzę bosą tutaj, po lesie, ładują mi się akumulatory.

– Co sprawia, że jesteście bardziej odporni na choroby?

– Przede wszystkim na choroby umysłowe. U nas nie istnieje depresja, anoreksja (zdobywanie jedzenia jest zbyt trudne, żeby nim gardzić), schizofrenia, paranoja, nerwica, nie ma seryjnych morderców. Potrafimy doceniać, że żyjemy i jesteśmy zjednoczeni ze wszystkim, co żyje, zabijamy więc tylko wtedy, gdy w grę wchodzi nasze życie.

Po tych słowach dziewczyna rozgniata piętą węża.

– Poza tym nasz umysł funkcjonuje szybciej. Wie pan, że współczesny człowiek ma mózg skurczony do dziesięciu procent w porównaniu z mózgiem człowieka jaskiniowego?

– Jak to można wyjaśnić?

– Używając urządzeń z guzikami, gałkami i tarczami, tracicie zdolność robienia czegokolwiek. Zanikły w was spryt i

zręczność. Wasze palce nie potrafią już wiązać. Wasze oczy nie potrafią wypatrywać horyzontu. Wasze uszy nie rozpoznają już śpiewu ptaków. Czy kiedykolwiek ich pan słuchał? Włączacie radia i telewizory, żeby wypełnić całą przestrzeń wizualną i dźwiękową. Nie potraficie już polować, nie potraficie tkać, rozpalać ognia, węszyć tropu, obserwować chmur, żeby przewidzieć pogodę. Żaden z was nie potrafiłby wykonać przedmiotów codziennego użytku. Staliście się życiowymi inwalidami. Oto dlaczego wróciłam do „mojego” lasu.

David patrzy teraz na Nuçx'ię inaczej.

– Dziękuję.

– Za co te podziękowania, bi'peNe Wells?

– Przede wszystkim za uratowanie mi życia i za pokazanie tej wizji świata. Cieszę się, że tu jestem, teraz, z panią.

Powiedzmy, że czuję się jak spragniony wiedzy student w leśnym uniwersytecie, tak jak pani swego czasu na uniwersytecie w Paryżu.

– Wódz zaznaczył, że nie znalazł się pan tu przypadkiem. Powiedział, że ma pan ocalić świat. To ważne, muszę więc panu pomóc.

Młoda kobieta powstrzymuje go przed wdepnięciem w parujące odchody.

– Uwaga! To odchody Ba'sa'ba'bangi'ya.

– Co to w ogóle jest, to Basababanga?

57.

Konie galopują z rozwianymi grzywami.

Aurore nigdy wcześniej nie doznała równie intensywnego poczucia wolności. Fascynuje ją ta młoda rudowłosa kobieta galopująca przed nią.

Niebo ciemnieje. Zza zasłony chmur wyłania się księżyc.

Pejzaż wokół nich zmienia się w wolframowym blasku.

„Kominy wróżek”, kamienne wzniesienia wydrążone przez wiatr, przypominają rzeźby postaci wyłaniających się z góry.

Amazonka galopuje w stronę łagodnego wzniesienia.

Prowadzi ją coraz bardziej stromymi drogami. Nagle, za jednym z zakrętów, Pentezylea zatrzymuje się, zsiada z konia, zaczepla uzdę o krzew i zachęca Francuzkę, żeby zrobiła to samo.

Przed kobietami rozciąga się ściana roślinności ukrywająca wejście do tunelu. Pentezylea zapala pochodnię, Aurore robi to samo.

Schodzą w głąb połączonych ze sobą skalnych korytarzy, które miejscami przypominają wykute w kamieniu schody. W miarę jak posuwają się naprzód, z oddali dobiegają je śpiewy.

Aurore słyszy także głucho brzęczenie. Wreszcie na końcu korytarza pojawia się światło.

Docierają do pomieszczenia oświetlonego setką pochodni, w którym kobiety w zwiewnych żółtych togach monotonicznie śpiewają litanie przed rzeźbą przedstawiającą pszczołę. W każdym z czterech rogów sali stoją ule z dzikimi pszczołami. Owady krążą po pomieszczeniu, a uderzenia ich skrzydeł wywołują nieustanne wibracje w tle kobiecego śpiewu. Pośrodku znajduje się wykuty bezpośrednio w kamieniu zbiornik z przejrzystą wodą.

Pojawienie się nowo przybyłych sprawia, że Amazonki przerywają śpiewy. Kobieta, która wydaje się najstarszą z kapłanek w żółtych togach, podchodzi do nich i wskazując Francuzkę, wypytuje Pentezyleę w jej języku. Głosy podnoszą się i podobnie jak w tawernie, Pentezylea jest zmuszona użyć gróźb. Starsza kobieta zbliża się do Aurore i pyta z silnym akcentem:

– Po co pani tu przyjechała?

– Usiłuje zrozumieć, dlaczego nie umieramy pod wpływem promieniowania toksycznych odpadów nuklearnych – odpowiada za nią Pentezylea.

– Nie mówię do ciebie, zadałam pani pytanie.

Młoda badaczka uśmiecha się.

– Istotnie, przybyłam, aby zrobić reportaż i zrozumieć, kim jesteście. Chcę także wykazać, że reprezentujecie możliwą drogę ewolucji dla całej ludzkości. Chcę dać świadectwo, że kobiecy świat może doskonale funkcjonować.

Brzęczenie pszczół traci na intensywności.

– Co pani wie o naszych problemach?

– Skoro tak się ukrywacie, tak bardzo niepokoi was moja obecność, musicie żyć w konflikcie z oficjalnymi władzami.

– Pentezylea XII jest bezpośrednią potomkinią królowej Pentezylei, która walczyła z Achillesem podczas oblężenia Troi. W żyłach Pentezylei XII płynie królewska krew i szanujemy ją jak królową, z całą symboliczną mocą, jaką daje ten tytuł, ale to ja jestem główną kapłanką. To ceremonia modlitw składanych Gai z prośbą o spokój po wczorajszym tornadzie. Proszę zrozumieć, naszym zdaniem – mimo opinii naszej królowej – nic tu po pani. Co się zaś tyczy odpadów nuklearnych...

Sala znów rozbrzmiewa brzęczeniem tysięcy pszczół okupujących to miejsce.

– Chcę, żeby wzięła udział w świętej kąpieli – oznajmia Pentezylea.

– Niemożliwe.

– Tak się jednak stanie.

– Niby dlaczego?

Królowa stoi zaledwie kilka centymetrów od kapłanki i poufnym tonem szepcze:

– Ponieważ wierzę w znaki. To, że ta cudzoziemka

pojawiła się nazajutrz po przejściu tornada, zdaje mi się pasować do przepowiedni Isztar. Domagam się więc procedury „Świętego Porozumienia”.

– Zamiast ceremonii modlitw uspokajających?! – dziwi się kapłanka.

– Czy to nie ty, Antigonio, sama mi kiedyś mówiłaś: „Kiedy dziecko płacze, to znaczy, że chce coś zakomunikować”? Sądzę, że ta kobieta jest pośredniczką, którą Gaja nam zesłała, żebyśmy się z nią porozumiały. Właśnie dziś. Spójrz na kolor jej oczu. Są złote, dokładnie jak w proroctwie. Czy zechcesz podjąć ryzyko i odepchnąć tę, która może być „wybranką”?

Kapłanka bierze głęboki wdech.

– Sprawdźmy najpierw, czy zostanie zaakceptowana.

Zwracając się do nowo przybyłej, rozkazuje:

– Proszę się rozebrać.

Aurore ściąga powoli ubrania, zostając tylko w majtkach i biustonoszu.

– Całkowicie.

Wykonuje polecenie.

Antigonia sięga po pojemnik z wonną substancją, którą naciera nagie ciało Aurore. Z innego naczynia nabiera łyżkę czerwonej pasty i każe jej połknąć. Kobietę zaskakuje jej ożywczy smak.

Czuje pieczenie w gardle, chociaż pasta jest zimna.

Pentezylea szepcze jej do ucha:

– Cokolwiek się stanie, proszę się nie ruszać, nie krzyczeć, nie płakać. Proszę pozostać na kolanach.

Aurore próbuje zachować spokój, czekając z obawą na rozwój wypadków.

Nagle jedna z pszczoł zbliża się do niej i siada jej na czole, schodzi wzdłuż nosa, na wargi, na brodę, po czym wspina się na

płatek ucha, jak gdyby zwiedzała roślinę. Po chwili dołącza do niej druga pszczoła.

Wkrótce Aurore jest pokryta tysiącami pszczoł, które tworzą na jej skórze grubą warstwę ciemnego, szeleszczącego futra. Wciąż na kolanach, trwa w milczeniu. Nawet kiedy jedna z pszczoł kłuje ją w sutek, Aurore wstrząsa tylko lekki dreszcz. Następnie inne pszczoły również kłują ją w podobny sposób. Badaczka w dziedzinie endokrynologii przypomina sobie lekcje chemii: jad pszczoł nie jest śmiertelny, chyba że jest się na niego uczulonym, a to jej nie dotyczy. Przez skrzydła owadów siedzących na jej powiekach dostrzega Pentezyleę, która daje jej znak, żeby wytrwała. Następują kolejne ukłucia, po czym pszczoły odlatują i wracają do uli ustawionych w czterech kątach pomieszczenia.

Antigonia podchodzi do niej i zwierza jej się do ucha:

– Chciała pani wiedzieć, jakim sposobem nasza krew stała się odporna na promieniowanie: oto początek odpowiedzi. Najlepiej doświadczyć tego na samym sobie. Jak mawiają, „co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Oto pierwszy etap: bądź silniejsza albo umrzesz.

Młoda badaczka czuje, że serce zaczyna bić jej gwałtownie.

Oczy zachodzą jej mgłą. W spojrzeniu Antigonii dostrzega mieszaninę litości i potępienia, za to w oczach Pentezylei – rozczarowanie. Jej serce przestaje bić regularnie, przyspiesza i zwalnia bez powodu.

Brzęczenie pszczoł staje się ogłuszające.

„*Here is the end*” – myśli tuż przed utratą przytomności.

58. ENCYKLOPEDIA: PSZCZELA TRUCIZNA I PSZCZELI LEK

Apiterapia to leczenie produktami pszczelimi. Nauka,

której źródła leżą u zarania ludzkości. Już Chińczycy, Egipcjanie, Hebrajczycy, Grecy i Rzymianie wspominali w swoich spisach leków o miodzie, który stosowali jako środek zablizniający, a także jako terapię w chorobach jelitowych.

W 50 roku n.e. Grek Dioskurydes zaleca miód w kuracji przeciwkaszlowej i do zmiękczenia napletka.

W Indiach używa się go do leczenia oczu, w Nigerii jako lek na uszy, w Mali – na skórę.

Ul zawiera liczne substancje o różnym działaniu:

1) Miód jest antyseptykiem. Wydziela enzym (oksydazę glukozową) produkujący naturalną wodę utlenioną. Jest również substancją zablizniającą dzięki cukrowi, który – za sprawą osmozy – osusza ranę. Niektóre jego składniki wywołują w organizmie ludzkim wytwarzanie substancji sprzyjających zabliznianiu.

2) Pylek. Źródło polifenoli antyoksydacyjnych. Jest stosowany w leczeniu niektórych nowotworów.

3) Jad z żądla pszczoł. Nie licząc przypadków alergii (4% populacji), jad ma działanie antybakteryjne, immunochronne, antyzapalne, antyzakrzepowe i radiochronne. Przyspiesza krążenie krwi, obniża ciśnienie, wywołuje produkcję kortyzonu. Stosuje się go w atakach reumatyzmu.

4) Propolis. Cement organiczny służący do budowy ścian ula. Jest zarazem doskonałym środkiem przeciwgrzybicznym i antybiotykiem. Na całym świecie stosuje się go w leczeniu angin, bolesnego kaszlu, zapaleń pochwy, problemów z prostatą, braku miesiączki, zapaleń oka i jamy ustnej.

5) Mleczko pszczele. Również działa antybakteryjnie, antywirusowo i przeciwgrzybicznie, jeszcze silniej niż

propolis. Obniża poziom cholesterolu, uczucie przemęczenia nerwowego i mięśniowego.

Biorąc pod uwagę, że pszczoły są coraz bardziej dziesiątkowane przez powszechne stosowanie środków owadobójczych w nowoczesnym rolnictwie, wszystkie te produkty mogą stać się towarem bardzo rzadkim lub nawet zniknąć.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

59.

Oczy zwierzęcia nabiegły krwią. Sapie, chrząka i pluje. Porykując, długimi ramionami rozgarnia zarośla. Odgłosy pościgu są coraz bliższe.

David Wells należy do tych, którzy stukają suchymi kawałkami drewna, uczestnicząc w obławie. Wojownicy otaczają ofiarę, grożąc jej ostrzem assagaja. Ba'sa'ba'bangi'ya jest dwumetrowym gorylem, samcem. Mieli pięściami, uderza energicznie w ziemię, usiłując ich zastraszyć. Na znak dany przez Nuçx'ię stojącą na czele nagonki wszyscy Pigmeje zaczynają śpiewać polifoniczną pieśń, urywaną i piskliwą, która budzi niepokój zwierzęcia. Kobiety zarzucają na goryla sieć. Śpiewy się nasilają. Im głośniej i bardziej piskliwie śpiewają, tym bardziej goryl się miota.

Wreszcie młody Pigmej wysuwa się naprzód z grupy myśliwych. Nastolatek dzierży assagaja.

– To jego chrzest – szepcze Nuçx'ia do ucha Davida. – Tak właśnie małym udaje się pokonać dużych – wyjaśnia.

Chłopak przyjmuje groźną pozę, lecz gorylowi udaje się

nagle rozerwać sieć.

„Wspaniałe dostosowanie się tego zwierzęcia z rzędu naczelnych do ludzi, którzy go nie docenili” – myśli David.

Oswobodziwszy się ze swojego więzienia, goryl staje naprzeciw nich, żeby pokazać, że jest najsilniejszy i że się nie boi. Pozostali myśliwi natychmiast przybywają na pomoc, lecz goryl sięga po assagaja i łamie go w pół jak zwykłą gałąź. Po czym, wywijając nieproporcjonalnie długimi łapami, odpycha wszystkie oszczepy, które znajdują się w jego zasięgu.

Nastolatek zamiera z przerażenia. Zwierzyna i myśliwi stawiają sobie czoło, ale żadna ze stron nie jest w stanie zdobyć decydującej przewagi.

Wtedy David wpada na pewien pomysł. Pokazuje gorylowi owoc i zjada go na jego oczach, drażniąc zwierzę. Goryl rozszerza nozdrza. David pokazuje mu drugi owoc. Goryl rusza naprzód, rozpycha myśliwych, ale Francuz umieścił owoc w metalowym dzbanie przyczepionym łańcuchem do drzewa. Kiedy goryl zanurza łapę w dzbanie, udaje mu się złapać owoc, zaciśnięta pięść nie może już jednak przejść przez szyjkę. Zwierzę szarpie się, lecz na próżno.

Podksoyctowany goryl nie chce wypuścić owocu. Przewraca ślepiami. Wtedy David ze spokojem sięga po duży kamień, staje za zwierzęciem i jednym ciosem w kark powala goryla, znacznie przecież od niego większego.

Młody Pigmej może teraz do woli dźgać zwierzę. Co też czyni, wydając zwycięski okrzyk.

– Sprytne – szepcze Nuçx’ia.

– Czytałem o tej metodzie w encyklopedii mojego dziadka, Edmunda Wellsa.

– Żądza posiadania jest lepszą pułapką niż nasze sieci i oszczepy – przyznaje młoda kobieta. – Pomyśleć, że

wystarczyłoby, żeby rozwarł pięść i zrezygnował z owocu, żeby być wolnym i ocalić życie...

– To najlepiej ilustruje potrzebę „odpuszczenia sobie”.

Wpadamy w pułapkę, chcąc zatrzymać to, co naszym zdaniem do nas należy.

Kilka minut później potężna zwierzyna zostaje przywiązana do gałęzi – niesie ją na ramionach sześciu mężczyzn śpiewających inną polifoniczną pieśń o nieco niższych, klekoczących dźwiękach.

Dotarłszy do obozu, nastolatek unosi łeb goryla i podaje go czarownikowi Maye'mpa. Starzec mu gratuluje, wręcza naszyjnik z obieraczką do warzyw w charakterze zawieszki, po czym ogląda trofeum, odgania obsiadające je już muchy, sięga po maczetę i otwiera czaszkę niczym orzech kokosowy.

Łyżką wybiera nieco mózgu, który kosztuje z miną znawcy, i przekłada do naczynia. Lepka różowa materia zdaje się jeszcze pulsować. Następnie Maye'mpa bierze lianę i korzeń, które wkłada do dwu naczyń, po czym rozgniata je za pomocą tłuczka, otrzymując gładką masę w pierwszym wypadku i proszek w drugim.

David z uwagą obserwuje przygotowania. Podejrzewa, że chodzi o odpowiednik ayahuasca z Peru. Tam szaman miesza dwie rośliny, które połączone ze sobą mają działanie psychotropowe, jakiego żadna z dwóch substancji nie może wywołać sama. Czarownik Maye'mpa miesza proszek z korzenia, pastę z liany i mózg goryla. Całość łączy się w purée w kolorze ochry o zapachu krwi i pieprzu.

– Do czego służy mózg goryla? – dopytuje David.

Nuçx'ia szepcze:

– Dodaje go tylko dla smaku. Bez niego byłoby to nieco gorzkie.

– Ach tak? Czy nie można by uzyskać tego samego efektu bez mózgu goryla?

Nuż 'ia nie zadaje sobie nawet trudu, żeby przetłumaczyć pytanie.

– Za kogo pan się ma, bi'peNe Wells? Kiedy liana zostaje ścięta, korzeń wyrwany z ziemi, a goryl zabity, trzeba je pochłonać. Zrobiliśmy to dla pana. Proszę uszanować wykonaną pracę. To nie restauracja!

David ponownie przygląda się miksturze i głowie goryla o wciąż jeszcze otwartych oczach i wysuniętym języku. Jego czaszka przypomina do połowy zjedzone jajko na miękko. Powtarza sobie, że to kara dla tych, którzy nie potrafili lub nie chcieli ewoluować. Człękokształtny goryl, znacznie większy i silniejszy od *Homo sapiens*, został poświęcony bez potrzeby, gdyż nie zdołał zapanować nad ogniem, wyprodukować narzędzi, wynaleźć sieci, oszczepu z metalowym ostrzem ani trucizny. Obserwując ziejącą otworem czaszkę, David stwierdza, że *Gorilla gorilla* nie jest gatunkowym błędem. Po prostu zapomniał o postępie, zadowolił się łatwym życiem ograniczonym do odżywiania się i rozmnażania, dzięki możliwościom, jakie daje mu wspaniała siła mięśni.

Nieszczęśliwi ci, którzy dadzą się wyprzedzić w biegu ewolucji. Maruderzy w zawodach zmieniają się w składniki, dzięki którym mikstury stają się mniej gorzkie...

David przypomina sobie, że w *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* przeczytał, że przed małpami ten sam los spotkał lemury. Nie popełniły żadnego błędu oprócz tego, że stały się „przestarzałe”. Kiedy pojawiły się pierwsze małpy, okazały się bardziej agresywne, bardziej mięsożerne, bardziej społeczne niż lemury, którym nie pozostało nic innego, jak tylko uciekać masowo w stronę Madagaskaru.

Czarownik zanurza trzy palce o długich czarnych paznokciach w masie koloru ochry i wyciąga je w stronę Davida.

Nuǰ'ia szepcze:

– Trzeba to zjeść, bi'peNe Wells.

David waha się, zamyka oczy i krzywiąc się, zbliża usta do trzech zakrzywionych palców starca. W tym momencie przychodzi mu do głowy, że mógłby ukryć maź w zakamarku ust i wypluć ją później (jak to robił w dzieciństwie z czerwonym mięsem, które go obrzydzało), widzi jednak, że pozostali Pigmeje go obserwują.

Czarownik powtarza słowo, którego nie trzeba mu tłumaczyć:

– Jedz!

David rozchyła zęby i trzy palce o długich paznokciach pokrytych cuchnącą mazią zanurzają się w jego ustach. Ohydna mikstura pokrywa język i podniebienie, David przełyka. Czeka.

Czarownik Maye'mpa sprawia wrażenie zadowolonego.

David czuje poruszenie w żołądku, po czym nagle wymiotuje w twarz czarownika. Ten ostatni nie wydaje się ani trochę zbity z tropu i wyciera substancję.

Nuǰ'ia zbliża się do Davida i szepcze:

– To normalne. Z początku Ma'djoba jest trochę trudne do przyjęcia. Proszę się nie martwić. I spróbować jeszcze raz.

Czarownik ponownie zanurza trzy palce w mazi koloru ochry. David patrzy na dłoń złożoną w miseczkę, wypełnioną silnie pachnącą substancją. Pozwala palcom zagłębić się w jego ustach. Przełyka, ogarniają go nudności i znów wymiotuje.

– Przykro mi, chyba się nie uda – oznajmia David i już zaczyna wstawać, obrzydzony zapachem własnych wymiocin wypełniającym pomieszczenie.

Nuǰ'ia przytrzymuje go za ramię zdecydowanym ruchem.

Zmusza go, żeby ponownie usiadł, po czym zanurza drewnianą łyżeczkę w czaszce goryla, nabiera jeszcze trochę mózgu, który z różowego zmienił kolor na brunatny.

– Musiało być za mało mózgu – stwierdza.

Miesza pozostałą maź z szarą galaretą, aż do otrzymania jednolitej substancji.

– Jeśli jeszcze raz pan zwymiotuje, dodam rozgniecione oczy, żeby Ma'djoba nabrało chrupiącej konsystencji.

To zdanie go przekonuje. Połyka dużą porcję na raz. Na znak czarownika Nuçx'ia sięga po swego rodzaju długą fajkę zakończoną dwoma pustymi rogami, które umieszcza w nozdrzach Davida. Zapala fajkę. Zaciągnąwszy się, wdmuchuje mu dym do nosa. David zaczyna kaszleć.

Oblicze czarownika traci ostrość, głos odbija się echem. David traci równowagę i osuwa się do tyłu. Nuçx'ia, która stoi w odpowiednim miejscu, łagodzi jego upadek i układa mu głowę w taki sposób, żeby się nie udławił w wypadku kolejnego ataku nudności.

Jego ciałem wstrząsają delikatne dreszcze, które przeradzają się w konwulsje. Kiedy po raz ostatni otwiera oczy, widzi pochyloną nad sobą twarz Nuçx'ii.

Kobieta zbliża się do jego lewego ucha.

– Słyszysz mnie pan, Davidzie?

– ...zgre... wlu... wi... – artykułuje z trudem.

– Nie może pan całkowicie odpłynąć, musi pan pozostać ze mną w kontakcie. To ważne, słyszysz mnie pan? Będę mówiła, a pan będzie odpowiadał.

Przysunęła usta na odległość kilku milimetrów od jego ucha i mówi wprost do przewodu słuchowego, żeby wprowadzić w drżenie bębenek.

– ...kontakt... tak... – bełkocze David.

– Nie chcę, żeby błędził pan byle jak i byle gdzie w czasie i przestrzeni. Jestem pana przewodniczką, nie porzucę pana, nie może pan zasnąć, nie może pan majaczyć, po prostu przeskoczmy barierę świadomości i dotkniemy podświadomości. Rozumie pan?

– ...tak.

– Przemawiam teraz do głębokiej istoty, która wie wszystko i która zawsze wszystko wiedziała. Do pańskiego „wiecznego ja”, które przychodzi z przeszłości, z gwiazd, z pierwszej iskry. Nie nazywa się David, ma mnóstwo imion i nazwisk. Dowiemy się, jak nazywał się pan wcześniej, zgoda?

– ...tak.

– W takim razie proszę zepchnąć świadomość w kąt podświadomości. Proszę wizualizować sobie to miejsce jako korytarz. Kiedy wypowiem słowo „zero”, znajdzie się pan tam. Dziesięć... dziewięć... osiem... zbliża się pan do korytarza... siedem, sześć, pięć... przygotowuje się pan... cztery, trzy, dwa, jeden... I zero! Jest pan na miejscu. Widzi pan ten biały korytarz?

David marszczy brwi, po czym się rozluźnia.

– Tak.

– Widzi pan drzwi po lewej i prawej stronie?

– Tak.

– Proszę podejść do jednych drzwi. Co jest na nich napisane?

– Widzę miedzianą tabliczkę z wygrawerowanymi czarnymi literami.

– Proszę przeczytać.

– SABRINA MORENO.

– Proszę otworzyć drzwi. Co pan widzi?

– Widzę starą kobietę konającą w szpitalu. Lekarz

wykonuje na niej masaż serca. Kto to jest?

– To pan w swoim poprzednim życiu. Był pan tą starą kobietą. Proszę szybko zamknąć drzwi. Ostatnie chwile bywają trudne.

David ma ochotę zostać i dowiedzieć się, co się z nią stało, ale głos powtarza głośniejszy rozkaz, zamyka więc drzwi.

– Proszę iść dalej korytarzem.

Wykonuje polecenie.

– Co pan widzi?

– Drzwi po obu stronach. I tabliczki z wygrawerowanymi nazwiskami.

– Proszę je czytać.

– MICHEL PÉLISSIER.

– Proszę otworzyć drzwi.

David naciska klamkę i widzi mężczyznę we francuskim mundurze wojskowym z pierwszej wojny światowej. Na dźwięk gwizdka mężczyźni wyskakują z okopów i pędzą naprzód z krzykiem. Człowiek, którym kiedyś był, zostaje trafiony kulą w pierś, co gwałtownie przerywa jego bieg. Upada do tyłu, trzymając się za serce. Przez tkaninę munduru tryska krew.

– No więc? Co się dzieje?

– Ja... właśnie dostałem kulę w serce... – odpowiada nieco oszołomiony.

– Proszę wyjść. Rozumie pan: te drzwi otwierają się na ostatnią scenę życia osoby podpisanej na tabliczce – wyjaśnia młoda Pigmejka. – Nie musi pan ich wszystkich otwierać. Proszę iść dalej.

Nazwiska w języku francuskim ustępują miejsca tym po angielsku, w hindi, po chińsku, arabsku, grecku i w języku Majów. Wreszcie pojawiają się nieznane mu litery.

– Musi pan dotrzeć do końca korytarza. Co tam widać?

David idzie, podekscytowany, między tymi wszystkimi drzwiami, aż w końcu znajduje się w głębi korytarza. Naprzeciw niego widać już tylko jedne drzwi.

– Jestem w ślepych zaułku.

– Za tymi drzwiami znajduje się pana pierwsze życie na Ziemi – wyjaśnia Nuçx'ia. – To właśnie nas interesuje, gdyż ono uwarunkowało wszystkie pozostałe.

David widzi osobliwy napis na drzwiach. Tworzą je trzy rysunki odpowiadające zapewne trzem sylabom.

– Proszę otworzyć drzwi.

David obawia się widoku siebie umierającego, lecz przewycięża się i otwiera drzwi. Nieomal zalewa go ściana wody.

– Niech pan je szybko zamknie!

Bez namysłu wykonuje polecenie i woda w cudowny sposób pozostaje za drzwiami.

– Teraz może je pan znów otworzyć, wybierzemy dokładny moment, w którym wniknie pan w strumień swojego pierwszego życia. Jaką scenę pan wybiera?

– Nie rozumiem.

– Jak w filmie, zobaczył pan ostatnią scenę, ale może pan obejrzeć film od początku. Nie będzie go pan oglądał od momentu narodzin, za długo by to trwało i nie byłoby interesujące. Może pan, jak na filmach wideo, wybrać dowolną scenę ze środka filmu. Radzę zdecydować się na coś przyjemnego.

– W takim razie wybieram... najpiękniejszą historię miłosną tego pierwszego życia.

– Doskonały wybór. Proszę zatem otworzyć drzwi.

David z obawą naciska klamkę i tym razem nie pojawia się woda, lecz most zawieszony wśród mgły.

- Widzę most.
- Posłuży do przejścia z terażniejszości w przeszłość.

Naprzód!

David pokonuje ostrożnie most, trzymając się poręczy ze splecionych sznurów.

Idzie naprzód, odwraca się, ale nie widzi już za sobą drzwi.

W tym momencie jego percepcja zmienia się, widzi siebie dochodzącego na drugi koniec mostu, gdzie odkrywa fantastyczną scenerię, jakiej nigdy wcześniej nawet sobie nie wyobrażał.

60.

Na czym to ja skończyłam?

Moje pierwsze eksperymenty nad stworzeniem życia zaowocowały pojawieniem się pierwszych lokatorów: bakterii, alg i wirusów...

W pierwotnym oceanie wszystkie te konkurujące ze sobą formy życia zaczęły się ścierać, usiłować nawzajem się zjeść i ewoluować.

Stały się naprawdę bezlitosne.

Strategie robiły się coraz sprytniejsze.

Nastąpił rozłam między formami życia będącymi „ofiarami” i tymi, które okazały się „drapieżcami”.

Ofiary zainwestowały w zdolności do ucieczki i kamuflażu oraz w umiejętność posiadania liczego potomstwa.

Drapieżcy postawili na zęby, mięśnie, pazury i jady.

Drapieżcy byli zjadani przez superdrapieżców.

A superdrapieżcy wpadali na supersuperdrapieżców: masywne potwory wyposażone w ostre zęby, potężne szczęki i smukłe płetwy.

Im więcej drapieżcy wchłaniali białka swoich ofiar, tym

bardziej rozwijali mięśnie, stawali się szybsi i bardziej bezlitośni.

Inne gatunki, zbyt łatwo zauważalne, powolne lub o ograniczonych możliwościach rozmnażania się, były skazane na zagładę.

Zasady gry zostały ustanowione.

Brzmiały one:

„Silny zjada słabego”.

„Szybki zjada wolnego”.

„Mięsożerny zjada roślinożernego”.

„Supermięsożerny zjada mięsożernego”.

Ocean zmienił się w swego rodzaju arenę, na której wszyscy walczyli, żeby zabić albo żeby nie zostać zabitym. Aż nastąpił dzień, w którym ryba wyszła z wody.

Nastąpiło to pięćset dwadzieścia jeden milionów lat temu. Pewnego ranka o wschodzie słońca. Odebrałam fale mózgowo i wyczułam w niej totalną panikę.

Była roślinożerna, należała więc raczej do kategorii ofiar.

Została ranna, ale udało jej się cudem wymknąć i mimo że była w najwyższym stopniu przerażona, nadal żyła.

Była oszołomiona i bardzo cierpiała.

Była w takim samym stanie jak ja, kiedy uderzyła we mnie Teja.

(Jej „Teja” okazała się wielkim rekinem, który oderwał jej kawałek skóry z grzbietu, podobnie jak Teja zdarła ze mnie fragment skorupy).

Czasami przerażenie pobudza.

Tym sposobem ta lękliwa ryba przeszła samą siebie i wszystko zmieniła. Zmotywowana strachem wyszła z wody i zaczęła czółgać się za pomocą płetw po stałym lądzie.

Życie zakotwiczyło się w jej ciele i ryba przeżyła.

Rozmnożyła się, jej dzieci przystosowały się do innego środowiska i okazały się zdolne do życia poza wodą.

Po tym wyczynie inne niespokojne stworzenia poszły jej śladem.

Od tamtej pory życie mogło stawać się coraz bardziej złożone, gdyż suchy ląd oferował więcej możliwości działania niż środowisko wodne.

Dlatego czterysta siedemdziesiąt pięć milionów lat temu pojawiły się rośliny z korzeniami. Były to algi, które również zaryzykowały przygodę poza wodą. Z początku te rośliny-eksploratorki ulokowały się przy brzegach, po czym zapuściły się w głąb lądu. Algi zmieniły się w trawy i wyruszyły na podbój kontynentu. Trawy zostały przerośnięte przez krzewinki, krzewinki przez krzewy, krzewy przez drzewa. Te ostatnie okazały się najbardziej trwałą i najbardziej złożoną roślinną formą życia. Na mojej powierzchni wyrosły lasy.

Zaczynałam pokrywać się puchem, później włosiem, wreszcie zielonym futrem. Porosłam gęstą puszcza.

Po atmosferze i oceanie to ona stała się moim trzecim płaszczem ochronnym.

61.

Brzęczenie pszczół nasila się, staje się ogłuszające.

Aurore otwiera oczy.

„Nie umarłam”.

Słyszy kobiety rozmawiające w ich języku, następnie podnoszą ją czyjeś ręce, wkładają do zbiornika. Woda jest wystarczająco słona, żeby utrzymać ją na powierzchni. Ma wrażenie, że jej ciało stało się przedmiotem, a jaźń unosi się powyżej.

Pentezylea i kapłanki ustawiają się wokół niej. Każda

dotyka jej palcem wskazującym. Woda jest letnia. Opary siarki unoszą się z dna zbiornika. Pochodnie uzupełniają scenerię o tańczące w rytmie ruchów wody płomyki odbijające się w sklepieniu pieczary.

Śpiew kobiet staje się coraz bardziej donośny. Pszczoły krążą pod sufitem.

Nagle kapłanka oświetla nowy obszar jaskini, odsłaniając olbrzymi naturalny kwarc sterczący z ziemi niczym przezroczysty monolit wysokości ponad dwóch metrów. Antigonia włącza system głośników umieszczony na kryształach i oświadcza głębokim tonem:

– O, nasza planeto, o nasza Ziemi, o Gajo, my, kapłanki Isztar, stawiliśmy się na ceremonię komunikacji. Swego czasu już kontaktowałeś się z tobą. Tornado każe nam sądzić, że życzysz sobie porozmawiać z nami, twoimi córkami. Naszą pośredniczką jest cudzoziemka o złotych oczach. Jest tutaj. Wzięła udział w obrzędzie inicjacji. Czy akceptujesz ją jako mediatorkę? Czy słyszysz nas, o planeto, o Gajo?

62.

Pod opuszczonymi powiekami oczy Davida poruszają się we wszystkich kierunkach.

- Co widać, bi'peNe Wells? – pyta Nuçx'ia.
- Docieram na plażę. Widzę mężczyznę i wiem, że to ja. Młoda Pigmejka tłumaczy jego słowa wodzowi czarownikowi i nielicznej towarzyszącej im grupie osób.
- Jaka to epoka? Jaki kraj? Jaki jest ten człowiek?
- Na razie nie wiem.
- A otoczenie?
- Palmy kokosowe... To zadziwiające.
- Co?

– Są malutkie. To palmy bonsai, wysokie na kilkadziesiąt centymetrów.

– Co pan teraz robi?

– Idę się kąpać. Wokół mnie pływają delfiny, ale one również są malutkie, przypominają sardynki. Mogę dotknąć także innych zwierząt wodnych. Wielorybów. Bawię się z wielorybami niewiele większymi ode mnie. Właściwie to nie palmy, delfiny i wieloryby są niczym bonsai... to ja jestem olbrzymi.

Zaskoczony David już ma otworzyć oczy, ale Maye'mpa natychmiast zasłania mu oczy i wpycha do ust maź koloru ochry. David przęłyka i uspokaja się.

Nuçx'ia przybiera rozkazujący ton:

– Nie wolno panu otwierać oczu, cokolwiek się wydarzy. Proszę mówić dalej. Czyli jest pan wielkości wielorybów?

– Otaczają mnie inni ludzie. Są tego samego wzrostu co ja. W porównaniu z nimi mam normalne rozmiary. Wszyscy tacy jesteśmy, o wiele wyżsi od drzew.

– Czy wiadomo, gdzie pan się znajduje?

– Na wyspie o nazwie Ha-Mem-Ptah. Zgodnie z naszym kalendarzem jest rok 3754.

David skupia się, usiłuje wczuć się w siebie myślami, aż nagle przenika go intuicja.

– Mam wrażenie, że później miejsce to będzie nosiło inną nazwę... Będzie się nazywało...

Marszczy brwi.

– Będzie się nazywało? – nalega Nuçx'ia.

– „Atlantyda”.

– Jak pan sam się nazywa?

– Nie znam swojego imienia. Ponieważ się nie nazywam. Kiedy myślę o sobie, mówię „ja”. Nie potrafię więc

odpowiedzieć na to pytanie.

– Jak się pan czuje?

– Czuję spokój. Oddycham powoli. Nigdy nie czułem się równie dobrze.

– Dlaczego ta wizja jest początkiem „najpiękniejszej historii miłosnej tego życia”?

– Opuszczam plażę i idę do miasta, kroczę szeroką ulicą i skręcam w prawo, w stronę tawerny.

– Proszę opisać scenę.

– Ludzie siedzą wokół stołów, w drewnianych kuflach są serwowane pachnące przyprawami napoje. Mieszanka zapachów słodu, miodu i kminku. Witam się z innymi klientami, znajduję sobie miejsce, smakuję napój, rozkoszując się każdym łykiem. Nagle światło gaśnie, a rozjaśnia się scena.

– Jaka scena?

– Rozsuwa się kurtyna. I pojawia się ona. To ona.

– Ona?

– Jak ona ma na imię?

– Nazywa się „Ona”, podobnie jak ja nazywam się „ja”.

– Co „Ona” robi?

– Tańczy. Naśladuje istotę, która wije się i czołga, powoli wstaje. Kobieta odwraca się, ściąga pierwszą warstwę ciemnego stroju i odsłania wielobarwne szaty przypominające skrzydła motyla. To taniec metamorfozy gąsienicy. Wiruje, obraca się, skacze, zdaje się fruwać. Jej taniec jest hymnem na cześć transformacji istot.

– Dobrze, a teraz co się dzieje? – pyta Nuçx’ia z lekką niecierpliwością.

– Mam wrażenie, że kobieta w tańcu zerka od czasu do czasu w moją stronę. Po zakończonym występie podchodzi do mnie. Mówi, że jest badaczką, że zna moją pracę i chciałaby ze

mną pracować.

– Na czym polega pana praca?

Żrenice Davida poruszają się szybciej pod cienką skórą powiek.

– Jestem... specjalistą od zmniejszania istot ludzkich.

Nagle rozlega się grzmot, po którym następuje przenikliwy gwizd. David nie wie, czy znajduje się w przeszłości czy w teraźniejszości, tam czy tu, w życiu Davida Wellsa czy w życiu Atlantydy. Nuçx'ia nachyla się nad jego uchem.

– Nastąpił nieprzewidziany problem. Musi pan wrócić. Proszę zwizualizować sobie most. Idzie pan po lianach, wnika w mgłę, odnajduje drzwi. Dociera pan do korytarza i przemierza go w drugą stronę. Zero, jeden, dwa, trzy, idzie pan po linowym moście.

Hałas wokół nich się nasila, Pigmeje rozbiegają się i zbierają swoje rzeczy. Nuçx'ia pozostaje u boku Davida.

– Cztery, pięć, sześć... szykuje się pan na powrót tutaj... siedem, osiem, kiedy powiem „dziesięć”, dotrze pan do drzwi, na których jest napisane DAVID WELLS, otworzy pan drzwi i otworzy oczy... dziewięć i dziesięć!

Francuz gwałtownie unosi powieki.

Ziemia drży, z liści, z których jest spleciona chata, sypie się chmura pyłu. Z zewnątrz dobiega ogłuszający hałas.

– Szybko! Nie ma czasu na wyjaśnienia, musimy uciekać, bi'peNe Wells – mówi Nuçx'ia.

Wciąż jeszcze nieco oszołomiony, na chwiejnych nogach, David wydostaje się z chaty i widzi buldożery w oparach czarnego dymu, które – niczym dinozaury o stalowych szczękach – zginają tysiącletnie sześćdziesięciometrowe drzewa, które upadają z trzaskiem.

Na czele jest widoczny buldożer znacznie większy od

pozostałych, opatrzony napisem: KOSIARKA.

Połamane pnie wydają z siebie ponure trzaski przypominające krzyk agonii.

– Tak, teraz już wiem, skąd wzięło się poczucie, że ludzie maleją...

Młoda Pigmejka ciągnie go za ramię.

– Na razie ocalić nas może tylko ucieczka. Biegnijmy szybko!

– Ale dokąd?

Dziewczyna wskazuje w kierunku wschodnim, na trójkątny kształt wyłaniający się z oparów.

– Wulkan Nyiragongo. Tam, gdzie buldożery za nami nie dotrą. To zawsze było sanktuarium naszego ludu.

63.

„Kąg ludzkich umysłów” zwraca się do mnie.

Od dawna się to nie zdarzyło.

Zobaczmy, skąd przemawiają.

Z terytorium zwanego Turcją. W górach.

Niedaleko strefy, na którą rzuciłam tornado.

Tak jest, zidentyfikowałam je.

Ludzkie samice wysyłają mi fale, proszą o rozmowę, jaką udało mi się nawiązać z jedną z nich, bardzo dawno temu.

A zatem potrafią jeszcze wysyłać fale psychiczne...

Tyle czasu na to czekałam.

„Musicie przestać we mnie drążyć. Koniec z odwiertami naftowymi. Koniec z podziemnymi bombami atomowymi”.

64.

Biegną przez dżunglę. Przed nimi jest widoczny dymiący wulkan Nyiragongo. Za nimi buldożery niestrudzenie dokonują

działa zniszczenia lasu.

65.

– O Gajo, ty, która zainspirowałaś naszą królową Isztar, błagam cię, odpowiedz nam. Powiedz, dlaczego zesłałaś na nas tornado, dlaczego jesteś zła?

66.

*Zachowujecie się jak pasożyty. Jak pchły na psie.
I jest was zbyt dużo. Pies nie mógłby znieść tylu pasożytów.
Musi się drapać.*

*Przestańcie się rozrastać.
Musicie ograniczyć liczbę narodzin.
Osiem miliardów to za dużo.
Miejcie tylko tyle dzieci, ile jesteście w stanie kochać i
edukować.
To powinno znacznie obniżyć przerost populacji ludzkiej.*

67.

Kapłanki zamykają oczy, odśpiewują modlitwę, po czym Antigonია daje im znak, żeby uklęknęły wokół olbrzymiego kryształu i trzymały się za ręce, myśląc z całych sił o duszy Ziemi, żeby ta przesłała im zwrotny sygnał.

– Proszę cię, Gajo. Przemów do nas, słuchamy cię. O nasza planeto, o Gajo! Odpowiedz na nasze modlitwy, poucz nas w kwestii twoich pragnień.

68.

*HEJ, CZY MNIE TAM SŁYSZYCIE? ZADAJECIE MI
PYTANIE, BĄDŹCIE PRZYNAJMNIEJ NA TYLE UPRZEJME,
ŻEBY WYŚLUCHAĆ MOJEJ ODPOWIEDZI.*

*SZANUJCIE ROPE, KTÓRA JEST MOJĄ KRWIĄ.
SZANUJCIE MOJE LASY, KTÓRE SĄ MOIM FUTREM.
SZANUJCIE MNIE, A JA RÓWNIEŻ BĘDĘ WAS
SZANOWAĆ.*

69.

– Słuchamy. Nawet najmniejszy znak z twojej strony da nam możliwość zrozumienia cię.

70.

Nie słyszą mnie, ponieważ tak naprawdę mnie nie słuchają. Zamiast zwracać się do mnie jak do osoby, zachowują się tak, jak gdybym była jednym z ich bogów, co sprawia, że komunikacja jest jednostronna.

Trudno, przegrana sprawa. Ale przynajmniej kilka spośród nich wyraża wolę porozumienia się ze mną. Jest to tak rzadkie zjawisko, że warto o nim pamiętać.

Zachęcę te dziewczyny, wytwarzając wielkie bańki z gazu ziemnego.

71.

– To cud! Popatrzcie, Gaja nam odpowiada, produkując bańki!

Kapłanki intonują radosną pieśń, która wznosi się ku oświetlonemu przez pochodnie sklepieniu.

Antigonia przemawia.

– O Gajo, przedstawiamy ci tę cudzoziemkę o złotych oczach, na którą czekałaś... Jak się nazywasz?

– Aurore. Aurore Kammerer.

– Użyj tej Aurore, aby przemówić do nas, jak swego czasu przemawiałaś przez kryształ, wodę i pszczoły. O Gajo, słuchamy

cię.

72.

A więc ty możesz mnie usłyszeć?

Posłuchaj uważnie, Aurore Kammerer, powiedz swoim towarzyszkom, żeby przestały się tak licznie rozmnażać.

Wybierzcie jakoś. Kontrolujcie wasz gatunek.

Aurore? Słyszysz mnie? Ona nic nie słyszy. Pozostałe kobiety zresztą też nie.

Co za marnotrawstwo.

Nie wystarczy stworzyć narzędzia komunikacji, trzeba jeszcze... używać go w obu kierunkach.

Tracę swój czas.

Ci ludzie nie są w stanie mnie usłyszeć.

A jeśli już słyszą, to nie słuchają.

A jeśli słuchają, to nie rozumieją.

Dzieli nas wielka przepaść.

Mają tak słabą zdolność myślenia perspektywicznego.

Z przyzwyczajenia rozmnażają się według schematów ich rodziców. Żyją w kulcie przeszłości. Ale gdyby ich przodkowie byli aż tak zdolni, nie zostawiliby ich w takiej sytuacji.

Muszą przestać składać sprawozdania rodzicom, a zacząć je składać dzieciom. Jak im to wyjaśnić? Bólem? Zrozumienie przychodzi dopiero wraz z katastrofami, które zadają im cierpienie.

Nie bardzo mam wybór.

Ich ból albo mój.

73.

Kongijski wulkan Nyiragongo wypuszcza z siebie kłęby czerwonego dymu. Pigmeje mimo wszystko podążają w jego

kierunku.

David wypytuje dziewczynę:

– A jeśli nastąpi erupcja wulkanu?

– Nazywamy Nyiragongo pępkiem świata, uważamy, że stamtąd wywodzi się człowiek i tam skończy. Powrót jest celem każdej ucieczki.

– „Powrót”?

– Kiedy dzieci chorują, umieszcza się je nad miejscem, w którym jest pochowana ich pępowina, dzięki czemu mogą powrócić do okresu, w którym były jeszcze embrionem.

Wulkan wprawia podłoże w drgania.

– Tutaj będziemy mieć spokój – zapewnia Nuçx’ia.

Wskazuje buldożery, które gwałtownie zatrzymały się i zawracają.

– Dlaczego?

– Ponieważ Bantu, chociaż przyswajali sobie zachodnie wartości, wiedzą, że tutaj znajduje się strefa tabu.

Pigmeje dobyli maczet i torują przejście wśród wszechobecnej roślinności. Wychodzą na polanę, na której rośnie tylko jedno wielkie drzewo.

David przygląda się, jak członkowie plemienia zaczynają budować półkuliste chaty z liści. Ich gesty są szybkie, precyzyjne i skuteczne.

– Musi pan teraz odpocząć, bi’peNe Wells.

– Przybyłem tutaj w celach naukowych. Pani także jest naukowcem, czy mogę liczyć na pomoc?

– Czego pan oczekuje?

– Chcę zbadać pani krew i sprawdzić, czy wasz system odpornościowy różni się od naszego.

David otwiera plecak i wyciąga aparaturę połączoną z komputerem. Nuçx’ia siada i wyciąga ramię. Pozwala pobrać

sobie niewielką ilość czerwonego płynu, który David umieszcza w probówce, do której dodaje kilka kropli różnych substancji na szkiełkach nakrywkowych. Obserwuje je pod mikroskopem.

– Jest tak, jak myślałem! – oznajmia. – Macie słabo reagujący system odpornościowy, dlatego nie łapiecie ani malarii, ani chikungunya, ani dengi.

– Istnieje jeszcze inny powód – oznajmia dziewczyna. – Zawarliśmy z lasem pokój. Dzięki temu żyjemy w pokoju z wszystkimi jego mieszkańcami, nawet z owadami, bakteriami i wirusami.

– Nie mogę wierzyć w takie zabobony.

– A wizja pierwszego życia dzięki seansowi Ma'djoba?

– To mogły być majaki spowodowane narkotykiem.

Zdarzało mi się, paląc marihuanę, widzieć siebie jako człowieka pierwotnego. To tylko oniryczne odczucie, nic poza tym.

Pigmejka zdaje się oburzona.

– A mrówki?

– Uciekliśmy im. W przeciwnym razie by nas pożarły.

– Myli się pan. Nie zadałyby mi najmniejszej rany, gdyż żyjemy, podobnie jak one, jako nomadzi, z polowań i zbieractwa. Przemieszczamy się, kiedy kończy się zwierzyna. Nie niszczymy lasu. Mrówki nauczyły nas jednego: przenosić miasto, żeby nie wyczerpywać podłoża.

Ziemia znów drży, jednocześnie z wulkanu wydobywa się kolejny kłęb czerwonego dymu.

– Jeśli wypowiedzie wojnę komarom, one wypowiedzą wojnę wam. Jeśli zaczniecie walczyć z drzewami, one będą się bronić. Jeśli będziecie zwalczać małe stworzenia w waszej krwi, one będą próbowały zniszczyć was. Wszystkie zwierzęta to wiedzą. Każda akcja powoduje reakcję. Tylko człowiek z miasta zapomniał o tym uniwersalnym prawie, ponieważ już nawet nie

dostrzega natury, wśród której powstał.

– To tylko słowa. Mnie bardziej interesuje chemia.

– Przypomina pan komary, którymi tak pan gardzi. Zależy panu tylko na wysysaniu krwi.

– Wasza krew jest wyjątkowa. Kiedy znajdę wasz gen odpornościowy, który być może jest związany z genem odpowiedzialnym za wzrost, moja teoria się potwierdzi.

Wulkan dymi coraz silniej.

– Czy pan tego chce, czy nie, wpływ środowiska jest silniejszy niż wpływ genów, bi'peNe Wells. Lamarck ma rację, wysuwając swoją teorię transformizmu. Istoty przekształcają się pod wpływem środowiska. Znajduje się on w całkowitej opozycji do Darwina, który wierzy tylko w selekcję najbardziej dostosowanych jednostek.

Nu'x'ia pokazuje mu kwiat w formie owada.

– Proszę spojrzeć na tę orchideę, ma kształt i zapach osy! Strategia ta ma na celu zwabienie owada, który ją zapyli, wierząc, że należą do tego samego gatunku. A przecież ta roślina nie ma oczu, uszu ani nosa. Tym bardziej nie ma mózgu. Jak wyjaśni pan za pomocą genetyki tę zdolność orchidei do przybierania kształtu osy? Zwyczajny przykład selekcji najbardziej dostosowanej jednostki czy transformacja związana ze środowiskiem?

– No cóż...

– Ta roślina nie ma umysłu. Wykorzystała owada do osiągnięcia swojego celu. Chodzi o myśl, nie o genetykę. Porozumiały się. Każda pozytywna akcja wśród natury pociąga za sobą pozytywną reakcję.

David obserwuje kobiety, które wyciągają pożywienie z bagaży, wzniecają ogień i zaczynają przygotowywać posiłek.

– Jest pani przeciwniczką Karola Darwina?

– Jestem zwolenniczką Jana Baptysty Lamarcka, pomysłodawcy teorii ewolucji wyjaśnionej transformizmem, teorii rewolucyjnej wyrażonej kilkadziesiąt lat przed teorią Darwina.

– Ale Darwin...

– Darwin twierdzi, że niektórzy rodzą się silni i przeżywają, inni – słabi i znikają. To głupie. Ja wierzę, że wszystkie żyjące istoty mają zdolność mutacji pozwalającą na dostosowanie się. Wszystkie. To tylko kwestia motywacji... albo siły duszy. To nas popycha naprzód.

W tym momencie Nuçx'ia zbliża się do niego i całuje go w usta.

– Nie ma pan ochoty? – pyta.

– Owszem... ale, to znaczy... – bełkocze zaskoczony David.

– Wśród Pigmejów panuje system matriarchalny – wyjaśnia Nuçx'ia. – To kobiety wyrażają pożądanie. Czy ma pan coś przeciwko temu, bi'peNe Wells?

Ponieważ sprawia on wrażenie nieco zdezorientowanego, Nuçx'ia przejmuje inicjatywę i całuje go ponownie, przewraca do tyłu i zaczyna rozbierać. Sama również pospiesznie ściąga ubranie.

Ich nagie ciała są wilgotne od potu. Wokół brzęczą owady, wulkan dymi, oddech młodej kobiety staje się głębszy, jej pierś się unosi. Nuçx'ia siada na nim okrakiem, zaciska dłonie na jego nadgarstkach i zmusza go do pocałunków. David ma wrażenie, że wśród otaczającej ich scenerii jego odczucia są jeszcze silniejsze.

Kochają się. Wulkan wciąż groźnie drży, ale oni nie zwracają już na niego uwagi. Dopiero upał i zmęczenie, po upływie dwóch godzin, sprawiają, że wreszcie kładą się obok siebie.

Po chwili Nuçx'ia wstaje, zapala fajkę wypełnioną zieleń i podaje mu ją.

– Czy to kolejny narkotyk, który sprawi, że odwiedzę moje poprzednie egzystencje?

– Nie, to tylko suche liście o rozluźniającym działaniu. To... tytoń.

Kobieta wydmuchuje brunatnożółty dym.

– Ja również wzięłam udział w seansie powrotu do poprzedniego życia. Też mieszkałam na Atlantydzie – oznajmia.

– Pamiętam cię, byłeś wówczas podrywaczem!

David nie odpowiada, zastanawiając się, czy to wyrzut, czy też dziewczyna mówi poważnie. Nuçx'ia wybucha śmiechem i głaszcze go po piersi, skupiając się na sutkach.

– Nawet teraz, widząc, jaki jesteś przystojny, kobiety muszą szaleć z pożądania. Czy mieszkają jakieś u ciebie?

– Prawdę mówiąc, mieszkam jeszcze z matką.

Nuçx'ia parska śmiechem.

– W wieku dwudziestu siedmiu lat!

– Pewnego dnia opuszczę rodzinne gniazdo. Może dzięki tobie.

– Jak to?

– Jeśli zostanę wybrany dzięki odkryciom, jakich dokonam na podstawie twojej krwi, otrzymam laboratorium i pensję. Wtedy przyjedziesz. Będziemy lepiej bronić lasu z Paryża, niż uciekając przed Kosiarką i chowając się u stóp aktywnego wulkanu, który grozi wypluciem lawy.

– Gadasz głupstwa, Davidzie, ale rozśmieszasz mnie. Pocałuj mnie jeszcze.

Znów się kochają, delikatnie, a wulkan uspokaja się i zasypia.

74. ENCYKLOPEDIA: STADIUM EWOLUCJI

WEDŁUG LEARY'EGO

Doktor Timothy Leary miał burzliwe życie. Najpierw testował grzyby halucynogenne w Meksyku, następnie brał udział w doświadczeniach z LSD (był przyjacielem Johna Lennona, zainspirował *Lucy in the Sky with Diamonds* o znaczących inicjałach „LSD”, a także piosenkę *Come Together*, opartą na jego sloganie z wyborów na gubernatora Kalifornii). W 1963 roku Timothy Leary został wyrzucony z katedry psychologii na Harvardzie za dystrybucję substancji halucynogennych wśród studentów (powie: „Naturalne wydają mi się te gatunki roślin, które oddziałują bezpośrednio na nasz system nerwowy. Za sztuczne uważam moje cztery lata na Harvardzie, Biblię, katedrę świętego Patryka i zajęcia w szkółce niedzielnej”).

Brał udział w amerykańskich ruchach goszystowskich w latach siedemdziesiątych, był wielokrotnie aresztowany przez policję, uciekł do Algierii z członkiem grupy Czarna Pantera, który na miejscu, ku jego wielkiemu zdziwieniu, wziął go jako zakładnika i domagał się okupu. Uciekł do Szwajcarii, dał się zatrzymać w Afganistanie. Został deportowany do Stanów Zjednoczonych. Współpracował z FBI, został uwolniony w 1976 roku i zajął się jogą, medytacją, podróżami astralnymi. Pisał książki, między innymi *Neurologic* (w której twierdzi: „Nie ma chorób psychicznych, są tylko nieznanne lub niezbadane obwody nerwowe” albo: „Wewnętrzna rzeczywistość jest z pewnością ważniejsza niż rzeczywistość zewnętrzna” oraz: „Istnieją trzy uboczne skutki przyjmowania kwasów: niszczą pamięć długotrwałą, niszczą pamięć krótkotrwałą, a o trzecim skutku zapomniałem”).

Dotknięty nowotworem prostaty kazał zarejestrować ostatnie dni swojej agonii na wideo. Ostatnim słowem, które wypowiedział, było „*Beautiful*”. Jego prochy zostały wysłane w kosmos rakieta.

W swoich licznych książkach Timothy Leary wymienia różne stadia ewolucji istoty ludzkiej:

- 1. Odruch ssania.**
- 2. Odruch pływania.**
- 3. Odruch pelzania.**
- 4. Odruch chodzenia, a więc zdolność utrzymania równowagi w pionie.**
- 5. Odruch biegania, który pozwala utrzymać równowagę przy większej prędkości.**
- 6. Odruch wspinaczki i zdolność przewyciężenia zawrotów głowy.**
- 7. Opanowanie języka opisowego, a następnie języka symbolicznego.**
- 8. Zmysł myślenia symbolicznego.**
- 9. Współpraca społeczna.**
- 10. Rozbudzenie seksualności.**
- 11. Zdolność do rodzicielstwa i edukacji potomstwa.**
- 12. Zdolność pogodzenia się z kresem seksualności (menopauzą i andropauzą) oraz zarządzanie końcem swojego życia.**

Ewolucje te są ewolucjami odruchowymi, które muszą pojawiać się spontanicznie, lecz istnieją inne ewolucje, bardziej osobiste, które różnią się w zależności od wrażliwości danej jednostki.

13. Zmysł rozkoszy. Zdolność bycia uważnym na chwile uniesienia naszych ciał.

14. Zmysł piękna. Nasza zdolność zachwycania się

zwykłą kompozycją wizualną lub słuchową.

15. Zmysł dzielenia się. Nasza zdolność dzielenia się pojmowaniem piękna i rozkoszy z innymi zainteresowanymi osobami, co może prowadzić do fuzji umysłów i wspólnego entuzjazmu.

Oprócz tej czysto estetycznej percepcji świata zewnętrznego i wewnętrznego, istnieją inne poziomy ewolucji rozwijane przez zaawansowane technologie.

16. Zdolność do przenoszenia się do wirtualnej rzeczywistości gier komputerowych i do sztucznych światów.

17. Zdolność kreowania wirtualnych rzeczywistości, programowanie komputerów w celu przekazywania innym własnych onirycznych wizji.

18. Zdolność wykorzystania pamięci i mocy obliczeniowej komputerów jako przedłużenia własnego mózgu.

Wreszcie Timothy Leary dodaje nową serię ewolucji współczesnego człowieka:

19. Świadomość własnego organizmu jako masy komórek zaprogramowanych przez DNA.

20. Inwencja genetyczna: chęć odtwarzania programów genetycznych innych niż własny. Zawiera się w tym nie tylko wola płodzenia dzieci (przypadkowy system tworzenia), ale także programowanie ich w charakterze dzieł sztuki.

21. Symbioza: zdolność nawiązywania współpracy z organizmami posiadającymi różne DNA. Fuzja różnych biologicznych dzieł sztuki w celu tworzenia nowych, do tej pory nieistniejących.

Timothy Leary wymienia wreszcie ostatnie stadia ewolucji stanowiące wierzchołek myśli istoty ludzkiej.

22. Świadomość tego, co w nas nieskończenie małe, i

tego, co nieskończenie duże.

**23. Zdolność uniezależnienia się od materii:
doświadczenie wystąpienia z ciała przez medytację lub
zażycie substancji psychotropowych.**

**24. Zdolność stapiania się z innymi duchowymi
jednostkami uwolnionymi od materii.**

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

75.

Jej umysł rozszerza się. Aurore Kammerer czuje się nagle przestronniejsza, niż pozwalałaby jej na to własna powłoka cielesna. Myśl przypomina dysk tworzący kryzę wokół jej czaszki. Ta rozciąga się bezgranicznie, aż wreszcie kurczy się, przyjmując kształt przezroczystej kuli. Kula ta również powiększa się, rozciąga w dolnej części – wygląda teraz jak odwrócona gruszka. Dolny wierzchołek jej kulistego umysłu zatapia się w podłożu w poszukiwaniu serca Ziemi. Nie sądziła, że tego dokona. Nie wiedziała także, że może skierować się ku sercu planety. Ma wrażenie, że obudziło się w niej prastare zaprogramowanie. Do tej pory uważała, że ogranicza ją jej skóra, odbicie w lustrach, że jest przywiązana do Ziemi przez grawitację, aż nagle, bez sugestii Amazonek, doświadcza czegoś zupełnie nowego: czuje, że jej myśl zanurza się w glebie, ściągana przez centrum Ziemi.

– Szybko, policja tu jest! – woła Pentezylea, potrząsając nią.

Aurore jest zawiedziona, że przerywa się jej coś, co zapowiadało się na wyjątkowe doświadczenie, lecz w ciągu

kilku sekund zmienia się w zwykły sen.

„To tylko majaki, zapewne wywołane użądleniami pszczoł, nic więcej”.

Wokół niej panuje panika. Aurore ubiera się pospiesznie. Wraz z pozostałymi kobietami zagłębia się w korytarze prowadzące do jaskini, w której czekają konie.

Antigonia rzuca zdanie, które zdaje się znaczyć: „Natychmiastowe rozproszenie!”.

W oddali dostrzegają chmurę pyłu wznoszoną przez policyjne jeepy.

– Musieli zauważyć pani zniknięcie z hotelu. Zlokalizowali panią po sygnale telefonu komórkowego – mówi Pentezylea. – Była pani ciekawa, w jaki sposób opieramy się promieniowaniu. Oto początek wyjaśnienia: szczepienie pszczołami. Teraz, jeśli zależy pani na zgłębieniu tematu, proszę jechać za mną.

Ruszają galopem w kierunku przeciwnym niż nadjeżdżające jeepy. Aurore ponownie odczuwa zachwyt, jadąc konno w towarzystwie tej przepięknej rudowłosej kobiety.

Mimo to nie może zapomnieć o osobliwym wrażeniu, jakiego doznała w jaskini.

„Czuję teraz ciasnotę w czaszce. Muszę zapomnieć o tym doświadczeniu i skupić się na teraźniejszości”.

Wiatr rozwiewa jej krótkie włosy, wyczuwa ciepłe boki konia pod udami, koński oddech dopasowuje się do rytmu jej własnego oddechu. Pędzą ścieżkami prowadzącymi nad przepaściami, aż w końcu zagłębiają się w iglasty las.

– Uwaga, zaraz przekroczymy granicę – oznajmia dziewczyna.

Z trudem manewrują między rosnącymi coraz gęściej drzewami. Wreszcie docierają na polanę i przeprawiają się przez rzekę.

– I oto jesteśmy na terytorium irańskim, a dokładniej w pobliżu Mahabadu w Kurdystanie. Oficjalnie w Iranie, „państwie-najeźdźcy”. Kiedy mamy kłopoty w Turcji, ukrywamy się w Iranie, a kiedy mamy problemy w Iranie, ukrywamy się w Turcji. Jeśli mamy problemy w obu krajach, możemy udać się do Syrii albo do Iraku. Kurdowie nauczyli nas tej strategii nieustannego przemieszczania się.

Królowa Amazonek prowadzi Aurore w kierunku wzniesienia, po czym wskazuje położony w oddali hangar otoczony drutem kolczastym. Podaje jej lornetkę i Aurore dostrzega ciężarówki i dźwigi podnoszące betonowe cylindry. Mężczyźni w jednoczęściowych strojach roboczych obchodzą się ze sprzętem bardzo ostrożnie.

– Oto nowy sposób pozbywania się miejscowej ludności. Dawniej prowadzono wojnę, masakrowano, gwałcono i sprzedawano pokonanych w charakterze niewolników. To właśnie spotkało moje antenatki w starożytności, kiedy przegrały wojnę przeciw Grekom, a następnie przeciw Rzymianom. W średniowieczu technika stała się jeszcze bardziej obłudna: głodzono i uniemożliwiano dotarcie posiłkom. Tę strategię wciąż jeszcze stosują Somalijczycy, Nigeryjczycy i Sudańczycy, żeby pozbyć się ludów z Południa. Tutaj... zakopuje się tony radioaktywnych odpadów w pobliżu wiosek zamieszkałych przez tak zwaną niepożądaną ludność. Do tego dochodzi jeszcze wynagrodzenie od krajów, które chcą pozbyć się tych niebezpiecznych substancji.

Aurore odkłada lornetkę i korzystając z bladego światła księżycy, włącza nagrywanie w smartfonie.

– To bomby z opóźnionym zapłonem. Betonowe sarkofagi w końcu pękają, substancje skażają wody gruntowe. Rośliny i zwierzęta zostają dotknięte w pierwszej kolejności, następnie

ludzie. Pojawiają się nowotwory tarczycy i wady rozwojowe u noworodków. Kto wpadłby na to, aby oskarżyć rząd o „złe umiejscowienie odpadów radioaktywnych”? Kto pomyśli, że chodzi o celową eliminację populacji, kiedy można uznać, że zachorowania na nowotwory były przypadkowe?

– Mimo to mam wrażenie, że jesteście w doskonałej formie.

– To się nazywa mitrydatyzm. Mitrydates był królem, którego ziemie rozciągały się zresztą niedaleko stąd. Z Amazonkami był sprzymierzony za sprawą mojej zmarłej babki. Wiedząc, że Rzymianie wprowadzili na dwór zdrajcę, który miał otruć go arszenikiem, spożywał go codziennie w niewielkich dawkach. Wymyślił zasadę „stopniowego przygotowania się na najgorsze”.

– Ta sama technika jest stosowana w szczepionkach. Wystarczy wprowadzić śladową ilość substancji, aby ciało zareagowało, nauczyło się ją rozpoznawać i zwalczać.

– W każdym razie kiedy dodano mu truciznę do jedzenia, Mitrydates przeżył.

Aurore śledzi przez lornetkę trasę betonowych cylindrów, ustawianych jedno na drugich, a następnie spuszcanych do dołu w ziemi.

– My również stopniowo zmutowałyśmy, żeby znieść tę nową truciznę, jaką są odpady radioaktywne. Zapewne zaszczepiłyśmy się przeciw tej ohydzie.

Aurore szybko odnotowuje informacje.

– Co łączy pszczoły i promieniowanie?

– Przeżyły w Hiroszynie i Nagasaki. Usiłowałyśmy zrozumieć, w jaki sposób udało im się przetrwać tam, gdzie niemal wszystkie inne formy życia zostały unicestwione. Wie pani, co odkryłyśmy? Strategia pszczół polega na spożywaniu mleczka pszczelego w celu wzmocnienia kobiecości, kiedy tylko

pojawia się zagrożenie życia. Żeńskie hormony wzmacniają cały organizm. Dlatego kobiety żyją średnio dziesięć lat dłużej niż mężczyźni. Dlatego podałyśmy pani poprzednio tę magiczną substancję. Żeby stała się pani nieco bardziej podobna do nas.

– To znaczy?

– Bardziej kobieca.

– Po prostu dzięki pszczelemu mleczku?

– Poprawiłyśmy recepturę. Potajemnie produkujemy tę substancję: ludzkie pszczele mleczko. Mieszamy pszczele mleczko z ludzkimi hormonami kobiecymi.

Aurore krzywi się z obrzydzeniem.

– Spożyła je pani w jaskini. Dzięki temu oparła się pani uządleniom. A my możemy obecnie przetrwać promieniowanie jądrowe.

Młodą kobietę o krótkich włosach i złotych oczach przebiega dreszcz.

– Dlatego to miejsce jest niczym sanktuarium. Teraz radioaktywność nas chroni. Nie mamy wyboru: albo to, albo zniknąć. Zmutowałyśmy i nasze córki rodzą się uodpornione.

Pentezylea zerka przez lornetkę, zaniepokojona.

– Ktoś nas zauważył, będą tu za pięć minut. Uciekajmy.

Wsiadają na konie i ruszają galopem. Nie jadą daleko.

Królowa Amazonek wskazuje kolejne miasto złożone z domów wykutych w skale. Jak gdyby zostały uprzedzone o ich przybyciu, pojawiają się kobiety i pomagają im ukryć konie.

Z zewnątrz miejsce przypomina skalne zbocze porośnięte mchem. Tylko pojedyncza szczelina niczym okienko strzelnicze wpuszcza do środka promień światła.

Królowa Amazonek wchodzi do jednego z domów, naciska wyłącznik, dzięki któremu rozświecła się stary żyrandol z misternie rżniętych kryształów. Pomieszczenie wypełniają różne

przedmioty, nadając miejscu wygląd sklepu ze starociami albo kryjówki pirata.

– Tu jesteśmy bezpieczne. Czego jeszcze pani potrzeba do „pracy uniwersyteckiej”?

– Pani krwi.

Doktor Kammerer rozkłada swój sprzęt i przechodząc od słów do czynów, wbija igłę, żeby pobrać niewielką ilość krwi od królowej Amazonek. Następnie umieszcza kilka jej kropeł na szkiełku mikroskopowym. Pod soczewką przenośnego urządzenia znajduje to, czego szukała.

– Ma pani rację: komórki są znacznie odporniejsze niż przeciętnie.

Pentezylea unosi palcem podbródek Francuzki.

– Nie to jest najważniejsze. Jedyne pytanie, jakie mnie interesuje, brzmi: czy pomoże nam pani, doktor Kammerer?

– Z całego serca. Pokażę światu, że znalazłyście rozwiązanie najgorszego problemu.

Pentezylea odgarnia długie rude kosmyki.

– Prawdę mówiąc, nasza „różnica” ma pewną drobną wadę. Mając podwójną ilość żeńskich hormonów we krwi, jesteśmy dwa razy bardziej kobiece, dwa razy bardziej odporne, ale także dwa razy bardziej... wrażliwe.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumie pani.

Pentezylea obejmuje Aurore w pasie i przyciąga do siebie. Po czym rzuca ją na leżący na ziemi materac.

– Czy chce się pani kochać z królową Amazonek?

76.

Moje bańki z gazu w wodzie nie przyniosły zamierzonego skutku.

Trudno.

Zostaje mi jeszcze nazwisko tej „Aurore Kammerer”. Pamiętam, że była autorką jednego z projektów dotyczących ewolucji, który chciałam śledzić. Drugi należał do Davida Wellsa. Muszę się pochylić nad tymi tematami. Czy to nie ich powinnam „wybrać” do osiągnięcia mojego wielkiego celu?

Na czym skończyłam rozpamiętywanie własnej historii? Po życiu wodnym życie lądowe rozwijało się na kontynentach, które wyłoniły się z wód. Niestety, trzysta osiemdziesiąt milionów lat temu znów objawił się mój koszmar.

Planetoida wielkości jednej czwartej mojego poprzedniego kata. Nowa Teja, nazwijmy ją Teją 2, miała zaledwie tysiąc pięćset kilometrów średnicy, ale była bardzo gęsta.

Wdarła się w moje pole grawitacyjne.

Z prędkością dwudziestu tysięcy kilometrów na godzinę Teja 2 pokonała wszystkie moje warstwy chmur, zapaliła się, lecz nie spaliła całkowicie i jej resztki uderzyły w moją powierzchnię.

Uderzenie było straszliwe.

Moja skóra zmarszczyła się, co ludzcy naukowcy nazwali później „ruchem płyt tektonicznych”.

Uderzając we mnie, Teja 2 zmodyfikowała dodatkowo moją oś rotacji, która zmieniła się z 15° do 19°.

Rozbłysła piorunami, grzmiała z wściekłości. Zaczęło padać. A następnie zrobiło się bardzo zimno. Potem bardzo gorąco. I znów bardzo zimno.

Większość ówczesnych zwierząt wymarła. To była pierwsza selekcja.

Po tych wzburzeniach ewolucja życia przyspieszyła.

Większość niedostosowanych do nowych warunków klimatycznych gatunków wyginęła. Pewna grupa jaszczurek

zaczęła szybko rozmnażać się i różnicować.

Rozpoczęło się panowanie dinozaurów.

A wśród nich dwunożny gatunek, ochrzczony później przez ludzi troodonem. Zwierzęta te okazały się najbardziej obiecujące. Potrafiły się porozumiewać, wojować w grupie, używać kamieni do rozbijania opornych skorupki jaj. Wydawały się predysponowane do wykorzystania narzędzi.

Tak więc, po życiu, inteligencja okazała się drugim etapem mojego sekretnego planu.

Troodony wydawały mi się najlepiej przygotowane do wejścia w trzecią fazę.

Pokładałam w nich wszystkie moje nadzieje.

Spodziewałam się, że staną się moimi obrońcami, zdolnymi chronić mnie przed atakiem kamieni nadlatujących z przestrzeni.

Niestety, okazałam się nie dość szybka.

W czasie gdy rozwijałam na swojej powierzchni piękną florę i piękną faunę, a także początki cywilizacji dinozaurów, masywna planetoida po raz kolejny wyłoniła się znikąd.

Było to sześćdziesiąt pięć milionów lat temu. Teja 3: sto kilometrów średnicy i prędkość pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę.

Nie miałam żadnej osłony przeciwko temu zagrożeniu. Moje troodony nie zaczęły jeszcze produkować systemu obrony kosmicznej. Daleko im było do tego.

Byłam całkowicie bezbronna.

Zderzenie z Teją 3 nastąpiło w regionie, który ludzie nazywają obecnie „Zatoką Meksykańską”.

Podmuch eksplozji spowodował przyptyw i wyrzucił w atmosferę drobny pył, który na wiele miesięcy zaciemnił moje niebo.

Po raz trzeci cierpiałam ogromny ból.

Promienie słońca nie docierały na moją powierzchnię. Dla wszystkich moich lokatorów zapadła nieustająca noc.

Niezdolne do przeżycia bez światła i wśród chłodu liczne rośliny wymarły, a zaraz po nich roślinożercy, którzy się nimi żywili, a następnie mięsożerni drapieżcy.

Nastąpiło masowe wymarcie większości żyjących gatunków, które z takim trudem hodowałam.

Moje dzieło zostało obrócone w nicość.

W ciągu miesiąca osiemdziesiąt procent porastających mnie lasów znikło.

Uderzenie było tak potężne, że moje nachylenie jeszcze bardziej się pogłębiło, z 19° do 23,5°, powodując zmianę grawitacji. Dinosaurzy nie wytrzymały tego. Były zbyt duże, zbyt ciężkie, zbyt powolne. Wyginęły.

Znów patrzyłam na Księżyc, okropną krystalizację mojej pierwszej dużej rany, i zastanawiałam się: „Kto mnie ocali, jeśli pojawi się nowa asteroida?”.

Apocalypse Night

77.

– To ja, proszę pani. Jestem tutaj.

Gérard Saldmain odpowiada na wyczytanie swojego nazwiska i staje przed dziewięciorgiem członków jury konkursu na temat ewolucji ludzkiej na Sorbonie.

– Projekt „Fontanna młodości”. Doktorze Saldmain, wrócił pan z Miami. Czy może nam pan wyjaśnić, w jaki sposób pańska praca na temat przedłużenia ludzkiego życia przyczyni się do ewolucji gatunku?

Młody człowiek wyjaśnia uczonym tonem, jak ponowne formatowanie wadliwych organów stanie się możliwe dzięki komórkom macierzystym i produkcji klonów służących za magazyny części zamiennych. Jego głównym zamysłem jest: „Zmieniać wszystko, co się zużywa, w miarę jak się niszczy”.

Christine Mercier słucha uważnie. Tym razem juror siedzący po lewej stronie stołu nie śpi i wydaje się zafascynowany. Karlica siedząca po prawej notuje coś na smartfonie. Po półgodzinnym wywodzie Christine Mercier pyta pozostałych członków jury, czy mają pytania, a Gérard Saldmain przechodzi do szczegółowego wyjaśnienia swojego projektu.

– Moim zdaniem dzięki projektowi „Fontanna młodości” będziemy mogli znacznie przedłużyć średnią długość życia ludzkiego, z siedemdziesięciu do dwustu lat.

– Ale czy bez takich niedogodności związanych ze starością, jak choroba Alzheimera, nietrzymanie moczu, bezsenność, drgawki czy reumatyzm?

– Właśnie. Wyobrażam sobie ludzkość ewoluującą w kierunku mądrości i dystansu, na jaki pozwala perspektywa

dwóch wieków egzystencji. Proszę sobie wyobrazić dojrzałość dwustuletniego ludzkiego umysłu. Żyjąc dwa stulecia, człowiek z całą pewnością będzie miał ochotę walczyć o zachowanie dobrego stanu powietrza i wody, automatycznie stanie się więc ekologiem. Sądzę, że moja propozycja jest rewolucyjna pod względem nie tylko medycznym, ale także politycznym i filozoficznym.

– Dziękujemy, panie Saldmain, za błyskotliwe *exposé* na temat technik odmładzania.

Mężczyzna kłania się, wraca na swoje miejsce i czeka.

Christine Mercier rozmawia po cichu z kolegami, po czym zwraca się do zebranych na sali:

– Kolejna finalistka: projekt „Amazonki”, doktor Aurore Kammerer. A więc, pani doktor, wróciła pani z Turcji zaledwie wczoraj, z tego, co zrozumiałam. Czy mogłaby pani opowiedzieć nam o postępach swoich badań na temat „zwiększonej odporności na promieniowanie dzięki feminizacji”?

– Odkryłam, że poziom estrogenów u tych kobiet, ostatnich potomkiń starożytnych Amazoнок z Turcji, znacznie przekracza normy. Specyfika ta wpisuje się w ich kod genetyczny i umożliwia im „anormalną” odporność na promieniowanie jądrowe. Odwzorowanie tej mutacji przez stymulację wydzielania hormonów żeńskich, u mężczyzn i kobiet pozwoliłoby moim zdaniem na uczynienie ludzkości bardziej odpornej nawet na śmiertelne dawki promieniowania.

Jurorzy szepczą między sobą. Aurore Kammerer odbiera to jako zachętę.

– Stawka jest tym większa, że wypadki w elektrowniach jądrowych, takich jak Czarnobyl czy Fukushima, stają się coraz częstsze, narasta także ryzyko wojny nuklearnej. Dlatego

modyfikacja kodu genetycznego lub dogłębna terapia hormonalna, zbliżona do tej, jaką stosują tureckie Amazonki, mogłaby stworzyć nową osłonę dla wszystkich.

– Dziękujemy, pani doktor, możemy teraz przejść do ostatniego finalisty. Projekt „Pigmej” doktora Wellsa.

Młody człowiek wysuwa się naprzód.

– Mój projekt jest na swój sposób powiązany z projektem doktor Kammerer. Pigmeje z Konga rozwinęli system odporności na bakterie związany z ich trybem życia, będąc w stałym kontakcie z innym zagrożeniem – drobnoustrojami typowymi dla dżungli. Drobnoustroje te są znacznie liczniejsze i bardziej agresywne niż europejskie. Odpowiadają za to wysoka temperatura oraz różnorodność fauny i flory. Tutaj nie promieniowanie, lecz infekcje zmusiły ludzi do mutacji zwiększającej odporność. Moim zdaniem, to las jako taki stanowi lekarstwo i kluczowy czynnik ewolucji gatunku. Pigmeje są genetycznie silniejsi i bardziej odporni niż mieszkańcy miast, ponieważ żyją w absolutnej synergii z naturą. Przemieszczają się, żeby jej nie wyczerpywać. Żywią pełen szacunek dla swojego biotopu, który w zamian za to ich chroni. Tymczasem rząd Demokratycznej Republiki Konga daleki jest od docenienia tego atutu i robi wszystko, by doprowadzić do ich wyginięcia, niszcząc jednocześnie las. Dlatego interwencja wydaje mi się sprawą bardzo pilną, zanim tajemnica zdrowia Pigmejów i ich nauki nie znikną wraz z nimi.

– Dziękuję, doktorze Wells. Hm, wiemy o pańskim ojcu. Proszę przyjąć wyrazy współczucia – mówi Christine Mercier. – Chcę, by pan wiedział, że poprosiliśmy o umieszczenie na ścianie portretu profesora Charlesa Wellsa, jako „ojca chrzestnego idei”, w sali ewolucji.

– Byłby bardzo dumny – odpowiada bezbarwnym tonem

młody naukowiec.

Christine Mercier sięga po mikrofon.

– Dobrze, wysłuchaliśmy trojga finalistów, ciąży teraz na nas obowiązek wyboru głównego laureata, mężczyzny lub kobiety, którego badania będą nie tylko wspierane, ale także całkowicie sfinansowane przez nowy Wydział Ewolucji uniwersytetu Sorbony. Proszę, aby poczekali państwo w sali obok w czasie naszych obrad.

David i Aurore podchodzą do siebie i razem opuszczają pomieszczenie.

– Pani...

Aurore kładzie mu palec na ustach.

– Ci... później.

David odruchowo sięga po smartfona, wkłada słuchawki do uszu i uruchamia aplikację z informacjami telewizyjnymi.

Kobieta zbliża się do niego:

– Również jestem ciekawa. Mogę?

Zanim zdążył odpowiedzieć, sięga po jedną ze słuchawek i wciska ją sobie do ucha.

78.

PIŁKA NOŻNA: Wspaniały mecz finałowy mistrzostw świata w piłce nożnej, rozegrany wczoraj po południu w Rio de Janeiro między drużynami Chin i Brazylii (zakończony wynikiem jeden do zera na korzyść Brazylijczyków), śledziło na bieżąco sześć miliardów dwieście milionów istot ludzkich na łączną populację ośmiu miliardów! Co oznacza, że sześć osób na osiem siedziało przed telewizorem, oglądając bezpośrednią relację z meczu mimo różnych stref czasowych, które zmusiły wielu do czuwania do późna. Sześć miliardów dwieście milionów stanowi rekord. Dla porównania, pierwsze kroki na

Księżycu stawiane przez astronautę Neila Armstronga w 1969 roku były obiektem zainteresowania jedynie pięciuset milionów widzów, a poprzedni finał mistrzostw w piłce nożnej oglądały zaledwie trzy miliardy osób. Możemy więc uznać, że futbol jest najmniejszym wspólnym mianownikiem budzącym zainteresowanie wszystkich mieszkańców naszej planety.

GIEŁDA: Zwycięstwo Brazylii w finale mistrzostw świata spowodowało spektakularną hossę na giełdzie, a dokładnie na Wall Street, gdzie Dow Jones wzrósł o 2,5%. Analitycy przypisują ten fenomen „pozytywnemu” nastrojowi, który, zdaniem prognostyków, może zwiększyć konsumpcję, sprawiając, że ludzie będą chcieli więcej jeść, bawić się, uprawiać sporty, a także uprawiać seks. Podobno efekt ten można już zaobserwować na rynku nieruchomości – osoby uprawiające seks decydują się na powiększenie swojej przestrzeni życiowej.

TURCJA: W wyniku tornada, które zdewastowało miasto Van na wschodzie Turcji, zginęło sto dwadzieścia osób. Podobno siły narodowe, wojskowe, ratownicy i strażacy z trudem organizują pomoc. Rząd w Ankarze zdecydował się zwrócić o międzynarodową pomoc. Ponad trzydzieści krajów zgłosiło się już, żeby dostarczyć tysiącom pozbawionych dachu nad głową ludzi koce, ubrania, wodę i żywność.

KOREA PÓŁNOCNA: Po śmierci północnokoreańskiego dyktatora Kim Jong Una jego dziewiętnastoletni syn Kim Jong Tran przejął władzę nad komunistyczną dynastią. Młody przywódca zaraz po zaprzysiężeniu przedstawił swoje cele: „Głupim szefom państw i skorumpowanym rządóm, które nie pojęły szlachetności panowania Kim Jong Una, obiecuję poważne trudności. Bardziej niż kiedykolwiek jesteśmy zdecydowani kontynuować politykę popieraną przez mojego

ojca, dziadka i pradziadka, mającą na celu obronę robotników, ubogich i uciśnionych z całego świata. Mam nadzieję kontynuować drogę przyspieszonej militaryzacji kraju i sprawić, aby skorzystały na tym zaprzyjaźnione rządy, które wspierają nas w naszej walce o sprawiedliwość i przeciw nierównościom”.

Podczas gdy Korea Północna zaopatruje się w coraz bardziej wyrafinowaną broń nuklearną, europejskie satelity obserwacyjne ujawniły obecność olbrzymich obozów koncentracyjnych na północy kraju. Zdaniem Amnesty International przetrzymuje się tam w okropnych warunkach ponad czterysta tysięcy osób. Kraj dotknęła również kolejna klęska głodu. Podobno dyktator wykorzystuje głód jako sposób na osłabienie społeczności ocenianych jako nieposłuszne. Zagraniczni dziennikarze i organizacje humanitarne wciąż nie mogą otrzymać wiz.

ARABIA SAUDYJSKA: Samolot z irańskimi pielgrzymami nie otrzymał pozwolenia na lądowanie podczas wielkiego święta w Mekce. Zdaniem rządu Arabii Saudyjskiej chodziło o uniknięcie tłumów z poprzedniego roku, kiedy to szyici z Teheranu bili się z sunnitami na noże, powodując śmierć około stu pielgrzymów po obu stronach. Od 1987 roku, kiedy doszło do pierwszych starć pielgrzymów sunnickich i szyickich, w wyniku których zginęło trzysta osób, Irańczykom zakazano pielgrzymek. Dopiero w 2011 roku Saudyjczycy pozwolili im przyjeżdżać do Mekki. Sytuacja wydawała się opanowana, lecz niedawne zamieszki w Bahrajnie i na wschodzie Arabii Saudyjskiej, w Axamiya, skłoniły księcia do ponownego wydania zakazu wstępu dla pielgrzymów irańskich. Liczbę pielgrzymów szacuje się na trzysta milionów osób.

WYBORY MISS: Po długich naradach ostatecznie to Miss Albanii została Miss Universe. „Mój kraj bierze odwet za to, że

często był przedstawiany negatywnie i systematycznie odsuwany od podium” – oznajmiła szczęśliwa wybranka, Bardhulina Jashari, o wzroście stu osiemdziesięciu dwóch centymetrów i wymiarach dziewięćdziesiąt, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt. „Sekret mojej urody polega na jedzeniu dużej ilości marchewek” – zwierzyła się zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna. Dzięki nagrodzie ma nadzieję na karierę w branży filmowej.

ROLNICTWO: Kolejny skandal. Krowy miały być karmione mąką zwierzęcą produkowaną na bazie baranich zwłok, powodując uszkodzenia systemu nerwowego. Spożywane przez człowieka mięso mogło być przyczyną około dziesięciu przypadków choroby Creutzfeldta-Jakoba. Minister zdrowia oznajmił, cytując: „Najwyraźniej doświadczenie niczemu nie służy. Błędy się powtarzają, oddzielone czasem, jaki zajmuje nam zapomnienie o nich. Rolnicy ponownie używają mąki, która spowodowała już tyle szkód kilka lat temu, i to w imię rentowności. Po prostu zapomnieli o kosztach, jakie ponieśli ludzie”. W ramach działań zapobiegawczych Ministerstwo Rolnictwa nakazało ubój blisko stu tysięcy podejrzanych o chorobę zwierząt.

IRAN: Podczas kolejnej manifestacji „Gdzie jest mój głos?” policja znów strzelała ostrymi nabojami w tłum, zabijając dziesięć osób, i dokonała tysięcy aresztowań. Mimo prób zastraszenia studenci są zdeterminowani, żeby nadal domagać się demokracji i wolności. Rada Ajatollahów poprosiła prezydenta Jaffara o stanowczą reakcję. Szybkie procesy i publiczne wieszanie zdarzają się coraz częściej. Aresztowano kanadyjską studentkę, prezydent Jaffar oznajmił zaś, cytując: „Jesteśmy przekonani, że ta młoda kobieta jest tajnym agentem na usługach syjonistycznej wrogiej jednostki. W końcu się przyzna, a jej przełożeni słono zapłacą za tę prowokację”. Aby

udowodnić swoją determinację, prezydent nakazał przeprowadzenie kolejnej podziemnej próby jądrowej na północy kraju, w pustynnej strefie w pobliżu granicy tureckiej.

IZRAEL: Izraelska premier Gaëlle Toledano ogłosiła, że nie miała swojego udziału w tych wydarzeniach związanych wyłącznie z wewnętrzną polityką Iranu i że prezydent Jaffar powinien przeprowadzić śledztwo w sprawie oszustw wyborczych we własnym kraju, zamiast zmuszać torturami do zeznań niewinnych cudzoziemskich studentów. Premier nie zlekceważyła jednak grózb. Wezwała rezerwistów i postawiła swój kraj w stan alarmowy drugiego stopnia.

POGODA: Obserwuje się silne gorące wiatry w całej północnej Francji. Mogą być one bezpośrednio związane ze zwiększoną aktywnością Słońca.

79.

*Kto mógłby mnie ocalić przed kolejnymi planetoidami?
Jaki gatunek zdołałby opracować technologię, która
pozwoliłaby mu na wyprodukowanie maszyny zdolnej roznieść w
pył takie zagrożenie?*

Po wielkich jaszczurach postawiłam na owady.

*Szczególnie na dwa gatunki: karaluchy i osy. Ocalały z
kataklizmów dzięki mutacji i stały się jeszcze mniejsze i jeszcze
bardziej solidarne.*

*Karaluchy ewoluowały i przekształciły się w termity.
Mniejsze i bardziej społeczne, te ostatnie budowały już nie
gniazda, lecz miasta o solidnych murach i złożonych regułach
współistnienia. Gromadziły już nie dziesiątki, lecz setki tysięcy
osobników w tym samym miejscu, gdzie wszystkie idealnie
współżyły i były w stanie pracować przy wspólnych projektach.*

Osy ewoluowały w kierunku dwóch podgatunków: pszczoł i

mrówek. One również wybrały drogę socjalizacji i podobnie jak termity, stały się architektami dużych miast liczących tysiące, o ile nie miliony osobników.

Interesowałam się szczególnie mrówkami, nie tylko ze względu na ich liczbę i rozmiary ich miast, ale dlatego, że to one czyniły najszybsze postępy. Były ciekawsze, łatwiej dostosowujące się, szybciej rozwijające się, bardziej ambitne.

Kształt ich ciał był tak różnorodny, że istniały gatunki wielkości sześciu dziesiątych milimetra oraz inne, sześciomilimetrowe. Ich precyzyjne żuwaczki umożliwiały im chwytnie, cięcie, a także leczenie. Budowały miasta albo w kształcie kopuł, albo płataniny podziemnych korytarzy.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu mrówki zaskakiwały mnie wyłącznie pozytywnie.

Nie tylko nie niszczyły mojej skóry, ale wietrzyły ją, oczyszczały ze zwłok znacznie większych od nich zwierząt, przyczyniały się do zapylania roślin, same roznosiły nasiona drzew daleko od miejsca, gdzie te upadły. Wrażenie robiła na mnie przede wszystkim ich zdolność uczenia się i ewoluowania. Szybko rozwinęły rolnictwo (hodowle grzybów i korzonków), hodowlę (mszyc), chemię organiczną (antybiotyczna ślina), urbanistykę (system solariów, system podziemnej wentylacji, zarządzanie wodami gruntowymi, budowa przestronnych pomieszczeń i solidnych galerii w suchych pniach drzew). Okazały się znacznie bardziej efektywne niż osy i konkurujące z nimi termity i pszczoły. Nie tylko wznosiły wielkie metropolie, ale także zakładały federacje składające się z solidaryzujących ze sobą miast, połączonych podziemnymi korytarzami. W obrębie jednej federacji używały wspólnego języka węchowego i potrafiły porozumiewać się ze sobą na odległość wielu setek metrów dzięki językowi fal.

Dzięki temu falowemu językowi udało mi się wpoić im odpowiednie myśli, które sprawiły, że mrówki przestały być prześladowane przez strach i głód, jak większość moich pozostałych lokatorów.

Ich królowe wyczuwały mnie.

Zgodnie z zasadą, która polega na pomaganiu wygrywającym, zaczęłam przekazywać im wiedzę na temat budowy piramid oraz umiejscowienia nadajników i odbiorników w punkcie położonym w dwóch trzecich odległości między lożą królewską a wierzchołkiem, aby mogły wzmacniać fale, co umożliwiło przejście do czwartej fazy, jednej z najbardziej delikatnych: dialogu między nimi a mną.

Zasugerowałam im mój wielki projekt. Zbudowanie statku kosmicznego niszczącego asteroidy. Miałam obsesję na tym punkcie, nie chciałam, żeby moje lokatorki były wyłącznie inteligentne i komunikatywne, chciałam również, żeby mnie chroniły.

Mimo że mocno wyewoluowały, mrówkom brakowało jednak:

- 1) chwytnych odnóży,*
- 2) oczu na przedzie, zdolnych zbiegać się w jednym punkcie, umożliwiających widzenie wypukłości i odmierzanie odległości,*
- 3) pozycji pionowej, umożliwiającej patrzenie na dużą odległość.*

Mrówki były pierwszym logicznym wyborem, który okazał się ślepym zaułkiem.

Musiałam zatem zmienić moich obrońców. Zaczęłam więc się zastanawiać: „Skoro dinozaury i owady społeczne zawiodły, jakie zwierzę zdoła zrealizować mój projekt?”.

Księżyc wisi ponad nimi, rzucając mglisty blask.

– I oto jesteśmy „szczęśliwymi przegranymi” – stwierdza David, unosząc kieliszek szampana.

– Tak czy inaczej, nie mogliśmy wygrać. Większość jurorów była po siedemdziesiątce. Gérard Saldmain opowiada im o tym, co najbardziej leży im na sercu: „jak żyć dłużej”.

Obserwują ich i gratulują szczęśliwemu laureatowi, który po raz kolejny pojawił się w towarzystwie swojego starego rodziciela.

– Czyli ostatecznie pani przyjaciółka Christine nie załatwiła pani zwycięstwa – zauważa David.

– Ufam jej, ponieważ wspierała mnie do samego końca. Jestem pewna, że pana również, doktorze Wells, jako drugiego możliwego zwycięzcę. To naprawdę osoba szczerą i godną zaufania.

– Wznieśmy więc toast za odrzucone projekty – proponuje David. – Co pani teraz robi?

Aurore wzdycha.

– Waham się między posadą biologa w centrum zapłodnienia *in vitro* i...

– I?

– ...pracą jako tancerka w kabarecie.

David uśmiecha się.

– A pan, doktorze Wells?

– Waham się między posadą biologa w centrum miniaturyzacji zwierząt i... bezrobociem.

Spoglądają po sobie i parszczą pełnym porozumienia śmiechem, popijając bursztynowy napój, z nosami w kieliszkach.

– Przepraszam, wykorzystam efekt działania alkoholu, żeby

zadać niedyskretne pytanie: nie licząc matki, jaki jest pana typ kobiety?

– Istotnie, to dość... intymne pytanie. Ale i ja skorzystam z iluzji, jaką dają bąbelki, i odpowiem: kobiety niskiego wzrostu, w przeciwnym razie czuję się zdominowany. Idealem są dla mnie... kobiety-dzieci, lolitki. Na przykład aktorka Natalie Wood, mała wrażliwa laleczka, którą można chronić.

– Ma pan zdjęcie swojej ostatniej dziewczyny?

David bez mrugnięcia okiem pokazuje zdjęcie Nuçx'ii.

– Urocza, ale rzeczywiście sprawia wrażenie małej i bardzo młodej.

– Tymczasem jest ode mnie starsza. Ma trzydzieści jeden lat i jest Pigmejką. Spotkałem ją podczas mojego pobytu badawczego w Kongo. A pani? Nie licząc Christine, jaki typ kobiet budzi w pani dreszcze?

– Dokładne przeciwieństwo pańskich. Lubię kobiety bardzo wysokie i bardzo silne. Moim ideałem jest Greta Garbo. Potężna i charyzmatyczna.

– Oto kierunek, jaki nadamy ewolucji: Greta Garbo albo Natalie Wood.

David przygląda jej się z powagą.

– Co się dzieje? – pyta zakłopotana Aurore.

– Znowu odniosłem wrażenie, że znamy się od dawna.

– Być może urodziliśmy się w tym samym szpitalu, chodziliśmy do tego samego żłobka albo przedszkola i zapomnieliśmy o tym – wyjaśnia Aurore.

– Nie, to nie to. Chodzi o coś innego, czego nie potrafię zdefiniować. O coś znacznie bardziej niejasnego. Być może w innym życiu.

– Nie wierzę w reinkarnację, raczej podejrzewam, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, a pan wciąż usiłuje mnie

poderwać.

Kobieta uśmiecha się enigmatycznie.

Przewodnicząca jury Christine Mercier wyłania się przed nimi.

– Ach! Aurore! Gdzie byłaś? Wszędzie cię szukałam. Nie miej mi za złe, proszę cię. Nie byłam w stanie nic zrobić. To ci starcy chcieli nagrodzić projekt dla starców.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy przed twoim przyjściem.

– Uważają, że jeśli wypromują ten projekt, sami będą żyć dłużej. Wyobrażasz sobie społeczeństwo, w którym żyliby dwustuletni ludzie?

Christine krzywi się z niesmakiem i ciągnie dalej.

– Gdybyś tylko wiedziała, Aurore... tak się martwiłam, szczególnie tą wiadomością o tornadzie. Kiedy mi o tym powiedziano, naprawdę byłam przerażona.

– Cóż, zostawię was – oznajmia David. – Powodzenia w pracy biologa nad rozmnażaniem *in vitro* albo jako tancerka w kabarecie, doktor Kammerer.

– Miłego bezrobocia. Skoro wierzy pan w reinkarnację, proszę przyznać, że w tym życiu nie uda nam się wpłynąć na przyszłość – rzuca Aurore przekornie.

81.

– Za kogo on się uważa! Pozwól mi powiedzieć mu, że w czwartek w ONZ zagłosuję przeciw jego postanowieniu.

Prezydent Stanislas Drouin rozłącza się, odsuwa trzy młode kobiety, które wciąż znajdują się w jego łóżku, i idzie pod prysznic.

Wyciera się i prosi trzy młode działaczki swojej partii, żeby wróciły do siebie.

– Muszą mi panie pozwolić popracować. Wy chyba

również macie co robić. Jeśli zanadto sobie pofolgujemy, mogą nie zostać ponownie wybrani, a wtedy wszyscy znajdziemy się... w „opozycji”.

Wymówił to słowo z pogardliwą miną.

– Och, tylko nie opozycja! – odpowiadają chórem trzy dziewczyny, po czym przytulają się do niego i domagają pocałunków.

– Chyba że będziecie na tyle cyniczne, żeby sypiać z moim przeciwnikiem politycznym, który przypomina małą pucułowatą świnkę!

Wybuchają śmiechem. Dziewczyny ubierają się, ogarnięte nagłym pośpiechem. Wróciwszy do pokoju przylegającego do jego biura, Stanislas Drouin zauważa, że jedna z nich zapomniała biustonosza. Wie, że to tylko pretekst do powrotu. Chowa element garderoby do szuflady, po czym sam się ubiera, patrząc na zdjęcie żony i dzieci. Nie potrafi wyjaśnić tego fenomenu, ale za każdym razem, kiedy uprawia seks ze swoimi kochankami, odczuwa przyływ uczuć do żony.

Otwiera kalendarz, zauważa, że czeka go „podsumowanie kwestii ekonomicznych” i „podsumowanie kwestii społecznych” oraz zebranie strategiczne komitetu do spraw reelekcji.

– Ktoś na pana czeka – oznajmia głos przez interfon.

– Kto?

– „Pan będzie wiedział”. Czekają w sali od rana.

Prezydent podchodzi do biurka, wyjmując kopertę z kokainą oraz srebrną firkę i wciąga proszek na jeden raz. Wchłaniając cenne kryształki do krwi, stwierdza, że powinien złagodzić ustawę antynarkotykową.

„Wielcy przywódcy zawsze stosowali tę zasadę: karać tych, którzy zachowują się jak oni. Prezydenci będący miłośnikami orgii wprowadzali ustawy zakazujące pornografii.

Skorumpowani prezydenci głosowali przeciw korupcji.
Prezydenci narkomani wprowadzali ustawy antynarkotykowe”.

Stanislas wspomina swojego idola, Kennedy’ego, którego ojciec, przemytnik trefnego alkoholu za czasów prohibicji, został wybrany komisarzem do spraw walki z alkoholizmem.

„Gdyby wyborcy wiedzieli”.

Przypomina sobie emirów, których spotkał w Arabii Saudyjskiej.

„Zabraniają konsumpcji alkoholu, tymczasem upijają się co wieczór Pure Malt Whisky. Surowo zabraniają pozamałżeńskich stosunków seksualnych, ale zamawiają pełne samoloty skandynawskich *call girls*. Ogłaszają wokoło, że są sprzymierzeńcami Zachodu, tymczasem finansują ekstremistyczne grupy terrorystów”.

Przypomina sobie prezydenta Tanzanii, który walczy z kłusownictwem, powiększa rezerwaty dla zwierząt, a sam poluje na słonie, strzelając do nich z własnego helikoptera.

„Cóż może bardziej dowartościować niż przyzwolenie na bycie jedyną osobą, która robi to, co innym jest zakazane? Co sobie ludzie myślą? Że my, liderzy, zadaliśmy sobie cały ten trud, żeby zyskać jedynie pensję funkcjonariusza wysokiego szczebla? Nie mówiąc o licznych trudnościach: braku życia prywatnego, śledzeniu każdego naszego ruchu przez media, nieustających atakach i wyzwiskach szefów opozycji i humorystów. Musimy to sobie jakoś odbić”.

Znów spogląda na zdjęcie żony i dzieci.

„Od zamierzchłych czasów nie istniał nigdy nieskorumpowany przywódca, jakiegokolwiek by były jego skłonności polityczne. Nigdy. Komuniści i faszyci często byli najgorsi. Właśnie dlatego, że powinni być gorliwymi obrońcami ludu, mogą sobie na wszystko pozwolić”.

Kokaina zaczyna działać i prezydent Stanislas Drouin od razu czuje się jak najważniejszy mężczyzna w kraju, a nawet na świecie. Wie, że za kilka chwil będzie musiał stawić czoło zadziwiającej kobiecie, która przedstawi mu wizję historii na kilkadziesiąt, kilkaset, a może kilka tysięcy lat naprzód. Stwierdza, że jest być może jedynym prezydentem, który może sobie pozwolić na taki luksus: mieć okno otwarte na przyszłość. To zwykła gra intelektualna, ale z miejsca, w którym stoi, może delikatnie oddziaływać na szóstą potęgę ekonomiczną i militarną świata, która z kolei może wpływać na wszystkie inne narody.

„Tak, pułkownik Natalia Ovitz daje mi przewagę nad moimi przeciwnikami i nad wszystkimi zagranicznymi prezydentami. Oni mają swoich astrologów, ja mam futurologa. Jedyną kobietę, która ma naukowe podejście do całościowej ewolucji gatunku. Skłoniła mnie do stworzenia Wydziału Ewolucji na Sorbonie. Później będzie się mówiło, że to ja wpadłem na ten pomysł. Wydział »Drouin«. Będę miał swoje wielkie zdjęcie na ścianie słynnego uniwersytetu. To lepsze od medali”.

Ma ochotę wcisnąć guzik, który przywoła gościa, lecz kokaina wciąż wywołuje w nim lekkie kłujące dreszcze, dlatego stwierdza, że powinien poczekać, aż się uspokoi. Zamyka oczy i doznaje nagłego przebłysku, podczas którego widzi świat z daleka, niczym pierwsi astronauty, którzy patrzyli na planetę. Odczuwa we krwi strumień tysięcy swoich przodków.

„Wszystkie te umysły, które łączą się we mnie”.

Następnie widzi tysiące dziecięcych twarzy.

„Wszystkie te przyszłe egzystencje. Najmniejsza moja decyzja może wszystko zmienić dla ogółu moich współbraci...”

Pewnego dnia będą powtarzać moje nazwisko na lekcjach historii. Powinni recytować daty moich urodzin i śmierci, w

przeciwnym razie będą oblewani na egzaminie. Zapewne ulicom i alejom będzie się nadawać moje nazwisko. »Przepraszam, czy mógłby mi pan wskazać, gdzie się znajduje plac Drouin?« A dlaczego nie pomnik? Tak, pomnik na placu Concorde. I może lotnisko. »Życzy pan sobie bilet z New York Kennedy Airport do Paris Drouin Airport?«».

Ta myśl oczarowała go i to, co zapowiadało się na *bad trip*, przerodziło się w *good trip*. Prezydent bierze głęboki wdech.

„Jestem fantastyczny”.

Następnie układa poduszki na fotelu naprzeciw siebie i zdecydowanym gestem wciska przycisk interfonu.

– Bénédicte? Proszę wprowadzić pułkownik Ovitz.

Niska kobieta wchodzi do gabinetu.

Wspina się na fotel, żeby znaleźć się na wysokości swojego rozmówcy.

– Tak jak panu obiecałam, prezydencie, opracowałam siedem prawdopodobnych dróg ewolucji.

– Proszę się streszczać, ostatnio mówiła pani nieco za długo.

– Ostatnio chciałam przedstawić panu te siedem dróg, teraz chcę poinformować o ich postępach.

Stanislas Drouin kiwa głową.

– Słucham.

– Droga liberalnego kapitalizmu, po której już stąpamy. Nie wiem, czy pan widział, że dziś rano giełda zareagowała wzrostem dzięki zachwytom nad mistrzostwami w piłce nożnej.

– Do licha, kiedy pomyślę, że nie tylko wszyscy gracze naszej drużyny są multimiliarderami, ale że wszyscy uciekli do Szwajcarii, żeby nie płacić podatków, odczuwam lekką złość. Gdyby chociaż zwyciężali! A co najlepsze: mimo poniesionej porażki i ich żałosnego strajku domagają się premii w wysokości

miliona euro. Myślałem, że śnię, kiedy usłyszałem to żądanie.

Pułkownik Ovitz okazuje brak zainteresowania tematem.

– Proszę mi wybaczyć, Natalio. Słucham dalej.

Wspomniała pani o wzroście na giełdzie.

– Wzrost był tak duży, że możemy się teraz spodziewać krachu.

– To normalna sprawa, cykliczna. Zdarza się co siedem lat. To tylko spazmy związane ze wzrostem. Co z następną drogą ewolucji?

– Grozi nam mimo wszystko ogromny krach.

– Staniemy po nim na nogi. Co dalej?

– Droga mistyczna. Ta, która obecnie odnotowuje największe przyspieszenie. Na całym świecie buduje się świątynie. W Afryce i Azji fanatyzm zdobywa nowe tereny, opierając się na najbiedniejszych i najbardziej zacofanych warstwach społecznych.

– Sądzę, że pani przesadza...

– Teheran postanowił zainwestować połowę przychodów z wydobycia ropy w skonstruowanie bomby atomowej o olbrzymiej mocy.

– Mhm... Co dalej? Droga numer trzy?

– Trzecia droga jest drogą maszyn. Roboty, komputery, Internet. Człowiek, którego pracę śledziłam z bliska, słynny doktor Francis Frydman, został ostatecznie zatrudniony przez południowokoreańskie laboratorium, w którym działa cuda. Mówiłam panu, że ten człowiek jest cenny, szkoda, że go sobie nie zatrzymaliśmy.

– Uciezka zdolnych umysłów to złożony problem. Na szczęście, choć tracimy wiele, kształcimy ich jeszcze więcej.

– Nie wszyscy są niezastąpieni. Niektórzy naukowcy mają w sobie to ziarnko szaleństwa, które pozwala im znaleźć

oryginalne drogi tam, gdzie wszyscy szukają według tego samego szablonu. W każdym razie doktor Francis Frydman zdołał wyprodukować robota z załączkiem świadomości. Mówi „ja”, jak pan albo ja. I wyraża chęć stworzenia własnego dziecka-roboty, biorąc pod uwagę sposób, w jaki chciałby poprawić samego siebie.

– Już? Działa szybko. Tak czy inaczej, to tylko zautomatyzowane gadżety.

– Myli się pan. To geneza procesu ewolucji. Każda generacja robotów jest zaprogramowana, żeby działać lepiej niż poprzednia.

– Mimo wszystko to zajmie trochę czasu. Więcej niż moja pięcioletnia kadencja, jak mniemam. Kolejny projekt. Proszę się pospieszyć, za kwadrans mam spotkanie dotyczące kwestii ekonomicznych.

– Kolonizacja kosmosu. Droga, która obecnie napotyka najwięcej przeszkód. W Kanadzie Sylvain Timsit stawia czoło licznym incydentom: sabotażom, strajkom, pożarom, nieudanym testom, musi także brać pod uwagę przeciwników projektu, którzy wprost domagają się od rządu w Toronto zakazania mu dalszych działań w imię wyłącznego przypisania gatunku ludzkiego do tej planety i do żadnej innej.

– Zabawne.

– Sylvain Timsit się broni. Przeciwności losu budzą w nim upór. Zaczął wybierać pierwszych pasażerów i już mu się zarzuca, że nie respektuje różnorodności narodowościowej, religijnej i płciowej, chociaż nie wiadomo nawet, kto znajdzie się na pokładzie. Stowarzyszenia inwalidów wytoczyły mu procesy, zakładając, że wewnątrz statku kosmicznego nie zostanie zaadaptowane do ich potrzeb. Sylvain Timsit wydaje obecnie porównywalne kwoty na adwokatów i na inżynierów.

– Droga numer pięć?

– Droga genetyczna: użycie komórek macierzystych i klonów (w charakterze części zamiennych) w celu wydłużenia życia. Projekt ten został wybrany na Sorbonie przez jurorów konkursu propagującego ewolucję. Doktor Gérard Saldmain jest szczęśliwym laureatem.

– Doskonale. Stał się urzędnikiem, będziemy go mogli zatem łatwo kontrolować. On przynajmniej nie wyjedzie do Korei, Stanów Zjednoczonych albo Szwajcarii.

Pułkownik Ovitz krzywi się.

– Niestety, obawiam się, że jest to najmniej interesujący projekt.

– Dlaczego więc go pani wybrała?

– Był to wybór moich kolegów, ale w ostatniej chwili stwierdziłam, że jest to również najbardziej spektakularny projekt, my tymczasem powinniśmy działać dyskretnie. Moim zdaniem interesujące są projekty szósty i siódmy. Projekt szósty dotyczy zwiększenia odporności na promieniowanie przez feminizację. Projekt siódmy z kolei – zwiększenia odporności na drobnoustroje przez zmniejszenie wzrostu.

Prezydent przebiera niecierpliwie palcami po biurku.

– Czy to przypadek?

– Przyznaję, że mogę wydać się stronnicza. Ale szczerze wierzę, że ludzkość o mniejszym wzroście i z przewagą liczebną kobiet będzie lepiej przystosowana do wyzwań czekających nas w przyszłości.

– Co pani powie!

– Moich dwoje finalistów doszło do tego samego wniosku. Owady społeczne, pszczoły i mrówki, mają za sobą sto dwadzieścia milionów lat istnienia na Ziemi i ewoluowały właśnie w tym kierunku. Oba gatunki stworzyły idealnie

funkcjonujące społeczeństwa, które oparły się epidemiom i głodowi, ewoluowały w kierunku zmniejszenia swoich rozmiarów i uzyskania większego stosunku samic do samców w populacji, ponadto budują miasta na wszystkich kontynentach. Mają się doskonale. Dowód: pszczoły i mrówki są wszędzie.

Prezydent zmienia pozycję w fotelu, jak gdyby odczuwał dyskomfort.

– Słyszając panią, wydaje mi się to mimo wszystko nieco „ekstrawaganckie”, ma pani tego świadomość, droga Natalio?

– Jeśli przyjrzy się pan historii naszej planety od jej narodzin, nie ma w niej żadnej logiki. Już sama różnorodność gatunków stanowi osobliwy wybór natury. Po co tyle motyli o tylu różnych kolorach, po co zwierzęta, które rodzą się rano, żeby umrzeć wieczorem, po co tyle kształtów, tyle zachowań, tyle sposobów na przeżycie? Co nam wskazuje kierunek ewolucji?

– Być może kierunkiem ewolucji jest właśnie... humor. A jeśli jesteśmy jednym wielkim żartem?

– Nie, panie prezydencie, obawiam się, że żyjemy w filmie grozy, i nie mamy pewności, że ludzi spotka *happy end*.

Prezydent wstaje i zatrzymuje się przed mapą świata zajmującą całą ścianę.

– Naprawdę uważa pani, że droga mistyczna mogłaby skończyć się apokalipsą?

– Za każdym razem, gdy w przeszłości produkowaliśmy narzędzie destrukcji, używaliśmy go. Wśród ośmiu miliardów istnień muszą znaleźć się – co wynika ze zwykłego rachunku prawdopodobieństwa – debile, masochiści, oświeceni i szaleńcy. Całkiem możliwe, że niektórzy zdobędą władzę w swoich krajach. Takie sytuacje już się zdarzały.

– Myśli pani o Hitlerze? Został powstrzymany.

– Niewiele brakowało. Mógł wygrać. Sądzę, że to jak w rosyjskiej ruletce, czasami pociąga się za cyngiel i nic się nie dzieje. Czasami trafi się kula. Ale tym razem, jeśli kula wystrzeli, szkody mogą być znacznie poważniejsze niż w przeszłości.

Prezydent spogląda na zegarek.

– Dobrze, jak mogę pani pomóc w ratowaniu świata, Natalio?

– Chcę wesprzeć projekty numer sześć i siedem.

– Feminizację i miniaturyzację?

– Potrzebuję budżetu, który pozwoli obojgu tym naukowcom przechylić szalę na właściwą stronę.

Prezydent przebiera palcami po blacie biurka.

– Wie pani, że nasze skarbce są puste?

Natalia się uśmiecha.

– Zawsze takie były z tego, co wiem, panie prezydencie.

– Wie pani, że nasz kraj jest zadłużony, a ja usiłuję robić cięcia w każdym z naszych ministerstw, żeby choć trochę zaoszczędzić? Wszyscy ministrowie nienawidzą mnie za to.

– To żalosne, krótkoterminowe zagrania, panie prezydencie. Ja mówię o wpływie na ewolucję całej historii naszego gatunku.

Natalia Ovitz pochyla się naprzód i zatapia czarne spojrzenie w oczach Stanisława Drouina, po czym stanowczym gestem pakuje swoje dokumenty.

– Zaproponuję więc swoje usługi pańskiemu przeciwnikowi politycznemu. Być może jego wizja jest mniej ciasna.

Prezydent Drouin wybucha dźwięcznym śmiechem, ale pułkownik Ovitz pozostaje niewzruszona.

– Pieniądze i pieniądze – miota się prezydent. – Mam wrażenie, że każdy wchodzi do tego gabinetu z zamiarem

zebrania. Nie jestem prezydentem, tylko bankomatem.

Natalia Ovitz ześlizguje się z poduszek, poprawia żakiet, po czym oświadcza nonszalancko:

– To pan decyduje. Być może przesadnie się martwię. Kto wie, może wszystko dobrze się potoczy i jeśli będziemy nadal podążać drogą, którą kroczyliśmy od zawsze, nie napotkamy żadnych problemów.

82.

Ciemna kula wyłania się z nieba i uderza w miasto z ogromnym impetem.

Wszystkie pomieszczenia znajdujące się na wyższych piętrach zostają natychmiast zniszczone. Ściany się osuwają. Setki, tysiące ofiar. Natychmiast pada hasło: ratować dzieci. Każdy chwytą, co tylko może, i ucieka ze zrujnowanej strefy. W przeciwieństwie do tego, czego niektórzy mogliby się obawiać, wszystko odbywa się bez paniki. Każdy wie, co ma robić. Ranni, którzy mogą być ocaleni, są ewakuowani, pozostałych się porzuca. W górze rezonują niskie drgania.

– Za daleko, Pierrot! Twoja kula wyleciała!

– Uderzyłem mocno, żeby odepchnąć kulę Steph'a, ale nie sądziłem, że odbije się od krawędzi i poleci w krzaki.

– Trzeba przyznać, że nieźle się odbiła. Chodź zobacz, chyba całkowicie zniszczyłeś mrowisko.

– Cholerne mrówki, podaj mi wąż ogrodowy, już ja je oduczę gnieźdzenia się w moim ogrodzie!

Jeden z emerytów podaje wąż drugiemu, po czym ostrzeliwują silnym strumieniem wody wszystkich mieszkańców – robotnice, pielęgniarki, rolniczki, służbę ochrony – którzy wychodzą, niosąc cenne jajeczka. Dokonawszy eksterminacji uciekinierów, rzeczony Pierrot znęca się nad samym gniazdem,

dopóki cała konstrukcja nie zamienia się w stertę błota.

– Co pan robi? – woła ktoś za jego plecami.

– Znaleźliśmy tu te paskudne stworzenia, ale proszę się nie martwić, już oczyściliśmy teren – odpowiada Pierrot. – Zmyłem ich miasto! Idziesz grać, Davidzie?

Młody człowiek zastyga w bezruchu, wydaje się przerażony widokiem.

– Wszystko w porządku?

Pochyla się i przygląda zrujnowanemu miastu pośrodku kałuży, w której miotają się tysiące bezradnych mrówek. Niektóre leżą na grzbiecie i machają odnóżami w powietrzu. Młody człowiek nie odzywa się, lecz zaciska pięści i podnosi się gwałtownie, uderzając w szczękę gracza w kule. Tamten, zaskoczony, upada do tyłu. W mgnieniu oka młody badacz znajduje się na nim i zasypuje go gradem ciosów, podczas gdy pozostali usiłują go powstrzymać.

David wstaje, z dzikim spojrzeniem i twarzą wykrzywioną w grymasie niehamowanej wściekłości. Wszystkie oczy zwrócone są na niego.

– Oszalał.

Wtedy David puszcza się biegiem w stronę swojego domu. Gracze w kule, zbici z tropu, podnoszą swojego towarzysza.

– Zostawcie go, to młody Wells, jest zbulwersowany śmiercią ojca.

– Biedny chłopak. No dalej, wstawaj Pierrot, zrobił ci krzywdę?

– Nie, nie, wszystko w porządku.

Mężczyźni pomagają niszczycielowi miasta się podnieść. Nieco dalej kilkaset ocalałych mrówek trzymających cenne jajeczka ukryło się wśród liści i czeka, aż ustaną hałas i drzenie

podłóża, żeby móc wyruszyć na poszukiwanie bezpieczniejszego miejsca do wzniesienia nowego miasta. Niektóre sugerują, żeby opuścić okolicę, inne wskazują już bardziej dyskretne miejsce w zaroślach, gdzie byłyby chronione przez gęstą roślinność. Mają przede wszystkim nadzieję, że tam ciemne kule nie będą już na nie spadać z nieba.

83.

Nie spieszyłam się z wyborem nowego obrońcy, obserwowałam „lokatorów” żyjących na mojej powierzchni.

Zwierzę musiało być inteligentne.

Z początku kusila mnie ośmiornica. Dysponowała największą liczbą receptorów zmysłowych. Była jednak zimnokrwista, co zanadto uzależniało ją od temperatury. Poza tym, choć miała fenomenalną pamięć, nie przekazywała jej z pokolenia na pokolenie, gdyż rodzice umierali albo uciekali po narodzinach swoich dzieci.

Potrzebowałam zwierzęcia inteligentnego, o zróżnicowanym języku i cieplej krwi. Zwróciłam się w stronę delfinów.

Cieplokrwisty ssak, inteligentny, wychowujący młode, o zróżnicowanym języku, przekazujący swoją wiedzę. Żył jednak w wodzie, co ograniczało jego funkcjonowanie na ziemi i w powietrzu.

Zaczynałam lepiej wyodrębniać cechy mojego idealnego kandydata.

Wtedy zwróciłam się w stronę kruków. Były inteligentne, socjalne, potrafiły żyć w dużych społecznościach na wszystkich kontynentach. Były wszystkożerne, porozumiewały się złożonym językiem, miały niezwykle zdolności adaptacyjne. Wychowywały swoje pisklęta. Niestety, ich kończyny były obciążone

skrzydłami, co utrudniało im manipulowanie przedmiotami. Nawet ich bardzo precyzyjny dziób nie był wystarczająco skuteczny dla mojego projektu.

Potrzebowałam łap.

Skusiło mnie więc najbardziej inteligentne zwierzę lądowe – świnia. Nie potrafiłam jednak wyobrazić sobie olbrzymiej piramidy świń budujących rakiety. Potrzebowałam zwierzęcia socjalnego dysponującego palcami, a nie kopytami.

Zacząłam rozmyślać o szczurach. Te zaradne gryzonie miały niestety dość ograniczoną świadomość. Nie okazywały żadnej litości. Zabijały starców, chorych oraz słabe dzieci, a ich komunikacja była nastawiona wyłącznie na agresję. Poza tym ich szponiaste palce były zbyt szczupłe i nie dość chwytne.

Wtedy zwróciłam się ku naczelnym.

Żyły w społeczności, przyjmowały na wpół wyprostowaną postawę, używały prostego języka, a przede wszystkim miały te swoje cuda na końcach łap: „DŁONIE” z pięcioma palcami i stawami oraz przeciwstawny kciuk, który mógł służyć za szczytce. Ach, jakże podziwiałam ich dłonie – tych mi najbardziej brakowało.

Gdybym miała dłonie, mogłabym się bronić przed planetoidami.

Naczelne posiadały więc idealne ciało, niestety, ich mózg nie był wystarczająco rozwinięty.

Aby naprawić ten poważny brak, wpadłam na oryginalny pomysł: zmusić naczelnego do spółkowania ze... świnia.

Pewnego dnia dzięki trzęsieniu ziemi pewien naczelnny znalazł się w rowie z samicą guźca (przodka świni). Byli zdziwieni, bili się, nie potrafiąc się jednak nawzajem zabić, aż w końcu zaczęli spółkować.

Dziewięć miesięcy później narodziła się nowa zwierzęca

hybryda o gładkiej i różowej skórze, głęboko osadzonych i żywych oczach, wrażliwości i inteligencji świni, lecz utrzymująca się na tylnych łapach i potrafiąca chwycić i manipulować przedmiotami jak naczelnę. Przypominała z grubsza małpę bez futra o skórze świni.

Udało mi się połączyć zdolny umysł z odpowiednią powierzchownością i proporcjami genów świni i naczelnych sześćdziesiąt do czterdziestu. Oto, w jaki sposób „stworzyłam” swojego obrońcę: człowieka.

84.

Kawałek szynki zostaje natychmiast porwany. David żuje go nerwowo, sięga po kolejny różowy plaster i połyka. Następnie jeszcze jeden, który pospiesznie przeżuwa. Wciąż jest wściekły. Otwiera małą lodówkę i wyjmuje puszkę piwa, żeby ugruntować swój stan upojenia. Spogląda na bonsai, na królicę Joséphine, portret Napoleona, zdjęcia ojca, zdjęcie jego samego jako dziecka w ramionach matki.

„Coś jest nie tak”.

Krąży po pomieszczeniu, obserwowany przez królika, który metodycznie obgryza kabel elektryczny od laptopa.

„Wszystko kręci się w kółko. Jesteśmy osaczeni. Ja jestem osaczony. Jakaś siła uniemożliwia nam posuwanie się naprzód. Nie chodzi o strach, lecz o złe przyzwyczajenia. Jeśli chcę ruszyć z miejsca, muszę wysadzić w powietrze stary świat”.

David spogląda na figurki kolekcjonerskie żołnierzyków odgrywających bitwę pod Austerlitz.

Przypomina sobie zdanie przypisywane Gandhitemu, którego nauczył go ojciec: „Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzeć w świecie”.

Kończy jeść plasterki szynki i opróżnia puszkę piwa.

„Skoro nic z tego, co mnie otacza, mi nie odpowiada, to znaczy, że gdzieś popełniłem błąd. Z całą pewnością. A zatem zmieniając siebie, mogę poprawić sytuację. Ale co w sobie zmienić? Co mnie powstrzymuje przed metamorfozą? Zawsze robiłem to, co mi kazano. Byłem uprzejmy, czysty, mówiłem »dziękuję« i »przepraszam«, chodziłem do przedszkola, do szkoły, na uczelnię, słuchałem ojca, czytałem notatki pradziadka, śledziłem aktualności, rozwijałem swoje pasje, podróżowałem. Gdzie tkwi błąd?”

Przypomina sobie swoje życie na Atlantydzie, przypomina sobie Nuçx'ię, Sorbonę i Kongo.

„Co muszę w sobie zmienić, żeby mieć wpływ na zmianę świata?”

Ponownie spogląda na zdjęcia ojca, który zdaje się z niego kpić. Przywołuje z pamięci ostatnie zdanie z jego notatnika.

My, *Homo sapiens*, jesteśmy gatunkiem przejściowym między dwoma gatunkami ludzkimi:

człowiekiem przeszłości i człowiekiem przyszłości.

Rzuca pustą puszką po piwie o ścianę.

„Jestem ograniczony we własnej głowie. Nie mogę wymyślić człowieka przyszłości, dopóki nie wymyślę Davida Wellsa przyszłości”.

Wypija jeszcze jedno piwo, rzuca się na łóżko i zasypia, nie umywszy zębów ani nie rozebrawszy się. Śni, że znajduje się na ulicy i nagle czuje, że swędzi go brzuch, podwija sweter, żeby spojrzeć na pępek, i odkrywa nienaruszoną pępowninę, która łączy go z matką mimo jego dorosłego wieku. Różowa rurka pokryta czerwonymi i czarnymi żyłkami. Kiedy opuszcza dom, pępownina naciąga się niczym elastyczna psia smycz.

Dociera na uniwersytet i przemawia pod olbrzymim portretem ojca, który spogląda na niego z naganą.

– Interesuje się pan niskimi ludźmi, ponieważ sam pan jest bardzo mały – twierdzi Christine Mercier.

Jurorzy wybuchają śmiechem i nabijają się z niego.

– Mały, mały! Nie wszystko, co małe, musi być piękne... Wszystko, co jest małe, jest śmieszne – twierdzi zwycięzca Gérard Saldmain.

Następnie David widzi się w uniwersyteckim ogrodzie. Podchodzi do niego Aurore, nie zauważa napiętej pępowiny, potyka się o nią i upada na ziemię.

– Przepraszam, mama zapomniała ją odciąć przy urodzeniu – wyjaśnia David uprzejmie.

Aurore spogląda na sznur znikający w drzwiach wejściowych.

– Matka musi cię bardzo kochać – przyznaje. – Moja również mnie kocha.

Aurore odsłania wówczas swój brzuch i pokazuje taką samą pępowinę ciągnącą się w nieskończoność.

– Moja matka nie żyje, przyczepiłam więc pępowinę do ojca. A że jest niezbyt mądry i nie wiedział, co z nią zrobić, przypięłam ją do Christine.

David dostrzega, że istotnie, pępowina łączy Aurore z kobietą w okularach, która macha do nich przyjaźnie ręką.

– To nasz punkt wspólny – mówi David – idziemy przez życie z nienaruszonymi pępowinami, mimo że jesteśmy dorośli i teoretycznie wyemancypowani.

– Nie tylko...

Za Aurore staje armia Amazonek. Za Davidem – armia Pigmejów. Obie grupy zdają się czekać na rozkaz do ataku.

– Mamy naszych „przyjaciół”, którzy nam towarzyszą – podkreśla Aurore.

Podnosi pępowinę Davida i głaska ją.

– Twoja pępowina jest piękna, ale popatrz... są na niej białe krostki.

David ze snu przygląda się ze zdziwieniem swojemu różowemu sznurowi.

– To afty – wyjaśnia Aurore. – Pojawiają się, kiedy pępowina jest zbyt długo wystawiona na działanie powietrza.

David spogląda na zegarek i mówi:

– Szybko, muszę wracać, w przeciwnym razie pępowina wyschnie.

Opuszcza uniwersytet, owijając pępowinę wokół kijka. Wokoło ludzie zdają się nie widzieć w tym nic nietypowego. Na ulicy jest wiele innych napiętych pępowin. Kiedy wraca do domu, matka czeka na niego w progu i rozkłada szeroko ramiona. David trzyma kłębek pępowiny pod pachą, niczym dużą piłkę.

W tym momencie słyszy hałas – to olbrzym o twarzy Pierrota. Wypełnia całe pole widzenia za oknem. Trzyma rurę węża strażackiego i celuje w dachy. Potężny strumień wody splukuje domy, ludzie uciekają przed potokiem lejącym się z nieba, tymczasem Pierrot rechocze.

– Oto, jak zmywam miasta, które uniemożliwiają mi grę w kule!

David chce uciec, ale powstrzymuje go pępowina, woda dopada go i zatapia. Chce wypłynąć na powierzchnię, ale wciąż jest unieruchomiony, walczy ze wszystkich sił, lecz woda wdziera mu się do płuc. Dławi się. Matka dołącza do niego, wyciąga go na powierzchnię i płynie z nim, podtrzymując za brodę, aż wreszcie wydostają się na brzeg. Cuci go metodą usta-usta, David wypluwa wodę, ale matka wciąż zasypuje go wilgotnymi pocałunkami i liże go po twarzy.

Przebudzenie. David otwiera oko i wstrząsa nim dreszcz

obrzydzenia. Chropowaty język królicy Joséphine oblizuje mu starannie twarz.

Odpycha czule zwierzę i idzie do łazienki, gdzie się rozbiera, po czym wskakuje pod prysznic. Dopada go jednak niepokój dnia poprzedniego.

„Jak mogę się zmienić?”

Długo się myje, obniża temperaturę wody, aż staje się lodowata, dotyka pępka, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy pępowina na pewno jest odcięta. Wyciera się, przygląda obrazowi przedstawiającemu Napoleona przepływającego się przez Alpy, podczas gdy karłowaty królik obgryza drzewka bonsai, jak gdyby chciał go ukarać za odrzucenie.

Podnosi skafander ojca i plik kartek wyciągniętych z encyklopedii pradziadka. Czyta raz jeszcze fragmenty dotyczące mrówek, Pigmejów, Czterech Jeźdźców Apokalipsy i Olbrzymów.

Ubiera się i schodzi do kuchni. Matka siedzi przy stole. Robi coś na drutach z grubej różowej włóczki.

– Co to?

– Sweter dla ciebie, kochanie. Teraz, kiedy już nie wyczekuję na twojego ojca, będę mogła ci się poświęcić w całości, synu. Możesz mnie prosić, o co tylko zechcesz, zawsze będę tu dla ciebie.

David przygląda jej się. Myśli kłębią mu się w głowie, pojawiają się także obrazy z ostatniego snu, wywołując bolesne przeblyski postaci o zdeformowanych twarzach. Chwyta się za głowę, zamyka oczy, znów widzi swoją pępowinę, która go dusi.

– Dobrze się czujesz, Davidzie?

Mężczyzna masuje sobie skronie, zaczyna tracić oddech. Nogi uginają się pod nim.

– David, kochanie? Co się dzieje? Wszystko dobrze?

Za każdym razem, kiedy opuszcza powieki, wylaniają się obrazy ze snu. Zamyka oczy na dłużej i widzi zaśmiewającego się ojca. Aurore parszającą śmiechem. Wszyscy mieszkańcy wioski Pigmejów chichoczą, wytykając go palcami. Nawet zwłoki N'goma rekonstruuują się i śmieją z niego, a mrówki poruszają czułkami. Huk w jego głowie staje się ogłuszający, David kuli się więc i zatyka sobie uszy. Matka mówi coś do niego, ale on jej nie słyszy. Czuje dotyk jej dłoni na ramieniu.

– Czy wczoraj wszystko potoczyło się jak trzeba? – pyta.

– Moja praca nie została wybrana. Usiłowałem ocalić Pigmejów, ale mi się nie udało. Chciałem uratować mrówki w tamtym ogrodzie, ale i z tym sobie nie poradziłem. Nawet drzewka bonsai w moim pokoju marnieją.

– To przez śmierć ojca. Wstrząsnęła tobą.

Matka chce go uścisnąć, ale David się cofa.

– Co z tobą?

Mężczyzna powoli się odsuwa. Matka podchodzi bliżej i całuje go.

– Co ci się dzieje, kochanie! Nie pozwolę ci cierpieć w samotności, zawsze będziesz mógł liczyć na moją obronę i pomoc.

Rysy młodego człowieka wykrzywają się.

– Przykro mi, mamó, ale chyba wolę być teraz sam.

Zupełnie sam.

Wraca do swojego pokoju, wyciąga walizkę i przenośny komputer, do torby wrzuca kilka ubrań i kosmetyczkę.

– Ubierz się ciepło – szepcze matka w chwili, kiedy przekracza próg domu.

Nie zwraca na nią uwagi i biegnie do garażu. Zdejmuje pokrowiec ze starego zabłoconego terenowego hyundaia swojego ojca i przekręca kluczyk w stacyjce. Stary model z 2010

roku. Silnik Diesla odpowiada dźwięcznym pomrukiem. David ucieka z rodzinnego gniazda, wzdychając z ulgą. Im bardziej się oddala, tym jego oddech staje się lżejszy. Jedzie długo bez konkretnego celu, po czym, ogarnięty nagłą intuicją, rusza w stronę willi swojego pradziadka w Fontainebleau. Nie zauważa, że podąża za nim czarny samochód.

85.

– Co to za suka?

Aparat fotograficzny zostaje rzucony na łóżko.

– Nie mów mi, że ośmieliłaś się przeszukać mój aparat!

Aurore jest oburzona, ale Christine wydaje się jeszcze bardziej zgorziona.

– Pomyśleć, że pojechałaś do Turcji za pieniądze zdobyte dzięki moim staraniom i wykorzystałaś to, żeby pójść do łóżka z pierwszą lepszą! Rudą na dodatek!

– Mam dość twoich scen zazdrości, Christine.

– A ja mam dość twoich kłamstw, Aurore.

– Moja ty nieszczęsna, zmieniłaś się w czystą zazdrość: jesteś zazdrosna o moje badania, o moje miłości, o życie, którego nie masz i którego nie byłabyś w stanie mieć.

– Masz mi za złe, bo nie udało mi się zdobyć dla ciebie zwycięstwa? Tak? O to ci chodzi?

– Nie, mam ci za złe, ponieważ twój umysł jest stary. Zarzucasz innym, że chcą stworzyć cywilizację starców, ale sama jesteś wcieleniem tego wszystkiego, co krytykujesz.

Aurore wpatruje się w Christine.

– „Sorbona”. „Starożytni”. „Tradycja uniwersytetu”, jasne! Tradycja to nazwa nadawana złym zwyczajom, których nikt nie ma odwagi podważyć, a ty nie jesteś nikim innym, jak tylko strażniczką trady...

Uderzenie w policzek trafiło ją w połowie słowa. Natychmiast odpowiedziała tym samym, po chwili nastąpiło trzecie i czwarte. Obie kobiety mają na twarzy czerwone ślady w kształcie dłoni. Starsza płacze, krzycząc ze złości, napiera na młodszą, która zdążyła się wymknąć i unika ataku. Nie wiedząc, jak dać upust wściekłości, profesor uniwersytetu sięga po wazon i rzuca nim ze wszystkich sił w Aurore, która patrzy, jak przedmiot rozbija się o ścianę nad jej głową.

– Niewdzięcznica!

Różne przedmioty pokonują tę samą trajektorię: popielniczka w kształcie czerwonego serca, przezroczysty zegar, kryształowy świecznik, poduszka, słownik francusko-angielski, telefon z kablem, porcelanowy aniołek, kasety wideo, płyty, butelka z mleczkiem do demakijażu, czasopisma o modzie, krzesło, filiżanka do kawy, lustro.

Aurore ukryła się za kanapą i unika pocisków, jak tylko najlepiej potrafi.

Kiedy w końcu kończy jej się amunicja, Christine osuwa się na ziemię, łkając.

– Jak mogłaś mi to zrobić?

Młoda kobieta o złotych oczach wstaje i potrząsa głową.

– Nie zniosę cię dłużej. Twoja zazdrość staje się patologiczna.

– To dlatego, że cię kocham, Aurore. Nie rozumiesz, że szaleję za tobą i jestem chora na myśl, że mogłaś znaleźć się w ramionach innej kobiety. Jak mogłaś mnie zdradzić!

– Nie należę do ciebie, Christine. Nikt nie należy do nikogo. Nie jestem ci nic winna. Jestem wolną kobietą. Nie po to uwolniłam się od mężczyzn, żeby znosić tyranię kobiety.

Christine chce się do niej przytulić, ale Aurore ją odpycha.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie napadło. Przestraszyłam

się, że cię stracę.

Młoda badaczka odwraca się i poprawia ubranie.

– Kiedy boisz się mnie stracić, bijesz mnie i rzucasz porcelaną w twarz?

– Bez ciebie moje życie nie ma sensu.

– Z tobą mojego nie ma.

Christine podbiega do okna, otwiera je szeroko i wspina się na parapet.

– Skoczę, słyszysz? Jestem do tego zdolna, Aurore, wiesz o tym! Uważaj na to, co zrobisz w najbliższych sekundach.

Kobiety się obserwują.

Aurore zbliża się do Christine, która sądząc, że ta chce ją odzyskać, rozkłada szeroko ramiona. Aurore jednak obejmuje ją, podnosi, niesie aż na próg, otwiera drzwi jedną ręką i delikatnie stawia Christine przed wejściem do windy. Wraca do mieszkania, podnosi torebkę i płaszcz, rzuca je kobiecie i zatrzaskuje drzwi.

– Jeśli chcesz popełnić samobójstwo, nie zrobisz tego u mnie.

Christine dzwoni i łomocze do drzwi.

Nagle wszystko cichnie.

Młoda badaczka słyszy kroki na schodach. Z ulgą sprząta nieco bałagan, po czym opada na fotel.

Tym razem chyba zrozumiała.

Mija wiele minut, zanim dzwonek rozlega się ponownie.

Aurore spogląda przez wizjer. Nikogo.

– To znowu ty? – pyta zirytowana.

Postanawia uchylić drzwi przez łańcuch. Rozpoznaje karlicę, która wchodziła w skład jury.

– Jeśli przyszła pani do panny Mercier, ona już tutaj nie mieszka.

– Nie. Chciałam złożyć propozycję skierowaną wyłącznie do pani, doktor Kammerer.

– Niech zgadnę. Odkurzacze? Ubezpieczenia? Dołączenie do sekty? Świadkowie Jehowy? Mormoni?

– Wszystkiego po trochu. I jeszcze więcej.

– Niczego nie potrzebuję. A prawdę mówiąc, źle pani trafiła, potrzebuję akurat spokoju i samotności.

– Być może pani niczego nie potrzebuje, ale „my” potrzebujemy pani.

– My?

– Chciałabym przedstawić pani pewien projekt związany z pani badaniami naukowymi.

Aurore wzrusza ramiona i zaprasza kobietę do środka.

– Na Sorbonie słuchała pani prezentacji mojego projektu przez pięć minut, dlatego również daję pani pięć minut na wygłoszenie swojego.

Niska kobieta wchodzi do pomieszczenia, które wciąż jeszcze nosi ślady kłótni.

Podnosi jeden z przewróconych foteli, siada na nim, wyciąga ze skórzanego etui papierosa, którego wkręca w jaspisową lufkę i niespiesznie zapala.

– Nazywam się Natalia Ovitz. Pułkownik Natalia Ovitz. Pracuję dla DGBZ, Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Zewnętrznego.

– Co ja mam z tym wspólnego?

– Jedynie pani znalazła początek drogi prowadzącej do zdobycia odporności na promieniowanie nuklearne. Pani praca na temat tureckich Amazonek jest nowatorska i prezentuje załączek rozwiązania: mitrydatyzm i żeńskie hormony. Pani analizy były finansowane przez uniwersytet, który podlega ministrowi do spraw badań naukowych, stały się więc jakby

„patentem” państwowym. Pani odkrycia już do nas należą, zależałoby mi jednak na pani bezpośredniej współpracy.

Aurore podnosi popielniczkę i przesuwa ją w kierunku kobiety. Następnie nalewa sobie czerwonego wina w dużym kulistym kieliszku i podczas gdy Natalia wdycha cząsteczki tytoniu w formie lotnej, ona przełyka cząsteczki winogrona w formie płynnej. Każdą uspokaja jej ulubiona roślina.

– Od zarania dziejów – zaczyna karlica – wojskowi toczą walkę między mieczem a tarczą. Za każdym razem, gdy powstaje jakaś broń, człowiek stara się przed nią obronić. Następnie obronę przewycięża kolejna broń i tak w kółko. W związku z tym to żołnierzom najbardziej zależy na przewidzeniu przyszłości. Trzeba wiedzieć, jak odeprzeć kolejny atak.

Aurore spogląda z powątpiewaniem.

– Po raz pierwszy w historii wojen nie dysponujemy żadną obroną antyatomową. Co gorsza, po raz pierwszy pojawiło się... ryzyko całkowitej destrukcji naszego gatunku.

Pułkownik wydmuchuje niebieskawy dym.

– Tylko pani proponuje sposób na przeżycie: modyfikację naszego organizmu w celu uodpornienia go na promieniowanie. My z kolei oferujemy pani sfinansowanie dalszych badań.

Aurore zatopiała spojrzenie w migoczącej rubinowej czerwieni wina, przygląda się jego teksturze, osadowi na dnie kieliszka, odbłaskom.

– Kompletnie nie dbam o miecze i tarcze. Wszystko, co dotyczy broni, budzi moje obrzydzenie, pomaganie wojskowym przerasta więc moje siły. Cóż, minęło pięć minut, nie zatrzymuję pani.

Natalia Ovitz rozgniała papierosa w popielniczce w kształcie serca, wstaje i wręcza Aurore wizytówkę.

Młoda badaczka przygląda się kartonikowi: „Pułkownik

Natalia Ovitz”, z boku logo DGBZ – orzeł niosący niebieską planetę, na której wyraźnie zaznaczono na czerwono terytorium Francji. Poniżej widnieje dewiza: *Ad augusta per angusta*.

– O ile dobrze pamiętam lekcje łaciny, można by to przetłumaczyć jako: „Do wielkich osiągnięć przez wąskie ścieżki”, prawda?

– Jesteśmy jedną z niewielkich, mało znanych kabin wielkiego statku o nazwie państwo francuskie.

– Jest pani związana z obroną, a więc z armią. Podejrzewam, że nawet gdyby przebrała się pani za klauna, nie bawiłabym się dobrze.

– Proszę się zastanowić. Proponuję pani możliwość działania na rzecz ocalenia naszego gatunku, co nie zdarza się często.

– Nigdy nie będę pomagać ludziom, których zawód polega na zabijaniu swoich towarzyszy.

– Jak mówi przysłowie: „Nigdy nie mów nigdy”.

Aurore jeszcze raz czyta wizytówkę, po czym drze ją na małe kawałeczki i wrzuca do popielniczki.

– Zastanowiłam się. Dziś jest mój dzień wyrzekania się. Mówię więc: „Nigdy”.

Następnie odprowadza pułkownik aż na próg swojego mieszkania i zatrzaskuje za nią drzwi. Wypędziwszy byłą kobietę swojego życia i dziwną karlicę, nalewa sobie po brzegi wina do kieliszka i rozkoszuje się napojem. Podchodzi do okna i spogląda z wysokości balkonu na mrowie przechodniów. Stwierdza, że nie ma już ochoty się bić, ma ochotę być niezależna i żyć w spokoju. Postanawia jak najszybciej znaleźć pracę, która pozwoli jej opłacić czynsz, który odtąd będzie musiała pokrywać sama.

David hamuje gwałtownie.

„Oto ona”.

Dyskretna willa otoczona siatką. Miejsce jest opustoszałe i tylko tablica z napisem NA SPRZEDAŻ zdaje się nadawać miejscu sens istnienia.

David obchodzi budynek i odkrywszy na tyłach drzwi okienne bez okiennic, wybija szybę kamieniem i wchodzi do przestronnego, wyłożonego wykładziną pomieszczenia. Wykorzystuje latarkę zainstalowaną w smartfonie, żeby oświetlić ostatnie miejsce pobytu swojego pradziadka, Edmunda Wellsa.

Najwyraźniej od dawna nikogo tutaj nie było.

Wokoło jest mnóstwo powiększonych zdjęć głów mrówek.

David dostrzega także trójkątną twarz pradziadka, nieco podobną do oblicza Franza Kafki. Poniżej, w charakterze legendy, widnieje napis, który najwyraźniej był jego dewizą: „ $1 + 1 = 3$ ”.

„W hołdzie synergii między wszystkim, co żyje?”

W kuchni na drzwiach napisano: Nigdy nie schodzić do piwnicy. David forsuje zamek i za skrzypiącym w zawiasach skrzydłem drzwi odkrywa schody znikające w głębokiej ciemności. Waha się przed zbadaniem piwnicy, wreszcie rezygnuje i kontynuuje przeszukiwanie willi, pomieszczenie po pomieszczeniu, aż wreszcie znajduje sypialnię. Wewnątrz dostrzega oprawione w ramki zdjęcie Euroazjatki. Rozpoznaje ją.

„Córka Edmunda Wellsa: Laetitia Wells. Matka mojego ojca. Moja babka”.

Zagląda do pozostałych pomieszczeń i w starej walizce w głębi szafy odkrywa wreszcie olbrzymi zeszyt opatrzonej

etykietą: ENCYKLOPEDIA WIEDZY WZGLĘDNEJ I ABSOLUTNEJ. TOM 7 oraz – dopisane mniejszą czcionką – „Podsumowanie sześciu poprzednich tomów uzupełnione o nowe fragmenty”.

David przygląda się opasłemu dziełu.

„Oto dziedzictwo skuteczniejsze niż geny: ciągi słów ożywiające umysł mojego pradziadka, który – podobnie jak ja – wierzył w ewolucję zmierzającą do zmniejszenia, wbrew poglądom całego świata, który stawia na powiększenie. To właśnie musiał skopiować mój ojciec do swojego komputera, tworząc plik, do którego udało mi się zajrzeć. To mnie pokieruje”.

David zapala świeczkę, siada na łóżku i czyta przypadkowy fragment.

87. ENCYKLOPEDIA: APOKALIPSA

W Starym Testamencie jednym z pierwszych proroków apokaliptycznych jest Zachariasz, który w swoim dziele (Księga Zachariasza) nawiązuje do „Aharit Ha Yamim”, co można przetłumaczyć z hebrajskiego jako „koniec dni”.

Wydarzenie to można podzielić na dwa etapy.

Najpierw „Armagedon”. Ostateczna bitwa wojowników Światła z wojownikami Cienia. Obóz wojowników Cienia to przymierze Goga i Magoga (być może chodzi o odniesienie do dwóch królestw, Scytów i Persów, zjednoczonych w ataku na Izrael). Armagedon stanowi również odniesienie do fortyfikowanego wzgórza Har Megiddo („Har” oznacza wzgórze), gdzie w 609 roku p.n.e. została stoczona bitwa między królem Jozjaszem z Judy i faraonem egipskim Neko II (jak relacjonuje Biblia, w walce tej starły się siły dobra i zła).

Następnie powrót proroka Eliasza, który sam zapowiada nadejście Mesjasza i początek czasów mesjanistycznych. Ta ostatnia część składa się z trzech faz: „T’hiyat hametim” – zmartwychwstanie zmarłych, „Yom Ha Din” – dzień sądu ostatecznego (to chwila, w której wszyscy ludzie muszą zeznać przed Bogiem, co uczynili dobrego, a co złego na ziemi), „Olam Haba” – ustanowienie lepszego wiecznego świata. Co łączy się z przydziałem dusz w zależności od ich zasług za życia i z przybyciem Mesjasza, który zakończy upływ dni.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

88.

David wznawia przeszukiwanie domu swojego przodka. Ogląda jedną po drugiej rzeźby mrówek, obrazy przedstawiające mrówki, zdjęcia rodzinne, nie ośmiela się jednak zapuścić w głąb mrocznej piwnicy.

Wychodzi do ogrodu. Przerazona mrówka, typowa dla europejskich lasów, ucieka po olbrzymim stuletnim pniu.

„Są bardziej nieśmiałe niż afrykańskie *Dorylus*”.

Zmusza owada do wspięcia się na swój palec, zagradzając mu drogę, ten jednak wydaje się tak przerażony, jak sam David, gdy wisiał wśród gałęzi kongijskiego drzewa. David podnosi rękę i umieszcza mrówkę na wysokości swoich oczu, lecz ona – ogarnięta grozą – woli rzucić się w otchłań, co przypomina mu upadek przewodnika N’goma. Z tą różnicą, że mrówka nie ginie zmiażdżona, ale ucieka między trawy.

David podąża jej śladem.

Eksploratorka prowadzi go w stronę charakterystycznej kopuły rudnic, wysokiej na mniej więcej półtora metra. Pojedyncze wartowniczkę natychmiast zbliżają się do niego, aby czym prędzej uciec ze strachem. David kładzie dłoń na piramidzie z gałązek, żeby poczuć energię miasta maleńkich istot.

Nagle niebo rozświetla błyskawica. David ma okazję zaobserwować fenomen, o jakim tylko słyszał: lot godowy. Korzystając z burzy, która odstrasza ptaki, płciowe mrówki zbierają się na szczycie mrowiska. Tysiące samic, rozpoznawalnych po większych rozmiarach i długich skrzydłach, startują pierwsze, w ślad za nimi rusza eskadra mniejszych samców o znacznie skromniejszych skrzydłach. Samce doganiają samice i wskakują im na grzbiety, żeby je zapłodnić. Podczas gdy niebo wciąż przecinają błyskawice, u mrówek trwa orgia.

Nadlatuje kilka ptaków, którym udało się pokonać strach przed piorunami, żeby pożreć smaczne płciowe owady, niezdolne do ucieczki czy obrony. Zmęczone samce odpadają i natychmiast zostają zastąpione przez kolejne, zdeterminowane wypełnić spermą brzuchy księżniczek. Jaszczurki, pająki i węże wykończą zamoczonych. Dla nich nie ma zbawienia.

David przypomina sobie, że przeczytał w elektronicznej wersji encyklopedii, że na dwa tysiące księżniczek, które wzlecą w powietrze, przeżyje jedna lub dwie. Zakopią się w ziemi i złożą jajo, potem drugie, potem tysiące, które stworzą miasto.

„Cóż za osobliwy wybór, porzucać rodzinne miasto i tyle ryzykować, zakładając nowe gdzie indziej, budując wszystko od zera”.

Nie może jednocześnie nie podziwiać odwagi skrzydlatych mrówek, które wyzywają pogodę, drapieżców i głód.

Kropla wody skapuje mu na nos, po chwili druga, wreszcie ciężka ulewa zaczyna śpiewać wśród listowia. David sięga po papierową wersję encyklopedii, zamyka drzwi willi, wsiada do samochodu i uznawszy, że nie znajdzie już nic bardziej interesującego w willi pradziadka, postanawia wrócić do Paryża.

Ulewa przybiera na sile i wycieraczki z trudem usuwają strumienie z przedniej szyby. David wyobraża sobie zapłodnione mrówcze królowe, które będą musiały poradzić sobie w deszczu z założeniem miasta.

Kieruje się w stronę południowej obwodnicy. Zatrzymuje go korek. Jego ręka gładzi encyklopedię, która otwiera się na przypadkowej stronie. Tekst zatytułowany *Zagadka z trzema zapalkami* odwołuje się do pierwszego tomu encyklopedii, w którym postawiono problem: „Jak ułożyć cztery trójkąty z sześciu zapalek?” (odповідzią była piramida). W drugim tomie pytał: „Jak ułożyć sześć trójkątów z sześciu zapalek?” (odповідzią była gwiazda z dwoma odwróconymi trójkątami). W trzecim tomie poziom trudności wzrastał: „Jak ułożyć osiem trójkątów z sześciu zapalek?” (odповідzią było lustro), a w ostatnim tomie, zamiast podnosić poprzeczkę, obniżał ją. Pozostawiona bez odpowiedzi zagadka brzmiała: „Jak ułożyć kwadrat z trzech zapalek?”.

„Dlaczego poważny naukowiec, jakim był mój pradziadek, tracił czas na wymyślanie zagadek dla nastolatków?”

Jednocześnie David nie może się powstrzymać przed wyobrażeniem sobie trzech zapalek w powietrzu i testowania możliwych scenariuszy ułożenia z nich kwadratu.

„To niemożliwe. Nie można stworzyć figury o czterech bokach przy użyciu tylko trzech elementów. Tym razem zadał zagadkę, która nie ma rozwiązania”.

David posuwa się powoli w korku przy Porte d'Orléans, nie

zauważywszy czarnego samochodu podążającego jego śladem w odległości kilkudziesięciu metrów. Wjeżdża do stolicy, gdzie ruch jest bardziej płynny.

W przypiływie natchnienia kieruje się w stronę sklepów sprzedających krzewy na Île de la Cité, a konkretnie do sprzedawców drzewek bonsai, którym zamierza przedstawić swój talent: miniaturyzację żywych istot. W wielu sklepach zanotowano jego dane, obiecując, że w razie potrzeby skontaktują się z nim. Nieco rozczarowany David stwierdza, że będzie musiał szybko znaleźć sobie pracę. Zatrzymuje się na parkingu i usiłuje zasnąć, ale w jego umyśle mieszają się obrazy dżungli, Pigmejów, Nuçx'ii, jego ojca, Antarktyki i wreszcie jego pradziadka oraz lasu w Fontainebleau.

Myśli o swojej matce, Mandarin Wells.

Myśli o Aurore.

Aż wreszcie zasypia.

89.

Pamiętam.

Z początku moi nowi obrońcy, hybrydy „naczelno-świńskie”, okazali się nieco rozczarowujący.

Byli brudni i brutalni, mniej wrażliwi niż ośmiornice, mniej precyzyjni niż kruki, bardziej agresywni niż delfiny. Żyli w hordach gorzej zorganizowanych niż szczurze, ale wiedziałam, że dysponują zdolnością szybkiej nauki.

Zachęcałam ich, oddziałując falami na ich sny, żeby obserwowali mrówki i uczyli się od nich, miałam bowiem cichą nadzieję, że odzyskam wszystko, co zainwestowałam w owady społeczne.

W tamtych czasach, żeby zapanować nad moim wynalazkiem, skupiłam moje hybrydy w jednym miejscu: na

wyspie, na której je stworzyłam. Zapewniłam im idealną temperaturę, florę, pożywienie. W ten sposób chronione i dopingowane rosły w umysł i świadomość tak, jak na to liczyłam.

Wybitnie uzdolnieni uczniowie.

Nazwałam tę wyspę „moim laboratorium”.

Oni sami ochrzczili się dwiema sylabami: „lu-dzie”.

Tak to się wszystko zaczęło dla tych uprzywilejowanych lokatorów.

Działo się to w miejscu, które niegdyś nazywali oni Ha-Mem-Ptah, a które, znacznie później, inni określili mianem Atlantydy.

90.

Jakaś siła podnosi mu powieki. Przechodzi go dreszcz, David otrząsa się i ponownie siada za kierownicą starego samochodu swojego ojca. Włącza silnik, opuszcza parking i jedzie bez celu.

Ruch jest płynny. We wstecznym lusterku David dostrzega wreszcie czarną limuzynę o przyciemnianych szybach. Usiłuje wykonać kilka uników, ale samochód go nie opuszcza. Nie ma już wątpliwości – jest śledzony. Przyspiesza, bierze kilka ostrych zakrętów, próbując zgubić ogon. Ani na chwilę limuzyna nie pozwala zostawić się w tyle, a kiedy wreszcie wydaje mu się, że ją zgubił w plątaninie małych uliczek, silnik starego hyundaia gaśnie. Próbuje go uruchomić. Na próżno. Waha się, co powinien teraz zrobić, dostrzegłszy kątem oka zbliżający się czarny kształt samochodu. Czując zagrożenie, wysiada z pojazdu, oddala się pospiesznie i obserwuje w witrynie sklepowej zachowanie tamtego. Czarny samochód zatrzymuje się, otwierają się drzwi. Wysiada z niego postawny mężczyzna. Bez wątplenia blisko dwumetrowy.

David przyspiesza kroku i odbija w odchodzącą w poprzek ulicę. Mężczyzna wciąż go śledzi. Skręca raz jeszcze i znajduje się w ślepym zaułku.

Czuje pierwotny strach, który z trzewi rozlewa się po jego żyłach, ten sam, który musieli odczuwać pierwsi ludzie jaskiniowi, gdy się orientowali, że są tropieni przez niedźwiedzia lub lwa.

Tym razem został osaczony. Olbrzymi mężczyzna się nie spieszy.

– Czego pan ode mnie chce? – pyta młody badacz możliwie najbardziej stanowczym głosem.

Instyktownie przyjmuje taktykę goryla z Kongo: zaciśnięte szczęki, uniesione ramiona, spięte mięśnie, gotów walczyć lub uciekać. Kolos zbliża się nieubłaganie.

Zdjęty paniką, David rusza w stronę murku i wspina się nań z trudem. Spada po drugiej stronie i biegnie. Kolos bez trudu pokonuje przeszkodę i zmierza wielkimi krokami w jego stronę. Po plecach przerażonego Davida spływają strużki potu.

Biegnie, skręca gwałtownie w wąską uliczkę. Na jej końcu stoi biały samochód. Jego przednie drzwi są otwarte i David dostrzega na miejscu kierowcy karlicę, zauważa także, że biegi są dostosowane do jej wzrostu.

– Proszę wsiadać, doktorze Wells! – nakazuje kobieta.

David waha się, lecz wysoka postać wciąż zmierza w jego stronę.

– Nie poznaje mnie pan? – pyta kobieta za kierownicą.

Wtedy David uświadamia sobie, że zasiadała ona w jury podczas konkursu na Sorbonie. Zajmuje miejsce pasażera, zamyka pospiesznie drzwi i czeka, aż samochód ruszy. Ale kobieta nawet nie drgnie.

– Proszę ruszać! Na co pani czeka?

Olbrzym wciąż się zbliża. Otwiera drzwi i siada spokojnie na tylnym siedzeniu. Wtedy dopiero karlica wrzuca bieg i biały samochód rusza.

– Czy to porwanie? – pyta David, usiłując przezwyciężyć panikę.

Zerka w tylne lusterko i napotyka wzrok nieprzeniknionego olbrzyma.

– Bardzo podobało mi się pana wystąpienie i chciałabym zaproponować panu pracę, doktorze Wells.

– Jaki rodzaj pracy?

– Ratowanie świata, co pan na to?

91. ENCYKLOPEDIA: KONIEC ŚWIATA AZTEKÓW

Jak podaje mitologia aztecka, świat poznał cztery fazy destrukcji.

Pierwsza faza dotyczy pierwszego świata, będącego pod panowaniem boga Tezcatlipoca (imię to można przetłumaczyć jako „Dymiące Zwierciadło”). To surowy bóg, zwany również Titlacauan (co w języku nahuatl oznacza „Ten, którego jesteśmy niewolnikami”). Boga Tezcatlipoca przedstawiano jako postać o czarnym ciele, nie licząc żółtych promieni na twarzy, odnoszących się do jego zwierzęcia fetyszu: jaguara. Jego posąg musiał pozostawać w ukryciu i tylko kapłani mieli prawo go kontemplować. Raz do roku składano mu ofiarę z ludzi, dziesiątki młodych mężczyzn, do których dorzucano cztery młode dziewczęta mające służyć mu za żony.

Dla Azteków w epoce pierwszego świata Ziemię zaludniały olbrzymy. Ale bóg Quetzalcóatl (co oznacza: „Pierzasty Wąż”), który sam był olbrzymem z rodziny boga

Tezcatlipoca, zerwał z nim przyjaźń i obraził się. Dwaj olbrzymi bogowie starli się w walce i ostatecznie to Quetzalcóatl zwyciężył i wrzucił przeciwnika do oceanu.

Działo się to w czasach, gdy inni olbrzymi bogowie żyjący na wyspie zginęli zatopieni wielką falą, która pochłonęła ich królestwo. Potop na wyspie olbrzymów stanowił pierwszą fazę destrukcji świata.

Nastąpiła druga epoka.

Bóg Tezcatlipoca nie utonął i płynął tak długo, że zdołał dotrzeć do plaży. Chciał się zemścić. Odnalazł swojego rywala Quetzalcóatla i dwaj bogowie znów starli się w walce. Tym razem Tezcatlipoca był szybszy i powalił Quetzalcóatla potężnym kopniakiem w brzuch. Korzystając z chwili, kiedy jego przeciwnik był zupełnie oszołomiony, bóg o skórze jaguara rozpętał straszliwą burzę, która zmieniła ludzi w małpki.

Trzecia epoka trwała za panowania olbrzymiego boga Tlaloca, zwanego również Tlalocantecuhtli („Ten, który powoduje rośnięcie” w języku nahuatl). Jest on przedstawiany z wielkimi kłami i olbrzymimi okrągłymi oczyma, w otoczeniu krokodyli. Był bogiem deszczów. Quetzalcóatl – który tymczasem doszedł do siebie po walce z Tezcatlipocą – znów stanął z nim do walki. Pierzasty wąż pokonał boga krokodyla i skonsumował go w deszczu ognia. W następstwie tego zwycięstwa zmienił wszystkich ludzi-małpy w indyki oddające cześć bogu krokodylowi.

Była to trzecia faza destrukcji.

Czwarta epoka trwała za panowania żony Tlaloca, bogini Chalchiuhtlicue (co oznacza „Ta w spódnicy z zielonego kamienia”), bogini huraganów i wiatrów. Tu raz jeszcze Quetzalcóatl stoczył z nią osobliwy pojedynek, który

wywołał burzę niszczącą góry. Burza ta ściągnęła chmury na ziemię i zmieniła wszystkich ludzi – już przemienionych w małpy i indyki – w zwykłe ryby.

Takie są według legendy Azteków cztery epoki i cztery destrukcje, jakich zaznała ludzkość – i które zagrażają jej ponownie.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

92.

Sala nocnego klubu „Apocalypse Now” jest wypełniona około pięćdziesięcioma mężczyznami w eleganckich garniturach i krawatach. Scena jest oświetlona mrugającymi na pomarańczowo, żółto i fioletowo reflektorami. Z głośników płynie głos:

– A teraz nowa pensjonariuszka. Jest naukowcem, ale sądząc po stanie nauki w naszych czasach i ograniczonych środkach przeznaczanych na badania, woli sprawić, byście pokochali biologię, oglądając jej anatomię, zamiast torturować myszy. Panowie, pozwólcie, że przedstawię wam najbardziej uczoną ze striptizerek: „Profesor Darwinię”, i obiecuję, że dokona w was wielkiej ewolucji. Ta kobieta potrafi zmienić mężczyznę... w małpę.

Komentator sam śmieje się ze swojego dowcipu, podczas gdy widzowie trwają w oczekiwaniu. Światło się zmienia, za prześcieradłem rysuje się chiński cień, po czym zasłona znika, odsłaniając młodą kobietę w białym kitlu, zwróconą plecami do publiczności.

Zebrani zaczynają klaskać.

Tancerka odwraca się, staje przodem do sali, nieco oślepiąca reflektorami. Nosi okulary w grubych rogowych oprawkach i perukę uczesaną w kok. Zaczyna się więc, po czym nagle wyciąga długopis z koka i uwalnia długie sztuczne włosy. Rozlegają się pierwsze dźwięki muzyki.

This is the end,

Beautiful friend

This is the end

My only friend, the end

Tancerka zaczyna rozpinąć perłowe guziki białego kitla. Przerywa czynność, wyciąga z kieszeni dużą lupę i udaje, że przygląda się twarzom zebranych niby potępiającym spojrzeniem, po czym sięga po strzykawkę. Krzyki się wzmagają.

Kobieta powraca do rozpinania kitla i odsłania biały biustonosz ściskający jej obfite piersi i unoszący miejscami brzozkwiniovą skórę. Zsuwa górną część kitla i odkrywa minispódniczkę oraz białe pończochy na pasku w tym samym kolorze. Sala jest podniecona.

Wciąż przy akompaniamencie głosu Jima Morrisona kobieta zaczyna rozpinąć spódnicę, którą następnie obraca na palcu nad głową.

Of our elaborate plans, the end

Of everything that stands, the end

No safety or surprise, the end

Odwraca się i kołysze pośladkami. Gwałtownym ruchem odwraca się w stronę sali i zrywa biustonosz, odsłaniając piersi, których sutki są zakryte białymi kapturkami.

Zebrani znów wydają z siebie okrzyk.

Tancerka niespiesznie ściąga koronkowe białe majteczki i odsłania pajęczce stringi, na których małym trójkąciku widnieje

obrazek bomby atomowej i napis THE END.

Dokładnie w tej chwili utwór Doorsów dobiega końca, światło gaśnie wśród odgłosu eksplozji bomby atomowej. Pojawia się konferansjer w świetle skierowanego na niego reflektora – jest sam na scenie.

– Tak, to koniec. Nagródźmy oklaskami Profesor Darwinię. Publiczność nie każe się prosić.

– Koniec... ale nie dla tych, którzy gotowi są zapłacić sto euro. Ci uprzywilejowani będą mogli obejrzeć w prywatnej kabinie dwudziestominutowy bardzo, bardzo zmysłowy lap dance.

Kolejna tancerka w policyjnym mundurze wchodzi na scenę z kajdankami i pałąką.

Rozebrawszy się z białego kitla, Profesor Darwinia siada przy barze i zamawia napój. Podchodzi do niej mężczyzna. Natychmiast go rozpoznaje.

– Co pan tu robi?

– Niełatwo było panią znaleźć – przyznaje David. – Szukałem w Internecie. Dopiero pani pseudonim sceniczny ogłoszony w programie naprowadził mnie na trop. Chciałem sprawdzić słuszność mojej intuicji i najwyraźniej dobrze zrobiłem... doktor Kammerer.

– Dlaczego nie poczekał pan, aż skończę występ, i nie zagadnął mnie na zewnątrz?

– Mam pani do przekazania pilną wiadomość. Nie wiem, o której godzinie pani kończy, domyślam się, że bardzo późno, nie widzę się stojącego na zewnątrz do czwartej nad ranem. Zazwyczaj zasypiam wcześniej.

– Tu nie ma warunków do rozmowy, doktorze Wells. Powinam pracować.

– Mówiłem, to pilne.

– Każda minuta się liczy?

– Każda sekunda. Wystrój i okoliczności nie mają znaczenia, ważne, że mogę pani powiedzieć to, co muszę.

Podchodzi do nich mężczyzna w czarnym garniturze uwydatniającym jego barczyste i umięśnione ramiona. Zaciska szczęki. Wyłamuje sobie palce szerokich dłoni.

– Proszę nie przeszkadzać Profesor Darwinii albo zamówić lap dance w prywatnej kabinie – mówi. – Te dziewczyny pracują, nie są tu na pogaduszkach. Został pan o tym poinformowany, sto euro za dwadzieścia minut, przyjmujemy karty kredytowe i czek.

– Proszę posłuchać, doktorze Wells, możemy porozmawiać na ten temat innym razem. W przyszłym tygodniu, jeśli pan chce...

– Dobrze, zamawiam teraz jeden taniec.

Ochroniarz przygląda mu się podejrzliwie.

– I nie ma pan prawa dotykać tancerki, w przeciwnym razie zostanie pan usunięty z lokalu. Nie ma pan również prawa się masturbować.

Mężczyzna w garniturze wymienia przez zaciśnięte szczęki kolejne zasady:

– Ona może pana dotykać lub muskać sutkami, ale pan nie ma prawa szukać kontaktu bez jej zgody. Może pan wachać, nie dotykając nozdrzami jej skóry. Ona może pana pocałować, jeśli sobie tego życzy. Ale pan nie ma prawa jej lizać lub gryźć. Czy to jasne?

Davidowi przypomina się lot gody skrzydlatych mrówek nad kopułą ich miasta.

– No cóż, stosunki damsko-męskie znacznie ewoluowały... Ujęto je w ramy, ale mimo wszystko można starać się o nieco spontaniczności.

Mężczyzna w garniturze podchodzi bliżej i ponownie wylamuje sobie palce.

– To lokal z zasadami. Płaci pan i akceptuje reguły albo idzie przechwalać się gdzie indziej.

David przeszukuje portfel i wyjmuje z niego pognieciony banknot o wartości pięćdziesięciu euro, cztery banknoty po dziesięć euro i dziesięć monet jednoeurowych. Mężczyzna przelicza pieniądze i chowa je do kieszeni.

Aurore prowadzi klienta na piętro, gdzie znajduje się rząd kabin, które zamiast drzwi mają kotary z czerwonego weluru. Sięga po ściereczkę nasączoną środkiem dezynfekującym i przeciera nią fotel, po czym proponuje Davidowi, żeby usiadł. Zauważa on, że środek dezynfekujący ma ten sam zapach co kostnica: mieszanina sosny i cytryny. Kobieta podaje mu szklankę zimnej wody, którą stawia na przewidzianym do tego celu miejscu na fotelu. Włącza czerwone światło, po czym nastawia na urządzeniu grającym wybraną przez siebie piosenkę. Znow utwór Doorsów, tym razem *L.A. Women*.

*Well, I just got into town about an hour ago
Took a look around, see which way the wind blows
Where the little girls in their Hollywood bungalows*
Aurore zaczyna tańczyć.

– To nie jest koniecznie – mówi David. – Przyszedłem, żeby z panią porozmawiać.

– Urządzenie nad pana głową, z obiektywem i czerwoną diodą, to kamera wideo. Boją się zboczeńców, którzy nie robią tego, co przewidziano. A przewidziano prywatny striptiz w zamian za sto euro. Nie mam więc wyboru: muszę wykonać mój występ, w przeciwnym razie oni by nie zrozumieli.

Aurore wije się bardzo sugestywnie.

– Dźwięk nie jest jednak nagrywany, dlatego możemy

swobodnie rozmawiać. Cóż więc za pilna sprawa nie mogła poczekać do końca tego wieczoru, doktorze Wells?

– Skontaktowali się ze mną olbrzym i karlica. Ta sama, która zasiadała w jury konkursu na Sorbonie. Wiem, że z panią również rozmawiała. W rzeczywistości coś ich łączy: olbrzym jest sługą tej kobiety.

Aurore przechodzi od kołysania biodrami do potrząsania miednicą. Policzki młodego mężczyzny są czerwone jak piwonie, rozpina kilka guzików swojej koszuli.

– Skontaktowali się z panem ludzie z resortu obrony i zaproponowali panu pracę na rzecz armii, prawda? – pyta Aurore, nie przestając tańczyć.

– Interesują ich nasze projekty. W moim widzą możliwą obronę przed wojną bakteriologiczną, w pani projekcie przed wojną jądrową.

Kobieta kontynuuje swój taniec, przytakując mu.

Rozpina bluzkę i zbliża koronkowy biustonosz na odległość kilku milimetrów od oczu młodego mężczyzny.

– Problem polega na tym, że jestem goszystką, pacyfistką i feministką i nie ma mowy, żebym pracowała dla armii – oznajmia obojętnie.

Cofa się gwałtownie i zaczyna tańczyć coraz bardziej wyzywająco. Odwraca się i zdejmuje biustonosz. Jej ciężkie piersi o sutkach zasłoniętych białymi kapturkami rysują ósemki.

– A pan, Davidzie, co im pan odpowiedział?

– Zgodziłem się. Miałem do wyboru albo to, albo bezrobocie. Nie mam tak zdecydowanych antimilitarnych zasad, jak pani.

– Wciąż nie wiem, po co przyszedł pan tu dziś wieczorem.

Zadając pytanie, Aurore zdejmuje kapturki zasłaniające sutki.

– Oni chcą nas oboje. Albo my razem, albo nikt.

Na jego policzki występuje pot.

– Czyli manipulują panem, skłaniając do manipulowania mną, czyż nie? Czas ich tak nagli, że naciskają na pana, żeby działał pan w pośpiechu.

Wycofuje się, nie przerywając tańca.

– Być może. Ale ja potrzebuję tej pracy. Zatem pani odpowiedź brzmi...?

– Nie.

– Nie chodzi tylko o pieniądze, naprawdę wierzę w istnienie rzeczywistego globalnego zagrożenia i w to, że możemy pomóc w zaradzeniu mu. Wie pani, sporo rozmawiałem z tą kobietą z armii, jej argumenty są przekonujące.

– Dla pana, dla mnie nie. Przykro mi.

Aurore sięga po pilota i zwiększa głośność muzyki.

Piosenka Doorsów wprawia kabinę w drzenie.

Are you a lucky little lady in The City of Light?

Or just another Lost Angel?

David wstaje.

– Potrzebuję tej pracy. Wyprowadziłem się od matki i mieszkam na ulicy. Śpię w samochodzie.

– Nie weźmie mnie pan na litość.

Siłą sadza go na fotelu, a sama ściąga majtki, odsłaniając stringi z rysunkiem bomby atomowej i napisem THE END.

Pojawia się ochroniarz, odsuwając aksamitną zasłonę.

– Wszystko w porządku, Darwinio?

– Oczywiście, Mumboko, oczywiście.

– Koniec, proszę pana, musi pan zapłacić za kolejny lap dance albo wyjść.

David szuka argumentów, żeby zyskać na czasie.

– Mumboko? To imię członka ludu Bantu, prawda?

Oznacza „szóste dziecko”.

– Skąd to wiesz? – pyta mężczyzna, zaalarmowany.

– Ludność Bantu wykorzystuje i zabija Pigmejów. To rasiści i zwolennicy niewol...

Nie ma czasu dokończyć zdania. Olbrzymia pięść o twardych kłykciach wystrzeliwuje w stronę jego twarzy i rozgniata mu nos. Jednocześnie kopniak trafia go w brzuch, a drugi cios pięścią rozcina wargę. Naukowiec upada do tyłu. Ochroniarz wymierza mu kilka kopniaków, a następnie – jak gdyby poczuł zmęczenie nóg – bije go pięściami, podnosi i wyrzuca na zewnątrz, celując dokładnie w kąty ze śmietnikami.

Głowa Davida uderza w ostry kant pokrywy i mężczyzna traci przytomność. Zaczyna śnić, znów widzi się tam, na Atlantydzie, z tancerką w tawernie.

Dziewczyna o roześmianej twarzy i włosach splecionych w cienkie, skomplikowane warkoczyki z turkusikami. Jej strój składa się z wąskich beżowych pasków, a kiedy się uśmiecha, w jej policzkach pojawiają się dołeczki. Jej oczy są jasnozielone.

Po skończonym tańcu kobieta pozdrawia publiczność i kieruje się w jego stronę, patrząc mu prosto w oczy, i mówi z uśmiechem...

93.

Pamiętam.

Ludzie robią duże postępy.

Ponieważ dobrze się odżywiają i żyją w ciepłej strefie bogatej w pożywne rośliny, zaczynają rosnąć.

W tamtych czasach osiągnęli wzrost siedemnastu metrów.

Ich pionowa pozycja uwalniała pozostałe kończyny, używali więc rąk wyposażonych w palce do produkowania coraz bardziej skomplikowanych przedmiotów.

Ich umiejscowione na przodzie twarzy i umożliwiające widzenie przestrzenne oczy pozwalały im opanować grafikę, rysunki, obrazy, plany.

Ich mózg o grubej korze mózgowej, którą wykorzystywali optymalnie, umożliwiał im szybką analizę i syntezę sytuacji, przewidywanie konsekwencji swoich czynów, co spowodowało rozwój pamięci, kreatywności i intuicji. A później – wyobraźni.

Chciałam, żeby oprócz inteligencji doświadczyli również świadomości.

94.

– Co? Jeszcze tu jesteś? Spadaj, żalony karle!

David otwiera oczy, wyrwany gwałtownie ze snu o swoim dawnym życiu. W obecnym życiu od razu odczuwa przenikliwy ból w przegrodzie nosowej. Unosi dłoń do nosa, a gdy ją odsuwa, jego palce pokrywa krew.

– Uprzedzam cię, jeśli będziesz tu jeszcze za kwadrans, wypuszczę pitbula – zapowiada Bantu.

David usiłuje się poruszyć, ale cały jest obolały. Leży więc, mając nadzieję, że ochroniarz nie wprowadzi w życie swojej groźby. Czekają go mieszkańcy kamienicy, uważają jednak, że mają do czynienia z pijanym klientem, przekraczają go więc, nie poświęcając mu uwagi.

Wreszcie pojawia się postać, która przygląda mu się bez niechęci.

– Przepraszam, musiałam skończyć wszystkie tańce, zanim udało mi się wyjść do pana – wyjaśnia Aurore.

– Wolałem poczekać na panią na tym podwórku przy śmietnikach – usiłuje żartować David. – Która godzina?

Kobieta ujmuje jego twarz w dłonie i ogląda rany. David krzywi się, kiedy Aurore dotyka siniaka.

- Czwarta rano.
- Już? Czekaając na panią, nie zauważyłem, jak szybko mija czas!
- To również pana wina. Mumboko jest bardzo drażliwy. Nie powinien był pan wyzywać go od rasistów.
- Wiem, o czym mówię, widziałem, w jaki sposób ludność Bantu traktuje Pigmejów.

Aurore zapala papierosa i wkłada mu go między wargi. David czuje w ustach smak karmelu, zaciąga się i nikotyna dociera do jego pęcherzyków płucnych. Wie, że w ten sposób zatruwa krew i niszczy sobie płuca, ale w tej chwili papieros wydaje mu się najlepszą rzeczą, jaka mogła go spotkać. Jeszcze raz mocno się zaciąga i kaszle.

Wtedy Aurore odbiera mu papierosa.

Przez chwilę przyglądają się sobie, po czym kobieta ujmuje go za ramię, pomaga się podnieść i opuścić brudne podwórko.

95. ENCYKLOPEDIA: POTRZEBA MIŁOŚCI

Psycholog Harry Harlow z uniwersytetu w Wisconsin zainicjował w 1950 roku serię doświadczeń mających na celu zbadanie wpływu porzucenia albo niezaangażowania rodziców na przykładzie małpiątek.

Uważano wówczas, że do trzeciego roku życia młody naczelnny (a zatem, przez analogię, młody człowiek) potrzebuje do rozwoju wyłącznie jedzenia i snu. Na początek Harlow oddzielił noworodki makaków od ich matek na okres trzech, sześciu, dwunastu, a nawet dwudziestu czterech pierwszych miesięcy życia.

W niektórych wypadkach zastąpił matki manekinami wyposażonymi w butelki. Zauważył, że dzieci wybierają chętniej manekiny pokryte futrem niż te wyposażone w duże

wymiona produkujące mleko i że potrzeba dotyku może wziąć górę nad głodem. Dzieci, które nie miały do dyspozycji matki w formie zastępczego manekina, tylko same butelki, nabierały zwyczaju obejmowania się ramionami. Po powrocie do grupy społecznej małpiątka te wykazywały zachowania autystyczne i brak zainteresowania innymi osobnikami, zabawami i seksualnością.

Następnie Harlow umieścił porzucone makaki z innymi małpiątkami, normalnie wychowywanymi przez matki. Spotkanie dopieszczonych przez rodziców dzieci nieco zmniejszyło niszczycielskie skutki separacji.

Małpiątka pozbawione miłości rodzicielskiej okazały się w wieku dorosłym niedostosowane do życia w społeczności. Nie potrafiły łączyć się w pary z osobnikami innej płci, reagowały agresywnie lub dziwnie, podobnie jak ludzie dotknięci psychozami. Doświadczenia te dały pole do kolejnych badań nad przywiązaniem (przeprowadził je między innymi Anglik John Bowlby w 1958 roku).

Wydaje się, że dany osobnik nie może wiedzieć, że jest kochany, jeśli ta miłość nie zostanie mu wykazana fizycznie: przez wzięcie w ramiona, pieszczoty, kołysanie, przemawianie.

Można by sobie wyobrazić uniwersalne prawo wszystkich rodzących się dzieci, żeby były kochane przez przynajmniej jedno z rodziców. W konsekwencji obowiązkiem rodziców byłoby kochanie swoich dzieci.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

Watka nasączona dziewięćdziesięcioprocentowym alkoholem dotyka rany na napuchniętej wardze i wywołuje grymas na twarzy Davida.

– Mam dobrą i złą wiadomość – oznajmia Aurore.

– Proszę zacząć od złej.

– Zła jest taka, że już widzę pana niewinne minki.

– A dobra?

– Mam na tyle wyczucia gościnności, że mimo wszystko zaoferuję panu ciepłą kolację. Uwielbiam gotować.

– Mam szczęście.

– Matka zawsze mi mówiła: „Strzeż się facetów, którzy dają się stłuc na twoich oczach, to zaplanowana ze współnikami sztuczka, która ma na celu rozczerzenie cię”.

David krzywi się, usiłując odkleić nabrzmiąłą wargę od dziąseł.

– Pani matka musiała być natchniona wielką mądrością.

– Powiedziała mi także: „Uważaj na facetów, którzy prawią ci komplementy”. Uwaga, będzie jeszcze bardziej piekło.

Osusza mu łuk brwiowy.

– Trzeba przyznać, że pański współnik walił całkiem mocno – stwierdza Aurore.

– Poprosiłem swojego przyjaciela Mumboko, żeby dał z siebie wszystko, nie chciałem, żeby to wyglądało zbyt tandetnie.

Kobieta ściąga z niego koszulę i odkrywa sińce.

– Każdy po kolei musi odsłonić swoje ciało.

David rozgląda się po pomieszczeniu. Zauważa zdjęcie w ramce na komodzie w salonie.

– To pani matka?

– Była przekonana, że ocalę świat.

– Mhm, to wystarczy, żeby wychować zarozumiałe

dziecko. Mój ojciec mówił to samo. „Mój syn zmieni świat”.
Zaprogramował mnie.

Aurore chowa waciki i smaruje siniaki maścią.

– Jest pan... megalomanem?

– Oczywiście.

– Jakie są tego symptomy?

– Naprawdę wierzę, że mogę uratować świat. Sam, jeśli to będzie konieczne. Kropla wody, która przepełni ocean.

Aurore parska śmiechem.

– Czy dlatego jest pan gotów pracować dla tajnych służb?

– Dlaczego nie?

– Podoba mi się w panu, doktorze Wells, że naprawdę zachował pan dziecięcą duszę, ale przykro mi, nie podzielałam pańskiej naiwności, myślę, że nikt nie ocali świata.

Rozsiada się w fotelu, wyciąga butelkę wina z Cahors i nalewa sobie duży kieliszek, jemu nic nie proponując.

– Ja przemawiałam do „świata”. W Turcji, podczas mojej podróży związanej z badaniami na temat Amazonek. Moim zdaniem nasza planeta jest skazana. Pozostaje nam już tylko świętować, bawić się, rozkoszować wszystkim w oczekiwaniu na wielką Apokalipsę. *The end Doorsów* to moja ulubiona piosenka. Koniec jest nieunikniony. Przyszłość to chaos, a potem śmierć.

Kobieta przygląda się Davidowi, po czym dotyka dłonią jego czoła, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

– Cóż, sądząc po pana stanie, może pan tu zostać dziś wieczorem.

– Nie ma pani partnerki, pani Mercier?

– Christine? Nie jesteśmy już razem. Była zbyt zazdrosna. Podejrzewam także, że mnie zdradziła.

– Zdradza panią „i” jest zazdrosna?

– Zawsze zarzuca się innym własne słabości.

– Ładna formułka.

Początek uśmiechu przekształca się w grymas.

– A pana „kobieta” nie będzie się niepokoić?

– Mama? Phi... Wszczęłem już procedurę rozwodową.

Pierwszy etap: porzucenie ogniska domowego.

David robi skruszoną minę.

– Ostatecznie nasze losy toczą się równolegle, droga doktor Kammerer. Muszę przyznać, że to dość niepokojące.

Aurore odzyskuje powagę.

– Może pan tu dziś zostać, ale niech pan nie próbuje mnie podrywać. Nawet gdybym zmieniła upodobania, nie jest pan w moim typie.

– A praca w Apocalypse Now? Skąd ten wybór?

– Każdy klient zapewnia mi dwie chwile przyjemności.

– Ach tak?

– Pierwsza, kiedy płaci. Druga, kiedy wychodzi.

Aurore popija wino i ciągnie:

– Spokojne życie w samotności mi odpowiada. Związek i seksualność powodują same kłopoty. Jak mawiał pewien humorysta: „Życie w parze polega na wspólnym rozwiązywaniu problemów, których by się nie miało, żyjąc samemu”.

– Następną ładną formułka. Kolekcjonuje je pani? To kolejna pasja, która nas łączy.

Aurore wstaje, regularnie zanurzając wargi w kieliszku, i odwraca się w stronę otwartego okna.

– Kiedy pierwszy raz panią zobaczyłem, poczułem silny pociąg – przyznaje David.

– Nie powinnam była zabierać pana do siebie. Na dodatek sądzę, że należy pan do najgorszej kategorii mężczyzn: romantyków. Ci są gotowi na każde głupstwo, żeby wzbudzić

zainteresowanie swoją osobą. Szczególnie jeśli jest pan do tego megalomanem, jak sam pan twierdzi. Byłam głupia, ufając panu, a przecież moja matka mawiała...

– „Żeby nie ufać mężczyznom”? Proszę się nie obawiać, prześpię się na kanapie.

Aurore zerka na niego z ukosa, podejrzliwie i oddala się w stronę kuchni.

David słyszy szczęknięcie garnkami i dobiega go głos młodej kobiety.

– A więc zgodził się pan pracować dla armii w celu stworzenia mniejszego człowieka, który byłby odporny na wojnę bakteriologiczną? I chce mnie pan przekonać, żebym zaangażowała się w ten projekt?

– Wie pani, z początku sam miałem opory. Teraz jednak jestem przekonany, że nie powinniśmy się od tego wymigiwać. Brak uczestnictwa w tworzeniu przyszłego świata oznacza skazanie się na niego.

– Dlaczego ja?

– Karlica ma rację, uzupełniamy się nawzajem. Pani przedstawia punkt widzenia endokrynologa, ja – biologa.

Słyszy dźwięczenie naczyń i sztućców.

– Ile proponują za tę misję ocalenia gatunku?

– Dwa tysiące euro miesięcznie.

– Pensja urzędnika. Wie pan, ile zarabiam występami w „Apocalypse Now”? Ponad pięć tysięcy euro na miesiąc. A poświęcam na to zaledwie cztery godziny dziennie. Dlaczego miałabym rzucić taką pracę?

Kilkakrotnie otwiera i zamyka drzwi lodówki.

– Sądzę, że działanie na rzecz armii jest lepsze niż nierobienie niczego.

Nóż stuka o drewnianą deskę.

– Słuchała pani wiadomości? – pyta David. – Podobno na Środkowym Wschodzie szykuje się wojna.

– Już ocaleliśmy, mimo błędów popełnionych przez naszych przodków. Sam pan to powiedział.

Aurore kroi składniki z coraz większym zapalem.

– Wydaje mi się, że propozycja pułkownik Ovitz polega na stworzeniu nowej ludzkości, która byłaby odporna na reakcjonistów. Niezależnie od tego, kim by byli – rzuca David.

– Jaki sens miałyby tworzenie mniejszej i bardziej sfeminizowanej ludzkości?

– Zdaniem Natalii, otrzymalibyśmy doskonałych szpiegów, którzy dzięki swojemu wzrostowi i wyjątkowej odporności byłiby zdolni przenikać i działać tam, gdzie normalni ludzie nie mogą.

Aurore wraca do salonu z garnkiem i pyta:

– Miniwywiadownicze, które co miałyby sabotować?

– Centra, w których produkuje się bomby bakteriologiczne i nuklearne, jak podejrzewam.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan mówi, doktorze?

Z drwiącą miną, Aurore nakrywa do stołu. Serwuje mu mieszankę składającą się z białej fasoli i kawałków brązowego mięsa.

– Matka podała mi ten przepis. Pochodzi z Tuluzy. Proszę mi szczerze powiedzieć: smakuje panu?

David ostrożnie próbuje potrawy i czuje, jak po jego kubkach smakowych rozchodzi się cała masa doznań.

– Co to takiego? – pyta z pełnymi ustami.

– Cassoulet. Oryginalny przepis wymaga użycia gęsiego tłuszczu, ale ja zastępuję go kaczym. Biała fasolka, świńska skóra, wieprzowe kopyto i ryjek, kawałek gęsiej szyi, osobiście dodaję nieco śmietany, odłuszczonej – proszę się nie obawiać,

słone masło, pieprz, cukier i liść laurowy.

– Ach, liść laurowy?

– Kuchnia jest dla mnie swego rodzaju chemią, lubię wymyślać potrawy, które nigdzie indziej nie istnieją, i poprawiać dawne dania. Czy nie zanadto rozgotowane? Skórka musi być tylko przyrumieniona, letnia i lekko chrupiąca.

– Jakim sposobem udało się pani przygotować cassoulet tak szybko?

– Prawdę mówiąc, ugotowałam je wczoraj dla przyjaciółki. Ale ona nie była zbyt głodna, praktycznie rzecz biorąc, nic nie zjadła, sporo mi więc zostało, nieco tylko odświeżyłam danie. Zresztą podobno najlepiej smakuje odgrzane.

David je, siląc się na uśmiech.

– Pani nie je?

– Muszę dbać o linię, ze względu na pracę. Prawdę mówiąc, wieczorem jem tylko jabłko i nieco sałaty.

Mówiąc to, sięga po jabłko i kilka liści sałaty, które przeżuwa powoli.

– Niech pan korzysta, dopóki nie ograniczają pana podobne niedogodności. Wino jest moim jedynym odstępstwem od reguły.

Dolewa sobie cahors o barwie czarnej wiśni.

– Chce pan jeszcze trochę cassoulet?

– Dziękuję, nasyciłem się.

– Mam nadzieję, że nie mówi pan „nie” z uprzejmości, nie chciałabym, żeby pan się krygował.

Wydaje się zmartwiona, David przyjmuje więc jeszcze jeden talerz fasolki z kaczym tłuszczem. Dyskretnie odsuwa na bok wystający kawałek ryjka.

– Kiedy nabierze pan sił, może pan przespać się na kanapie. I... hm... liczę, że nie będzie pan mi przeszkadzał, rozumiano?

– Jestem dżentelmenem. Za kogo mnie pani bierze?

– Za faceta uczęszczającego do klubów ze striptizem i płacącego sto euro za prywatny seans tańca w kabinie.

Całuje go w czoło na dobranoc i znika w swojej sypialni.

David wykorzystuje tę chwilę, żeby wypluć zawartość ust w papierową chusteczkę i wyrzucić do śmietnika.

Aurore wraca, żeby wręczyć mu koc oraz poduszkę.

– A nawet gdyby nam się udało, po co produkować tych miniwywiadowców?

– Obecnie plany pułkownik Ovitz są związane z Iranem.

Powiedziała mi, że kraj ten zaczyna przypominać beczkę prochu, która może w każdej chwili wybuchnąć. Jaffar zapędził się w spiralę samonakręcającej się przemocy, żeby utrzymać władzę, i nie zawaha się przed użyciem środków masowego rażenia.

Gdyby można było tam wysłać szpiegów, którzy dokonaliby sabotażu ich instalacji, demokratyczni zbuntowani studenci zyskaliby przewagę nad dyktaturą starych brodaczy.

Aurore krzywi się z powątpiewaniem.

– A jeśli panu powiem, że nie dbam o to, co robią Irańczycy, o to, że gromadzą bomby atomowe albo bakteriologiczne. Że wypowiadają wojnę. Że zabijają ludzi, coraz więcej ludzi. Ludzi jest zresztą za dużo. Nie trzeba rozmawiać z Gają, żeby zrozumieć, że ośmiu miliardów osób, a za kilka lat dziesięciu miliardów, nie sposób będzie wyżywić, ubrać i zapewnić im dachu nad głową, nie wyczerpując surowców. Prawdziwym problemem jest przeludnienie. Nie energia nuklearna czy Iran.

– Pani cynizm mnie zaskakuje.

– To nie cynizm, to realizm. Niech pan wsadzi dziesięć myszy do klatki – zorganizują się. Proszę wsadzić ich sto do tej samej klatki, zaczną między sobą walczyć, pożerać się

nawzajem i wszystko niszczyć.

– To nie takie proste.

– Nikt nie chce o tym słyszeć, ponieważ nikt nie zamierza rezygnować z „wolności do nieograniczonego płodzenia dzieci”.

David wpatruje się w nią.

– Myślę, że to tylko maska. W rzeczywistości nie jest pani aż tak surowa.

– Dać panu dowód na to, że nie dbam o to, że ludzie się mordują? No cóż, nie pomogę panu. Ani panu, ani pułkownik Ovitz, ani armii francuskiej, ani irańskim studentom, ani tej masie uroczych niszczyielskich i marnotrawnych dzieci, które nazywa się ludzkością przyszłości. Niech zdechną.

– Wciąż nie tracę nadziei, że uda mi się przemówić pani do rozsądku.

Wskazuje na oprawione w ramkę zdjęcie matki Aurore.

– Pani matka to przewidziała. Zmieni pani bieg historii i naprowadzi ją na właściwy tor.

– Moja matka się myliła, nie ocale ludzkości. Nie jestem megalomanką. Chcę tylko, żeby zostawiono mnie w spokoju. Nikt zresztą nie chce niczego ratować, nawet pan. To tylko zadufanie. Mumboko ostatecznie dał panu dobrą lekcję skromności. A teraz... Jest piąta rano. Jestem zmęczona. Dobranoc! Proszę mi wierzyć, świat doskonale poradzi sobie bez nas. Jeśli zaś jest skazany na zagładę, to nam nie uda się tego zmienić.

Wraca do sypialni i zamyka drzwi na klucz.

97.

Pamiętam.

Stopniowo, podobnie jak ja, ludzie zaczęli uświadamiać sobie, czym jest życie i jakie mają szczęście, że mogą myśleć i

porozumiewać się między sobą.

Ich umysły są spokojne, uwolnione od strachu i stają się konstruktywne.

Zainspirowałam ich, jak to już wcześniej uczyniłam z mrówkami, do budowania piramid.

Te stożkowate budowle przypominające mrowiska pozwoliły mi na nawiązanie z nimi kontaktu.

Zdali sobie sprawę z mojego istnienia.

Tym sposobem, po blisko dwunastu tysiącach lat, rozpoczął się wyjątkowy dialog między moimi ludzkimi lokatorami a mną.

Gdy kontakt już się ustabilizował, zainspirowałam wybranego osobnika, który wydał mi się idealnie podatny i sprytny, moim projektem statku kosmicznego chroniącego mnie przed planetoidami.

Ten człowiek mnie wystuchał.

I był mi posłuszny.

Porozmawiał ze swoimi towarzyszami, a ci spróbowali przejść siebie samych.

W tamtych czasach ludzie zaczęli wydawać mi się naprawdę interesujący.

Kiedy tak ich obserwowałam, byli niemal piękni.

98.

Aurore nie może zasnąć. Odrzuca kołdrę, spuszcza nogi i na podeszwach stóp czuje dotyk miękkiej wykładziny. Porusza się w ciemnościach i uderza małym palcem w kant jakiegoś mebla. Tłumi przekleństwo i ostrożnie otwiera drzwi sypialni.

Obserwuje Davida na kanapie, skulonego w pozycji embrionalnej, pogrążonego w głębokim śnie.

Uśmiecha się, myśląc o jego zażenowaniu podczas tańca w kabinie.

Tajemnica jej osobowości polega na tym, że chociaż od zawsze pociągały ją kobiety, uwielbia uwodzić mężczyzn, jakby chciała mieć pewność, że gdyby pewnego dnia zmieniła zdanie, oni również byliby do jej dyspozycji. Podczas seansów striptizu rozkoszuje się chwilą, w której wystarczy, że zamruga rzęsami, aby te samce znalazły się u jej stóp. Nie ma zamiaru z nimi sypiać, cała magia by prysła, chodzi jej po prostu o władzę nad ich pożądaniem.

Myśli o matce.

Pewnego dnia przyłapała ją, kiedy Aurore robiła sobie makijaż, przymierzała jej buty na wysokim obcasie, biustonosz i przyjmowała prowokujące pozy przed lustrem.

Musiała mieć wtedy najwyżej osiem lat i nawet nie poczuła zażenowania, odniosła tylko wrażenie, że coś się w niej budzi. Hormony.

Myśli o ojcu. Ich pierwsze spotkanie wywołało w niej uczucie triumfu.

„On też jest w gruncie rzeczy jak ci wszyscy mężczyźni, którzy przychodzą popatrzeć, jak tańczę”.

Aurore podchodzi do okna i spogląda na księżyc. Zawsze fascynował ją jego jasny podłużny kształt, swego rodzaju żywa i przychylna kobiecość.

Aurore nalewa sobie wina, nie spuszczając wzroku z nocnego ciała niebieskiego.

„David nie myśli wystarczająco perspektywicznie. Boi się wojny, boi się Iranu, boi się kobiet, boi się swojej matki, boi się bezrobocia. Przystał na propozycję Natalii Ovitz w reakcji na swoje lęki, lecz w rzeczywistości bezwolnie”.

Kobieta odwraca się w jego stronę. Jej gość nadal śpi z zaciśniętymi pięściami, wstrząsają nim delikatne dreszcze.

„Sprawia wrażenie tak bezbronno, tak delikatnego”.

Zerka na zegarek, który wskazuje siódmą dwanaście. Wie, że już nie zaśnie, przygotowuje więc sobie kawę, po czym zamyka się w sypialni, żeby obejrzeć wiadomości na tablecie.

99.

PIŁKA NOŻNA: Przygotowania do mistrzostw Europy. Paryska drużyna z pierwszej ligi nabyła właśnie nowego gracza, Brazylijczyka Ronaldissimo. Kwota transferu pozostaje tajemnicą, ale jeśli wierzyć przeciekom, mogła ona osiągnąć poziom PKB Senegal. Pojawienie się nowego zawodnika może całkowicie zmienić układ w meczach ligowych. Dyrektor marsylskiego klubu ogłosił, że również zamierza dokonać zakupu młodych luksusowych żrebiąt.

NAUKA: Dzięki satelicie Kepler w konstelacji Łabędzia dokonano odkrycia nowej planety podobnej do Ziemi. Sonda wyposażona we własny teleskop pokładowy została wysłana w marcu 2009 roku na misję mającą na celu odkrycie poza naszym Układem Słonecznym planet nadających się do życia. Nowa planeta otrzymała nazwę Kepler 28. Jest dwa i cztery dziesiąte razy bardziej masywna od Ziemi i okrąża swoją gwiazdę w ciągu dwustu dziewięćdziesięciu dni. Została zauważona w skupisku stu tysięcy gwiazd w chwili, gdy przelatywała przed swoim słońcem, wywołując lekki cień. Temperatura na jej powierzchni wynosi 22 stopnie Celsjusza, co pozwala mieć nadzieję, że jest tam woda i atmosfera. Do dziś naliczono siedemset planet poza Układem Słonecznym, z których pięć cechuje podobny do Ziemi rozmiar lub zbliżona odległość od Słońca, niestety, są one wciąż zbyt gorące lub zbyt zimne, by mogło istnieć na nich życie. Kepler 28 może stanowić odstępstwo od reguły, ale odległość, jaka dzieli ją od naszej planety, uniemożliwia jakkolwiek podróż. Kepler 28 znajduje się w odległości sześciuset lat

świelnych od nas, a jeden rok świetlny odpowiada dziesięciu miliardom kilometrów.

SOMALIA: Trzynastoletnia Aicha Ibrahim Duhlow została zgwałcona przez trzech mężczyzn. Jej ojciec złożył skargę na najbliższym komisariacie. Mężczyźni zostali schwytani i przyznali się do winy. Po wysłuchaniu ich zeznań komisarz ostatecznie pozostawił ich na wolności, kazał jednak aresztować dziewczynę za odbywanie pozamałżeńskich stosunków seksualnych. Trybunał religijny zastosował obowiązujące w kraju prawo i skazał ją na ukamienowanie. Wiele organizacji obrony praw człowieka usiłowało interweniować w celu ocalenia dziewczyny. Zamiast jej pomóc przyspieszyło to tylko egzekucję. Prezydent Somalii osobiście poprosił cudzoziemców, żeby nie mieszały się do spraw pozostających w gestii lokalnego wymiaru sprawiedliwości. Egzekucja odbyła się na stadionie piłki nożnej w mieście Kismaayo. Dziewczyna została zakopana po pas w ziemi, a jej twarz nakryto białą chustą. Następnie zachęcono widzów do rzucania w nią kamieniami. Po pierwszej serii pocisków pojawił się lekarz, żeby sprawdzić, co dzieje się pod zaczerwienioną chustą. Stwierdził, że dziewczyna jeszcze żyje i że należy przystąpić do drugiej salwy kamieni. Czternastoletni chłopak nie zniósł widoku tej sceny i rzucił się, aby ratować konającą dziewczynę. Został zabity przez policję, zanim zdążył zakłócić wykonanie wyroku.

PROCES W SPRAWIE GRYPY: Proces ministra zdrowia Loevenbrucka, odpowiedzialnego za marnotrawstwo szczepionek przeciwko grypie A, dobiega końca. Po mowach końcowych obrońców wążących na szali zasadę ostrożności i nieodpowiedzialność ministra przysięgli naradzili się i ogłosili werdykt. Minister został skazany na sześć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu za nadużycie dóbr społecznych oraz na

grzywnę osobistą w wysokości dwóch milionów euro. Minister oznajmił, że nie będzie odwoływał się od wyroku, chociaż uważa go za niewspółmierny do swojej winy. „Proces ten spowoduje katastrofę, oznajmił skazany minister, moi następcy będą się bali podejmować decyzje”. Opozycja nagrodziła brawami wyrok sądu, stwierdziwszy, że nareszcie rządowi technokraci uświadomią sobie, że nie mogą robić byle czego z publicznymi pieniędzmi.

ZANIECZYSZCZENIE: We Francji z dwustu siedemnastu kilogramów odpadów przypadających na mieszkańca w 1975 roku przeszliśmy do trzystu siedemdziesięciu trzech kilogramów w 2000 roku. Obecnie wielkość ta osiągnęła pięćset trzydzieści dziewięć kilogramów na rok na jednego mieszkańca, co daje średnią półtora kilograma na osobę na dzień. Same ulotki reklamowe w skrzynkach na listy to pięćdziesiąt kilogramów makulatury rocznie na mieszkańca.

IRAN: W następstwie kolejnych manifestacji studenckich władza najwyraźniej znalazła sposób na odwrócenie od nich uwagi, wysyłając swoich słynnych strażników rewolucji na północną granicę kraju w celu stłumienia buntu wśród Kurdów, którzy zdaniem prezydenta Jaffara mogliby chcieć wykorzystać sytuację i domagać się niepodległości. Strażnicy rewolucji, przeobrażeni na tę okazję w szwadrony śmierci, spalili wiele kurdyjskich wiosek, w których mieli rzekomo ukrywać się członkowie ruchu oporu Partii Pracujących Kurdystanu. Przedstawiciele organizacji pozarządowych i dziennikarze, którym udało się przedostać przez granicę mimo zakazów, zostali aresztowani i wydaleny, niektórym mimo wszystko udało się zrobić zdjęcia smartfonami i wywieźć aparaty z kraju. Wygląda na to, że szwadrony śmierci strażników rewolucji otrzymały od tureckiego rządu pozwolenie na kontynuowanie

„oczyszczania” również na swoich terenach. Nocą siły wojskowe zostały zrzucone na spadochronach na teren działań, wywołując totalne zaskoczenie zarówno wśród kombatantów kurdyjskich, jak i wśród cywilów. Ogrom okrucieństwa represji w przygranicznych miejscowościach ma również prawdopodobnie służyć za przekaz mający na celu onieśmienie studentów ruchu „Gdzie jest mój głos?”, którzy...

100.

Aurore nagle nieruchomieje. Zbliży twarz do ekranu i rozpoznaje turecką wioskę Amazonek. Wśród dziesiątek ciał wiszących na gałęziach drzewa rozpoznaje jedną twarz.

Diana! Szynkarka...

Wzburzona ponownie włącza obraz i dźwięk.

– ...żałuje, że jedna z ważniejszych postaci ruchu oporu kurdyjskiego zdołała im się wymknąć. Zdaniem władz irakijskich chodzi o „obłąkaną laicką fanatyczkę” Pentezyleę Kéchichian, która zbiegła do Turcji. Ta ostatnia...

Aurore wyłącza wiadomości.

Oprócz Diany rozpoznała inne dziewczyny z wioski Amazonek. Ciała wiszące na drzewach niczym ciemne owoce, obsiadłe już przez kruki i muchy.

Gwałtownie rozciąga zasłony i potrząsa Davidem.

– Proszę wstawać!

– Co? Co się dzieje? Która godzina?

– Kwadrans po siódmej, musimy iść.

– Iść? O siódmej? Ale dokąd?

– Zmieniłam zdanie. Jestem gotowa panu pomóc. Chodźmy szybko!

– Czy to nie może poczekać kilku godzin? To znaczy, aż do prawdziwego rana...

Aurore wyciąga walizkę. David przeciera oczy.

– Przemyślałam sprawę, przekonał mnie pan. Jestem gotowa zaciągnąć się do armii Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Zewnętrznego i stworzyć nową ludzkość, która stawi opór „reakcjonistom”.

– Co sprawiło, że tak nagle zmieniła pani zdanie?

– Mam wrażenie, że reakjoniści mogą zwyciężyć.

– Mówi pani poważnie?

Aurore wypełnia walizkę butami, biustonoszami i majtkami, dokłada laptopa, swetry, koszulki, jeansy.

– Poza tym wierzę w znaki: skoro znalazł się pan tutaj i wygłosił przede mną przemówienie, oznacza to, że miałam pana posłuchać.

David masuje wciąż jeszcze obolałą szczękę.

Aurore znika w łazience i w pośpiechu zgarnia do kosmetyczki kremy, szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów.

– Co pani robi, Aurore?

– Przemieniam się. Każda forma życia przechodzi metamorfozę. Pan to wie, studiuje pan owady. Byłam gąsienicą, muszę przeobrazić się w motyla.

Wyjmuje teraz drugą walizkę i pakuje do niej przedmioty o większej objętości. David przygląda jej się z niedowierzaniem. Usiłuje wstać i odczuwa ból w całym ciele po otrzymanych poprzedniego dnia ciosach.

– Odchodzę stąd na dobre. Daleko pan zaparkował?

– A co pani robi z mieszkaniem? – pyta David, ubierając się z trudem.

Aurore sięga po zdjęcie, na którym pozuje z matką, i wzdycha:

– Co też mówi się o pierwszej rybie, która wyszła z wody, żeby przejść po suchym lądzie?

101. ENCYKLOPEDIA: LEKCJA PORZUCANIA

Rosnąć, ewoluować, dojrzewać – to przygotowywać się do porzucenia. Pierwszy porzuca się brzuch matki.

Noworodek opuszcza to ciepłe, ciche i mokre miejsce, żeby znaleźć się w zimnym, hałaśliwym i suchym środowisku, w którym nie ma gwarancji, że będzie stale karmiony.

W drugiej kolejności porzuca się pierś. Dzięki niej noworodek zachowuje kontakt chemiczny z matką, nastaje jednak dzień, w którym zostaje mu ona odmówiona i zastąpiona plastikową butelką. Wiele dzieci nigdy nie jest w stanie pogodzić się z tym pierwszym oszustwem ze strony osób, które powinny je kochać...

W trzeciej kolejności porzuca sama matka. Dziecko uświadamia sobie, że od czasu do czasu ta oddala się i nie wraca od razu. Jest to dla niego traumatyczne przeżycie.

Człowiek będzie musiał następnie porzucać wszystko, co napawa go otuchą: mlecze zęby, żłobek, szkołę, rodziców...

Porzuci młodzieńcze iluzje, wiarę w Świętego Mikołaja, w Dzieciojada, w myszkę, która przychodzi po zęby ukryte pod poduszką, w wyobrażenie księcia albo księżniczki z bajki, w sprawiedliwość, w moralność, w bogactwo. Następnie przyjdzie pora na pierwszą wyprowadzkę, pierwsze zwolnienie z pracy, pierwszy rozwód. W zależności od swojej ewolucji i swoich uzależnień człowiek będzie zmuszony porzucić swobodę seksualną, papierosy, narkotyki, alkohol, tłuszcz na brzuchu, gry wideo.

Następnie straci włosy.

Egzystencja składa się z powolnego i stopniowego wyzbywania się.

Każda strata wiąże się z traumą i zyskaniem

samodzielności.

Dopiero pod koniec życia zaczniemy odzyskiwać elementy z samego początku. Hospicjum zastąpi szkołę. Szpital zastąpi żłobek. Znow zaczniemy przyjmować pożywienie w postaci płynów, trafimy na stałe do ciepłego łóżka, odzyskamy wiarę w przyjazne niewidzialne istoty.

Idealem byłoby, gdyby w ostatnich dniach życia człowiek mógł trafić w ciepłe, wilgotne i ciemne miejsce, podobne do bezpiecznego brzucha matki. Tym sposobem krąg zostałby zamknięty, wszystko, co było porzucone, zostałoby odnalezione.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

Fazy rozwoju

102.

Drzewa tworzą armię roślinnych wartowników.

Poza drogą nie ma tu śladów ludzkiej obecności, żadnego budynku, żadnego samochodu, żadnej latarni, stacji benzynowej czy słupa elektrycznego.

Zardzewiały i skrzypiący terenowy hyundai zapuszcza się w jedną z dróg lasu Fontainebleau. Z daleka obserwuje ich łania.

Docierają do okazałej posiadłości otoczonej murem.

Na białej tablicy, obok kółka ze stylizowanym kłosem, napisano małymi zielonymi literami: „NIBR – Narodowy Instytut Badań Rolniczych”.

– Jest pan pewien, że to tutaj? – pyta młoda badaczka o złocistych oczach.

– Przejeżdżałem już w pobliżu w drodze do domu mojego pradziadka, ale nie zwróciłem uwagi na ten ośrodek. Myślę, że taki był zamysł: dyskrecja. To rodzaj budynku administracyjnego, jakiego się nie zauważa. Narodowy Instytut Badań Rolniczych to przykrywka. Nie mogą przecież napisać przy wejściu „tajne służby”.

Zatrzymują się przed dużymi drzwiami, nad którymi umieszczono dwie kamery. David wychyla się w stronę domofonu.

– Aurore Kammerer i David Wells.

Kamery ogniskują się na nich, po czym otwiera się przesuwana brama.

Kiedy tylko przekraczają próg posiadłości, w ich stronę rzuca się, szczekając, chihuahua.

– Cóż to za cudaczny pies? – woła Aurore.

Naprzeciw nich znajduje się biały trzypiętrowy budynek w kształcie litery „U”. Hyundai parkuje przed głównym wejściem, nad którym widnieje symbol NIBR, a chihuahua biegnie za nimi, nie przestając ujadać.

Aurore chce wysiąść, ale David ją powstrzymuje.

– Proszę mu nie ufać, ten pies jest groźniejszy niż niejeden duży.

– Ten pluszak?

– Jest niebezpieczniejszy, ponieważ jest bardziej inteligentny. Nie zaatakuje od przodu, zajdzie panią od tyłu i ugryzie w udo albo w plecy.

Aurore zamyka z powrotem drzwi samochodu, tymczasem chihuahua ukrywa się w niewiadomym miejscu.

– Chihuahua są blisko dwa razy bardziej pomysłowe w swojej technice ataku niż owczarki niemieckie – ciągnie David.

– Najdziwniejsze jest to, że jeśli pójdzie się tropem ich pochodzenia, chihuahua, pudle i bolończyki pochodzą od tego samego zwierzęcia, które miało przypominać... wilka.

Czekają przy drzwiach wejściowych, które otwiera im mężczyzna fenomenalnego wzrostu.

– To mąż pułkownik Ovitz, dawny mistrz koszykówki – szepcze David.

Olbrzym dmucha w gwizdek ultradźwiękowy. Chihuahua, który zamierzał już przypuścić atak, wychodzi ze swojej kryjówki i wydaje się rozczarowany.

Aurore zauważa, że mężczyzna, który otworzył im drzwi, jest ubrany w czarną koszulkę z napisem:

Ogólne prawa Murphy’ego:

1. Jeśli coś może się nie udać – nie uda się na pewno.
2. Nic nie jest tak proste, jak się wydaje.
3. Wszystko zajmuje więcej czasu, niż sądzimy.

4. Sprawy pozostawione samym sobie mają tendencję do przemiany ze złych w jeszcze gorsze.

5. Każde rozwiązanie pociąga za sobą nowe problemy.

– Zabawna koszulka – mówi Aurore. – Wierzy pan w prawa Murphy’ego?

Nie udzieliwszy odpowiedzi, przewodnik prowadzi ich w głąb białego budynku.

Strefa roślinna jest wypełniona miniaturowymi drzewami, kwiatami i kaktusami. Nieco dalej Aurore dostrzega klatki z minizwierzętami: kolibrami, małpkami z gatunku marmozet.

Po prawej zauważa wibrującą od motyli szklarnię.

Przewodnik popycha duże drewniane drzwi. Aurore odkrywa przytulny salon urządony w stylu angielskim, wyłożony grubą wykładziną w kolorze trawy, o ścianach pokrytych boazerią z wyrzeźbionymi elementami leśnymi, z kominkiem i fotelami wyściełanymi skórą. Na dużych ekranach są transmitowane na okrągło wiadomości z całego świata. Na mniejszych są widoczne ujęcia z wnętrza i z otoczenia budynku, przekazywane przez kamery ochrony.

Pośrodku salonu na podwyższonym fotelu siedzi jakaś postać. Aurore rozpoznaje jurorkę z Sorbony. Mniej więcej pięćdziesięcioletnią. Jest ubrana w azjatycki komplet, pali papierosa w długiej jaspisowej fifce, przebierając równocześnie palcami po klawiaturze przenośnego komputera.

Ich przewodnik daje znak nowo przybyłym, że mają cierpliwie czekać.

Po kilku minutach pułkownik Ovitz zgadza się poświęcić im uwagę. Zamyka laptopa, zaciąga się i stwierdza:

– Ileż czasu marnuje się na formalności – narzeka.

Wypuszcza obłok niebieskawego dymu.

– Dobrze. Najlepiej będzie, jeśli Janicot pokaże wam

laboratorium i od razu zabierzecie się do pracy nad naszym protokołem produkcji.

Aurore marszczy brwi.

– Czy mogłabym się dowiedzieć, czym właściwie mamy się tutaj zajmować?

Natalia Ovitz przygląda się młodej kobiecie.

– Sądziłam, że ją pan poinformował, doktorze Wells.

Pułkownik Ovitz decyduje się wstać z fotela.

– Chodzi o grę dla siedmiu graczy. Będą wygrani i przegrani, gdyż niektóre strategie się wykluczają. Może być również wielu zwycięzców. Ale równie dobrze może być też wielu przegranych.

Natalia sięga po pilota i wycelowuje go w jeden z ekranów, na którym pojawia się kompilacja jej prezentacji.

– Oto oni. Rozpozna pani niektóre teorie osób współzawodniczących w konkursie na Sorbonie.

Aurore słucha uważnie twierdzeń na temat siedmiu możliwych przyszłości.

– A pani, pułkownik Ovitz, co pani na ten temat sądzi? – pyta.

– Ja? Ja po prostu chcę, żeby „historyczny serial ludzkości” trwał i żeby nie poległ na powrocie do prehistorii.

Manipuluje przy pilocie i na ekranie naprzeciw nich pojawia się siedem projektów oraz wizerunki ich liderów. Od dyktatora irańskiego Jaffara po kanadyjskiego miliardera Timsita, przez amerykańskiego prezydenta Wilkinsona i doktora Francisa Frydmana.

– Najbardziej interesuje mnie drugi projekt. Fanatycy. Mają przewagę liczebną i jedną odpowiedź na wszystkie skomplikowane problemy. Odpowiedź ta składa się z trzech liter: Bóg. A zaletą boga jest to, że można mu włożyć w usta, co

się chce.

– Nie może im się udać – ucina David.

– Myli się pan, nie można ich nie doceniać. Nawet zaprzeczając nauce, równości płci i prawom człowieka, mogą oni zniszczyć gałęzie drzewa przyszłości. Płodzą wiele dzieci i są coraz bardziej brutalni. Jeśli zwyciężą, wina będzie leżeć po naszej stronie, ponieważ nie zdołaliśmy zaproponować lepszego rozwiązania. W tym właśnie celu zgromadziliśmy się tutaj.

Aurore przygląda się ekranom, karlicy i towarzyszącemu jej olbrzymowi.

– Będę potrzebowała pomocy – oznajmia młoda badaczka.

– Myślę o konkretnej osobie, która będzie mi niezbędna do kontynuowania mojej pracy.

– Tak, wiem – mówi Natalia, machając ręką.

– Jak to pani wie? – dziwi się kobieta.

– Już tu z nami jest.

Natalia Ovitz daje znak porucznikowi Janicot, który wprowadza z bocznego korytarza kobietę w stroju podróżnym.

– Pentezylea!

Przyjaciółki ściskają się.

– Skąd pani wiedziała?

– Mój zawód polega na tym, żeby być zawsze o krok przed wszystkimi. Przewidziałam, że pod wpływem Davida pojawi się pani tutaj, wiedziałam, że psychologicznie będzie pani potrzebowała pary. Zresztą teraz, kiedy widzę panią szczęśliwą, mogę się przyznać, że to ja wysłałam kompromitujące zdjęcia pani byłej przyjaciółce, a mojej koleżance Christine Mercier.

– Co takiego?!

Natalia nie odpowiada, rozbawiona sytuacją.

– Jestem wojskowym i strategiem. U nas cel uświęca środki.

Aurore jest rozdarta między zdziwieniem, wściekłością i satysfakcją z odnalezienia przyjaciółki.

– Lada chwila powinniśmy mieć również wieści od naszego ostatniego gościa – dodaje Natalie.

W tym momencie rozlega się dzwonek przy wejściu. Porucznik Janicot wraca, prowadząc nową osobę.

– Nuçx'ia! – woła David.

Teraz tych dwoje pada sobie w ramiona. Pułkownik Ovitz pozwala sobie na lekki uśmiech.

– Dobrze. Mam wrażenie, że nasza mała drużyna jest już w komplecie. Teraz wszyscy muszą zabrać się do pracy, i to szybko. Doktorze Wells, to pan zaczął zbierać elementy naszego „warsztatu”. Proszę zatem pokazać laboratorium tym paniom.

Ujmuje ramię Aurore, która ze zdziwieniem stwierdza, że tak drobna kobieta może mieć tak mocny uścisk.

– Cieszę się, że zmieniła pani zdanie, doktor Kammerer. Musi pani wiedzieć, że to wielki zaszczyt mieć wśród nas córkę Françoise Kammerer, słynnej feministki, ale przede wszystkim wnuczki człowieka, który zainspirował większość moich badań: słynnego doktora Paula Kammerera.

Młoda badaczka jest zaskoczona, słysząc nazwisko swojego pradziadka. Dla niej jego nazwisko kojarzy się z wstydliwą historią rodzinną.

Mimo to w spojrzeniu Natalii nie dostrzega ironii.

103. ENCYKLOPEDIA: PAUL KAMMERER

Angielski pisarz Arthur Koestler postanowił pewnego dnia poświęcić jedno ze swoich dzieł naukowych oszustwom. Przepytał badaczy, którzy stwierdzili, że najbardziej żalose było to, jakiego dopuścił się doktor Paul Kammerer.

Kammerer był austriackim biologiem, który swoich

głównych odkryć dokonał w latach 1922–1929. Eloquentny, uwodzicielski, pełen pasji, twierdził, że „każda żywa istota zdolna jest dostosować się do zmian w środowisku, w jakim żyje, i przekazać to dostosowanie potomstwu”. Teoria ta zaprzecza całkowicie teorii Darwina. Aby więc udowodnić słuszność swoich twierdzeń, doktor Kammerer opracował spektakularne doświadczenie.

Wziął górskie żaby przyzwyczajone do suchego i chłodnego środowiska i umieścił je w środowisku wodnym i ciepłym. Żabom, które zazwyczaj spółkują na lądzie, spodobało się uprawianie miłości w wodzie. Aby nie poślizgnąć się na mokrej samicy, samcom rozwinął się czarny guz kopulacyjny na palcu, który pozwalał samcom wodnych żab wczepiać się w samicę podczas stosunku. To przystosowanie do środowiska było przekazywane potomstwu, które rodziło się już z ciemnym guzem. Życie mogło zatem zmodyfikować program genetyczny, dostosowując zwierzę do środowiska wodnego.

Kammerer wyhodował sześć pokoleń żab górskich wyposażonych w palec z chwytną poduszczką godową. Bronił on swojej teorii na całym świecie z niejakim sukcesem. Pewnego dnia jednak grupa uniwersyteckich naukowców zmusiła go do powtórzenia doświadczenia. Szeroka publiczność zebrała się w amfiteatrze, a wśród niej wielu dziennikarzy.

W przeddzień demonstracji w laboratorium wybuchł pożar, w którym zginęły wszystkie żaby z wyjątkiem jednej. Kammerer musiał więc zaprezentować ten jedyny okaz o ciemnym guzie. Naukowcy zbadali zwierzę pod lupą i parsknęli śmiechem. Wyraźnie dało się zauważyć, że czarne plamy na żabim palcu otrzymano poprzez wstrzyknięcie

atramentu pod skórę. Oszustwo się wydało.

Sala się zaśmiewała.

Kammerer musiał wyjść, wygwizdany. W ciągu minuty stracił całą wiarygodność i szansę na uznanie swoich prac. Odrzucony przez wszystkich, został wykluczony z zawodu. Darwiniści wygrali.

Ukrył się w lesie, gdzie strzelił sobie z pistoletu w usta, zostawiwszy lapidarny list, w którym potwierdzał autentyczność swoich doświadczeń i oświadczał, że „chce umrzeć wśród natury, a nie wśród ludzi”. Samobójstwo ostatecznie go zdyskredytowało.

Niemniej podczas zbierania materiałów do swojej pracy *Uścisk żaby* Arthur Koestler spotkał się z dawnym asystentem Kammerera. Mężczyzna przyznał mu się, że to on stał u źródeł katastrofy. To on za namową grupy darwinistów podpalił laboratorium i zastąpił ostatnią zmutowaną żabę z guzem na palcu inną, zwykłą, której rzeczywiście wstrzyknięto atrament.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

104.

Porucznik Janicot prowadzi nowo przybyłych w stronę strefy w przyziemiu Narodowego Instytutu Badań Rolniczych, gdzie pokazuje im prototypowe zwierzęta, jakich Aurore nigdy do tej pory nie widziała. W jednej z klatek rozpoznaje karłowatego nosorożca wielkości owcy. W sąsiedniej klatce zauważa niewiele większego słonia. Tuż obok rozpoznaje swobodnie pływającego w sześciennym podświetlonym

akwarium wieloryba długości zaledwie jednego metra!
Miniaturowy waleń pluska sobie spokojnie w turkusowej wodzie.

Porucznik Janicot oznajmia obojętnym tonem:

– Pułkownik Ovitz prowadzi badania nad zmniejszaniem od piętnastu lat. Dotarła jednak do pewnej granicy, w każdym razie jeśli chodzi o naczelne.

– A więc jednak potrafi pan mówić? Miałam pana za niemowę – stwierdza z ironią Aurore.

– Mówię tylko wtedy, kiedy jest to konieczne – wyjaśnia mężczyzna.

Wskazuje klatkę, w której siedzi odwrócona do nich plecami małpa.

– Ten minigoryl mierzy zaledwie osiemdziesiąt centymetrów zamiast dwóch metrów. Nazywa się MG, od „minigoryla”. Ma brata bliźniaka, który wyruszył z misją szpiegowską do północnokoreańskiego centrum wojskowego. Był o krok od sukcesu, niestety, zauważył dystrybutor ze słodyczami.

Wzdychając, wyraża, jak wielką porażką zdarzenie to musiało okazać się dla całej ekipy.

– Czasami najbardziej misterne projekty padają z powodu drobnostki – przyznaje Aurore.

Idą korytarzem wśród klatek i akwariów.

– Następnie pułkownik Ovitz podjęła tę samą próbę ze sterowanymi robotami małych rozmiarów.

Porucznik Janicot wskazuje gablotę z miniaturowymi androidami.

– Z nimi również się nie udało.

– Kłopoty ze smakołykami? – pyta z ironią Aurore.

– Nie, kłopoty z sygnałami. Sygnał elektromagnetyczny

każdego pilota może zostać zauważony, przechwycony lub zakłócony.

– W takim razie wystarczy wypuścić robota, który nie byłby sterowany przez pilota, ale realizował wyuczoną misję.

– Oto on – mówi, pokazując manekina o nieruchomej twarzy. – Wtedy pracował nad nim doktor Francis Frydman.

– Dlatego Frydman brał udział w konkursie o ewolucji na Sorbonie? – pyta młoda kobieta.

– Istotnie. Ale nie uzyskał satysfakcjonującego wyniku. Za każdym razem robot okazywał się niezdolny do analizy otoczenia i szybkiego przejęcia inicjatywy.

– A więc stąd wziął się pomysł stworzenia robotów obdarzonych świadomością? – uzupełnia młoda kobieta. – Robota, który rozumie pojęcie „ja”?

– Ten mały geniusz pracuje teraz dla południowokoreańskiego przemysłu.

– Skoro zatem – podsumowuje Aurore – nie goryle i nie roboty, to pozostaje...

– Was dwoje.

Idą dalej.

– Pułkownik Ovitz nazwała ten projekt „Hobbit”, w nawiązaniu do *Władcy pierścieni* Tolkiena, gdzie bohaterowie niskiego wzrostu infiltrują przeciwnika lepiej niż zwykli ludzie. Ma nadzieję na stworzenie małych szpiegów, którzy będą wkradać się do bunkrów i sabotować broń nieprzyjaciela.

Docierają do laboratorium wyposażonego w skomplikowane maszyny.

– Jak już prawdopodobnie zrozumieliście, pułkownik dostrzegła w waszych pracach szansę na stworzenie nie tylko miniszpiegów, ale także miniszpiegów odpornych na mikroby i promieniowanie...

– Lepszych niż ludzie, małpy, a nawet niektóre roboty, które okazały się mocno wrażliwe – dodaje David.

– Kim jest ta osobliwa kobieta? – pyta Aurore.

– Pułkownik Ovitz? Powiedzmy, że jest osobą uważną. Ma talent do wykrywania tego, co zazwyczaj określa się mianem „słabych sygnałów”. Na podstawie szczegółów wnioskuje, jak potoczą się ważne zdarzenia.

– *Ad augusta per angusta?* – dopytuje badaczka.

– Ma jednak pewną słabą stronę.

– Swój wzrost?

– Jej talent przewidywania przyszłości wywodzi się ze swego rodzaju nadwrażliwości.

– Chce pan zasugerować, że ma paranoję – stwierdza z ironią Aurore.

Porucznik Janicot wprowadza ich do położonego głębiej kolejnego laboratorium.

– Rodzina Natalii, Ovitzowie, tworzyła grupę teatralną złożoną z karłów. Byli znani na początku XX wieku pod nazwą Trupa Liliputów. Był to swoisty wędrowny cyrk, odwiedzający miasta Europy Wschodniej.

Aurore rozgląda się po osobliwym miejscu, podczas gdy kolos kontynuuje swoje wyjaśnienia:

– Podczas drugiej wojny światowej zostali zagarnięci przez nazistów. Doktor Mengele, rozmiłowany w badaniach nad „specyficznymi” ludźmi – bliźniakami, rudzielcami czy karłami – zauważył ich i wybrał do swoich doświadczeń.

Tym razem Aurore nie ma ochoty na żarty.

– Teraz, kiedy pan o tym wspomina, wydaje mi się, że czytałem coś na ten temat w encyklopedii mojego pradziadka – przypomina sobie David.

– Pułkownik Ovitz jest potomkinią jednego z ocalałych

członków tej rodziny karłów. Z tego powodu żywi silną niechęć do wszelkich form totalitaryzmu.

Aurore kiwa głową.

– Rodzina Natalii została wyzwolona z obozu koncentracyjnego przez oddziały rosyjskie. Uciekli na południe, dotarli do wyzwolonej Grecji, po czym udało im się wyjechać do Izraela. Tam rodzina Ovitz założyła nową trupę teatralną, która występowała w Tel Awiwie. Matka Natalii należała do tajnych służb izraelskich, a konkretnie do brygady, której celem było tropienie nazistowskich oprawców. To ona wpadła na trop Mengelego w Brazylii. Następnie założyła sekcję „szpiegów niskiego wzrostu” w ramach tajnych służb izraelskich.

Otrzymywała wyniki na tyle interesujące, że awansowała do stopnia pułkownika. Jej córka poszła jej śladem. Skończyła biologię w Hajfie, po czym szybko wstąpiła do Mossadu, mając w głowie tylko jedną myśl: kontynuować walkę z nazizmem.

– Co ją łączy z Francją?

– Miłość. Spotkała mnie – powiedział porucznik Janicot tym samym obojętnym tonem.

Aurore zatrzymuje się i spogląda mu w twarz.

– A pan, kim pan jest? I co pan robi w tej instytucji? Jest pan zagubionym graczem w koszykówkę?

Mężczyzna nawet się nie uśmiecha.

Idzie dalej, pozwalając zapaść ciężącej ciszy.

– Mój ojciec był ważnym członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej.

– Teoretycznie komuniści zwalczali nazistów...

– Teoretycznie. Ale gdy dwudziestego trzeciego sierpnia 1939 roku, podczas zawierania paktu niemiecko-sowieckiego, Hitler uścisnął dłoń Stalina na oczach wszystkich fotografów świata, komuniści francuscy otrzymali z Moskwy zalecenie, by

stłumić wszelką krytykę faszystów.

Aurore nie miała pojęcia o tym nieprzewidzianym zdarzeniu historycznym.

– A oni oczywiście odmówili?

– Zgodzili się. To się stało naturalnie. Kiedy Niemcy zajęli Francję, Jacques Doriot założył wraz z kilkoma dawnymi towarzyszami otwarcie kolaborującą Francuską Partię Ludową. Najwyższym jej autorytetem był ogromny starzec, który sięgnął po władzę po przegranej Francji: marszałek Pétain.

– Zapomniałem o tym epizodzie – przyznaje zakłopotany David.

– Wiele osób wolało wymazać to z pamięci. Prawdę mówiąc, ludzie nie potrafią zrozumieć, że wszyscy dyktatorzy się wspierają, niezależnie od tego, czy powiewa nad nimi czarna, czerwona czy zielona flaga. Wszyscy bronią tych samych wartości – pracy, rodziny i ojczyzny – przy użyciu jednakowych środków: strachu i przemocy.

– A więc Natalia zakochała się w panu... – przypomina Aurore z nutą romantyzmu w głosie.

– Mój dziadek brał udział w obławie na Żydów w Vel d’Hiv. Następnie uczestniczył w walce z markizem du Vercors. On również był mężczyzną wysokiego wzrostu, wykorzystywano go więc w sytuacjach, kiedy trzeba było osiłka do zrobienia silnego wrażenia.

Martin Janicot wzrusza szerokimi ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi, kontynuowałem rodzinną tradycję, byłem harcerzem. Studiując prawo, zwalczałem ugrupowania skrajnej prawicy. Zaciągnąłem się do armii, żeby zostać oficerem. Byłem wychowany w kulcie siły, ciała, męskości. Chciałem wstąpić do tajnych służb. Podczas misji w Afganistanie wpadliśmy w zasadzkę zastawioną przez grupę

talibów. Uwięzili nas i nawet nie próbowali wymienić dla okupu. Chcieli nas wykorzystać do celów propagandowych. Mieli zamiar torturować nas piłami, sfilmować tę scenę i wrzucić ją do Internetu.

Cały czas mówi tym samym obojętnym tonem.

– Zabili przede mną moich dwóch kolegów, czekałem na swoją kolej. Miałem dwadzieścia pięć lat i stwierdziłem, że grałem i przegrałem.

Grupka zwalnia kroku.

– Wtedy pojawiła się Natalia. Malutka. Była sama. Wystrzeliła flarę i strzeliła z pistoletu z tłumikiem. W ciągu pięciu minut było po wszystkim. Dziesięciu talibów nie żyło, a ona, w masce gazowej, rozcinała moje więzy. Później się dowiedziałem, że była to osobista inicjatywa Natalii. Podśluchiwała akurat siatkę przemycającą pociski raketowe między Pakistanem a Syrią i usłyszała, że mają zamiar „zabawić się z Francuzami”.

Idą dalej.

– Ta malutka kobieta należąca do tajnych służb izraelskich w pojedynkę ocaliła mi życie. Zmusiła mnie do zmiany mojego punktu widzenia.

– Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

– Tak, pobraliśmy się i urodziły nam się dwie córki.

– Jakiego są wzrostu? – pyta Nuçx’ia, zaciekawiona.

– Metr siedemdziesiąt pięć i metr siedemdziesiąt dwa – odpowiada Martin. – Mieszkają w Australii i Kanadzie. Mają obecnie dwadzieścia dwa i dwadzieścia pięć lat. Obie są zameżne.

– A wy dwoje zostaliście we Francji – stwierdza Pentezylea zaciekawiona osobliwą historią pary.

– Kiedy Natalia spodziewała się naszego pierwszego

dziecka, wolała odejść z Mossadu. Ja ze swojej strony nie wystąpiłem z tajnych służb. Zostałem porucznikiem, a kiedy nasze obie córki były już wystarczająco duże, przekonałem przełożonych, żeby zatrudnili elitarną tajną agentkę izraelską, dzięki której moglibyśmy czasami działać przy współpracy z Mossadem.

– Zgodzili się?

– Wystawili ją na próbę. Odniosła sukces w dwóch lub trzech wyjątkowo trudnych misjach, a oni byli zmuszeni uznać jej talent do działań w terenie i zalety jej niskiego wzrostu. Kiedy w ostatniej chwili udaremniła atak terrorystyczny w paryskim metrze, minister spraw wewnętrznych odznaczył ją orderem. Poprosiła go o spotkanie i wyjaśniła swoją wizję służb równoległych. Wspomniała o stworzeniu komórki, która nie podlegałaby żadnemu z organów administracyjnych. Po porażkach typu Rainbow Warrior albo nieudanych misjach wyzwalań zakładników w Nigerii tajne służby francuskie znacznie straciły na wiarygodności. Wiele osób uważało, że w równoległych służbach zdradzano się nawzajem i strzelano sobie w stopy.

– Tym ministrem spraw wewnętrznych był Stanislas Drouin? – domyśla się Aurore.

– Kiedy został wybrany na prezydenta, propozycja Natalii wydała mu się tym bardziej interesująca, że pozwalała mu na dysponowanie lekką i szybką jednostką interwencji militarnej, ocenianą wyłącznie na podstawie wyników osiągniętych w terenie.

– Nigdy nie wspomniał o istnieniu równoległej służby?

– Oficjalnie stanowimy tylko komórkę do spraw badań i rozwoju Narodowego Instytutu Badań Rolniczych, ta zaś podlega Ministerstwu Rolnictwa.

– Dyskrecja ma na celu uniknięcie zazdrości ze strony innych służb?

– Kto by pomyślał, że dwoje wojskowych w dawnym centrum Narodowego Instytutu Badań Rolniczych ma na celu znalezienie sposobu na uniknięcie trzeciej wojny światowej.

– Olbrzym i karlica, na dodatek – podkreśla Nuçx'ia.

– Dzięki wsparciu prezydenta mamy dostęp do wszystkich najnowszych technologii w dziedzinie biologii, elektroniki i robotyki. Wielu naukowców przewinęło się przez te laboratoria. Stworzyli zwierzęta-bonsai, jakie spotkaliście przy wejściu, nauczyli nas sztuki miniaturyzacji żywych organizmów.

Zatrzymują się naprzeciw hipopotamów nie większych od królików.

Porucznik Janicot wyciąga z kieszeni kartę magnetyczną, którą przeciąga przez elektroniczny zamek. Drzwi otwierają się, odsłaniając ultranowoczesne laboratorium.

– Ci, którzy już tutaj wcześniej pracowali, nie znali ostatecznego celu. Uważali, że znajdują się w centrum miniaturyzacji zwierząt. Ewakuowaliśmy ich stąd zresztą, w miarę jak kończyli swoje misje.

Wojskowy zamyka starannie drzwi za gośćmi, jak gdyby obawiał się, że ktoś mógłby podsłuchać dalszy ciąg ich rozmowy.

– Jesteście obecnie jedynymi czterema osobami, które wiedzą, co tu się naprawdę dzieje.

– Ale jak mamy się do tego zabrać? – pyta Pentezylea, oczarowana aparaturą.

– Macie dostęp do ludzkich jajeczek i spermatozoidów – odpowiada olbrzym.

– Ale to zabronione z punktu widzenia etyki – przypomina Pentezylea.

– Cel uświęca środki.

– Jestem zaskoczona, że ktoś, kogo rodzina ucierpiała z powodu szaleństwa nazistowskiego naukowca, inwestuje w naukę, która kpi sobie z etyki – stwierdza Aurore.

Porucznik Janicot pozostaje nieprzenikniony.

– Rozmawiałem z nią na ten temat. Odpowiedziała, że nauka musi teraz naprawić szkody, których dokonała.

Następnie porucznik Janicot zaprasza zebranych na piętro. Prowadzi ich do wschodniego skrzydła budynku w kształcie litery „U”, gdzie znajdują się pomieszczenia mieszkalne.

Otwiera pokój dla Aurore i Pentezylei i drugi dla Davida i Nuçx’ii. W obu znajdują się podwójne łóżko, biurko i szafy.

– Skąd ona wiedziała, że przyjadę, że wszyscy przyjedziemy? – dziwi się Aurore.

Porucznik Janicot daje im znak, że pora udać się do jadalni na kolację.

Po drodze małpki marmozety, jak gdyby zrozumiały, co się święci, zaczęły wydawać z siebie okrzyki, które brzmiały niemal jak kpiarskie dziecięce śmiechy.

105.

A ludzie rośli, mnożyli się i doskonalili.

Budowali piramidy, które były kopiami mrowisk.

Zorientowałam się, że królowe mrówek najlepiej się porozumiewają, stając w punkcie znajdującym się w dwóch trzecich wysokości tych budowli, zachęcałam więc ludzi do budowania podobnych komór, aby poprawić naszą wymianę fal.

Namawiałam ich również do przypominania sobie swoich snów.

Nakłaniałam ich do uwieczniania swoich egzystencji nie tylko w umysłach, ale także przez grawerowanie znaków w

kamieniach.

Zachęcałam ich do rozwijania wiedzy naukowej i mnożenia doświadczeń.

106.

Minął tydzień, odkąd centrum Narodowego Instytutu Badań Rolniczych w Fontainebleau przyjęło swoich nowych pensjonariuszy. Bardzo szybko David Wells i Aurore Kammerer oraz ich partnerki Pentezylea Kéchichian i Nuçx'ia przyzwyczaili się do życia w zamkniętym ośrodku, czerpiąc ze swoich związków wystarczająco dużo satysfakcji, aby móc znieść długie godziny badań w laboratorium.

Z początku realizowali tylko dawny protokół polegający na krzyżowaniu okazów niewielkiego wzrostu i wybieraniu najmniejszych, aby skrzyżować je ponownie. Technika ta polega na wymuszonej selekcji w celu wzmocnienia jednej z nabytych cech.

Pierwszy „prototyp” powstał z pochodzącej od Nuçx'ii żeńskiej gamety, do której wszczepiono męską gametę pobraną od najmniejszego znanego obecnie mężczyzny: Stefana Lipkovitza, trzydziestodzieciocentymetrowego Węgra, który twierdzi, jakoby był potomkiem dawnego ludu liliputów, którym inspirował się Jonathan Swift. Stefan nie chciał dołączyć do projektu, ale zgodził się sprzedać swoje nasienie, co pułkownik Ovitz wydało się nawet bardziej praktyczne.

Kiedy tylko powstała pierwsza komórka, jej DNA zostało podzielone na segmenty i wprowadzono do niego elementy kobiece pochodzące od Pentezylei, fragment odpowiedzialny za odporność na promieniowanie i cechy Nuçx'ii odpowiedzialne za wzmocniony system odpornościowy.

Otrzymane tym sposobem zapłodnione jajeczko zostało

następnie umieszczone w macicy małpki marmozety, naczelnego o niewielkim wzroście, którego fizjologia jest wystarczająco zbliżona do człowieka, aby można było liczyć na utrzymanie ciąży.

W rezultacie otrzymano zygotę, którą nazwano „Mikroczłowiek 001”.

Podział komórek rozpoczyna się naturalnie już pierwszego dnia, dając w rezultacie dwie siostrzane komórki. Cztery drugiego dnia. Czwartego dnia jest już szesnaście komórek tworzących rosnący wciąż embriion zagnieżdżony w macicy marmozety.

Jest dziesięć razy mniejszy niż embriion normalnego dziecka.

Siódmego dnia brzemienna samica zaczyna jednak odczuwać bóle. Dostaje gorączki, krwawi i embriion zostaje wydalony.

Ekipa przyjmuje cios. Morale lekko na tym cierpi. Ale daleka od utraty nadziei pułkownik Ovitz oznajmia, że trzeba mnożyć doświadczenia, żeby zwiększyć szanse na sukces. Biolodzy zapładniają tym razem trzy samice marmozety zygotami noszącym nazwy MC002, MC003 i MC004.

Dochodzi jeszcze do dwóch poronień, ale nosicielce MC003 udaje się pokonać granicę piętnastu dni. Embriion zostaje wydalony dopiero w dziewiętnastym dniu.

– Nie uda nam się, to beznadziejne. Cały ten projekt jest pozbawiony sensu – stwierdza zmęczona Aurore.

– Ależ doktor Kammerer, nie poddamy się po pierwszej porażce – odpowiada Natalia.

Wstaje Pentezylea.

– A gdyby nam się udało? Gdyby naprawdę udało nam się otrzymać małą, odporniejszą kobietę, czy nie czulibyśmy się,

jakbyśmy stworzyli... monstrum?

Natalia Ovitz zapala papierosa, po czym bierze na ręce chihuahua, który chodzi za nią krok w krok.

– Słowo „monstrum” pochodzi od francuskiego „*montrer*”, czyli pokazywać. Monstrum to ktoś, kogo wytyka się palcami. Liczę, że pewnego dnia będzie się pokazywało palcami stworzone przez nas istoty i mówiło: „Widzieliście, co im się udało?”.

– Za kogo pani się uważa?! – rzuca Pentezylea.

– Za kogoś, kto próbuje dokonać czegoś nowego. Być może rzeczywiście nam się nie uda, ale mimo wszystko będziemy próbować. W każdym razie jeśli coś się pani nie podoba, nikogo tu siłą nie zatrzymuję.

Entuzjazm pierwszych dni minął i między naukowcami narasta coraz większa podejrzliwość. Porucznik Janicot, milczący i ponury, jest do dyspozycji wszystkich, wciąż niewzruszony w obliczu dobrych i złych wieści.

David nachyla się nad mikroskopem elektronicznym i przy użyciu minipipety przeprowadza kolejne doświadczenie. Siedząca za nim samica marmozety uważnie śledzi jego gesty, jak gdyby domyślała się ich celu.

Aurore zerka na Pentezyleę, która zdaje się mówić: „To zły moment, wytrzymaj, powiem ci, kiedy trzeba będzie zareagować”.

Nuçx’ia głaska futro samicy marmozety, jak gdyby chciała dodać otuchy jej albo samej sobie. Na koszulce porucznika Janicot zauważa nowe prawa Murphy’ego:

10. Wszystkich wielkich odkryć dokonuje się przez pomyłkę.

11. Każda dostatecznie zaawansowana technologia niczym nie różni się od magii.

Ale dziś słowa te nie wywołują nawet uśmiechu na jej twarzy. Ma wrażenie, że jej towarzysze uparcie podążają drogą prowadzącą w ślepy zaułek, a ich działania powodują stratę czasu, pieniędzy i zapewne małek z gatunku marmozeta.

Tylko Natalia Ovitz wydaje się pełna wiary i determinacji.

107. ENCYKLOPEDIA: LILIPUT

Lilipuci to nie majaki zrodzone w umyśle pisarza Jonathana Swifta.

Naprawdę istnieją. Nie można ich mylić z karłami ani z Pigmejami. Lilipuci mają te same proporcje co człowiek, ale są znacznie mniejszego wzrostu. Ten waha się od czterdziestu do pięćdziesięciu centymetrów, a waga – od pięciu do piętnastu kilogramów. Zostali odkryci pod koniec XIX wieku w Europie Środkowej, w dzikiej strefie jednego z węgierskich lasów. Żyli wówczas z gospodarki samowystarczalnej, z dala od zaludnionych okolic. Kiedy ujawniono ich istnienie, zaczęto na nich polować, dlatego chcąc ratować życie, lilipuci postanowili się rozproszyć. Pierwszym, który usiłował ich znów połączyć, był – w 1871 roku – Phineas Taylor Barnum, właściciel cyrku o tej samej nazwie. Nigdy jednak pod jego namiotem nie występowało ich więcej niż czworo. W 1937 roku Francja rozpoczęła systematyczne poszukiwania liliputów, mając zamiar pokazać ich na Wielkiej Wystawie Światowej w Paryżu. Zdołano zgromadzić sześćdziesięcioro liliputów, dla których wybudowano miasteczko z domami, fontannami i ogrodami dostosowanymi do ich rozmiarów.

Obecnie uważa się, że po naszej planecie jest rozproszonych ośmiuset liliputów. Najczęściej służą za płatne atrakcje na jarmarkach i w cyrkach. Japończycy,

zafascynowani tymi miniaturami ludzkimi, wybudowali im miasteczko ze szkołą, żeby ich do siebie ściągnąć. Założyli oni trupę teatralną, której występy bardzo szybko osiągnęły dużą popularność.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

108.

Człowieka, który słuchał mnie w komorze piramidy, nazwałam „szamanem”. Był pośrednikiem między moją myślą i myślami ludzi. To jemu pierwszemu wyjawiałam mój projekt OPM – „Ocalić Planetę Matkę”.

Trzeba przyznać, że w tamtych czasach miałam się za ich Pierwotną Rodzicielkę. Przemówiałam do szamana, a on porozmawiał z innymi Atlantami.

Wzięli się do pracy.

Byli bardzo pomysłowi.

Obserwując ptaki, stworzyli samoloty. W ciągu kilku wieków pojęli, jak opanować loty kosmiczne.

Pamiętam pierwszy prototyp zdolny opuścić atmosferę.

„Limfocyt 1”.

Zasugerowałam tę nazwę szamanowi, wyjaśniając, że statek ten miał pełnić funkcję podobną do limfocytów we krwi, które niszczą drobnoustroje atakujące organizm.

„Limfocyt 1” miał kształt piramidy i potrafił unieść się aż na granicę mojej atmosfery. Do budowy silników spalinowych pozwoliłam pobrać sobie nieco mojej czarnej krwi.

Prototypowi idealnie udało się start, niestety, konstrukcja wpadła w drgania i eksplodowała, zbliżając się do górnych

warstw mojej atmosfery.

To była pierwsza próba.

Nie spieszyło mi się, wiedziałam, że pewnego dnia im się uda.

*Wieczorem spoglądałam na Księżyc i powtarzałam:
„Ciebie boję się coraz mniej”.*

109.

Aurore przygląda się gwiazdom na letnim niebie i sama już nie wie, co powinna myśleć.

Wszystkie kolejne próby zakończyły się fiaskiem.

Postanawia zrezygnować z jednego dnia pracy i proponuje, że przygotuje dla wszystkich ożywczą kolację. Ma potrzebę odnaleźć się w znajomych gestach, zająć się nieco chemią organiczną, która zakończy się podzielnym sukcesem.

„Szykując cassoulet, przynajmniej wiem, co otrzymam w wyniku wymieszania składników”.

Pozostali członkowie grupy pracują, podczas gdy ona krząta się po kuchni.

Wieczorem szóstka z centrum Narodowego Instytutu Badań Rolniczych spotyka się w jadalni, w otoczeniu ekranów przesyłających obrazy z całego świata.

Młoda badaczka z zadowoloną miną wnosi naczynie z potrawą, które stawia na środku stołu. Wszyscy wdychają smakowitą woń regionalnego dania.

– Czy to nie jest trochę zbyt tłuste? – pyta Pentezylea, która wyraża na głos to, co wszyscy myślą po cichu.

– Bez obaw, dodaję odtłuszczonej śmietany.

Nakłada gościom sowite porcje, nawet tym, którzy powołując się na dbanie o linię, usiłują przystopować jej hojny gest.

Chociaż wielu biesiadników ma trudności z dokończeniem jedzenia, Nuçx'ia je z zapalem i prosi o dokładkę.

– Potrzebujemy czasu – mówi Pentezylea, odsuwając na wpół pełny talerz.

– Jesteśmy zależni od aktualności – odpowiada Natalia, która zdaje się zaintrygowana przez obraz, jaki pojawia się na ekranie.

Sięga po pilota i zwiększa głośność.

– ...wirus komputerowy, który zniszczył cały system kontroli w irańskich centralach nuklearnych. Prezydent Jaffar oficjalnie oskarża amerykańskie i izraelskie służby o dokonanie sabotażu w fabrykach, które – jeśli wierzyć jego słowom – produkują wyłącznie wzbogacony uran do użytku cywilnego. Obiecuje, że szybko odtworzy to, co zostało zniszczone. Co...

Pułkownik Ovitz odcina głos.

– To wyścig o życie albo śmierć – mówi.

– W każdym razie dzięki temu wirusowi informatycznemu zyskaliśmy chwilę spokoju – stwierdza Pentezylea.

David patrzy teraz inaczej na Natalię. Od początku ta kobieta go intryguje.

„Zrozumiała to, czego ja jeszcze nie pojąłem, ponieważ przecierpiała więcej ode mnie”.

Za tą myślą przyszła mu do głowy jeszcze jedna.

„Czy trzeba cierpieć, żeby ewoluować?”

Przypomina sobie swoje przybycie do Narodowego Instytutu Badań Rolniczych w Fontainebleau. Ilość udostępnionych środków mających na celu realizację wizji zmniejszenia natury zrobiła na nim ogromne wrażenie.

Zastanawia się.

„Olbrzym i karlica mogą być szaleńcami, którym udało się przekonać kilkoro naiwniaków z rządu”.

Niemniej jednak pewien element kazał mu im zaufać: własna porażka. Brak pracy. Brak dachu nad głową. Być może odejście z matczynego łona skłoniło go do przemyśleń: „Co właściwie mam do stracenia w tej przygodzie?”. Następnie stwierdził: „Przecież ona tylko proponuje mi wynagrodzenie za robienie czegoś, na co mam największą ochotę. Tylko głupiec przepuściłby taką okazję”.

Jeszcze dziś, mimo ciągu porażek, wciąż mu się wydaje, że znajduje się „na swoim miejscu” i że pracuje z właściwymi osobami.

– Powinniśmy zwiększyć liczbę matek marmozet – sugeruje Nuçx’ia.

– Powinniśmy zmodyfikować kombinację DNA w komórkach – dodaje Aurore.

– Trzeba przyjrzeć się z bliska warunkom życia marmozet – ciągnie pierwsza.

– Nie, tylko zastrzyki hormonów.

– A pożywienie?

David wciąż obserwuje Natalię Ovitz. Jej wzrok zatrzymuje się na drobiazgach, zdaje się wsłuchiwać we wszystkie dźwięki z wyostrzoną uwagą.

„Ta kobieta nigdy nie czuje się spokojna”.

Aurore zwraca się do Nuçx’ii:

– Podobno poddała pani Davida działaniu roślin halucynogennych?

– U nas to dość banalna sprawa – przyznaje młoda Pigmejka. – Nie szukamy skutków psychodelicznych, lecz podróży po naszych poprzednich życiach.

Mówiąc to, odkrawa sobie kawałek chleba i zaczyna wyjadać nim gęsi tłuszcz z talerza, pod czułym spojrzeniem Aurore.

– Interesujące. A co robił David w swoim poprzednim życiu? – pyta Pentezylea.

Pigmejka odpowiada za niego z powagą:

– Osiem tysięcy lat temu był naukowcem na Atlantydzie, który dokonywał manipulacji genetycznych na płodzie. Usiłował zmniejszyć ludzi.

Aurore przygląda im się i wybucha śmiechem. Pentezylea również nie może ukryć rozbawienia.

– Minęło tyle tysiącleci, a on znów robi to samo. Trochę szkoda – stwierdza z lekką kpina.

– Życie to nieustanna odnowa – podkreśla Natalia, jak gdyby chciała go usprawiedliwić.

– Proszę się nie nabijać – mówi Nuçx'ia. – Nie powinno się kpić z minionych egzystencji człowieka.

– Mimo wszystko cóż za zadziwiający zbieg okoliczności – stwierdza Aurore, nalewając wszystkim wina. – A ty, Pentezyleo, wierzysz w reinkarnację? – pyta wesoło.

– Nie, wierzę, że ślady genów naszych przodków pozostają zapisane w sercu naszych komórek, ale nie ich dusza. Wierzę bardziej w krew niż w ducha.

– A pan, poruczniku Janicot? – pyta młoda badaczka.

– Ja nie wierzę – odpowiada po prostu.

– A pani, pułkownik Ovitz? – ciągnie Aurore.

– Odczuwam naturalną podejrzliwość w stosunku do wszystkiego, co mistyczne lub religijne. Jeśli jednak miałyby nam to pomóc w znalezieniu rozwiązań albo otworzyć nowe perspektywy, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy z tego rezygnować.

David żuje fasolkę i trafia na kostkę, prawdopodobnie kręgoszyjny gęsi, i wypluwa ją dyskretnie w serwetkę.

– No cóż, ja ani trochę w to nie wierzę – oznajmia Aurore,

której nikt nie zadał pytania. – Sądzę, że rodzimy się jako komórka i umieramy jako zimne mięso. A zimne mięso rozkłada się, gnije i obraca w proch.

Wszyscy jej słuchają, a ona mówi dalej:

– Uważam zresztą samą zasadę reinkarnacji za zdradziecką: daje do zrozumienia, że jeśli nie uda nam się w jednym życiu, będziemy mieć inne, w których będziemy mogli się poprawić. Wolę myśleć, że mamy do rozegrania tylko jedną partię i za wszelką cenę trzeba ją wygrać, ponieważ innej nie będzie.

Amazonka ujmuje z czułością dłoń swojej towarzyszki.

– Niemniej jednak – wtrąca – z praktycznego punktu widzenia, w tym życiu w naszym projekcie „Hobbit” znaleźliśmy się w ślepych zaułku. Okaleczamy samice marmozet i jak tak dalej pójdzie, możemy wyczerpać nasz zapas jajeczek Nuçx’ii i spermatozoidów liliputa Stefana Lipkovitza.

Aurore pociąga łyk wina i zaczyna odczuwać efekty działania sfermentowanego soku z winogron.

– Skoro David był kiedyś biologiem z Atlantydy, hm, czy nie mógłby przypomnieć sobie, jakie rozwiązania stosował w swoim poprzednim życiu? – pyta ironicznie.

Wszyscy zwracają się w jego stronę.

– To doskonały pomysł – stwierdza David, patrząc wprost na młodą kobietę. – Nuçx’io, czy masz jeszcze trochę składników Ma’djoba?

– Zawsze mam je przy sobie.

Wszyscy uśmiechają się z zażenowaniem, nie spodziewali się bowiem, że żart, który padł pod koniec kolacji, zostanie potraktowany poważnie. Aurore zmusza się do śmiechu, ale pozostali jej nie naśladują. Natalia wstaje.

– Jestem zmęczona, pójdę się położyć.

Jej towarzysz również się podnosi i wychodzi za nią.

Widząc, że atmosfera zelżała, Pentezylea daje Aurore znak do wyjścia na górę. W jadalni zostają tylko David i Nuçx'ia.

– Naprawdę – szepcze Pigmejka – byłbyś gotów powtórzyć seans?

– Na tym etapie chyba nie mamy już nic do stracenia. Poza tym nie spodobał mi się ton, jakim mówili o „naszym” rytuale. Mam ochotę pokazać im, że się mylą, i że możemy się nauczyć wielu rzeczy od naszych wcześniejszych wcieleń.

Podczas gdy oboje ruszają już w stronę sypialni, pojawia się Natalia, która ujmuje dłoń Davida i mocno ją ściska. Patrzą na siebie, a jemu się wydaje, że kobieta chce mu coś dać do zrozumienia. Natalia jednak tylko się uśmiecha i znika.

110. ENCYKLOPEDIA: RODZINA OVITZÓW

Rodzina Ovitzów pochodziła z północy Rumunii. Ojciec, Shimson Ovitz, był wędrownym rabinem, miał dziesięcioro dzieci, z czego siedmioro było dotkniętych karłowatością. Ci ostatni założyli własną grupę teatralną o nazwie „Trupa Liliputów”. Śpiewali i grali, w latach 1930–1940 nieustannie objeżdżając Rumunię, Węgry i Czechosłowację. Członkowie rodziny normalnego wzrostu pomagali karłowatym braciom i siostronom zza kulis.

Piętnastego maja 1944 roku cała rodzina została aresztowana przez policję węgierską i deportowana do obozu koncentracyjnego. Po przyjeździe do Auschwitz rodzina Ovitzów została zauważona przez lekarza obozowego Josefa Mengele (przezywanego „Aniołem Śmierci”), który tworzył kolekcję deportowanych o nietypowych cechach fizycznych w celu prowadzenia na nich doświadczeń, między innymi dotyczących dziedziczności.

Mengele podjął decyzję odseparowania Ovitzów od

pozostałych więźniów, aby włączyć ich do własnego zbioru. Był zaintrygowany tym, że w skład rodziny wchodziły osoby zarówno niskiego, jak i normalnego wzrostu. Kazał wybudować dla nich wewnątrz obozu specjalne budynki, aby móc ich nadzorować. Zadbął dla nich o odpowiednie warunki higieny oraz o jedzenie w odpowiedniej ilości i należytej jakości. Nazywał ich swoim „ludzkim zoo”.

Ovitzowie byli poddawani różnym doświadczeniom. Członkowie ekipy Josefa Mengele dokonali pobrania szpiku kostnego, zębów i włosów w celu znalezienia wskaźników chorób genetycznych. Wlewali im do uszu na zmianę gorącą i zimną wodę, oślepiali ich środkami chemicznymi. Osiemnastomiesięczny Shinshon Ovitz doświadczył najgorszego traktowania, ponieważ urodził się przedwcześnie z rodziców normalnego wzrostu. Mengele pobrał mu krew z żył za uszami i z palców. Ovitzowie zeznali, że w tym czasie dwoje karłów spoza ich rodziny zostało zabitych i ugotowanych, aby ich kości mogły zostać wystawione w muzeum.

Przy okazji wizyty nazistowskich dygnitarzy Mengele poprosił Ovitzów, żeby zaprezentowali się przed nimi nago. Nakręcił film, który miał rozbawić Führera Adolfa Hitlera.

Po wyzwoleniu obozu w Auschwitz 27 stycznia 1945 roku pozostali przy życiu członkowie rodziny Ovitzów wędrowali przez siedem miesięcy, aby wreszcie dotrzeć do rodzinnego miasteczka w Rumunii. Tam zastali swój dom rozgrabiony. W maju 1949 roku osiedlili się w Izraelu i ponownie osiągnęli sukces dzięki występom. W 1955 roku wycofali się ze sceny i zaczęli reżyserować przedstawienia teatralne. Kilka lat później opublikowano książkę opisującą niezwykłą odyseję tej rodziny, noszącą tytuł: *Kukielki doktora*

Mengele. Niezwykła historia żydowskich karłów ocalałych z Holocaustu.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

111.

Ma ochotę zwymiotować. Gorycz zalewa jego kubki smakowe, rozchodzi się po podniebieniu, pali gardło. Pospiesznie przełyka ślinę.

Nuǳ'ia ponownie umieszcza długą fajkę zakończoną pustymi rogami w jego nozdrzach. Młoda Pigmejka wdmuchuje w nie dym.

David czuje mrowienie w palcach. Wytrzeszcza oczy, jego źrenice się poszerzają, powieki opadają niczym zasłona na świat „tutaj i teraz”, wślizguje się w „gdzie indziej i dawno temu”.

Jeszcze raz głos Nuǳ'ii go prowadzi:

– Dziesięć, dziewięć, osiem... kiedy powiem „zero”, znajdziesz się w korytarzu z drzwiami prowadzącymi do twoich poprzednich egzystencji. Siedem, sześć, pięć, cztery... trzy, dwa, jeden... Zero.

David widzi siebie idącego korytarzem, po którego obu stronach ciągną się drewniane drzwi. Zauważa nazwiska wygrawerowane na miedzianych tabliczkach. Chciałby naciskać klamki, ale wie, że mogłby trafić na trudne chwile swoich wcześniejszych istnień.

Zmierza w stronę drzwi w głębi korytarza, z lekką obawą przekręca gałkę. Przypomina sobie ścianę wody, jaka go poprzednio zalała. Idąc za nakazem głosu swojej przewodniczki, otwiera drzwi i trafia bezpośrednio na ginący we mgle most

linowy.

– Jesteś na miejscu? – pyta Nuçx'ia.

Twarz Davida zmienia się całkowicie. Rozluźnia się. Uświadamia sobie, że za pierwszym razem, kiedy poddał się doświadczeniu z Ma'djobą, tak naprawdę nie skorzystał z podróży, ponieważ się bał. Teraz czuje się tak, jakby zagłębiał się w znajomą krainę.

– Co robisz?

– Jestem z „nią”, idziemy ulicą.

– Co ona robi?

– Mówi, że chciałaby ze mną pracować...

– Mów dalej.

– Nie mam ochoty rozmawiać o pracy, wypyuję ją więc o taniec. Ona mi wyjaśnia, że tańczy dla przyjemności, po zajęciach. Pytam, ile ma lat. Mówi, że dwadzieścia siedem. Pyta, w jakim ja jestem wieku. Odpowiadam, że mam... osiemset dwadzieścia jeden lat.

– Osiemset dwadzieścia jeden?

David porusza powoli oczami pod opuszczonymi powiekami.

– Czy przed spotkaniem z tą kobietą miałeś inne kobiety, może miałeś dzieci? Spróbuj sobie przypomnieć.

– Miałem wiele towarzyszek, być może setkę, z każdą spędzałem zazwyczaj od trzech do siedmiu lat. Ale nie miałem wielu dzieci. Tylko dwoje. Nie płodziliśmy za dużo dzieci, gdyż żyliśmy długo i szanowaliśmy równowagę. Stosowaliśmy zasadę: „nie doprowadzać do wzrostu populacji”. Wciąż powtarzało się słowo „harmonia”.

– Wróćmy do chwili, kiedy idziesz z tą dwudziestosiedmioletnią dziewczyną. Ona chciałaby z tobą pracować jako „specjalistka od zmniejszania ludzi”, na tym

skończyłeś. Co jeszcze mówi?

– Ciekawią ją moje badania, chce wiedzieć, w jaki sposób miniaturyzuję rośliny i zwierzęta.

– Udało nam się. Co jej odpowiadasz?

– Mówię, że po prostu trzeba „mieć wprawę”, jak przy gotowaniu. Potem zwyczajnie poprawia się przepis aż do osiągnięcia właściwego smaku dania.

David uśmiecha się, wciąż mając zamknięte oczy.

– A teraz, co ona robi?

Przez chwilę David się nie odzywa, zdaje się oglądać rozgrywające się przed nim sceny.

– Całuje mnie. Jestem zaskoczony jej inicjatywą, ale nie protestuję.

– I?

– Nalega, żeby pójść ze mną do domu... i kochamy się. Jest cudownie. Tańczy, jakby przyspawana do mojego ciała, jak gdyby tańczyła na scenie. Jej miednica wykonuje niespodziewane ruchy. Ona...

Powstrzymuje go głos Nuçx'ii.

– Spróbuj zobaczyć się w innej sytuacji, gdy pracujesz w laboratorium.

– Po naszych pierwszych uniesieniach spędziliśmy kilka dni w łóżku i kochaliśmy się. Następnie na jej prośbę udaliśmy się do mojego laboratorium.

– Opisz je.

– To owalne pomieszczenie o beżowych ścianach. Na półkach stoją rzędem kieliszki z jajkami wielkości melonów. Dziewczyna zadaje mi pytania. Zwraca się do mnie „Ash-Kol-Lein”. Tak się nazywam. W naszym świecie używamy imion składających się z trzech sylab. Wyspa to Ha-Mem-Ptah, a ja jestem Ash-Kol-Lein. Teraz ja się do niej

zwracam.

– Jak ona ma na imię?

– Yin-Mi-Yan.

Nużx'ia notuje oba imiona.

– Mów dalej. Jak udaje ci się zmniejszać embriony?

– Yin-Mi-Yan zadaje mi właśnie to samo pytanie.

Odpowiadam jej. Mówię, że...

Mija chwila, jak gdyby David przysłuchiwał się rozmowie i był nią pochłonięty.

– Że...?

– Że mieszam jajeczka i spermatozoidy naturalnie małych okazów.

– Mów dalej.

– Umieszczam zapłodnione jajeczko na szkiełku i przez mikroskop odczytuję ciąg DNA niczym zdanie długie na wiele setek metrów, które rozwija się jak cienka wstążka.

– I?

– W pewnym konkretnym punkcie przechodzę do działania. W miejscu programowania wzrostu. Nakładając kropelkę enzymu, mogę sztukować łańcuch DNA. Yin-Mi-Yan zadaje mi pytania, a ja pokazuję, że nie działam tylko na odcinku odpowiedzialnym za wzrost, ale także na innym. Yin-Mi-Yan pyta, co to takiego...

– I?

– Niesamowite. Do diabła. Czyli o to chodziło.

– Co takiego?

– Jak mogłem na to nie wpaść? Zadziwiające.

– I?

– Właśnie jej mówię. Ona nie może uwierzyć. Wyjaśniam jej, że tym sposobem można zmniejszać duże istoty w miniaturowe bez jakichkolwiek ograniczeń, i dodaję, że

stworzenia te na dodatek łatwiej się adaptują i są odporniejsze.

– Ale o co w końcu chodzi?

David oddycha szybko i jeszcze raz przeżywa scenę, skupiony, jak gdyby słuchał czyjejs rozmowy, a jego oczy poruszają się pod opuszczonymi powiekami.

– Chodzi o odcinek odpowiedzialny za... żyworodność. Odwracam ją. Żeby te mniejsze istoty były jajorodne. Oto i cały proceder. Wszystkie te jaja wokół mnie kryją w sobie miniembriony ludzkie.

– To niemożliwe! – woła Nuçx'ia. – Jesteśmy ssakami, nie możemy składać...

Ale David ciągnie dalej:

– Rozwiązanie polega na wykorzystaniu jaj i pola magnetycznego stabilizującego rozwój jajeczka.

– Pola magnetycznego?

– Pokazuję Yin-Mi-Yan jaja miniaturowych ludzi w różnych stadiach dojrzałości. Sukces miniaturyzacji polega na połączeniu trzech technik: genetyki, jajorodności i pola magnetycznego.

David chce otworzyć oczy, ale Nuçx'ia kładzie mu dłoń na powiekach.

– Nie! Nie wracaj od razu! To jak z nurkowaniem, trzeba pamiętać o etapach wynurzania się. Nie przeskakuj etapów. Wróć na most linowy. Przejdź korytarzem i otwórz drzwi z tabliczką David Wells. Jesteś tam? Zacznę odliczać. Zero, jeden, dwa trzy... cztery, pięć, sześć... Uwaga, wracasz kiedy powiem „dziesięć”... Siedem, osiem, dziewięć i... dziesięć.

David otwiera oczy. Wciąż jest pod wrażeniem swojego odkrycia.

– A więc rozwiązaniem Atlantów, żeby tworzyć ludzi o zmniejszonym wzroście, są jaja!

Nuçx'ia jest pełna wątpliwości, szybko analizuje skutki wprowadzenia w życie takiego pomysłu.

– Poczekaj, to by znaczyło, że nasi najdawniejsi przodkowie wykluli się z jaj, a następnie znów stali się żyworodni. Mimo wszystko dość ciężko to sobie wyobrazić.

Davidowi lśnią oczy.

– Przypomnij sobie doświadczenie Paula Kammerera, przodka Aurore, o którym mój pradziadek wspomina w encyklopedii. Zaintrygował mnie ten temat, zbadalem sprawę dokładniej i odkryłem, że Paul Kammerer poszedł jeszcze dalej: znalazł gatunek żab, które w górach były żyworodne. Kiedy jednak umieścił je w pobliżu jezior, stworzenia zmutowały i stały się jajorodne. To przykład wpływu środowiska. Potrzeba tworzy mutację genetyczną.

Młody człowiek ciągnie z entuzjazmem:

– A kiedy Paul Kammerer dokonał jeszcze jednej zamiany, umieszczając żaby z jezior (a więc jajorodne) w górach, te stały się... żyworodne! W sercach naszych komórek pozostały zatem nienaruszone pomosty gotowe na tego rodzaju „rozwiązanie”.

– Ale ty mówisz o jajorodności ludzkiej!

– Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy! Jajo!

Niepotrzebna jest matka. Wystarczy system odtwarzający wyląg. Będziemy mogli łatwiej nadzorować i wpływać na rozwój płodu! Zresztą wszystkie ciężarne kobiety noszą w sobie jaja, to kieszeń wypełniona płynem owodniowym. Jedyna różnica polega na tym, że u człowieka jajo jest miękkie i przy porodzie rozrywa się wewnątrz brzucha.

Nuçx'ia wciąż ma sceptyczną minę. David usiłuje ją przekonać:

– Nie bez powodu używamy określeń „jajeczko” czy „jajeczkowanie”. Naszym odległym przodkiem musiała być

zresztą kiedyś jajorodna małpiatka. A przed nią wodne zwierzę żyjące w oceanie, które również było jajorodne. Jestem pewien, że gdyby przyjrzeć się tłumowi naszych przodków, dziewięćdziesiąt procent okazałoby się jajorodnych, a dziesięć procent – żyworodnych.

Młoda badaczka z trudem powstrzymuje śmiech.

– Ludzkie jaja! Pozostali wezmą nas za wariatów – zauważa Nuçx'ia.

– To człowiek stawia sobie bariery i ograniczenia, nie natura. Natura testuje wszystko, nieważne, w jaki sposób. Mnoży doświadczenia, bez uprzedzeń i sprawdzania kosztów.

– Mimo wszystko, wyobrażasz to sobie tylko? Jajorodny człowiek?

– No cóż, teraz, kiedy o tym mówisz, przypomina mi się pewien wyjątek od reguły żyworodnych ssaków.

– Jaki?

– Dziobak. Wiesz, rodzaj świstaka o pysku przypominającym kaczki dziób, który żyje na wschodzie Australii i w Tasmanii.

David wyciąga *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*, następnie odszukuje rozdział poświęcony temu zwierzęciu. Młoda Pigmejka spogląda na niego z powątpiewaniem.

– Mali ludzie, którzy mieliby wykluwać się z jaj? Wyobrażasz to sobie? Jak chcesz to zrealizować?

– Ponieważ udało mi się to osiem tysięcy lat temu, być może mam wspomnienia zapisane w głębi...

– W głębi czego?

– Mojej duszy. W każdym razie to rozwiązałyby nasz problem matek marmozet, którym nie udaje się donosić eksperymentalnych płodów. Moglibyśmy pracować na znacznie większej liczbie okazów.

Milczą dłuższą chwilę pod wrażeniem osobliwego rozwiązania i własnych słów.

– Mam mimo wszystko jedno pytanie – odzywa się Nuçx’ia. – Dziewczyna, która ci pomogła, ta Yin-coś-tam. Myślisz, że to byłam... ja?

112. ENCYKLOPEDIA: DZIIOBAK

Kiedy kapitan okrętu, John Hunter, odkrył w 1798 roku w Australii pierwsze okazy dziobaków i wysłał ich skóry do Anglii, przyrodnicy dopatrywali się w tym żartu. Myśleli, że specjalista od wypychania zwierząt przyszył dziób i nogi kaczki do futra bobra. Szukali szwów, ale nigdy ich nie znaleźli.

Już samo istnienie dziobaka wydawało się podejrzanе, gdyż zwierzę to istotnie łączy cechy typowe dla ssaków (ciepłokrwistość, piersi produkujące mleko, skóra pokryta włosiem), dla ptaków (dziób, jaja, płetwiaste nogi), a także dla gadów (ryjek wyczulony na ruch i żądło z jadem – jest to również jedyny ssak wyposażony w jadowity kolec). Zoolog Johann Blumenbach nadał mu w 1800 roku nazwę *Ornithorhynchus paradoxus* w celu podkreślenia paradoksalności tego zwierzęcia o ptasim dziobie (rdzeń *orni* oznacza ptaka).

Dziobaka niełatwo jest zaobserwować, gdyż prowadzi nocny tryb życia i chowa się na widok ludzi. Przez długi czas był znany ze swojej skóry, z której wytwarzano futra.

Nawet jego jajorodność została odkryta stosunkowo późno, w 1884 roku, kiedy profesor Caldwell polecił Aborygenom z południowo-wschodniej Australii znaleźć gniazdo z jajami dziobaka, im zaś udało mu się je dostarczyć.

Istnienie dziobaka zostało uznane oficjalnie dopiero w

1943 roku, gdy zaobserwowano scenę, podczas której samica na oczach licznych świadków zniosła jajo.

Zwierzę to kryje w sobie jeszcze wiele niespodzianek. Jego cztery odnóża są płetwiaste, ale może ono cofnąć błonę, kiedy znajduje się na lądzie. Wysuwa wówczas pazury, bardzo praktyczne, gdy trzeba wczepić się w skaliste podłoże lub kopać jamy.

Samce posiadają piętnastomilimetrowe kolce przy kostkach, połączone z gruczołami wypełnionymi jadem, który u ofiar powoduje paraliż.

Dziobak jest jednym ze ssaków, który spędza najwięcej czasu w wodzie i kopuluje tylko w tym środowisku. Jego łeb o kształcie kaczek głowy kryje w sobie prawdziwe centrum wykrywania, godne okrętu podwodnego. Jego oczy i uszy są położone za płytką kostną będącą przedłużeniem dzioba. Ta naturalna tarcza jest ruchoma, składa się, gdy dziobak nurkuje, chroniąc otwory przed wodą, ale także czyniąc go ślepy i głuchy, dlatego musi on kierować się wyłącznie swoim radarem. Jego dziób jest wyposażony w czujnik zdolny odbierać ledwie wyczuwalne pola elektryczne wywoływane przez skurcze mięśni żywych stworzeń znajdujących się w pobliżu.

Dziobak może magazynować w policzkach powietrze albo wodę w charakterze balastu. Może również gromadzić tłuszcz (zapasy energii) w ogonie, podobnie jak bobry. Płaski ogon służy mu pod wodą za ster. Nurkując, jego serce zwalnia, aby zmniejszyć zużycie tlenu, co pozwala zwierzęciu na przebywanie pod powierzchnią wody około jedenastu minut.

Australijczycy mówią, że dziobak jest dowodem na poczucie humoru boga.

113.

Chihuahua, marmozety w korytarzu, kolibry w wolierze, a nawet miniaturowe wieloryby i delfiny w akwariach są nerwowe. Mimo że nie mogą zobaczyć doświadczeń przeprowadzanych w laboratorium ani zrozumieć ludzkich słów, wyczuwają ich rozgorączkowanie.

Początkowo szóstka badaczy każe sobie dostarczać żaby z Kanady, aby analizować je w zakresie ich adaptacji do środowiska do tego stopnia, że zmieniły się z żyworodnych w jajorodne. Kiedy udaje im się wyizolować i zrozumieć mechanizm genetyczny decydujący o sposobie narodzin, zamawiają z Tasmanii bardzo kosztowną samicę dziobaka, którą dokładnie badają. Następnie usiłują zrozumieć, jak taka osobliwość natury może w ogóle istnieć. Umieszczają nowo przybyłą w zagrodzie wyposażonej w sadzawkę i stwierdzają, że poluje ona bez trudu zarówno na małe lądowe stworzenia, takie jak myszy polne, ślimaki czy pająki, jak i na zwierzęta wodne: żaby i ryby przepływające w jej zasięgu. Samica dziobaka okazuje się szybsza od kota. Nawet chihuahua z szacunkiem trzyma się od niej z daleka.

Kiedy porucznik Janicot chce ją złapać w celu pobrania jej krwi, zwierzę atakuje go swoim kolcem i olbrzym ma okazję przekonać się o sile jadowitej cieczy. Ból jest przenikliwy i rozlewa się natychmiast po całym ciele. Wojskowy zawdzięcza życie antidotum podanemu od razu przez Nuçx'ię.

Każdy zabieg wykonywany na tym dzikim, szybkim i

silnym zwierzęciu okazuje się trudny do wykonania. Aurore i David obserwują przy użyciu swojej aparatury miliard sześćset milionów par nukleotydów oraz jego osiemnaście i pół tysiąca genów.

– Ma osiemdziesiąt dwa procent genów podobnych do człowieka – oznajmia badaczka.

Natalia patrzy na tablicę z liczbami.

– Wygląda na to, że dziobak, zamiast zastępować stare warstwy ewolucji nowymi... dodawał je, aby zachować zalety wszystkich stadiów ewolucji – dodaje David. – Ta samica zachowała cechy ryby, płaza i ptaka, do których dodała ostatnią fazę ewolucji. Ssaka!

– To zwierzę „idealne” – przyznaje Nuçx’ia, rysując na kartce złożony system stawów pozwalający zasłonić oczy i uszy dziobem podczas nurkowania.

Aurore lokalizuje wreszcie gen odpowiadający za jajorodność i ich badania nabierają nowego kierunku. Mając w ręku klucz biologiczny, usiłują zmienić mysz w stworzenie jajorodne. Pierwsze próby nie przynoszą żadnych obiecujących rezultatów, a konające mysie matki są oddawane w charakterze karmy dziobakowi.

Miesiąc później Aurore po raz kolejny gotuje swoje tradycyjne cassoulet, które wszyscy jedzą, zapominając o niepowodzeniach w pracy. Porucznik Janicot jest najbardziej wygłodniały. Znów ma na sobie jedną ze swoich koszulek, na której widnieją nowe prawa Murphy’ego, osobliwie pasujące do okoliczności:

12. Gdy chcesz wybrać eksperta, zdecyduj się na tego, który ocenia, że praca będzie trwała najdłużej i będzie najbardziej kosztowna.

13. Jediną nauką idealną jest retrospektywna mądrość.

14. Jeśli coś się zacięło, użyj siły. Jeśli się zniszczy, prawdopodobnie tak czy INACZEJ miało BYć naprawione.

Aurore zauważa, że Natalia nie tknęła swojej porcji.

– Nie jest pani głodna?

Kobieta spogląda na widelec, na który jest nabite pojedyncze ziarno fasoli, i obraca nim.

– Dziś w Teheranie odbyły się kolejne manifestacje studenckie. Represje były straszliwe, co najmniej trzydzieści ofiar śmiertelnych i setka rannych. Młodzi wciąż jednak stawiają opór brodaczo. Trwa to już wiele tygodni. W odwecie rząd ogłosił przyspieszenie prac w ramach programu nuklearnego. Europa i Stany Zjednoczone zażądały nałożenia embarga na cały sprzęt wysokich technologii, ale Rosja i Chiny kontynuują dostawy, udając, że wierzą w ich użycie do celów cywilnych.

Natalia odkłada fasolkę i przenosi wzrok na kawałek mięsa na talerzu.

– Irańscy studenci umierają, a wy... Wy zabiliście setkę myszy, usiłując zmusić je do jajorodności, ponieważ David zobaczył podobną manipulację we śnie na jawie, w którym miał się za specjalistę od miniaturyzacji sprzed ośmiu tysięcy lat.

Zapada długa cisza. Natalia Ovitz uderza wnętrzem dłoni o stół, aż podskakują talerze i przewraca się kieliszek.

– Tracę swój czas i marnuję wasz – oznajmia. – Pomyliliśmy się i wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli skończymy z tym wszystkim. Natychmiast. Jutro się spakujecie i wróćcie do domu. Poruczniku Janicot?

Mężczyzna wstaje. Pułkownik Ovitz zwraca się do niego, używając jego stopnia wojskowego, jak gdyby zapomniała, że jest on również jej mężem:

– Zajmie się pan odesłaniem dziobaka do Tasmanii. Cuchnie i poluje na wszystko, co tylko się wokół niego rusza.

Poza tym będzie szczęśliwszy ze swoimi współbraćmi. Wyplaci pan również odszkodowanie wszystkim zebranym tu osobom. Proszę sprawdzić, czy uda się panu załatwić kartę stałego pobytu dla Nuçx'ii i Pentezylei, żeby mogły – jeśli sobie tego życzą – pozwiedzać przez jakiś czas kraj, zanim wrócą do siebie. Jeśli nie widziały panie nigdy wieży Eiffla i Luwru, to teraz albo nigdy.

– Ale... – buntuje się Aurore.

Tym razem Natalia purpurowieje na twarzy.

– Ale absolutnie nic, panno Kammerer! Miała pani szansę działać, ale nie zdołała jej pani wykorzystać. Myślę, że ostatecznie ma pani większy talent do striptizu i tańca niż do mikroskopów i próbowek.

– Potrzebujemy więcej czasu – stwierdza David. – Przemiana gatunku żyworodnego w jajorodny to jednak niezły los na loterii.

– „Ci, którym się nie udaje, znajdują wymówki, ci, którzy odnoszą sukces, znajdują sposób”.

Wszyscy odbierają to zdanie jak policzek.

– Lubicie sentencje, oto jedna z nich. Co zaś dotyczy czasu... to nie ja o nim decyduję, tylko irański prezydent Jaffar. Każdy dzień, który przynosi waszą porażkę, uśmierca studentów. To tak, jak gdyby pan sam ich mordował, doktorze Wells.

Natalia wstaje oburzona.

– Próbowaliśmy, nie udało nam się, teraz pakujcie się i wracajcie do domów.

Sprawia wrażenie, jak gdyby chciała, żeby wszyscy wynieśli się natychmiast. Naukowcy patrzą na nią zawiedzeni.

– Może moglibyśmy... – próbuje David.

– Nie. Przykro mi. Za późno – odpowiada Natalia.

W tym momencie włącza się jeden z ekranów. Kamera systemu ochrony uruchomiła się automatycznie. Wszyscy biegną do głównego laboratorium i widzą samicę myszy zupełnie oszołomioną na widok osobliwości, jaka wydostała się z jej ciała.

Jest to małe, różowe, lekko nakrapiane jajeczko, idealnie kuliste i wciąż jeszcze pokryte lśniącym śluzem. Mysz obwąchuje podejrzaną kulę. Popiskuje cicho i odwraca się w stronę wielkich, górujących nad nią ludzkich cieni, jak gdyby się spodziewała, że jej wyjaśnią ten osobliwy fenomen.

114.

Nie było to łatwe.

Prace nad stworzeniem statku kosmicznego trwały długo. Od piramidy ludzcy inżynierowie przeszli do kształtu bardziej wysmukłej rakiety.

Nastąpiło wystrzelenie „Limfocytu 2”.

Pamiętam, że ludzie dzięki swoim wspaniałym dłoniom wyposażonym w palce przeszli samych siebie podczas prac nad tym drugim prototypem. Wyznaczonego dnia rakieta wzniosła się wysoko w niebo i dotarła do górnych warstw mojej atmosfery.

I kiedy tylko minęła granicę grawitacji... eksplodowała.

Po katastrofie rakiety „Limfocyt 2” były jeszcze „Limfocyt 3” i „Limfocyt 4”. Wszystkie te pojazdy kosmiczne wybuchły w locie niemal na tej samej wysokości.

Pojawił się problem natury czysto fizycznej, którego ludzie nie potrafili rozwiązać. Nawet ja nie wiedziałam już, jak im pomóc.

Mimo to aerodynamika rakiet została poprawiona, ich wewnętrzna struktura stała się bardziej stabilna dzięki coraz czystszy materiałom.

Podjeżdżałam ogólną wadę koncepcji statków.

Aż kiedyś powstał pomysł.

Nie wyszedł ode mnie, ale od naukowca, specjalisty od zapładniania o imieniu Ash-Kol-Lein.

Kiedy zaczynałam już tracić nadzieję na to, że ludzie zdołają kiedykolwiek zbudować statek kosmiczny zdolny przekroczyć granicę grawitacji, Ash-Kol-Lein rzucił hasło: „Podejźmy do problemu od drugiej strony. To nie rakiety powinny być inne, tylko inżynierowie”.

Stwierdził, że trzeba zbudować taką samą raketę, tylko mniejszą, co zwiększyłoby siłę startu, a zmniejszyło współczynnik tarcia w powietrzu i drgania.

Ash-Kol-Lein znalazł rozwiązanie.

Eksperti byli jednak zafiksowani na starych schematach myślenia i oznajmili, że nie mogą skonstruować mniejszej rakiety. Wtedy Ash-Kol-Lein odparł, że jeśli normalni technicy nie potrafią wykonać mniejszego statku kosmicznego, trzeba wykorzystać inżynierów mniejszego wzrostu.

Dobrze się składało, ponieważ Ash-Kol-Lein specjalizował się w tego typu eksperymentach. zaproponował, że stworzy karłowatych inżynierów dostosowanych do tego projektu.

Naukowcy porzucili plany rakiety „Limfocyt”, żeby pracować w laboratoriach nad nowym, mniejszym człowiekiem, który potrafiłby zbudować mniejszą raketę. Dzięki geniuszowi jednego człowieka odzyskałam nadzieję na możliwość zabezpieczenia się przed asteroidami.

115.

Po uzyskaniu pierwszej jajorodnej myszy sześcioro naukowców z centrum w Fontainebleau robi szybkie postępy, dokonując manipulacji na królikach, a następnie na świniach i

małpach.

Po blisko dwudziestu nieudanych próbach i zgonach stworzeń poddawanych eksperymentom udaje im się otrzymać samicę marmozety, która wydaje na świat nie małą małpkę, lecz „jajo małpki”.

Badacze obserwują jego owalny kształt z mieszanymi uczuciami, czują, że zaburzyli naturę, zmuszają ją do ewolucji w kierunku, którego sama zapewne by nie wybrała. Za każdym razem, gdy modyfikują DNA królika doświadczalnego, mają wrażenie, że stwarzają zwierzę na nowo.

Pracują dniami i nocami w laboratorium pod nadzorem Davida i Aurore.

Pierwszy ludzki okaz zostaje nazwany MH 100.

Jest to jajeczko pochodzące od Nuçx'ii, zapłodnione spermatozoidem węgierskiego liliputa Stefana Lipkovitza. Zapłodnione jajeczko zostaje poddane działaniu pola magnetycznego, które ma na celu ustabilizowanie go, a następnie umieszczone w macicy jajorodnej samicy marmozety.

– Mam wrażenie, że mimo wszystko działamy nieco zbyt szybko i posunęliśmy się trochę za daleko – wzdycha Aurore.

– A ja mam wrażenie, że nie mamy czasu na takie rozterki – odpowiada oschle pułkownik Ovitz. – Irańczycy przetestowali nowy pocisk dalekiego zasięgu zdolny transportować bombę nuklearną. Test wypadł pomyślnie.

Jajo zostaje złożone po upływie piętnastu dni. Płód znajdujący się wewnątrz nie przeżył.

Druga seria okazów składa się z dwunastu embrionów, które umierają w jajku jeszcze przed końcem pierwszego miesiąca.

Po każdej próbie, jak w grze Mastermind, formuła jest nieznacznie modyfikowana. I za każdym razem na dwanaście

okazów coraz większa liczba embrionów żyje nieco dłużej.

Równolegle pułkownik Ovitz informuje grupę na temat posunięć militarnych Irańczyków. Zdaje się odczuwać ulgę.

– Po wirusie informatycznym przedwcześnie, od kuli, zmarł ważny irański inżynier jądrowy, dzięki czemu machina śmierci Jaffara nieco zwolniła. Zyskaliśmy sześć miesięcy, które należy dobrze wykorzystać.

Tym sposobem po blisko stu porażkach badacze otrzymują dojrzały, nienaruszony ludzki płód w jajku.

David przypomina sobie, co czytał na temat jaj w encyklopedii. Skorupka składa się z soli mineralnych o cząsteczkach w kształcie trójkąta, ułożonych zachodzącymi na siebie warstwami, podobnie jak kamienie w sklepieniu katedry. Ich bardziej wyostrzony koniec jest skierowany w głąb jaja, a boki opierają się na sąsiednich kryształkach. Dlatego pod naporem zewnętrznym cząsteczki zagęszczają się i twardnieją. Kiedy jednak napór pochodzi od wewnątrz, mineralne trójkąty łatwo ustępują, umożliwiając płodowi wydostanie się z więzienia. Skorupka ma jeszcze inne właściwości. Wpuszcza do środka tlen i wypuszcza parę wodną. Po złożeniu jajo zostaje gwałtownie wychłodzone, co pociąga za sobą rozdzielenie się dwóch błon i utworzenie kieszeni powietrza. Ta pozwoli nowo narodzonemu stworzeniu oddychać i znaleźć siłę, aby przebić skorupkę.

Aurore bierze ostrożnie do ręki ludzkie jajo. Umieszcza je w aparacie do radiografii. Mogą teraz zobaczyć żywy płód unoszący się w płynie owodniowym niczym kosmonauta w kulistej kabinie. Dzięki stetoskopowi mogą nawet usłyszeć bicie jego serca.

– Do licha, udało nam się! – stwierdza z niedowierzaniem Pentezylea.

– To samica... to znaczy dziewczynka – wyjaśnia Aurore, obserwując zdjęcia rentgenowskie.

– Co teraz robimy?

Na pytanie odpowiada David.

– Jeśli nie chcemy, żeby on, to znaczy chciałem powiedzieć „ona”, umarła, trzeba ją... wysiedzieć.

Z początku pomysł ten wydaje im się dziwny, ale szybko dochodzą do wniosku, że należy dać płodowi czas na pełny rozwój. Układają okaz w sterylnym pomieszczeniu o kontrolowanej temperaturze, oświetlonym lampami na podczerwień. Nuçx'ia w swojej gorliwości wstawia go do kieliszka do jajek. Wszyscy są pod wrażeniem tego, co udało im się stworzyć.

Miesiąc później czujnik ruchu uruchamia syrenę alarmową. Jest piąta nad ranem i sześcioro badaczy przybiega do wylęgarni.

Ich oczom ukazuje się niebywały widok: czubek jaja właśnie popękał.

116. ENCYKLOPEDIA: POWSTANIE CZŁOWIEKA

U ssaków wyższego rzędu całkowity czas trwania ciąży wynosi zazwyczaj osiemnaście miesięcy. Mały człowiek musi być jednak wydany na świat już po dziewięciu miesiącach, gdyż zajmuje zbyt dużo miejsca. Gdyby czekać dłużej, stałby się tak duży i gruby, że nie zdołałby się wydostać, biorąc pod uwagę przestrzeń, jaką oferuje miednica. To tak, jakby nie dopasować kuli do średnicy lufy armatniej.

Plód wydostaje się więc na zewnątrz, zanim zostanie w pełni ukształtowany – wszyscy jesteśmy więc wcześniakami. Wyjaśnia to również, dlaczego kobiety umierały dawniej w porożu. Zbyt duże dziecko nie mogło przedostać się przez cielesny tunel i rozrywało go, powodując krwawienie, a

następnie śmierć matki. Mali ludzie tuż po narodzinach nie widzą, nie potrafią chodzić ani odżywiać się samodzielnie (w przeciwieństwie na przykład do żrebaka, który po wyjściu z brzucha matki od razu może brykać i skubać trawę).

Konieczne jest przedłużenie dziewięciu miesięcy życia wewnątrzmacicznego o dziewięć miesięcy życia pozamacicznego, aby osiągnąć wymagane osiemnaście miesięcy trwania ciąży.

Okres pierwszych dziewięciu miesięcy życia na zewnątrz powinien być związany z silnie zaznaczoną obecnością matki. Zadaniem rodziców jest stworzenie swego rodzaju uczuciowego brzucha, w którym noworodek będzie czuł się chroniony, kochany i akceptowany, gdyż sam nie jest jeszcze w pełni ukończony.

Wreszcie dziewięć miesięcy po narodzinach wydarzy się to, co nazywamy „żałobą dziecka”, które uświadamia sobie, że ono i matka stanowią dwie niezależne istoty. Co gorsza: że bardzo różni się od otaczającego je świata. Może się to okazać tragedią, która będzie je dręczyć do końca życia. Zwróćmy jednak uwagę na następującą prawidłowość – ponieważ dziecko rodzi się niekompletne, musi mieć rodziców, którzy będą sprawować nad nim opiekę, a także otaczać uczuciem i kształcić. Cała ludzka kultura jest być może związana z tą niedoskonałością kobiecej miednicy.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

(zmieniona definicja na podstawie tomu III)

Trójkątny kawałek skorupki powoli się odrywa.

David ma wrażenie, że scena, którą przeżył osiem tysięcy lat temu, powtarza się na jego oczach, tu i teraz.

Aurore czuje, że jej istnienie wreszcie nabiera prawdziwego sensu. Zaczyna realizować marzenie swojej matki – może zmienić świat.

Drugi kawałek skorupki, tym razem kwadratowy, odrywa się i powoli opada.

Pigmejka Nuçx'ia stwierdza, że natura ma znacznie mniej granic niż ludzki umysł. Kobieta dochodzi do wniosku, że życie lubi, żeby się nim bawić, nie jest konserwatywne, lecz rozrywkowe.

Odrywa się trzeci odprysk skorupki, również kwadratowy, tym razem nieco szerszy od poprzednich.

Amazonka Pentezylea myśli, że oto spełnia się przepowiednia Amazonek: po okresie spędzonym na bocznym torze kobiety wrócą teraz do władzy w inny sposób, dzięki nauce, inteligencji, zmniejszonym rozmiarom i... dzięki jajom.

Znów pęka czubek i przezroczysta żółtawa błona zostaje wypchnięta na zewnątrz. Wokół kieliszka do jajek rozsypują się kolejne drobne trójkątne łuski.

Pułkownik Ovitz jest przekonana, że od tej chwili nic już nie będzie tak, jak dawniej. Oto bieg historii gatunku ludzkiego właśnie zmienia kierunek. Z wielkiego drzewa możliwych przyszłości znikają niektóre gałęzie i pojawia się nowy pęd. Natalia stwierdza, że tego akurat nikt nie przewidział; jeśli nawet istota, która wydostanie się z jaja, nie będzie długo żyła, już samo jej wyklucie się w ekstremalnych warunkach stanowi dowód na to, że człowiek może być inny rozmiarem, kształtem i zachowaniem. Jest coraz głębiej przekonana, że różnorodność

stworzeń jest najlepszą gwarancją na ich przeżycie.

Porucznik Janicot ma na sobie koszulkę dającą wyraz temu, czego nie ma ochoty wyrazić słowami. Czerpie z tej komunikacji strojem humor i dystans, który tak bardzo chciałby mieć.

15. Jeśli coś jest zielone i się rusza, chodzi o biologię.

Jeśli śmierdzi, chodzi o chemię.

Jeśli nie działa, chodzi o fizykę.

16. Jeśli czegoś nie rozumiecie, powiedzcie, że to oczywiste.

17. Teoria – wszystko wiadomo, ale nic nie działa. Praktyka – wszystko działa, ale nie wiadomo dlaczego. Połączenie teorii i praktyki – nic nie działa i nie wiadomo dlaczego.

Porucznik podchodzi do jajka, które wciąż drży. Czuje dumę na myśl, że mógł uczestniczyć w tej przygodzie, ale w głębi duszy jest zaniepokojony. Nie może przestać myśleć o tym, że ich odkrycie mogłoby być przechwycone przez niezyczliwych ludzi, którzy wykorzystaliby je w zupełnie inny niż zaplanowany sposób. Taką ma wizję nauki: wspaniali ludzie dokonują postępowych odkryć, a następnie, z czasem, publiczność zapomina o pionierach, zwykli ludzie przejmują dzieło i zmieniają je w narzędzie do zniewalania człowieka. Zagryza dolną wargę.

Martin Janicot jest wcielonym prawem Murphy'ego. Obawia się, że wszystko się zepsuje. Wie, że udomowienie konia pociągnęło za sobą inwazje barbarzyńców. Wynalezienie koła przyczyniło się do powstania czołgu. Wynalezienie samolotu – bombardowania na szeroką skalę. Każde odkrycie pociągało za sobą katastrofę. Odkrycie Ameryki: destrukcję kultur Indian amerykańskich. Odkrycie energii atomowej: Hiroszimę. Mimo to każde z tych objawień było opracowywane z myślą o pokoju i dobrobycie.

Mąż Natalii Ovitz jest w gruncie rzeczy znacznie mniejszym optymistą niż jego żona. Patrząc na pierwsze ludzkie jajo, które wciąż powoli pęka, nie widzi nowej generacji ludzi, dzięki którym uda się rozwiązać wiele problemów, lecz myśli o wszystkich grożących niebezpieczeństwach, gdyby ci wpadli w niepowołane ręce.

Na błonę jest wywierany coraz silniejszy nacisk, aż w pewnym momencie zostaje ona przerwana. Z jaja wypływa kleista ciecz, a następnie wyłania się mokra dłoń.

Badacze uczestniczący w scenie są urzeczeni. Dłoń jest maleńka, podobna do dłoni lalki, ale z pewnością należy do człowieka. Ma pięć palców, stawy i paznokcie.

Palce się poruszają.

Porucznikiem Janicot wstrząsa dreszcz. Pojawienie się tej małej istotki sprawia, że odczuwa jeszcze większe zakłopotanie własnym wysokim wzrostem. Teraz bardziej niż kiedykolwiek ma wrażenie, że wygląda jak dinozaur.

Jajo nadal pęka.

Czasami palce łączą się, układają w pięść i uderzają niczym młotek w odporne kawałki skorupki. Za dłonią wyłania się ramię. Ramię napiera mocniej, krusząc jajowate więzienie.

Aż nagle wyłania się głowa, której twarzy nie sposób dostrzec, gdyż jest ukryta pod długimi włosami oblepionymi przezroczystą galaretą. Pojawia się drugie ramię. Następnie, podczas gdy płyn owodniowy spływa po bokach skorupki, mała sylwetka o wciąż zasłoniętej twarzy przechyla się powoli naprzód.

– Uwaga, wypadnie! – woła Pentezylea.

Porucznik Janicot łapie ją w ostatniej chwili, zanim istotka wypadnie z kieliszka do jajek. Na jego dłoni postać wydaje się jeszcze mniejsza. Wahają się, jakie czynności podjąć wobec tej

oblepionej śluzem istoty. Ostatecznie David odruchowo chwytają ją za nogi i odwraca. Płyn łożyskowy wciąż wypływa z nozdrzy. David daje jej lekkiego klapsa w pupę i dziewczynka rozprostowuje pęcherzyki płucne w pierwszym krzyku, po którym następuje płacz.

David kładzie noworodka na boku, w wygodnej pozycji, aby mógł łatwiej oddychać i pozbyć się płynu, który wciąż zalega mu w oskrzelach. Delikatnie odgarnia palcem kosmyki cienkich włosów i odsłania buźkę o mięsistych wargach, zadartym nosku i granatowych oczach.

– Będzie się nazywała „MC121” od mikrocłowieka numer sto dwadzieścia jeden, to jest numer wylęgu – oznajmia Natalia, dokonując tym samym ceremonii chrztu.

David jest wzruszony.

– Moglibyśmy wymyślić dla niej imię łatwiejsze do zapamiętania i może mniej „techniczne” – mówi przez zaciśnięte gardło.

– Zastanowimy się nad tym później – ucina Natalia.

Sięga po centymetr krawiecki i mierzy dziewczynkę od stóp do głów.

– Siedem i pół centymetra.

Na jej twarzy maluje się zdziwienie.

– Zazwyczaj noworodek ma około pięćdziesięciu centymetrów. Ona powinna być dziesięć razy mniejsza, powinna więc mierzyć pięć centymetrów.

– Nie można jej porównywać z noworodkiem, lecz z dziewięciomiesięcznym dzieckiem. Dziewięć miesięcy ciąży plus dziewięć miesięcy poza ciałem matki daje w rezultacie dojrzałego noworodka – wtrąca David, przypominając sobie fragment encyklopedii pradziadka. – Tymczasem dziewięciomiesięczne dziecko mierzy właśnie siedemdziesiąt

pięć centymetrów, a więc ona jest dokładnie dziesięć razy mniejsza.

– David ma rację. Spójrzcie, jest już dość rozwinięta. Włosy, nawet rzęsy i... dwa siekacze – stwierdza Aurore, unosząc wargę dziewczynki czubkiem długopisu i odsłaniając dwa białe punkciki.

– Nie rozumiem pańskiego rozumowania – mówi Natalia. – Proszę mi to wyjaśnić.

David wyklada jej zwięźle teorię Edmunda Wellsa na temat normalnego cyklu rozwoju ssaków trwającego osiemnaście miesięcy, który u człowieka zostaje przerwany po dziewięciu miesiącach z powodu wąskiej przestrzeni w kobiecej miednicy.

– Czyli MC121 jest bardziej rozwinięta niż normalny noworodek – podsumowuje Natalia.

– Jajko umożliwiło jej pełny okres dorostania.

Stają wokół maleńkiej dziewczynki, która zdaje się obserwować ich uważnie.

Natalia wygląda na zaniepokojoną.

– Czyli ukształtowała się w ciągu zaledwie dwóch miesięcy... zamiast osiemnastu, jak „normalni” ludzie.

– Jest dziesięć razy mniejsza, dlatego rośnie dziesięć razy szybciej – przyznaje Aurore.

NuŃx'ia nie może oderwać wzroku od nowiutkiej istotki.

– I, logicznie rzecz biorąc, powinna dziesięć razy szybciej osiągnąć swój normalny wzrost, który będzie dziesięć razy mniejszy niż ludzka średnia...

– Powinna mieć około... siedemnastu centymetrów – uściśla Aurore.

Badaczka wyciąga mały palec i MC121 natychmiast go chwyta, ściska i przyciąga do ust, jak gdyby zamierzała go ssać.

– Trzeba nadać nazwę jej gatunkowi – mówi Natalia. –

„Mikroczłowiek” brzmi dość trywialnie.

– Mój ojciec nazwał człowieka dziesięć razy większego *Homo gigantis*. Jego przeciwieństwem byłby *Homo microbus* – proponuje David.

Pułkownik Ovitz nie jest oczarowana propozycją.

– A dlaczego nie *Homo reductis*? W końcu to właśnie zrobiliśmy: zmniejszyliśmy gatunek ludzki. Główną cechą MC121 jest jej niewielki wzrost – przypomina Aurore.

– Mam lepszy pomysł – mówi Nuçx’ia. – *Homo humilis*, co można by przetłumaczyć jako „człowiek pokorny”. W końcu *Homo sapiens* to człowiek, który z racji rozmiarów swojego mózgu jest zarozumiały i czuje się „sapiens”, czyli mądrzejszy od innych zwierząt. Człowiek, którego wyprodukowaliśmy, jest przede wszystkim – ze względu na swój wzrost i kobiecość – „bardziej pokorny”.

– Poczekajcie – wtrąca Pentezylea – a dlaczego nie *Homo feminis*. Ważną cechą tej nowej istoty i jej zaletą jest kobiecość.

– *Homo discretum* – proponuje Martin Janicot. – W końcu chodzi nam o to, żeby ci mali ludzie potrafili wkradać się i być dyskretni. Ich wzrost jest tylko konsekwencją naszego dążenia do dyskrecji.

– On ma rację – stwierdza pułkownik Ovitz.

– Właśnie dzięki dyskrecji my, Pigmeje, ocaleliśmy. A tym istotom, jeśli będą wykorzystywane w trudnym terenie jako szpiedzy, dyskrecja umożliwi pozostanie niezauważonymi i utrzymanie się przy życiu – przyznaje Nuçx’ia.

– To dobra odpowiedź na pretensjonalność określenia *Homo sapiens*. Nasze stworzenie nie zamierza osiąść mądrości, ma tylko zamiar pozostać... dyskretnie – mówi Aurore.

– Poczekajcie, a dlaczego nie pójść krok dalej i nie powiedzieć, że człowiek ten jest człowiekiem następnym,

doskonalszym? – proponuje David. – Gąsienica przeobraża się w motyla, duży człowiek zmienia się w małego człowieka. Mutację tę nazywamy „metamorfozą”. W takim razie nasi ludzie nie są dyskretni, lecz „przeobrażeni”, czyli lepiej dostosowani formą do danego środowiska, do celu, krótko mówiąc, do innej epoki.

Naukowcy są urzeczeni tym pomysłem.

– Jaką nazwę pan proponuje? – pyta Natalia.

– *Homo metamorphosis*.

Przyglądający im się noworodek mlaska, jak gdyby powtarzał słowo. Jak gdyby określenie mu się spodobało.

– To będzie jego naukowa nazwa, którą na razie znamy tylko my – mówi Natalia.

David Wells zapisuje na tablicy, żeby było to dobrze widoczne dla wszystkich.

HOMO GIGANTIS

Żyworodne, prawdopodobny czas trwania ciąży: 90 miesięcy (?).

Średni wzrost dorosłego osobnika: 17 metrów.

Średnia prawdopodobna waga dorosłego osobnika: 700 kilogramów (?).

Prawdopodobna optymalna długość życia: 1000 lat (?).

HOMO SAPIENS

Żyworodne, czas trwania ciąży: 9 miesięcy.

Średni wzrost dorosłego osobnika: 170 centymetrów.

Średnia waga dorosłego osobnika: 70 kilogramów.

Optymalna długość życia: 100 lat.

HOMO METAMORPHOSIS

Jajorodne, czas trwania ciąży: 2 miesiące.

Prawdopodobny średni wzrost dorosłego osobnika: 17 centymetrów (?).

– Postawiłem znaki zapytania tam, gdzie liczby stanowią

tylko ekstrapolacje do sprawdzenia.

Pułkownik Ovitz przygląda się tablicy z trzema definicjami.

– A więc regułą byłoby „razy dziesięć”. Dziwny związek łączy nas z tą liczbą. Tyle mamy palców.

Mikroczłowiek, zauważywszy, że wszyscy odwrócili wzrok w stronę tablicy, zaczyna gaworzyć.

Martin Janicot znów kładzie dziewczynkę na swojej dłoni.

– *Homo metamorphosis* brzmi zbyt technicznie.

Zachowamy mimo wszystko skrót nazwy „Mikroczłowiek” albo „MC”, mówiąc o nich.

– Emce? – podejmuje propozycję Nuçx’ia, bawiąc się fonetyką inicjałów. – Będiesz „Emce”, ciekawe brzmienie.

– IiiiiMceee, IiiiiMceee – powtarza dziewczynka, która najwyraźniej chce wziąć udział w rozmowie.

Jej głos jest delikatny, ale mała osóbką zaczyna już panować nad strunami głosowymi.

– Jeśli płód tej Emce rozwinął się dziesięć razy szybciej, oznacza to, że będzie również dojrzewać dziesięć razy szybciej – dodaje Pentezylea. – Bardzo możliwe, że za rok będzie wyglądała na dziesięć, a w wieku dziesięciu lat – na sto. Moglibyśmy dodać coś takiego na tablicy.

Pułkownik Ovitz przytakuje i notuje:

Prawdopodobna optymalna długość życia: 10 lat (?).

– Jej waga będzie zapewne dziesięć razy mniejsza.

Osiągnąwszy dorosły wiek, Emce będzie ważyć najwyżej sześć lub siedem kilogramów.

Natalia notuje:

Prawdopodobna waga dorosłego osobnika: 7 kilogramów (?).

Zdając sobie sprawę, że to mimo wszystko nieco za dużo, poprawia i zapisuje:

Prawdopodobna waga dorosłego osobnika: poniżej kilograma (?).

Wszyscy odwracają się jednocześnie w stronę maleńkiego człowieka i przyglądają mu się oczarowani.

– Nasza Emce jest urocza – przyznaje Aurore. – Górna część jej twarzy przypomina nieco Nuçx'ię i ma podbródek Pentezylei.

– Trochę Davida... w uśmiechu i spojrzeniu Aurore. Nie ma po nich śladu w kodzie genetycznym, ale musiała wchłonąć te cechy z powietrza – żartuje Pigmejka.

– To naprawdę nasza dziewczynka, całej szóstki – stwierdza pułkownik Ovitz.

– Tylko mnie w niej nie ma – stwierdza Martin Janicot – ale to normalne. Należę do „starego gatunku”.

Po krótkiej chwili zakłopotania wszyscy wybuchają śmiechem i ściskają olbrzymia.

– Wiem już, jak możemy ją nazwać – mówi Pentezylea.

– Mów.

– Emma, MA od „Mikro-Aurore”, a jednocześnie to ładne imię. Emma, mała Emce, pozostajemy spójni, jeśli chodzi o przekształcanie inicjałów w sylaby.

– A jeśli stworzymy chłopca?

– Nazwiemy go Amadeusz. Od skrótu MD, co może oznaczać Mikro-David – podsuwa natychmiast Nuçx'ia. – Byłoby to naturalne, ponieważ Aurore i David stoją za wynalezieniem mikroc człowieka.

W tym momencie mała Emma zaczyna kichać, a kiedy wszyscy rzucają się, żeby ją ogrzać, zaczyna gaworzyć, tym razem inaczej.

Dzwoni telefon Natalii. Spogląda na numer i odbiera, słucha, potakuje, po czym rozłącza się z zaniepokojoną miną.

- Jakiś problem?
- Już jest za późno... Wszystko to na nic. Nie byliśmy dość szybcy.

Włącza telewizor na kanale informacyjnym. Podkręca głośność.

118.

– ...postanowił w odpowiedzi na tę wiadomość podjąć odpowiednie kroki. Młoda kanadyjska studentka po kilkudniowym pobycie w areszcie ostatecznie przyznała się sędziom, że jest tajnym agentem. Irański rząd ogłosił, że wreszcie jest w posiadaniu dowodów potwierdzających, że wszystkie rzekomo „spontaniczne i pokojowe” manifestacje studenckie są w rzeczywistości spiskiem zorganizowanym przez tajne służby izraelskie. Prezydent Jaffar uznał, że jest to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny jego krajowi i jako przywódca państwa ma prawo i obowiązek się bronić. Oddziały piechoty i czołgi strażników rewolucji opuściły koszary i ruszyły w stronę granicy irakijskiej. Hamas i Hezbollah ogłosiły swoją gotowość do udziału w wielkiej „ostatecznej ofensywie”.

Izraelska premier Gaëlle Toledano natychmiast ogłosiła, że historia szpiega jest całkowicie ukartowana, zapewne w celu dywersji i wymuszenia końca manifestacji. Uprzedziła Jaffara, że jeśli jakikolwiek atak zostanie skierowany na jej kraj, natychmiast zareaguje.

Grupa światowych mocarstw, członków Organizacji Narodów Zjednoczonych, zebrała się w trybie pilnym, aby wezwać obie strony do załagodzenia sytuacji, co, jak się zdaje, nie ma żadnego wpływu na to, co dzieje się w terenie. Oddziały zbierają się na granicach. Cena baryłki ropy skoczyła gwałtownie na wszystkich rynkach i istnieje obawa, że...

Pamiętam.

Ludziom udało się stworzyć reprodukcję siebie samych w mniejszym rozmiarze. Byli na szczęście doskonałymi eksperymentatorami, a Ash-Kol-Lein przy pomocy swojej żony Yin-Mi-Yan robił bardzo szybkie postępy w tej dziedzinie.

Udało im się wyprodukować małego człowieka, którego nazwali miniczłowiekiem. Był ich idealną kopią, tylko dziesięć razy mniejszą. O ile pierwsi ludzie mierzyli siedemnaście metrów, nowi miniludzie w dorosłym wieku osiągnęli najwyższej sto siedemdziesiąt centymetrów.

O ile pierwsi ludzie mogli żyć nawet tysiąc lat, życie osobników drugiego gatunku było ograniczone do stu. Rośli dziesięć razy szybciej, ważyli dziesięć razy mniej, jedli dziesięć razy mniej i żyli dziesięć razy krócej.

Była to projekcja ich samych, w zmniejszeniu. Dla mojego wielkiego projektu obrony przed asteroidami stanowili na pewno oryginalne rozwiązanie.

Miniludzie, szkoleni i trenowani przez starszych, wzięli się do prac nad produkcją minirakiety wolnej od dawnych ograniczeń.

W chwili gdy wszystko zdawało się zmierzać w dobrym kierunku, obserwatorium astronomiczne położone na szczycie głównej piramidy na wyspie dostrzegło asteroidę.

AKT DRUGI
Wiek zmiany

Zielony jeździec

120.

Piramida Cheopsa króluje, majestatyczna, na oprawionym w ramkę zdjęciu przed jego oczyma.

Jest czwarta rano.

Lekarz sądowy, doktor Michel Vidal, przebywa w hotelu „Luxor” w Kairze, ale nie może zasnąć, jest mu za gorąco. Przygląda się zdjęciu i zastanawia się, w jaki sposób niewolnicy byli w stanie transportować kamienne bloki przez pustynię. Nawet na wozach albo na okrągłych drewnianych kłodach wyczyn ten wydaje mu się nadludzki.

Drażni go komar.

Rozgniała go, ale natychmiast pojawia się następny. Lekarz wstaje, wspina się na krzesło i uzbrojony w skarpetkę, prowokuje go do pojedynku, po czym niszczy.

Pojawia się czerwona plamka. Jego krew.

Doktor Michel Vidal kładzie się z powrotem do łóżka.

Na próżno usiłuje zasnąć.

Pokasłuje.

Klimatyzacja nie działa i w powietrzu panuje duchota. Włącza telewizor i natychmiast jego uwagę przykuwają wiadomości, w których jest mowa o groźbie wojny na Środkowym Wschodzie.

Poci się. Wstaje w poszukiwaniu zimnej wody, ostatecznie jednak uświadamia sobie, że zmóc mógłby go tylko napój alkoholowy. Najchętniej spożyłby go w klimatyzowanym pomieszczeniu, chociażby po to, żeby uciec przed napastliwymi komarami.

Schodzi do lobby hotelu „Luxor”. O tej porze bar jest

wyludniony, nie licząc sztywnego niczym posąg barmana, otyłej tancerki brzucha, która podryguje do zmysłowej muzyki, potrząsając swoimi wałeczkami, i jedyne go klienta w czarnej marynarce, rozpartego łokciami na kontuarze.

Powietrze jest tu bardzo chłodne i Michel Vidal rozkoszuje się tym.

Zamawia butelkę czerwonego wina, po które barman sięga ostrożnie pod ladę, sprawdzwszy uprzednio, że nikt nie przyłapie go na sprzedawaniu alkoholu w kraju, gdzie jest to coraz rzadziej dopuszczalne.

– Życzy pan sobie lodu do bordeaux? – pyta.

Pomysł wydaje się doktorowi obrazoburczy, zgadza się jednak, biorąc pod uwagę upał, i barman wrzuca do czerwonego płynu trzy duże kostki lodu. Lekarz obserwuje przezroczyste bryłki i przypomina mu się twarz słynnego profesora Charlesa Wellsa zastygła w lodzie. Stwierdza, że prawdziwym cudem jest możliwość unieruchomienia zwłok w ostatniej chwili życia, zamienienie ich w rzeźbę.

Pije i kręci trzema kostkami lodu w kieliszku z winem.

Wspomina pierwsze ciało rozpoznane przez rodzinę. Student o młodzieńczym wyglądzie i płaczliwa matka.

Wspomina drugie ciało, należące do dziennikarki Vanessy Biton, i jej zapłakanego narzeczonego. Uroczy typ, któremu pozwolił z tej okazji zapalić w kostnicy.

Wspomina trzecie ciało, należące do asystentki profesora, Mélanie Tesquet. Czekał kilka tygodni, aż w końcu ją rozmroził tuż przed wyjazdem na wakacje, dwa dni wcześniej.

Mélanie Tesquet nie miała rodziny, mógł więc w spokoju dokładnie ją przebadac podczas sekcji zwłok. Dzięki temu zauważył, że miała wokół ust ślady beżowego śluzu, jak gdyby zaziębiła się tuż przed śmiercią.

Doktor Vidal stwierdza, że złapanie kataru na biegunie południowym przy temperaturach poniżej dwudziestu pięciu stopni to mimo wszystko „normalna” sprawa.

Wbija wzrok w trzy kostki lodu...

Drugi samotny klient, z dziwną małą bródką, zbliża się, trzymając za szyjkę butelkę alkoholu ukrytą w papierowej torbie. Z tego, co udaje się Michelowi zauważyć, mężczyzna popija sobie chivasa.

– Pan także cierpi na bezsenność i leczy się fermentowanym sokiem owocowym? – pyta mężczyzna z lekką ironią i silnym wschodnim akcentem.

Oprócz czarnego garnituru i małej bródky nosi na palcach dwa duże sygnety. Jego arystokratyczny wygląd sprawia, że lekarz czuje się swobodniej.

– To dlatego, że nie jesteśmy u siebie w domu. Nic nie zastąpi własnej poduszki, delikatności własnej pościeli, powietrza we własnym pokoju i ramion naszej kobiety.

Mężczyźni uśmiechają się do siebie. Noszący bródkę popija nieco whisky niemal mechanicznym ruchem.

– Ja nie śpię z powodu dusznego upału i rozregulowanej pogody – tłumaczy Michel Vidal. – Pan zapewne podobnie?

– Nie. Ja z innego powodu. Mam różne rozterki.

– Pije pan, żeby zapomnieć?

– Zapomnieć można przeszłość. Ja piję, żeby nie widzieć przyszłości.

Wyrywa mu się krótki śmiech.

– I żeby nieco skorzystać. To jeden z ostatnich hoteli w regionie prowadzony przez Koptów, dlatego wciąż jeszcze mają alkohol z kontrabandy.

– Jest pan Egipcjaninem?

– Irańczykiem.

– Na wakacjach?

– Ostatnich. Jestem wojskowym. Udzielili nam ostatniej „przerwy” przed ofensywą. Potem zacznie się praca na pełen etat. Nie słuchał pan wiadomości?

– Wojna w Izraelu z powodu kanadyjskiej kobiety szpiega?

– Aby uniknąć wewnętrznego buntu, trzeba prowadzić wojnę na zewnątrz. Masowe zabijanie – to najlepiej łączy lud i rządzących. Rozlew krwi przynosi ukojenie nerwowym ludziom. I tym razem, w przeciwieństwie do wojny przeciwko Irakowi, nie mamy nic do stracenia, za to wszystko do wygrania. Jesteśmy dwadzieścia razy liczniejsi niż Izraelczycy i tysiąc razy bogatsi dzięki ropie. Będziemy mieć wsparcie wszystkich sąsiadujących krajów i – jak sądzę – całego świata, wyłączając Amerykanów (choć, biorąc po uwagę rozgrywki związane z ropą, nie zdziwiłbym się, gdyby szybko zmienili nastawienie). Nie możemy przegrać.

Doktor Vidal, którego temat ten pozostawia obojętnym, degustuje wino. Zauważa krążące wokół nich komary. Pełnym obrzydzenia gestem łapie jednego i go rozgniata. Wyciera dłoń o marynarkę.

– Nie czuje pan, że wszyscy mają na to ochotę? Wszędzie? Na wojnę. Nawet jeśli pociąga za sobą pewne straty, nie przeszkadza nam to za bardzo. Wyznam panu pewną straszną prawdę, której nikt nie ośmiela się wypowiedzieć na głos: mamy do czynienia z „przerostem ludności”. To trochę jak z upuszczaniem krwi w dawnych czasach, wojna stanowi praktyczny sposób na pozbycie się kontestatorów i biedaków. Wiem, że nie można tego opowiadać każdemu, ale czuję, że pan zrozumie.

Mężczyzna znów się śmieje i pociąga z butelki, tymczasem Francuz dolewa sobie bordeaux.

– Jutro rano wsiadam do pierwszego samolotu do Teheranu. Dlatego mam ochotę jeszcze nieco poużywać, zanim wyjadę. Z wojną nigdy nie wiadomo, czy szybko się skończy. Zapewne na wiele dni utknę w bunkrze, może nawet na wiele tygodni, kierując operacją na odległość. I oczywiście nie dane nam będzie przełknąć ani kropli alkoholu. Brodacze są czujni, a my, noszący bródkę, wysyłamy wąsaczy i gołowąsów na wojnę. Kwestia długości uwłosienia.

– W takim razie: zdrowie! Za ostatni kieliszek przed walką. Michel Vidal proponuje mężczyźnie nieco swojego wina, lecz ten daje mu do zrozumienia, że nie jest dla niego dość mocne, i pociąga swojego chivasa. Irańczyk odwija butelkę z papieru i wpatruje się w złotą etykietę na której, pod wizerunkiem galopującego jeźdźca, napisano „Premium Scotch 12 lat”.

– Jaka szkoda, że ten wyśmienity nektar jest zabroniony. To i kobiety.

Zerka na otyłą tancerkę, która kontynuuje swój zmysłowy taniec przy dźwiękach lutni arabskiej. Kobieta, zauważywszy zainteresowanie ze strony dwóch turystów, coraz silniej porusza biodrami. Zdecydowanym gestem odrzuca chustę, potem drugą, odsłaniając duży czerwony diament w miejscu pępka.

– Im bardziej coś jest zakazane, tym bardziej podnieca – przyznaje mężczyzna filozoficznie. – Powinno się zakazać wszystkiego, aby móc wszystko docenić.

Opadają kolejne chusty. Oczy Irańczyka lśnią, śledząc ruchy diamentowego pępka.

– Pomyśleć, że moja siostra brała udział w manifestacjach za czasów szacha, żeby... mieć prawo nosić chustę. Tak, tak, proszę pana. W czasach rewolucji islamskiej miała dwadzieścia jeden lat i studiowała medycynę. Powiedziała z dumą w

telewizji: „Nosłam chustę w ukryciu, a odkąd odszedł tyran, mogę nosić ją wszędzie otwarcie”. Teraz nie ma prawa jej zdjąć.

Mężczyzna znajduje pocieszenie w szyjce butelki.

– Mój ojciec wykorzystał wówczas okazję i tego samego roku wydał ją za mąż za starego faceta, którego jest piątą żoną. Ojciec zgarnął za to spore wiano. Chciała religii i ją ma. Zrobił jej już dziewięcioro dzieci i zakazał kontynuować studia, wychodzić i uprawiać sport. Przez siedzenie w domu, gotowanie posiłków dla męża i dzieci, próbowanie własnych potraw i jedzenie podwieczorków z innymi kobietami osiągnęła już wagę stu pięćdziesięciu pięciu kilogramów.

– Słodycze działają relaksująco – przyznaje Michel Vidal.

– Jedna mała wada: moja siostra zgorzkniała. Jej rozmowa z mężem polega głównie na robieniu mu wyrzutów. To wojskowy i powiem panu, że po tym, czego się nasłucha w domu, jest bardzo zmotywowany do wojowania na zewnątrz. Będzie bardzo okrutny. Podobno żona Jaffara także jest kłótniwa. Wojna może być długa.

Śmieje się i znów pociąga z butelki.

– Nie tęskni pan mimo wszystko za okrutnym tyranem, którego nazywaliście szachem – obrusza się Francuz.

– Liczby mówią same za siebie. Za szacha mieliśmy trzy tysiące więźniów politycznych, teraz jest ich trzysta tysięcy. Czyli wszystko zależy od sposobu, w jaki przedstawia się sprawy w telewizji.

Informacja zaskakuje lekarza.

– A pan czym się zajmuje? – pyta mężczyzna z bródką.

– Jestem Francuzem. Pracuję jako lekarz sądowy w Paryżu. Przyjechałem do Egiptu na zimowy urlop.

Doktor Vidal znów podzwania kostkami lodu w kieliszku wina.

– Musiałem rozmrozić ostatnie zwłoki, z którymi miałem do czynienia. Po raz pierwszy spotkałem się z czymś takim. Było to, można by rzec, „odświeżające”. Odnoszę zresztą wrażenie, że zajmując się zlodowaciałymi ciałami, zaziębiłem się.

Wstrząsa nim dreszcz, kicha, w samą porę zasłaniając nos dłonią. Wyciera ręką kilka kropel wilgoci.

Mężczyzna z bródką i w okularach przeciwsłonecznych wyciąga do niego otwartą dłoń.

– Generał Moqaddam. Gulbahar Moqaddam. Nazywają mnie Moq.

– Doktor Vidal. Michel Vidal. Ale wszyscy mówią do mnie Mitch. Miło mi, Moq. Jak to możliwe, że tak dobrze mówi pan po francusku?

– Studiowałem w Paryżu, Mitch. Uwielbiam Francję. To kraj wolności, równości i braterstwa, czyż nie?

Generał wzdycha, spoglądając na tancerkę.

– Pomyśleć, że za kilka godzin będę tracił całą energię i używał całej mojej determinacji, żebyśmy mieli jeszcze mniej alkoholu, mniej tańca brzucha, więcej chust i więcej kobiet siłą wydawanych za starych bogaczy.

– Może taki kierunek obrała ewolucja – ironizuje lekarz sądowy. – Nie mówię, że to źle. Po prostu „inaczej”. Może bardziej orientalnie. Nauczyłem się nigdy nie oceniać. Nie ma złych albo dobrych, są tylko różne poglądy, czasami przeciwstawne.

Zdziwiony, wojskowy, poklepuje lekarza przyjacielsko po plecach.

– Bardzo pan zabawny, Mitch. Podoba mi się pan!

Pociąga whisky z butelki.

– Whisky schodzi szybciej niż woda. Z całym szacunkiem

jednak, jest pan pijany, mój generale, słowo doktora.

Ich spojrzenia odbiegają w stronę tancerki, która zdaje się tracić siły.

– Skąd to skupienie na Izraelu? – pyta Francuz.

– Nie jest łatwo, kiedy jest się mocarstwem naftowym o olbrzymich nierównościach społecznych, jak Iran, zacząć nagle uchodzić na obrońcę biednych krajów. Chyba że... zaatakuje się Izrael.

Znów wypija łyk whisky i powoli zaczyna mieć trudności z utrzymaniem równowagi. Opiera się całym ciężarem o kontuar baru.

– Izrael jest jedynym krajem w tym regionie, gdzie kobietom wolno odsłaniać nogi i piersi na plaży. Mają prawo zdradzać mężów, rozwodzić się i poddawać aborcji. Nigdy tego nie powiemy, ale tak naprawdę to jest nie do zniesienia dla wszystkich krajów sąsiadujących.

Mężczyzna wpatruje się w kołyszące się piersi tancerki, popija z butelki i klepie przyjacielsko francuskiego lekarza po plecach.

– Dlatego właśnie przyjechałem do tego hotelu w Egipcie, Mitch.

Stukają się szkłem na zdrowie i parskają śmiechem.

Wybuch wesołości lekarza zamienia się w atak kaszlu. Na próżno zasłania usta dłonią, kilka kropelek śliny pokonuje przestrzeń dzielącą go od rozmówcy.

Jego spojrzenie ucieka w bok, w stronę okna, gdzie pochwytuje spadającą w oddali gwiazdę kreślącą linię wśród nocy.

121.

Na szczęście asteroida przeleciała w takiej odległości ode

mnie, że nie przechwyciła jej moja grawitacja.

Odebrałam to jako ostrzeżenie, należało przyspieszyć prace.

Ash-Kol-Lein i Yin-Mi-Yan wyprodukowali całe pokolenie miniludzi. Wykształcili ich, dali do dyspozycji warsztaty na ich miarę i wskazali, jakie działania powinni podjąć w celu wyprodukowania minirakiety.

Kilka lat później ta była w pełni gotowa dzięki maleńkim pracownikom wysokości stu siedemdziesięciu centymetrów, którzy wytworzyli maleńkie części.

Tym sposobem opracowano „Limfocyt 10”, raketę dziesięć razy mniejszą niż „Limfocyt 1”.

Nastał nowy etap mojego wielkiego projektu. Ratować Planetę Matkę.

122.

Po spotkaniu z generałem Moqaddamem w barze hotelu „Luxor” doktor Michel Vidal wraca do swojego pokoju i wślizguje się do łóżka. Na próżno jednak stara się zasnąć, wciąż nie jest mu to dane.

Jest już przekonany, że zaziębił się podczas odmrażania Mélanie Tesquet, a klimatyzacja w samolocie, następnie ta w barze, jeszcze bardziej pogorszyły jego stan.

Przyglądając się zdjęciu piramid, myśli o dziesięciu plagach, których użył Mojżesz, żeby zmusić faraona do umożliwienia jego ludowi odejścia w stronę ziemi obiecanej.

Doktor Vidal zna Biblię i pamięta fragment, w którym Hebrajczycy, więzieni przez Persów, mieli wszyscy zostać zabici na rozkaz Hamana, zostali jednak w ostatniej chwili ocaleni przez kobietę o imieniu Estera.

„Hebrajczykom zawsze udawało się ujść cało, podczas gdy

Egipcjanie, Babilończycy i Persowie, których kultury opierają się na dominacji militarnej, długo nie przetrwali. Dyktatury są skuteczne tylko przez określony czas. Narzucają terror, ale na dłuższą metę, nie potrafią zaproponować stabilnego projektu, co w końcu je niszczy”.

Zadowolony ze swojego podsumowania historii doktor Vidal pokasłuje w dłoń.

„Nie dbam zresztą o to, co się dzieje w Izraelu i Iranie. Francja leży daleko, a ja nie mam zamiaru wyjeżdżać na wakacje do żadnego z tych krajów”.

Znów pokasłuje. Nagle jednak lekki kaszel staje się coraz bardziej bolesny.

„To nie katar, raczej początek anginy. Nie powinienem był schodzić do baru. Przeklęta klimatyzacja. Kolejna głupota wprowadzona przez Amerykanów. Właściwie wolę upał i komary”.

Gorączka rośnie, a każdy napad kaszlu rozrywa mu oskrzela, postanawia więc ubrać się, wzywa obsługę hotelową i prosi o zamówienie taksówki, która zawiozłaby go na ostry dyżur do głównego szpitala w Kairze. Odkrywa zrujnowany budynek pełen rannych i jęczących w gorączce ludzi.

Kręci mu się w głowie. Prosi po angielsku przechodzącą pielęgniarkę o przebadanie go w trybie pilnym, a ona odpowiada mu w tym samym języku, że „nie ominie prawa tylko dlatego, że on jest z Zachodu, epoka kolonializmu już się skończyła i będzie musiał poczekać, jak wszyscy pozostali”.

Męczy go coraz silniejszy kaszel, lecz zatykając dłonią usta, udaje mu się powstrzymać wykrztuszenie. Starsza kobieta, całkowicie zakwefiona, nachyla się w jego stronę i szepcze mu do ucha:

– Jeśli ma pan pieniądze, kawałek dalej na tej ulicy

znajduje się prywatna klinika dla turystów. Proszę pytać o klinikę Nefertari.

Michel Vidal dziękuje jej i wlecze się ulicami, utykając jak alkoholik, odprowadzany niechętnym wzrokiem kilku przechodniów. W połowie drogi potyka się, upada na ziemię, kawałek przemieszcza się na czworakach, po czym, uchwyciwszy się latarni, podnosi się.

Kaszel rozrywa mu gardło, ogień pali go w nosie i uszach, czuje silne pulsowanie w skroniach. Jego skóra jest wilgotna. Wreszcie staje przed tablicą z napisem MIĘDZYNARODOWA KLINIKA NEFERTARI i z dopiskiem poniżej: „Akceptujemy karty Visa i American Express”. Budynek przypomina luksusowy hotel. W recepcji zostaje poproszony o numer karty kredytowej i o podpis, jak w hotelu. Następnie zostaje skierowany do przestronnego pomieszczenia, gdzie na ekranie są wyświetlane wiadomości sieci Al-Dżazira.

Doktor Vidal opada na krzesło.

Nie może powstrzymać coraz bardziej bolesnego kaszlu. Zapominając zasłonić usta dłonią, rozsiewa mikroskopijne kropelki śliny, które zarażają turystów czekających w poczekalni:

1. Kapitana Billa Prestona, pilota amerykańskich linii lotniczych, który przybył tu z problemami żołądkowymi.
2. Kandalę Hissène, pielęgniarkę pochodzenia etiopskiego, która krążyła po pomieszczeniu, roznosząc gazety.
3. Gunthera Folkmana, niemieckiego turystę, adwokata, cierpiącego na chorobę przenoszoną drogą płciową, którą zaraził się od młodej dziewczyny, chociaż ta zapewniała go, że jest dziewicą.
4. Kawabatę Moroto, Japończyka, który zaraził się pasożytniczą amebą po tym, jak wpadł na osobliwy pomysł,

żeby napić się wody z kranu, myjąc zęby.

5. Linę Ramirez, lekarza pochodzenia hiszpańskiego.

6. Charlène Oswald, australijską stewardesę, której stopę zmiądzzył nieuważny kierowca taksówki.

Z każdym kichnięciem, z każdym atakiem kaszlu Michel Vidal rozsiewa miazmaty, które przez chwilę unoszą się w powietrzu, po czym opadają niczym pyłki.

Kiedy francuski lekarz sądowy staje wreszcie przed egipskim lekarzem ogólnym, widzi przed sobą młodego mężczyznę, najwyżej trzydziestoletniego, w białym kitlu, który sprawia wrażenie zakłopotanego.

– Nazywam się Ali Nefertari, jestem synem dyrektora. Nie powinienem tego panu mówić, ale jest pan moim pierwszym klientem... to znaczy pacjentem. Mam nadzieję, że przyniesie mi pan szczęście.

Uśmiecha się do niego szeroko. Młody człowiek włącza komputer i uruchamia program automatycznej diagnostyki medycznej, który klinika jego ojca właśnie zakupiła.

– Dobrze, zaczniemy od formalności: nazwisko, imię, wiek, wzrost, waga.

Michel Vidal odpowiada, po czym wyjaśnia:

– Bardzo... boli mnie gardło, palą płuca i mam trudności z oddychaniem i... trzeba by...

– Czy pan pali? Ile paczek dziennie?

– Yyy... nie.

Młody lekarz klika na opcję utrudnienia w oddychaniu niezwiązane z nikotyną.

Wyszukiwarka natychmiast wyrzuca odpowiedzi:

Możliwość A: Astma – 32%

Możliwość B: Gruźlica – 42%

Możliwość C: Grypa – 41%

Możliwość D: Angina – 34%

Możliwość E: pacjent kłamie i mimo wszystko pali – 4%

Możliwość F: inny nieznaną czynnik – 2%

Lekarz wpisuje ból gardła w rubrykę symptomu, po czym klika na przycisk Analiza syntetyczna symptomów. Program zaczyna pracować, wyświetlając niewielkie logo przedstawiające serduszko, które na zmianę nadyma się i kłęśnie.

– Proszę o cierpliwość. Za chwilę będziemy mieć jasność. Czy zdążył pan zrobić zakupy w naszym mieście przy tej pięknej pogodzie?

Michel Vidal nie jest już w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Targa nim kaszel, czuje silny zawrót głowy i upada na podłogę.

Zdziwiony doktor Nefertari cofa się.

Ma ochotę wezwać pomoc, ale stwierdza, że nie wyglądałoby to dobrze, gdyby odkryto, że lekarz, syn dyrektora, nie wie, jak się zachować wobec problemu swojego pierwszego klienta. Stoi jak słup i przygląda się konającemu na podłodze Francuzowi. Obawia się tylko jednego: że ktoś wejdzie i zobaczy całą scenę. Zafascynowany i bezsilny zamyka drzwi na zasuwkę, przygląda się osobliwemu choremu w konwulsjach, duszącemu się własnym śluzem na jego dywanie. Kiedy wreszcie szamocząca się postać przestaje przejawiać jakiegokolwiek znaki życia i nieruchomieje, z otwartymi szeroko ustami i szklistym wzrokiem, egipski lekarz wyciąga swój stetoskop i upewnia się, czy serce już nie bije. Następnie z ulgą sięga po smartfona i wzywa pielęgniarkę, którego prosi o przyniesienie hermetycznego worka na zwłoki.

– Co mu było? – pyta pielęgniarka, nie okazując szczerzej ciekawości.

Wówczas lekarz, wycierając dłonie, które miały styczność

ze śluzem, odpowiada:

– Piorunujący atak astmy.

Pielęgniarka kiwa głową, uspokojony szybką diagnozą. Lekarz poprawia kielich, próbuje odzyskać równowagę i rozkazuje:

– Proszę umieścić go w kostnicy i sprawdzić, czy miał paszport.

Doktor Nefertari rozpina guzik przy kołnierzyku, żeby móc łatwiej oddychać. Na zewnątrz miasto Kair dźwięczy odgłosami klaksonów i warkotem samochodów uwieczonych w korkach.

Stwierdza, że ostatecznie jego praca wcale mu się aż tak nie podoba. Wybrał zawód pod wpływem ojca, który nalegał, żeby przejął „rodzinny interes”, ale nie ma do tego ani talentu, ani powołania. Przypomina sobie nawet, że gdy mijał poczekalnię wypełnioną pacjentami, ogarnęło go złe przeczucie. Nagle uświadamia sobie, że „chorzy ludzie” napawają go strachem.

Odbiera pierwszego martwego klienta jako znak.

Trudno, niech ojciec mówi, co chce. Dyplom z medycyny nie ma zresztą znaczenia, ponieważ go kupił – postanawia wrócić do swojej jedynej pasji: tańca jazzowego.

123. ENCYKLOPEDIA: ASKLEPIOS

W Grecji antycznej Asklepios (przejęty pod imieniem Eskulapa przez Rzymian) był jednym z wielkich pionierów medycyny. Był obywatelem miasta Epidauros i uczniem szkoły Pitagorasa (będącej zaszczytnym miejscem studiów dla wielu ówczesnych uczonych). Jednym z jego najwybitniejszych odkryć jest „wstrząs elektryczny”. Asklepios zrozumiał, że niektóre formy szaleństwa mogą być cofnięte przez kurację opierającą się na... dużych niespodziankach.

Ponieważ elektryczność nie była jeszcze wówczas wynaleziona, Asklepios działał w inny sposób.

Osobnika, którego podejrzewano o „zaburzenia psychiatryczne”, wprowadzano do ciemnego tunelu, po którym musiał długo krążyć po omacku. Poruszanie się w ciemnościach sprawiało, że wyostrzały się wszystkie jego zmysły, słuch stawał się wyczulony na najdrobniejszy dźwięk, źrenice zaś – na najdelikatniejszy blask. Strach narastał, w miarę jak droga się dłużyła. Nagle, kiedy osobnik znajdował się już w najwyższym stopniu zagubienia, dostrzegł światelko w głębi tunelu. Biegł ku tej studni światła z nadzieją, że wydostanie się z ciemnego korytarza. Tymczasem dokładnie w chwili, gdy chory dobiegał do otworu i mógł spojrzeć w niebo, Asklepios zrzucił mu na twarz kosz pełen wijących się węży. Następujące szybko po sobie uczucia strachu, ulgi, nadziei i koszmarne finałowa niespodzianka wywoływały pożądany efekt „wstrząsu elektrycznego”.

Ta zasada wędrówki po ciemnym labiryncie, odkrycia oświetlonego wyjścia, a na koniec pojawienia się czegoś skrajnie przerażającego służyła następnie za strukturę dramatyczną dla niektórych sztuk teatralnych lub bajek. Opowieść mogła wywierać na widzach skutek terapeutyczny przypominający wstrząs elektryczny podobny do tego, jaki Asklepios aplikował swoim szaleńcom.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

Ognisty koń z brązu dosiadany przez jeźdźca dzierżącego szablę stanowi jedyny element dekoracyjny przestronnego, ultranowoczesnego pomieszczenia umeblowanego wygodnymi fotelami pokrytymi białą skórą.

Generałowie armii powietrznej, generałowie kawalerii i artylerii, a także admirałowie irańskiej floty narodowej zebrali się w kwaterze głównej. Przy końcu stołu zgromadzili się wysocy rangą przywódcy młodzieżówek, przybyli po rozkazy do ataku – ich zadaniem jest stworzenie drugoplanowych linii frontu na wszystkich granicach Izraela – a także kilku doradców północnokoreańskich, którzy zamierzają nadzorować skuteczność pocisków i bomb sprzedawanych Iranowi. Ci ostatni trzymają się na uboczu, zajęci swoimi tabletami.

Na ekranie ściennym pojawia się plan regionu z zaznaczeniem strategicznych punktów i głównych kwater wojskowych.

Wchodzi prezydent Jaffar i wszyscy wstają. Wódz oznajmia, że nie należy odtąd tracić czasu i jak najszybciej stłumić manifestacje, które wciąż odbywają się na ulicach Teheranu.

– Nie dopuścimy do tego, co działo się w Libii, Tunezji i Egipcie podczas wiosny arabskiej – oświadcza prezydent Jaffar.

– Musi nastąpić silny szok emocjonalny, najlepiej poza granicami kraju. Liczę na was, że uderzycie szybko i jak najbardziej spektakularnie.

Generał amii powietrznej potwierdza, że ofensywa zostanie zaplanowana jak najszybciej. Kiedy tylko oddziały znajdą się w odpowiednich lokalizacjach, rozpoczną się pierwsze bombardowania, po których do akcji wkroczą artyleria, flota wojenna i piechota.

Generał zarządzający siłami pancernymi oznajmia, że jego

oddziały są gotowe do ataku oskrzydającego przy użyciu czołgów, które przejadą przez Irak, Jordanię i Liban, gdzie otrzymają wsparcie rozbudowanej siatki sprzymierzeńców ulokowanych wśród ludności lokalnej.

Nagle drzwi gwałtownie się otwierają. Straże otaczające brodatego mężczyznę w tradycyjnych szatach, na które składa się suknia, buty o spiczastych czubkach i czarny turban, wpadają do pomieszczenia.

Natychmiast wszyscy pochylają głowy, rozpoznając wielkiego ajatollaha Ferradji. Nawet irański prezydent rzuca się naprzód, aby ucałować jego dłoń.

– Zabieraj się stąd, Jaffar, przejmuję dowodzenie – oznajmia władczy głos.

– Ale...

– Nie przydasz się tu na nic, zajmij się raczej ulicą, policją i porządkiem wewnętrznym, ja biorę na siebie plany wojenne.

Prezydent Jaffar waha się przez ułamek chwili, po czym chyli głowę i znika, nie odwracając się więcej. Duchowny siada u szczytu stołu.

– Na czym skończyliście? – pyta ajatollah Ferradji.

– Na planach ataku na Izrael, Wasza Świątobliwość.

Mężczyzna w turbanie uśmiecha się lekko z rozdrażnieniem.

– Nie, miałem na myśli „ważne” sprawy.

– Ale to... jest ważne – pokasłuje zaskoczony szef sztabu armii powietrznej.

– Jaffar nie powiedział wam o prawdziwym planie? – pyta duchowny.

Zebrani wokół stołu wymieniają zaniepokojone spojrzenia.

– Yyy... Jaki „prawdziwy plan”, Wasza Świątobliwość?

– Czyli o niczym nie wiecie... – wzdycha mężczyzna. – Jak

sądzicie, dlaczego wypowiadamy wojnę?

– Żeby odwrócić uwagę od manifestacji? – próbuje jeden z admirałów, powtarzając argument podany przez Jaffara.

Ajatollah kręci głową.

– Aby „przepędzić syjonistycznego wroga z naszych świętych ziem”? – ryzykuje gorliwie generał odpowiedzialny za armię powietrzną.

– Głupi jesteście czy co? Jaki sens ma atak na maleńkie terytorium, nie większe niż konfetti na mapie, zajęte przez pięć milionów mieszkańców? Nie można go nawet porównać z przedmieściami Teheranu. Może od razu zaatakujmy Monako!

– Ale syjoniści...

– Kretyni! – rzuca ajatollah. – Na tym polega nasza propaganda przeznaczona dla mediów i ludu. To czerwona płachta, którą powiewamy, żeby ludzie samodzielnie nie myśleli. Chyba nie jesteście aż tak naiwni, żeby wierzyć we własną propagandę, panowie?

Wszyscy spuszczaają wzrok.

Duchowny gładzi się po długiej brodzie, wdycha głęboko powietrze, zniecierpliwiony, po czym oznajmia:

– Naszym celem nie jest opanowanie tego maleńkiego terytorium, które nie dysponuje ani ropą, ani innymi surowcami. Naszym prawdziwym celem jest stanięcie na czele światowej rewolucji islamskiej. Naszym prawdziwym wrogiem nie jest Izrael. Naszym prawdziwym wrogiem jest...

– Ameryka? – próbuje minister marynarki.

– Za daleko, dzielą nas tysiące kilometrów. Szukajcie jeszcze.

Nikt nie ośmiela się zaproponować odpowiedzi.

– Naszym prawdziwym wrogiem jest półtora miliarda sunnickich muzułmanów.

Zapada długa, ciężąca cisza.

– Nie śledziliście wiadomości? Nasi szyicy pielgrzymi zostali upokorzeni przez saudyjską policję, a następnie wypędzeni z Mekki!

Uderza pięścią w stół.

– W Bagdadzie nasze meczety stanowią nieustanny cel ataków sunnickich kamikaze. W Iraku naszym braciom podrzyna się gardła w łózkach, jak zwierzętom ofiarnym. W Pakistanie szyicy są prześladowani przez rząd, który traktuje ich jak psy. Na całym świecie na miliard osiemset milionów muzułmanów dziewięćdziesiąt procent stanowią sunnici, a dziesięć procent – szyicy. Nawet płodząc mnóstwo dzieci, nigdy nie nadrobimy tej różnicy.

Oficerowie dają wyraz niezrozumieniu.

– Jaki ma to związek z wojną, którą zamierzamy poprowadzić przeciwko Izraelowi, Wasza Świątobliwość? – pozwala sobie zauważyć generał sił pancernych.

– Imbecyl. Ta wojna jest tylko fasadą, która ma na celu sprawić, aby wszyscy muzułmanie świata przyłączyli się do naszej sprawy. Jedynym naprawdę ważnym celem jest pomścić męczeństwo Husajna, naszego ojca, a także całą jego rodzinę niesprawiedliwie zamordowaną przez parszywe psy sunnickie w służbie kalifa Jazida.

Pozwala, by na chwilę zapadła cisza, i wszyscy przypominają sobie masakrę, która miała miejsce blisko tysiąc czterysta lat wcześniej, podczas bitwy pod Karbalą, którą zanudzano ich w szkole i której pamięć wciąż odświeża im się za pośrednictwem telewizji.

Drzwi się otwierają, wchodzi generał Gulbahar Moqaddam, poprawiając mundur.

– Proszę wybaczyć, samolot miał opóźnienie.

Ociera pot z czoła i zdaje się drzeć. Całuje wyciągniętą dłoń i kłania się.

– Wasza Świątobliwość.

Tamten nie zwraca nawet na niego uwagi.

– Na czym to skończyliśmy? Ach tak, jedynym sposobem, żeby pomścić Husajna jest...

Wskazuje palcem na punkt na mapie.

– Jest zrzuć bombę na Rijad.

Zapada cisza.

Przerywa ją generał Gulbahar Moqaddam, nie mogąc zapanować nad potrzebą odkaszlnięcia.

– Ja... nie rozumiem, Wasza Świątobliwość.

– Następnie powiemy, że to Izraelczycy zaatakowali, a my będziemy uchodzić za najbardziej aktywnych działaczy islamu. Cały świat stanie po naszej stronie, będziemy pasterzami stada składającego się z miliarda ośmiuset milionów muzułmanów pozyskanych na rzecz religii szyickiej, zjednoczonych, i nikt nie zdoła nas powstrzymać przed nawróceniem całego świata, po dobroci lub siłą.

Ajatollah siada i wsuwa ręce do szerokich rękawów.

– Sunnici poszli na całość z World Trade Center w Nowym Jorku jedenastego września 2001 roku, ale my zrobimy coś o wiele większego, zrzucając bombę atomową na Rijad w tym roku. Nazwiemy projekt „Wieczna zemsta”. Sam wymyśliłem nazwę.

Oficerowie natychmiast się podnoszą, świadomi nowej cięższej na nich odpowiedzialności.

– Pełne zaskoczenie. Jeden cios i wygrywamy na wszystkich polach. A kiedy osiągniemy efekt „wstrząsu emocjonalnego”, rozpoczniemy wielką światową rewolucję islamską, która nawróci wszystkich ludzi na jedyną prawdziwą

religię.

W tym momencie generał Moqaddam, który od dłuższej chwili usiłował się pohamować, gwałtownie kicha. Drobne beżowe kropelki rozpryskują się wokół szerokim wachlarzem.

125. ENCYKLOPEDIA: BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

Biblioteka Aleksandryjska została założona w Egipcie w 288 roku p.n.e. przez króla Ptolemeusza I Sotera, jednego z generałów Aleksandra Wielkiego.

Otrzymawszy władzę nad Egiptem, Ptolemeusz obrał sobie oryginalny cel: uczynić z Aleksandrii stolicę kultury i nauki, z zamiarem zajęcia miejsca Aten.

Nakazuje więc wznieść w pobliżu swojego pałacu przestronny zespół budowli, na który składa się uniwersytet, akademia, a przede wszystkim biblioteka, po czym ogłasza ambitny plan: „Zgromadzić w tym miejscu całą światową wiedzę”.

Zaczyna zbierać tysiące woluminów (wolumin to zwój zlepionych kart papirusu – szyte książki wówczas jeszcze nie istniały). Król wyznaczył ludzi do dokonywania zakupów lub jak najszybszego kopiowania dzieł, których nie dało się nabyć.

Po śmierci króla jego następcy, Ptolemeuszowi II, projekt również przypada do serca i prosi wszystkich władców, z jakimi pozostaje w kontakcie, aby przysyłali dzieła swoich poddanych i ulubionych artystów.

Z każdym dniem zasoby Biblioteki Aleksandryjskiej rosą, osiągając wreszcie liczbę pięciuset tysięcy woluminów.

Taka skarbnica wiedzy automatycznie wywołuje zainteresowanie.

Niczym ciężka planeta, centrum wiedzy przyciąga wszystkich naukowców z basenu Morza Śródziemnego, którzy chcą tu dokończyć lub przekazać swoje odkrycia.

Kusi jednak nie tylko fenomenalna liczba woluminów – obok biblioteki wzniesiono pracownie wyposażone w instrumenty naukowe pozostające do dyspozycji naukowców, założono ogrody botaniczne i zoologiczne, zgromadzono kolekcje map, kamieni, roślin i szkieletów zwierząt.

Wszystkie dzieła napływające do Biblioteki Aleksandryjskiej są tłumaczone na język grecki, który staje się językiem uczonych i historyków. Tak więc Biblia (Pięcioksiąg) zostaje przetłumaczona na grekę przez sześciu przedstawicieli każdego z dwunastu plemion żydowskich, którzy zebrali się na wyspie Faros, aby wypełnić tę misję w ciągu siedemdziesięciu dwóch dni. Podobnie znajdują tam swoje miejsce teksty greckich filozofów (Arystotelesa, Platona) oraz poetów (wzbogacona i uproszczona *Odyseja* Homera).

Między III wiekiem p.n.e. a IV wiekiem n.e. Wielka Biblioteka w Aleksandrii stanowi tygiel, w którym mędrcy konfrontują swoje punkty widzenia w różnych dziedzinach, takich jak matematyka, astronomia, biologia, fizyka, a także filozofia i poezja. Wszystkie te dyscypliny rozwiną się znacznie i rozprzestrzeniają dzięki temu sanktuarium wiedzy.

Stanowisko dyrektora Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej staje się bardzo pożądane i ówczesne sławy, takie jak Zenodot z Efezu, Arystarch z Samotraki, Apollonios z Rodos czy Teon z Aleksandrii, będą po kolei pełnić tę cieszącą się poważaniem funkcję. W kulminacyjnym momencie sukcesu Wielka Biblioteka Aleksandryjska będzie liczyć nie mniej niż siedemset tysięcy

woluminów. I chociaż w późniejszym okresie Rzymianie będą starali się założyć konkurencyjną bibliotekę w Pergamonie, nigdy nie zdołają jej dorównać (ta ostatnia liczyła tylko dwieście tysięcy woluminów).

Podobno pierwsza próba zniszczenia Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej została przeprowadzona przez chrześcijańskich fanatyków w 415 roku pod przywództwem biskupa Cyryla (następnie kanonizowanego). Epizod ten przedstawiono w filmie *Agora* w reżyserii Alejandro Amenábara, który śledzi losy prawdziwej postaci – córki bibliotekarza Teona, Hypatii. Wykształcona przez ojca doskonale zna się na astronomii, filozofii i matematyce, które to nauki wyklada na uniwersytecie. Uważana za pogańską heretyczkę młoda kobieta zostanie ukamienowana przez tłum chrześcijan.

Definitywna destrukcja Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej następuje jednak w 642 roku podczas inwazji arabskiej pod dowództwem generała Amr Ibn al-Asa. Kiedy zapytał on kalifa Omara, co powinien zrobić z biblioteką, ten miał mu odrzec: „Zniszcz wszystko. Jeśli te księgi są Koranem, już go mamy. A jeśli nie jest to Koran, nie zawierają żadnej interesującej nas prawdy”.

Zażartość, z jaką niszczone to miejsce, była tak wielka, że do dziś nie wiadomo, gdzie dokładnie była umiejscowiona Wielka Biblioteka Aleksandryjska.

Edmund Wells

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

Czuje ogień w skroniach. David zrywa się gwałtownie w środku nocy. Jest spocony i rozgorączkowany.

Nuçx'ia również się budzi.

– Co się dzieje, Davidzie? – pyta młoda Pigmejka, głaszcząc go po ramieniu.

– Śnił mi się koszmar – odpowiada.

– Atlantyda? Zdarza się, że we śnie wracamy tam, gdzie udaliśmy się podczas transu, mogę zrozumieć, że nie jest to doświadczenie pozbawione znaczenia.

– Nie, to nie to. Śniła mi się trzecia wojna światowa. Kobieta wzdycha.

– To przez wiadomości. Mają na celu budzić strach.

– Za każdym razem, gdy istniało ryzyko popełnienia poważnego błędu, człowiek go popełniał. I za każdym razem ludzie tacy jak my musieli szukać rozwiązania, które pojawiało się zbyt późno. Mam ważenie, że wpisuję się w długą tradycję zbyt powolnych uczonych.

Nuçx'ia całuje go.

– Nie mamy obowiązku odnieść sukcesu – mówi. – Naszym zadaniem jest próbować. Tylko próbować.

– Ale wojna...

– Nawet gdyby do niej doszło, nie mógłbyś sobie zarzucać, że nie próbowałaś zapobiec trzeciej wojnie światowej. To nas przerasta. Jesteśmy tylko małymi...

– ...mrówkami?

– Możesz tak to ująć. W każdym razie kiedy z nieba wyłania się wielki but z zamiarem zmiżdżenia nas, to nie my jesteśmy za to odpowiedzialni. Już i tak bardzo dużym wymaganiem byłoby usiłowanie lekkiej zmiany biegu historii. A to wyzwanie bierze na siebie Natalia, nie ty. Jeśli się uda, to dzięki niej, a jeśli się nie uda, winę za to poniesie również ona.

David wstaje, narzuca szlafrok i schodzi bosy do głównego laboratorium. Zatrzymuje się przed małym pokoikiem naprędce urządzonego dla Emmy. Mikroczłowiek śpi w łóżku niewiele większym od pudełka po butach.

– Jest taka słodka... – mówi Nuçx'ia, która zeszła tu za Davidem.

– Taka delikatna.

– Pomyśleć, że rośnie dziesięć razy szybciej niż zwykłe dziecko.

– Co to zmieni. Nie zdąży wpłynąć na bieg historii. Ani jako wywiadowczyni, ani jako pionierka nowego gatunku. Będzie jak my: sprowadzona do rangi widza upadku cywilizacji pokazywanego w charakterze rozrywki w wiadomościach telewizyjnych.

– Skończ z tymi swoimi defetystycznymi wizjami, Davidzie.

– Jakże żałuję, że nie zacząłem prac wcześniej. Jakże chciałbym móc cofnąć czas i wymyślić wszystko, zanim będzie za późno.

Nuçx'ia chce go pogłaskać po karku, ale on robi unik.

– Zawsze pojmujemy wszystko zbyt późno.

– Chcesz z tej maksymy uczynić prawo Murphy'ego i zapisać w charakterze dowcipu na swojej koszulce, jak porucznik Janicot?

Wracają do korytarza z klatkami dla miniaturowych zwierząt. Przyglądają się dwóm małym słoniom, które gładzą się trąbami.

– Mam jeszcze Ma'djobę. Co powiesz na kolejny seans, żeby połączyć się raz jeszcze z tym, kim kiedyś byłeś, i zrozumieć swoją głęboką prawdę? – pyta cicho młoda kobieta.

David się zgadza.

– Mhm... Nie ma się co oszukiwać. Co już minęło, nie powróci. Dawny „ty z Atlantydy” żył, pracował, zestarzał się i umarł. Nie był lepszy od ciebie, działał w pewnych okolicznościach, jego problemy i sposoby ich rozwiązywania musiały być inne od twoich.

Kobieta obserwuje przezroczyste akwarium z małym wielorybem, który krąży w wodzie i zdaje się im przysłuchiwać.

– Ty, Davidzie, jesteś najważniejszy, ponieważ żyjesz tu i teraz. Działasz w czasie rzeczywistym, nie wiedząc, jak to się wszystko skończy. Swoimi czynami wpływasz na historię. „Tu i teraz”, oto co się liczy. Nie jesteśmy bohaterami książki, która została już napisana. Osobistymi wyborami wpływamy na każdy następny rozdział, a nawet na finał, który jest przed nami, nie za nami.

David przygląda się małemu delfinowi, nie większemu od sardynki, który właśnie wyskoczył ponad powierzchnię wody i obraca się w powietrzu.

– Chcę wrócić na Atlantyde i zrozumieć, gdzie popełniliśmy błąd. Jeśli zrozumiemy pomyłki z przeszłości, być może uda nam się opracować właściwe drogi przyszłości, nie sądzisz?

Młoda kobieta bierze go za rękę i ciągnie z powrotem do ich pokoju. Zapala świece, po czym otwiera walizkę i wyciąga z niej skórzane etui zawierające liczne fiołki. David siada, nie mogąc się doczekać, kiedy wyruszy w podróż ku swojemu dawnemu życiu. Nuçx’ia zaczyna ugniatać ciemną i pachnącą mieszankę, którą David przyjmuje, nie zwracając nawet na nią uwagi. Następnie dziewczyna przygotowuje fajkę z dwoma rogamami, które wtyka w nozdrza towarzysza. Zapala ją, po czym wdmuchuje mu dym aż do płuc. David odchyła się do tyłu. Nuçx’ia odlicza od dziesięciu do zera i prosi go o wyobrażenie

sobie rzędu drzwi ciągnących się wzdłuż korytarza.

Umysł Davida odpływa.

Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... zero.

Dociera do białego korytarza. Idzie wzdłuż drzwi opisanych imionami, których używała jego dusza, wcielając się w różnych epokach, w różnych krajach. Wreszcie wizualizuje drzwi w głębi, pierwsze, które pozwoliły mu ucieleśnić się na ziemi. Tym razem wie, że napisano na nich w jego języku imię, które potrafi wymówić: „Ash-Kol-Lein”.

Otwiera drzwi, wchodzi na most linowy i dociera na wyspę znajdującą się pośrodku Atlantyku osiem tysięcy lat wcześniej.

127.

Pamiętam.

Maleńka rakieta „Limfocyt 10” wzniosła się wysoko w chmury. Pokonała granicę, przy której wszystkie wcześniejsze rakiety eksplodowały.

I kontynuowała swoją wyprawę.

Ludzie z sukcesem zrealizowali pierwszą fazę mojego projektu.

Już w tym stadium stwierdziłam, że słusznie zrobiłam, stawiając na nich, a nie na mrówki, delfiny, ośmiornice, świnie, kruki albo szczury.

Dotarwszy na orbitę geostacjonarną, aktywowali skierowane na mnie kamery. Tym sposobem, przechwytyjąc ich fale radiowe, mogłam po raz pierwszy zobaczyć się, a nie tylko czuć.

Pierwszą zaletą „Limfocytu 10” okazało się więc bycie... lustrem.

Byłam okrągła.

Byłam niebieska.

Otoczona koronkową warstwą rozproszonych chmur.
Moje oceany lśniły. Moje kontynenty były beżowe i zielone.
Szczyty gór perłowe. Szrama zadana mi przez Teję znikła,
zakryta wodą albo roślinnością.

Wyglądałam na całkiem niezłą planetę.
Następnie teleskop został skierowany na drugą stronę
statku kosmicznego i mogłam, wciąż przechwytyjąc fale radiowe
przekazywane przez raketę, zobaczyć otaczający mnie Układ
Słoneczny.

To był pierwszy prezent. Dzięki ludziom zyskałam oczy! A
raczej jedno oko: teleskop znajdujący się na pokładzie
„Limfocytu 10”. Niestety, nie mogłam decydować, na co
zostanie skierowany.

Niemniej było to nowe doświadczenie. Cóż za wspaniałe
uczucie móc rozejrzeć się wokół po tylu miliardach lat ślepoty!

Delektowałam się każdym fotonem odebrany przez lustro
teleskopu rakiety i przekazany przez fale radiowe moim
ludziom. Śledząc ruchy teleskopu „Limfocytu 10”, odkrywałam
sąsiednie planety tak, jak się odkrywa członków swojej rodziny.
Na początku resztki Teji, które stały się Księżycem.

Do tej pory czułam jego obecność za pośrednictwem
grawitacji, teraz wreszcie mogłam przyjrzeć się dokładnie jego
prawdziwemu obliczu. Mój stary wróg był blady i ponury, usiany
licznymi kraterami, które wskazywały na to, że sam również
zderzał się z asteroidami. Ale nie mógł zamalować ich oceanami
i lasami.

Dobrze mu tak.

Oprócz Księżyca odkrywałam planety, które – znacznie
później – ludzcy astronomowie nazwą Jowiszem, Merkurym,
Saturnem, Uranem i Neptunem.

Moje siostrzane planety.

Gdy minął pierwszy entuzjazm, poczułam ogromne rozczarowanie. Moje siostry, które uważałam ze „uśpione”, były, gdy się im dobrze przyjrzeć, „martwe”, a raczej „nigdy nie zbudzone do życia”.

Obserwując Układ Słoneczny, odkrywałam wielkie cmentarzysko. Wszystkie planety były tylko trupami krążącymi wokół jednego Słońca, które z kolei było tylko czystą, rozpaloną energią, pozbawioną świadomości i inteligencji.

Nieszczęsne planety nigdy nie zaznały i nigdy nie zaznają radości, jakie zostały mi podarowane: osi obrotu, która zapewnia mi grawitację, atmosfery, która pozwala żyć i oddychać, pór roku, letniej temperatury i różnorodności materii chemicznej na mojej powierzchni, dzięki której powstaje życie, pamięci, świadomości, która umożliwia myślenie i tworzenie projektów.

Dlaczego tak bardzo się od nich różnię?

Obserwując je, zrozumiałam. Ponieważ znalazłam się we właściwym miejscu, miałam odpowiednią wielkość, kręciłam się z odpowiednią prędkością po odpowiedniej orbicie słonecznej we właściwej chwili.

Jestem owocem niesłychanego zbiegu okoliczności – nieprawdopodobnych, wyjątkowych i niepowtarzalnych.

Coś jeszcze mnie zaintrygowało. Jeśli powstałam w wyniku tylu dobrych koincydencji, jedna zła wystarczy, żeby mnie zniszczyć.

Na obrazach przekazanych przez teleskop rakiety „Limfocyt 10” zauważyłam coś, co mnie przerażyło: pas asteroid między Marsem a Jowiszem. Podejrzywałam, że były to szczątki planety zmiażdżonej przez asteroidę. Zrozumiałam, że to właśnie czeka i mnie, jeśli moi drodzy ludzcy lokatorzy nie pomogą mi w walce z niebezpieczeństwami czyhającymi na mnie w głębi przestrzeni.

128.

To się wydarzyło nagle. Doktor Nefertari czuje nietypowe zmęczenie. Uznaje, że zawód lekarza polega na stykaniu się z osobami, które przekazują mu swoje choroby – ilu pacjentów, tyle źródeł możliwej infekcji.

Udzieliwszy konsultacji, czyli zaraziwszy około dziesięciu osób, o godzinie szesnastej lekarz oznajmia, że wróci wcześniej do domu. Odczuwa coraz więcej nieprzyjemnych symptomów fizycznych, szczególnie skurczy i palpacji.

Kiedy tylko przekracza próg swojej okazałej willi, opada na fotel. Doktor Nefertari kaszle coraz mocniej.

Żona przygotowuje mu lodowatą kąpiel z płatkami kwiatu jaśminu. Masuje mu ramiona i podaje napar z kwiatów pomarańczy. Ale gorączka nie opada. Lekarz sądzi, że ciało reaguje na profesję, która mu nie odpowiada. Stwierdza, że następnego dnia znajdzie w sobie odwagę, żeby zrezygnować i zapisać się na kurs tańca.

Ojciec się go wyprze, a on i jego rodzina będą musieli żyć za mniejsze pieniądze, ale przynajmniej nie będzie miał poczucia, że robi coś wbrew swojemu powołaniu.

Przed położeniem się spać Ali Nefertari całuje czule po kolei czworo dzieci i żonę.

Nawet o tym nie wiedząc, skazuje ich na śmierć.

Nazajutrz ma tak wysoką gorączkę, że nie jest w stanie podnieść się z łóżka. Prosi, żeby pozwolić mu jeszcze pospać. Już się nie obudzi.

Kapitan Bill Preston, który między dwoma rejsami chciał odpocząć w Kairze, złapał niezbyt żołądka, zjadłszy mechoui – grillowany łeb barani – który prawdopodobnie wędrował między zamrażarkami bez przestrzegania ciągłości łańcucha

chłodniczego.

Udał się więc do kliniki Nefertari. Nikt nie zwracał uwagi na francuskiego turystę, który nieustannie kaszlał w poczekalni, zapominając czasami zasłonić usta dłonią.

Zastosowawszy się do przepisanej mu kuracji, Bill Preston założył nieskazitelny uniform kapitana linii lotniczych i wystartował swoim samolotem w kierunku Los Angeles. Po wielu godzinach lotu zaczyna nagle odczuwać palenie w gardle i nagłą gorączkę. Podejrzewa, że muszą to być skutki uboczne nieżyty żołądka, ale temperatura nieustannie wzrasta i kapitan zaczyna również odczuwać dyskomfort na poziomie żeber. Kicha w dłoń i szuka chusteczek. W ciągu kilku kolejnych sekund system klimatyzacji samolotu Boeing 787 zaraża dwustu trzydziestu dziewięciu pasażerów lotu z Kairu do Los Angeles.

Kapitanowi Prestonowi udaje się wylądować, po czym udaje się na ostry dyżur do szpitala w Los Angeles.

Kandala Hissène, etiopska pielęgniarka, opiekuje się tego dnia dwudziestoma osobami w klinice Nefertari w Kairze. Odruchowo przykłada dłoń do czoł chorych, żeby sprawdzić, czy mają gorączkę. Tym niewinnym gestem przekazuje im własną chorobę – w ciągu jednego dnia zaraża trzydziestu ośmiu pacjentów, którzy cierpieli do tej pory z powodu niegroźnych dolegliwości. Następnie, czując lekkie zmęczenie, wybiera się do domu, pokaszując coraz mocniej. Upada na ulicy. Nikt nie przychodzi jej z pomocą, wszyscy sądzą bowiem, że jest pijana, i kobieta kona na chodniku, obwąchiwana i lizana przez bezdomne psy.

Gunther Folkman, niemiecki turysta, który w klinice pojawił się z problemem choroby wenerycznej, został wyleczony antybiotykami. Po powrocie do hotelu nie może się oprzeć chęci sprowadzenia kolejnych dziewcząt do swojego pokoju. Zaprasza

dwie pochodzenia tanzańskiego (jego ulubione), ale tym razem pamięta, żeby założyć dwie prezerwatywy, jedną na drugą, w celu uniknięcia nowej infekcji. Dzięki tej strategii nie zaraża się chorobą weneryczną, ale – całując je – przekazuje im obu własnego wirusa. Ponieważ każda z nich obsługuje jeszcze innych klientów, tej jednej nocy zaraża się około stu osób. Gunther Folkman nie może zasnąć i zażywa środki nasenne. Umiera pośród swojej wydzieliny, nie mając nawet siły, żeby sięgnąć po smartfona.

Kawabata Moroto wraca do Japonii i kiedy tylko znajduje się na miejscu, kieruje się do fabryki części samochodowych, aby ponownie podjąć pracę.

Mimo zmęczenia podróży i silnej gorączki zwołuje pracowników swojego działu, aby przekazać im dyrektywy na bieżący miesiąc. Trzeba zwiększyć rentowność. Kiedy przemawia, kropelki śliny zarażają dwa pierwsze rzędy jego podwładnych. W toalecie kicha w dłoń, dotyka klamki w drzwiach, a także licznych przycisków przy sedesie sterujących strumieniami ciepłej wody. Wszyscy, którzy skorzystają z toalety po nim – zostają zarażeni.

Kawabata Moroto czuje się wycieńczony, ale nie chce wrócić do domu i odpocząć. Ma nadzieję, że dzięki swojej gorliwości dostanie podwyżkę. Waha się, czy nie założyć maseczki ochronnej, ale wydaje mu się to nieestetyczne. Woli postawić na samokontrolę i nie kaszleć. Po południu spotyka się ze swoimi przełożonymi i udaje mu się ich przekonać, żeby udzielili mu tej słynnej podwyżki, którą obiecywali mu od miesiący. Ściskając im po kolei dłonie w geście podziękowania, sam o tym nie wiedząc, skazuje ich na śmierć.

Następnie, utykając, wraca do domu, żeby ogłosić nowinę swojej rodzinie, którą zaraża, jedząc z nią kolację i oglądając w

telewizji przerażający film dokumentalny na temat zagrożenia trzęsieniami ziemi w Japonii.

129.

Pamiętam.

Po wpojeniu im wiedzy na temat budowy rakiet odstłoniłam przed nimi tajniki działania materiałów wybuchowych.

Obserwowałam powierzchnię Słońca, usiłowałam zrozumieć fenomeny chemiczne zachodzące w mojej magmie i w moich wulkanach. Nauczyłam się, jak je odtwarzać na mniejszą i kontrolowaną skalę, stosując dostępne na mojej powierzchni materiały.

Następnie, wykorzystując piramidę w charakterze nadajnika i odbiornika, zainspirowałam ludzi do przeprowadzania eksperymentów chemicznych i fizycznych. Dzięki temu po opracowaniu rakiet „Limfocytów” stworzyli oni dwie małe bomby atomowe, które pozwoliłam im przetestować na mojej skorupie, aby zmierzyć ich destruktywną moc.

130.

Wstrząsa nim dreszcz.

– Co się dzieje? Co widzisz? – pyta Nuçx’ia, zaniepokojona.

– Eksplozja.

– Co eksplodowało? Znowu te twoje apokaliptyczne wizje? Jego powieki są coraz bardziej ruchliwe, co świadczy o tym, że przeżywa scenę, jak gdyby naprawdę się tam znajdował. Wreszcie się odzywa.

– Bomba atomowa.

– Jaka bomba atomowa? Wojna?

– Nie... coś innego... Doświadczenie. Opracowaliśmy

bombę atomową w małej rakiecie... „Limfocyt 11”.

– Limfocyt? Biała krwinka?

– Nie. To minirakieta wyprodukowana przez miniludzi.

Różni się od poprzedniej tym, że na jej pokładzie może znajdować się niewielka załoga i bomba atomowa.

– Czy to broń?

– To forma obrony. Szaman poprosił nas o opracowanie tej technologii. Ma ona służyć rozbijaniu asteroid, które mogłyby uderzyć w powierzchnię naszej planety.

David Wells jest nerwowy. Jego tęczołki poruszają się pod cienką skórą powiek.

– Co jest nie tak?

– Bomba, którą umieściliśmy w rakiecie „Limfocyt 11”, jest zbyt niestabilna, wibracje rakiety przy starcie spowodowały wzrost temperatury. Bomba eksplodowała na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Pojawił się żółto-biały płomień. Wiem, że rakieta i załoga zostały unicestwione. To straszne.

– Co robisz?

– Jestem z Yin-Mi-Yan i członkami rady mędrców w pomieszczeniu kontrolnym. Rozmawiamy o opracowaniu stabilniejszej bomby atomowej. Wokół nas znajdują się również... miniludzie, twórcy rakiety.

– Ci miniludzie, którzy wykluwają się z jajek?

– Tak, służą do budowania rakiet i stanowią ich załogę. To malutcy ludzie.

– Jakiego wzrostu?

– Metr siedemdziesiąt. Patrzą na nas z naganą, ponieważ wiedzą, że pomyliliśmy się w ustawieniach bomby, co spowodowało śmierć ich braci.

David zdaje się słuchać bezpośrednio rozmowy.

– Po rozmowie z inżynierami mojego wzrostu dyskutuję z

miniaturowymi inżynierami. Wyjaśniam, że nie można gwarantować każdorazowego sukcesu i że nowe doświadczenia często się nie udają. Niektórzy patrzą na mnie surowo. Winią mnie osobiście. Chyba straciłem ich zaufanie. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby sytuacja się nie powtórzyła, ale przypominam również, że celem projektu jest skonstruowanie statku kosmicznego, który by chronił Ziemię i...

Przerywa.

– I...?

– I nic. Następnie znajduję się w towarzystwie Yin-Mi-Yan, która mówi, że nie będziemy mogli wiecznie ufać naszym miniaturowym astronautom. Mówi, że chce, żebyśmy mieli dziecko.

Ponownie mija chwila, zanim David znów się odezwie:

– Kochamy się i wszystkie napięcia z całego dnia znikają. Ona przekazuje mi swoją radość życia i świeżość. Ja również nagle mam ochotę dać życie istocie, która miałaby w sobie cząstkę jej i mnie.

– Czas wracać – mówi Nuçx'ia. – Wyobraź sobie most z lian i zanurz się we mgle. Przejdź korytarzem aż do drzwi z napisem David Wells i przygotuj się na powrót tutaj i na otwarcie oczu. Kiedy powiem „dziesięć”, znów znajdziesz się tutaj.

David żałuje, że rytuał wejścia i wyjścia staje się coraz krótszy.

Młoda kobieta zdaje się zaniepokojona, bierze ją więc w ramiona.

– Dziękuję, Nuçx'io, że mi pomagasz przypomnieć sobie, kim byłem.

Po czym dodaje:

– ...i wywnioskować z tego, kim jestem.

Chce ją pocałować, ale ona się odwraca.

David szepcze jej do ucha:

– Nie bądź zazdrosna o Yin-Mi-Yan. To się wydarzyło osiem tysięcy lat temu.

– Tak, ale powiedziałaś mi, że ona to nie ja.

– Świat jest duży. Prawdopodobieństwo, że się spotkamy po tak długim czasie, jest znikome.

Nuǰx'ia się cofa.

– Wprost przeciwnie, jest olbrzymie, ponieważ dusze spotykają się rodzinami, życie po życiu.

Nuǰx'ia sięga po grzebień i rozczesuje włosy.

– Dziękuję – powtarza David.

– Za co?

– Za wszystko, czego uczę się dzięki komunikacji z moim dawnym życiem.

– Wszystko jest w nas. Już teraz wiemy wszystko. Sens życia polega właśnie na przypomnieniu sobie, kim naprawdę jesteśmy.

– Przypomnieć sobie to, co już wiedzieliśmy... dziwne wyrażenie.

– Przypomnieć sobie wszystko, co już wiedzieliśmy i... nie powtarzać tych samych błędów.

David znów próbuje ją pocałować.

– Tobie to zawdzięczam, Nuǰx'io.

– Taka jest rola związku: służyć drugiej osobie za lustro, żeby przypomniała sobie, kim jest naprawdę. Ja także pewnego dnia poproszę cię, Davidzie, żebyś mi przypomniiał, kim jestem. Wiem, że nie jestem Yin-Mi-Yan, ale myślę, że żyłam na Atlantydzie. Pozostaje dowiedzieć się, kim byłam dla ciebie w tamtym życiu.

Odepchnąwszy go poprzednio, teraz pozwala mu się

zbliżyć. Kochają się i tym razem David zasypia spokojnie. Myśli o Emmie, która rośnie szybko w laboratorium na dole, i stwierdza, że niesie ona ze sobą rozwiązania, tak jak miniludzie, którzy niegdyś przynieśli rozwiązanie problemu lotów kosmicznych.

Dochodzi do wniosku, że niesłusznie był pesymistą (może z powodu koszulek z prawami Murphy'ego, które nosi porucznik Janicot). W końcu na pewno musi istnieć gałąź przyszłości, na której wszystko się poprawia i sprawy toczą się coraz pomyślniej.

131.

Lina Ramirez, hiszpańska lekarka praktykująca w Egipcie, spotyka się ze swoimi kolegami po fachu w pomieszczeniu socjalnym, gdzie grają w jej ulubioną zabawę: szacowanie liczby zgonów pacjentów. Prywatne zakłady w klinice Nefertari. Każdy poważnie chory ma przydzielony numer. Pielęgniarze obstawiają prawdopodobną datę śmierci dla każdego numeru. Ci, którzy obstawiają poprawnie, rozdzielają między siebie pieniądze tych, którzy się pomylili.

Lina Ramirez przyjechała do Egiptu, żeby zapomnieć o zawodzie miłosnym i nieść pomoc najbardziej potrzebującym, ale szybko zrozumiała, że skoro ma pracować w tej osobliwej klinice, lepiej będzie, jeśli znajdzie sobie rozrywkę wśród tych maruderów, którzy traktują personel medyczny jak służących i potrafią wzywać ich o drugiej nad ranem, prosząc o szklanek wody.

„Zakłady śmierci” stały się więc jej pasją. Spontanicznie wyszła nawet z propozycją pomocy w zarządzaniu tablicami stawek. Dzięki swojej skrupulatności wprowadziła nieco porządku do gry, wyłapała pielęgniarzy, którzy oszukiwali,

trując swoich chorych (żeby ich śmierć przypadła na konkretny dzień). Zyskała tym sobie poważanie pozostałego personelu medycznego kliniki Nefertari, „uwiarygodniając” grę.

Tego pięknego wieczoru najwyżej obstawiano pacjentów z pokoju numer dwadzieścia cztery (rak w fazie terminalnej), numer pięćdziesiąt jeden (faceta, który otrzymał cios nożem w płuco) i numer trzynaście (dziewczynę po próbie samobójczej). Faworytami w tym tygodniu są więc kolejne numery dwadzieścia cztery, pięćdziesiąt jeden i trzynaście. Lina odczuwa nagle rozsiany ból, który rozchodzi się jej po oskrzelach.

Kaszle.

Myśli, że może powinna przestać palić. Kiedy ataki kaszlu się powtarzają, jedna z jej przyjaciółek zapisuje ją dyskretnie na tablicy zakładów na kolejną kolejkę.

Żaden z dwudziestu pracowników kliniki nie będzie żył jednak wystarczająco długo, aby podjąć wygraną, która pozostanie w szklanym pojemniku.

Charlène Oswald, australijska stewardesa, potrzebuje pieniędzy na opłacenie adwokata rozwodowego, co pozwoli jej na odzyskanie opieki nad dziećmi. Bierze więc liczne nadgodziny.

Kiedy tylko opatrzone jej nogę i zabandażowano kostkę, jeszcze tego samego wieczoru wsiada do samolotu, ukrywając ranę pod czarną pończochą.

Pokasłuje, wchodząc do kabiny.

Podawszy ostatnie kawy dwustu trzydziestu pięciu pasażerom lotu z Kairu do Sydney (i zaraziwszy ich wszystkich), odlatuje godzinę później lotem z Sydney do Szanghaju, faszeringując się amfetaminą, żeby nie zasnąć.

Po drodze coraz częściej kaszle.

Już podczas demonstracji postępowania w razie niebezpieczeństwa, przy użyciu maski i kamizelki ratunkowej, mając zajęte ręce i nie mogąc zasłaniać ust dłonią, kicha wystarczająco silnie, żeby spryskać śliną cały przód kabiny. Tu znów system klimatyzacji zajmuje się przeniesieniem miazmatów po całym pomieszczeniu, do klasy biznesowej i do klasy pierwszej.

W Szanghaju Charlène postanawia udać się do szpitala. W ciągu jednego dnia przekazuje swojego wirusa bezpośrednio lub pośrednio wszystkim osobom krążącym po tym szpitalu. Ponieważ jednak nie zapomina o swoich problemach finansowych, nie zostaje tam długo, lecz zażywszy jeszcze więcej amfetaminy dla dodania sobie energii, odlatuje kolejnym lotem z Szanghaju do Moskwy.

W ciągu kilku godzin zostało zarażonych pięć tysięcy osiemset trzydzieści siedem osób.

Wciąż brak jakiegokolwiek reakcji ze strony władz sanitarnych.

Kiedy w niewyjaśnionych okolicznościach w Indonezji pewien samolot spada, a z zapisu czarnej skrzynki wynika, że cała załoga była chora, informacja ginie w administracyjnych meandrach i nie zostaje wszczęte żadne śledztwo.

Kiedy w szpitalach w Egipcie, w Chinach i w Etiopii zauważa się znaczny wzrost śmiertelności, fakt ten nie przykuwa niczyjej uwagi.

W Chinach sto osób ginie w wypadku autobusu: kierowca, rozgorączkowany, stracił nagle kontrolę nad pojazdem. Ten sam scenariusz powtarza się w Australii, w Niemczech, w Indonezji, w Egipcie i we Francji.

Zwłoki są, jak zazwyczaj, pakowane do czarnych worków i gdy opadają emocje, zostaje po nich zaledwie kilka wersów w

„kronice wypadków”.

132. ENCYKLOPEDIA: DŻUMA

Słowo „dżuma” (w języku francuskim *peste*) wywodzi się z łacińskiego *pestis*, co oznacza „zaraźliwa choroba”. W czasach starożytnych określenie obejmowało więc wiele różnych epidemii, w tym tyfus, ospę, odrę, cholere. Później słowo „dżuma” będzie odnosić się już tylko do jednej z tych chorób, powodującej zapalenie węzłów chłonnych – dżumy dymienicznej, wywołanej przez bakterie *Yersinia pestis*.

Wygląda na to, że jej źródła należy szukać w Chinach dwa tysiące sześćset lat temu. Wspomina się o niej w Egipcie, w Izraelu (w Biblii, w Drugiej Księdze Samuela, w rozdziale dwudziestym czwartym, król Dawid zostaje ukarany przez Boga i musi dokonać wyboru między siedmioma latami głodu, trzema miesiącami wojny lub trzema dniami dżumy – wybiera ostatnią możliwość, powodując śmierć siedemdziesięciu tysięcy osób). U Greków „dżuma ateńska” w 430 roku p.n.e. miała zdziesiątkować ludność. Została nazwana „Zemstą Apollona” w *Iliadzie* Homera.

Pierwsza epidemia dżumy dymienicznej, z opisem zapalenia puchnących węzłów chłonnych, pojawiła się za panowania cesarza Justyniana.

Według historyka Prokopa z Cezarei dżuma dymieniczna znajdzie swój początek w porcie u ujścia Nilu w 541 roku, dotrze do Bizancjum w 542 roku, zdziesiątkuje wybrzeża Morza Śródziemnego, po czym wyruszy na równiny na pokładzie statków rzecznych płynących Saoną i Rodanem. Dotrze do Francji, Niemiec i Włoch, wespnie się aż do Irlandii i Anglii, będzie szaleć aż do 592 roku, po czym zniknie nagle bez powodu. Liczba ofiar mogła w tamtym

okresie przekroczyć dwadzieścia milionów osób.

Dżuma dymienicza odrodzi się niszczycielsko jeszcze dwanaście razy, aż w 767 roku wygaśnie bez konkretnej przyczyny.

Pojawi się dopiero sześć stuleci później w Chinach (w Mandżurii), a następnie zostanie przekazana Mongołom. Ci zaatakują miasto Kaffa, znajdujące się pod panowaniem Genueńczyków, na wybrzeżu Morza Czarnego na Krymie. Podczas oblężenia Mongołowie katapultują zarazone dżumą zwłoki nad murami miasta Kaffa, stosując tym samym pierwszą broń bakteriologiczną. Kiedy liczba sprawnych walczących znacznie się zmniejsza w obu obozach, Mongołowie zawierają pokój, a Genueńczycy ponownie wypuszczają swoje statki handlowe na morze, rozsiewając dżumę po portach Europy.

Dżuma jest przekazywana przez dwóch nosicieli zwierzęcych:

- szczury, które same przenoszą,**
- pchły.**

Kiedy pchła ugryzie człowieka, w miejscu ukłucia pojawia się czarna plamka. Następnie zostają dotknięte węzły chłonne, które nabrzmiwiają. Zazwyczaj na szyi, za uszami, pod pachami i w pachwinach. Dotknięty chorobą osobnik gorączkuje, wymiotuje i umiera w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Tak więc szczur jest głównym nosicielem dżumy. W tamtych czasach koty były rzadkością (zwierzę to uważano za złowróbnę i zostało zakazane przez Watykan), a tłuste szczury orientalne wyparły małe czarne szczury europejskie.

Epidemia z 1348 roku (nazwana później „Czarną Śmiercią”) okazała się jeszcze bardziej niszczycielska niż

poprzednie. Wiele osób myślało, że będzie to ostateczna plaga, która całkowicie zniszczy ludzkość. W tekstach z tamtej epoki czytamy: „Brakowało żywych, żeby grzebać martwych”. Historycy oceniają, że śmierć poniosło od trzydziestu do czterdziestu milionów ludzi, przy populacji europejskiej ocenianej na osiemdziesiąt milionów, co oznacza, że niemal co drugi mieszkaniec padł ofiarą choroby, a to pociągnęło za sobą całkowitą dezorganizację, wyludnianie się miast i miasteczek. Nie znając przyczyny choroby, winą za nią obarczano Żydów. Żydzi, którzy hodowali koty, byli lepiej chronieni przed szczurami, tymczasem pozostali mieszkańcy nie rozumieli, dlaczego wśród ich ludności jest mniej ofiar. Zostali wymordowani w wielu miastach we Francji (między innymi w Strasburgu i Carcassonne), w Niemczech, Hiszpanii i we Włoszech. Oskarżano także pasterzy kóz i stajennych (zapach kóz i koni odstraszał pchły), a także tragarzy oliwy, którzy w cudowny sposób opierali się chorobie, gdyż ich tłuste skóry zniechęcały pchły.

Aby walczyć z dżumą, władze miast zatrudniały biczowników, którzy przez trzydzieści trzy dni kaleczyli sobie plecy biczami z gwoździami, śpiewając *Dies irae* (boski gniew) w celu zmycia zbiorowej winy.

Procesje te powodowały wybuchy hysterii i przemocy, dlatego papież Bonifacy IX w końcu ich zakazał.

W trakcie trwania epidemii ludność uciekała z miast, co powodowało jeszcze większe rozprzestrzenianie się bakterii.

Ówczesni lekarze nie znali innego sposobu leczenia oprócz nacinania zakażonych węzłów chłonnych i zalewania ich sokiem z cebuli.

Regulaminy postępowania w czasie epidemii dżumy

pojawiły się dopiero w XV wieku: 1) nie dawać schronienia obcym, 2) izolować chorych, 3) podejrzane statki obejmować kwarantanną.

Trzecia wielka epidemia dżumy wybuchnie w Londynie w 1666 roku i dotknie całą Europę. Przy tej okazji Nostradamus opracowuje maskę gazową zakończoną szpiczastym dziobem, którą lekarze zakładają, aby chronić się przed zatrutym powietrzem. Do wnętrza dziobu wkładano rośliny o właściwościach dezynfekujących (goździk, rozmaryn) albo gąbki nasączone octem lub absyntem.

Podczas wielkiej epidemii dżumy w Chinach, która rozpocznie się w 1894 roku, Alexandre Yersin z Instytutu Pasteura, przebywający wówczas w Hongkongu, wpadnie na pomysł, żeby przekłuć zainfekowany węzeł chłonny, pobrać jego zawartość i przyjrzeć się jej pod mikroskopem. Odkryje wówczas bakterię, która zostanie nazwana od jego nazwiska: *Yersina pestis*.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

133.

– Słyszeliście dobrą nowinę? – woła Pentezylea Kéchichian.

Amazonka wstała pierwsza, zeszła na śniadanie i odruchowo włączyła telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Kiedy pozostali dołączają do niej w jadalni, podkręca głośność odbiornika.

– ...nagle zatrzymanie irańskich czołgów i powrót

oddziałów piechoty do koszar. Informacja pojawiła się równie szybko, jak niespodziewanie. Podobno tuż po ogłoszeniu planowanej „niszczycielskiej” ofensywy oddziały irańskie miały z niej nagle zrezygnować. Niektórzy stratedzy tak wyjaśniają tę zmianę: tajne służby irańskie odkryły, że Izrael mógłby okazać się trudniejszy do podbicia i zniszczenia, niż wydawało się pierwotnie. Powołują się na informację, że Izrael może dysponować tajną bronią nieznaną wysokiej technologii. Oficjalnie rzecznik rządu irańskiego ogłosił, że ofensywa została przesunięta w czasie z powodu niespodziewanej śmierci najważniejszej postaci w państwie, ajatollaha Ferradjiego. Ten tajemniczy człowiek, który nigdy nie pojawiał się publicznie i który oficjalnie nie sprawował żadnej władzy, był mimo to uważany przez niektórych ekspertów za szarą eminencję rządu irańskiego, inni mówili o Jaffarze jako o zwykłej marionetce w rękach Ferradjiego. Izrael chwilowo nie odwołał stanu wyjątkowego najwyższego stopnia, obawiając się, że chodzi o podstęp mający na celu zaskoczyć państwo hebrajskie. W większości zachodnich stolic komentatorzy gubią się w przypuszczeniach. Amerykański prezydent Franck Wilkinson, przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych Avinashi Singh i francuski prezydent Stanislas Drouin (który w tym roku sprawuje również funkcję prezydenta Europy) z ulgą przywitali chwilowe uspokojenie w tej ważnej strategicznie i ekonomicznie strefie, decydującej w kwestii pokoju na świecie. Inne kraje, jak Wenezuela, Kuba, a także Korea Północna i Sudan, wyraziły żal, że Iran zrezygnował ze swojego „odważnego i uzasadnionego projektu”. Tymczasem ze względu na uroczystości pogrzebowe ajatollaha Ferradjiego irańscy studenci przystali na dzień przerwy w manifestacjach. Wygląda na to, że napięcie nieco opadło. W każdym razie pociągnęło to za sobą wzrost indeksów

giełdowych na większości rynków międzynarodowych. Cena ropy ustabilizowała się, podobnie jak notowania większości przedsiębiorstw związanych z przemysłem zbrojeniowym.

Pułkownik Ovitz wyłącza głos, podczas gdy na ekranie pojawiają się obrazy prezydentów wygłaszających oficjalne deklaracje. Zapala papierosa w długiej jaspisowej lufce i zaciąga się nerwowo.

Znajdujący się obok niej Martin Janicot ma na sobie jedną ze swoich nieśmiertelnych koszulek, ale napisy są ukryte pod szlafrokiem. Kiwa głową z satysfakcją.

– Mam wrażenie, że pani naturalny pesymizm doznał zawodu, pułkownik Ovitz – stwierdza Pentezylea.

– Prawdę mówiąc: tak. Chciałabym zrozumieć.

– Chociaż raz w życiu mogłaby pani wrzucić sobie na luz. Wojna skończyła się, zanim się jeszcze zaczęła, to wspinała wiadomość, czyż nie? Można by pomyśleć, że wołałaby pani, aby doszło do wojny, żeby móc oświadczyć: „A nie mówiłam?”.

Natalia Ovitz spogląda na nią, po czym na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

– To mi wygląda na wycofanie się, żeby następnie lepiej skoczyć, ale ma pani rację, trzeba umieć doceniać przerwy. Prawdopodobnie niesłusznie martwię się o ludzkość. Tej zawsze udaje się – naturalnie lub przypadkiem – znaleźć rozwiązania wszystkich problemów.

Rozchyła szlafrok Martina i wszyscy mogą wreszcie przeczytać napisy na jego koszulce:

29. W nauce leży prawda. Nie ulegajcie obserwacjom faktów, które mogłyby jej zaprzeczać.

30. Kiedy jakieś doświadczenie potwierdza waszą teorię, nie próbujcie nigdy przeprowadzać go ponownie w obecności świadków. Szanse, że uda się to po raz drugi, są odwrotnie

proporcjonalne do liczby świadków, których zaprosicie.

31. Żadne doświadczenie nie jest ZUPEŁNĄ porażką, może służyć za przykład dla innych, jak nie należy postępować.

Wszyscy się uśmiechają.

Wojskowy pozostaje niewzruszony, jak gdyby nie musiał nic dodawać do tego, co zostało napisane.

W tym momencie mikrocłowiek Emma, która najwyraźniej odbiera ogólną energię grupy, zaczyna wesoło gaworzyć. Wszyscy wybuchają pełnym wzruszenia śmiechem i po raz pierwszy czują odprężenie i spokój.

Porucznik Janicot wyciąga z kieszeni pudełko i otwiera je. Wewnątrz znajdują się czekoladki. Ten prosty gest polegający na częstowaniu słodkim jedzeniem jednoczy ich w chwili przyjemności.

– Wiedziałam, że ma pan jakąś słabość, poruczniku, ale nie wiedziałam, że są nią czekoladki – szepcze rozbawiona Aurore.

– Spójrzcie, Emma również chce spróbować.

Dziewczynka wyciąga rączki w stronę smakołyków owiniętych w lśniący złoty papier, otwierając i zamykając dłonie.

– Nie jest trochę za młoda, żeby to jeść?

Ale mikrocłowiek już sięga małutkimi dłońmi w stronę kuszących kulek.

134.

Przypominałyby małe brązowe pralinki, gdyby nie były najeżone wypustkami zakończonymi białymi ziarenkami.

Profesor Harvey Goodman robi zbliżenie mikroskopem elektronowym, zaskoczony widokiem struktur o kształcie ziemniaka, które obracają się przed nim na ekranie komputera. Kołyszają się w powolnym tańcu. Jasne narośle przenikają

skurcze, a ich końcówki otwierają się niczym tysiące małych ust szukających komórek ludzkiego systemu oddechowego, do których mogłyby się przykleić.

– *My God!* – woła.

Okulary spadają mu na ziemię, podnosi je. Profesor Goodman z oddziału epidemiologicznego szpitala w Los Angeles pierwszy zaczął podejrzewać zarazek.

Krótki czas inkubacji, a także gwałtowność choroby, jaka zaatakowała niejakiego Billa Prestona, wydały mu się osobliwe. Poprosił o dokumentację chorego i odkrył, że pacjent leczył się dzień wcześniej w pewnej egipskiej klinice. Na tym etapie śledztwa Harvey Goodman stawiał na jeden z pasożytów, jakie znajduje się w piramidach i jakie dały początek mitom typu „klątwa faraona”, zwalających z nóg wszystkich badaczy otwierających grobowce. Myślał o grzybie. Aż nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

„Wirus?”

Idąc tropem swojej intuicji, doktor Goodman sprowadził zwłoki Billa Prestona do sterylnej sali badań i pobrał pierwsze próbki. Z zaskoczeniem odkrył, że kapitan Preston nie tyle zmarł na grypę, ile na grypę nieco inną od tych, z jakimi do tej pory się spotkano.

Ponieważ Bill Preston wracał z Kairu, profesor Harvey Goodman, amator literatury fantastycznej typu *Opowieści z krypty*, wkrótce postanowił, że nada tej nowej dolegliwości nazwę o egzotycznym brzmieniu: „grypa egipska”.

Podejrzewa, że chodzi o bardzo starą grypę, która zabijała faraonów, a teraz odrodziła się w wyniku wizyty w piramidzie. Oznaczałoby to, że wirus może czekać w uśpieniu tysiące lat i obudzić się, kiedy temperatura lub środowisko na to pozwolą.

Profesor Goodman prosi, żeby złożono ciało do szczelnego

przeźroczystego sarkofagu, po czym dzwoni do swojego dyrektora.

– Halo, Nick? Chyba dostanę Nobla przed tobą. Odkryłem niesamowitą chorobę, która zmieni świat. Chodzi o nową, mutującą odmianę grypy. Wydaje się bardzo stara, a mimo to jest znacznie bardziej rozwinięta niż wszystkie te, które do tej pory poznaliśmy. Paradoks polega na tym, że zdaje się pochodzić sprzed wieków, a tymczasem jest jak „nowa”. Będziemy musieli przejść samych siebie, żeby ją pokonać. Zabieram się natychmiast do pracy.

Opisuje przełożonemu symptomy i obserwacje dokonane przy użyciu mikroskopu elektronowego, po czym wysyła mu dane i obrazy przez Internet. Na drugim końcu linii telefonicznej dyrektor gratuluje mu i stwierdza, że mu się poszczęściło. Po zakończeniu rozmowy dyrektor kontaktuje się z kolei ze swoim przełożonym i przekazuje mu nowinę, wspominając, że jego dział, ze względu na wagę odkrycia, powinien otrzymać dodatkowe środki. Przełożony robi to samo ze swoim przełożonym i tak dalej.

Trzy godziny po tym, jak profesor Goodman odłożył słuchawkę, kiedy właśnie otwiera butelkę szampana, żeby uczcić wydarzenie w gronie rodziny, pewien mężczyzna wkrada się przez otwarte okno willi. Wyciąga broń z tłumikiem, a następnie strzela do profesora Goodmana i do wszystkich członków jego rodziny obecnych przy nim tego dnia.

Wysyła esemesa, w którym napisał po angielsku: „Zrobione”.

Następnie morderca wznieca pożar, który niszczy dom i zwłoki.

Kilka minut później dyrektora szpitala również spotyka ten sam los, podobnie jak wszystkich pośredników, którzy

przekazywali informację o istnieniu „grypy egipskiej”. Za każdym razem ogień dokańcza kryminalnego dzieła.

135.

Sprawdza, czy hamburgery są dobrze wysmażone, tak jak lubi, czy cebula i kwaśny korniszon są na swoim miejscu, po czym składa razem ponownie dwie kromki chleba, otwiera szeroko usta i pochłania kanapkę. Amerykański prezydent Franck Wilkinson żałuje, że nie może poświęcić więcej czasu na jedzenie, ale wie, że musi się pospieszyć. Ma przed oczami wiadomość od swojego agenta, przysłaną na osobistego smartfona. Załatwione.

Myśli o tych wszystkich ludziach, którzy prawdopodobnie zginęli tylko dlatego, że za wcześnie zrozumieli coś ważnego, po czym wzrusza ramionami. Wyciąga dłoń w stronę słuchawki telefonu stojącego na jego wielkim biurku, podnosi ją.

– Połączcie mnie z prezydentem Republiki Francuskiej, bardzo proszę.

Czeka, żując zwęglone mięso.

– Halo, Stan? Tu Franck.

– Miło cię słyszeć, Franck. Wszystko w porządku?

Francuski prezydent doskonale włada angielskim. Obaj mężczyźni znają się i nauczyli się cenić siebie nawzajem w wyniku licznych spotkań podczas międzynarodowych zgromadzeń.

– Chyba mamy drobny problem, Stan. Chciałem ci o tym powiedzieć, zanim wybuchnie afera.

– Słucham cię, Franck...

– Hm... to świeża sprawa, ale chciałem, żebyś był na bieżąco i zastanowił się nad postępowaniem.

– Chodzi o kryzys irański? Niespodziewane zawieszenie

działań wojennych jest nam raczej na rękę. Podejrzewam, że zawdzięczamy to jednej z misji twoich tajnych służb, prawda?

Prezydent Wilkinson przelyka kolejny kęs spalonego mięsa. Popija wodą sodową.

– Nie, to nie my. Umieściliśmy system nadzoru w pomieszczeniu bunkra, w którym wszystko się rozegrało. Ajatollah i generałowie zginęli, ale nie mamy z tym nic wspólnego.

– Czyżby zadziałały tajne służby izraelskie?

– Rozmawiałem z nimi przez telefon, byli równie zaskoczeni, jak ty. Zdaniem naszych najbardziej wiarygodnych źródeł podobno śmierć oficerów irańskich oraz przywódców grup terrorystycznych miała inną przyczynę. Dlatego też do ciebie dzwonię.

Zapada cisza. Prezydent Wilkinson znów wgryza się w hamburgera.

– Może chodzić o... grypę.

– Żartujesz.

– Słuchałem nagrań. Uczestnicy spotkania mocno kaszleli. Próbowali opuścić bunkier, ale system bezpieczeństwa (północnokoreański sprzęt) nie zadziałał poprawnie.

– Grypa? Przechodzę ją co roku, wydaje się raczej niegroźna.

– Zdaniem naszych specjalistów chodzi o nowy, nieznanym rodzaj grypy. Nasi naukowcy, którzy zidentyfikowali ją pierwsi, nazwali ją „grypą egipską”. To grypa typu A-H1N1.

– A-H1N1? Taką nazwę przypisano już grypie z 2009 roku. Twierdzono, że jest śmiertelna, ale okazała się nieszkodliwa.

– O ile dobrze zrozumiałem to, co mi wyjaśnił mój ekspert w tej dziedzinie, grypa to kombinacja ośmiu genów pracujących w grupie. Są niczym drużyna futbolowa. Składa się z graczy i

rezerwowych. Kiedy drużyna przegrywa albo ma trudności z odniesieniem zwycięstwa, wymienia jednego z graczy na „rezerwowego”. Daje jej to zastrzyk dynamizmu i zmusza drużynę przeciwnika, czyli limfocyty, do dostosowania się. Tak jest właśnie w wypadku sezonowej grypy, na którą co roku musimy zmieniać szczepionkę, aby stawić czoła zmienionej drużynie.

– Póki co wszystko jasne, Franck.

– Ale w wypadku tej nowej „grypy egipskiej” wszyscy z ośmiu graczy są rezerwowymi, a więc nasz organizm nie zna żadnego z nich, jest wzięty z zaskoczenia. Może odpierać ataki drużyny z jednym lub dwoma nieznanymi graczami, ale nie z ośmioma.

Francuski prezydent usiłuje nie dać się prześcignąć koledze w kwestii wiedzy naukowej.

– Znamy sposoby na wspieranie limfocytów w walce z nowymi graczami przeciwnika, są nimi antybiotyki, o ile mi wiadomo.

– One nie działają na wirusy.

– A więc leki antywirusowe. Tamiflu?

– Hm... Przetestowaliśmy już tamiflu na grypie egipskiej. Bez sukcesu. Prawdę mówiąc, wypróbowaliśmy już wszystkie znane leki antywirusowe. Nic nie działa.

Zgarnia i obraca w palcach żetony do pokera.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnego sposobu na zwykłego wirusa grypy?

– Od czasu porażki z alarmem w sprawie grypy z czerwca 2009 roku, o której wspomniałeś chwilę temu, Stan, badania nad nowymi lekami antywirusowymi zostały wstrzymane. Każdy boi się ośmieszyć. Obawiam się jednak, że tym razem...

– Naprawdę twierdzisz, że istnieje ryzyko światowej

pandemii?

– Prawdę mówiąc, nie chodzi już o ryzyko. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Do tej pory odkryliśmy zachorowania na „grypę egipską” w dwunastu krajach. Zanim zdążyliśmy pomyśleć o systemie zabezpieczeń na granicach, wirus rozprzestrzenił się za pośrednictwem wszystkich lotnisk. Nie udało nam się stworzyć skutecznej kwarantanny.

Zapada cisza.

– Czyli to grypa zabiła irańskich generałów i ajatollaha w bunkrze?

– Nasze tajne służby mają co do tego pewność.

Uniknęliśmy jednego problemu, ale spadł na nas inny. W Stanach Zjednoczonych oczywiście umieściliśmy w szpitalach wojskowych wszystkich chorych z rozpoznaną infekcją. Ale nasza granica z Meksykiem nie jest hermetyczna, nieustannie przyływają na barkach ludzie z Kuby, granica kanadyjska również nie jest szczelna. Poza tym...

Wzdycha.

– Co się dzieje?

– Zdaniem mojego eksperta istnieje również ryzyko przenoszenia choroby przez ptaki migrujące.

Amerykański prezydent słyszy wyraźnie, jak jego francuski odpowiednik opada ciężko na fotel.

– Zazwyczaj to ptaki zarażają człowieka, a nie odwrotnie, ale tym razem... to działa w obie strony. Określa się to mianem „zoonozy”. Zarażamy ptaki, a ptaki przekazują nam infekcję z powrotem. Możemy spowolnić migracje ludności, ale nie jesteśmy w stanie zestrzelić wszystkich kaczek, gołębi, szpaków i wróbli.

– A one przekraczają wszystkie granice bez cła i paszportu. Kolejne westchnienie.

– Jakie są konkretne zagrożenia, Franck?
– Optymistyczny scenariusz zakłada, że możemy mieć kilka tysięcy ofiar, jak w wypadku grypy z 2009 roku.

– A scenariusz pesymistyczny?
– Ten wirus jest równie agresywny, jak hiszpanka z 1919, w wyniku której śmierć poniosło sto milionów osób, czyli jeden procent ludzkości. Wirus nie okazał się jeszcze bardziej niszczycielski, ponieważ w tamtych czasach ludzie podróżowali mniej i wolniej niż dzisiaj.

Amerykański prezydent słyszy jeszcze jedno głębokie westchnienie swojego słuchacza.

– Czego ode mnie oczekujesz, Franck?
– Obecnie naszym najgorszym wrogiem byłaby panika. Ludzie zaczęliby uciekać, przyspieszając rozprzestrzenianie się choroby.

– Rozumiem.
– U nas kilka osób, które mogłyby powiadomić dziennikarzy, zostało... hm... unieszkodliwionych. Nawet najważniejsi naukowcy, których podejrzewaliśmy o przesadną gadatliwość, zostali wyeliminowani. Jak to się u nas mówi, „cel uświęca środki”.

– Jesteśmy już na tym etapie?
– Zamknij usta mediom. Wydaje mi się, że we Francji są one jeszcze bardziej posłuszne niż u nas.
– Coraz mniej, Franck, coraz mniej.
– Spróbuj zachować tajemnicę najdłużej, jak to tylko będzie możliwe.

– Zaczynam prawie żałować, że Irańczycy zrezygnowali z wypowiedzenia trzeciej wojny światowej – wzdycha francuski prezydent.

– Podoba mi się twoje typowo francuskie poczucie humoru,

Stan. Sądzę, że w ciągu najbliższych dni, jeśli zabraknie nam pomysłów na rozwiązanie problemu, bardzo się nam ono przyda. Na razie nic nie może wyciec, rozumiemy się?

– Możesz na mnie liczyć, Franck.

– Przykro mi, że dzwoniłem z tak złą nowiną, Stan. Przekaż pozdrowienia swojej żonie i módlmy się, żeby wszystko jak najszybciej się ułożyło.

Francuski prezydent rozłącza się oszołomiony.

– Cholera.

136.

„Limfocyt 11” eksplodował podczas lotu...

Ludzie mimo dobrej woli okazali się nieudacznikami.

A ja się niecierpliwiłam.

Księżyc, na który patrzyłam teraz przez ich teleskop, zdawał się kpić ze mnie – widziałam to na jego okrągłej, bladej twarzy usianej kraterami po asteroidach. Miałam wrażenie, że mówi: „Pojawi się inna Teja i tym razem ci się nie upiecze. Rozprysniesz się na tysiąc kawałków i zmienisz w pas asteroid na orbicie Słońca”.

Moją jedyną bronią byli ludzie, ale nic im się nie udawało. Potrzebowali lekkiego wsparcia.

Postanowiłam zmienić sposób postępowania.

Zamiast pomagania i nagradzania należało teraz zacząć ich karać.

Chcąc zmusić gatunki do ewoluowania, stosowałam w tamtych czasach dwie metody: trzęsienia ziemi i wzywanie na pomoc moich pierwszych lokatorów: drobnoustroje.

Tym razem postanowiłam użyć tego drugiego sposobu.

Doprowadziłam do mutacji pewnej bakterii, tak aby stała się niszczyielska. Nazwałam ją „bakterią cholery”. Przez czysty

przypadek, znacznie później, ludzcy naukowcy nazwą ją Vibrio cholerae. Albo po prostu: cholera.

137.

Pierwsze ciężarówki pojawiają się o siódmej rano. Mężczyźni wyładowują przed bramą centrum w Fontainebleau liczne skrzynie i pudła.

Pułkownik Ovitz nalegała, żeby magazynierzy nie przekraczali progu Narodowego Instytutu Badań Rolniczych i żeby wyjechali, nie kontaktując się z badaczami.

– Czy możemy się dowiedzieć, o co chodzi? – pyta Aurore Kammerer.

Natalia nie odpowiada. Daje znak Martinowi Janicot, że może wkroczyć do akcji. Uzbrojony w rozpylacz porucznik spryskuje wszystkie skrzynie cieczą o silnym zapachu amoniaku. Następnie przy użyciu wózka widłowego zaczyna przewozić je na teren ośrodka. Ustawia je w olbrzymich magazynach na tyłach budynku.

– Żadnego wstępnego wyjaśnienia? – pyta Pentezylea Kéchichian.

Pułkownik Ovitz staje naprzeciw znacznie przewyższającej ją wzrostem kobiety.

– Proszę przyjść do jadalni.

Zajmują miejsca wokół stołu.

– Użyję określenia Aurore, ponieważ doskonale pasuje ono do sytuacji: „Mam dobrą i złą nowinę”.

Zapala papierosa i wydmuchuje gęsty dym.

– Dobra jest taka, że otrzymałam potwierdzenie, że nie dojdzie do trzeciej wojny światowej. W każdym razie nie w tym tygodniu.

– A zła? – niecierpliwi się Pentezylea.

– Macie odtąd surowy zakaz opuszczania terenu centrum Narodowego Instytutu Badań Rolniczych w Fontainebleau.

– Ależ Natalio, proszę przestać być taką tajemniczą – denerwuje się Aurore.

– Jesteśmy tu, żeby pracować nad ewolucją gatunku, ale nie jesteśmy jedyni. Nasi najstarsi konkurenci postanowili zmusić nasz gatunek do ewolucji na własny sposób.

– Jacy najstarsi konkurenci?

– Najbardziej archaiczni być może.

– Małpy?

– Jeszcze dawniejsi.

– Lemury?

– Jeszcze dawniejsi.

– Jaszczurki?

– Znacznie dawniejsi.

– Ryby?

– Wirusy.

Natalia znów wydmuchuje kółko z dymu.

– Oto zła nowina. Nie została jeszcze ogłoszona publicznie, ale będziemy mieć do czynienia z epidemią wirusa grypy typu A-H1N1, która narobi sporo szkód. Otrzymałam informację od kolegi z rządu. Na razie wiadomość jest ściśle tajna, ale sądzę, że za dwadzieścia cztery godziny będą zmuszeni podjąć konkretne działania. Zgodnie z pierwszymi szacunkami mamy już do czynienia z wieloma tysiącami ofiar śmiertelnych.

Emma budzi się w swoim wózekczku i zaczyna skarżyć się, dając tym do zrozumienia, że jest głodna. Aurore natychmiast przynosi jej ciepłą butelkę.

– Mamy szczęście – mówi Natalia Ovitz. – Wydaje mi się, że nasze pokolenie będzie świadkiem wielkich zmian. Śmierć i życie przyspieszają swój bieg.

Porucznik Janicot przynosi jedną ze skrzyń, otwiera ją i wyciąga z niej puszki z soczewicą, które ustawia w przestronnej szafie.

– Jedyna drobna niedogodność polega na tym, że być może będziemy zmuszeni do jedzenia konserw codziennie, przez wiele miesięcy. Co do reszty, będziemy normalnie funkcjonować, obserwować wzloty i upadki naszego gatunku z dystansu, na ekranach telewizorów.

Mała Emma gaworzy w typowy dla siebie sposób.

– Proponuję, żebyśmy pracowali do dwudziestej. I dopiero o tej godzinie pozwolimy sobie na obejrzenie wiadomości. Jeśli chodzi o jedzenie, gotować będzie porucznik. Poprosiłam go, żeby przygotowywał na zmianę konserwy mięsne, rybne i makaron. Istnieje ryzyko, że w najbliższych dniach będziemy jeść dużo spaghetti.

Zebrani nie protestują.

– Spójrzcie na pozytywny aspekt tej sytuacji: zostaliśmy poinformowani kilkadziesiąt godzin przed resztą ludności i mamy możliwość się zabezpieczyć. Ponadto produkujemy tu globalne rozwiązanie tego typu „incydentu”.

Wskazuje mikrodziecko ssące butelkę.

– Czy *Homo metamorphosis* nie powinno posiadać wydajniejszego systemu immunologicznego niż *Homo sapiens*?

Aurore przerywa jej.

– Ale o czym my tu mówimy? O grypie? Przecież ta choroba zawsze istniała. Jest uleczalna.

Pułkownik Ovitz spogląda na nich.

– Ta nie jest. Jak już mówiłam, jest agresywna i naprawdę gwałtowna.

Wszyscy patrzą, jak porucznik Janicot niewzruszenie układa konserwy.

– Ptaki również są nosicielami. Do dziś nie udało się znaleźć na nią sposobu. Jediną możliwością zabezpieczenia się jest... izolacja. Dlatego sprowadziłam w trybie pilnym konserwy, makaron, cukier, oliwę, mąkę, witaminy, wodę, środki dezynfekujące, stroje antybakteryjne, a także broń, na wypadek gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Mała Emma gaworzy radośnie, jak gdyby usłyszała zabawny dowcip.

– Przykro mi, ale jeśli chcemy pozostać przy życiu, musimy na dłużej zamknąć się w tym sanktuarium.

Wydmuchuje kólecze dymu.

– Zdaniem tych „tajnych dobrze poinformowanych” źródeł jak długo to może trwać? – pyta David.

– Dopóki nie zostanie znalezione serum, na bazie którego powstanie szczepionka. Zazwyczaj zajmuje to około sześciu miesięcy. W każdym razie taki okres założyłam, zamawiając zapas pożywienia.

Spoglądają po sobie z niedowierzaniem.

– Mówi pani... poważnie? – pyta Pentezylea.

David wstaje i zakłada kurtkę.

– Co robisz, Davidzie?

– Muszę iść ratować matkę.

– Nie. Zostaniesz tutaj.

Na znak Natalii Ovitz olbrzym Janicot przytrzymuje młodego naukowca. Chcąc się wyswobodzić z uścisku masywnego przeciwnika, David próbuje uderzyć go w twarz i ugryźć. Ale góra mięśni unika jego paznokci i zębów, po czym spokojnie wnosi go na piętro, jakby był lalką.

Umieszcza go w jednym z pokoi i zamyka na klucz, po czym schodzi do jadalni.

– Przykro mi – powtarza Natalia, zwracając się do

pozostałych. – W obliczu wyjątkowej sytuacji będziemy zmuszeni do przeprowadzenia wyjątkowej adaptacji.

138. ENCYKLOPEDIA: FEMINIZACJA JASZCZURKI

Lepidodactylus lugubris jest małą jaszczurką z rodziny gekonów, którą można spotykać na Filipinach, w Australii i na wyspach Pacyfiku. Zdarza się, że zwierzę to jest wsysane przez tajfuny i trafia na małe bezludne wyspy. Kiedy przytrafia się to samcowi, nie pociąga to za sobą żadnych konsekwencji, zwierzę umiera i gatunek znika z wyspy.

Kiedy jednak na wyspie ląduje samica, następuje osobliwa adaptacja, jakiej żaden naukowiec nie zdołał jeszcze wyjaśnić. Chociaż *Lepidodactylus lugubris* jest zwierzęciem funkcjonującym w związku samca z samica, a więc heteroseksualnym, kiedy na wyspie znajdzie się samotna samica, dokonuje się modyfikacja jej sposobu rozmnażania się. Jej organizm przechodzi metamorfozę, umożliwiając jej złożenie niezapłodnionych jaj zawierających mimo wszystko płody.

Małe jaszczurki powstałe w wyniku partenogenezy (poczęcie bez pomocy partnera) wszystkie są samicami. Te ostatnie automatycznie nabywają zdolność składania jaj w ten sam sposób, bez zapłodnienia przez samca. Co jeszcze bardziej zadziwiające: samice urodzone z pierwszej matki nie są jej klonami. Zachodzi fenomen zwany „mejozą”, który umożliwia powstanie mieszanki genetycznej zapewniającej różnorodność cech u każdej nowej samicy. Po kilku latach wyspa zostaje skolonizowana przez w pełni sfeminizowaną populację jaszczurek *Lepidodactylus lugubris*. Nie mają żadnych wad. Cieszą się idealnym zdrowiem, różnią się od

siebie rozmiarami i barwą skóry. Uwaga: inną formę spontanicznej partenogenezy odkryto ostatnio wśród rekinów. Zaobserwowano wiele przypadków samic rekina (szczególnie samic rekina tygrysięgo zamkniętych samotnie w akwariu w jednym z hotelów w Dubaju w 2012 roku), które zaczęły wydawać na świat młode, nie zetknąwszy się z żadnym partnerem. Ta zdolność samodzielnego rozmnażania się wyjaśnia zapewne, dlaczego rekiny przeżyły czterysta milionów lat tam, gdzie inne gatunki, niezdolne do podobnej mutacji, wyginęły.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

(powtórzenie z tomu V, aktualizacja: Charles Wells)

139.

Pod wpływem bakterii Vibrio cholerae jedna dziesiąta populacji ludzkiej zniknęła – i to w niezwykle bolesny sposób, gdyż bakteria wywoływała ostre i bardzo obfite biegunki prowadzące do odwodnienia.

Nie istniała przed nią żadna osłona oprócz czekania, aż odosobnienie spowolni, ostatecznie zaś zatrzyma rozprzestrzenianie się choroby.

Ludzie byli inteligentni, zrozumieli, że to ja wykonałam ruch. Po pewnym czasie doszli do wniosku, że przyczyną była porażka rakiety „Limfocyt 11”. Słusznie się domyślili, że byłam zawiedziona i że mi się spieszyło.

Zamiast mieć mi to za złe, postanowili lepiej się przyłożyć i w końcu mnie zadowolić. Przyspieszyli prace nad konstrukcją

nowej rakiety, która mogłaby unieść załogę i ładunek nuklearny, zapewniając im lepsze warunki bezpieczeństwa. Ból i strach potrafią dobrze wpłynąć na ludzi.

Ocalali wzięli się do pracy.

Biorąc pod uwagę mój ówczesny stan umysłu, gdyby po raz kolejny im się nie udało, byłam gotowa ich zastąpić, jak to już uczyłam z dinozaurami.

140.

Ciepła noc ogarnęła miasta i wsie.

David spędził cały dzień, łomocząc w drzwi pokoju, w którym został zamknięty. W południe porucznik Janicot przyniósł mu tacę z obiadem. David znów na niego skoczył i się pobili, ale kolos ponownie z łatwością wziął nad nim górę. W porze kolacji powtórzyła się ta sama sytuacja. Porucznik wiedział, że David się nie podda. Jego jedynym zmartwieniem było, jak nie pozwolić mu uciec, nie robiąc mu krzywdy.

Znużony walką David w końcu zasnął, wściekły, lecz bezsilny. Dręczyła go świadomość, że jego matka znajduje się w niebezpieczeństwie. Nagle obudził go odgłos przekręcanej w zamku klucza. Unosi się na łokciu, spogląda na cyfrowy zegar, który wskazuje osiem minut po ósmej rano.

– Nuçx'ia? – pyta.

Ale postać wydaje się wyższa. Rozpoznaje Aurore.

– Szybko, chodź za mną – szepcze.

Nie tylko zdobyła klucz do pokoju pełniącego funkcję więzienia, ale również do jego samochodu. Oświetlając sobie drogę blaskiem ekranu smartfona, docierają do garażu.

David siada za kierownicą swojego terenowego hyundaia i szykuje się do odjazdu, ale Aurore daje mu znak, żeby poczekał. Wysiada z samochodu, po czym wraca z dwiema strzelbami,

dwoma rewolwerami i dwoma kombinezonami antybakteryjnymi z przezroczystymi okrągłymi kaskami do kompletu.

– Założmy tylko stroje, kasków użyjemy, jeśli okażą się niezbędne.

Spoglądają po sobie zaniepokojeni. David zauważa, że młoda badaczka bardzo zmieniła się od czasu ich pierwszego spotkania na Sorbonie. Jej złociste oczy rozjaśniły się, włosy zaś pociemniały i urosły aż do ramion.

– Dlaczego to robisz, Aurore?

– Poproszę cię również, żebyś wstąpił po mojego ojca – odpowiada, rozbierając się, żeby założyć strój ochronny na bieliznę.

David rozbiera się do bielizny i wciąga odblaskowy pomarańczowy kombinezon, do którego kołnierza można przymocować kask. Przekręca kluczyk w stacyjce. Kiedy są już na dziedzińcu, chihuahua zaczyna szczekać, lecz nie dość przekonująco, żeby obudzić pozostałych. Wreszcie dwoje młodych ludzi mija bramę centrum Narodowego Instytutu Badań Rolniczych.

Jadąc, włączają radio, żeby posłuchać wiadomości.

141.

– ...łączę się teraz z naszym specjalnym korespondentem. Stéphane?

– W Rosji ogłoszono, że dzięki kilku rozmowom telefonicznym i poważnym argumentom dyplomacja rosyjska zdołała przekonać irańskich przywódców do zrezygnowania z wojny, która mogłaby okazać się zgubna w skutkach dla istniejącego reżimu. Tutaj mówi się już o Pokojowej Nagrodzie Nobla dla rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Sokołowa.

– Dziękuję, Stéphane. Jak sytuacja wygląda w Chinach, Patrick?

– Chiny cieszą się z tego, że Iran zrezygnował z wojny, ale zapewniają, że – zgodnie z nową polityką „perskiej szczeliny” – będą dostarczać reżimowi ajatollahów broń najnowszej generacji, upewniając się co do jej zastosowania wyłącznie w celach obronnych.

– Przechodzimy do naszego korespondenta w Izraelu. Judith?

– Izrael nadal ma wątpliwości. Najwyższy stopień alarmu wciąż jest utrzymywany. Rząd izraelski sądzi, że chodzi o podstęp, który ma na celu atak z zaskoczenia. Zgodnie z zaleceniami ministra obrony ludność się ukrywa. Życie toczy się wokół racji żywnościowych, telewizorów i komputerów podłączonych do Internetu. Armia od niedawna prowadzi akcję szczepień w związku z możliwością zakażeń bakteriologicznych. Zdaniem tajnych służb izraelskich Iran miałby bowiem utrzymywać laboratoria, w których są opracowywane środki zakaźne o dużej sile rażenia. Ulice są wyludnione, krążą po nich jedynie jeepy policyjne wzywające ludzi do pozostawania w domach i uszczelniania drzwi oraz okien.

– Dziękuję, Judith. Teraz nasz korespondent w Teheranie. Georges?

– Tutaj, w Teheranie, antyreżimowi manifestanci ustąpili miejsca manifestującym zwolennikom reżimu i przeciwnikom Izraelczyków, w większości strażnikom rewolucji i policjantom w cywilu, którzy skandują: „Śmierć Izraelowi”, „Śmierć Ameryce”, „Śmierć Żydom”, „Śmierć krzyżowcom”, „Śmierć chrześcijanom”, depcząc flagi albo wieszając psy w maskach przywódców amerykańskich lub izraelskich. Ze swojej strony manifestujący przeciw reżimowi woleli odwołać mobilizację w

oczekiwaniu na koniec kryzysu militarnego. Wydaje się jednak, że siła akcji „Gdzie się podział mój głos?” została całkowicie przystopowana w obliczu zagrożenia wojną.

– A na froncie wojskowym?

– Nie ma już żadnych informacji od rządu, wygląda na to, że cały aparat państwa trwa w oczekiwaniu. Wielu sądziło, że chodzi o przygotowanie potężnej ofensywy, lecz przeciągająca się cisza budzi nadzieję w pacyfistach wciąż jeszcze obecnych w kraju.

– Dziękuję, Georges. Być może trzecia wojna światowa, potencjalnie nuklearna, nie wybuchnie. Na to w każdym razie wszyscy liczymy. Naturalnie będziemy co kwadrans podsumowywać sytuację i potwierdzać te informacje. Przejdźmy teraz do innych ważnych wiadomości.

PIŁKA NOŻNA: Rozpoczęły się rozgrywki w ramach Pucharu Europy i oczywiście Włochy wydają się wielkim faworytem tych zawodów, które zorganizowano tuż po mistrzostwach świata w Rio de Janeiro. Z tej okazji Rzym, który oficjalnie uchodzi za miasto na skraju bankructwa, zakończył budowę największego boiska do gry w piłkę nożną na świecie, słynnego stadionu Caesar Imperator. Wygrywa on z Maracana w Rio, który dysponuje dwustoma tysiącami miejsc, i Rungnado May Day Stadium w Pjongjang, który do tej pory uważany był za największy stadion świata, liczący dwieście pięćdziesiąt tysięcy miejsc. Caesar Imperator może pomieścić czterysta tysięcy osób!

POLITYKA WEWNĘTRZNA: Prezydent Stanislas Drouin ogłosił, że ponieważ kraj nie osiągnął przewidzianego poziomu wzrostu gospodarczego, konieczne jest zwiększenie długu narodowego. Ten zaciągany jest głównie u Chińczyków i w krajach wydobywających ropę naftową, ale Francja ma zamiar

negocjować warunki, chcąc otrzymać jak najkorzystniejsze oprocentowanie kredytu. Ze swojej strony Stanislas Drouin włączył się w działania mające na celu obniżenie kosztów utrzymania państwa, nie zastępując urzędników odchodzących na emeryturę nowymi i zmniejszając budżet armii i policji oraz fundusze przeznaczone na badania naukowe, edukację i kulturę. Ogłosił, że te drastyczne i uciążliwe środki były konieczne, aby nie zadłużać jeszcze bardziej Francji i nie narażać jej przyszłości. „Trzeba spojrzeć na nasz kraj jak na balon, który musi stracić swój balast, żeby wznieść się wyżej w powietrze – powiedział prezydent. – Pięć milionów urzędników dużo waży i utrudnia naszemu krajowi postęp”. W ramach równoważenia budżetu prezydent Drouin zaproponował również wzrost podatków, a konkretnie dziewięćdziesięcioprocentowy podatek dla osób o najwyższych dochodach. „Tym sposobem nikt mi już nie zarzuci, że niewystarczająco obciążam bogatych” – oświadczył.

AFERA Z GRYPĄ EGIPSKĄ: Po tym, jak w Internecie rozeszły się alarmujące pogłoski, minister zdrowia zwołał wczoraj po południu konferencję prasową, podczas której ogłosił: „Chodzi o zwykłą grypę sezonową, która dotknie osoby starsze, małe dzieci i diabetyków. Żałuję, że zostałem zmuszony do wygłoszenia tego oświadczenia wskutek katastroficznej kampanii wszczętej na blogach internetowych przez nieodpowiedzialnych żartownisiów. Sądzę, że ludność potrafi odróżnić prawdziwą informację od informacji rozpowszechnianej przez Internet”. Ponieważ sprawa jeszcze tego samego wieczoru nabrała większego rozgłosu, szef resortu zdrowia musiał znów tłumaczyć się o godzinie dwudziestej drugiej: „Mamy do czynienia z klasyczną grypą A-H1N1, podobną do tej, która w 2009 roku spowodowała śmierć tylko

nielicznych osób. Ma ona jednak nowy kod genetyczny i wszystkie znane do tej pory leki antywirusowe są nieskuteczne. Nasze laboratoria wkrótce przygotują praktyczne rozwiązania”.

W ostatnich wiadomościach dnia podano, że grypa, nazwana „grypą egipską” (ponieważ pierwsze dotknięte nią ofiary pochodziły z Egiptu), spowodowała już śmierć około dziesięciu osób. Głównie osób cierpiących już na inne choroby. Zalecenia rządu są następujące:

- 1) Nie panikować.
- 2) Myć często ręce.
- 3) Nie podawać sobie rąk ani nie całować się w policzek na powitanie.
- 4) Mieć zawsze przy sobie środek do dezynfekcji dłoni.
- 5) W razie zauważenia utrzymujących się symptomów grypy w żadnym wypadku nie iść do pracy ani nie korzystać ze środków komunikacji zbiorowej. Nie należy również udawać się do szpitala ani do lekarza pierwszego kontaktu. Te miejsca są najbardziej narażone na zakażenie. Uprasza się o pozostanie w domach i wykonanie telefonu do wyspecjalizowanych służb w celu przeprowadzenia osłuchania.
- 6) W razie utrzymujących się objawów należy zaopatrzyć się w maskę w celu ochrony otoczenia.
- 7) Ogólnie rzecz biorąc, jeśli zauważą państwo u siebie symptomy grypy, należy zrezygnować z podróży. Światowy Program Walki z Grypą czuwa i kontroluje sytuację.

POGODA: Ryzyko tajfunów nad Luizjaną. Rząd prosi ludność o czujność, zabezpieczenie okien i gotowość do ukrycia się w razie potrzeby w piwnicach i miejskich schronach. Wydaje się, że nowe tajfuny o zwiększonej sile są związane z ociepleniem klimatu.

LOTTO: Pula wygranej w lotto osiągnęła rekordową kwotę

dwóch miliardów euro. Zdobył ją mieszkaniec Corrèze, ogrodnik z miasteczka liczącego sobie niespełna tysiąc obywateli. Oto z pewnością szczęśliwy człowiek, który nie musi się już martwić o swoją przyszłość. Ogłosił on jednak, że zamierza przeznaczyć całą kwotę na wsparcie projektu Kanadyjczyka Timsita, mając tym samym nadzieję na znalezienie się wśród wybrańców, którzy wejdą na pokład słonecznego żaglowca „Gwiezdny Motyl 2”.

142.

Aurore wyłącza dźwięk w radiu, a na jej twarzy maluje się niepokój.

– Każda minuta się liczy – mówi David. – Pozostaje jedno pytanie: ile czasu zajmuje ludzkiemu stadu uświadomienie sobie, że jest zagrożone?

O dziesiątej rano para naukowców zjeżdża z obwodnicy do Paryża. Na ulicach i alejach aż roi się od niespotykanych poruszonych ludzi. Parkują naprzeciw willi Thomasa Pellegrina, po czym, założywszy przezroczyste kule pełniące funkcję kasków i uzbroiwszy się w strzelby, dzwonią do drzwi.

Z głębi dobiega ich głos.

– Idźcie sobie! Nie chcę tu nikogo widzieć.

– Otwórz, tato, to Aurore, twoja córka. Przyjechałam po ciebie.

Światło w wizjerze ciemnieje. Daje się słyszeć głos w pobliżu drzwi.

– Nie potrzebuję pomocy, nikomu nie otwieram drzwi. Wiem, co się naprawdę dzieje.

– Właśnie przyjechałam z przyjacielem, żeby zaproponować ci naprawdę skuteczną kryjówkę.

– Przykro mi. Nie ma lepszej kryjówki niż to miejsce.

Zrobiłem zapasy pożywienia. Drzwi są zabarykadowane. Nie mam tu jedzenia dla dwóch osób... ale istnieje obawa, że się nawzajem pożremy.

Młoda kobieta, zaskoczona tą reakcją, nie wie, co powiedzieć.

David szepcze:

– To naukowiec, musi mieć własne źródła informacji. Na pewno już wie.

Aurore dzwoni ponownie do drzwi, bez rezultatu.

– On się boi, nie otworzy nam – mówi David.

Aurore upiera się, nie chce odejść. Łomocze w drewniane drzwi.

Słońce wspina się w górę, tymczasem odległy hałas, mieszanina tysięcy klaksonów i uruchamianych silników, zaczyna być coraz bardziej słyszalna.

– Jedźmy – odzywa się David stanowczym głosem.

– To mój ojciec!

– Zostań więc, ja jadę.

Kobieta wygląda na załamana.

Ostrożnie David bierze ją w ramiona i niesie do samochodu. Aurore kuli się, jak gdyby była małym dzieckiem, pozwala posadzić się na fotelu, a on zatrzaskuje drzwi.

Przekręca kluczyk w stacyjce.

– Myślałem, że ostatecznie odcięłaś pępowinę – dziwi się David.

– Nigdy nie da się jej całkiem odciąć. Dopóki żyją, istnieje nadzieja, i jacy by nie byli, ma się ochotę im wybaczyć.

W jej głosie da się wyczuć mieszaninę złości i rozczarowania.

Jadą po matkę Davida. Jest już południe i ulice są zatłoczone. Stopniowo zostają zablokowani i nie mogą się

ruszyć, tymczasem ludzie wokół nich biegają, a samochody trąbią. Z oddali dobiegają nawet odgłosy wystrzałów.

David, zaniepokojony, ponownie włącza wiadomości.

143.

KRYZYS W ZWIĄZKU Z GRYPĄ EGIPSKĄ: Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Z kilkuset, następnie kilku tysięcy zmarłych w wyniku pierwszej fali, osiągnęliśmy obecnie pułap stu tysięcy zgonów, jak oficjalnie podaje Światowy Program Walki z Grypą.

Rządowe służby sanitarne dodają do poprzednich dwa nowe zalecenia:

- 1) Unikać miejsce publicznych.
- 2) Wypełnić szafy konserwami i produktami pierwszej potrzeby.

Łączymy się natychmiast z naszym korespondentem przy Ministerstwie Zdrowia. Czy mnie słyszysz, Georges?

– Tak, Lucienne. Jak mogą to państwo zobaczyć za moimi plecami, dwie ostatnie dyrektywy pojawiły się późno i nie jest łatwo zastosować się do nich jednocześnie. Hordy zaniepokojonych gospodyń domowych w maskach na twarzach i w plastikowych rękawiczkach używanych do tej pory do zmywania naczyń dokonują najazdu na supermarkety, żeby napełnić koszyki konserwami.

– Powiedz mi, Georges, widzę za tobą płonące supermarkety. Co robi policja?

– Na razie jest zapracowana. Od kilku godzin dochodzi do aktów przemocy między gospodyniami domowymi, do tej pory nastawionymi pokojowo. Jak mogą państwo zobaczyć na zdjęciach z kamer przemysłowych, supermarkety zmieniły się w pola walki, gdzie ludzie pchający przepełnione wózki są niczym

statki otoczone innymi okrętami, które przypuszczają pirackie ataki. Gospodynie biją się wałkami, porami, rzucają sobie w twarz konserwy albo słoiki z konfiturami, które eksplodują niczym galaretowate i lepkie granaty. Ludzie wspinają się na ciała rannych, żeby dosięgnąć najwyższych półek.

– Dziękuję, Georges, za twój charakterystyczny liryzm. Właśnie otrzymałam trzy nowe zalecenia od Ministerstwa Sprawiedliwości, które natychmiast państwu przekazuję:

- 1) Nie opuszczać miejsca zamieszkania.
- 2) Nie zbliżać się do ptaków, dużych lub małych, żywych lub martwych. Pozbyć się z klatek ptaków domowych.
- 3) Od dzisiejszego wieczoru do odwołania zostaje wprowadzona godzina policyjna. Każdej osobie, która wyjdzie na ulicę po godzinie dwudziestej bez pozwolenia, grożą sankcje.

144.

Jadą. David wykorzystuje terenowość starego hyundaia swojego ojca, żeby zjechać z ulic na chodniki i skracać sobie drogę przez pobocza.

Panika narasta. W ciągu zaledwie kilku godzin chaos opanował stolicę. Ludzie wokół nich się biją, samochody płoną. Sklepy z wybitymi szybami padają ofiarą łupieżców.

W oddali słychać eksplozje i David podejrzewa, że zaatakowano stacje gazowe i benzynowe. Kiedy zatrzymuje ich korek, z którego niepodobna wybrnąć, pojawia się przed nimi rozczochrany mężczyzna z tablicą, na której są namalowani czterej jeźdźcy Apokalipsy.

Mężczyzna krzyczy:

– To koniec naszych czasów! Kajajcie się! Wszyscy zginiemy! Wszyscy, ilu nas jest!

Unosi pięść.

– Nikt nie ucieknie! Nikt!

Wybuchą szaleńczym śmiechem.

– Szczęśliwi ci, którzy umrą pierwsi, ich cierpienia zostaną skrócone.

Zdanie wybrzmiewa ponurym echem. David i Aurore spoglądają po sobie przez przezroczyste szybki kasków ochronnych.

– To wariat – mówi młoda badaczka.

– Nie jest jedyny – przyznaje David.

Wskazuje innego osobnika, na wpół nagiego, w masce faraona. Wyposażony w wielkie cymbały, wybija na nich takt, chcąc zrytmizować otaczający go gwar.

– Jestem grypą egipską! Zniszczę was wszystkich! – zapowiada.

– A gdyby miał rację, jeśli to pierwszy z jeźdźców Apokalipsy? Biały jeździec. Pełzająca śmierć, choroba przekazywana przez powietrze.

David, z nogą na gazie, odbija kierownicą i zjeżdża po stromych schodach, żeby wydostać się z korka. Podskakują gwałtownie. Przedni zderzak hyundaia odpada, podobnie jak jedno ze świateł, ale pojazd radzi sobie dobrze i udaje im się dotrzeć do mniej zatłoczonej drogi.

Stary samochód terenowy jedzie zygzakiem między pieszymi.

Wokół nich panika dokonuje spustoszeń. Ludzie biegną z torbami, walizkami albo – w wypadku tych bardziej optymistycznych – skrzyniami i kuframi, które ciągną w kilka osób. W oddali znów słycać detonacje, a w górę biją wąskie kolumny czarnego dymu.

Davidowi udaje się dotrzeć do domu rodzinnego. Zdenerwowany wkłada klucz do zamka, wchodzi do salonu i

zastaje matkę w fotelu przed telewizorem. Dźwięk jest wyłączony, a na ekranie prezenterka czyta z leżącej przed nią kartki.

David, wciąż w stroju ochronnym, zbliża się do matki. Ta nie od razu go rozpoznaje. Cofa się, lecz po chwili, rozpoznając jego twarz pod kaskiem, uśmiecha się do niego i wydaje z siebie cichy jęk:

– Bolą mnie płuca.

– Nie martw się, mamu, zabiorę cię do szpitala.

Chce ją podnieść, lecz ona wczepia się w poręcze fotela.

– To już nie ma sensu. Zaraziłam się od gołębi, które karmiłam przez okno. Mówili o tym w telewizji. – Kaszle, na jej dłoniach widać śluz przetykany czerwonymi nitkami.

David jeszcze raz podejmuje próbę przeniesienia jej, ale kobieta trzyma się mebla.

– Już za późno, nic nie możesz zrobić. Zostaw mnie. Chcę umrzeć we własnym domu.

David rozluźnia uścisk. Matka zapada się w fotelu.

– Miałeś rację. Twój ojciec porzucił nas dla dinozaurów. A ty porzuciłeś mnie dla Pigmejów. Ale nie mam wam za złe. Macie to we krwi, mężczyźni porzucają kobiety.

– Mamu!

– Spokojnie, nie robię ci wyrzutów.

Matka spogląda na jego strój ochronny i dotyka materiału, jak gdyby chciała sprawdzić, czy ubrał się wystarczająco ciepło.

– Dobrze, że wyjechałeś. Gdybyś został tutaj, umarłbyś tak, jak ja umrę. Umiałeś antycypować, dokonałeś słusznego wyboru.

Kładzie dłoń na plastikowej szybce jego kasku, jak gdyby chciała pogłaskać go po twarzy.

– Posłuchaj mnie. Musisz nadal szukać, starać się

zrozumieć, jak ewoluuje świat. Cel ten przerasta nasze maleńkie istnienia. Dlatego kochałam twojego ojca i wybaczyłam mu, że odszedł. Dlatego kocham ciebie i wybaczam ci, że odszedłeś.

Jest wycieńczona. Wstrząsa nią atak kaszlu, ale dochodzi do siebie.

– Kontynuuj marzenie twojego ojca. Po to są dzieci, żeby rozwijać marzenia rodziców.

Jej źrenice rozszerzają się, jak gdyby zobaczyła coś zaskakującego, po czym opuszcza powieki, uśmiechając się delikatnie. David kładzie dłoń na jej sercu i stwierdza, że przestało bić. Podnosi matkę i bierze ją w ramiona.

David i Aurore idą ulicą. Wokół nich powoli robi się zbiegowisko, kiedy niektórzy pojmują sens strojów ochronnych. Grupa młodych ludzi z szalikami obwiązanymi wokół twarzy, uzbrojonych w żelazne pręty i kije baseballowe, otacza ich, uniemożliwiając dojście do samochodu. Wtedy Aurore wyciąga z torby mały karabin maszynowy Uzi, wystrzeliwuje serię w powietrze, a następnie celuje w mężczyzn, trzymając ich dzięki temu na odległość.

Jest trzynasta, kiedy wsiadają do hyundaia, ułożywszy ciało Mandarine Wells w tylnej części samochodu. Powrót zapowiada się trudniejszy niż podróż do miasta. Wszystkie ulice są obecnie zatłoczone samochodami i podekscytowanymi tłumami. Przy Porte d'Orléans zgromadziły się tysiące trąbiących pojazdów, których właściciele wysiadają często i wszczynają bójki.

Nie widząc innego rozwiązania, David postanawia zrobić coś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewał. Wrzuca specjalny bieg „stromy stok” i korzystając z dużych kół i wysokiego zawieszenia terenowego samochodu, wjeżdża na stojący przed nim pojazd i toczy się po dachach uginających się pod ciężarem aut.

Aurore przygląda mu się kątem oka. David sprawia wrażenie odmienionego śmiercią matki. Kobieta również rozumie, że jeśli zostaną na miejscu, ich stroje ochronne staną się w końcu obiektem pożądania i nie uda im się trzymać zbyt długo napastników na odległość.

W oddali znów słychać wybuchy, a coraz liczniejsze słupy ciemnego dymu pozostawiają pręgi na białym niebie.

David wciąż nie wypowiedział ani słowa. Jest skupiony na jeździe. Kiedy udaje im się wydostać z najbardziej zatłoczonej i najbardziej zaludnionej strefy na południu Paryża, ostro hamuje, żeby zrzucić osoby, które uchwyciły się hyundaia, po czym uruchamia spryskiwacz i wycieraczki, żeby oczyścić przednią szybę.

– Natalia ma rację – rzuca Aurore. – „To nie jest banalna grypa”.

145. ENCYKLOPEDIA: GRYPA

Słowo „grypa” pochodzi od starofrancuskiego *agripper* (uczepić się). Po angielsku określa się chorobę mianem *influenza*, od włoskiego słowa oznaczającego wpływ, w domniemaniu „wpływ zimna”.

W starożytności, dwa tysiące czterysta lat temu, grecki lekarz Hipokrates opisał już jej symptomy, a rzymski historyk Tytus Liwiusz twierdził, że był świadkiem niszczycielskich epidemii.

Objawami są gorączka, kaszel, kichanie, krwawienie z uszu, zapalenie gardła, pociągające za sobą w ostrzejszych przypadkach infekcje płucne.

Sezonowe epidemie klasycznego wirusa grypy są przyczyną około pięciuset tysięcy zgonów rocznie na świecie (zazwyczaj ofiarami są osoby starsze, diabetycy lub osoby

cierpiące na inne osłabiające choroby).

Kiedy jednak pojawia się „zmutowany wirus”, epidemia grypy może okazać się bardziej zabójcza i dotknąć całe populacje, nawet młode i cieszące się dobrym zdrowiem.

Pierwsza pandemia grypy (z greckiego *pan* – „wszystko” i *demos* – „lud”, pandemia jest epidemią, która ogarnia szeroką strefę geograficzną i dotyka wszystkich populacji) została odnotowana w 1580 roku. Wybucho w Chinach (zapewne w związku z bliskością życia człowieka i świń na wsiach – świnie mają kod genetyczny bardzo zbliżony do ludzkiego, co ułatwiło wirusowi mutację), zalewa Europę i Afrykę. Miała spowodować wiele milionów ofiar.

Najbardziej zabójczą pandemią była jednak „hiszpanka”, która zaatakowała w latach 1918–1919. Były to wirus grypy typu A, podtypu A-H1N1. W samej Europie z powodu tej grypy zmarło czterdzieści do pięćdziesięciu milionów osób (czyli dwukrotnie więcej niż podczas pierwszej wojny światowej). Dotknięte zostaną również Indie, Indonezja, Stany Zjednoczone i zachodnie rejony wysp Samoa.

Szacuje się, że „hiszpanka” spowodowała na całym świecie sto milionów zgonów, co wynosi ją do rangi największych katastrof sanitarnych po „Czarnej Śmierci” z 1347 roku. Określenie „hiszpanka” jest związane z tym, że Hiszpania była politycznie neutralna i niezaangażowana w wojnę z 1914 roku, a tamtejsza prasa nie była nadzorowana przez cenzurę wojskową. Dlatego tylko Hiszpanie byli informowani o spustoszeniach powodowanych przez chorobę. Tymczasem we Francji, w Anglii i Niemczech, aby nie psuć morale oddziałów, rząd wolał ukrywać istnienie epidemii.

Po raz pierwszy wirus grypy zostaje wyodrębniony w 1931 roku, co pozwala doktorowi Thomasowi Francisowi, przy wsparciu armii amerykańskiej, na stworzenie w 1944 roku skutecznej szczepionki. Naukowiec ten rozpoznał trzy typy grypy: A, B, C, które z kolei dzielą się na szesnaście podtypów hemaglutyniny (H) i dziewięć podtypów neuraminidazy (N), co daje sto czterdzieści cztery możliwe kombinacje. Odkrycie to umożliwiło ograniczenie zasięgu kolejnych pandemii grypy.

W 1957 roku grypa azjatycka (grypa A szczep H2N2) spowodowała „zaledwie” dwa miliony zgonów.

W 1968 roku grypa Hongkong (grypa A szczep H3N2) spowodowała milion zgonów.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

146.

Kruki kołują coraz liczniej nad francuską stolicą.

Za Porte d'Orléans kilkudziesięciokilometrowe korki ciągną się w stronę Orly i autostrady prowadzącej na południe. Nawet pobocza są zastawione unieruchomionymi pojazdami. Aurore i David zjeżdżają z autostrady i korzystając z możliwości terenowego samochodu, ścinają sobie drogę przez zarośla.

Aurore chciałaby porozmawiać, ale David daje jej znak, że nie ma do tego głowy, włącza więc radio i wybiera *Zimę* Vivaldiego. Piękno melodii kontrastuje z przygnębiającymi scenami, które widzą przed sobą. Stacje benzynowe są oblegane przez kierowców, którzy biją się kijami albo metalowymi prętami.

– Nie sądziłam, że sprawy rozwiną się tak szybko – szepcze Aurore wewnątrz kasku.

David nie odpowiada. Aurore ciągnie dalej, sama do siebie:

– Może na tym polega postęp: wszystko dzieje się szybciej, mocniej, dalej.

David manewruje na skomplikowanych zakrętach, ścina drogę przez wielobarwne pola: żółte jak rzepak, zielone jak młode zboża i czerwone jak maki, aż dociera do fragmentu autostrady nietkniętej jeszcze przez korki. Miejscami dostrzegają samochody po wypadkach lub stojące w płomieniach, które jak najszybciej wymijają. Wreszcie docierają na szosę prowadzącą do centrum Narodowego Instytutu Badań Rolniczych.

Około stu metrów przed murem otaczającym instytut David gwałtownie się zatrzymuje. Wciąż bez słowa otwiera drzwi i z czułością podnosi ciało Mandarine Wells. Aurore rozumie. Wyciąga z bagażnika dwie łopaty i dołącza do Davida, który układa matkę na ziemi. Zaczynają kopać dół w pobliżu wielkiego dębu. David ociera czoło, jego oczy lśnią. Składa starszą kobietę w zagłębieniu. Następnie zasypuje grób i wykopuje z korzeniami mały krzew, który zasadza w świeżo przewróconej ziemi. Ostrzem łopaty utrwala na kamieniu jej imię i nazwisko: MANDARINE WELLS.

Kiedy klęka i zamyka oczy, skupiając się na modlitwie, Aurore się oddala. Gdy kończy, kobieta wyjawia to, co miała zamiar powiedzieć mu od dawna:

– Nie zgadzam się ze słowami twojej matki, Davidzie. Już to mówiłam, ale myślę, że kontynuowanie marzeń naszych rodziców jest głupie. Powinniśmy rozliczać się z naszymi dziećmi, a nie z rodzicami.

David waha się, lecz ostatecznie nic nie odpowiada.

– Nasi rodzice się pomylili – ciągnie Aurore. – Dziś

płacimy za ich błędy, nie powinniśmy powtarzać ich w nieskończoność.

Wciąż brak jakiegokolwiek reakcji z jego strony.

– Widziałeś Paryż? Oto owoc inteligencji naszych rodziców! To są te ich marzenia, które powinniśmy kontynuować? Nasi rodzice się pomylili, a przed nimi nasi dziadkowie. Kontynuacja tradycji to kontynuacja błędów. Trzeba wymyślić nową ludzkość opartą na nowych zasadach. Przed chwilą, Davidzie, pochowałeś nie tylko swoją matkę, ale także element starego świata, który niczego nie rozumiał i który właśnie wymiera.

David spogląda na nią, ale wciąż nie odpowiada. Zmierza w stronę wejścia do centrum NIBR w Fontainebleau, staje przed kamerą interfonu i woła:

– To my.

Z głośnika dobiega zakłócony trzaskami głos porucznika Janicot:

– Jesteście prawdopodobnie zainfekowani, nie możecie wejść.

– Przez całą podróż przebywaliśmy w strojach ochronnych, a teraz chcemy wrócić do domu.

– Niestety, to już nie jest możliwe.

– Co mamy zrobić? – pyta Aurore dyplomatycznie.

– Oczyszczyć się – wtrąca się inny głos, który identyfikują jako należący do pułkownik Ovitz.

Wówczas David daje znak zewnętrznej kamerze, żeby skierowała się we wskazaną przez niego stronę. Silniczki kamery uruchamiają się, podobnie jak pierścienie regulujące ostrość.

David Wells i Aurore Kammerer rozbierają się do bielizny. Zbierają w jedno miejsce poszczególne elementy swoich

skafandrów: kaski, rękawice, botki i szczelny kombinezon, przy użyciu rurki wybierają z baku resztkę benzyny i polewają stos. David podpala go zapalniczką.

– To nie wystarczy – dobiega ich z głośnika.

Wracają do starego hyundaia, wsuwają skrawek tkaniny do baku i podpalają. Samochód płonie, podobnie jak cała jego zawartość, łącznie z nabojami, które eksplodują niczym petardy.

– To nie wystarczy – ciągnie głos Natalii Ovitz.

Rozbierają się całkiem i wrzucają resztę ubrań do płonącego auta. Zasłaniają dłońmi genitalia.

– Jesteśmy niczym Adam i Ewa. Czy możemy wrócić do raju? – pyta Aurore, zmuszając się do zachowania spokoju.

Wreszcie brama się rozsuwa.

Tuż za progiem znajdują kontener z roztworem chloru. Oplukują nim ciała.

– Jeszcze! – nalega głos.

Pięciokrotnie powtarzają zabieg.

Wewnątrz wszyscy ubrani są w szczelne skafandry i kuliste hełmy.

Nawet pies, ukryty w salonie, zdaje się wyczuwać zagrożenie i trzyma się na odległość.

Pułkownik Ovitz przykazuje im umyć się kilkakrotnie pod prysznicem przy użyciu zwykłej wody i mydła. Kiedy pojawiają się w szlafrokach, roztaczając wokół siebie silny zapach lawendy, pozostali zgadzają się wreszcie zdjąć własne stroje ochronne.

Atmosfera się rozluźnia. Tłumiąc potrzebę wygłoszenia im kazania, pułkownik Ovitz zadaje pytanie, które wszystkim ciśnie się na usta:

– Jak tam jest?

– Gorzej niż możecie sobie wyobrazić – odpowiada Aurore.

Natalia sięga po dwie szklanki i nalewa do nich do pełna rumu. David i Aurore nie każą się dwa razy prosić i korzystają z relaksujących właściwości płynu.

– W takim razie rozumiecie, że od tej chwili obowiązuje zakaz przekraczania tych drzwi pod groźbą, że nie będziecie mogli już tu wrócić.

Młodzi ludzie przytakują.

– Zrobiliśmy to, na czym nam zależało – mówi Aurore. – Teraz nic już nas nie łączy ze światem zewnętrznym.

Natalia Ovitz uściśla:

– W celu zwiększenia bezpieczeństwa zabijemy wyjścia deskami i gwoździami. Będziemy oglądać świat zewnętrzny za pośrednictwem telewizorów, jak gdybyśmy znajdowali się na okręcie podwodnym, a ekrany były peryskopami.

Siada na podwyższonym fotelu.

– Będziemy mieć czas, żeby pracować spokojnie nad tym, co nas czeka po grypie.

Sięga po pilota i włącza jeden z ekranów, wyłączwszy głoś. Obrazy spanikowanych tłumów filmowane są z helikopterów.

– Co ma pani zamiar zrobić? – pyta Aurore.

– Stworzyć pełne pokolenie mikroludzi.

Natalia wkręca papierosa Gitanes do lufki.

– W końcu powrócą wcześniejsze zagrożenia. Między innymi wojna. Potwierdzono mi, że Irańczycy budują osiemset ośrodków z wyrzutniami pocisków jądrowych, dlatego my stworzymy nie jednego, nie dwóch i nie stu, ale tysiąc Emceków. Już wszystko obmyślałam. W proporcji: dziewięćdziesiąt procent kobiet i dziesięć procent mężczyzn.

– Jak u pszczoł – zauważa Pentezylea.

– Albo u mrówek – ciągnie Nuçx'ia.

Natalia zapala papierosa i udaje jej się wypuścić idealną obręcz z dymu.

– W gruncie rzeczy – mówi – być może ta epidemia jest dobrą rzeczą, zapewni nam potrzebną chwilę wytchnienia i pozwoli stworzyć, wychować i wykształcić naszą nową mikroludzkość.

Mała Emma, która znajdowała się w jej kieszeni, zaczyna gramolić się na zewnątrz, gaworzyć i puszczać bańki ze śliny. Porucznik Janicot chwyta ją w swoją wielką dłoń i podaje butelkę.

Natalia Ovitz zwiększa głośność telewizora nadającego wiadomości.

147.

– ...tylko potwierdza się to, co mówiłem przed godziną, Lucienne, w ciągu zaledwie kilku godzin objawiła się prawda: wirus okazał się plagą, z jaką nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia. Nastąpił najazd na hipermarkety, które doszczętnie złupiono. Jest to fenomen na skalę światową: występuje zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Szwecji, Chinach, Rosji, Afryce i Australii. Na wypełnione jeszcze półki rzucają się istne chmary ludzi. Po ich przejściu regały świecą pustkami. Najgorsze jednak jest to, że po gospodyniach domowych na sklepy rzucają się uzbrojone bandy. Ofiarą ataków padają magazyny dystrybutorów wypełnione produktami spożywczymi, a także fabryki i gospodarstwa rolne pozwalające na zaopatrzenie się u źródeł. Policja ma pełne ręce roboty. Apteki także są opróżniane z leków antywirusowych, antyzapalnych, środków dezynfekcyjnych, tabletek na kaszel i syropów przeciwkaszlowych. Policjanci w nowych, żółtych, fluorescencyjnych i szczelnych mundurach boją się

interweniować z obawy przed zainfekowaniem się podczas starć.

– A wojsko? Podobno armia została postawiona w stan gotowości.

– Tak, Lucienne. Żołnierze również patrolują w nieprzepuszczalnych strojach. Konfliktów jest jednak zbyt dużo, żeby mogli skutecznie działać. Na razie siły bezpieczeństwa osłaniają przede wszystkim centra administracyjne i rządowe.

– Co ze szpitalami?

– Szpitale są wyludnione, nawiedzane tylko przez desperatów, którzy opróżniają szafy i piwnice w nadziei, że znajdą maski lub medykamenty, które umknęły uwadze wcześniejszych gości.

– Dziękujemy, Georges. Jak wygląda sytuacja w Paryżu, Danielu?

– Ludzie zaszywiają się w domach. Ci, którzy nie mieli na tyle przytomności umysłu, żeby zrobić zapasy konserw, lub ci, których okradli sąsiedzi czy rabusie, nie mają innego wyboru, jak tylko wyjść na zewnątrz i szukać pożywienia. Na wyludnionych ulicach objawia się nowy fenomen: włóczą się po nich mężczyźni i kobiety w plastikowych kombinezonach, najczęściej wykonanych naprędce z worków na śmieci i taśmy klejącej. Noszą maseczki z materiału i są uzbrojeni w noże kuchenne. Najsprawniejsi majsterkowicze wyprodukowali włócznie z kijów od mioteł zakończonych ostrzem lub nawet widelcem. Najslabiej wyposażeni dysponują samymi kijami. Wszyscy szukają „punktów aprowizacji”. Ich ręcznie wykonana broń służy zarówno do ataku, jak i do obrony przed złodziejami. Pojawił się jeszcze jeden problem: hordy szczurów wychodzą ze ścieków i zdają się nie bać wcale ludzi.

– Co się dzieje na wsiach, Danielu?

– Wsie nie zostały oszczędzone, wprost przeciwnie. Ptaki

roznoszące „grypę egipską” zarażają swoimi odchodami wszystkie zwierzęta gospodarcze będące podstawą pożywienia chłopów.

– Dowiaduję się właśnie, że prezydent Stanislas Drouin za chwilę wygłosi orędzie. Nasz dziennikarz, Georges, jest już na miejscu, żeby wysłuchać najnowszych dyrektyw.

– Istotnie, Lucienne. Proponuję, żebyśmy od razu się temu przysłuchali.

– Drodzy współobywatele, drogie współobywatelki, stajemy w obliczu kryzysu o niespodziewanym zasięgu. Chodzi o kryzys sanitarny związany z obecnością na naszym terytorium wirusa nieznanego dotychczas typu A-H1N1. Jest on wynikiem innej niż znane nam do tej pory kombinacji genów. Wirus ten potocznie jest określany przez naukowców „grypą egipską”. Nie wiemy jeszcze, jak bronić się przed tą nową formą agresji, ale musicie zachować spokój i zostać w domach. Proszę słuchać informacji i stosować się do zaleceń Ministerstwa Zdrowia. Istnieje ryzyko, że czeka nas trudny okres, jaki nasi przodkowie również przechodzili w czasach epidemii dżumy, cholery lub grypy. Błagam, żebyście nie ulegali panice ani rozpacz. Nie po raz pierwszy ludzkość staje w obliczu problemu, który wydaje się nie do rozwiązania, i nie po raz pierwszy okaże się, że mimo wszystko uda się go pokonać. Na tym polega szlachetność istoty ludzkiej: trudności zmuszają ją do przekraczania własnych granic, dzięki czemu staje się silniejsza i bardziej odporna. Tak więc, drodzy współobywatele i drogie współobywatelki, wiedzcie, że w chwili gdy do was przemawiam, tysiące laboratoriów we Francji i na całym świecie szukają serum zdolnego powstrzymać pandemię. Mogę wam zagwarantować, że w końcu je znajdą, to tylko kwestia dni lub być może godzin. W oczekiwaniu na ogłoszenie tej radosnej wieści zostańcie w

domach i zachowajcie zimną krew. Dziękuję wam za zaufanie.
Niech żyje Republika, niech żyje Francja.

148. ENCYKLOPEDIA: KONIEC ŚWIATA I NOWY TESTAMENT

Perspektywa końca świata znajduje się w samym sercu chrześcijaństwa. Święty Marek zauważa, że świat nosi już w sobie zalążki własnego zniszczenia, tak jak ciężarna kobieta nosi w sobie płód. Świętemu Janowi wizję Apokalipsy zesłał anioł, który na greckiej wyspie Patmos wyjawiał mu ostatnie chwile Ziemi. Święty Jan miał wówczas osiemdziesiąt lat.

W 90 roku Justyn Męczennik oznajmił, że koniec świata został przesunięty, ponieważ Bóg czeka, aż chrześcijaństwo stanie się religią powszechnie uznawaną przez wszystkich ludzi. Zgodnie z obliczeniami licznych średniowiecznych specjalistów, koniec świata powinien nastąpić dokładnie tysiąc pięćset lat po śmierci Chrystusa, a więc w 1533 roku.

W związku z tym proroctwem w 1533 roku w całej Europie wybuchały liczne bunty millenarystów. Żądali oni równości między bogatymi i biednymi. Wszystkie rewolty zostały brutalnie stłumione.

Mimo to millenaryści apokaliptyczni niepokoiли władców do tego stopnia, że Watykan, który pierwotnie ich wspierał, ostatecznie skrytykował wszystkie spontaniczne ruchy ludowe.

Podobnie popierający ich Luter w końcu porzucił te egzaltowane na punkcie końca świata osoby. Skazał nawet na śmierć Jana Matthijsa, Thomasa Müntzera i Jana z Lejdy, przywódców rewolucji biednych walczących z bogatymi. W ich kohortach można było znaleźć ludzi należących do wszystkich warstw społecznych: chłopów, robotników,

piekarzy, rzemieślników – osoby należące do ludu, które wierzyły, że oto nadszedł koniec świata i że nie mają już nic do stracenia.

Piątego kwietnia 1534 roku Jan Matthijs wyruszył z gromadą nędzarzy na podbój Münsteru. W rezultacie, porzucony przez swoich, znalazł się sam na koniu naprzeciw całej armii. Ponieważ naprawdę uważał, że nadszedł koniec świata i nic nie może mu się przydarzyć, ruszył samopas na oddziały. Został rozerwany na strzepy przez żołnierzy.

Wspomniane ruchy apokaliptyczne stały się załączkiem kolejnych buntów ludowych, które nastąpiły trzysta lat później.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

149.

KRYZYS ZWIĄZANY Z „GRYPĄ EGIPSKĄ”: Minęły trzy miesiące od wyodrębnienia wirusa zwanego „grypą egipską”. Liczba ofiar rośnie gwałtownie każdego dnia. Zgodnie z coraz dokładniejszymi statystykami prowadzonymi przez Światowy Program Walki z Grypą w wyniku choroby zmarło osiemdziesiąt milionów ludzi. Liczba ta osiągnęła dzisiaj pułap stu trzydziestu dwóch milionów i rośnie z każdą godziną.

Oczywiście nie mamy już reporterów donoszących z terenu. W kwaterze głównej w zamku w Vincennes nasz korespondent Georges Charas jest jednak zamknięty w bunkrze żandarmerii kontrolującej zachodnie strefy. Może z nami rozmawiać za pośrednictwem kamery w swoim komputerze. Czy możesz przekazać nam jakieś wieści, Georges?

– Myślę, Lucienne, że najlepiej będzie, jeśli przekażę obrazy sfilmowane przez zdalnie sterowane drony żandarmerii, dzięki którym śledzimy to, co dzieje się na zewnątrz. Jak widać na zdjęciach, czarne słupy dymu unoszą się nad domami spalonymi przez rabusiów. Ciała nie są grzebane ani wkładane do worków (od dawna ich już brakuje). Gniją na zewnątrz lub są pożerane przez hordy zdziczałych psów. Kiedy psy już skończą swoje ponure dzieło, porzucone zwłoki oczyszczane są do końca przez kruki i muchy. Bandy łupieżców napadają na domy i zalecałbym każdemu zabarykadowanie drzwi i okien oraz zaopatrzenie się w broń. Jak gdyby nasza zdolność walki zapisana głęboko w genach nagle wydostawała się na zewnątrz, czasami także agresja może nas ocalić. Człowiek jest zmuszony walczyć z drapieżcami i swoimi rodakami...

– Dziękujemy, Georges! Znam twoje zamiłowanie do liryzmu, muszę ci jednak przerwać. Przypominam najnowsze zalecenia: nie należy opuszczać miejsca zamieszkania. Dezynfekować wszystko, czego się dotknie. Nie zbliżać się do ptaków ani do niczego, z czym mogły się zetknąć: gniazd, piór, jaj, odchodów i zwłok. Przekazuję teraz głos Judith, która znajduje się w centrum meteorologii.

– Cóż, pogoda jest, niestety, bardzo ładna, a temperatura sprzyja rozprzestrzenianiu się wirusa, który – zdaniem analityków – nie przepada ani za wysokimi, ani za niskimi temperaturami.

– Dzięki, Judith. Proszę, zostań w bezpiecznym schronieniu i nie wahaj się zadzwonić, jeśli tylko pojawią się nowe informacje.

150.

Słońce wstaje, ale kogut nie pieje, ponieważ zdechł już

dawno, kaszląc, utopiony we własnym śluzie.

Wraz z poranną gwiazdą na horyzoncie pojawiają się pojazdy. Dzwon bije na alarm. Jak zwykle wszyscy wiedzą, co mają robić. David Wells, Nuçx'ia, Aurore Kammerer i Pentezylea Kéchichian sięgają po karabiny maszynowe i stają w oknach najwyższych pięter budynku.

Porucznik Janicot chwyta za bazookę, a pułkownik Ovitz za wielką lornetkę.

– Pięć samochodów – oznajmia.

Czekają chwilę, po czym Natalia dodaje:

– Pierwsze oszacowanie: około dwudziestu osób.

Wreszcie dostrzegają w oddali kształty pojazdów.

– Nie potrzebujemy tego... – wzdycha Nuçx'ia.

– Może tylko przejeżdżają – sugeruje David, zwalniając spust swojej broni.

– Chwilami mam wrażenie, że jestem w jednym z tych starych filmów o zombi z lat sześćdziesiątych, typu *Noc żywych trupów* albo *Jestem legendą*.

– Nie lubię, kiedy rzeczywistość zaczyna przypominać filmy albo powieści – mówi Aurore, przysuwając skrzynię z granatami.

Natalia Ovitz nie odrywa oczu od lornetki:

– Zatrzymali się.

– Co robią?

– Oni... także nas obserwują przez lornetki.

– Jak wyglądają?

– Są wśród nich kobiety i mężczyźni, w różnym wieku.

Rozmawiają ze sobą. Są zorganizowani.

– Skoro przeżyli do dziś, na pewno są – zauważa Nuçx'ia.

– Jest ich wielu, ponad trzydzieścioro, wszyscy ze strzelbami i maskami gazowymi.

– Do licha! – mruczy David. – Nie sądziłem, że będę kiedyś bawił się w Fort Alamo.

Jakaś postać zbliża się, dzierżąc białą flagę na długim kiju.

– Nie zbliżać się – rzuca Martin do mikrofonu podłączonego do głośnika przy bramie.

Mimo to mężczyzna podchodzi coraz bliżej, a wtedy Pentezylea wystrzeliwuje serię z karabinu maszynowego tuż pod jego stopy.

Człowiek zatrzymuje się.

– Oby tylko sobie poszedł, oby tylko sobie poszedł, oby tylko sobie poszedł – błaga w kółko Aurore.

Odzyskując poczucie rzeczywistości, zwalnia spust swojej broni.

– Przyszedłem w pokojowych zamiarach! – krzyczy mężczyzna, dając otwartą dłonią znaki, cały czas potrząsając kijem z przyczepionym kawałkiem białej tkaniny.

Porucznik Janicot staje w oknie, celując z bazooki.

– Odejdźcie stąd! – woła.

– Nie chcemy was skrzywdzić – mówi mężczyzna. – Jesteśmy głodni. Jeśli dacie nam trochę jedzenia, natychmiast sobie pójdziemy, nie sprawiając wam żadnych kłopotów.

– Ilu was jest? – pyta porucznik Janicot.

– Trzydzieścioro ósmioro. Są wśród nas ranni.

– Chorzy?

– Nie. Jesteśmy zdrowi. Mamy stroje ochronne i nie zbliżaliśmy się do nikogo chorego. Nasi ranni zostali postrzeleni.

Pułkownik Ovitz obserwuje przez lornetkę zachowanie osób znajdujących się w pobliżu samochodów, ale nie potrafi ocenić, w jakim są stanie.

– Kłamie – mówi.

Mężczyzna z białą flagą czeka.

– Nie jesteśmy zwierzętami – nalega. – Nie zdechniemy z głodu we Francji w trzecim tysiącleciu.

Pentezylea bierze go na muszkę elektronicznego celownika.

– Kiedyś byłem informatykiem – mówi mężczyzna. – Pisałem gry komputerowe dla dzieci. Jestem autorem *Głupich myszek*. A potem przytrafiło się nieszczęście, ratowaliśmy się, jak tylko się dało. To nie nasza wina, że wybuchła epidemia grypy egipskiej.

– Kłamie – powtarza Natalia.

Pozostała piątka czeka, aż pułkownik da sygnał do strzału, ale ona się wstrzymuje.

– Co robimy? – pyta wreszcie Aurore.

– Czekamy – odpowiada Natalia.

– Na co czekamy?

– Aż popełni jakieś głupstwo.

Znów mijają minuty.

– Litości, pomóżcie nam – powtarza mężczyzna. – Są z nami kobiety i dzieci. I osoby starsze. Nie jedliśmy od dwóch dni.

Natalia Ovitz robi zbliżenie na twarz mężczyzny, następnie na czekające nieco dalej samochody z włączonymi silnikami.

– Moglibyśmy wyrzucić im przez mur kilka konserw. Może dzięki temu by odjechali – proponuje Nuçx'ia ugodowo.

Pułkownik Ovitz nawet nie zadaje sobie trudu, żeby jej odpowiedzieć, Nuçx'ia wyrusza więc po puszki z fasolką i wyrzuca je przez okno.

Mężczyzna z białą flagą schyla się, żeby je podnieść, odwracając się do nich plecami, po czym nagle zaczyna gwałtownie się wycofywać.

– Granat! – woła Natalia.

Następuje eksplozja. Schylając się, żeby podnieść

konserwę, mężczyzna wykorzystuje sytuację, żeby potoczyć w stronę bramy granat. Ucieka ile sił w nogach, tymczasem pięć samochodów rusza naprzód, żeby wykorzystać szczelinę w ogrodzeniu cytadeli.

– Wszyscy na stanowiska – rozkazuje spokojnie Natalia.

W ciągu kilku kolejnych minut pierwszy samochód zostaje powstrzymany pociskiem z bazooki porucznika Janicot. Z samochodów wysiadają postacie i zaczynają strzelać w kierunku okien. Drugi samochód wyposażony w orurowanie całkowicie zdemolował bramę wjazdową i kilku mężczyzn wdziera się na teren centrum, strzelając. Szóstka z Narodowego Instytutu Badań Rolniczych zdążyła jednak ukryć się za workami z piaskiem. Natalia Ovitz pierwsza sięga po strzelbę z celownikiem optycznym, przykłada się i wstrzymuje oddech, po czym trafia kulą w samo serce najbardziej wysuniętego mężczyzny. Już zdążyła usunąć łuskę i celuje w kolejnego napastnika. Pozostali strzelają znacznie mniej precyzyjnie.

– Do licha! Nie jesteśmy żołnierzami! – gdera Aurore.

– Jeśli chcecie pozostać przy życiu, musicie bronić własnej skóry – odpowiada porucznik Janicot, strzelając do drugiego, wreszcie unieruchomionego samochodu.

Aurore, David i Nuçx'ia, nie mając odwagi się odsłonić, strzelają gdzie popadnie w stronę pojazdów na dziedzińcu. Jedynie Natalia, Martin i Pentezylea podejmują ryzyko i wychylają się, starając się celować jak najskuteczniej.

Po upływie kilku minut trzy pierwsze samochody zmieniają się w dymiące szkielety, napastnicy tracą sześciu ludzi, a pasażerowie pozostałych pojazdów wolą zrezygnować ze zbyt skomplikowanego do zdobycia łupu i wycofują się jak najszybciej.

Porucznik Janicot przymierza się do strzału, ale żona daje

mu znak, że to niepotrzebne.

– Dlaczego nie pozwoliła mu pani strzelić? – pyta zdziwiona Aurore.

– Nie żywimy do nich osobistej urazy – przypomina Natalia. – To okoliczności postawiły nas w sytuacji konfliktu. Mężczyzna z białą flagą być może naprawdę był informatykiem i być może naprawdę były wśród nich wygłodniałe kobiety i dzieci.

– Mówiła pani, że kłamał.

– Kłamał co do swoich pokojowych zamiarów. Gdybyśmy spotkali się w wakacyjnym kurorcie, być może polubilibyśmy się, wypilibyśmy razem kilka koktajli i zagralibyśmy w pokera.

W tym momencie informatyk, który udawał trafionego, wstaje, wyciąga rewolwer i strzela w ich kierunku. Rani porucznika Janicot w ucho. Pentezylea trafia go kulą w samą pierś i mężczyzna upada.

– Gdybym grała z nim w pokera w wakacyjnym kurorcie, jestem pewna, że by oszukiwał – stwierdza.

Nuçx'ia opatruje ranę Martina. Wstając, porucznik odsłania koszulkę, na której widnieją nowe sentencje. Wie, że działają one na wszystkich odprężająco:

66. Nieprzyjaciel niezmiennie atakuje w dwóch SYTUACJACH: kiedy on jest gotowy i kiedy ty nie jesteś.

67. Jeśli wróg jest w zasięgu, ty również.

68. Skomplikowane misje mają proste rozwiązania, łatwe do zrozumienia – i które nie działają.

70. Jeśli dana misja ma pięćdziesiąt procent szans na sukces, oznacza to siedemdziesięciopięcioprocentowe ryzyko porażki.

– Tym razem twoje prawa Murphy'ego się nie sprawdziły – mówi David. – Byliśmy przygotowani i udało się nam.

Wszystkie te twierdzenia są fałszywe, a my wyszliśmy z opresji bez szwanku.

– Do licha! Gdzie jest Emma?! – woła Aurore.

Natalia rozgląda się przez lornetkę.

– Jest, widzę ją. Bawi się...

Przerywa w pół zdania.

Wszyscy po kolei sięgają po lornetkę i uświadamiają sobie, na czym polega problem. Mikroczłowiek wspina się po ciebie informatyka z białą flagą. Porucznik Janicot zakłada czym prędzej strój ochronny i wychodzi na zewnątrz niczym kosmonauta. Podchodzi do Emmy, która wciska już dłoń do nozdrza informatyka i bawi się, wywołując odgłos ssania, wsuwając i wysuwając z niej piść. Z obu dziurek od nosa sączy się mieszanka krwi i śluzu. Emma bawi się, uderzając dłonią o napuchnięte i rozchylone wargi.

Martin chwyta delikatnie maleńkie dziecko.

Informatyk, który wciąż ma otwarte oczy, wydaje z siebie jęk i artykułuje:

– Nigdy nie widziałem kogoś równie małego!

Janicot odkłada dziecko do hermetycznego słoja.

– Ma pan grypę? – pyta konającego informatyka.

Mężczyzna uśmiecha się krzywo.

– Kto wie?

Żołnierz wyciąga z torby rewolwer i strzela mu w czoło. Następnie wnosi do środka słoje, po czym dobija pozostałych rannych napastników, zbiera ich ciała, polewa benzyną i pali.

Podpala również dwa unieszkodliwione samochody i zatyka jako tako deskami bramę. Wszyscy obecni w centrum zakładają stroje ochronne i obserwują Emmę, która nie rozumie, dlaczego została zamknięta w słoju. Dziewczynka łomocze w szklane ścianki.

Ma obecnie trzy miesiące, co odpowiada trzydziestu miesiącom, czyli dwóm i pół roku. David i Aurore zabierają ją do laboratorium. Ostrożnie wyciągają ze słoja. Aurore wbija jej mikroskopijną igłę w żyłę w ramieniu, żeby pobrać krew, którą umieszcza pod mikroskopem elektronowym. Śledzi na ekranie jednostki chemiczne. Po kilku minutach oznajmia:

– Mam złą i dobrą wiadomość. Zła jest taka, że Emma miała kontakt z wirusem.

Wszystkich zebranych w laboratorium ogarnia niepokój. Aurore sprawdza kilka ciągów liczb i dodaje:

– Ale dobra wiadomość jest taka, że jej system immunologiczny pokonał wirusa.

Nuǫx'ia jako jedyna odbiera informację jako oczywistą.

– Jest pani pewna? – pyta Natalia.

– Pewna. Nie jest zainfekowana, nie zaraża. Limfocyty zniszczyły wirusa grypy, kiedy tylko go wykryły.

Ostrożnie ściągają skafandry ochronne. Następnie, po krótkim wahaniu, wdychają to samo powietrze, którym oddycha Emma. Mikroczłowiek, który nie rozumiał agresywnego zachowania, domaga się pieszczot, David więc całuje ją i pozwala się całować. Ludzie nie potrafią oderwać wzroku od małej istotki.

– Być może osiągnęliśmy sukces przekraczający nasze oczekiwania – zastanawia się pułkownik Ovitz.

W tym momencie daje się słyszeć trzask głośnika transmitującego dźwięki z wylęgarni.

Wszyscy rzucają się w kierunku pomieszczenia. Znajduje się tam około tysiąca jaj oświetlonych lampami na podczerwień, które zalewają je pomarańczową poświatą. Widać też cyfrę wskazującą temperaturę wylęgu nowego pokolenia.

Przyglądają się, wciąż z tym samym oczarowaniem, jednej

z tysiąca skorupki, która zaczyna pękać. Jak gdyby w odpowiedzi na jej sygnał, inna również zaczyna pokrywać się siatką pęknięć. I jeszcze jedna.

Ledwie pęknięte jajka zostają umieszczone na specjalnie w tym celu ułożonych szerokich materacach w innym pomieszczeniu.

Był już najwyższy czas. Oto maleńka dłoń noworodka wyłania się z wierzchołka jajka. Inna odpycha kawałek skorupki. Wyłania się ramię, gdzie indziej głowa. Rozbijane jaja uwalniają poruszające się niezdarnie lepkie kształty. David zauważa, że noworodki to zarówno blondyni, bruneci, szatyni, jak i rudzi. Nawet ich twarze różnią się kształtami nosa, ust, kości policzkowych i kolorem oczu.

„Udało nam się dokonać prawdziwej mieszanki genetycznej. To nie są klony, tylko bracia i siostry. I na szczęście, chociaż są mniej więcej tych samych rozmiarów, różnią się między sobą” – myśli.

– Po pierwszym okazie oto całe pokolenie mikroludzi – oznajmia wzruszona Nuçx’ia.

– Nasze córki, mniejsze i silniejsze – dodaje Pentezylea.

„Następna ludzkość, szczególnie jeśli grypa nadal nie da za wygraną” – myśli David.

Pułkownik Ovitz, obdarzona zmysłem praktycznym, proponuje, żeby zamiast nadawać nowe imiona wszystkim noworodkom, nadal nazywać dziewczynki Emmami (od MA, Mikro-Aurore, ponieważ to biolożka Aurore w gruncie rzeczy je wyprodukowała), chłopców Amadeuszami (od MD, Mikro-David), a do imion dodawać liczbę, która pełnić będzie funkcję nazwiska.

MC 121, nazwany Emmą, pierwszy wykluty, a więc najstarszy, będzie nazywany Emmą 001. Wszystkie kolejne

Emmy będą numerowane do 900. Co się zaś tyczy chłopców, będą numerowani od Amadeusza 001 do Amadeusza 100.

Pentezylea proponuje, żeby zakładać im plastikowe obrączki na kostki, co pomoże lepiej ich identyfikować.

Mała Emma 001 wczepia się w Natalię i nie chce jej puścić, jak gdyby bała się, że wróci do słoja i będzie musiała znieść kolejne ukłucie igły.

151.

A ludzie, „zmotywowani moją karą”, zabrali się ponownie do pracy nad rakieta zdolną wynieść nuklearny ładunek wybuchowy przeciwko asteroidzie.

Poprawili technologię kosmonautyczną oraz techniki dezintegracji materii.

Żeby mieć pewność, że dysponują wystarczającą liczbą techników i pilotów, biolodzy zwiększyli produkcję miniludzi. Pozwalałam im testować bomby na mojej powierzchni, a nawet pod moją skorupą.

Ach, eksplozje atomowe...

Były bolesne, lecz konieczne, jeśli chciałam zniszczyć intruza kosmicznego rozmiarów Teji. Im bardziej doskonalili instrumenty obserwacyjne, tym bardziej uświadamiałam sobie, jakie mam szczęście, że istnieję, żyję i myślę. Równocześnie fakt, że jestem wyjątkowa, nappełniał mnie osobliwym uczuciem. Uczuciem nowym, które ludzie nazwali później „samotnością”.

Zrozumiałam bowiem jedną rzecz: o ile ludzie byli śmiertelni, o tyle potrafili się rozmnażać. Wszystkie istoty roślinne i zwierzęce znalazły sposób na przekazywanie swoich cech, a więc na osiągnięcie nieśmiertelności przez swoje potomstwo.

Wszystkie oprócz mnie.

Ceną mojej wiecznej starości była... sterylność. Mój wyjątkowy charakter przyprawiał mnie o zamęt i przerażał. Pewnego wieczoru wyobraziłam sobie, co by się stało z Układem Słonecznym, a nawet z wszechświatem, gdybym umarła.

Życie by znikło.

Zniknęłaby inteligencja.

Zniknęłaby świadomość.

Zostałaby pustka. Cisza i ciemność wszędzie we wszechświecie.

Od tamtej pory stałam się jeszcze bardziej wymagająca wobec ludzi, którzy mieli mnie bronić.

Szkoliłam ich z surowością. Chciałam, żeby byli czujni, uważni, zajęci – co ja mówię? – „opętani” myślą o chronieniu mnie. Karałam ich za najdrobniejszy błąd. Każda nieudana próba astronautyczna kończyła się trzęsieniem ziemi, tajfunem, tornadem, erupcją wulkanu lub epidemią wirusową. Ludzie wiedzieli już, że ich porażka skutkuje moją złością, a w konsekwencji wymierzeniem im kary. Moi mali, przestraszeni służący zaczęli starać się robić dobre rakiety i dobre bomby atomowe.

I nadzieja powróciła.

152.

Słońce wstaje nad lasem Fontainebleau. Chmary much rysują pełne wdzięku spirale na niebie. Ponieważ nieszczęścia jednych przyczyniają się do szczęścia innych, owadów jest coraz więcej. Na ziemi mnożą się szczury. Mają nadzieję, że ustępujący panujący gatunek zrobi im miejsce.

Porucznik Janicot skończył naprawiać bramę wjazdową do centrum NIBR w Fontainebleau, a po dziesięciu kolejnych atakach hord osobników coraz bardziej niezdarnych, gdyż

osłabionych przez chorobę, zaznali wreszcie spokoju, wykorzystując czas na kształcenie i wychowywanie pierwszego pokolenia mikroludzi.

W ramach tego, co Natalia nazywa „edukacją larw”, urządzają miniaturowy żłobek na parterze, w lewym skrzydle budynku.

Zgodnie ze wskazówkami pułkownik Ovitz sześcioro badaczy rozdziela między siebie obowiązki.

Aurore uczy ich mówić i liczyć. David – czytać i pisać (korzystając z *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*, która wydaje mu się szybkim i zabawnym sposobem odkrywania najróżniejszych tematów). Pentezylea uczy ich chodzenia i uprawiania sportów, między innymi strzelania z łuku i akrobacji.

Nuǝx’ia uczy ich jeść, oddychać i wysypiać się optymalnie, gdyż jak powiada: „Oddychanie, jedzenie i spanie wydaje się oczywiste, a jednak niewielu spośród nas potrafi robić to poprawnie. Tymczasem jeśli nauczymy dzieci robić to dobrze, nigdy tego później nie zapomną”. Nuǝx’ia stosuje różne ćwiczenia, żeby wpoić im te umiejętności.

Pułkownik Ovitz uczy ich technik infiltracji i walki, pod kątem ich przyszłych funkcji miniaturowych szpiegów. Porucznik Janicot z kolei nie ma odwagi ich dotykać, tak bardzo się boi, że skrzywdzi ich nieopatrzny ruchem. Pozostali kpią z jego niezdarności, a on jest przekonany, że to nie jego dziedzina i że kobiety zawsze będą zajmować się dziećmi lepiej niż mężczyźni. Ogranicza się więc do służenia swoim talentem budowniczego i naprawiacza.

Podczas gdy zapas konserw powoli maleje i wydaje im się, że wciąż jedzą to samo, wszyscy śledzą uważnie wiadomości. Dziennikarze nie wychodzą już z domów i przemawiają do kamer w ekranach swoich przenośnych komputerów.

Spustoszenia czynione przez wirusa powoli zwalniają. Przekroczywszy granicę pięciuset milionów ofiar, liczba zgonów się stabilizuje.

Sześcioro badaczy czuje, że dane im było ocaleć, lecz pojawiają się napięcia. Z początku to tylko drobne sprzeczki, szybko rozstrzygane przez Natalię, zamknięcie oddziałuje jednak na ich nastroje i kłótnie nabierają rozmachu.

Dni mijają według planu składającego się z niezmiennych rytuałów. Śniadanie jedzone w milczeniu, praca w wylęgarni, opieka nad noworodkami, nauka maluchów, obiad, ćwiczenia, budowa domów na miarę mikroludzi, wysłuchanie wiadomości, po czym otwieranie konserw i przygotowanie posiłku.

Kiedy wszyscy zbierają się na kolację, nie rozmawiają już tak, jak dawniej. Aby uniknąć starć, zabronione jest wspomnianie o chorobie albo o śmierci. Ponieważ nie wszyscy zgadzają się ze sobą co do sposobu kształcenia mikroludzi, ustalono, że każdy ma prawo robić, co chce, w zakresie swoich obowiązków, nie będąc narażonym na krytykę. Zdarza się, że trzy posiłki mijają w ciszy albo wymienia się tylko nieliczne słowa.

Pewnego wieczoru, dla rozluźnienia atmosfery, David mówi:

– Mój pradziadek zadał zagadkę: „Jak ułożyć kwadrat z trzech zapalek?”.

Wszyscy, zaskoczeni, odwracają się w jego stronę. Proponowanie zagadki, kiedy wszyscy żyją w takim napięciu, wydaje im się dziwne. Natalia pojmuje jednak sens takiej rozrywki.

– Jak brzmi rozwiązanie?

– Nie mam pojęcia.

Pułkownik sięga wówczas po trzy zapalki, układa na stole i

zaczyna je przemieszczać.

– Nie dzieląc ich? Nie sklejjając?

– Bez oszukiwania.

– To niemożliwe.

– Mojemu pradziadkowi się udało. Czyli musi istnieć jakiś sposób.

Zrozumiawszy, że David próbuje załagodzić napięcia w grupie, Aurore również bierze trzy zapalki i zaczyna układać z nich geometryczne figury. Pozostali, odruchowo, również sięgają po zapalki. Pozwala im to zapomnieć o głodzie.

– Jesteś pewien, że istnieje rozwiązanie bez oszukiwania?

– Jestem nawet pewien, że je znajdziemy. Samodzielnie albo razem.

Zdanie to sprawia, że na ich twarzach pojawia się uśmiech. Natalia wie, że wszystkich dręczy poczucie winy, że ocaleli, podczas gdy na zewnątrz trwa hekatomba.

Kładą się wcześnie, wykończeni.

Pewnego wieczoru, kiedy Nuçx'ia śpi głęboko obok Davida, ten wstaje i podchodzi zamyślony do okna. Nagle coś przyciąga jego uwagę. Zakłada szczelny strój ochronny, bierze strzelbę i kieruje się w stronę grobu swojej matki. Kiedy dociera na miejsce, zza jego pleców dobiega trzask, odwraca się więc, celując z broni.

Zapala latarkę i rozpoznaje Aurore, również w stroju ochronnym i uzbrojoną w strzelbę.

– Co ty tu robisz? – pyta dziewczyna.

– Nie mogłem zasnąć, stałem przy oknie i zauważyłem, że ktoś włóczy się w pobliżu grobu mojej matki.

Kieruje promień latarki we wskazane miejsce.

– Włóczęga wykopał zwłoki. Prawdopodobnie miał nadzieję, że znajdzie jeszcze coś do jedzenia. Niektórzy spośród

nas mają tak duże problemy z pożywieniem, że stali się hienami, kanibalami albo nawet nekrofagami!

David poprawia, o ile to możliwe, mogiłę matki.

– A ty co tutaj robisz?

– Zobaczyłam cię.

– No i?

– Pokłóciłam się z Pentezyleą i nie mogłam zasnąć.

Usłyszałam hałas, poszłam za tobą – mówi dziewczyna głosem stłumionym przez plastik swojego skafandra.

– Pozostali wkrótce odkryją naszą nieobecność.

– Takie ryzyko. Podobnie jak nasza obecność poza murami centrum. Jesteśmy tak pochłonięci pracą i tak... nadzorowani przez naszych partnerów, że przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Miałam ochotę pobyć z tobą sam na sam.

Aurore Kammerer wykonuje zakazany gest, zdejmując kask.

– Mogłabyś zostać zbombardowana odchodami nocnego ptaka albo nietoperza – mówi David.

– Wiem. Ale jestem gotowa podjąć to ryzyko, żeby móc odbyć prawdziwą rozmowę z dala od pozostałych.

– A ciało mojej matki?

– Minęło tyle czasu, że na pewno już nie zaraża. Nawet wirusy potrzebują ciepła, życia i wilgoci, żeby przeżyć.

David również zdejmuje kask.

Spoglądają po sobie, wdychają nocne powietrze i uśmiechają się.

– Nigdy nie przestałam myśleć o tym, co mi powiedziałeś za pierwszym razem, kiedy spotkaliśmy się na Sorbonie. To wrażenie, że już się znamy, że jesteśmy w jakiś sposób połączeni, że należymy do tej samej rodziny.

– Powiedziałem to, żeby cię poderwać.

– Nie udawaj bardziej cynicznego, niż jesteś. Ja również to poczułam. Do tego stopnia, że...

Aurore wzrusza ramionami.

– Pentezylea jest zazdrosna. Uważam, że jest między nami swego rodzaju sekretna zażyłość. Hm... co za pech, zawsze trafiam na kobiety, które urządzają mi sceny zazdrości, a ja nienawidzę ludzi, którzy uważają, że mają do mnie prawo. Nie należę do nikogo. Nikt nie należy do nikogo. Uprawianie miłości nie daje nikomu prawa do drugiej osoby.

– To stara dyskusja – przyznaje David, zaczynając zasypywać ciało matki ziemią.

– Sądziłam, że wiążąc się z kobietami, uniknę tego utrudnienia, tymczasem trafiam na kobiety jeszcze bardziej zazdrosne i zaborcze niż mężczyźni. Takie już moje szczęście.

– Pentezylea to prawdziwa amazońska królowa. Widziałem, jak uczy Emceków. Robi wrażenie – mówi David.

– A jak tobie układa się z Nuçx'ią?

David wzrusza ramionami.

– Jest zazdrosna o ciebie z tego samego powodu. Ma wrażenie, że łączy nas więź karmiczna.

Księżyc skrywa się za chmurami przygnanymi przez wiatr. Davidem wstrząsa dreszcz.

– Tak kiedyś myślałem, ale teraz sam już nie wiem – przyznaje. – Zresztą co by to zmieniło? Nie pociągam cię, prawda?

Dziewczyna potrząsa włosami.

– Nie fizycznie w każdym razie. Przykro mi, zupełnie nie jesteś w moim typie, Davidzie.

– Bo jestem od ciebie niższy? Zresztą ty też nie jesteś w moim typie...

David ubija ziemię. Na koniec wyrównuje powierzchnię,

umieszcza krzew na swoim miejscu i siada na kamieniu.

– Myślę, że...

Aurore przerywa mu nagle, a jej wargi muskają jego usta w pocałunku. David spogląda na nią zaskoczony.

– Wybacz – mówi Aurore.

– W porządku.

– Nie wiem, co mnie napadło. Właściwie to... chyba chciałam się dowiedzieć.

– Dowiedzieć się czego? Czy lubisz mnie całować?

– Tak.

– Możemy to powtórzyć, jeśli chcesz – mówi David neutralnym tonem.

– Gdyby Pentezylea się dowiedziała, zabiłaby mnie.

David chce z powrotem założyć swój kask, ale Aurore powstrzymuje go i całuje ponownie. Dłużej.

Mężczyzna nie oponuje.

Wtedy ich uszu dobiega dźwięk – warczenie – i uświadamiają sobie, że są otoczeni bezpańskimi psami. To mieszana horda składająca się z psów różnych rozmiarów. Ich ślepiea lśnią. W blasku księżyca, który znów wyłania się zza chmur, większość zwierząt okazuje się pokryta bliznami i ranami widocznymi wśród sierści, co jest wyraźnym znakiem powrotu do dzikiego życia.

Jednooki yorkshire wygląda na przywódcę, zbliża się, żeby ich obwąchać. Nie wydaje się ani trochę pod wrażeniem ludzi.

– Nie powinny rozszarpać nam ubrań.

Poruszają się powoli. Sprawne oko psa wpatruje się w nich intensywnie.

Bardzo powoli ludzie podnoszą strzelby, świadomi, że jeśli jedna z nich wystrzeli, ci w budynku zorientują się, że wyszli poza obręb centrum.

Zakładają z powrotem przezroczyste kaski i wycofują się w stronę domu. Nagle yorkshire zaczyna przenikliwie ujadać. Dwa dobermany zastępują im drogę do drzwi.

– Dobry piesek, leżeć – mamrocze Aurore.

David zamyka oczy. W chwili paniki odnajduje pradawne rozwiązanie zapisane w jego genach. Wysyła psom falę współczucia, nie traktuje ich już jak obcych i zagrażających mu wrogów, lecz jak dalekich kuzynów, niespokojnych, będących ofiarami sytuacji, której wcale sobie nie życzyli.

Łagodnym gestem unosi dłoń w stronę zwierząt. Yorkshire przestaje warczeć. Dobermany nieruchomieją. Ludzie ze strzelbami przewieszonymi przez ramię wycofują się aż pod ogrodzenie i wspinają się po sznurze. Znalazłszy się po drugiej stronie, oboje zauważają, że strach sprawił, że wnętrza ich kasków zaparowały. Odkręcają je i wdychają powietrze głęboko do płuc.

– Nie wiem, na jaki sposób je wzięłeś – szepcze Aurore – ale okazał się skuteczny.

– Taki trik z mojego poprzedniego życia... – odpowiada pół żartem, pół serio.

Zanim przekroczyli próg centrum, Aurore kładzie dłoń na ramieniu Davida.

– Przepraszam – mówi.

– Za co?

– Za to, co przed chwilą zrobiłam, nie wiem, co mnie napadło. Chyba... zbliżyłam się do ciebie, bo chciałam sprawdzić, czy mogę pocałować kogoś innego niż Pentezyleę.

– Nie szukaj wymówek, poczuję się bowiem urażony, ale jeśli chcesz powiedzieć, że to nic nie znaczy, nie martw się, pojąłem.

Aurore spuszcza wzrok.

W oddali psy zaczynają znów ujadać, jak gdyby zaczęły żałować, że ich nie zaatakowały, i wzywały ludzi do powrotu i odegrania na nowo całej sceny.

– Poza tym... Och, sama nie wiem, Davidzie, chyba wszystko to, co się dzieje, grypa, hordy rabusiów, Emceki, Amazonki, Pigmeje, karły, wszystko to z początku mnie bawiło, ale teraz zaczyna przerażać.

– Ja też mam wrażenie, że żyję w złym śnie. Dlatego zresztą twój pocałunek wydał mi się małym czarodziejskim nawiasem.

– „Czarodziejskim nawiasem”? Ładnie powiedziane. Nawias się zamyka, a my zapomnimy, prawda? – szepcze.

– Dziś wieczorem nic się nie wydarzyło. To, co mieści się w nawiasie, nie jest częścią historii.

Kobieta już ma się oddalić, kiedy nagle ponownie się odwraca.

– Mam ochotę przygotować dla odmiany cassoulet, a nie zwykle konserwy, co ty na to?

– Niełatwo będzie znaleźć składniki.

– Mogę spróbować wyłowić kiełbaski z jednej puszki, fasolkę z innej, kawałki kaczki z trzeciej i będę improwizować.

– Myślę, że nieco bardziej „gastronomiczne” danie wszystkim sprawi przyjemność – kłamie.

– Lubię karmić innych – wyznaje Aurore. – Gdybym nie odniosła sukcesu w nauce albo w tańcu, być może otworzyłabym restaurację.

David wykonuje przyjazny gest w jej stronę i wraca do pokoju z osobliwym uczuciem, zarazem przyjemnym i nieprzyjemnym.

Ponieważ wie, że nie zdoła już zasnąć, kieruje się w stronę sali dla niemowląt. Tam, wśród miękkiej ciszy lekkich

oddechów, przygląda się nowej populacji śpiących spokojnie mikroludzi. Oddała się na palcach, wyciąga smartfona i zamyka się w toalecie, żeby prześledzić wiadomości.

Tym razem zamiast serwisu informacyjnego jest widoczna czarna tablica z czerwonym napisem i muzyką *Requiem* Mozarta w tle.

153.

PROSIMY O STOSOWANIE SIĘ DO INSTRUKCJI BEZPIECZEŃSTWA. NALEŻY POZOSTAĆ W DOMACH. COKOLWIEK SIĘ WYDARZY, PROSIMY NIE WYCHODZIĆ I NIE POZWALAĆ JAKIEJKOLWIEK OBCEJ OSOBIE ZBLIŻAĆ SIĘ DO WASZEGO MIEJSCA ZAMIESZKANIA. W razie wątpliwości, w związku z ogłoszeniem stanu wojennego, możecie zlikwidować podejrzanego osobnika przy użyciu wszelkich środków będących w waszej dyspozycji.

Badania nad serum przeciwko „grypie egipskiej” postępują szybko naprzód. Wygląda na to, że naukowcy są już bliscy sukcesu i lekarstwo jest już prawie gotowe. Powiadomimy wszystkich, gdy tylko informacja zostanie potwierdzona.

154.

Mijały dni, tygodnie, wreszcie miesiące.

Pułkownik Ovitz zaczęła wydzielać pożywienie. Na szczęście dzięki pobliskiemu źródłu nie brakuje im wody pitnej.

David Wells zapuścił gęstą brodę. Jego twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych jest wychudzona, a pod oczami są widoczne cienie.

Porucznik Janicot również wybrał wariant z brodą. Jego twarz jest bardziej kanciasta niż kiedykolwiek i nabrała bladości, która kontrastuje z gęstym zarostem.

Cztery kobiety również bardzo schudły.

David pamięta ostatnią „porządną kolację” – puszkę sardynek z sześcioma rybkami marynowanymi w oleju. Jedna na osobę. On, który swego czasu nienawidził ryb, schrupał ze smakiem każdą małą ość sardynki, połknął skórę i ogon i podobnie jak pozostali, zlizął każdą kroplę oliwy z talerza, po czym zaproponował szarmancko Nuçx’ii, żeby wylizała wnętrze puszek oraz pokrywkę.

Następnie nastąpiła trudna chwila, kiedy zjedli dziobaka z sadzawki. Obdarli go ze skóry i upiekli, starannie usunąwszy jadowity kolec i połączony z nim gruczoł.

Następnie zjedli chihuahua. Później zniknęły wszelkie granice, muzeum zoologiczne zmieniło się w zwykłą spiżarnię. Zjedli karłowatego wieloryba i delfiny bonsai. Żałując, że nie były większe i tłustsze. Pożarli grzyby i kwiaty. Wypili alkohol służący do dezynfekcji. Wreszcie nastąpiła kolacja „bez niczego”, gdy cała szóstka spotykała się przy stole i piła wodę, przyglądając się sobie nawzajem.

Natalia przerywa milczenie.

– Widzi pani, Aurore, brała mnie pani za paranoika, który widział niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie było, tymczasem okazałam się za mało paranoiczna. Sądziłam, że w ciągu sześciu miesięcy wszystko się ułoży. Nawet najgorsze nie jest pewne.

– Trzeba więcej spać. Kiedy śpimy, zużywamy mniej energii – przypomina Nuçx’ia. – Powinniśmy też mniej mówić, być oszczędni w gestach.

– Może moglibyśmy polować na kruki i je gotować? – proponuje David.

– Za duże ryzyko. Posuniemy się do tego tylko w ostateczności – stwierdza Natalia.

Paradoksalnie, najbardziej osłabiony wydaje się porucznik

Janicot. Jak przystało na obowiązkowego mężczyznę, stara się być przydatny i silny, ale jego gesty stają się niezdarne, szklanki wypadają mu z rąk, czasami traci równowagę i upada bez powodu. Co ciekawe, w trudnych chwilach nie bawi go już noszenie koszulek z prawami Murphy'ego. Zakłada zwykle czarne T-shirty.

– Kiedy rzeczywistość staje się gorsza od fikcji, nie ma już miejsca na humor – wyjaśnił kiedyś Nuçx'ii, którą to dziwiło.

– Co zrobimy potem? – pyta Aurore. – Zjemy jaja mikroludzi, a następnie samych mikroludzi? Jako szaszłyki? To będzie kres naszej pracy.

Wybuchają szaleńczym śmiechem.

– Do samego końca będziemy próbowali zachować nasze dzieło – odpowiada poważnie Natalia. – Emceki muszą być karmione i chronione, jak gdyby nigdy nic.

– Na razie udaje mi się ich karmić zapasem biszkoptów – przypomina Martin.

Wszyscy potakują zrezygnowani.

Popijają czystą wodę podaną w kieliszkach.

– Moglibyśmy spróbować uprawieć grzyby w piwnicy – proponuje David. – Mrówki to robią, żeby odżywiać się pod ziemią.

– Wreszcie dobry pomysł – przyznaje Natalia.

– Nie mają wiele kalorii, ale powinny pozwolić nam przetrwać. Jak zamierzasz rozpocząć uprawę? Grzybom potrzebne jest pożywienie, prawda? A mam wrażenie, że już go nie mamy. Nie możemy nawet postarać się o pieczarkę dwuzarodnikową na bazie nawozu końskiego, nie mamy go już przecież.

– David i ja będziemy pracować nad sposobem uprawy grzybów – proponuje Nuçx'ia. – W końcu to nasz zawód.

Pentezylea krzywi się.

– A jeśli nam się nie uda, ile czasu nam zostanie?

155. ENCYKLOPEDIA: TRATWA „MEDUZY”

Siedemnastego czerwca 1816 roku statek „Meduza” opuszcza Francję, kierując się w stronę Senegalu (który został ponownie przydzielony Francji przez Anglików). Za sterami fregaty kapitan Hugues Duroy de Chaumareys, były oficer marynarki, który nie pływał od dwudziestu pięciu lat. Otrzymał tę posadę dzięki swojemu arystokratycznemu pochodzeniu i politycznemu sojuszowi z królem Ludwikiem XVIII, który właśnie wstąpił na tron. Na pokładzie statku znajduje się nowy gubernator Senegalu z rodziną i ze służbą, naukowcy, marynarze i żołnierze, a przede wszystkich koloniści, kupcy, rzemieślnicy i rolnicy szukający szczęścia w Senegalu. Łącznie dwustu czterdziestu pięciu pasażerów.

Bardzo szybko oficerowie (w większości młodzi bonapartyści) zaczynają okazywać wrogość i niechęć kapitanowi, którego mają za starego, zarozumiałego arystokratę. Kłótnie na tle politycznym zaostrzają się i nastrój coraz bardziej się psuje.

Kiedy fregata znajduje się w obliczu jedyne niebezpieczeństwa w okolicy, piaszczystej mielizny przy wybrzeżu mauretańskim, źle przekazane lub niewłaściwie zrozumiane rozkazy powodują, że 2 lipca 1816 roku statek osiada na mieliznie w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów od brzegu. Pasażerowie „Meduzy” orientują się, że liczba szalup ratunkowych jest niewystarczająca, żeby zabrać wszystkich. W coraz bardziej napiętej atmosferze kapitan i oficerowie postanawiają zerwać deski z pokładu i zbudować wielką tratwę o wymiarach dwadzieścia na siedem

metrów.

Kapitan Duroy de Chaumareys wraz z zaprzyjaźnionymi oficerami, ze swoimi najlepszymi marynarzami i z rodziną gubernatora zajęli miejsca w najlepszych łodziach ratunkowych. Osiemdziesiąt osiem osób korzysta z łodzi, sto pięćdziesiąt siedem pozostałych jest zaś zmuszonych do zejścia na wielką tratwę doczepioną z tyłu. Osoby z tratwy protestują, zwłaszcza że z powodu zbyt dużego obciążenia tratwa zanurza się i pasażerowie mają wodę po kostki. Żeby ich uspokoić, łodzie zostają szczipione jedna za drugą, a tratwa dopięta na samym końcu. Niestety, ciężka tratwa spowalnia szalupy napędzane wiosłami i kapitan podejmuje decyzję, żeby odciąć łączącą je linę. Cztery dni później łodzie kapitana Duroy de Chaumareys i jego przyjaciół docierają spokojnie do wybrzeża senegalskiego. Zostawiają jednak za sobą tratwę, zdaną samą na siebie wraz ze stu pięćdziesięcioma siedmioma rozbitkami.

Pierwszego wieczoru żołnierze postanawiają zatopić tratwę, aby przyspieszyć koniec, który wydaje im się nieunikniony, ale marynarze przeciwstawiają się temu pomysłowi i przez całą noc trwają walki na siekiery i maczety. Rano zwycięstwo odnoszą marynarze, lecz tratwę zaścielają zwłoki.

Rozpoczyna się koszmarna walka o przetrwanie. Słońce powoduje śmiertelne udary. Wszyscy cierpią w wyniku głodu i pragnienia (na tratwie znajdowało się tylko wino, którym pasażerowie się upili, doprowadzając do kolejnej klótni). Drugiego dnia pozostało ich już tylko siedemdziesięciu pięciu. Piątego dnia, zjadłszy liny i ubrania, niektórzy rozzuchwalają się do tego stopnia, że zabierają się do zwłok.

Jest ich już wówczas czterdzieścioro. Najbardziej sprawni postanawiają dobić chorych, aby przedłużyć sobie życie.

Tymczasem kapitan Chaumareys przypomina sobie, że zostawił na tratwie trzy baryłki z dziewięćdziesięcioma tysiącami franków w złotych monetach i sprawa ta go martwi. Postanawia wysłać statek, „Argusa”, na poszukiwanie skarbu. Wówczas wszyscy są już przekonani, że pasażerowie tratwy zginęli.

Tymczasem dwunastego dnia dryfowania po morzu wciąż piętnastu spośród nich pozostaje przy życiu. Wzniesli namiot, żeby ochronić się przed słońcem.

Trzynastego dnia, 17 lipca, ocalali dostrzegają w oddali żagiel. Krzyczą, dają znaki, machają strzępami ubrań przyczepionymi do desek, lecz nie zostają zauważeni z pokładu. Dwie godziny później artylerzysta Courtade ponownie dostrzega statek. To „Argus” płynący z misją odzyskania dziewięćdziesięciu tysięcy franków.

Tym razem pasażerowie tratwy zostają dostrzeżeni i uratowani.

Gdy opowiedzą swoją historię, ta stanie się jednym z najczęstszych tematów rozmów epoki.

Kapitan Chaumareys, który nie rozumie skierowanych przeciwko sobie zarzutów, zostanie skazany na trzy lata więzienia wojskowego. Jego syn, pełen obrzydzenia dla zachowania ojca, wybierze samobójstwo.

Dramat tratwy „Meduzy” zainspiruje malarza Théodore’a Géricault, który w ciągu roku stworzy fascynujące płótno o wymiarach pięć na siedem metrów. W trosce o realizm malarz prowadzi śledztwo, chcąc poznać przebieg wydarzeń, i prosi ocalałych, żeby dla niego

pozowali. Na obrazie są więc przedstawieni prawdziwi aktorzy dramatu. Dla dopełnienia sceny sprowadza do swojej pracowni zwłoki, które cuchną coraz mocniej. Obraz ten, o rzadko spotykanej sile, jest umieszczony przy wejściu w Luwrze w charakterze ostrzeżenia.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

156.

– Co ty tutaj robisz?

Nuçx'ia z trudem trzyma latarkę, ale udaje jej się skierować światło na Pentezyleę, która dzierży w ręce automatyczny dystrybutor pożywienia dla mikroludzi.

– Jestem za bardzo głodna.

Amazonka zbliża się do nowo przybyłej.

– Też jesteś głodna, prawda?

– Nie wolno nam. Powinnaś iść się położyć.

Pentezylea podchodzi jeszcze bliżej.

– Kazania mogą mi prawić tylko ludzie, którzy przekroczyli metr pięćdziesiąt wzrostu.

Zanurza dłoń w odżywczych chrupkach dla mikroludzi i unosi ją, pełną, w stronę ust.

Nuçx'ia wyciąga rewolwer i bierze Pentezyleę na muszkę.

– Przestań!

Pentezylea, z początku zdziwiona, uśmiecha się, robi krok naprzód, chwytając Nuçx'ię za rękę, pozbawia ją broni i unieruchamia kobietę na podłodze. Biją się niezdarnie, gdyż brak energii uniemożliwia im wykonywanie skutecznych gestów, z łatwością unikają lub amortyzują ciosy, chociaż na ich

ciałach nie ma już ochronnej warstwy tłuszczu.

Za szybą terrarium zaskoczeni tym zachowaniem mikroludzie obserwują tę scenę.

Pentezylea zdobywa przewagę i pochyla się nad twarzą Nuçx'ii.

– Stworzyliśmy ich, mamy prawo zabrać im jedzenie.

Nuçx'ia sięga po przedmiot, który znajduje się w jej zasięgu, i z całych sił wymierza cios w brodę Amazonki. Następnie wstaje i chwyta przeciwniczkę za kołnierz. Wówczas zapala się światło i Natalia Ovitz piorunuje je wzrokiem.

– Czy zdajecie sobie sprawę ze spektaklu, jaki fundujecie mikroludziom?

Wskazuje małe dziewczynki, które przyklejają twarze do przeźroczystej szyby, po czym zauważa chrupki rozsypane na podłodze i pojmuje, co się stało.

– Nie chcę umrzeć z głodu! – krzyczy Pentezylea.

Nadbiegają pozostali, zaalarmowani hałasem.

– Co tu się dzieje? – pyta Aurore.

– Twoja „przyjaciółka” usiłowała ukraść „ich” chrupki – wyjaśnia pułkownik Ovitz.

Natalia daje znak do wyjścia, aby kontynuować rozmowę poza zasięgiem wzroku małych ludzików. Na korytarzu zwraca się do nich ponownie:

– Posłuchajcie mnie wszyscy uważnie. Wiem, że jesteście głodni i że cierpicie. Stawka, o którą gramy, jest najważniejsza. Być może umrzemy, ale oni muszą przeżyć za wszelką cenę.

– Są ważniejsi od nas? – złości się Pentezylea.

Natalia przeszukuje jej kieszenie i przekręca dwukrotnie klucz w zamku w drzwiach prowadzących do pomieszczenia mikroludzi.

Następnie wsuwa gauloise'a do lufki, wdycha dym, jak

gdyby to było jedzenie, po czym udaje jej się uśmiechnąć przez zaciśnięte usta.

– Przygotujmy się na mroczne dni, ale zachowajmy godność.

157.

Ależ oni są delikatni.

Uważają się teraz za władców wszechświata. Tymczasem pojawia się przeciwnik mniejszy od ziarnka piasku, a oni są bezsilni.

Zmniejszyli zużycie surowców.

Przestali niszczyć moje lasy. Nie kopią już wszędzie dołów. Nie doprowadzają do eksplozji bomb atomowych. Po prostu marnieją.

Powinnam ich ocalić czy nie?

Jeśli ich uratuję, znowu zaczną wysysać moją krew, a ja stracę pamięć. Jeśli jednak ich nie ocalę, oślepnę i ogłuchnę. Prawdziwy dylemat.

Obawiam się, że już przyzwyczaiłam się do drobnych zalet, jakie mimo wszystko reprezentują sobą ludzie. Jest też mój „tajny projekt”. Wielka misja, którą mam zamiar im powierzyć. Trudno, dam im kolejną szansę, z nadzieją, że podobnie jak niegdysiejsi ludzie, zrozumieją nauzkę i włożą więcej wysiłku w zadowalanie mnie.

Jak powinnam zabrać się do ich ratowania?

Ach tak, mam pewien pomysł.

158.

Biały płatek wiruje w powietrzu.

Jego geometryczna struktura jest doskonała. Splecione lodowe nitki tworzą delikatną koronkę, idealnie lekką, tak by

upadek przypominał taniec w zwolnionym tempie.

Za pierwszym lekkim płatkim śniegu pojawia się drugi, a potem trzeci. Wkrótce miliony płatków spadają powoli z chmur, wirują i pokrywają ziemię cienką perłową warstwą.

Nuǳ'ia, która wstała pierwsza, obserwuje biały bal zza okna w swoim pokoju. Wstrząsa nią dreszcz spowodowany chłodem i oczarowaniem, do którego dołącza skurcz głodu po przebudzeniu.

Śnieg pada teraz dużymi płatkami, a ziemia znika pod matową warstwą.

Młoda Pigmejka schodzi do jadalni. Pozostali dołączają do niej i patrzą na ogród, który jest obecnie całkiem biały. Cała szóstka jest wychudzona i drżąca.

Natalia Ovitz zamiera na chwilę zafascynowana tym nieoczekiwanym spektaklem, po czym rzuca się w kierunku smartfona i odbywa szybką rozmowę z odległym rozmówcą. Brak śliny w ustach sprawia, że ma trudności z artykulacją słów, musi kilkakrotnie dokańczać zdania. Wreszcie wraca i oświadcza, zwilżając sobie kilkakrotnie wargi językiem:

– Udało... się... To... koniec.

Następnie sięga po szklankę wody, płucze gardło i z trudem mówi:

– To zabije wirusa. Zimno... nas ocali.

Zebrani nie mogą w to uwierzyć.

Jednocześnie zrywają się i wspinają na ostatnie piętro głównego budynku, skąd obserwują śnieg opatulający stopniowo las. Davidowi udaje się dostrzec grób matki, całkiem przykryty bielą.

Nuǳ'ia podchodzi do niego i mówi z trudem:

– Zastanawiam się, jak to wygląda w pozostałych częściach świata.

Pentezylea i Aurore tulą się do siebie, podobnie jak Natalia i Martin.

– *Hello!* – rozlega się cienki głosik.

Emma 001 wspięła się na krzesło, żeby znaleźć się na ich wysokości.

Podczas gdy oni wszyscy chudną, Emma 001 rośnie normalnie, osiągając przewidziany wzrost i wagę: trzynaście centymetrów i siedemset gramów. Jest dziesięć razy mniejsza niż zwykle ośmioletnie dziecko.

Jest jedynym mikroczołwiekiem, któremu wolno przemieszczać się poza terrarium wśród Dużych.

Jako najstarsza i posiadająca prawo do odwiedzania „stworców” Emma 001 zajęła w swojej grupie szczególne miejsce „starszej siostry”. To, że często przesiaduje w kieszeni lub na ramieniu Natalii, sprawia, że pełni funkcję ambasadorki Emceków wśród ludzi.

– Co to? Piękne.

– To się nazywa „śnieg”. Właśnie ocali teraz Dużych – wyjaśnia David, zaskoczony, że zwraca się do stworzonej przez siebie istoty jak do dziecka. – Gdyby nie śnieg, być może wszyscy byśmy umarli.

Mikroczołwiek kiwa powoli głową i dopytuje:

– Co to znaczy „umarli”?

159.

I proszę, ocaliłam ich.

Pierwsi ludzie zostali trafieni w jelita. Tych ukarałam przez płuca. Mam nadzieję, że zrozumieją moją siłę i swoje obowiązki wobec mnie.

Teraz muszę im wskazać, czego się po nich spodziewam, wyjaśnić, na czym polega wielka misja, z której nigdy nie

zrezygnowałam i z której zrezygnować nie zamierzam. Ale jak mam się z nimi porozumiewać inaczej, niż tylko strasząc ich albo zabijając?

Jak to wyglądało w czasach Atlantydy?

Ach tak, ocalali pilnie pracowali nad produkcją bomby atomowej i przygotowaniem do lotu z miniludźmi na pokładzie. Zajęło to sporo czasu. Okazali się gotowi chyba dopiero dwa lata po epidemii cholery, która ich zdziesiątkowała.

Ale ci są znacznie bardziej prymitywni. Muszę się do nich zwrócić, nie zapominając o tym, czym w gruncie rzeczy są: „małpami skrzyżowanymi ze świniami”.

W szklanym sześcianie

160.

ROCZNICA: Smutna rocznica. Minęły dwa lata, a cały świat pamięta o tragedii, prawdopodobnie o największej katastrofie, jakiej zaznała ludzkość. Dwa lata temu profesor Harvey Goodman odkrył wirusa A-H1N1, którego nazwał wówczas „grypą egipską”. Prasa mówiła o „nowej dżumie”, a najwięksi mistycy wspominali o „końcu świata”. Teraz znamy już makabryczny bilans straszliwego wirusa: dwa miliardy ofiar. Żaden kontynent, żaden kraj, żadna wyspa nie ocalały, gdyż nic nie mogło powstrzymać migracji ptaków roznoszących zarazę. Pamiętam, jak prowadziłam wiadomości, zaszyta u siebie w domu, nie mając odwagi wyjść, żeby nie paść ofiarą rabusiów. Chcąc stworzyć bilans tej katastrofy, zaprosiłam do studia mojego kolegę Georges’a Charasa, który wówczas śledził wydarzenia z bliska.

– Gdybym miał podsumować tragedię, Lucienne, powiedziałbym, że nasz zbawca zwie się generał „Zima”. Na szczęście nastąpiła wreszcie surowa zima, z chłodem i ze śniegiem. Temperatura spadła poniżej zera i wirus został gwałtownie powstrzymany. Przestał rozprzestrzeniać się w powietrzu. Ptaki się ukryły. Po dziewięciu miesiącach niepohamowanego rozprzestrzeniania się wirus wreszcie całkowicie zniknął, równie nagle, jak się pojawił.

– Dwa miliardy ofiar śmiertelnych z powodu zwykłego wirusa, mniejszego niż pyłek kurzu. Mimo wszystko to niewiarygodne, że nikomu nie udało się tego przewidzieć ani znaleźć na niego sposobu.

– Moim zdaniem, jeszcze bardziej niesamowite jest to, że

ocalało sześć miliardów osób. A wśród ocalałych są i tacy, którzy mieli bezpośredni kontakt z wirusem. Najnowsze badania wskazują, że osoby te łączy wspólna cecha: ich przodkowie mieliby zetknąć się z „Czarną Śmiercią” z 1347 roku albo tą z 1666 roku. Ocalali z tych epidemii lekko zmutowali, a więc zmienili swój kod genetyczny, aby...

– ...podać gwarancję przeżycia swoim potomkom?

– Właśnie, Lucienne. Tak jak nasze pokolenie, które zetknęło się z „grypą egipską”, zmodyfikuje swoje DNA, żeby za kilka stuleci uchronić naszych potomków przed kolejną gripą A-H1N1.

– Albo kolejną dżumą?

– Oczywiście. Możemy tu przypomnieć pewien aksjomat: „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”.

– Chcesz powiedzieć, Georges, że wirusy i bakterie sprawiają, że ewoluujemy?

– One nas nawet definiują: wszyscy ocaleliśmy z podobnych katastrof.

– Mimo wszystko: dwa miliardy ofiar! To znacznie poważniejsze niż wszystko, co zdarzyło się do tej pory.

– Liczba zmarłych wydaje nam się olbrzymia, ponieważ nasza demografia jest olbrzymia. Dla lepszego porównania chciałbym przypomnieć, że w 1900 roku na całej naszej planecie żyło tylko półtora miliarda ludzi!

– Jakie zmiany spowodowała pandemia „grypy egipskiej”, Georges?

– Patrząc wstecz, oprócz zmniejszenia się liczby ludności o dwa miliardy, powiedziałbym, że niewiele. Można by rzec, że najbardziej godne podziwu u *Homo sapiens* jest to, że potrafi odbudować się po najgorszych doświadczeniach.

– Był to jednak mimo wszystko straszny szok emocjonalny,

prawda?

– Nie aż tak duży, Lucienne. Zaledwie miesiąc po wygaśnięciu choroby miejsca publiczne znów są uczęszczane. Otwarto sale widowiskowe, sklepy, szkoły i fabryki. Nawet giełda wznowiła działalność. Rodziny powróciły do konsumpcji. Wszystkie wskaźniki wzrostu świecą na zielono. Sytuacja przypomina tę po wojnie. Nigdy aż tyle się nie bawiono, co od czasu tej katastrofy. A nawet na płaszczyźnie demograficznej... straty już maleją.

– Jak to, Georges?

– Prawdę mówiąc, po epidemii nastąpił *babyboom*, jak gdyby śmierć milionów osób wyzwoliła swego rodzaju kolektywny odruch mający na celu odrodzenie się gatunku. Chęć zrekompensowania strat albo po prostu, jeśli mogą sobie pozwolić, Lucienne, potrzeba miłości po tylu przygnębiających wydarzeniach. Nastąpił skok przyrostu naturalnego. Sześć miliardów ocalałych osób dało życie... stu milionom dzieci zamiast corocznym dwudziestu milionom. Za dwa lata liczba ta wzrośnie do dwustu milionów, jakby chodziło o skompensowanie deficytu spowodowanego katastrofą. Przewiduje się, że za zaledwie dziesięć lat osiągniemy wyjściową liczbę ośmiu miliardów osób.

– Imponujące.

– Nieszczęściem i zarazem szczęściem ludzkości jest to, że szybko zapomina o ranach, które zostają jej zadane, i może podążać swoją drogą, jak przed incydem.

– A co by się stało, gdyby podobna grypa powróciła w przyszłości? „Grypa bułgarska” albo „grypa chińska”, konkurencyjna dla „hiszpanki” albo „grypy egipskiej”?

– Myślę, że wszyscy zrozumieli, że niezależnie od ostrości kolejnej epidemii zawsze nadejdzie jakaś zima, która ją

powstrzyma, i wiosna, która pozwoli się odrodzić. Naprawdę uważam, że w wypadku nowej plagi unikniemy podobnej paniki, a pomoc zostanie zorganizowana szybciej i bardziej racjonalnie. Wiele się nauczyliśmy przy okazji „grypy egipskiej”, wiemy, że lepiej trzymać w piwnicy zapas konserw i dobrą strzelbę myśliwską nad kominkiem. Może nam to ocalić życie w czasach kryzysu.

– Dziękuję, Georges, za rzucenie światła na to, co niektórzy nazywają „najgorszą katastrofą wszechczasów”, a inni oceniają jako „incydent, który zostanie zapomniany przez przyszłe pokolenia”. Przejdźmy teraz do pozostałych aktualności.

PIŁKA NOŻNA: Nowe mistrzostwa świata w piłce nożnej odbędą się w tym roku we Włoszech. Wygląda na to, że będzie to najważniejsze wydarzenie roku. Na razie Włochy i Brazylia są postrzegane jako główni faworyci. Francja wybrała już nowego selekcyjera, który ogłosił, że zamierza postawić na spójność psychologiczną drużyny w celu uniknięcia godnych potępienia incydentów, takich jak bijatyki zawodników w szatniach, strajki czy niestrzelenie ani jednego gola w finałowym meczu. Nowy selekcyoner zaczął od *tournée* po Szwajcarii i Monako, gdzie znajdują się najlepsi francuscy piłkarze, których ma on nadzieję przekonać do wspólnej gry. Drobnym szczegółem: tylko jeden z wybranych przez selekcyjera graczy, Jérôme Marchand, mieszka na francuskiej ziemi i płaci podatki we Francji. Informacja ta jest na tyle zaskakująca, że warto ją odnotować.

MEKSYK: Odkrycie w Zatoce Meksykańskiej wyjątkowo obiecujących złóż ropy. Ekolodzy przypomnieli wypadek z 2010 roku, gdy podczas niełatwego wiercenia na dużej głębokości ropa dostała się do wód zatoki i nie sposób było jej powstrzymać albo spowolnić wycieku. Przedsiębiorstwo naftowe American Oil uspokoiło media, przypominając, że sytuacja znajduje się

pod całkowitą kontrolą.

IRAN: Iran wznowił swój program nuklearny i doprowadził do podziemnego wybuchu potężnej bomby atomowej nowej generacji, zwanej „Wieczną zemstą 2”. Do tej pory Iran nie przestawał twierdzić, że jego program nuklearny ma zastosowanie wyłącznie cywilne (co mogło wydawać się zaskakujące w wypadku kraju, który nie ma żadnych potrzeb energetycznych ze względu na nadprodukcję ropy naftowej). Tymczasem od czasu kryzysu z Izraelem, jaki rozwinął się przed epidemią grypy, nikt już w to nie wierzy. Od dwóch lat panuje cisza i zakaz kontroli fabryk przez międzynarodowe agencje, tymczasem wczoraj rząd irański zmienił stanowisko i za pośrednictwem nowego wielkiego ajatollaha Restaniego ogłosił jawną i bardziej świadomą politykę. Ogłoszono więc, że kraj zostanie wyposażony w broń w celu zniszczenia bezbożnych i niewiernych miast.

GIEŁDA: Obserwujemy piękny wzrost CAC 40 do ponad jednego i dwóch dziesiątych procent dziś rano na otwarciu. Wzrost ten jest związany z rozwijającą się konsumpcją i zachęcającymi liczbami na rynku nieruchomości i w przemyśle samochodowym. Obecnie na jedno gospodarstwo domowe przypadają dwa mieszkania (rezydencja główna i dodatkowa) oraz dwa samochody.

NAUKA: Projekt „Gwiezdny Motyl 2”, po długiej hibernacji związanej z kryzysem „grypy egipskiej”, został właśnie z sukcesem wznowiony. Miliarder Sylvain Timsit ogłosił, że okres utajnienia pozwolił mu dokładniej przemyśleć wiele szczegółów i dzięki temu wpadł na liczne nowe pomysły, dzięki którym napęd solarny pojazdu kosmicznego będzie jeszcze bardziej niezawodny. Niemniej to czynnik ludzki pozostaje wciąż determinujący, dlatego miliarder zebrał

psychologów, których celem jest opracowanie protokołu selekcyjnego stu czterdziestu czterech tysięcy pasażerów, zmniejszającego maksymalnie ryzyko konfliktu wewnątrz statku podczas podróży trwającej całe ich życie.

NAUKA: Profesor Francis Frydman otrzymał Nagrodę Nobla za swojego androida zwanego „Asimov 001”, który mówi jak człowiek, jest obdarzony samoświadomością i potrafi odczuwać wdzięczność wobec ludzi, którzy go stworzyli. Francis Frydman twierdzi, że „Asimov 001” może podtrzymywać rozmowę jak wielu ludzi. Kiedy mówi mu się o bogu, odpowiada, że jest to złożona koncepcja, którą ma nadzieję zrozumieć. Kiedy mówi mu się o miłości, wykazuje ciekawość wykraczającą poza zwykły program sztucznej inteligencji. „Asimov 001” obawia się dwóch rzeczy: śmierci i niemożności rozmnażania się. Ma nadzieję temu zapobiec, uruchamiając swój kolejny projekt: robot dający życie kolejnemu robotowi, kopiujący się w taki sposób, żeby dziecko było jego poprawioną wersją! Bardzo młody naukowiec pochodzenia francuskiego wciąż pracuje w Korei Południowej, jedynym kraju, który – jego zdaniem – naprawdę zachęca do prac nad innowacjami.

POGODA: Temperatury spadły i zima zapowiada się na znacznie bardziej łagodną niż ubiegłoroczna. W tym roku ani na równinach, ani w górach nie spadnie śnieg. Obiekty sportowe już skarżą się na deficytowy sezon turystyczny.

161.

David Wells wyłącza smartfona, zakłada kurtkę i wychodzi do ogrodu. Przekracza wzmocnioną bramę centrum NIBR w Fontainebleau i zmierza w stronę grobu matki.

Po kryzysie „grypy egipskiej” młody naukowiec postanowił

wznieść mogiłę przy pomocy porucznika Janicot.

Wyciągnęli ciało i ułożyli je w prawdziwej trumnie, umieścili w prawdziwym grobie, przykryli ciężką marmurową płytą, na której postawili drugą, ze zdjęciem Mandarine Wells. Krzew został przesadzony do donicy i postawiony na kamieniu nagrobnym. David klęka przy grobie. Nie modli się, ale wspomina najlepsze chwile spędzone z matką. Przypominają mu się również inne, mniej przyjemne: jego sen, ucieczka, wyprawa z Aurore, trudny powrót, atak rabusiów, głód. Przeciąga dłonią po gładkiej, choć niegdyś zarośniętej brodzie i podnosi wzrok na zdjęcie Mandarine Wells.

– Mamy obowiązki wobec naszych dzieci, a nie wobec rodziców – rozlega się głos za jego plecami.

Aurore siada obok niego.

– Minęły już dwa lata. Ciężko mi uwierzyć, że to wszystko naprawdę się wydarzyło.

– Słyszałam w wiadomościach, że powoli wyrównujemy straty demograficzne przez wzrost liczby narodzin.

– Czyli nawet nie będzie zmian w zachowaniu.

David powolnym i naturalnym ruchem ujmuje dłoń Aurore. Ta waha się, ale nie protestuje.

– Bo my się nie zmieniamy. Wszystko po prostu zaczyna się od nowa – mówi David.

W chwili gdy wypowiada to zdanie, obok nich przelatuje spokojnie motyl, który właśnie wydostał się z kokonu. Aurore wyciąga palec wskazujący i owad odruchowo siada na nim, poruszając powoli swoimi długimi pomarańczowo-biało-czarnymi skrzydłami.

– Metamorfoza... mogłaby być nową ambicją naszego gatunku – ciągnie.

Motyl odlatuje w stronę kwiatu na drzewie rosnącym w

pobliżu grobu matki Davida.

– Kwiaty i motyle w środku zimy. Pogoda zwariowała, a natura się do niej dostosowała – dodaje Aurore zdziwiona obecnością owada.

Nagle spojrzenie Davida przyciągają ślady maleńkich stóp na miękkiej ziemi. Odgaduje, że Aurore, nie zorientowawszy się, przeniosła w kieszeni jedną z Emceków, która teraz uciekła. Z łatwością ją odnajduje.

– Musiała się ukryć w mojej kieszeni podczas inspekcji, jak to robi Emma 001.

Obserwują małego człowieczka, który zdaje się zachwycony, że przebywa w ich towarzystwie.

Wracają na teren instytutu i docierają do dużego hangaru wybudowanego w głębi parku. Tam znajduje się terrarium Emceków.

Ma ono kształt równoległocianu z pleksiglasu o wymiarach dziesięć na dziesięć metrów i trzy metry wysokości. Do środka wchodzi się przez drzwi otwierające się z zewnątrz pod naciskiem zwykłej klamki. Wewnątrz za podłogę służy pięćdziesięciocentymetrowa warstwa ziemi, na północy rosną sady bonsai, na południu miniaturowe pola zbóż, na wschodzie las z kilkoma miniaturowymi zwierzętami: mikrojęleniami i mikrodzikami. W centrum terrarium znajduje się miasteczko mikroludzi składające się z około setki sześciopiętrowych budynków ustawionych na planie gwiazdy, rozdzielonych szerokimi alejami zbiegającymi się na okrągłym placu pośrodku. Mała tablica informuje o nazwie miasteczka: MIKROLAND. Na tyłach placu znajduje się basen, który jednocześnie służy za dekoracyjne jezioro i źródło wilgoci. Zewnętrzny system kontroluje stałą temperaturę, wilgotność, cyrkulację powietrza, przemienność dni i nocy generowaną dzięki lampie symulującej

światło prawdziwego słońca.

Pierwsze domy zostały zbudowane przez naukowców (głównie przez Davida, który z nostalgią wspomina makiety kolejki elektrycznej z dzieciństwa, i przez Martina, majsterkowicza), a następnie przez samych mikroludzi, którzy podzielili się na architektów, murarzy, stolarzy, malarzy i zajęli się utrzymaniem miasta. Do pierwszych budowli dołączyły kolejne, spełniające ich potrzeby.

Oprócz laboratoriów rolniczych, pracowni artystycznych i sal sportowych założono również bibliotekę i pracownię drukarską, z której wychodzą książki o historii, technologii, biologii (i, za radą Davida, również okrojona wersja *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* Edmunda Wellsa).

Mikrolandczycy zbudowali także pracownię gastronomiczną, gdzie sami przygotowują odpowiadające im potrawy. Nieco dalej wyrosły niczym grzyby po deszczu sale sportowe, mały teren do gry w piłkę nożną, boisko do koszykówki, kort tenisowy, a nawet ścianka wspinaczkowa. Mikroludzie lubią uprawiać sport, ale brak im ducha współzawodnictwa. Wszystko im jedno, czy wygrywają, czy też przegrywają, grają dla zabawy i przyjemności, jaką daje ruch.

Pułkownik Ovitz osobiście zarządza salą sportów walki, gdzie Emceki uczą się krav magi, a także strzelania z łuku, kuszy, ze strzelby i z dmuchawki.

David odkłada uciekinierkę między siostry i braci, którzy natychmiast ją otaczają i pytają, co widziała.

– Normalne, że jest ciekawa. Mikroludzie mają już dwa lata – przypomina David. – Co oznacza, że charakteryzują się dojrzałością dwudziestoletnich osobników. Młodzi w tym wieku nie znoszą przebywania w zamknięciu bez możliwości zobaczenia tego, co znajduje się na zewnątrz.

– Tak szybko urosli – przyznaje Aurore.

– Dziewięćset kobiet i stu mężczyzn odpowiadających naszym dwudziestolatkom... to już wspólnota. Sama próba ucieczki jest już szansą.

– I brak jakiegokolwiek reprodukcji... to jest najdziwniejsze. Nie powinni być sterylni...

– Na pewno nie uprawiają miłości, jesteście pewni? – pyta zaintrygowana pułkownik Ovitz, która dołączyła do nich w towarzystwie Martina Janicot.

– Żadna samica, to znaczy żaden z mikroludzi nie jest w ciąży. Przypominają klasę pilnych uczniów, którym nie wolno sobie pozwolić na chwilę odprężenia. Nie palą, nie zażywają narkotyków, nie upijają się. Kiedy się z nimi rozmawia, nie zadają pytań ani na temat ich egzystencji, ani na temat naszej.

– To niekoniecznie dobra cecha – zauważa Natalia. – Nie powinni mieć opóźnień w dojrzałości emocjonalnej.

– Dajmy im jeszcze trochę czasu. Może i mają ciała dwudziestolatek, ale żyją zaledwie dwa lata. To oznacza dwa lata pamięci, dwa lata nauki, dwa lata życia społecznego. Nic dziwnego, że są emocjonalnie opóźnieni. Pani nikogo nie podrywała, będąc dwuletnim dzieckiem, jak miemam? – ironizuje Aurore.

Porucznik Janicot tłumy uśmiech. Odkąd zakończyła się epidemia grypy, pozwala sobie na nowe koszulki z prawami Murphy’ego. Ma na sobie jedną z nich, czarną, z trzema prawami wypisanymi białymi literami.

31. Jeśli wszystko zdaje się iść w dobrym kierunku, to znaczy, że coś wam umyka.

32. Zawsze wydawajcie rozkazy ustnie. Rozkazy pisemne zostawiają ślady.

33. Mylić się jest rzeczą ludzką, ale jeśli chce się wyrządzić

naprawdę duże szkody, trzeba skorzystać z pomocy komputera.

Czworo *Homo sapiens* obserwuje miasteczko *Homo metamorphosis*. Wszyscy są zajęci swoimi obowiązkami, niewiele rozmawiają, ograniczając się jedynie do dawania sobie wskazówek, które pozwolą na sprawniejsze działanie.

– Są niczym zbyt grzeczne dzieci. Trzeba w nich teraz wyzwolić smak przygody, zachęcić do parcia naprzód, w przeciwnym razie staną się... robotami.

– Roboty Francisa Frydmana już zadają sobie egzystencjalne pytania i mają ochotę się rozmnażać. Zostaliśmy w tyle – precyzuje Aurore.

– Chcesz powiedzieć, że aby dojrzeli, musimy nauczyć ich się bać i dać do zrozumienia, czym jest brak? – pyta David.

– A więc i potrzeba wypełnienia tego braku.

– Wydaje mi się, że dopiero teraz zaczynamy sobie uświadamiać, czym jest odpowiedzialność za stworzenie nowej ludzkości – podsumowuje Natalia.

Wciążą dym przez lufkę, lecz z jej sposobu palenia wszyscy wnioskują, że jest wyjątkowo zdenerwowana. Zakłopotani słuchają, notują i obserwują miasto, w którym obiecujące małe istoty spacerują spokojnie między budynkami, po czym wygaszają światła w hangarze i pozwalają mikroludziom wypełniać spokojnie swoje codzienne obowiązki.

Ruszają w stronę głównego budynku centrum NIBR, gdzie Aurore oznajmia, że na kolację ma zamiar przygotować swoje danie-fetysz.

– Dziś wieczorem, dla przypomnienia tych kolacji, gdy brakowało nam wszystkiego, zjemy porządne cassoulet. Z czerwonym winem do woli. Pentezylea pomoże mi w szykowaniu festynu.

Nikt nie śmie się sprzeciwić, nawet ci, którzy pamiętają

poprzednie posiłki z cassoulet. Tymczasem jednak był okres, kiedy daliby wiele za możliwość schrupania choćby jednego ziarna fasoli.

162. ENCYKLOPEDIA: PRZEPIS NA CASSOULET Z TULUZY

Składniki (na 6 do 8 osób):

- 1 kg suchej białej fasoli jaś**
- 3 udka kaczki lub gęsi**
- 400 g wieprzowej golonki pokrojonej na kawałki**
- 400 g karkówki jagnięcej**
- 400 g kielbasy wieprzowej**
- 300 g słoniny wieprzowej**
- 1 nóżka wieprzowa**
- 100 g solonego boczku**
- 7 ząbków czosnku**
- 1 czerwona cebula**
- szczypta tartej gałki muszkatołowej**
- sól, pieprz**

Fasolę moczyć całą noc w zimnej wodzie.

Następnego dnia przelać ją do garnka z zimną wodą. Doprowadzić do wrzenia i gotować przez 5 minut. Odcedzić i zachować.

Pokroić słoninę na szerokie paski. Obrać i posiekać 2 ząbki czosnku i cebulę. Pokroić boczek w dużą kostkę.

Przygotować bulion ze słoniny, z nóżki wieprzowej, czosnku, cebuli, boczku i dwóch litrów wody.

Doprawić solą i pieprzem.

Gotować na małym ogniu przez 2 godziny.

Pilnować poziomu wody podczas gotowania i uzupełniać w razie potrzeby.

Kiedy wszystko jest już miękkie, precedzić bulion, wyciągnąć słoninę, oddzielić od kości mięso z nóżki wieprzowej i odstawić.

Do schłodzonego bulionu wrzucić fasolę. Doprowadzić do wrzenia i gotować na małym ogniu przez 10 do 30 minut, w zależności od rodzaju fasoli. Ma być miękka, ale się nie rozpadać.

Położyć kacze (lub gęsie) udka na patelnię. Podgrzewać na małym ogniu do wytopienia tłuszczu. Następnie zdjąć udka z patelni.

Na ciepłym tłuszczu z patelni zarumienić pokrojone mięso wieprzowe. Kiedy będzie już złote, zdjąć z patelni i odsączyć.

W podobny sposób należy podsmażyć jagnięcinę. W tym samym tłuszczu smażyć również kielbasę wieprzową, a na koniec, przez kilka sekund, 5 ząbków czosnku (można zostawić je w całości lub rozgnieść).

Rozgrzać piekarnik do 150 stopni C (termostat 5).

Wyłożyć dno naczynia żaroodpornego lub dość głębokiej kamionki słoniną. Dodać mniej więcej jedną trzecią porcji fasoli. Posypać pieprzem i gałką muszkatołową. Następnie ułożyć kawałki nóżki wieprzowej, jagnięciny i udka kacze (lub gęsie). Przykryć resztą fasoli. Wsunąć kielbaski pod fasolę.

Zalać ciepłym bulionem, który powinien zakryć fasolę.

Doprawić pieprzem.

Wstawić do pieca na 2,5 godziny.

Podawać gorące w naczyniu do pieczenia.

Rada 1. Podczas pieczenia na wierzchu pojawia się złocisto-brązowa skorupka, którą należy wielokrotnie (siedem razy, jak każe tradycja) wmieszać w fasolę, nie

rozgniatając jej. Sprawdzamy, czy fasola się nie przesusza.

Rada 2. Należy starannie przeżuwać potrawę, aby uniknąć wzdęć.

Rada 3. Jeśli zjemy danie w południe, warto zrezygnować z kolacji.

Rada 4. Danie można zaserwować ponownie następnego dnia, starannie czuwając nad jego podgrzaniem.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

163.

Po tej niezwykle kalorycznej kolacji wszyscy wracają do swoich pokoi, mając zamiar snem pomóc sobie w trawieniu, które zapowiada się na niełatwe.

Od wielu godzin panuje spokój, gdy nagle wśród ciemnej nocy do hangaru ukradkiem przekrada się jakaś postać. Przy świetle latarki przesuwają się wzdłuż budynków, przemierzają mikroulice, aż wreszcie dostrzega cysterne z wodą pitną.

Dłonie w rękawiczkach opróżniają zapas słodkiej wody do baniaka i zastępują go płynem o silnej woni z drugiego baniaka.

164.

Znów nastał złoty wiek.

Ludzie stawali się wyjątkowymi technikami, a hodowani przez nich miniludzie okazywali się utalentowanymi służącymi. Zaczęli starannie planować pierwszy lot załogowy.

Była to rakietka „Limfocyt 12”.

O wskazanej porze załoga składająca się z miniludzi o wzroście stu siedemdziesięciu centymetrów weszła na pokład.

Pierwszym celem, który wskazałam, była próba nuklearna na Księżycu.

Na dany sygnał rakieta wystartowała.

Lot odbył się w dobrych warunkach. Załoga była zmotywowana. Wylądowała na powierzchni mojego dawnego dręczyciela i doprowadziła do eksplozji ładunku nuklearnego.

Wybuch ten spowodował to, co ludzcy astronomowie nazywają dzisiaj kraterem Tycho, czyli wielką nieckę średnicy osiemdziesięciu pięciu kilometrów oraz głębokości czterech kilometrów ośmiuset metrów, którą doskonale widać w dolnej części oświetlonej strony Księżyca.

„Zemsta najlepiej smakuje na zimno” – mówią ludzie. Ale oprócz przyjemności, jaką sprawiło mi pokieraszowanie dawnego wroga, który kpił sobie ze mnie, ta obiecująca próba pozwoliła mi wreszcie uznać, że dysponuję ramieniem i mieczem, aby zadawać ciosy możliwym agresorom z przestrzeni kosmicznej.

Załoga składająca się z miniludzi na pokładzie „Limfocytu 12” zakończyła misję, wsiadła do wahadłowca i wróciła do rakiety. Wszyscy astronauty wylądowali cali i zdrowi i zostali uznani za bohaterów. Ja sama byłam zdziwiona, że wszystko poszło tak szybko i z taką łatwością. Czasami nic się nie udaje bez przyczyny, a innym razem wszystko cudem odbywa się jak należy.

Zaproponowałam szamanowi z piramidy, mojemu pośrednikowi w kontaktach z ludźmi, aby stworzyli oni system obrony, z obserwatorium astronomicznym zdolnym namierzyć wszystkie poruszające się w okolicy ciała niebieskie.

Była to moja „tarcza antyplanetoidalna”.

Przy najdrobniejszym alarmie miała automatycznie spowodować wyrzut rakiety „Limfocyt” z załogą i gotową do

użytku bombą atomową.

Odtąd, jak wszystkie żywe istoty, dysponowałam „systemem immunologicznym” chroniącym mnie przed zewnętrznymi zagrożeniami. Wreszcie nastął porządek.

165.

Pierwszy mikroczłowiek, który napił się wody z fontanny, odczuwa nagle nieopanowaną potrzebę śmiechu. Zatacza się, popija jeszcze kilka łyków wody, aż wreszcie zaczyna tarzać się po ziemi, zanosząc się śmiechem.

Drugiego, który również ma nadzieję ugasić pragnienie, ogarnia chęć bicia wszystkiego, co tylko się rusza. Trzeci zabiera się do całowania osób znajdujących się w jego zasięgu. Czwarty upada na ziemię i zaczyna chrapać, piąty mówi sam do siebie.

Skutki nocnej zamiany wody na alkohol zaczynają stopniowo być odczuwalne w całym mieście. Ci, którzy napiją się raz, odczuwają nieodpartą chęć napicia się jeszcze raz, aż do utraty kontroli.

Wszystkie zasady uprzejmości i szacunku znikają jedno po drugim. Bez systemu ograniczeń mikroludzie pozwalają sobie na wyrażenie tego, co ukrywają w sobie. Pary, które wcześniej się nie znały, padają sobie w ramiona i całują się.

166.

PIŁKA NOŻNA: Podczas gdy zbliża się kolejny mecz w ramach mistrzostw świata w piłce nożnej w Rzymie, nowy selekcjoner drużyny Francji został wezwany przez prezydenta Republiki Francuskiej Stanisława Drouina, który zapowiedział, że całkowicie wyklucza sytuację, w której Francuzi staliby się ponownie pośmiewiskiem całego świata. Wyraźnie poprosił, żeby tym razem zawodnicy nie zdradzali prasie swoich

nastrojów i osobistych rywalizacji. W pierwszym meczu fazy grupowej drużyna Francji stawi czoło drużynie Mongolii, wydarzenie będzie dokładnie śledzone, tym bardziej że mongolscy gracze są bardzo biedni. A więc i bardzo zmotywowani. Mają nadzieję, że jeśli dadzą się zauważyć podczas rozgrywki, będą mieli szansę na angaż za kolosalną kwotę w jakimkolwiek klubie, co pozwoli im żywić swoją rodzinę przez resztę życia. Brazylia i Włochy pozostają głównymi faworytami. Pierwszy mecz postawi naprzeciw siebie drużyny Włoch oraz Anglii. Przewidywania trwają w najlepsze, a Włosi już urządzili loterię, żeby pozwolić publiczności na obstawianie przyszłych wyników.

NEW DELHI: Śmiertelny zamach w Indiach. Na wielu stacjach kolejowych doszło dziś rano, w godzinach szczytu, do silnych eksplozji. Ofiary śmiertelne liczy się w setkach. Do zsynchronizowanych zamachów przyznał się kaszmirski ruch integrystyczny. Rząd indyjski natychmiast oskarżył Pakistan o prowadzenie podwójnej gry polegającej na pozornej walce z terroryzmem przy jednoczesnym potajemnym wspieraniu go. Pakistański prezydent, generał Ali Ul Aq, natychmiast zażądał przeprosin, przypominając, że obecnie nic nie dowodzi autentyczności terrorystycznej deklaracji. Przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych, Avinashi Singh, surowo skrytykowała zamach, a w jej ślady poszło wiele krajów, które uznały ten czyn za ślepe barbarzyństwo wymierzone w niewinną populację cywilów.

SOMALIA: Głód zatacza coraz szersze kręgi w Somalii Południowej. Pięćset tysięcy osób cierpi z powodu braku pożywienia w wyniku złych zbiorów związanych z okresem wyjątkowej suszy. Organizacje pozarządowe żałują, że rząd somalijski z przyczyn politycznych i plemiennych zakazał

wstępu do stref, gdzie ludność umiera z głodu. Przedstawiciele rządu Północy mają nadzieję, że głodząc ludność Południa, po prostu ją zlikwidują. Ataki agresywnych bojowników Asz-Szabab z Północy na ludność Południa trwają nieprzerwanie mimo głodu.

ASTEROIDA: Tej nocy o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści siedem Ziemia znajdzie się w sąsiedztwie dużych rozmiarów asteroidy, która nie powinna zbliżyć się bardziej niż na odległość trzystu tysięcy kilometrów, czyli niewiele mniejszą niż ta dzieląca Ziemię od Księżyca. Chodzi o wielki kamień średnicy czterystu metrów, ważący pięćdziesiąt milionów ton. Nadano mu nazwę 7109 WN7. Przemierza on przestrzeń kosmiczną z prędkością osiemnastu tysięcy kilometrów na godzinę. Jest to ciało niebieskie podobne do tego, które sześćdziesiąt pięć milionów lat temu miało spowodować wyginięcie dinozaurów. Według statystyk przynajmniej dwie asteroidy tego rozmiaru mijają Ziemię co dziesięć tysięcy lat. Asteroida jest zdaniem obserwatorów czarna jak węgiel i powoli obraca się wokół własnej osi.

IRAN: Nowe manifestacje z okazji rocznicy pierwszej studenckiej rewolucji demokratycznej z 2009 roku, zwanej rewolucją „Gdzie jest mój głos?”. Sprawa ponownie nabiera rozmachu po tym, jak policja ostrzelała tłum z karabinów maszynowych. „Tym razem nie będziemy tolerować jakiegokolwiek zakłócenia porządku” – oznajmił prezydent Jaffar. W odpowiedzi studenci, wśród których jest już ponad trzysta ofiar, ogłosili, że zamierzają odtąd odpowiadać tym samym tonem. Rezygnują więc z manifestacji pokojowych. Tłum przypuścił już atak na jeden z komisariatów policji. Zamiast jednak strzelać, policjanci dołączyli do manifestantów.

MARNOTRAWSTWO: Według badań agencji

konsumenckiej w Stanach Zjednoczonych pięćdziesiąt procent kupowanych produktów miałyby być wyrzucanych jeszcze nieotwartych, po prostu z powodu przekroczenia terminu przydatności do spożycia. Wartość ta spada do trzydziestu procent w Europie, do dwudziestu procent w Indiach i w Afryce. Jednocześnie liczba opakowań i ich grubość cały czas wzrasta. W następstwie masowego wyrzucania odpadów do morza „szósty kontynent” powstały z plastikowych worków i śmieci, dryfujący między Ameryką i Japonią, ponownie zwiększył powierzchnię, a podobny „siódmy kontynent” pojawił się między Europą i Ameryką.

POLITYKA: Z powodu braku funduszy odrzucono projekt wystrzelenia nowej europejskiej stacji orbitalnej. „Przedsięwzięcie jest za drogie i niczemu nie służy” – powiedział francuski minister do spraw badań naukowych, Serge Coutelas. „Nieprawda – odparła przedstawicielka Europejskiej Agencji Kosmicznej, Marine Ordureau. – Stacja orbitalna stanowi dla człowieka możliwość uwolnienia się z ziemskiego więzienia i rozpatrzenia podboju przestrzeni”. Minister do spraw badań naukowych podsumował: „Gdyby wszystkie pieniądze, które pochłonął podbój kosmosu, zostały zainwestowane w medycynę, być może nie musielibyśmy dzisiaj cierpieć z powodu zniszczeń dokonanych przez »grypę egipską«”. Po czym dodał: „Projekt »Gwiezdny Motyl 2« Sylvaina Timsita stanowi zresztą dowód na to, że osoby prywatne mogą dysponować większymi środkami niż rządy”.

NAUKA: Doktor Gérard Saldmain opracował właśnie technikę ponownego programowania telomeru w swoim projekcie „Fontanna młodości”. Udało mu się zmodyfikować komórki stuletniego mężczyzny w taki sposób, żeby zablokować proces starzenia się. Mogą one obecnie odmładzać się, a także

działać jako komórki macierzyste zdolne do odtwarzania uszkodzonych narządów.

POGODA: Po dwóch surowych zimach w tym roku czeka nas znów łagodny sezon. Temperatury są znacznie wyższe od średnich. Mamy do czynienia z topnieniem wiecznych śniegów na wierzchołkach gór i pokrywy lodowej na biegunie północnym. Wygląda na to, że nasza planeta staje się bardziej płynna i cieplejsza.

167.

Woń spalenizny pierwsza wyczuwa Nuçx'ia. To ona ma najbardziej wyostrzony zmysł węchu. Schodzi około szóstej rano, idzie do hangaru, w którym znajduje się miasteczko mikroludzi i ocenia rozmiar szkód. Drewniane drzwi są całkowicie zwęglone. Pośród sadzy i popiołu z poczerńiałego drewna widnieją ślady maleńkich stóp.

Szczelne drzwi terrarium również zostały wyłamane za pomocą tarana z metalowej belki.

Wewnątrz przezroczystej klatki miasto mikroludzi wygląda, jakby zostało zniszczone przez burzę, mimo że miejsce to jest całkowicie odcięte od kontaktu ze światem zewnętrznym. Na ziemi leżą ciała. Niektóre są pogrążone we śnie, z uśmiechem zastygłym na ustach. Inne są nieruchome.

Nuçx'ia słyszy odgłosy par, które wciąż jeszcze uprawiają miłość, i krzyki szamoczących się ludzi.

Dołącza do niej David.

– Co tu się stało?

Nuçx'ia pociąga nosem nad kilkoma ciałami, po czym podchodzi do cysterny.

– Ktoś podmienił wodę na wódkę.

Przygląda się spalonym budynkom, głównie salom

gimnastycznym. Ich szczątki jeszcze czerwienią się od żaru. David i Nuçx'ia gaszą je przy użyciu konewki, zanim ogniem zajmą się inne budowle Mikrolandu.

Budzą pozostałą czwórkę badaczy i spędzają poranek na poszukiwaniu Emceków, którzy uciekli poza ogrodzenie. Wykorzystują detektor ciepła, żeby łatwiej ich namierzyć.

Na szczęście, ponieważ większość z nich była pijana, nie uszli daleko. Pentezylea i Martin nie mają trudności z zauważeniem na wpół uśpionych malutkich istot na trawniku wewnętrznego dziedzińca.

Idąc tropem małych stóp, które oddaliły się najbardziej, udaje im się odnaleźć dwoje mikroludzi na wpół pożartych przez dzikie zwierzęta, lisy, psy albo dzikie koty.

Aurore i Natalie przyglądają się nieruchomym ciałom w Mikrolandzie i obudziwszy dziesięcioro spośród nich, odkrywają, że niektóre przestały w ogóle reagować. Dostrzegają nawet jednego Emceka, który zjada innego.

Pułkownik Ovitz zbiera swoją drużynę w salonie.

– Ile naliczyliśmy na razie ofiar śmiertelnych, Martin?

– Oprócz dwojga zabitych przez zwierzęta na zewnątrz i pięciorga, którzy umarli w wyniku ran zadanych w bójkach, jest jeszcze jeden samiec, który zginął w wyniku spożycia alkoholu i innych dziwnych produktów.

– Czyli straciliśmy co najmniej ośmioro mikroludzi.

Natalia zapala chesterfielda w lufce.

– Kto wlał wódkę do cysterny? Kto?

Wszyscy spuszczaają wzrok, zakłopotani.

– Uprzedzam, że nie wyjdziemy z tego pomieszczenia, zanim nie znajdziemy osoby odpowiedzialnej za ten chaos. Kto zmienił nasz Mikroland w Sodomę i Gomorę?

Przygląda się twarzom swoich towarzyszy i zatrzymuje się

na Aurore.

– To ja – oznajmia męski głos.

Natalia odwraca się i spogląda na tego, który przemówił.

Porucznik Janicot.

– Wspominała pani, pani pułkownik, żeby ich zdemoralizować, żeby zrezygnowali ze swojego „superego”. Pomyślałem, że inicjatywa tego typu, chemiczne wsparcie, mogłaby przyspieszyć dojrzewanie umysłów naszych królików doświadczalnych.

Natalia, z początku zaskoczona, z trudem powstrzymuje napad wściekłości, ale nabiera głęboko powietrza, wydycha je, rozgniała papierosa. W głowie kłębi jej się wiele zdań, lecz ostatecznie oznajmia tylko:

– To nie była dobra inicjatywa, poruczniku.

Mężczyzna wciąż ma spuszczone oczy.

– Chciała pani doprowadzić do reprodukcji i udało się – sprzeciwia się David. – Myślę, że możemy liczyć na około pięćdziesiąt par Emceków, które wczoraj wieczorem uprawiały seks. Biorąc pod uwagę rachunek prawdopodobieństwa, co najmniej pięć samic powinno być zapłodnionych. Osiem ofiar w zamian za pięć nowych jajeczek. Uważam, że możemy uznać, że operacja okazała się nieszkodliwa, a poziom strat tolerowalny.

– Poruczniku, powinien pan odbudować wszystko, co zostało zniszczone z pana winy.

– Rozkaz, pułkownik.

– Trzeba będzie ich także ponownie zdyscyplinować.

Otrzymałam właśnie informacje od moich kolegów z tajnych służb. W związku z manifestacjami w obronie demokracji w Iranie nowy rząd zamierza wypowiedzieć wojnę dywersyjną Środkowemu Wschodowi, tym razem jednak jego zdolność powodowania szkód znacznie wzrosła.

– Kolejne manewry onieśmielające – stwierdza Nuçx'ia. – Grają twardych, a w ostatniej chwili zrezygnują.

– Nic bardziej mylnego. Ostatnim razem, dziś już to wiemy, ofensywa została przerwana z powodu nieoczekiwanego pojawienia się wirusa „grypy egipskiej”. Drugi raz nie możemy liczyć na to samo „szczęście”.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że „ich zdolność powodowania szkód znacznie wzrosła”?

– Zrobili dokładnie to, czego się obawiałam. Przygotowali osiemset ośrodków zdolnych do wypuszczenia pocisków nuklearnych, jeśli więc zniszczymy jeden z nich, wciąż zostanie ich siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Właśnie w tym celu stworzyliśmy Emceków, o ile dobrze zrozumiałem – przypomina David.

– Tak, i teraz musimy zmusić ich do działania.

Rozmawiałam z Izraelczykami, opracowali specjalne drony, w których Emceki mogłyby podróżować tuż nad terytorium wroga.

– Drony dla mikroludzi?

– Czekałam na to od dawna. Zamiast budować drony w kształcie samolotu albo helikoptera, zaprojektowali... latające spodki.

– Latające spodki? W jakim celu? – dziwi się Aurore.

– Jeśli nasze Emceki zostaną zauważone, wszyscy pomyślą, że to kosmici – uprzedza jej odpowiedź David.

– Pomysł wyszedł od Izraelczyków, ale się zgodziłam. Poza tym niedawno wprowadzono pewne poprawki i pojazdy te nie są już sterowane pilotem na odległość, ale z pokładu. Pozostaje jeszcze kwestia psychologiczna. Wczorajsze wydarzenie, za które czuję się częściowo odpowiedzialna, zmienia postać rzeczy. Potrzebujemy armii małych, posłusznych i skutecznych ludzików.

Po południu, kiedy mikroludzie skończyli już sprzątać zniszczone miasto, Natalia Ovitz zwołuje ich na głównym placu i przemawia przez mikrofon podłączony do głośnika, żeby mieć pewność, że usłyszą ją wszyscy mieszkańcy Mikrolandu.

– Do tej pory nie wiedzieliście, że możecie umrzeć.

Na jej znak porucznik Janicot przynosi pudełko z ośmioma zwłokami.

– Ponieważ nie wiedzieliście, o co właściwie chodzi, nadszedł czas, żeby was pouczyć. To jest śmierć.

Emceków ogarnia przerażenie. Niektórzy zaczynają przejawiać pierwsze symptomy paniki.

– Wszystko, co żyje, pewnego dnia umiera. Do dziś żyliście w przytulnej i bezpiecznej atmosferze, nie mieliście więc okazji, żeby to sobie uświadomić. Rośliny umierają. Zwierzęta umierają. Emceki umierają.

Zebranych ogarnia zdumienie. Niektórzy szepczą, inni z zafascynowaniem wpatrują się w pudełko z siedmioma ciałami kobiet i jednym ciałem mężczyzny.

Ludność terrarium, pełna niedowierzania, wbija wzrok w ciała w pudełku, jak gdyby miała nadzieję, że postacie te tylko śpią.

– Och, przykro mi, że was o tym informuję, ale kiedyś się umiera. Z powodu choroby, starości, ale także w wyniku wojny, morderstwa, wypadku.

Pułkownik Ovitz robi przerwę, która pozwala przetrwać tak ważną informację.

– U zwierząt martwi zostają zazwyczaj porzuceni i zjedzeni przez wygłodniałych padlinożerców. To, co różni od nich nas, ludzi, niezależnie od wzrostu, to właśnie nasz stosunek do zmarłych. My, ludzie, nie zjadamy zwłok naszych towarzyszy. Niezależnie od wszystkiego. To niewzruszona i niepodlegająca

dyskusji zasada.

Natalia wskazuje na ciało pozbawione ramienia.

– Ten został pożarty przez jednego z was podczas zakrapianego alkoholem wieczoru. Inni zginęli podczas bójek. Od teraz zakazuję wam powodować śmierć waszych współpracowników.

Pięcioro naukowców staje obok pułkownika Ovitz, żeby pokazać, że w tak ważnej chwili stanowią solidarną drużynę.

Natalia ogłasza:

– Oto zasady, które nie powinny nigdy zostać przekroczone: 1. Nigdy nie szkodzić Dużym. 2. Zawsze spełniać polecenia Dużych. 3. Jeśli Duży znajdzie się w kłopotach, obowiązkiem Emceka jest zrobić wszystko, aby mu pomóc. 4. Emcek nigdy nie może opuszczać Mikrolandu bez pozwolenia. 5. Nie zabijać innych Emceków. 6. Jeśli Emcek umrze, nigdy go nie zjadać. 7. Nigdy nie porzucać zwłok, lecz zakopywać je pod powierzchnią ziemi na cmentarzu.

Wszyscy pilnie notują siedem pierwszych praw Natalii. Niektórzy, jak przykładowi uczniowie, odczytują je ponownie, żeby mieć pewność, że dobrze zapamiętali. Następnie, idąc za wskazaniem porucznika Janicot, wyznaczają teren pod cmentarzem, na którym grzebią ciała ośmiu nocnych ofiar. Na każdym grobie zapisują nazwisko zmarłego składające się z cyfr, po czym stoją chwilę w skupieniu.

168. ENCYKLOPEDIA: OŚMIORNICA

Ośmiornica ma tysiąc razy więcej receptorów zmysłowych niż człowiek oraz ponadprzeciętnie rozwiniętą zdolność pamięciową mózgu. Dzięki wyczulonym zmysłom i potężnej pamięci ośmiornica mogłaby stać się poważnym konkurentem dla człowieka.

Niemniej ośmiornice mają jeden słaby punkt. Jak gdyby

gatunek ten miał zapisaną w genach samoeliminację, zachowanie rodziców ośmiornic wyraźnie zmienia sytuację.

Samica tuż po porodzie umiera, u samca zaś widok potomstwa podsyca apetyt – zjada jego część, po czym ucieka.

U ośmiornic nie może być więc mowy ani o miłości rodzicielskiej, ani o edukacji dzieci. Każda młoda ośmiornica musi sama wszystkiego doświadczyć, nie mogąc korzystać z pamięci swoich rodziców. To wystarcza, by gatunek utknął, nie mając możliwości rozwoju, choć ich mózgi od tysięcy lat są gotowe do ewoluowania.

Można sobie wyobrazić, co stałoby się z cywilizacją ośmiornic, gdyby ich rodzice nie umierali ani nie uciekali zaraz po narodzinach dzieci, lecz przekazywali im pokolenie po pokoleniu swoje uczucia, historię i odkrycia.

Można by również wyobrazić sobie, czym stałaby się cywilizacja ludzi bez pamięci i pracy edukacyjnej rodziców.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

169.

Wisielcy zwisają z drzew w centrum miasta.

– Samobójstwa są spowodowane strachem przed śmiercią – oznajmia Natalia, ani trochę nieporuszona, sześciorgu badaczy, którzy po przebudzeniu z przerażeniem odkryli sceny autodestrukcji Mikrolandczyków.

– Potwierdzam – mówi Pentezylea. – Wstałam przed wami i przeszukałam mieszkania ofiar, gdzie znalazłam wyraźne przekazy świadczące o tym, że mieli oni obsesję na punkcie

istnienia koncepcji śmierci i woleli sami sprowokować to zdarzenie niż żyć w lęku przed nim. Odkryłam również ślady dwóch zabójstw przy użyciu białej broni i akt zbezczeszczenia grobu, ponieważ jedna z wczorajszych ofiar została wykopana i na wpół zjedzona.

– Moim zdaniem zabójstwa stanowią akty związane z egzorcyzmami – ciągnie Nuçx'ia. – Co się tyczy wykopywania zwłok oraz kanibalizmu, obawiam się, że miały na celu wyłącznie prowokację, jak gdyby mieszkańcy chcieli zobaczyć, jak zareagujemy na przekroczenie zakazów.

Pułkownik Ovitz wykonuje gest dłonią.

– Znajdźcie mi winnych.

– To może okazać się trudne. Mikroludzie są mimo wszystko do siebie bardzo podobni – przypomina porucznik Janicot. – Osobiście rozróżniam ich wyłącznie po kolorze włosów.

Natalia zastanawia się, po czym mówi:

– Możemy stworzyć gatunek, społeczność, miasto nowych istot, ale nie możemy uzyskać jednocześnie niewinności oraz dojrzałości. Emceki przypominają nam, że prawo bez doświadczenia kary nie istnieje. Doskonale, zaczniemy od początku. Należy przede wszystkim ustalić hierarchię. Emma 001 jest najstarsza, ma naturalne prawo, żeby zostać królową.

– Jak to królową? – pyta Nuçx'ia.

Odpowiada Pentezylea:

– Będzie zobowiązana do wymagania od swojego ludu poszanowania prawa i będzie odpowiedzialna za jego czyny. Będzie więc prowadzić śledztwo w celu odkrycia sprawców zabójstw z dzisiejszego rana. Następnie ich aresztuje. Wsadzi do więzienia. Nie mamy czasu do stracenia. Trzeba w ciągu jednego tygodnia wymyślić ducha obywatelskiego.

– Ducha obywatelskiego i... sprawiedliwość – dodaje Natalia. – Problem w tym, że nie istnieje żaden precedens, który mógłby posłużyć nam za przykład. Nikt przed nami nie stworzył nowego gatunku ludzkiego.

David ma na końcu języka aluzję na temat swojej reinkarnacji biologa z Atlantydy, ale Nuçx'ia powstrzymuje go, chwytając za rękę i wykonując gest mówiący: „Nie, jeszcze nie są gotowi, żeby o tym usłyszeć”.

W ciągu kolejnych godzin, wykonując zalecenia porucznika Janicot, Emceki budują jednocześnie pałac królewski, siedzibę administracji lokalnej i tymczasowe miejskie więzienie. Mikroludzie przystępują do szybkiej publicznej ceremonii, podczas której Aurore zakłada koronę z miniaturowych liści laurowych na głowę Emmy 001.

– Odtąd nie jesteś już zwykłym Emcekiem pośród innych – oznajmia młoda kobieta o złotych oczach. – Jesteś królową Emmą I.

Nowa monarchini zostaje poinformowana o swoich obowiązkach i zadaniach. Wie już, że musi czuwać, trzymać w ryzach i karać.

Po wyznaczeniu królowej społeczność Emceków wzbogaca się o funkcjonariuszy: policjantów, sędziów, prokuratorów, strażników więziennych. Tuż po ich wyznaczeniu policjanci wszczynają śledztwo w sprawie nocnych zabójstw. Winni zostają szybko znaleźni. Są to dwie dziewczyny, które uważają, że mają prawo robić, co tylko chcą. Za sprofanowanie grobu i kanibalizm odpowiedzialna okazuje się dziewczyna, której zdaniem siedem praw jest głupich, a Duzi nie powinni sterować ich życiem.

Trzy podejrzane zostają zatrzymane, zbiera się sąd, w którego skład wchodzi dwie kobiety oraz mężczyzna

wyznaczeni na sędziów przez królową Emmę I. Reszta ludności wykazuje się jednak obojętnością w kwestii procesu.

– Nie rozumieją, dlaczego robi im się wyrzuty, gdyż nie mają poczucia winy – stwierdza Pentezylea.

– To, co wyczytali w książkach albo w *Encyklopedii*, wydaje im się tylko teorią, nie dociera do nich konkretny wymiar – przyznaje Nuçx'ia.

– Żeby doznać szoku, trzeba przyswoić sobie korzyści płynące ze sprawiedliwości i słusznego prawa, tymczasem w tej kwestii Emceki są zupełnie nieświadome. Dopiero co zrozumieli, czym jest śmierć – przypomina David.

Proces toczy się w sposób improwizowany. Za radą Dużych sędziowie przesłuchują trzy podejrzane oraz świadków, pytają, co oskarżone mają do powiedzenia na swoją obronę. Kobiety odpowiadają, że „robiły tylko to, na co miały ochotę, i że nie uznają prawowitości tego sądu”.

W wyniku procesu podejrzane zostają uznane za winne i skazane na miesiąc więzienia. Zostają zamknięte w nowych celach, których mury jeszcze nie wyschły do końca.

Królowa Emma I podchodzi do Davida.

– Czy jesteście zadowoleni z naszego rządu i naszej sprawiedliwości? – pyta.

– Ja, tak. Natalia – nie wiem. A ty, królowo Emmo, co o tym myślisz?

– Niewiele. Nie rozumiem, dlaczego mamy im za złe, że zabiły. Misje szpiegowskie również pociągają za sobą ryzyko zabójstwa, o ile mi wiadomo.

– To co innego. Zabójstwo to co innego niż wojna.

– Wojna to dozwolone zabójstwo, tak?

– Tak.

– Mimo wszystko... Zwierzęta zabijają się między sobą i

nikt nie robi z tego problemu. Nie rozumiem nawet, dlaczego zjadanie naszych współtowarzyszy tak wam przeszkadza. Prawdę mówiąc, zakłopotanie odczuwam tylko wtedy, gdy wpadacie w złość w wypadku naszego niestosowania się do „siedmiu praw”, na których tak bardzo wam zależy.

Aurore szepcze do ucha Davida:

– Oni nie rozumieją pojęć „dobro” i „zło”.

Królowa Emma I ogłasza:

– Nie martwcie się, odtąd biorę sprawy w swoje ręce. W Mikrolandzie zapanuje porządek. Nauczę ich waszych reguł życia.

David przypomina sobie, jak on sam spędził wiele lat życia na uczeniu się tych słynnych życiowych zasad. Zaczęło się od uprzejmości, poprawnego trzymania widelca, niemówienia z pełnymi ustami, podnoszenia tego, co się zrzuciło, mówienia „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”, nieodrywania gum przyklejonych pod ławkami, żeby jeszcze trochę je pożuć (był przyzwyczajony do tego rodzaju praktyk), niejedzenia piasku z piaskownicy i niedotykania psich odchodów (które znajdowało się właśnie w piaskownicy). Następnie nauczył się zasad dobrego wychowania: trzymania się prosto, patrzenia ludziom w oczy, przeżuwania pożywienia przed połknięciem, mycia zębów, mycia twarzy, nienoszenia w kółko tych samych ubrań.

Wpojono mu również zasady moralne: nabijanie się z osób starych i niepełnosprawnych jest złe, podkładanie nogi innym dzieciom jest złe, rzucanie z balkonu balonów z wodą na przechodniów jest złe. Był karany, kiedy robił głupoty. Ojciec nawet kiedyś go spoliczkował, gdy stłukł wazon, a matka odmawiała mu deseru, kiedy nie chciał jeść brukselki i ugniatał kulki z mięsa, żeby następnie wypluć je w któryś z zakamarków sofy. Dalszy ciąg nastąpił w szkole, w której egzaminy

sprawdzały, czy zapamiętywał i myślał tak samo jak inni. Złe oceny. Dyplomy. Godziny spędzone w kozie. Gratulacje od nauczycieli. Jego przeszłość składała się z systemu naprzemiennych kar i nagród.

„Tak wykuwa się dusza ludzka”.

David stwierdza, że nawet jeśli mikroludzie rozwijają się szybko i są pełni dobrej woli, nigdy nie będą mogli stosować się do siedmiu praw, jeśli nie zostaną one połączone z silnymi doświadczeniami emocjonalnymi.

170. ENCYKLOPEDIA: JAK WYMYŚLAĆ FAŁSZYWE WSPOMNIENIA

Nie istnieje pamięć neutralna. Każde wspomnienie stanowi osobistą interpretację tego, co wydaje nam się rzeczywiste.

Profesor psychologii Elizabeth Loftus z uniwersytetu w Waszyngtonie przez długi czas analizowała ten temat. Najpierw, w 1990 roku, przystąpiła do doświadczeń z dorosłymi, którym opowiadała, że wie, że kiedy mieli pięć lat, zgubili się w centrum handlowym. Podawała im nazwę konkretnego sklepu i precyzyjną datę, twierdząc, że przygoda ta została jej opowiedziana przez ich rodziców. Jedna na cztery testowane osoby przyznawała w końcu, że doskonale pamięta to zdarzenie. Połowa spośród nich dodawała szczegóły, żeby potwierdzić tę całkowicie fikcyjną opowieść.

Na początku XXI wieku profesor Elizabeth Loftus wymyśliła bardziej złożone doświadczenie. Zebrała cztery grupy osób, którym proponowała ocenę filmu reklamowego po podróży do Disneylandu.

Pierwsza grupa zwiedzała park rozrywki, a następnie

oglądała film reklamowy pozbawiony odniesień do jakiegokolwiek postaci. Druga grupa zwiedzała park, ale podczas projekcji filmu ustawiano na sali figurę przedstawiającą królika Bunny'ego wysokości stu dwudziestu centymetrów.

Trzeciej grupie pokazywano film reklamowy, w którym jedna z postaci wspominała ustnie o obecności królika Bunny'ego.

Czwartej grupie pokazywano figurę królika Bunny'ego wysokości stu dwudziestu centymetrów, a w filmie również nawiązywano do obecności królika Bunny'ego.

Kiedy następnie przepytano wszystkich uczestników badania, czterdzieści procent twierdziło, że spotkało postać królika Bunny'ego podczas wizyty w Disneylandzie. Tymczasem, oczywiście, postaci tej nie można było zobaczyć w Disneylandzie, ponieważ stanowi ona symbol konkurencyjnego studia filmów animowanych, Warner Bros.

Co jeszcze dziwniejsze, podczas bardziej szczegółowych wywiadów połowa tych czterdziestu procent twierdziła, że w trakcie wizyty w Disneylandzie uścisnęła łapę królika ze słynną marchewką i podała szczegółowe informacje na temat tego spotkania, do którego nigdy nie doszło.

Dodatek autorstwa Charlesa Wellsa,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

171.

Mikromarchewka, którą jadła, wciąż jeszcze znajduje się w jej zaciśniętej dłoni. Ciało królowej Emmy I leży w kałuży krwi w jej królewskim pałacu.

Emma 666, z nożem w dłoni, przygląda się zwłokom z osobliwym uczuciem, że panuje nad śmiercią. Poczawszy od tej cudzej.

Kilka godzin wcześniej Emma 666, jedna z trzech pierwszych przestępczyń zamkniętych w więzieniu, postanowiła pokazać Dużym, że się ich nie boi. Ponieważ więzienie nie było dobrze zabezpieczone, a kilkoro wyznaczonych strażników nie pojęło znaczenia swojego obowiązku i zasnęło, jej ucieczka ze współniczkami odbyła się bez trudu.

A ponieważ Duzi wskazali królową Emmę I jako ich reprezentantkę, uciekinierki znalazły swój cel. Spokojnie wślizgnęły się do jej pałacu i zaskoczyły monarchinię w trakcie samotnej kolacji. Nawet kilku ochroniarzy królowej, wybranych w pośpiechu, nie wpadło na pomysł, żeby sprzeciwić się lub ruszyć w pogoń za morderczyniami.

Popelnivszy swój czyn, kobiety sforsowały drzwi terrarium przy użyciu metalowego lewara i uciekły z Mikrolandu. Na zewnątrz wspięły się po ogrodzeniu i odkryły, że świat jest o wiele większy, niż to sobie wyobrażały.

W Mikrolandzie w końcu wszczęto alarm.

Zwołano wszystkich przed szczątki królowej. Pentezylea sprząta małe ciało i składa je do trumny. Natalia złorzeczy:

– Dobrze, chcecie prowadzić taką grę? Stracimy trochę czasu, ale pobawimy się.

– Co pani zamierza? – pyta Aurore.

– Przede wszystkim zastąpimy ją. Następną królową będzie druga w kolejności starszeństwa... Emma 002.

– A jeśli zostanie zabita? – dopytuje Nuçx'ia.

– Wyjaśnimy jej, jak należy się bronić i zmuszać do respektowania prawa.

– Nie – mówi David.

– Jak to „nie”? – dziwi się Natalia.

– Są lepsze sposoby niż sprawiedliwość.

Naukowiec wypowiada to słowo, jak gdyby było zaklęciem:

– Religia. Nie boją się umierać, ponieważ nie wiedzą za bardzo, o co chodzi. Śmierć jest dla nich porównywalna z wyłączeniem urządzenia elektrycznego. Przełączenie z pozycji „on” na „off”. Nie ma w tym nic przerażającego.

– On ma rację – stwierdza Natalia. – Śmierć sama w sobie jest niczym, jeśli jest pozbawiona odrobiny teatralności.

Otwarta trumna z ciałem królowej Emmy I jest niesiona przez mikroludzi wzdłuż głównej alei prowadzącej do pałacu królewskiego. Z ust zebranych wydobywa się swego rodzaju buczenie, spontaniczna reakcja na uczucie kolektywnego bólu.

– Chcecie sprawić, żeby zmienili się w mistyków? – pyta Nuçx'ia.

Natalia Ovitz wsuwa dunhilla do lufki i kilkakrotnie wypuszcza dym.

– Dlaczego nie? Wie pan, jak wymyślić religię, drogi doktorze Wells?

David improwizuje.

– Zaczerpniemy ze wszystkiego, co ludzkie, i stworzymy coś na miarę naszych mikroludzi.

Próbuje wyobrazić sobie patchwork złożony z istniejących religii.

– Prawdę mówiąc, nie chodzi o blokowanie ich energii, ale o skanalizowanie jej. Zaczniemy od wywołania w nich strachu przed śmiercią, dodając myśl, że jeśli będą się źle zachowywać, ich dusza pójdzie do piekła.

– Jakiego piekła? – pyta pułkownik Ovitz.

Młody naukowiec zastanawia się.

– Do piekła mikroludzi. Naturalnie trzeba je wymyślić. Skoro już przy tym jesteśmy, powinniśmy również stworzyć im raj.

– David ma rację. Musimy wziąć odpowiedzialność za naszą pozycję: jesteśmy ich stwórcami, ale nie jesteśmy obojętni i odlegli. Jesteśmy niczym ich „bogowie” – ciągnie Nuçx’ia.

– Ich bogami... Dlaczego mielibyśmy robić z nich politeistów? – dziwi się Natalia Ovitz.

– Nasi przodkowie nimi byli – przypomina Pentezylea. – Pierwsze religie czciły słońce, deszcz, góry i wiatr, jak gdyby były żywymi istotami.

Śledzą wzrokiem trumnę Emmy I, która przemierza główną aleję, a szmer głosów narasta, doprowadzając do drżenia ścian sześcianu z pleksiglasu. Teraz wszystkie głosy

Mikrolandczyków łączą się w tę samą ponurą nutę si bemol.

– Dlatego robiłam wszystko, żeby uniknąć popadnięcia w irracjonalność, walczyłam całe życie z czarownikami, szarlatanami, dewotami, sektami, guru, religiami wszelkiej maści, żeby ostatecznie...

– ...wymyślić religię inteligentną, dostosowaną do problemu nierozwiązywalnego w inny sposób – uzupełnia Pentezylea.

– Ale...

Martin kończy zamiast niej:

– Człowiek nie może żyć bez wymiaru imaginacyjnego. „Potrzeba wiary jest odwrotnie proporcjonalna do potrzeby prawdy”.

– Czy to kolejne z pańskich praw Murphy’ego?

Wojskowy kręci przecząco głową i wskazuje ruchem brody żonę.

– Brawo, poruczniku, chyba naprawdę streścił nam pan

problem. Jeśli pójdziemy w stronę religii, sprawimy, że przestaną poszukiwać prawdy – mówi Aurore.

Dźwięk głosów narasta, aż ściany z pleksiglasu zaczynają drżeć.

David czuje się w obowiązku wyjaśnić:

– Nie mamy wyboru. Znajdujemy się w fazie „rozkrećcia społeczeństwa”, jeśli nie pomożemy im nieco, ryzykujemy kolejne akty przemocy. Religia została pierwotnie stworzona w celu uspokojenia najdzikszych plemion. Była przede wszystkim narzędziem pozwalającym na utrzymanie porządku i umożliwiającym oddziaływanie na umysły... najłatwiej ulegające wpływom.

– Chcesz powiedzieć, mój drogi Davidzie, najbardziej naiwne? – ironizuje Aurore.

– Większość ludzi jest wierząca. Chodzą do świątyni, konsultują się z marabutami, astrologami, czytają horoskopy albo modlą się do wymyślonych postaci.

Nagle mikroludzie przestają nucić. Trumna Emmy I zostaje spuszczone do ziemi. Jednocześnie małe istotki klękają.

– Widzicie... są gotowi na przyjęcie mitologii i symboli – zauważa David.

Natalia jest pod wrażeniem, jak spontanicznie powstał rytuał towarzyszący drodze królowej do jej ostatniego przybytku.

– Myśli pan, że to jest zapisane w naszych genach, Davidzie? Myśli pan, że istnieje gen wiary przypisany człowiekowi, tak jak mowa?

Kobieta wydaje się jednocześnie zafascynowana i rozczarowana.

– Dobrze, w takim razie bądźmy bogami.

Aurore wydaje się najmniej entuzjastycznie nastawiona, a

jednak oznajmia:

– Będziemy musieli się rozróżnić. Ja będę boginią miłości i płodności. Spowodowałam ich narodziny, będę czuwała nad ich reprodukcją.

– Ja będę boginią natury – oznajmia Nuçx'ia. – Nauczę ich szacunku dla drzew, przyrządzania mikstur, polowań, integracji z naturą.

– Zgadzam się być boginią śmierci i piekła – mówi Pentezylea. – Fascynacja śmiercią stanowi motywację, która przewyższa wszystkie inne. Będę przewodniczyć ceremoniom ich pochówków, będę zarządzała cmentarzami. Zamienię w rytuały to, czego już dokonują.

– Chętnie zostanę bogiem technologii, ognia i kowadła – mówi David.

– A pan, Martin? – pyta Natalia.

Potężny mężczyzna zastanawia się.

– Z radością zostanę bogiem wina i przyjemności. Tym samym wezmę odpowiedzialność za mój przeszły błąd. Przy użyciu tej samej techniki spróbuję czynić dobro tam, gdzie wyrządziłem tyle zła.

Wszyscy uśmiechają się i zgadzają.

– A pani, pułkowniku?

– Chcę zostać bogiem wojny. Zresztą muszę wdrożyć im treningi wojskowe. Nie zapominajmy, że naszym głównym celem jest wychowanie ich na szpiegów Republiki Francuskiej.

Wszyscy czują się, jak gdyby rozpoczynali nową, upajającą zabawę.

– A więc, drodzy przyjaciele, bogowie Emceków, ustaliliśmy kwestię niebieskiego Panteonu. Pozostaje nam stworzyć nowy rząd, prawdziwą administrację, która potrafi wzbudzić szacunek, i wymyślić... piekło godne tej nazwy.

Sprawy toczą się bardzo szybko. Nowa królowa Emma II wstępuje na tron podczas znacznie bardziej spektakularnej ceremonii, która ma na celu naznaczenie umysłów. Odczytuje orędzie, w którym podkreśla swoją podległość Dużym i chęć wprowadzenia prawa boskiego.

Policjantki i strażniczki, do tej pory wybierane przypadkowo, zostają zastąpione przez najsilniejsze i najbardziej zmotywowane jednostki. Winne zostają ponownie zatrzymane w pobliżu hangaru, gdzie wróciły z powodu zimna, głodu i strachu przed nieznanym światem. Kiedy są prowadzone główną aleją Mikrolandu przez nowe policjantki, skazane witają się z tłumem i wykonują gesty zwycięstwa. Niektórzy okazują wsparcie więźniarkom, które już oznajmiają, że mają zamiar powtórzyć swój czyn i że nie boją się Dużych.

Kiedy trzy winne stają przed nową królową, Emmą II, jedna z nich pozwala sobie nawet na powtórzenie gestu wbijania sztyletu w serce, co wywołuje śmiechy wśród ich zwolenników w tłumie i zmusza policję do odsunięcia gapiów. Ponownie morderczynie wyzywają służby porządkowe. Emma 666 i jej dwie miniaturowe pomocnice spodziewają się, że zostaną zamknięte w więzieniu, z którego mają zamiar bez trudu uciec, tymczasem zostają wyprowadzone z Mikrolandu przez królewską straż. Zostają odeskortowane poza granicę ściany terrarium z pleksiglasu i oddane w ręce Dużych.

David i Aurore zadali sobie dużo trudu, żeby wymyślić piekło. Na początek trzy winne zostają zamknięte w ciasnym pomieszczeniu w piwnicy ośrodka w całkowitej ciemności. Aurore wpuszcza szczury. David czuwa z pomocą kamery na podczerwień nad zachowaniem wielkich gryzoni wobec małych ludzików. Ranią je wszystkie w ciemnościach, ale zabijają tylko jedną.

Światło powraca i dwie ocalałe zostają przeniesione do innej klatki, również pogrążonej w ciemnościach.

Zostają poddane działaniu ogłuszających dźwięków i wysokiej temperatury. Dwie Emceki duszą się, osiągając kulminacyjny punkt agonii. Następnie powracają do ciemności i szczurów, które zabijają jeszcze jedną przestępczynię. Wreszcie ostatnia ocalała, Emma 666, błaga o litość i obiecuje zrobić wszystko, aby nie musieć ponownie przeżywać tej próby. Mówi, że zrozumiała. Zaklina Dużych, żeby ją wypuścili.

Ale bogowie wolą być pewni jej motywacji.

Pentezylea przypomina, że ogrom cierpienia można zmierzyć, jedynie doświadczając go naprzemiennie z przyjemnością.

– Trzeba jej wymyślić raj, żeby miała porównanie – proponuje.

Bez żadnego stadium przejściowego Emma 666 trafia do pomieszczenia-kokonu, otoczona smakołykami, alkoholem, łagodną muzyką i upajającymi zapachami. Następnie zostaje ponownie z niego zabrana i pogrążona w piekle, ze szczurami, z ogłuszającym hałasem i nieznośnie wysoką temperaturą.

„Gorąco i zimno hartuje duszę, tak jak się zanurza stal w rozżarzonych węglach, a następnie w lodowatej wodzie” – przypomina sobie David.

Aurore poucza Emmę 666.

- Odmowa posłuszeństwa bogom oznacza piekło – mówi.
- Posłuszeństwo bogom kieruje do raju – uzupełnia David.
- Szkodzenie bogom prowadzi do piekła.
- Pomaganie bogom prowadzi do raju.
- Wyjście z Mikrolandu bez pozwolenia prowadzi do piekła.
- Wyruszenie na misję w celu realizacji życzeń bogów

zapewnia raj.

– Zabicie innego Emceka prowadzi do piekła.

Aurore traktuje swoją rolę bogini bardzo serio.

– Jeśli będziecie źle się zachowywać, na początek za karę traficie do więzienia, jeśli powtórzycie zły czyn, czeka was wieczne piekło.

Żeby sprawdzić, czy Emma 666 dobrze zapamiętała rozkazy, zostaje jeszcze raz umieszczona na kilka minut w ciemnościach, w otoczeniu szczurów.

W końcu zostaje ponownie odstawiona do Mikrolandu.

Wszyscy stwierdzają, że jest odmieniona. Nikomu już nie dokucz, nie pozwala sobie na najdrobniejszą groźbę wobec królowej.

Wręcz przeciwnie, Emma 666 zwołuje wszystkich ciekawskich, którzy chcą, żeby podzieliła się z nimi wiedzą na temat piekła i raju. Emma opowiada o wiecznym potępieniu duszy tych, którzy złamią obowiązujące prawa. Nie musi być przesadnie przekonująca, jej spojrzenie mówi samo za siebie. Kiedy wspomina swoje przeżycia, wstrząsają nią dreszcze i konwulsje, jej spojrzenie ciemnieje, a jeżące się na ciele włosy świadczą o całkowitym przerażeniu.

Winowajczyni odzyskuje oddech i spokój dopiero wtedy, kiedy wspomina o raju. I zgodnie z tym, na co liczył David, fakt, że była największym wrogiem systemu, czyni ją tym bardziej wiarygodną. Powtarza opowieść o doświadczeniu bólu i przyjemności każdemu, kto tylko chce jej wysłuchać, a widząc, jakim to cieszy się powodzeniem, ubarwia ją nieustannie o wymyślone szczegóły, co do których jest w pełni przekonana. Szczury zmieniają się w potwory. Upał – w żar. Śmierć towarzyszek – w mękę. Idealizuje również doświadczenie raju.

W ciągu kolejnych dni Emma 666 gromadzi wokół siebie

coraz liczniejsze tłumy.

Wówczas David proponuje, żeby nie tylko wybaczyć skruszonej winowajczyni, ale żeby mianować ją „papieżycą”. Tuż po intronizacji urządzona w budynku służącym za pierwszą świątynię Emma 666, królobójczyni, anarchistka, prowokatorka, okazuje się najgorliwszą służką bogów.

Spółeczność mieszkańców Mikrolandu może wreszcie ustabilizować się na swoich dwóch filarach.

Królowa Emma II dba o porządek, czystość, konstrukcję budynków administracyjnych, policję, sprawiedliwość, zarządzanie w więzieniach i o dobre stosunki dyplomatyczne z Dużymi.

Papieżyca Emma 666 zapewnia kontrolę duchową. Sprawuje pieczę nad lękiem przed śmiercią, nad rytuałami pogrzebowymi, spowiedziami, a nawet egzorcyzmami. Wpaja ludności moralność, mówiąc o sądzie ostatecznym i o nadziei na raj. Każe wznosić świątynie. Przy pomocy Davida szerzy kult bogów polegający na poświęceniu życia Dużym i gotowości ponoszenia ofiar dla nich. Zostaje doskonałą mówczynią i często kończy swoje homilie następującym zdaniem:

– Dużym nigdy nie możecie odmawiać. Powinniście zawsze mieć na końcu języka proste i precyzyjne słowo: „Tak”.

172. ENCYKLOPEDIA: WIARA

Zgodnie z badaniem przeprowadzonym w lipcu 2000 roku odsetek wierzących (po zgromadzeniu wyników pięćdziesięciu dziewięciu sondaży na ten temat) był w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglii i we Francji następujący:

Wierzy w istnienie:

Boga:

Stany Zjednoczone: 86%

Kanada: 81%

Anglia: 56%

Francja: 56%

diabła:

Stany Zjednoczone: 69%

Kanada: 48%

Anglia: 25%

Francja: 27%

istot pozaziemskich:

Stany Zjednoczone: 54%

Kanada: 52%

Anglia: 51%

Francja: 48%

duchów:

Stany Zjednoczone: 51%

Kanada: 38%

Anglia: 38%

Francja: 13%

w życie po życiu:

Stany Zjednoczone: 26%

Kanada: 29%

Anglia: 33%

Francja: 14%

Mimo wzrostu irracjonalności wydaje się, że liczby te maleją. Tak więc w 1994 roku we Francji odsetek osób wierzących w spełnienie modlitw wynosił 54% – liczba ta spada do 46% w 2003 roku.

Podobnie wiara we wpływ znaków zodiakalnych na nasze codzienne życie spada we Francji z 60% w 1994 roku do 37% w 2003 roku. Myśl, że na to, co się nam przydarza,

ma wpływ zewnątrzna, niewidzialna siła, podzielało 44% ludzi w 1994 roku i 29% w 2003 roku.

Dodatek autorstwa Charlesa Wellsa,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

173.

Msza w nowej mikrolandzkiej katedrze jest dokładnie wyreżyserowana. Papieżycy Emmy 666, cudownej w swojej obszernej szkarłatnej sukni, żarliwością stara się dorównać kohorta kardynałek i zakonnic.

Papieżycy Emma 666 nie ustaje w ulepszaniu swoich homilii.

Czeka, aż zapadnie idealna cisza, po czym przemawia do mikrofonu podłączonego do wszystkich głośników w mieście.

– Na początku było pierwotne jajo. Unosiło się w pustce nieskończonej przestrzeni. Z pęknięcia pierwotnego jaja zrodziły się wszechświat, Ziemia i bogowie. Bogowie długo żyli pełnią szczęścia, korzystając z nieograniczonej mocy. Ale pewnego dnia zechcieli podzielić się swoim szczęściem i pod wpływem bogini Natalii bóg David i bogini Aurore wpadli na pomysł, żeby stworzyć człowieka na ich podobieństwo. Chcieli kontynuować w miniaturze wspaniałą przygodę, jakiej sami zaznali. Wzięli w tym celu odrobinę własnego ciała, wprowadzili je do jaja i natchnęli je swoją duszą, aby otrzymać „pierwsze jajo Emceka”. Z tego pierwszego jaja zrodziła się Emma I, pierwsza kobieta naszych rozmiarów.

W tym momencie papieżycy unosi swoje złote berło nad głowę i wszyscy powtarzają tym samym, nabożnym głosem:

– Niech imię Emmy I będzie na zawsze uświęcone.

– Następnie bogowie wykształcili Emmę I i przekazali jej tajemnice rolnictwa, hodowli, murarstwa, metalurgii i elektryczności.

– Niech bogom będą dzięki. Zawsze będziemy doceniać te dary.

Następnie wszyscy odwracają się w stronę sześciorga Dużych i składają im hołd.

– Niech żyją bogini Natalia, bóg David, bogini Aurore tworzący Pierwszą Trójcę.

Potem odwracają się w stronę trojga pozostałych.

– Niech żyje bogini Pentezylea, bogini Nuçx'ia, bóg Martin tworzący Drugą Trójcę.

Sześcioro naukowców z centrum NIBR niewzruszenie odgrywa role żywych bóstw. David ma ochotę się roześmiać, wie jednak, że religia nie idzie w parze z humorem. Nuçx'ia, która zna swojego towarzysza, widzi, że powstrzymuje wesołość. Dlatego nadeptuje mu na stopę, zmuszając do zachowania miny godnej bóstwa uczestniczącego w uroczystości ku własnej czci.

Papieżyca Emma 666 jest być może najbardziej natchniona w tej świętej chwili. Kiedy zebrani chylą czoła przed bogami, jej oczy stają w słup. Wstrząsa nią nieopanowany dreszcz, który określa mianem „emocji doznania prawdy”.

– Mimo wszystko – szepcze Nuçx'ia do ucha swojego towarzysza – wszyscy zapominają, że to ona zamordowała królową Emmę I, której tak schlebia.

– Gdybyśmy mieli cały czas pamiętać o drobiazgach, nigdy byśmy sobie z tym nie poradzi – odpowiada David.

– Przyznaj jednak, że dość sprytnie postępuje, wychwalając nieustannie swoją ofiarę – dodaje Aurore, która dosłyszała ich rozmowę.

– My również możemy wymienić podobne postacie. Święty Paweł, czyli Saul z Tarsu, był pierwotnie jednym z prześladowców przyjaciół Jezusa. Uczestniczył nawet w ukamienowaniu Szczepana, jednego z bliskich towarzyszy Jezusa. Nie przeszkodziło mu to w wymyśleniu chrześcijaństwa, chociaż nigdy osobiście Chrystusa nie spotkał, a rzeczony Jezus Chrystus wyraźnie sprecyzował za życia, że nie chciałby „za nic tworzyć nowej religii, a jedynie przypomnieć prawa ojców tym, którzy o nich zapomnieli pod jarzmem rzymskiej okupacji”.

Natalia wzrusza ramionami.

– Dopóki owieczki są zadowolone, a przekaz dociera do odbiorcy, nie będziemy sobie utrudniać sprawy. Przeciwnie, Emma 666 ma wciąż winę do odkupienia, stara się więc podwójnie. Gdybyśmy chcieli wywrzeć na nią nacisk, wystarczyłoby przypomnieć pozostałym, że to ona mimo wszystko popełniła najgorszą ze zbrodni.

– Tak oto świat powstaje na zapomnianych zbrodniach – dodaje filozoficznie Martin Janicot.

Podczas gdy mikroludzie wciąż chylą głowy przed sześciorgiem bogów stojących w rzędzie, porucznik Janicot odsłania swoją koszulkę z prawami, które uznał za odpowiednie do sytuacji:

55. Każdy złożony problem może BYć rozwiązany fałszywymi odpowiedziami.

56. Istnieją trzy kategorie ludzi. Ci, którzy potrafią liczyć, i ci, którzy nie potrafią liczyć.

57. Znajdujemy zagubiony przedmiot dopiero WTEDY, gdy zastąpimy go nowym.

Pozostała piątka czyta i się uśmiecha, tymczasem wierni wciąż trwają przed nimi w pokłonie.

– Mówiłam, że to nie jest dobry moment na żarty,

poruczniku. Nawet na te zapisane na koszulce – przypomina Natalia Ovitz.

Ponownie papieżycy Emma 666 unosi berło zakończone jajem. Jej oczy wciąż odsłaniają tylko białka.

– Chwała Emmie I. Chwała Emmie II.

Wszyscy powtarzają formułkę. Wtedy wstaje królowa.

– Chwała bogom – odzywa się ta ostatnia z twarzą zwróconą ku ziemi. – Na wszystko, o co poproszą, odpowiemy zawsze: „Tak, tak, tak”.

Tłum ponownie skanduje:

– Tak, tak, tak!

– Tym razem – stwierdza Pentezylea – myślę, że Emceki są psychologicznie ustawione.

– Dobrze się składa – mówi pułkownik Ovitz. – Nie mamy już czasu. W przyszłym tygodniu będą musieli wyruszyć na misję.

– Co to za pilna sprawa?

– Aszura.

– Co to takiego?

– Święto irańskich męczenników.

– Kiedy to biczują się w procesji biczami z gwoźdźmi?

– Robią to w celu upamiętnienia największego cierpienia: zamordowania imama Husajna ibn Alego i siedemdziesięciu dwóch członków jego rodziny przez kalifa Jazira I w 680 roku – wyjaśnia pułkownik Ovitz. – Podczas wojny sukcesyjnej, która zmieniła się w rzeź.

– W jaki sposób ta ponad tysiącczterystuletnia historia nas dotyczy? – szepcze Aurore.

– Oni wciąż nie wybaczyli. Moi przyjaciele z tajnych służb poinformowali mnie, że Irańczycy (którzy są szyitami, a więc roszczą sobie prawo do spuścizny po Husajnie) opracowali

właśnie bombę atomową „Wieczna zemsta 2” i zamierzają wystrzelić ją na Rijad (centrum ruchu sunnickiego). Wydarzy się to dokładnie za siedem dni.

Po mszy ku czci bogów odbywa się recital organowy w nowej katedrze. *Toccatę* Bacha interpretuje uczennica, która wkłada w nią całe serce.

– Dlaczego powinniśmy bronić Saudyjczyków sunnickich przed irańskimi szyitami? W obu krajach status kobiet niewiele różni się od niewolnictwa – przypomina Aurore cierpkim tonem.

– Z dwojga złego trzeba wybrać to mniejsze – odpowiada Natalia. – Postanowiłam ocalić Rijad.

Młoda kobieta o złocistych oczach nie wydaje się ani trochę przekonana i na jej twarzy maluje się upór.

– Jeśli dowiedzą się, że to kobiety ocaliły ich stolicę, być może poczują wdzięczność – ciągnie Nuçx’ia, starając się poprzeć Natalię.

Ale pułkownik Ovitz wybiega przewidywaniami dalej.

– Jeśli chcemy uniknąć najgorszego, musimy wybrać spośród Emceków osiemset wywiadowczyń, które unieszkodliwią ośrodki strzelnicze potencjalnych nuklearnych pocisków. Tylko w jednym miejscu znajduje się pocisk „Wieczna zemsta 2”, ale ponieważ nie wiemy, w którym...

– Nadała już pani misji nazwę, pułkowniku? – pyta porucznik Janicot.

– Izraelskie latające talerze, których użyją, nazywają się „Rings”, proponuję zatem, żeby nazwać misję „Lord of the Rings”, nawiązując do *Władcy pierścieni*. To jedna z moich ulubionych książek. Właściwie mikroludzie są niczym Hobbici, małe istotki, które przenikają do nieprzyjaznego systemu, żeby ocalić świat. Z tą różnicą, że tym razem pierścieniami są latające talerze.

– Mam lepszy pomysł – oznajmia Aurore. – Dlaczego nie „Ladies of the Rings”? W końcu w misji uczestniczą same małe kobietki.

Natalia przytakuje.

– Zręczne. A zatem będzie to misja „Ladies of the Rings”, „Księżniczki pierścieni”. Tak czy inaczej, nie mamy czasu do stracenia, każdy musi wziąć się do pracy, żeby misja zapobiegła nieszczęściu.

Ze świątyni mikrolandzkiej wciąż płynie muzyka Bacha i wtedy właśnie zdarza się incydent. Żarówka wielkiej lampy służącej w Mikrolandzie za słońce eksploduje. Śpiewy i muzyka gwałtownie się urywają. Przyświecając sobie smartfonem, porucznik Janicot opuszcza sześcian z pleksiglasu, a po chwili wraca z drabiną i żarówką. Odkręca oprawę zgasłego słońca i zastępuje je nową tysiącwatową żarówką. Radosne śpiewy unoszą się z mikroludzkiego tłumu, a wesola muzyka wprawia w drgania ściany katedry.

Emceki chylą czoła jeszcze niżej, gdy papieżycza Emma 666 znów znajduje inspirację.

– To cud! To cud!

Nieco zawstydzony Martin zbiera odłamki szkła ze starej żarówki, żeby nikt się nie zranił, i szepcze do pięciorga swoich towarzyszy:

– Przepraszam. Powinienem był wymienić żarówkę wcześniej. Ale nie martwcie się, nie pogrążą się w mroku, mam zapasowe słońca.

174.

Znów z nieba przybyło zagrożenie.

Była to asteroida tej samej wielkości co Teja. Pędziła w moim kierunku z prędkością siedemdziesięciu tysięcy kilometrów

na godzinę.

Natychmiast powiadomiłam szamana w jego piramidzie. Tak jak na to liczyłam, moi ulubieni lokatorzy niezwłocznie podjęli stosowne kroki. Nowiutka rakieta „Limfocyt 13” była gotowa do akcji.

Wystartowała z ekipą siedmiu wyszkolonych minikosmonautów i bombą atomową najnowszej generacji na pokładzie.

Pamiętam, z niepokojem śledziłam wyjście statku kosmicznego z mojej strefy grawitacji i jej lot w stronę gwiazdnej próżni, mający za cel nową Teję.

Teję 4.

To była dobra rakieta, z dobrą załogą i dobrym ładunkiem wybuchowym.

Nie wyobrażałam sobie, że mogłyby pojawić się jakiegokolwiek kłopoty.

Misja „Ladies of the Rings”

175.

Blask rozjaśnia horyzont i nad pustynnymi wydmami, z których wylaniają się nieliczne kępki żółtych traw, wstaje dzień.

Latający spodek zarysowuje się na tle nieba, nieruchomieje tuż nad ziemią i przecina różowy owal słońca wznoszącego się nad linię horyzontu. Spodek ląduje w cieniu palmy na terenie jedynej oazy, która ciągnie się wzdłuż dużego betonowego budynku przypominającego bunkier.

Przeźroczysta kula służąca za kokpit niemal niesłyszalnie się otwiera i dwudziestocentymetrowa postać schodzi po drabinie na drobny piasek.

Zielona istota ma na głowie dwie antenki.

Zdejmuje hełm z antenkami i wkłada go do schowka w latającym spodku. Następnie potrząsa głową i rozpuszcza długie ciemne włosy. Skręca je w kok, sięga po bukłak z napojem energetycznym i zakłada plecak.

Emma 109 starannie kamufluje latający talerz, żeby nie dało się go zauważyć z wysokości Dużych. Następnie czołga się po ziemi w kierunku celu, który namierza przez lornetkę.

Są „Duży Wrogowie”, którzy patrolują, jest mur, jest ogrodzenie, są budki strażników.

Emma 109 przypomina sobie ostatnie wskazówki „Dużych Przyjaciół”: „Ci, których tam spotkacie, nie są bogami. To wrogowie bogów, nie możecie więc być im posłuszni, nie musicie ich szanować. Możecie ich atakować, możecie ich zabijać. Im możecie powiedzieć »Nie«”.

Młodej Emmie nie było łatwo przyswoić sobie zarazem prawo, religię i świętą misję, która stała w opozycji do prawa i

religii. To w treningu fizycznym, wyjątkowo intensywnym w ciągu ostatnich kilku dni, znalazła sens swojej misji. Z ćwiczeń infiltracji Emma 109 nie zdobyła najlepszych ocen, ale pilotowanie latających spodków i krav maga szły jej całkiem dobrze. Znalazła się nawet wśród dziesięciu najlepszych na osiemset osób.

Chowa lornetkę i rusza naprzód przez pustynne wydmy. Bez trudu dociera do betonowej ściany bunkra, dostrzega wąskie okienko, rzuca drapacz, wspina się po ścianie, draży otwór pod oknem i przenika do wnętrza budynku, którego piaskowy kolor sprawia, że ten zlewa się z wydmami.

Emma 109 pokonuje ogrodzenie, prześlizgując się między metalowymi prętami. Szuka otworu wentylacyjnego, mając w pamięci słowa bogini Natalii: „Każdy podziemny ośrodek musi mieć system wentylacji, żeby ludzie pracujący wewnątrz mogli oddychać”.

Wywiadowczyni znajduje wreszcie zakratowane okienko. Przeszukuje swój plecak. Uzbrojona w elektryczny śrubokręt z wymienną głowicą, odkręca płytkę zabezpieczającą i wślizguje się do przewodu. Porusza się na czworakach, aż dociera do pochyłego zakrętu. Wyciąga z plecaka przyssawki, które pozwalają jej zejść po aluminiowej ścianie. Zagłębia się w pionowy tunel, wykonując precyzyjne gesty, dociera do rozgałęzienia, gdzie rozważa dwa kierunki.

Ponownie przypomina sobie słowa bogini Natalii: „Przed wami używaliśmy do podobnych misji tresowane małpy i zaprogramowane roboty. Jedni i drudzy ponieśli klęskę, gdyż brakowało im inicjatywy w nieprzewidzianych sytuacjach. To sprawi, że wy odniesiecie sukces: improwizacja, słuchanie intuicji, radzenie sobie w nowych sytuacjach z zimną krwią i rozważanie wszystkich »za« i »przeciw« przed podjęciem

decyzji. Stanowicie broń idealną, która potrafi podejmować oryginalne inicjatywy w zależności od tego, co zobaczy na miejscu”.

Wywiadowczyni rusza dalej i dociera do pomieszczenia, w którym żołnierze zebrani wokół stołu grają w karty.

To nie tu.

Wspina się tunelem w drugą stronę i schodzi, używając przyssawek, aż do miejsca, które wygląda na centrum dowodzenia. Przez kratę systemu wentylacyjnego dostrzega tablice i ekrany oraz Dużych w białych kitlach przed urządzeniami. Przypomina sobie zalecenia: „Macie odszukać serce systemu informatycznego i umieścić tam bombę”. Emma 109 schodzi w dół, przeszukuje puste pomieszczenia w poszukiwaniu tego, które mogłoby odpowiadać opisowi.

Umieszcza bombę ciężącą w jej plecaku w głębi szafy na sprzęt informatyczny. Zna jej niszczycielską moc, szczególnie w zamkniętej przestrzeni, jaką jest podziemny ośrodek.

„Nie mogę pozwolić, żeby mi zaimponowali. Są duzi, ale to wrogowie bogów”.

Zamyka szafę i włącza licznik odmierzający czas do eksplozji.

Emma 109 stwierdza, że zadanie okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała. Jej mały wzrost był prawdziwym atutem pozwalającym działać swobodnie wśród Dużych, którzy poruszali się powoli. Rzuca ostatnie spojrzenie na bombę, widzi zmieniające się cyfry na minutniku. Wie, że teraz musi jak najszybciej się oddalić.

176.

Rakieta „Limfocyt 13” dotarła w pobliże asteroidy Teja 4. Mali kosmonauci wylądowali na jej powierzchni. Wyszli na

zewnątrz w skafandrach, zaczęli instalować sprzęt i drążyć głęboki otwór w skale, w którym umieszczą ładunek nuklearny.

Śledziłam ich działania dzięki kamerze wideo, pamiętam, że tknęło mnie złe przeczucie.

Byli przesadnie zdenerwowani.

177.

Emma 109 wraca do pomieszczenia, z którego dostała się do systemu wentylacyjnego. Niespodziewanie mikroczłowiek znajduje się jednak w obliczu problemu.

Zwierzę siedzące na kolanach jednego z Dużych dostrzegło ją i skoczyło ku niej.

O ile Emma 109 zrozumiała, że Duży są powolni, ociążali i masywni, o tyle teraz uświadamia sobie, że ten przeciwnik jest zręczny i energiczny. Widziała go w *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* boga Davida. Wygląda tak samo jak na zdjęciu. Jak ono się nazywało? Kot.

Nigdy nie widziała tego potwora z bliska, ale intuicyjnie czuje, że przeciwnik jest zawzięty.

Kocur rzuca się w pogoń za nią bez jednego miauknięcia.

Emma 109 nie ma czasu na dotarcie do otworu prowadzącego do systemu wentylacji, nie ma również czasu sięgnąć po kuszę i strzałki usypiające, w które została wyposażona na wypadek tego rodzaju problemu. Głos bogini Natalii powtarza w jej głowie: „Improvizujcie i pozwólcie działać waszej intuicji. Ona sprawia, że macie przewagę nad robotami i małpami”.

Muska ją pazurzasta łapa.

Licznik bomby jest już uruchomiony i Emma 109 wie, że pozostało jej dokładnie dwanaście minut na ucieczkę.

Tym razem miękka łapa powala ją. Emma 109 koziołkuje

naprzód, przewraca się na plecy, chociaż plecak amortyzuje upadek. Wstaje i stawia zwierzęciu czoło. Kot odsłania zęby, pomrukując, gotów ją schrupać. Ratuje ją jednak instynkt zwierzęcia lubiącego zabawę.

Uznawszy, że ofiara pozwoli mu się odprężyć, kot nie ma zamiaru od razu jej zabijać, woli najpierw pobawić się nią i zadać jej ból. Oстрым pazurem rozdziera ubrania mikrocłowieka.

Emma 109 biegnie. Kiedy wydaje jej się, że zostawiła przeciwnika w tyle, znów przewraca ją uderzenie łapy.

„Improwizować. Używać otoczenia” – powtarza w myślach Emma 109, która nie może zapomnieć, że w sąsiednim pomieszczeniu tyka bomba.

Rozważa swoje atuty i słabe strony: kot jest szybszy, ale ona dysponuje dłońmi z palcami, dlatego stosuje zaimprovizowaną taktykę. Dostrzegłszy płócienną zasłonę, wykorzystuje dwa noże w charakterze kotwiczek i wspina się dzięki sile ramion aż na samą górę.

Kot natychmiast zatapia pazury w tkaninie i rusza jej śladem.

Na szczycie Emma 109 przechodzi po miedzianym drążku niczym po równoważni. Kot nie ma odwagi iść za nią. Macha łapami, ale Emmie 109 udaje się wykonać skok na drugą stronę okna i zejść po zasłonie, wbijając noże w materiał.

Tym razem kot nie potrafi ruszyć za nią. To pewna osobliwość jego natury – Emma 109 to wie – kot ma pazury, które pozwalają mu się wspinać, ale nie schodzić, a nie ma odwagi skoczyć z takiej wysokości. Miauczy tylko głośno, żeby sprowadzić pomoc.

Emma 109 dociera do otworu wentylacyjnego i wspina się za pomocą przyssawek. Jest spocona i wycieńczona, ale wie, że

nie ma czasu do stracenia. Licznik bomby zbliża się już do zera.

178. TURECKIE HAREMY

Haremy (etymologicznie: „sanktuaria”) były najtajniejszymi miejscami imperium otomańskiego. Mieściły się w pałacach, obejmując ogrody, łaźnie, baseny, sypialnie, które były zajmowane przez kilkudziesięciu eunuchów i średnio czterysta konkubin.

Były to luksusowe więzienia, w których zamykano młode kobiety pojmane na statkach przez piratów, a także kobiety porywane w prowincjach najeżdżanych przez wojska imperium otomańskiego, szczególnie w krajach słowiańskich (ponieważ muzułmanki nie mogły być niewolnicami, Turcy porywali wyłącznie kobiety praktykujące inne religie).

Haremy były prawdziwymi więzieniami, chociaż kraty w nich były złocone, a wystrój i pożywienie niezwykle wyrafinowane. Na przykład wszystkie okna wychodziły na północ, żeby kobiety nie mogły zdawać sobie sprawy z upływającego czasu, obserwując słońce. Głośnie fontanny tłumili dźwięki dochodzące z zewnątrz.

Celem haremu było zapewnienie przetrwania dynastii sultana. Ten ostatni wybierał sobie faworytę na wieczór, upuszczając chusteczkę, a wskazana kobieta podnosiła ją i wracała do swojego pokoju. Wybrankę nazywano „odaliską”, co znaczy „przeznaczona do pokoju”.

W ciągu dnia konkubiny czekały na dobrą wolę sultana, walcząc między sobą o jego względy i możliwość ofiarowania mu syna. Sultan pragnął mieć jak najwięcej synów, aby zapewnić przeciwwagę dla chorób i śmiertelności.

Następnie rywalizacja konkubin odbywała się za pośrednictwem ich synów. Obowiązującą zasadą było:

następcą sultana zostanie najstarszy potomek.

Książęta następcy tronu trafiali więc do przyległego więzienia zwanego „klatką”, swego rodzaju małego haremu dla mężczyzn, równie luksusowego, co harem dla kobiet. Zazwyczaj na czterysta konkubin przypadało pięćdziesięciu książąt.

W chwili gdy sułtan umierał, najstarszy syn był wybierany na następcę, a wszystkich jego młodszych braci i braci przyrodnych eunuchowie dusili jedwabnym sznurem, żeby przypadkiem nie kusilo ich spieranie się o władzę. Matce następcy przyznawano status królowej matki.

Nie ma więc nic dziwnego w tym, że konkubiny spędzały czas na zawiązywaniu spisków nie tylko w celu zamordowania rywalizujących książąt, ale także sułtana, żeby oba wydarzenia zbiegły się w czasie.

Wewnątrz „klatki” książęta żyli w strachu i nienawiści wobec braci, co u niektórych powodowało paranoję, a innych doprowadzało nawet do szaleństwa. Matki, którym wolno było ich odwiedzać w „klatce”, starały się podnosić na duchu swoich „zwycięzców” i dostarczały noże oraz trucizny, żeby ułatwić im pozbycie się rywali.

Poziom przemocy i wściekłości w tym cudownym otoczeniu regulowali eunuchowie pełniący funkcję wewnętrznej policji. Ci ostatni byli nastolatkami porywanymi w Etiopii, którym całkowicie usuwano penisa oraz jądra i zastępowano je rurką umożliwiającą oddawanie moczu. Ci, którym udało się przeżyć kastrację (osiemdziesiąt procent umierało z powodu zatrucia własną uryną, która nie mogła wydostać się na zewnątrz), byli sprzedawani na targach niewolników w Kairze.

Po rewolucji 1909 roku sułtan Abdul Hamid II został

wygnany z pałacu, a harem Topkapi otwarto, odsłaniając wiele setek kobiet w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu lat, całkowicie odciętych od świata. Kiedy je uwalniano, większość z nich wcale nie chciała opuścić tego miejsca, uważając, że na zewnątrz czeka je jeszcze gorsze życie.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

179.

Ci mali astronauty, wysocy na sto siedemdziesiąt centymetrów, umieścili w końcu bombę atomową głęboko w glebie asteroidy Teja 4. Następnie weszli ponownie na pokład swojego pojazdu kosmicznego i detonowali bombę na odległość.

W ciągu jednej chwili eksplozja zniszczyła wszystko wokół. Teja 4 została unieszkodliwiona.

Statek kosmiczny wystartował i oddalił się, niestety, odłamek skały wyrzucony w przestrzeń trafił w niego i doszczętnie zniszczył.

Pozostałe szczątki asteroidy Teja 4, które dotknęły mojej atmosfery, zapaliły się, powodując długotrwałe widowisko spadających gwiazd.

180.

Dysze pocisku nuklearnego oznaczonego etykietą „Wieczna zemsta 2” w języku perskim rozgrzewają się. Następnie wśród gwałtownego błysku i dymu unosi się on na rampę wyrzutni i wzbija wysoko w niebo w kierunku swojego zaprogramowanego celu: miasta Rijad.

Pocisk leci coraz wyżej i wyżej.

Emma 109 wydobywa z plecaka małą kamerę i filmuje wydarzenie. Widzi przez obiektyw, jak pocisk wznosi się w niebo, po czym zaczyna skręcać ku południowemu zachodowi. Kiedy jednak „Wieczna zemsta 2” leci naprzód, podziemny ośrodek niespodziewanie eksploduje.

Emma 109 ma tylko czas przyłgnąć do ziemi. Ostatnie żółte i czerwone płomienie zmieniają zakątek pustyni w kulę ognia, tymczasem młoda wywiadowczyni unosi kamerę i zauważa, że pocisk, utraciwszy łączność z ośrodkiem, dezaktywuje się i wirując wokół własnej osi, spada na piasek.

Emma 109 wzdycha i mówi sama do siebie:

– Misja wykonana.

181.

– Jak by powiedziała Aurore, mam dobrą i złą wiadomość – oznajmia Natalia.

Pozostali czekają niecierpliwie.

– Dobra: osiemset ośrodków zostało zneutralizowanych. W jednym z nich znajdował się pocisk, który spadł na pustynię.

Zebrani okazują ulgę i radość.

Natalia naciska przycisk. Jeden z ekranów się rozświecila.

– Oto obrazy pocisku irańskiego zatrzymanego w locie. Amerykanie nagrali zdarzenie dzięki satelicie obserwacyjnemu.

Można istotnie zauważyć biały punkt, który odrywa się od podłoża, przemieszcza się i zatrzymuje.

– To miałyby być pocisk nuklearny? – pyta zaintrygowany David.

– Wygląda na „Wieczną zemstę 2” – stwierdza Natalia.

– Pomyśleć, że mogli zainwestować wydane na niego pieniądze w drogi, szpitale, licea albo uniwersytety – zauważa Pentezylea.

– Nie są szaleńcami, im więcej będzie studentów albo po prostu wykształconych ludzi, tym większe ryzyko buntu. Jeśli chce się mieć spokój, lepiej inwestować w armię niż w edukację – mówi porucznik Janicot.

– A zła wiadomość? – pyta David.

– No więc...

Rozlega się dzwonek wideofonu. Natalia włącza ekran i zebrany ukazuje się twarz prezydenta Stanisława Drouina.

– Ach, Natalio, widzę, że znajduje się pani w towarzystwie swoich współpracowników. Czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

– Może pan przy nich mówić, panie prezydencie, od początku pracują nad tym projektem, nie mam przed nimi nic do ukrycia.

– Dobrze. Chciałem, żeby pani wiedziała: zawsze byłem przekonany, że odniesie pani sukces.

– Dziękuję, panie prezydencie.

– Natalio, zgadzamy się, że ta operacja... jak ją pani nazwała?

– „Ladies of the Rings”.

– Właśnie. Cóż, ta operacja musi pozostać ściśle tajna.

– Oczywiście, panie prezydencie.

– Niemniej biorąc pod uwagę uzyskane rezultaty, uznałem za logiczne zwiększenie środków na badania i rozwój.

– Chcielibyśmy móc budować większe budynki – przyznaje Natalia.

– I zainstalować system kanalizacji, doprowadzić wodę i prąd. Na razie żyją prawie jak w średniowieczu – uznaje za stosowne dodać David.

Prezydent przygląda się całej ekipie.

– Widzę, że pani przyjaciele są równie kreatywni i

zmotywowani, jak pani, pułkownik Ovitz. Cóż, sięgnę do naszej kasy, żebyście mogli sobie pozwolić na te drobne ulepszenia.

Prezydent nadal nie znika z ekranu.

– Mówiąc poważniej, wiedzcie, że wasz czyn okazał się rozstrzygający dla międzynarodowej dyplomacji. Brawo dla was wszystkich.

Natalia wyłącza ekran, zaciąga się dymem, który następnie bardzo powoli wypuszcza.

– Osobliwe uczucie: odnieść sukces – stwierdza. – Wydaje mi się, że zawsze jesteśmy przygotowani na porażkę, a sukces ma w sobie coś zbijającego z tropu.

– Wciąż nie podała nam pani „złej wiadomości”, pułkowniku.

– No cóż... nie ma jej.

Martin Janicot bierze ją w ramiona, podnosi i zbliża twarz do jej twarzy.

– Dziękuję, Natalio.

Wszyscy zauważają, że porucznik nie ma na sobie koszulki z prawami Murphy’ego.

– Zawdzięczamy to tobie – przypomina.

Natalia całuje go czule. David ujmuje dłoń Nuçx’ii, a Aurore Pentezylei.

– Teraz mogę wam powiedzieć. Do samego końca byłam przekonana, że wszystko potoczy się nie tak, jak trzeba – przyznaje Natalia.

– Szampana? – proponuje Aurore. – Jeśli chcecie, upichcę cassoulet na kolację, żeby to uczcić.

– Przede wszystkim ogłoszę dobrą wiadomość Emcekom w Mikrolandzie – oznajmia Natalia Ovitz. – W końcu oni również mają prawo się cieszyć po tylu wysiłkach, do jakich ich zmuszaliśmy.

Jej telefon wibruje i Natalia odczytuje wiadomość. Nagle wydaje się posmutniała.

– Ostatecznie być może jednak jest i zła wiadomość. Na osiemset latających spodków, które miały dotrzeć do francuskiego okrętu podwodnego „Czujny” na wodach Libanu, brakuje dwóch. Emmy 523 i Emmy 109. Brak kontaktu GPS, audio i wideo.

Uśmiechy bledną.

– W każdej operacji wojskowej akceptowalny poziom strat ustala się na dwadzieścia procent. Znajdujemy się znacznie poniżej – usiłuje uspokajać porucznik Janicot.

Natalia zastanawia się:

– Możemy uznać, że mimo wszystko osiągnęliśmy wielkie zwycięstwo. Przyjaciele, sądzę, że nie tylko ocaliliśmy Rijad, ale również zapobiegliśmy trzeciej wojnie światowej. Co się zaś tyczy Emmy 523 i Emmy 109... nie zginęły nadaremnie.

Wstaje i idzie po butelkę szampana.

– Zorganizuję alkohol, jedzenie i muzykę. Szkoda, że nie będzie to cassoulet, Aurore, zadowolimy się makaronem, jestem głodna! Czas na nagrodę! Czas na świętowanie! Udało nam się!!! Teraz, kiedy już ich ocaliłam, nie chcę wiedzieć, co robią moi skretyniali rodacy.

Sięga po smartfona i wyłącza głos. Pozostali robią to samo. Natalia wykorzystuje okazję, żeby wyłączyć również wideofon.

– Teraz świat się może zawalić, zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby go ocalić!

Sięga po butelkę szampana i wystrzeliwuje korek.

– Chcę, żeby wszyscy dziś wieczorem kompletnie się upili!
– oznajmia.

Aurore i David są zaskoczeni tą propozycją Natalii, która do tej pory sprawiała wrażenie zdyscyplinowanej i nienagannej.

David stwierdza, że to kolejny paradoks tej postaci. Zaczyna pić i dochodzi do wniosku, że gdyby jego rodzice wciąż jeszcze żyli, byłiby z niego dumni.

182.

Po destrukcji asteroidy Teja 4 oraz rakiety, która usiłowała oddalić się po wykonaniu misji, nastąpiło nieoczekiwane wydarzenie.

Podczas gdy ludzie świętowali sukces operacji, kilkoro wyszkolonych na przyszłych kosmonautów miniludzi z ośrodka doznało traumy w wyniku śmierci ich kolegów podczas wykonywania misji. Uznali, że Duży wysłał ich na śmierć, nie przejmując się procedurami bezpieczeństwa.

Nie usiłowali nawet narzekać ani nie domagali się modyfikacji. Ich przywódca wygłosił przemowę na temat „nieliczenia się Dużych z życiem miniludzkich kosmonautów” i zaproponował im ucieczkę z centrum aeronautyki, o ile nie chcą pewnego dnia zostać wysłani w kosmos i zaznać równie zgubnego losu.

Ten buntowniczy miniczłowiek zwany Gill-Gah-Mesem zdołał przekonać sześćdziesięcioro troje sobie podobnych, którzy nie tylko postanowili uciec z centrum treningowego, ale także ukryć się na statkach i opuścić wyspę.

Na fali radosnego uniesienia związanego z udaną misją nikt nie zwrócił uwagi na ich zniknięcie. Zauważono je dopiero dwa dni później, kiedy sześćdziesięcioro czworo miniludzi było już w drodze do innych, oddalonych brzegów.

Zdenerwował mnie ten incydent.

Powiedziałam o tym szamanowi, ten jednak odparł, że miniludzie nie dopłyną daleko. Pchani strachem i głodem wrócą lub zginą zabici przez dzikie bestie.

Przypomniał mi, że zostało jeszcze około dwudziestu „lojalnych” minikosmonautów i że – tak czy inaczej – biolodzy potrafią produkować ich w dowolnej liczbie.

Deszcz meteorytów i spadających gwiazd, szczątków po Teji 4, jeszcze przez wiele dni rozświetlał niebo. Przewyciężyłam swoją niechęć do Gill-Gah-Mesha i doceniłam sukces jego misji. Czyż nie tego właśnie pragnęłam od milionów lat?

Stworzyłam życie.

Udało mi się sprawić, by rozwinęły się gatunki zróżnicowane pod względem formy i inteligencji.

Wybrałam najlepszych.

Wykształciłam ich.

Przekazałam im wiedzę na temat wysokich technologii, aby mogli podróżować daleko i szybko niszczyć.

Czuwałam nad nimi.

Karałam ich, kiedy ponosili porażki, i nagradzałam, kiedy osiągnęli sukcesy.

183.

Mały latający spodek unosi się tuż nad wodą.

Emma 109 siedzi za sterami.

Ucieka z miejsca swojego wyczynu i stara się utrzymać pojazd jak najbliżej wody, żeby nie być zauważoną przez radary. Nagle coś skacze w jej stronę.

Delfin.

Pomylił dron z latającą rybą i z rozwartym pyskiem usiłuje pochwycić go w locie. Mikroczołowiek odruchowo wzbija się wyżej, lecz pysk delfina uderza w statek. Emma 109 przygląda się szkodom i stwierdza, że system komunikacji latającego spodka został zniszczony. Jej GPS i system radio-audio-wideo nie działają. Nie może odtąd określić swojej lokalizacji ani

porozumieć się z francuskim okrętem podwodnym „Czujny”. Do orientacji pozostały jej tylko oczy.

Na szczęście nie wieje wiatr, nie ma więc fal, morze jest spokojne. Na próżno jednak mała wywiadowczyni rozgląda się dookoła, niczego nie zauważa. Żadnego statku, żadnej skały na odległym horyzoncie.

Uświadamia sobie, że zgubiła się na pełnym morzu, daleko od jakiegokolwiek lądu, bez możliwości odnalezienia „Czujnego”, który miał być miejscem zbiórki.

Czuje się zupełnie niedostosowana do tego wielkiego świata.

Na szczęście latający spodek, nawet pozbawiony części swojego systemu elektronicznego, daje się z łatwością manewrować i pozostaje autonomiczną jednostką.

Pojazd sunie naprzód z dużą prędkością kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią wody. Niebo ciemnieje i Emma 109 włącza reflektor na przodzie spodka, co na powierzchnię przyciąga coraz większe ryby. Nie chcąc być pochwycona przez jednego z tych wodnych potworów, postanawia skierować pojazd ku zachodowi, gdzie niedawno zniknęło słońce.

Wycieńczona pochłania baton energetyczny, przełącza pojazd na tryb automatyczny, opada na fotel pilota i wzdycha, spoglądając w gwiazdy przez przezroczystą kopułę. Zamyka oczy, przypomina sobie wydarzenia minionego dnia, lądowanie na pustyni w pobliżu bunkra, bombę, którą umieściła w centrum dowodzenia pod nosem spokojnych Dużych w mundurach.

Straszliwego pręgowanego kota, który gonił ją aż po zasłonach.

Swoją ucieczkę przez system wentylacyjny. Wystrzelony pocisk, eksplodujący ośrodek nuklearny i pocisk spadający na ziemię niczym zwykła metalowa rura.

„Udało mi się”.

Odtwarza w myślach wspomnienie ucieczki, atak delfina wyskakującego z oceanu. Z nostalgią wspomina Mikroland.

„Muszę wrócić. Muszę odnaleźć swoich, muszę odnaleźć bogów. Moim ulubionym jest bez wątpienia Martin, ten największy. Jest Dużym wśród Dużych...”

Jej powieki znów opadają. Przypomina sobie „swoj” świat. Chłopców w Mikrolandzie, Amadeuszów. Nie było ich wielu, ale dziewczynom bardzo na nich zależało.

W trakcie zakrapianego alkoholem wieczoru poczuła falę gorąca i uczucie, że wszystko jest dozwolone, że ma ochotę się śmiać i świętować. Wzięła więc udział, podobnie jak jej pozostałe siostry, w ogólnym szaleństwie. Mimo pobudzenia hormonów Emma 109 uniosła się dumą i nie dołączyła do podekscytowanych dziewcząt, które rzucały się na jakże pociągających samców.

Przy proporcjach jeden do dziesięciu oczywiście to oni mieli wybór.

Podczas tych kilku godzin, gdy wszyscy byli pijani, Emma 109 widziała swoje siostry kochające się z Amadeuszami i zazdrościła im. Niektóre wymiotowały, inne biły się bez powodu.

„Z początku nasz świat był spokojny i uporządkowany. Później w cysternie pojawił się alkohol i w ciągu jednego dnia nastął chaos. Potem znaleziono ciała zmarłych, objawiła się boska złość i zrodziła religia Dużych. Nic już nie było takie jak dawniej”.

Emma 109 otwiera oczy, przygląda się gwiazdom.

„Kim jestem?

Dlaczego istnieję?

Czym jest mój lud?

Dlaczego moje miasto jest zamknięte w szklanym, przezroczystym sześcianie?”

Przypomina sobie, że uwielbiała ten czas, gdy życie było stabilne, a każdy był gotów wykonać złożone czynności, które uważała za decydujące.

Pamięta przyjemność, jaką dawało jej sterowanie małymi spodkami latającymi.

Pamięta chwilę, w której weszli na pokład okrętu podwodnego „Czujny”.

„Jak nas wtedy nazwała bogini Natalia? Ach tak: »Osiemset wywiadowczyń uczestniczących w misji ‘Ladies of the Rings’«. Co się stało z pozostałymi? Czy im również się udało?”

Emma 109 otwiera oczy.

„Zobaczymy. Na razie wciąż jeszcze żyję i tylko to się liczy”.

Ponownie zamyka oczy i zasypia w lekko odchylonym fotelu pilota. Wszystkie obrazy z ostatniego dnia mieszają się, a latający spodek unosi się nad gładką powierzchnią fal.

184. ENCYKLOPEDIA: TRZY KROKI NAPRZÓD, DWA DO TYŁU

Jeśli przyjrzeć się historii z pewnej perspektywy, można zauważyć, że ludzkość ewoluuje, wykonując trzy kroki naprzód, a następnie dwa do tyłu. Robi postępy, dociera do punktu kulminacyjnego, zatrzymuje się, robi w tył zwrot, żeby nieco później wystartować na nowo.

Cywilizacja rzymska poprawia i dopracowuje szczegóły cywilizacji greckiej, wykorzystując jej zasady polityczne (demokracja, republika), naukowe (astronomia, geometria, medycyna, architektura), inspirując się nawet jej religią i językiem.

Cywilizacja rzymska dociera do szczytowego punktu ekspansji geograficznej, osiąga także dużą złożoność na poziomie technologii, architektury, literatury, prawa i medycyny.

Dominuje basen śródziemnomorski i rozciąga się aż po Szkocję na północy, Saharę na południu, Bretanię i kraje słowiańskie.

Ewoluuje, rozrasta się, staje się coraz bardziej różnorodna, a wreszcie osiąga punkt kulminacyjny około 500 roku.

Wtedy przystopowuje. Na wszystkich granicach grozi inwazja barbarzyńców.

Na północy Imperium Romanum jest atakowane przez Saksonów, Piktów (Szkotów z piktogramami na twarzach), wikingów, na wschodzie przez Germanów, Gotów, Ostrogotów, Wizygotów i Hunów, na południu przez Saracenów i Maurów.

Europa ponownie pogrąża się w poczuciu zagrożenia, bandy rabusiów rządzą, szerzą się głód i epidemie. Fanatyzm i przemoc zastępują imperialny porządek. Trzeba będzie doczekać aż 1500 roku, żeby bieg ewolucji umysłowej znów powrócił do miejsca, w którym się zatrzymał. Świadomi tej łączności z przeszłością artyści pierwsi używają określenia „renesans”. Jest to istotnie epoka, w której najbardziej innowacyjni twórcy malują z upodobaniem sceny nawiązujące do historii rzymskiej lub greckiej. Inspiracją dla teatru jest mitologia. Architekci odkrywają zapomniane techniki, podobnie lekarze, żeglarze, zielarze i astronomowie.

Niemniej stracono tysiąc lat. Co by się wydarzyło, gdyby inwazje barbarzyńców nie nastąpiły i gdyby ewolucja ciągnęła się nieprzerwanie od 500 roku, z pominięciem

tysiącletniego okresu obskurantyzmu? Patrząc z dystansu, historia ludzkości właśnie tak ewoluuje, trzy kroki naprzód, stop, a następnie dwa kroki do tyłu.

Po dwóch krokach w tył znów wykonuje trzy kroki naprzód, w rezultacie mamy zaś do czynienia z postępem gatunku.

Wydaje się jednak, że dwa kroki do tyłu są niezbędne, by „opóźnione” elementy społeczeństwa ludzkiego dogoniły awangardową grupę, która rozwija się zbyt szybko w stosunku do reszty stada.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

185.

Horyzont ciągnie się w nieskończoność. Emma 109 budzi się i odkrywa, że nic się od wczoraj nie zmieniło. Sceneria wokoło wciąż jest ta sama.

Morze jest gładkie, niebo bezchmurne, a latający spodek leci z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę tuż nad wodą. Z tyłu mruczą silniki, z przodu wciąż świeci reflektor. Pod nią okrągły cień pojazdu sunie po powierzchni morza.

Małeńka wywiadowczyni stwierdza, że świat jest być może jeszcze większy, niż to sobie do tej pory wyobrażała. Na pokładzie okrętu podwodnego nie potrafiła oszacować odległości, obecnie widzi, że poza Mikrolandem wszystko jest olbrzymie, a morze tylko utrzymuje ją w tym przekonaniu.

„Jak długo ten spodek będzie mógł jeszcze lecieć?”

Słońce zaczyna mocno przygrzewać przez plastikową szybę kokpitu. Kabina się nagrzewa.

„Kiedy skończy się paliwo, będę prawdopodobnie musiała wiosłować, będę też narażona na ataki morskich drapieżników”.

Wydaje jej się, że w oddali, na północnym zachodzie, dostrzega jakiś kształt. Ryzykując, że wyczerpie zapasy paliwa, kieruje się w tamtą stronę. W obiektywie lornetki dostrzega ląd, roślinność i dymy. Zauważa także kilka człekokształtnych sylwetek.

„Duzi. Bogowie czy wrogowie?”

Teraz widzi statki, słoneczną, hałaśliwą plażę i Dużych pluskających się w przezroczystej wodzie.

Po długiej i samotnej podróży po morzu widok ten przynosi jej prawdziwą ulgę.

Ustawia kurs na stały ląd, lecz nagle, kiedy leci już nad plażą, czuje gwałtowny wstrząs.

Latający spodek zniecka się zatrzymuje.

Emma 109 odwraca się i widzi psa, który skoczył i złapał pojazd w locie, a teraz biegnie, trzymając go w pysku niczym trofeum. Sięga do plecaka po broń, ale wydarzenia toczą się bardzo szybko. Pies kładzie latający spodek u stóp młodego Dużego. Ten się nachyla, wytrzeszcza oczy ze zdziwienia i wypowiada kilka słów w nieznanym języku.

Jest to greka, gdyż miejscem, w którym wylądowała Emma 109, jest małe miasteczko turystyczne Ajia Napa na południowo-wschodnim wybrzeżu Cypru.

Nadbiegają inne dzieci.

Pies siedzi na uboczu, merda ogonem i szczeka, żeby znów rzucić mu to, co wziął za frisbee. Emma 109 postanawia otworzyć kopułę kokpitu, która otwiera się, skrzypiąc. Reakcją Dużych jest mieszanina zaskoczenia, fascynacji i przerażenia. Emma 109 staje naprzeciw postaci, których spojrzenia nie potrafi wyraźnie dostrzec.

– *Bonjour* – mówi tak, jak ją tego nauczono.

Słowa uzupełnia gestem dłoni, wnętrzem naprzód, sygnalizując pokojowe zamiary.

Dzieci natychmiast się cofają, pokrzykując.

Po chwili znów ostrożnie zbliżają się do intrygującego przedmiotu i jego równie intrygującej zawartości.

Jedno z nich, uzbrojone w kij, dotyka pojazdu i usiłuje dotknąć też Emmy 109, jak gdyby była jadowitą żabą. Kiedy mikroczłowiek odpycha kij, wszyscy znów się cofają.

Wokół latającego spodka zaczyna gromadzić się tłum. Ludzie w strojach kąpielowych albo w szortach wyciągają telefony komórkowe, żeby zrobić zdjęcia albo nagrać film.

– *Bonjour* to po francusku – zauważa jakiś mężczyzna. – Pozwólcie mi przejść. Uczę języków.

Tłum się rozstępuje, żeby przepuścić niskiego człowieka, który sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie. Krąg się zamyka, a mężczyzna klęka przy latającym spodku.

Świadomy, że znajduje się w centrum zainteresowania i nie chcąc zawieść publiczności, nauczyciel artykułuje sztywną francuszczyznę:

– Czy jesteś kosmitką?

Wówczas, przypomniawszy sobie zalecenia papieżycy Emmy 666, małeńka kobieta odpowiada:

– Tak.

Mężczyzna tłumaczy na grecki pytanie i odpowiedź, a tłum wydaje z siebie pełen oczarowania okrzyk. Wśród zebranych rozchodzą się nowe wibracje. Słowo „kosmita” powtarzane jest z szacunkiem i fascynacją.

Niektórzy już stwierdzają, że to pierwszy przypadek, kiedy ujrzano jednego z nich, „żywego, a do tego potrafiącego się porozumieć”. Urządzenia elektroniczne uruchamiają się jedno po

drugim. Niektórzy już telefonują, żeby przekazać nowinę.

Wielu dziennikarzy powiadomionych telefonicznie pojawia się na plaży. W ciągu jednej chwili nadmorskie miasteczko cypryjskie skupia na sobie uwagę znacznie wykraczającą poza informację o sprzyjającej pogodzie, drobnym piasku i przejrzystej wodzie.

To amerykański dziennikarz CNN, dzięki przekupieniu zebranych, a szczególnie dziecka uważanego za „odkrywcę skarbu”, otrzymuje możliwość przeprowadzenia ekskluzywnego wywiadu. On również doskonale włada francuskim. Emma 109 ma wrażenie, że przy pomocy tego Dużego, który sprawia wrażenie, jakby ją lepiej rozumiał, uda jej się wrócić do Mikrolandu. Przeczuwa jednak, że musi zachować rozwagę, że nie może zdradzić bogów ani podać zbyt wielu informacji na temat swojej misji.

Kiedy więc pochylają się nad nią olbrzymie cienie, Emma 109 postanawia zachować ostrożność. Z potrzeby kokieterii instynktownie poprawia fryzurę.

186.

Rozradowana sukcesem misji, nie zwracałam większej uwagi na Gill-Gah-Mesha i sześćdziesięciu trzech miniludzi zbiegłych z wyspy. Byli dla mnie niczym króliki doświadczalne, które wykorzystywały chwilę nieuwagi naukowców, żeby opuścić laboratorium i rozbiec się wśród natury.

Nadzorowałam konstrukcję rakiety „Limfocyt 14”, jeszcze większej, jeszcze szybszej, zdolnej przyjąć na pokład większą liczbę kosmonautów, a także większą bombę nuklearną. Obecnie nawet asteroida wielkości Teji 1 mogła być zniszczona dzięki drużynie uderzeniowej.

O ile dobrze pamiętam, Gill-Gah-Mesh i sześćdziesięcioro

troje uciekinierów podzieliło się na trzy grupy, które uciekły na trzech różnych statkach, żeby zwiększyć swoje szanse na sukces.

Pierwsza grupa zdołała dotrzeć do wybrzeży Ameryki Środkowej, na wysokości obecnego Meksyku.

Druga grupa dotarła na terytorium odpowiadające dzisiejszemu Mali, na ziemi Dogonów.

Trzecia zapuściła się na Morze Śródziemne, dopłynęła aż do Środkowego Wschodu, w region, który zostanie później nazwany Sumerem. Tą ostatnią grupą dowodził Gill-Gah-Mesh.

Kiedy tylko miniludzie zbiegli ze swojego „raju”, znaleźli się na stałym lądzie, zaczęli robić to, co do tej pory było ściśle kontrolowane przez ich twórców: dzieci.

187.

Na ekranie pojawia się twarz Emmy 109.

Na drugim planie widać latający spodek.

Powyżej zapisano nazwisko amerykańskiego dziennikarza, który przeprowadza wywiad: Bill Flanagan, oraz podpis: „The incredible little E.T. Direct Live from Cyprus, Greece”, a na czerwonym pasku po prawej dużymi literami: EXCLUSIVE INTERVIEW CNN.

– A więc jesteś kosmitką? – kontynuuje dziennikarz, nachylając się nad istotą, która przy nim wydaje się maleńka.

– Tak – odpowiada Emma 109, która na razie ocenia swoją minimalistyczną strategię komunikacyjną jako skuteczną.

– Skąd przybywasz?

Emma 109 widziała filmy science fiction i pamięta, jak zachowują się kosmici. Wyciąga palec w stronę przypadkowych gwiazd na niebie. Jej rozmówca zdaje się zachwycony.

– Czy możesz nam dokładniej określić położenie swojej planety?

Po krótkim wahaniu Emma 109 wskazuje jakiś punkt. Wówczas, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, dziennikarz – wykorzystując funkcję GPS w swoim smartfonie – określa dokładnie wybrane przez nią miejsce i ogłasza, zwracając się do kamery.

– Wygląda na to, że chodzi o Wielką Niedźwiedzicę. Pochodzisz z jednej z gwiazd w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy?

– Tak.

– Jak nazywa się twój lud?

Tym razem Emma 109 uświadamia sobie, że nie będzie mogła wiecznie obstawać przy trybie „tak”, decyduje się więc na wypowiedzenie do tej pory tajnych słów.

– M.C.

– Emce! Cóż za osobliwe brzmienie! A ty jak masz na imię?

– Emma... Emma 109.

Niewielka grupka osób zgromadzonych wokół pojazdu i jego pasażerki powtarza szeptem „Emma”.

– Emma Stodzieć? Jakim cudem mówisz po francusku? To trudny język, jak to możliwe, że władasz nim tak dobrze, chociaż nie jesteś nawet z naszej planety?

Widząc, że Emma 109 trzyma się nad znalezieniem odpowiedzi, dziennikarz próbuje przyjąć jej z pomocą.

– Może przechwyciłaś fale radiowe krążące w przestrzeni i dzięki nim tak szybko się nauczyłaś?

– Tak.

– Po co przybyłaś na naszą planetę?

Emma 109 stwierdza, że jeśli zależy jej na powrocie do swojej społeczności, będzie musiała zdobyć się na pewien wysiłek, wypowiada więc pierwsze zdanie, które przychodzi jej

do głowy i które wydaje się bliskie prawdy, chociaż jej nie zdradza.

– Żeby was ocalić.

Wśród cypryjskiej publiczności, która rozumie po francusku, przebiega kolejny szmer, a następnie wypowiedź zostaje przetłumaczona.

– Nas ocalić? Przybyłaś, żeby nas ocalić... Masz na myśli Ziemię? – sugeruje dziennikarz, świadomy rozstrzygającego charakteru tego dialogu.

– Tak.

Wówczas część osób zaczyna spontanicznie klaskać. Pozostali naśladują ten gest i wkrótce wszyscy biją brawo, jak gdyby od dawna spodziewali się przybycia na Ziemię z jednej z gwiazd z konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy małej, siedemnastocentymetrowej kosmitki na pokładzie latającego spodka pochwyconego przez psa (który wciąż czeka, aż ktoś mu odrzuci frisbee), której zamiarem będzie ocalenie ludzkości.

Dziennikarz obdarzony zmysłem reżyserskim daje znak swojemu kamerzyście, żeby na zmianę filmował entuzjastyczny tłum w szerokim kadrze, twarz małej kosmitki, zniszczony latający spodek i jego samego, a następnie znów robił zbliżenie twarzy kosmitki. Świadomy, że oto staje się legendą swojego zawodu, zwraca się do kamery, przybierając poważną minę.

– Cóż, wydaje mi się, że dziś na plaży w Ajia Napa na Cyprze doszło do historycznego wydarzenia. Wylądował tutaj mały latający spodek i nastąpił początek komunikacji z innym inteligentnym gatunkiem nieczłowieczym. To powinno zmienić naszą percepcję wszechświata. Dla CNN mówił Bill Flanagan, na żywo z Ajia Napa.

188. ENCYKLOPEDIA: PRAWDOPODOBIENSTWO ISTNIENIA ŻYCIA POZAZIEMSKIEGO 1: RÓWNANIE

DRAKE'A

W 1961 roku dziesięciu naukowców, wśród nich astronom Carl Sagan (będący inicjatorem wiadomości Ziemiaków skierowanej do istot pozaziemskich umieszczonej na pokładzie sondy „Voyager”), Melvin Calvin, chemik z Uniwersytetu w Berkeley, i radioastronom Franck Drake zebrali się w celu rozważenia prawdopodobieństwa istnienia życia pozaziemskiego. Franck Drake, przygotowując się do zebrania, opracował równanie, które ma na celu refleksję „matematyczną”.

Równanie Drake'a jest następujące:

$$N = R \times F_p \times N_e \times F_l \times F_i \times F_c \times T$$

Aby zrozumieć równanie Drake'a, należy wiedzieć, że: N to liczba cywilizacji, z którymi moglibyśmy potencjalnie się porozumieć w ciągu danego roku.

R to liczba gwiazd rozpoznanych do tej pory w naszej galaktyce.

F_p to część tych gwiazd mająca systemy planetarne.

N_e to liczba planet, które oferują środowisko sprzyjające rozwojowi życia.

F_l to liczba planet, na których życie mogłoby również ewoluować.

F_i to liczba planet, gdzie wśród tych, na których istnieją ewolucyjne formy życia, mogłaby również pojawić się inteligencja.

F_c to liczba planet z formami życia, na których życie to mogłoby osiągnąć wystarczający poziom inteligencji, żeby skonstruować urządzenia służące do komunikacji lub do podróży w kosmos.

***T* to średni czas istnienia cywilizacji technologicznej w stosunku do średniego czasu istnienia planety (w latach).**

Podstawivszy pod te dane znane albo przynajmniej prawdopodobne liczby, Franck Drake uzyskał dla *N* wynik 10 000. Czyli, zgodnie z równaniem radioastronoma, 10 000 planet w naszej galaktyce Drogi Mlecznej jest potencjalnie zamieszkanymi przez inteligentne cywilizacje dysponujące rozwiniętą technologią.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

189.

Wszystkie białe drobinki zostają wessane. Wzbijają się w górę rurki i docierają do nozdrzy prezydenta Stanisłasa Drouina.

Ten nie może uwierzyć. Od kiedy go powiadomiono, wpatruje się w ekran telewizora, na którym przed kamerami CNN występują jeden po drugim specjaliści wyjaśniający uczenie, że zapowiadali to już od dawna, że powinno było się im wierzyć: „Istoty pozaziemskie istnieją i od czasu do czasu odwiedzają naszą planetę”. Pojawiają się zdjęcia i latający spodek Emmy 109, bardzo przypominający te, które widnieją na licznych amatorskich kliszach.

Prezydent wie, że będzie potrzebował całej swojej uwagi, żeby podjąć ważne decyzje w najbliższych minutach. Na razie jest zafascynowany tym, co słyszy w wiadomościach amerykańskiej sieci o światowym zasięgu.

– Obecność tej małej kosmitki jest w pełni zrozumiała – wyjaśnia naukowiec w garniturze. – Dziwne byłoby, gdybyśmy nie spotkali żadnej istoty pozaziemskiej – zapewnia. –

Zaskakujące jest jednak to, że jest człekokształtna.

– Być może zdziwi to innych naukowców, ale jeśli o mnie chodzi – odpowiada inny badacz w garniturze – zawsze tłumaczyłem, że nasza dwunożna postać, ręce oraz oczy umiejscowione z przodu to jedyne, co umożliwia opanowanie wysokich technologii.

Trzeci znawca tematu nie podziela tej opinii:

– Szanse, że trafimy na istotę pozaziemską podobną do nas, są znikome – mówi. – Jednak to nie jej człekokształtność jest najbardziej zaskakująca, lecz wzrost.

– Profesorze Held, oglądając obrazy z Cypru, zaskoczył nas także strój kosmitki. Zielony. Zawsze wyobrażaliśmy sobie istoty pozaziemskie ubrane na zielono. Jak pan to wyjaśni?

– Cóż, zieleń to kolor chlorofilu, będącego wynikiem reakcji zachodzącej między roślinami i światłem. Na jej planecie muszą istnieć rośliny.

– Wydaje mi się również rzeczą niezwykłą, że ma ona długie włosy i fryzurę podobną do tych, jakie noszą nasze kobiety! Co panowie sądzą na ten temat?

– Czesze się, ponieważ ma dłonie. Gdyby lwy miały dłonie, zapewne też wiązałyby grzywy w koński ogon lub w kok!

Żart rozbawia dziennikarza i jego gości naukowców.

– A że mówi po francusku? To mimo wszystko niesamowite, że istota pozaziemska włada typowo ziemskim językiem, stosując poprawną syntaksę i gramatykę.

– Jak sama to wyjaśniła, posiadają aparaturę przechwytyjącą fale radiowe z naszej planety. Wystarczy, że przypadkiem trafili na francuski program i uznali, że to nasz jedyny język, dlatego się go nauczyli!

– My również moglibyśmy, gdybyśmy usłyszeli nieznany pozaziemski język, rozpracować jego gramatykę i syntaksę, a

następnie odtworzyć. Być może nie mając pojęcia, że tuż obok inne istoty pozaziemskie traktują ten właśnie język jako regionalny i mniejszościowy.

– W pełni zgadzam się z wyjaśnieniem moich kolegów – potwierdza trzeci naukowiec. – Dlatego uważam, że jej imię i nazwisko „Emma Stodzież” musiało być zasłyszane w jednym z programów telewizji francuskiej.

– Co się z nią teraz stanie, panowie?

– Zrozumiałem, że ma ona zamiar udać się wkrótce do Stanów Zjednoczonych i wystąpić podczas konferencji Organizacji Narodów Zjednoczonych przed przedstawicielami wszystkich krajów.

– Wydaje się to istotnie najlepszym sposobem powitania osobnika z obcej planety – stwierdza inny naukowiec.

Prezydent Drouin sięga po pilota, wyłącza stanowczym gestem urządzenie i przemawia do interfonu.

– Połączcie mnie z pułkownik Ovitz. Natychmiast.

– Nie odbiera – oznajmia głos sekretarki.

– Jak to?! Jeden z Emceków udaje kosmitę na oczach całej planety w CNN w godzinach największej oglądalności, a ona nie odbiera? Mam nadzieję, że to żart. Proszę tu przysłać Bénédicte.

Starsza kobieta o siwych włosach, w okularach i skromnej garsonce wchodzi z nieprzeniknioną miną. Wie już o wszystkim i stwierdza ze szczerością:

– To chyba z powodu wczorajszego sukcesu. Pułkownik Ovitz wspominała, że zamierzają świętować, że chcą się nieco zrelaksować i...

– Świat się wali, a ci, którzy są przyczyną całego zamieszania, świętują!

Spogląda na zegarek.

– Myślę, że pewnie teraz głęboko śpią, a pułkownik Ovitz

musiała z tej okazji odciąć się od wszystkich połączeń.

Kobieta poprawia okulary.

– Moim zdaniem są ważniejsze sprawy. Odtąd nie szukamy winnych, lecz zarządzamy kryzysem. Samolot do Nowego Jorku już czeka.

Prezydent spogląda na nią zdziwiony, dlatego Bénédicte wyjaśnia:

– Biorąc pod uwagę, co się dzieje, pomyślałam, że musimy szybko zareagować, i poprosiłam o przygotowanie twojego samolotu. Za kilka godzin wysłuchasz przemówienia panny Stodzieć w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

– Nazywasz ją „panną Stodzieć”?

Prezydent wstaje i krąży po pomieszczeniu, coraz bardziej roztrzęsiony, w miarę jak kryształki kokainy zaczynają przepalać mu neurony.

– Co o tym myślą ministrowie?

– Minister do spraw badań uważa, że nie należy wpadać w panikę. To tylko medialna sztuczka, emocje opadną równie szybko, jak się pojawiły. Podobnie jak sprawa Roswell i wszystkie historie UFO. Zainteresowani nią są tylko młodzi eksperci i kilku nawiedzonych.

Bénédicte poprawia grube okulary.

– Minister wojny przypomina, że nikt nie może się dowiedzieć, że dokonaliśmy sabotażu irańskich ośrodków nuklearnych, w przeciwnym razie pojawiłyby się problemy dyplomatyczne. Obawia się, że Emma 109 za dużo powie, proponuje więc, żebyśmy wysłali agenta, który uniemożliwiłby jej „zdradzenie informacji kłopotliwych dla naszej dyplomacji”.

– Wyeliminować ją?

Prezydent ocenia propozycję.

– To by znacznie ułatwiło sprawę.

– Obawiam się jednak, że jest za późno. Jest pod nieustannym nadzorem.

Kobieta zerka w notatki, siada i mówi dalej:

– Poza tym gdyby jeden z naszych niezdarnych szpiegów dał się złapać, wyszlibyśmy na morderców pokojowo nastawionych kosmitów. Miałoby to bardzo zły wpływ na nasz wizerunek.

– A ty co sądzisz, Bénédicte?

– Myślę, że zdarzenie to może pociągnąć za sobą pozytywne skutki uboczne. Jeśli okaże się, że kosmici mówią po francusku, nasz język znów stanie się modny.

– Bénédicte, całe szczęście, że cię mam, przynajmniej myślisz subtelniej niż mój minister kultury.

– Jeśli mogę sobie pozwolić, on wciąż jest zakłopotany oskarżeniem o pedofilię. Zbliżyła się data rozprawy i minister nie za bardzo ma głowę do rozważań nad kulturowym znaczeniem pojawienia się kosmitów dla frankofonii. Stara się przede wszystkim nie trafić do więzienia.

– Imbecyl! Mówiłem mu, żeby siedział spokojnie do wyborów, a nie adoptował dwóch czternastoletnich birmańskich chłopców i pozował z nimi do zdjęć! Kiedy mu o tym wspominam, odpowiada, że jego poprzednik robił to samo. Cóż za ekipa niedorajd! Jakież inne reakcje, Bénédicte?

– Minister do spraw równouprawnienia zauważyła, że skoro kosmici wysłali kobietę w charakterze pionierki, która odbyła podróż trwającą wiele lat świetlnych na pokładzie latającego spodka, to znak, że ich kobiety mają dostęp do profesji, które u nas są zarezerwowane dla mężczyzn.

– Ha! Ona również w to uwierzyła?

– Prawdę mówiąc, tylko ty, minister obrony i ja znamy prawdę – przypomina kobieta, poprawiając siwe kosmyki.

Prezydent opada na swój duży skórzany fotel.

– Do licha, cóż to za pechowa historia! I przytrafia się dokładnie wtedy, kiedy odnosimy sukces!

– Jeśli pozwolisz: nie jest powiedziane, że źle na tym wyjdziemy. Oprócz pozytywnego obrazu frankofonii (osobiście mam już pomysł na slogan: „Francuski – język idealny, dzięki któremu zwiedzisz najdalsze zakątki wszechświata”), Emma 109 powstała w podlegającym rządowi laboratorium.

Sfinansowaliśmy jej produkcję. Na swój sposób jest urzędnikiem wykonującym nasze rozkazy.

Prezydent wstaje i znów zaczyna krążyć po pomieszczeniu.

– Kto jeszcze wie?

– Amerykanie, których powiadomiłeś, i izraelskie tajne służby, które dostarczyły nam latające spodki.

– Co twoim zdaniem powinienem zrobić, Bénédicte?

Kobieta o siwych włosach zastanawia się przez chwilę, po czym odpowiada:

– Niech sprawy toczą się własnym torem, a ty będziesz dostosowywał się do rozwoju sytuacji.

– Szlag by trafił tych kosmitów!

Po chwili opanowuje się i odwraca do Bénédicte.

Podchodzi do niej, ujmując za ramiona i całuje w usta.

– Dziękuję, Bénédicte. Całe szczęście, że mnie wspierasz.

Kobieta nie protestuje, po czym zachęca, żeby mówił dalej:

– Chwilami mam wrażenie, że poślubiając cię, znalazłem dla siebie najlepsze wsparcie. Lepsze niż to, którego udzielają mi moi ministrowie, doradcy, specjaliści i eksperci.

Jeszcze raz się całują.

– Chcesz, żebym poleciała z tobą do Nowego Jorku, prezydencie? – pyta.

– Hm... Nie, to nie będzie konieczne, tu będziesz bardziej

przydatna. Przede wszystkim, żeby podjąć pułkownik Ovitz i zająć się bieżącymi sprawami.

Znów ją całuje w usta, potem w dłoń i patrzy za nią, gdy kobieta się oddala.

Siadając przy biurku, powtarza cicho, niczym egzorcyzm:
– Cholera. Szlag by trafił tych kosmitów.

190. ENCYKLOPEDIA: PRAWDOPODOBIEŃSTWO ISTNIENIA ŻYCIA POZAZIEMSKIEGO 2: PARADOKS FERMIEGO

W odpowiedzi na równanie Francka Drake’a fizyk Enrico Fermi przedstawił inny koncept, który nazwano później „paradoksem Fermiego”. „Skoro prawdopodobieństwo istnienia cywilizacji pozaziemskich wynosi dziesięć tysięcy, zgodnie z wszelką logiką przynajmniej jedna z tych dziesięciu tysięcy cywilizacji powinna się zmanifestować. Tymczasem sam fakt, że jej członkowie nie próbowali się z nami skontaktować, choć teoretycznie powinno być ich tak wielu, jest dowodem na to, że nie istnieją”.

Kolejni badacze rozwinęli dyskusję na inne sposoby niż tylko przez zwykłą „wiarę” czy „wrażenie, że dostrzegli coś dziwnego wśród chmur”.

Wśród tych ostatnich warto zacytować fizyka Paula Daviesa (który kierował projektem SETI: Search for Extra-Terrestrial Intelligence). Nawiązując do pomysłu astronauty Rusty’ego Schweickarta, wysuwa on hipotezę, że istotami pozaziemskimi bylibyśmy... my sami.

W takim wypadku to w samym sercu naszych komórek, w naszym genomie, należałoby szukać śladów życia organicznego obcego dla naszej planety. Takie badanie jest

**łatwiejsze do wykonania, niż gdyby odbywało się w sercu
innych galaktyk.**

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VIII

Homo metamorphosis

191.

Przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych, Avinashi Singh, podchodzi do mikrofonu i oznajmia:

– Nie jesteśmy już sami we wszechświecie.

Kobieta w turkusowym sari stoi naprzeciw zebranych w sali plenarnej w Nowym Jorku.

Żaden prezydent, król czy dyktator nie chciał przegapić tego wydarzenia. Wiedzieli, że będą należeć do tych, którzy byli na miejscu, „kiedy to się wydarzyło”.

Żywopłot kamer na wysięgnikach jest skierowany w stronę centralnej mównicy.

– Od tak dawna liczyliśmy na jakąś wiadomość albo na zwykły ślad życia poza naszą planetą, że powoli przestawaliśmy już wierzyć. Wysyłaliśmy sondy, ustawialiśmy anteny skierowane w stronę gwiazd, mające na celu wyłapanie jakiegoś sygnału. Nie ukrywam, że większość z nas uważała, że to się nigdy nie wydarzy. Aż nagle... wczoraj się wydarzyło. Spotkanie trzeciego stopnia.

Kobieta poprawia turkusowe sari.

– Wczoraj odwiedziła nas istota pozaziemska. Ku naszemu zaskoczeniu. Co ja mówię? Ku naszemu oczarowaniu! Jestem taka wzruszona, jestem taka dumna, jestem taka przejęta. Żywa istota pozaziemska przebywa obecnie na Ziemi. Nagle zniknęły wszelkie wątpliwości – nie jesteśmy sami we wszechświecie. Oni istnieją, są tutaj, przybyli, żeby nas odwiedzić. Najbardziej niezwykle jest jednak to, że nie przybyli po to, żeby od razu odlecieć. Oni... a raczej ona (gdyż jej wygląd nie pozostawia wątpliwości co do płci) przybyła i została, mnie zaś spotkał

wielki zaszczyt zaproszenia jej tutaj. Jest dziś wśród nas. Panie i panowie, poproszę o powitanie brawami pierwszej istoty pozaziemskiej przybyłej do ONZ i przemawiającej do przywódców ziemskich państw.

Zebrani dają owację na stojąco, podczas gdy zza zasłony wyłania się strażnik z tacą, na której stoi maleńka postać. Strażnik podchodzi bliżej i umieszcza istotkę na mównicy, naprzeciw minimikrofonu. Kamera filmuje w zbliżeniu i przekazuje na ekran ścienny postać nowo przybyłej.

Oklaski przybierają na sile. Przewodnicząca Avinashi Singh znów sięga po mikrofon:

– Przede wszystkim chciałabym cię zapytać, droga Emmo Stodzieć, gdyż podobno tak się nazywasz, czy jesteś świadoma powagi tej chwili?

Wiotka sylwetka zbliża się do mikrofonu i wypowiada wyraźnie słowo:

– Tak.

Na ekranie pojawia się napis: „Yes”.

– Droga panno Stodzieć, nie możesz wiedzieć, jak bardzo twoja obecność tutaj nas cieszy, wszystkich nas tu zebranych. Wiem, że już udzieliłaś wywiadu dla CNN, ale tym razem masz przed sobą przedstawicieli wszystkich krajów świata. Jeśli wierzyć temu, co oświadczyłaś podczas wywiadu, przybyłaś z jednej z planet Wielkiej Niedźwiedzicy, żeby nas ocalić. Czy moglibyśmy w tych okolicznościach rozważyć porozumienie dyplomatyczne między przywódcami naszych dwóch planet?

Emma 109 postanawia się nie spieszyć, pozwolić rosnąć napięciu i oznajmia:

– Tak.

Na ekranie znów pojawia się: „Yes”.

– A mimo to przybyłaś sama. Jeśli więc mamy prowadzić

rozmowy, to z tobą osobiście? Byłabyś na to gotowa? Gotowa podpisać umowę o wzajemnym szacunku i pokoju?

– Tak.

W tym momencie po sali przebiega szmer, wszyscy zauważają, że istota wypowiada za każdym razem tylko jedno słowo, chociaż robi to z dużym przekonaniem. Mimo to przewodnicząca ciągnie:

– Dysponujecie technologiami, o jakich my nie mamy pojęcia i które pozwalają wam podróżować w przestrzeni na olbrzymich dystansach. Czy bylibyście skłonni podzielić się nimi z nami w zamian za informacje o pewnych naszych wysokich technologiach, których być może nie znacie?

Wtedy z głębi sali wyrywa się okrzyk po angielsku.

– Przestańcie! Skończcie z tą maskaradą!

To irański prezydent Jaffar.

Wytyka palcem maleńkiego człowieka.

– Ta osoba nie jest tym, za kogo się podaje.

Następnie przemierza całą salę i wspina się na scenę. Kamery natychmiast zwracają się w stronę prowokatora.

– Daliście się nabrać. Ta istota wcale nie pochodzi z Wielkiej Niedźwiedzicy. Nie możemy podpisywać z nimi żadnego pokojowego albo handlowego porozumienia. Ta osoba jest tylko agentem syjonistów. Przybyła, żeby nas szpiegować i sabotować nasz kraj.

– Co pan opowiada, prezydencie Jaffar? – pyta przewodnicząca Avinashi Singh.

– Mam dowody na moje tezy.

W tym momencie mężczyzna daje znak swojemu współpracownikowi, który przynosi na scenę klatkę na ptaki zakrytą zieloną tkaniną. Prezydent umieszcza ją koło Emmy 109, po czym gwałtownym ruchem zrywa tkaninę, odsłaniając

wnętrze klatki.

Kamery robią zbliżenie, przywódcy państw wstają, żeby lepiej widzieć. Powiększony obraz pojawia się na głównym ekranie.

Emma 109 wydaje z siebie okrzyk zaskoczenia. Na sali słycać odgłosy wyrażające zdziwienie i rozczarowanie. Kamery najeżdżają jeszcze bliżej, tymczasem prezydent Jaffar nie kryje radości, świadomy, że udało mu się zwrócić na siebie uwagę zebranych. Podchodzi do mikrofonu i mówi spokojnie, głośno i wyraźnie:

– Oto prawda została wreszcie wyjawiona.

192.

Gill-Gah-Mesh i sześćdziesięcioro troje miniludzi zbiegłych z wyspy, na której się urodzili, rozproszyło się po innych kontynentach. Brali odwet za lata ograniczeń, kiedy ludzie nie pozwalali im rozmnażać się swobodnie. Być może już wtedy mieli zamiar stanąć w szranki ze swoimi dziesięciokrotnie od nich większymi stwórcami, tymi, których później będą nazywać „Atlantami”?

Tak czy inaczej, czułam, że jest ich coraz więcej, byli niczym pchły, które drapały glebę w moich lasach.

Podczas gdy duzi ludzie nigdy nie płodzili więcej niż troje dzieci na parę, a ich ciąża trwała dziewięćdziesiąt miesięcy, miniludzie rodzili dziecko co dziewięć miesięcy. Byli dziesięć razy mniejsi, ale też dziesięć razy bardziej płodni. Mimo nieznanomości medycyny i higieny, co było przyczyną śmierci połowy ich noworodków, pozostawało im co najmniej dziesięcioro dzieci na parę, które dawały życie kolejnym dziesięciorgu dzieciom.

Chociaż ich wiedza techniczna, kulturowa i rolnicza była

opóźniona, mimo że żyli w ciągłym strachu przed drapieżnikami, niesprzyjającą pogodą i chorobami, ich rozwój demograficzny pozostawał godny podziwu.

Im więcej płodzili dzieci, tym mniej czasu mieli na ich edukację. W końcu więc zapomnieli o życiowych zasadach, których uczono ich na wyspie, i powrócili do prymitywnego stadium.

Ich język zbiedniał, medycyna wypełniła się przesądami, rolnictwo i hodowla stały się mało wydajne. Wykorzystywali swoją inteligencję tylko na potrzeby „przeżycia w danej chwili”. Perspektywa czasu i przestrzeni całkowicie im umykała. Obawa pociągała za sobą agresywność, zrodziła się w nich obsesja na punkcie broni, przemocy i śmierci. Terroryzowani przez drapieżców uwalniali napięcia, wojując z sąsiednimi klanami.

Wkrótce członkowie jednego klanu albo jednej rodziny zabijali się między sobą. Żyli targani tylko dwiema emocjami: strachem i pożądaniem.

Byli... dzicy.

Stało się to niespodziewanym problemem w czasach, kiedy przeżywałam idyllę z moimi ulubionymi lokatorami, dużymi ludźmi z wyspy, ale nie zwracałam uwagi na tych „małych nieudaczników zbiegłych z laboratoriów”, którzy rozpełzli się po kontynentach.

Był to mój pierwszy poważny błąd.

193.

W klatce na ptaki siedzi skulona mała postać.

Emma 109 natychmiast ją rozpoznaje.

– 523!

Postać z trudem się prostuje. Jej zielony mundur jest w strzępach. Rozczochrane włosy są jaśniejsze niż Emmy 109.

W miarę jak się podnosi, wszyscy mogą dostrzec łańcuchy na jej nogach i rękach. Ślady po oparzeniach i uderzeniach widnieją na skórze.

Długa rana przecina jej szyję i nagie ramię w miejscu, gdzie zwisa rozdarty mundur.

Prezydent Jaffar zbliża się do mikrofonu.

– Przesłuchaliśmy ją, w końcu przyznała, że jest szpiegiem. Urodziła się we Francji. Była szkolona we Francji. Rząd francuski stoi za tymi działaniami, on jest za to wszystko odpowiedzialny. Oto dlaczego władza, niby przypadkiem, ich językiem.

Wśród zebranych słychać oburzone okrzyki.

– A to jeszcze nie wszystko...

Irański prezydent wyciąga z plastikowej torebki pół latającego spodka.

– Oto ich środek transportu, ich słynne „latające talerze przemierzające galaktykę”. Analizując je, znaleźliśmy bardzo „ziemskie” napisy na ich częściach elektronicznych. Wiecie, w jakim języku? Tym razem nie francuskim, lecz hebrajskim!

Zebrani wydają z siebie okrzyk.

– Mogę zapewnić, że te rzekome pojazdy kosmiczne nie pochodzą z Gwiazdy Polarnej, lecz z przeklętej sześcioramiennej gwiazdy z fabryk w Tel Awiwie!

Słychać gwizdy.

– To spisek! Te syjonistyczne latające spodki i ich francuscy szpiegowie przybyli, żeby sabotować, siać śmierć i zniszczenie. Wiele centrali elektrycznych na potrzeby użytku cywilnego zostało zniszczonych, wielu pracowników zginęło, w tym kobiety i dzieci. Czyż nie, panno Emmo 523?

Postać o jasnych włosach wypowiada ledwo słyszalnym głosem:

– Tak.

Przewodnicząca Avinashi Singh z niedowierzaniem obserwuje klatkę, zieloną tkaninę poplamioną szkarłatną krwią poddanej torturom małej kobiecie. Nie znajduje słów, aby wyrazić swoje odczucia. Tymczasem kamery już filmują ją w zbliżeniu, żeby nie stracić nic z tej sceny.

– Przyznaj, że jesteś szpiegiem, którego zamiarem było sabotowanie instytucji cywilnych i zabijanie niewinnych na konto syjonistów!

– Tak – powtarza postać w klatce.

Prezydent Jaffar uśmiecha się szeroko, podczas gdy w sali plenarnej ONZ w Nowym Jorku wybucha wrzawa.

– Oczywiście – mówi – tak tego nie zostawimy. Domagamy się odszkodowania od Francji za ten akt czystego terroryzmu.

Podczas gdy Jaffar recytuje swoje oskarżenia, Emma 109 podchodzi do klatki.

– 523! Co oni ci zrobili? – pyta współtowarzyszkę.

– Popatrzcie na nie! Są w zмовie! – woła przedstawiciel Iranu.

– Uciekaj! – bełkocze szybko Emma 523. – Odejdź, zanim spotka cię ten sam los.

Pokazuje jej ślady po zacięciach żyłką na plecach. Emma 109 reaguje natychmiast, otwiera klatkę, chwytą 523 w ramiona i zanim ktokolwiek ma czas się sprzeciwić, zeskakuje na wykładzinę i ucieka za tkaniny dekoracyjne na tyłach pomieszczenia.

Agenci ochrony rzucają się w pościg za uciekinierkami.

Dziennikarze filmują i komentują, łapiąc oddech, dla milionów widzów oglądających na żywo wydarzenia.

– Tak więc miałyby to być mistyfikacja zorganizowana przez tajne służby na potrzeby międzynarodowych rozgrywek

politycznych – oznajmia jeden z dziennikarzy przed kamerą.

– Ponura maskarada, w której ludność została po raz kolejny oszukana – dodaje inny.

– Spodziewaliśmy się spotkania trzeciego stopnia, może nawet czwartego, tymczasem spotkaliśmy się z oszustami, jak w aferze Roswell – stwierdza trzeci.

– Nigdy więcej nikt nas już nie nabierze na historie o małych zielonych ludzikach, a raczej o małych zielonych kobietkach w latających spodkach *made in Israel!*

Prezydent Drouin natomiast oddala się od zgiełku, żeby wykonać pewien telefon.

194.

David śni.

Znów widzi Atlantyde, chociaż nawet nie przyjął substancji wprowadzających w trans. Widzi się w późniejszym okresie niż ten z poprzedniego seansu z Ma'djobą.

Minęło trzydzieści lat od czasu jego pierwszego spotkania z Yin-Mi-Yan. Mają troje dzieci. Dwóch chłopców i jedną dziewczynkę. Najstarsze z dzieci nazywa się Quetz-Al-Coatl, drugie Os-Szy-Riis, a córka Hiy-Shta-Aar.

Jedzą razem kolację w głównym pomieszczeniu, kiedy Quetz-Al-Coatl oznajmia, że ma zamiar dołączyć do najbliższej wyprawy żeglarskiej i zbadać kontynenty na zachodzie. Os-Szy-Riis wykorzystuje chwilę i ogłasza, że ma podobne plany związane ze wschodem, a Hiy-Shta-Aar na wschodzie, tylko nieco bardziej ku północy. Ash-Kol-Lein mówi, że nie sądził, że przekaże dzieciom żyłkę podróżniczą, i wszyscy z tego żartują.

– Ziemia jest większa od naszej wyspy – oznajmia Quetz-Al-Coatl. – Pewnego dnia będziemy zmuszeni zająć inne

kontynenty. Na razie to tylko dżungla, plaże i skały, ale kiedyś zbudujemy na innych kontynentach porty, drogi, miasteczka i miasta.

Yin-Mi-Yan przypomina mu, że na razie cała energia społeczności jest skierowana raczej ku przestrzeni kosmicznej.

– Ziemia to tylko punkt wyjścia, będziemy zmuszeni wysyłać nasze rakiety, budować astroporty, drogi, miasteczka i miasta na innych planetach.

Od pewnego czasu Yin-Mi-Yan bardzo zaczęła fascynować się astronomią i kieruje nowym centrum obserwacyjnym, którego zadaniem jest wypatrywanie asteroid. Nie ukrywa już jednak, że ma ochotę wykorzystać najnowsze zdobycze technologiczne w dziedzinie astronautyki, żeby zorganizować misję mającą na celu kolonizację innej planety.

– Mama jest być może najbardziej żądna przygód z nas wszystkich – stwierdza z ironią Hiy-Shta-Aar.

– Wasza matka patrzy dalekosięźnie – oznajmia Ash-Kol-Lein. – Nasza cywilizacja będzie pewnego dnia zmuszona opuścić swoją planetę-kołyskę, żeby wyrazić się we wszechświecie.

– Jak to sobie wyobrażasz, mamó?

– Widzę setki światów zamieszkałe przez ludzi, a także piramidy, które pozwalają nam porozumiewać się i koordynować technologię oraz medycynę.

– Miliony ludzi w Układzie Słonecznym?

– Być może nawet poza Układem Słonecznym. W całej galaktyce.

– Ale inne planety są albo za gorące, albo za zimne, albo obracają się zbyt szybko, albo zbyt wolno.

– Albo wcale...

– Moglibyśmy kształtować wybrane planety. W końcu

Życie zdołało rozwinąć się na tej kamiennej kuli, zdoła się więc rozwinąć i na innych. Jest ich tyle. Mogę wam zagwarantować, że za każdym razem, gdy obserwuję przez moją aparaturę odległy wszechświat, odkrywam planety, które wydają mi się zamieszkane.

– Na razie znajdujemy się na tej i mamy jeszcze wiele do zrobienia – odparowuje Quetz-Al-Coatl.

– Chwilowo postarajmy się żyć w doskonałej harmonii w najmniejszej strukturze kolektywnej: w rodzinie. A daleko jej do doskonałości – żartuje ojciec.

Yin-Mi-Yan nakłada każdemu porcję jedzenia z okrągłego naczynia. Jedzą pożywienie podobne do tofu, popijając napojem na bazie lekko fermentowanego miodu.

– Byłam u szamana i rozmawiałam z Gają w piramidzie – oznajmia Yin-Mi-Yan.

– Co ci powiedziała nasza Planeta-Matka? – pyta Os-Szy-Riis.

– Życzy sobie, żebyśmy włączyli do aktualnego programu kosmicznego program obserwacji pobliskich planet.

– Czyżby i ona miała instynkt rodzinny?

– Chce wiedzieć, czy jej siostronom udało się dokonać cudu Życia – odpowiada z powagą Yin-Mi-Yan.

– Co o tym sądzisz? – pyta ją córka.

– Gdybyśmy byli sami we wszechświecie, gdyby Gaja była naprawdę jedyna, oznaczałoby to, że spoczywa na nas olbrzymia odpowiedzialność. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby asteroida pokonała warstwę atmosfery, uderzyła w Gaję i ją zniszczyła? Nastąpiłby koniec. W całym wszechświecie nie byłoby już nic żyjącego.

Wszyscy milkną pod wrażeniem idei, która do tej pory nigdy nie przeszła im przez myśl: koniec wszystkiego.

Os-Szy-Riis relatywizuje:

– Znamy wszystkie troski naszej Planety-Matki.

Wielokrotnie nam je powtarzała.

– Już nie obawia się śmierci. Cierpi z powodu samotności – mówi Yin-Mi-Yan.

Ash-Kol-Lein jako biolog potwierdza:

– Każda forma życia szuka sobie podobnej. Chce, żebyśmy znaleźli żywe planety albo ożywili planety martwe.

– Nasza planeta chce podrywać inne planety? – żartuje

Os-Szy-Riis.

W tym momencie rozlega się wycie syreny. Alarm oznajmiający pojawienie się asteroidy. Ash-Kol-Lein i Yin-Mi-Yan obejmują stanowiska przydzielone im przez misję.

Wszystko dzieje się bardzo szybko. W ciągu zaledwie kilku godzin minirakieta „Limfocyt 14” wraz z załogą składającą się z siedmiorga minikosmonautów jest gotowa do startu.

Umieszczona w miejscu startu rozgrzewa silniki. Rozpoczyna się odliczanie. Rakieta odrywa się od ziemi i wzbija w niebo. Wszyscy obserwują wydarzenie na wielkich ekranach.

Ash-Kol-Lein ma w głowie tylko jedną myśl: żeby znów im się udało.

195.

Przypominam sobie start „Limfocytu 14”.

Idealny start. Szybki lot. Nienaganne lądowanie.

Optymalne umieszczenie bomby atomowej na powierzchni asteroidy Teja 5.

Ponowny start we właściwym momencie.

I eksplozja.

Zagrażająca mi asteroida została zamieniona w pył i ani jeden z jej odłamków nie trafił w pojazd kosmiczny. Załoga

kosmonautów wróciła na Ziemię cała i zdrowa.

Misja „Limfocytu 14” udowodniła, o ile istniała taka potrzeba, że mój system obrony przed kosmicznymi mikroorganizmami był w pełni sprawny.

Mogłam odtąd być spokojna, jeśli nie liczyć tych rozmnażających się miniludzi, którzy całą swoją energię tracili na wojowanie.

Kiedy jedni opracowywali łuki, inni używali proc lub dmuchawek z zatrutymi strzałkami. Zabijanie swoich towarzyszy stało się ich ulubionym sportem.

Uznałam, że wystarczy poczekać, aż się między sobą pozabijają swoją coraz doskonalszą bronią, dzięki czemu na dobre się ich pozbędę. Mimo jednak ich brutalności i wysokiej śmiertelności przy narodzinach miniludzie produkowali tyle dzieci, że ich populacja wciąż przyrastała. A wojny, choć coraz bardziej niszczycielskie, nie wystarczały, aby regulować przeludnioną społeczność.

196.

– Jak długo spaliśmy? – pyta David Nuçx’ię, masując sobie skronie. – Czuję, że mam najgorszego kaca, jaki trafił mi się w całym życiu. W mojej głowie nieustannie łomocze młotek.

Z trudem podnosi się i wydobywa z pościeli.

– Co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Trzeba przyznać, że nieźle udało się świętowanie zwycięstwa – odpowiada Nuçx’ia. – Dziwne, że Natalia, tak skrupulatna, jeśli chodzi o pracę, ma taką skłonność do hulanki.

– To wyjaśnia, dlaczego Martin poczuł się upoważniony do zastąpienia wody wódką w cysternach Emceków. Wie, że Natalia ceni sobie rozluźnianie napięcia.

David pochyla się nad umywalką i krzywi w lustrze,

usiłując się rozpoznać.

– Jaka szkoda, że tylko my wiemy o dokonaniach Emceków
– żałuje David.

– Na co liczysz? Na medal?

– Należałby mi się.

Nuçx'ia wchodzi za nim do łazienki.

Biorą wspólny prysznic, ubierają się, po czym schodzą do jadalni. Nikt inny jeszcze nie wstał. David uruchamia ekspres i czekając, aż spłynie aromatyczny napój, wraca myślami do swojego snu z ostatniej nocy. Zastanawia się, czy sny są równie „wiarygodne”, jak stany transu, w jakie wprowadzali go Pigmeje.

– Śniło mi się, że tam byłem – mówi.

– Wiem. To normalne – odpowiada Nuçx'ia.

Pojawia się olbrzymia postać Martina, również o twarzy naznaczonej śladami zmęczenia. Zamiast powitania wydaje z siebie nieartykułowany odgłos i pociera skronie.

Ma na sobie koszulkę z serii Murphy'ego, która głosi:

58. W każdej organizacji jest zawsze jedna osoba, która wie, o co chodzi. Tę osobę należy natychmiast wyrzucić.

59. Niezależnie od LICZBY dowodów wskazujących fałszywość danego zdarzenia, zawsze znajdzie się ktoś, kto uwierzy, że jest ono prawdziwe.

Następnie pojawiają się po kolei: Pentezylea w piżamie i Aurore w koszulce nocnej.

Powrót do rzeczywistości wydaje się trudny dla wszystkich.

– Brakuje już tylko szefowej – oznajmia Nuçx'ia z ironią.

W tym momencie schodzi Natalia, ubrana w szlafrok. Piją kawę, rozkoszując się jej goryczką i ciepłem.

– Ktoś słuchał informacji? – pyta Natalia.

Pochłaniają ciastka i gofry ułożone na stole.

– Dzień bez wiadomości to jak dzień postu – stwierdza David. – Nie czujemy się przytłoczeni złymi nowinami, trudnymi do strawienia.

– Rzeczywiście, od dawna tego nie doświadczyłam – przyznaje Natalia.

– To tak, jak gdyby planeta kręciła się bez nas – mówi Pentezylea filozoficznie.

Natalia chwyciła już jednak pilota i kieruje go w stronę ekranu. Przerzuca kanały, aż trafia na program informacyjny. Dziennikarze stoją stłoczeni przed dużym budynkiem, a pod obrazem przesuwają się podpisy: „Afera fałszywych kosmitów w ONZ”. Materiał filmowy pokazuje scenę, którą sfilmowano tego ranka w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Naukowcy w centrum NIBR siedzą z rozdziawionymi ustami. Natalia zwiększa głośność.

Oglądają wielokrotnie dzienniki telewizyjne na kilku stacjach. Oszołomieni nie mogą uwierzyć.

Pułkownik Ovitz zauważa wreszcie, że na jej telefonie, przełączonym na cichy tryb, migocze napis: „31 nieodebranych połączeń”. W tym momencie ekran urządzenia rozjaśnia się, żeby wyświetlić: „Połączenie przychodzące: Drouin”.

Wybrzmiewa kilka sygnałów, zanim bierze głęboki wdech i odbiera.

Nie ma czasu powiedzieć „halo”, a już do jej ucha wlewa się potok słów. Jej twarz się zamyka, na czole pojawia się zmarszczka wyrażająca zafrasowanie.

– Tak, panie prezydencie... Tak... tak... Oczywiście, panie prezydencie... Rozumiem... oczywiście. Ach! Nawet? Wszystkie? Naprawdę chce pan, żebyśmy... tak... ale... Tak... Jeśli mogę sobie pozwolić... to znaczy... Rozumiem. Dobrze, do usług.

Pułkownik Ovitz rozłącza się. Jest blada i rozgląda się nerwowo za swoją lufką.

David wypowiada słowa, których nikt nie chce usłyszeć:

– Chce, żebyśmy zaprzestali badań?

– W pierwszej kolejności.

– Co jeszcze?

– Chce, żebyśmy we trójkę udali się do siedziby

Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ja jako kierownik projektu, a wy dwoje, Aurore i David, jako naukowcy, żeby wyjawić prawdę na temat tego, co się wydarzyło.

– To stworzy jeszcze większe problemy! – zauważa Pentezylea.

– Tak postanowił prezydent Republiki Francuskiej. Chce grać w otwarte karty. Zamierza wypłacić Iranowi odszkodowanie za szkody spowodowane naszymi „głupotami w stylu Rainbow”, jak powiedział.

– Odszkodowanie dla Iranu!

– Prawdę mówiąc, prezydent nawiązał do sprawy Rainbow Warrior. W 1995 roku agenci francuskich tajnych służb wysadzili w powietrze statek Greenpeace’u, który uniemożliwił im przeprowadzenie prób nuklearnych. Tajni agenci zostali namierzeni i zidentyfikowani. Ówczesny prezydent został zmuszony do przeprosin i wypłacenia odszkodowania.

– Jakiemu krajowi?

– Wtedy była to Nowa Zelandia. Kupiliśmy od nich milion owiec i przez trzy lata jedliśmy nowozelandzką baraninę, żeby odkupić kłamstwa naszych tajnych służb.

– Ale Greenpeace, wolne stowarzyszenie walczące z bronią atomową, to coś innego! Tu chodzi o dyktaturę, która właśnie chce ją stosować!

– To niuanse, które nie są brane pod uwagę przez

międzynarodową dyplomację. Operacje tajnych służb muszą kończyć się „pełnym sukcesem”. Mają być niewidzialne.

Dolewa sobie kawy i popija, wciąż paląc.

– Sądziłam, że mówiła pani, że mamy prawo do dwudziestu procent strat.

– Strat tak, ale do zera procent „szpiegów, którzy udają kosmitów na forum ONZ, ośmieszając nas przed przywódcami wszystkich państw tej planety”.

Wydmuchuje długą wstęgę dymu.

– Wojna zmieniła oblicze. Media stały się równie ważne, jak oddziały. Wszystko zależy od sposobu, w jaki przedstawia się wydarzenia publiczności. Oto dlaczego prezydentowi Stanisławowi Drouinowi zależy na tym, żebyśmy wszyscy troje udali się do Nowego Jorku. To jednak jeszcze nie wszystko.

Natalia Ovitz wykonuje gest, który znają już dobrze: rozgniała mocno w popielniczce na wpół dopalonego papierosa.

– Musimy dokonać eutanazji wszystkich mikroludzi.

197. ENCYKLOPEDIA: JONATHAN SWIFT

„Kiedy na tym podłym świecie pojawia się prawdziwy geniusz, poznać go po tym, że wszystkie tępaki sprzysięgają się przeciwko niemu”. Ten cytat z Jonathana Swifta obrazuje umysł tego Irlandczyka, który przez całe życie walczył z ówczesnymi reakcjonistami.

Po przerwanej karierze pastora pisze *Bitwę ksiązek*, w której zajmuje stanowisko na temat sporu starożytników z nowożytnikami i która odbije się głośnym echem.

Następnie tworzy liczne pamflety i satyry, teksty kpiące z jemu współczesnych (do tego stopnia, że niezadowolona królowa Anna zmusza go do życia przez pewien czas na wygnaniu). Oto kilka jego innych słynnych wypowiedzi:

„Mamy wszyscy dosyć religii, żeby nienawidzić, ale nie mamy jej dosyć, żeby kochać jedni drugich”. „Przyznać, że nie mieliśmy racji, to skromnie dowieść, że zmądrzeliśmy”. „Prawo jest jak pajęczyna, w której małe muchy grzęzną, a osy i trzmielce przez nią przelatują”. Dotknięty chorobą powodującą migreny, zawroty głowy i nieustanny szum w uszach (choroba Menière’a) Jonathan Swift będzie znany z ponurej miny i braku śmiechu czy uśmiechu. Mimo to tworzy dzieło literackie obfitujące w humor.

W najbardziej znanej swojej książce, *Podróżach Guliwera*, którą napisał w 1721 roku, główny bohater, Lemuel Guliwer, lekarz-rozbitek, trafia na wyspę zaludnioną ludźmi małego wzrostu, liliputami, którzy nieustannie wojują.

Podczas swojej drugiej podróży Guliwer dociera na inną osobliwą wyspę, Brobdingnag, zamieszkaną tym razem nie przez liliputy, lecz przez olbrzymów. Dla nich to on jest maleńki. Mieszkańcy tej wyspy pokazują Guliwera w charakterze cyrkowej osobliwości, a królowa traktuje go jak cenny żywy klejnot.

Podczas trzeciej podróży Guliwer zwiedza latającą wyspę Laputa, zamieszkaną przez filozofów i naukowców przepowiadających koniec świata, którzy wciąż się jednak sprzeczą i tracą czas na nedorzecznych intelektualnych debatach.

Wreszcie w swojej ostatniej podróży Guliwer dociera do kraju Houyhnhnmów, mądrych i gadających koni. Te ostatnie traktują ludzi, których nazywają Yahoosami, jak prymitywne zwierzęta.

Jonathan Swift twierdził, że pomysł na powieść zrodził się podczas krachu ekonomicznego z 1720 roku. Kupił

wówczas akcje Kompanii Mórz Południowych za tysiąc funtów. Hossa na giełdzie z początku zwiększyła jego inwestycję do tysiąca dwustu funtów, następnie jednak wartość akcji gwałtownie spadła, rujnując wszystkich drobnych akcjonariuszy. Zmienność fortuny zainspirowała go do stworzenia metafory zmiany wzrostu bohatera w zależności od jego spotkań na odległych wyspach.

Jonathan Swift umiera w 1745 roku, w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat, w Dublinie.

Cały swój majątek przekazał szpitalowi psychiatrycznemu St. Patrick Hospital for Imbeciles.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

198.

Jest wycieńczona. Emma 109 biegnie, dźwigając Emmę 523 na plecach. Za nią biegną policjanci ciągnięci przez psy, które węszą maleńkie ślady. Dwie maleńkie kobiety ukrywają się za węglem budynku, widzą jednak zbliżający się pościg.

„Nie ma czasu na odpoczynek. Trzeba biec naprzód” – myśli Emma 109. Zauważa klapę zamykającą wejście do systemu kanalizacyjnego o otworze wystarczająco dużym, żeby mogły się przez niego prześlizgnąć.

„Trzeba wykorzystać różnice między nami”.

Pomogła najpierw wciąż jeszcze skutej łańcuchami towarzysze zejść, po czym rusza w ślad za nią. Na szczęście góra odpadków łagodzi ich upadek. Emma 109 słyszy psy szczekające nad kratką ściekową. Ich ślina spada przez otwór w formie lepkiego deszczu.

Emma 109 widzi, że pokrywa się podnosi i oślepia ją światło latarek elektrycznych. Dużi mówią coś w swoim języku.

Emma 109 analizuje szybko otoczenie. W prawo odchodzi cuchnący i wzburzony kanał, niosący różne śmieci. Nad nimi panuje coraz większe poruszenie, krąg światła zostaje zasłonięty.

Trzeba działać szybko.

Kobieta dostrzega but sportowy unoszący się na brudnej wodzie. Chwyta pod ramię Emmę 523 i rusza w tamtym kierunku.

Wielkie postaci nadbiegają, ale za późno. Ręce niczym olbrzymie macki usiłują je dopaść, ale mały statek zostaje porwany przez szybki nurt. Rzeka odpadków wsysa but w ciemny przesmyk. Wokół robi się czarno, oddalają się głosy ścigających.

„Tym razem nas nie dopadną”.

Emma 109 kuli się w głębi zaimprovizowanego okrętu i stara się przekazać trochę swojego ciepła rannej towarzyszce. Prąd się nasila. Woń gnijącego potu z podeszwy zmieszana ze smrodem odpadków jest ohydna, ale one nie zwracają na to uwagi.

„Jesteśmy wolne” – wzdycha Emma 109.

Płyną w całkowitej ciemności. Wreszcie docierają do tunelu oświetlonego żarówką. Nurt łagodnieje.

Emma 109 wychyla głowę z buta, ale nagle znajduje się nos w nos ze szczurem. Zwierzę ma dobre trzydzieści centymetrów. Siekacze na przedzie pyska przypominają dwa ostre miecze. Gryzoń rzuca się w ich stronę.

Emmie 109 ledwie udaje się go uniknąć. Zwierzę wpada do wody, opryskując ich statek, który o mało się nie przewraca.

Mikrokobieta wstaje i dostrzega wokół buta około dziesięciu szczurów, równie dużych, jak ten pierwszy. Czerwone

ślepia i siekacze lśnią, kiedy zwierzęta do nich podpływają.

Żarówka gaśnie, po czym zaczyna migotać.

„Trzeba wykorzystywać nasze różnice”.

Wie, że w starciu ze szczurem jej wzrost nie jest atutem, ale zagrożeniem, za to możliwość wykorzystania rąk – jak najbardziej. Emma 109 przeszukuje naprędce otaczające ją paskudztwa w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Znajduje metalowy drut do robótek ręcznych, chwytą go niczym dzidę i trzyma na dystans podpływające szczury. Mimo to jeden spośród nich, najodważniejszy, podejmuje próbę czołowego ataku. Emma 109 zanurza drut w jego gardle i odpycha zwierzę.

Żarówka znów gaśnie. Dotknięte ślepotą dzienną gryzonie wykorzystują chwilę, żeby zbliżyć się wszystkie jednocześnie. Kiedy światło powraca, Emma, zaciskająca dłonie na drucie do robótek, jest otoczona przez przeciwników. Na sygnał jednego z nich szczury ruszają do ataku. Światło znów zaczyna mrugać, nadając efekt stroboskopowy scenie, która zdaje się rozgrywać w szarpanych sekwencjach. Pazur szczura przecina powietrze niczym żyłka kilka milimetrów od jej twarzy. Jeden z siekaczy zatapia się w jej udzie. Emma 109 kręci drutem nad głową i uderza z precyzją. Na szczęście Natalia nauczyła ją Bōjutsu, sztuki walki przy użyciu japońskiego kija. Zadawane ciosy trafiają celnie, jeśli tylko udaje jej się dostrzec przeciwników.

Emma 109 uderza w lśniące zęby. Ciosy padają w pojawiających się regularnie błyskach światła, leje się krew. Walka trwa zaledwie minutę, a po jej zakończeniu mikrokobieta stwierdza u siebie tylko kilka lekkich ran, za to cztery szczurze ciała unoszą się na wodzie. Pozostałe gryzonie, które nadpłynęły z pomocą, wolą pożreć swoich towarzyszy, niż ryzykować walkę z intruzem.

„To nie wystarczy. Trzeba szybko znaleźć kryjówkę, którą będę w stanie obronić” – myśli Emma 109.

But do biegania, niesiony prądem, wciąż płynie, zwrócony czubkiem naprzód. Emma 109 dostrzega przystępny brzeg i pomagając sobie drutem do robótek ręcznych, manewruje niczym wenecki gondolier. Odpycha się od unoszących się na wodzie przedmiotów, żeby przyspieszyć. Wreszcie zeskakuje z zaimprovizowanego statku na suchy brzeg oświetlony brudnym, również migocącym neonem.

Zauważa puszkę po piwie, podnosi skrawek materiału, nasącza go alkoholem i przemywa rany towarzyszki. Następnie wsuwa gwóźdź w oczko łańcucha i kręcąc nim, a potem podważając, w końcu ją uwalnia.

– Teraz jesteśmy w bezpiecznym miejscu, wszystko w porządku. Co ci się stało?

Wówczas Emma 523 opowiada bezbarwnym głosem:

– Po wykonaniu misji chciałam wrócić na pokład latającego spodka, ale jeden z Dużych niechcący na niego nadepnął. Próbowałam wrócić piechotą. Znalazłam się na pustynnym terenie, gdzie byłam łatwym do namierzenia celem.

Wycieńczona i spragniona zemdlałam na pustyni. Osoba, która mnie znalazła, zaniósła mnie na policję. Podali mi wodę, wyleczyli, a następnie uwięzili i torturowali.

Nabiera powietrza, wstrzymując łkanie.

– Nie możesz wiedzieć, jak to było. I... powiedziałam wszystko, co wiedziałam.

Emma 109 tuli ją w ramionach.

– Już po wszystkim. Teraz już cię nie skrzywdzą.

– A ty? Jak się potoczyła twoja misja?

– Mój latający spodek został zaatakowany przez wielką rybę, kiedy próbowałam dotrzeć do okrętu podwodnego.

Straciłam łączność. Zostałam złapana przez Dużych i powiedziałam im to, co radziła Natalia.

Odgarnia Emmie 523 kosmyk jasnych włosów z czoła.

– Na jakim terytorium Dużych się znajdujemy?

Podróżowałam w zamkniętej skrzynce, nic nie widząc.

– Zrozumiałam, że znajdujemy się w kraju, który nazywa się Nujork. Daleko od Mikrolandu. Na mapie Iran znajduje się na wschodzie, Mikroland jest pośrodku, a Nujork na zachodzie.

Wykonuje gest, żeby wskazać miejsce. Krzywi się.

– Dobrze, 523, opatrzę cię, a potem będziemy tu siedzieć spokojnie, żeby odzyskać siły. Teoretycznie żaden Duży nie powinien nas znaleźć.

Wtulają się w siebie. Kiedy Emma 523 wreszcie zasypia, Emma 109 okrywa ją tkaniną i układa na kawałku styropianu zastępującego łóżko. Zbiera różne przedmioty i buduje z nich szalas.

Na zewnątrz umieszcza ostre przedmioty mogące posłużyć za broń na wypadek kolejnego ataku szczurów. Na uboczu urządza spiżarnię z jedzeniem, które wydaje jej się jadalne: tubkę ketchupu, herbatniki, cukierki.

„Całe szczęście, że Duzi sporo marnują” – myśli.

Emma 523 zaczyna chrapać. Emma 109 wychodzi na zewnątrz. Zmęczony neon migoce coraz szybciej, wreszcie stabilizuje się i rozświetla otoczenie, na które składają się rozwleczone przez wodę odpadki.

„Duzi są dziwni. Jedni nam pomagają, inni torturują. Jedni są bogami, inni demonami. W każdym razie jeśli udało mi się ich zabić w eksplozji bunkra, to oznacza, że nie są niepokonani”.

199.

Rozlega się dzwonek do drzwi nowojorskiego pokoju

hotelowego.

Prezydent Stanislas Drouin unosi głowę i mruży:

– Co znowu?

Drzwi się otwierają i ochroniarz wpuszcza do środka pułkownik Ovitz.

– Co za porażka! – stwierdza prezydent Drouin zamiast powitania.

– Nie ma zysku bez ryzyka – odpowiada spokojnie Natalia.

– Nigdy nie ukrywałam, że nasz projekt może mieć również negatywne skutki.

– Trzeba umieć radzić sobie z pechem.

Daje znak niskiej kobiecie, żeby usiadła w fotelu.

– Przez panią wpadłem w gówna, musi mnie pani z niego wyciągnąć.

– Chciałabym zauważyć, panie prezydencie, że jeśli odłożyć na bok chwilowe emocje, to tylko epifenomen. To, czego dokonaliśmy, będzie miało reperkusje o znacznie szerszym zasięgu niż dyplomatyczny galimatias.

Prezydent unosi brew, słysząc to określenie.

– Zniszczyliśmy wszystkie infrastruktury nuklearne kraju, który chciał rozpętać trzecią wojnę światową. Stworzyliśmy nowy gatunek ludzki, który prawdopodobnie będzie mógł rozwiązać wiele naszych problemów w przyszłości. Oto nasz bilans.

Prezydent uderza w biurko wnętrzem dłoni.

– Bla, bla, bla... Jeśli wyłożę się z powodu pani „dyplomatycznego galimatiasu”, mogę nie zostać ponownie wybrany, a byłbym mocno zdziwiony, gdyby mój następcza zainteresował się „siedmioma wizjami przyszłości dla ludzkości” albo „nowym miniaturowym gatunkiem ludzkim”. Stwierdzi po prostu, że zachowałem się nieodpowiedzialnie,

słuchając pani i nie przewidziawszy katastrofalnych konsekwencji. Będzie domagał się osądzenia mnie, jak to było w wypadku ministra zdrowia.

– Szczepionki w końcu nie okazały się niepotrzebne, o ile mi wiadomo.

– To właśnie usiłuję dać pani do zrozumienia. Proszę zanotować sobie to zdanie: „Mieć rację zbyt wcześnie jest gorsze, niż nie mieć jej wcale”.

Pułkownik Ovitz wdycha głęboko powietrze. Ma ochotę zapalić papierosa, ale jej palce natrafiają tylko na długopisy.

– Wolę mieć rację wcześniej, niż jej nie mieć za późno. Historia w taki czy inny sposób w końcu odda nam sprawiedliwość. Czas odsłania prawdę.

– Zrozumiałem to wczoraj, kiedy prezydent Jaffar upokorzył nas publicznie.

– Jedziemy na tym samym wózku, panie prezydencie, musimy wspólnie się zastanowić, jak wyjść z tej sytuacji.

– Jaffar wygrał. Jutro przekażę mu komplet informacji na temat pani badań. Mam także zamiar wypłacić mu odszkodowanie. Dla zasady będę próbował negocjować, ale nie sądzę, żebym coś na tym polu osiągnął. Suma, której żąda, jest przesadnie wysoka. I wyznam pani, że – sądząc po stanie naszych finansów – nie będzie łatwa do przełknięcia. Ach tak, zapomniałem o najlepszej wiadomości. Od niedawna domaga się on również znalezienia winnych, dwóch małych Emceków, które ukryły się w nowojorskim systemie ścieków! Będziemy zmuszeni sprowadzić tu nasze psie brygady, żeby je wywęszyły. Kolejne koszty na horyzoncie.

Natalia Ovitz pozostaje niewzruszona.

– Mamy zatem noc, żeby znaleźć sensowne rozwiązanie, prawda? Czy mogę tu zostać i zastanowić się razem z panem,

prezydencie?

Stanislas Drouin podsuwa jej kokainę.

– Nie, dziękuję. Moja paranoja wystarcza mi jako środek stymulujący. Przeszłość pokazała nam, że ci, którzy się nie niepokoją, zmniejszają swoje szanse na przeżycie. Pokolenie po pokoleniu, prześladowanie po prześladowaniu cecha ta była przekazywana. Wspomnienie dziejów moich przodków sprawia, że pozostaję czujna. Potrzebuję pańskiego telewizora, muszę znaleźć pomysł w aktualnościach.

Prezydent jest rozbawiony pewnością siebie tej małej kobiety i nie mając już nic do stracenia, wręcza jej pilota i włącza ekran telewizora. Następnie zamawia kawę, wie bowiem, że ta noc będzie decydująca dla jego dalszej kariery.

Natalia słucha wiadomości, ale nie znajduje żadnej, która okazałaby się przydatna. Prezenter relacjonuje wydarzenia poprzedniego dnia – „afery fałszywego kosmity” albo „rewelacje prezydenta Jaffara” – po czym przechodzi do zbliżających się mistrzostw w piłce nożnej, do odkrycia nowego złoża ropy na morzu w pobliżu Japonii, które bije rekordy głębokości i z którego tego popołudnia rozpoczęto wydobywanie, a następnie do wzrostu temperatur związanego z dziurą ozonową.

Natalia Ovitz krzywi się, rozczarowana. Prezydent wzrusza ramionami.

– Codziennie to samo przedstawienie z tymi samymi aktorami i tymi samymi scenariuszami – przyznaje głowa państwa. – Nie działa już nawet budowanie napięcia. Na co pani właściwie czeka, Natalio?

– Na boską pomoc – odpowiada.

– Jest pani wierząca?

– Nie, ale podobno on pomaga również niewierzącym.

Prezydent nalewa sobie whisky.

– Natalio, skoro mamy spędzić razem noc...

– Bez obaw, panie prezydencie, nie będę próbowała wmówić brukowcom, że mnie pan napastował.

Prezydent nie wychwytuje ironii.

– Nie, prawdę mówiąc, nigdy pani tego nie mówiłem, ale bardzo panią cenię. Podziwiałem panią podczas operacji w terenie jako agentkę, a następnie jako oficera strategicznego. Podziwiałem pani troskę o przyszłość bliską i tę daleką. Tego najbardziej brakuje w polityce: wizjonerów. Marks, którego idei nie podzielałam, miał przynajmniej jedną zaletę: długoterminową wizję ewolucji gatunku ludzkiego. Obecnie światem rządzą aktorzy, wygłaszają przemowy, które piszą dla nich eksperci od komunikacji, ale nie mają globalnego planu dla swoich narodów i jeszcze mniej dla swojego gatunku. Ich wizja przyszłości nie wybiega dalej niż dwa lata naprzód.

– To technokraci, stosują to, czego nauczyli się w szkołach.

– Zawsze to samo. Dlatego pani posłuchałem, kiedy nagle zaproponowała mi pani poszerzenie horyzontów.

– Próby przejrzenia przyszłości są podniecające.

Prezydent podchodzi do okna i spogląda na wieżowce, które przypominają stalagmity wyrastające z podłoża Manhattanu.

– Skłamałem przed chwilą, nie martwię się wyłącznie o najbliższe wybory. Martwię się również o to, jaki los spotka nasze dzieci i wnuki.

– Dzięki temu możemy spojrzeć z perspektywy na nasze ulotne egzystencje na tej planecie – przyznaje Natalia.

– Czuję się jak pasterz, którego każda decyzja ma wpływ na stado. Czy pani to rozumie?

Dolewa sobie obficie whisky i wychyla za jednym zamachem. Kobieta unosi brew z naganą.

– Przeszkadza to pani? – pyta Stanislas Drouin. – Mam dość tych wszystkich rozczarowań. Odpuszczam sobie. Nieustanna kontrola, strach przed spojrzeniem innych, to wykańczające. Proszę sobie wyobrazić, jak to jest być wiecznie pilnowanym, ocenianym. Te wszystkie szakale, które tylko czekają, aż człowiek się potknie, żeby go dobić. Niełatwo jest być prezydentem. Ludzie myślą, że na tym korzystamy, ale nie korzystamy. Ludzie mają nas za egoistów, tymczasem ja naprawdę przejmuję się tym, co spotka moich współrodaków w przyszłości. Prawdę mówiąc, wiele osób ma mnie za drania, to męczące.

– Czy jest pan pijany, panie prezydencie?

– Tak, i cieszę się z tego. Alkohol pomaga mi wyrazić to, co naprawdę myślę.

Natalia, uzbrojona w pilota, zatrzymuje chwilami obraz, żeby mu się przyjrzeć, po czym pozwala przewijać się dalszym informacjom.

– Dziękuję za szczerość. Proszę wierzyć, że żałuję, że spowodowałam tyle kłopotów, chociaż nadal uważam, że nasza misja była konieczna i być może uniknęliśmy znacznie poważniejszej katastrofy.

Mężczyzna po raz kolejny dolewa sobie bursztynowego napoju.

Kobieta podkreśla głośność i przygląda się następującym po sobie obrazom. Intuicja podpowiada jej, że rozwiązanie już się pojawiło, ale ona musiała go nie zauważyć.

200.

Ledwie doszli do siebie po epidemii grypy, a już ponownie powracają do swojej roli pasożytniczych wampirów.

Co to za nowy odwiert w japońskiej zatoce?

Wiercą wciąż coraz głębiej, żeby wysysać moją cenną czarną krew.

Czyżby nadal niczego nie pojęli mimo wypadków, które wydarzyły się w miejscach odwiertów na głębokich wodach?

Tym gorzej dla nich. Nie chcą zrozumieć, dostaną więc kolejną nauczkę.

201.

– Wszystko to twoja wina, Davidzie! – oświadcza Aurore.

– Jak to „moja” wina?

Znajdują się w salonie, ekrany wokół nich wciąż jeszcze są włączone.

Nuçx’ia i Pentezylea siedzą na uboczu, zajęte lekturą gazet oferujących szczegółowe analizy ostatnich wydarzeń. Od czasu kryzysu i odkąd pułkownik Ovitz udała się w trybie pilnym do Nowego Jorku, do prezydenta, wśród członków grupy z Fontainebleau napięcie znacznie wzrosło.

– Trzeba było przewidzieć to ryzyko. Powinniśmy byli mieć jakiś plan awaryjny. Kapsułkę z cyjankiem między zębami, jak szpiedzy, na wypadek porażki.

– Misja zakończyła się sukcesem – przypomina David. – Niewielki problem pojawił się później.

Martin Janicot, Pentezylea Kéchichian i Nuçx’ia nie chcą uczestniczyć w kłótni, wstają więc i oznajmiają, że mają zamiar odpocząć po męczącym dniu. Aurore wskazuje ekran, na którym widnieje twarz i podpis: „Skandal Emmy 109”.

– Natalia pewnie właśnie dostaje burę od prezydenta.

– Przecież nie mogliśmy przewidzieć, że...

– Owszem, powinniśmy byli przewidzieć. Natalia podkrada moje zdania, ja więc podkradnę jej jedno, które lubię: „Ci, którym się nie udaje, znajdują wymówki, ci, którzy odnoszą

sukces, znajdują sposób”.

David wstaje, żeby zaprotestować.

– Co z tobą, Aurore?! Jedziemy na tym samym wózku, my dwoje, ale także Pentezylea i Nuçx’ia, i wszystkie Emceki. I Natalia. I prezydent Drouin.

Aurore również wstaje i opuszcza pomieszczenie. Wychodzi z budynku instytutu i kieruje się w stronę hangaru. Otwiera szeroko drzwi i kładzie dłoń na plastikowej ścianie osłaniającej Mikroland. Następnie przechodzi przez oszklone drzwi i siada na zachodnich przedmieściach miniaturowego miasta.

David podąża za nią.

– Dobrze, przyznaję, że powinienem był przewidzieć, że jedna z Emceków pomyli drogę, zostanie znaleziona przez dzieci na greckiej plaży, a w rezultacie zostanie uznana za istotę pozaziemską przez wszystkich przywódców państw.

Młoda kobieta o złotych oczach przygląda się kilku mikrokobietom, które – zauważywszy Dużych – podchodzą, żeby paść im do stóp. Rozpoznaje wśród nich papieżycę Emmę 666.

– Gra toczy się o zbyt wysoką stawkę, powinniśmy poświęcić czas na dokładniejsze opracowanie planu.

– Czy mam ci przypomnieć, Aurore, że amerykańskie służby specjalne poinformowały nas w ostatniej chwili? Nie mieliśmy czasu do stracenia.

Inne mikrokobiety zbliżają się, żeby złożyć pokłon i dary ofiarne przybyłym w odwiedziny bogom. Maleńkie owoce i warzywa pochodzące z ich upraw piętrzą się już na ziemi. Dwoje ludzi sięga po nie niedbale, rzucając donośne „dziękuję” swoim adoratorom. Emceki wycofują się i wracają do swoich zajęć. Wiele budowli jest w trakcie wznoszenia. Mikrolandczycy

budują teraz domy nie dwupiętrowe, lecz liczące pięć lub sześć kondygnacji.

– Gdyby tylko wiedzieli, jaki los zamierzają zgotować im bogowie... – szepcze Aurore.

– Natalia jeszcze się nie poddała.

– Wkrótce miejsce to zmieni się w miasto-widmo.

Wypowiadając te słowa, Aurore zauważa, że Emceki przedsięwzięły budowę budynku wyższego niż pozostałe. Wieży liczącej sobie ponad dwadzieścia pięter.

– Do licha, co myśmy zrobili?! Davidzie, co my zrobiliśmy?!

Po ataku złości ogarnia ją przygnębienie, kobieta przytula się do mężczyzny.

On się waha, lecz widząc, że są sami, bierze ją w ramiona.

– My... Doświadczenie częściowo się udało, a częściowo nie, Aurore. Wszystkie postępy naukowe pociągają za sobą ryzyko.

– Będziemy musieli ich wszystkich zabić.

Po jej policzku spływa łza.

Kilkoro mikroludzi ich obserwuje.

– Hm... – szepcze David. – Spróbujmy nie okazywać słabości na oczach tych, którzy darzą nas czcią.

Oddalają się od klatki z pleksiglasu, od hangaru, po czym opuszczają teren Narodowego Instytutu Badań Rolniczych. Ich kroki kierują się w stronę grobu matki Davida. Tam zatrzymują się i przyglądają kamieniowi, przy którym wciąż rośnie drzewo. Na jednej z gałęzi siedzi kruk.

– Mikrolandczycy zaczynają coś podejrzewać – zauważa Aurore.

– To pracuje twoja wyobraźnia. Są bardzo czujni.

Zauważają, że ich bogowie są uradowani albo smutni, ot co.

– Nie, dają nam coraz więcej prezentów, wyczuwają zagrożenie jak Majowie, którzy przewidywali koniec swojej cywilizacji.

– Krowy prawdopodobnie czuły, że zostaną skazane na śmierć podczas epidemii choroby szalonych krów w 1985 roku, ale to niczego nie zmieniło.

– Nasze Emceki nie są chore, nie zrobiły nic złego, wprost przeciwnie.

David nie wie, co odpowiedzieć.

– Chyba nie jestem dobrą boginią, nie będę też zapewne dobrą matką – wzdycha Aurore. – Nie jestem nawet dobrą towarzyszką. Nie potrafię kochać.

Opuszcza głowę, żeby David nie zobaczył jej oczu wypełnionych łzami.

– Nawet z Pentezyleą przestaje mi się układać. Mam wrażenie, że wszystko, czego się podejmę, prowadzi do katastrofy, a ludzie, którzy mnie kochają, nie zostają odpowiednio wynagrodzeni.

Wpatruje się w niego intensywnie.

– Nawet ciebie nie potrafiłam kochać.

David nie reaguje na wypowiedziane zdanie.

– Mam wrażenie, że dysponujemy pewnym kapitałem miłości, w który zaopatrzyli nas rodzice, jak żetonami do gry w kasynie. Ale przynajmniej jeden rodzic z dwojga musiałby nas w tym celu kochać. Ja zostałam porzucona i zapomniana przez ojca, wykorzystana w charakterze projekcji fantazji przez matkę. W rezultacie nie otrzymałam ani jednego żetonu. Dlatego nawet jeśli udaję zabawę w miłość, iluzja utrzymuje się tylko przez jakiś czas.

– Przestań opowiadać głupoty.

– Okłamuję samą siebie, żeby nie przyznać się, że jestem

uczuciowym kaleką.

– Czy to nie ty mi mówiłaś, że trzeba wyzwolić się od wpływów przeszłości?

– Mimo wszystko to rodzice mnie stworzyli. Nie mogę zmienić źródła własnej egzystencji.

Spojrzenie Davida ześlizguje się w stronę grobu jego matki.

– W takim razie powinniśmy im podziękować. Nie możemy żyć, będąc nieustannie pod ich wpływem. Jak sama zauważyłaś, nie powinniśmy spełniać marzeń naszych rodziców, lecz wymyślać własne.

Badaczka nie odpowiada.

– Potrafimy sami się odtworzyć – przekonuje David. – W każdym z nas istnieje coś starszego i głębszego niż wpływ naszych rodziców.

Nad nimi przez chmury przesączają się pojedyncze promienie słońca.

– Chciałbym coś z tobą zrobić, Aurore.

Kobieta robi pełną powątpiewania minę.

– Pigmeje nazywają to Ma'djobą. Chodzi o inicjację, której mnie nauczyli.

– Dlaczego chcesz to zrobić ze mną?

– Żeby sprawdzić, czy istnieje między nami jakaś dawniejsza więź.

– Już ci mówiłam, nie wierzę ani w reinkarnację, ani w poprzednie życia.

Aurore robi głęboki wdech, zdaje się przez chwilę rozważać jego propozycję, po czym kręci przecząco głową. W tym momencie Davidowi wydaje się, że gdyby wziął ją teraz w ramiona, pozwoliłaby mu się pocałować, lecz strach przed odrzuceniem jest silniejszy. Siedzą więc we dwoje i przyglądają się sobie w milczeniu. Nagle David coś zauważa. Wyciąga z

kieszeni na jej piersi małą młodą kobietę w stroju kapłanki.

– Ej ty! Czyżbyś nie знаła przepisów? Opuszczanie Mikrolandu jest zabronione.

– Przepraszam – odpowiada mikrokobieta. – Zobaczyłam, że bogini jest smutna, i pomyślałam, że jeśli przytulę się do jej serca, przekażę jej trochę mojej energii życiowej.

202.

– ...właśnie nas poinformował. Wszystko zaczęło się od trzęsienia ziemi o sile 9,2 w skali Richtera, które nastąpiło o godzinie trzeciej nad ranem na Oceanie Spokojnym. W następstwie tego zdarzenia fala wysokości trzydziestu pięciu metrów runęła na północno-zachodnie wybrzeże archipelagu Wysp Japońskich, trafiając między innymi w nową elektrownię atomową w Fukushima, która niedawno została ponownie uruchomiona. Ludność, która uciekła po katastrofie, jaka nastąpiła tam 11 marca 2011 roku, znalazła się ponownie w niebezpieczeństwie w wyniku awarii systemu chłodzenia trzech z sześciu reaktorów nowej elektrowni. Wypadek został zaklasyfikowany na siódmym poziomie w skali INES, czyli tak samo jak katastrofy w Czarnobylu i poprzednia w Fukushima. Władze natychmiast ogłosiły stan alarmowy. Mamy do czynienia z tak zwanym *Genpatsu-Shinsai*, czyli wypadkiem łączącym trzęsienie ziemi i katastrofę nuklearną. W 2011 roku kombinacja tych dwóch problemów pociągnęła za sobą śmierć ponad dwudziestu tysięcy osób. Uważano również, że instalacja zostanie całkowicie zburzona. Tymczasem władze Japonii, która nie ma innych dostępnych źródeł energii, zdecydowały się na naprawę i reaktywację instalacji, obiecując, że tym razem ryzyko niebezpieczeństwa będzie w pełni wykluczone. Ta nowa tragedia pokazuje, że były to płonne nadzieje i zaledwie kilka lat później

identyczny scenariusz może się powtórzyć w tym samym miejscu, powodując te same szkody. O ile nie gorsze. A to wszystko właśnie w chwili, gdy w pobliżu Japonii odkryto złoża ropy!

Władze japońskie nie chcą ulec defetyzmowi i odpowiedzialny za centralę Tepco ogłosił pojawienie się trzech „inteligentnych” robotów najnowszej generacji, słynnych cudów technologicznych profesora Francisa Frydmana. Roboty te powinny móc przedostać się do elektrowni i naprawić awaryjny system chłodzenia, który na razie również nie funkcjonuje. Cała nadzieja ludności znajduje się w rękach, a raczej w szczypcach trzech robotów androidów najnowszej generacji. Roboty te są, zdaniem ich wynalazcy, profesora Frydmana, pierwszymi, które mają świadomość swojego „ego”. Czy nauka zdoła naprawić szkody spowodowane przez naukę?

Bardziej niż kiedykolwiek spojrzenia całego świata są zwrócone na Daleki Wschód, gdzie rozgrywa się dramat, który – jeśli obróci się w katastrofę – może wywołać chmurę radioaktywną, która skazi cały region, a następnie opłynie planetę, zraszając kwaśnymi deszczami wszystkie kraje znajdujące się na jej drodze. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby pogoda była...

203.

Natalia Ovitz zasnęła przed ekranem telewizora, w związku z tym nie jest pewna, czy jej się to przyśniło, czy naprawdę wysłuchała wiadomości. Obok niej prezydent Stanislas Drouin hałaśliwie chrapie.

Kobieta podchodzi do ekranu i podkręca głośność. Natalia widzi teraz drżące obrazy filmowane z helikoptera. Olbrzymia zielona fala spada na japońskie miasto portowe. Następne ujęcie

ukazuje białe budynki, z których wydobywają się kolumny jasnoszarego dymu. Przez ekran przesuwa się pasek z napisem: „Kolejna katastrofa w Fukushimie”.

Natalia budzi prezydenta, któremu dłuższą chwilę zajmuje dojście do siebie, aby wreszcie wyprostować się i poprawić ubranie. Na ekranie sceny z zatopionego miasta ustępują miejsca uspokajającym deklaracjom oficjeli.

– To straszne – stwierdza prezydent Drouin niemal odruchowo, odgarniając kosmyk włosów i wciąż poprawiając strój.

– Nie, to nasze zbawienie – odpowiada Natalia.

204.

Nie rusza się.

Emma 109 na próżno potrząsa Emmą 523, lecz ta pozostaje nieruchoma. Do mikrokobiety dociera wreszcie, że jej towarzyszka została nocą pokonana przez swoje rany. Wywleka ciało na powierzchnię, a następnie, tak jak przykazali bogowie, grzebie zmarłą siostrę w ziemi i wbija tabliczkę z jej imieniem: „Emma 523”. Kilka wiewiórek uczestniczy w scenie. Tymczasem wokół niej świat wciąż żyje. Emma 109 nie ma o tym pojęcia, ale znalazła się w samym środku Central Parku.

– Teraz już nic nie będzie tak, jak dawniej – szepcze.

Po czym przęłyka ślinę i grzmi:

– Obiecuję cię pomścić, 523.

205.

Tym razem zadziałałam precyzyjnie.

Platforma wiertnicza na morzu u wybrzeży Japonii jest już teraz tylko stertą metalu. Nie dostaną się tak łatwo do mojej czarnej krwi. Nie chcę tracić pamięci.

Wróćmy do mojej opowieści: miniludzie rozmnażali się na kontynentach. Ci z wyspy nie zwracali na to uwagi.

Ja zresztą też nie.

Aż do dnia, w którym nastąpił pierwszy incydent.

206.

Rozgniała muszkę, która latała wokół jej czoła.

Przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych, Avinashi Singh, podejmuje w swoim gabinecie francuskiego prezydenta Stanisława Drouina.

– Nie, nie, nie i nie! Na to proszę nie liczyć!

Nie patrzy mu w oczy, ogranicza się tylko do obserwowania ciała muszki leżącego na jej biurku, aby wreszcie zmieść je szybkim ruchem do śmietnika.

– Wpakował nas pan w niezłe tarapaty, prezydencie Drouin. Cały świat zobaczył, że można nabić Narody Zjednoczone w butelkę. Ośmieszył nas pan.

– Chodzi o to, że...

– Niezależnie od tego, co się teraz wydarzy, nie będziemy mieć już żadnej możliwości rozmowy o UFO w tym miejscu przed upływem wielu stuleci.

– Mogę wszystko pani wyjaśnić, wystarczy, że...

– Z całą pewnością zostanie wszczęte śledztwo. Zajmie trochę czasu, ale będzie pan zmuszony zapłacić za zniszczenie cywilnych ośrodków nuklearnych i wypłacić odszkodowania dla wszystkich niewinnych ofiar.

– Prawda jest taka, że te centrale wcale nie służyły cywilom, a ofiarami byli wojskowi.

Kobieta w sari robi gest wyrażający zniechęcenie.

– Prawda nie ma znaczenia. Ważne jest to, co mówią media, i to, w co ludzie mają ochotę wierzyć.

– Nie można zapominać o pewnym szczególe...

– Kto tu mówi o szczegółach? Jak mówię o emocjach. Czy wie pan, że wystawili ciała ofiar na widok publiczny na placach w Teheranie?

– Jaffar kłamie. Pokazują więzionych studentów, na których wykonali wyroki śmierci. Mamy własne źródła informacji, a prawda jest taka, że...

– Znów ta przeklęta prawda, ma pan obsesję na jej punkcie. Osobiście nie widziałam nikogo, kto by mówił prawdę, miałam tylko do czynienia z mniej lub bardziej koherentnymi punktami widzenia. Na razie to pan uchodzi za kłamcę, manipulatora i oszusta. Fałszywie UFO wyprodukowane przez Izraelczyków! Miniaturowe kobiety, które mówią po francusku! Na co pan liczył?

Prezydent Drouin nie ośmiela się już wypowiedzieć żadnego zdania w obawie, że znów mogłoby być przerwane. Przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych bawi się podświetlanym globusem, który obraca się wokół osi.

– Dlatego nie rozumiem, po co chciał się pan ze mną spotkać w cztery oczy. Jeśli miał pan nadzieję, że pana poprę, proszę na to nie liczyć. Co się zaś tyczy doświadczeń w laboratoriach, pana okropne dwudziestocentymetrowe kobietki...

– Siedemnastocentymetrowe...

– Nie ma mowy, żeby te potwory się rozmnażały. Dwie znajdują się na wolności, pana zadaniem jest je odnaleźć. Burmistrz miasta już powiadomił służby sanitarne, a pana „wynałazek” jest na razie traktowany przez nasze służby jako „szkodliwy czynnik biologiczny”, w takim samym stopniu jak karaluchy, termity czy bakterie. Jeśli istnieje ich więcej, musi pan zniszczyć wszystkie zapasy. Na naszej planecie nie może pozostać ani jeden z tych laboratoryjnych horrorów, czy to jasne,

panie Drouin? Nie ma sensu dywagować na ten temat. W przeciwnym razie przegłosuję nałożenie międzynarodowych sankcji na Francję, kraj rozprzestrzeniający szkodliwy czynnik biologiczny.

Przewodnicząca zatrzymuje globus na Francji i stuka czubkiem paznokcia w Paryż.

– Proszę mi dać nieco cza...

– Trochę czasu? To zbędne. Nie jest to zresztą moja osobista decyzja. Przemawiam w imieniu instytucji, a więc w imieniu wszystkich narodów. Konsultowałam się już z pana kolegami. Wydaje mi się, że się zgadzamy, jeśli chodzi o tę sprawę. Nikt pana nie wesprze. A teraz proszę mnie zostawić, muszę zająć się japońskim kryzysem i centralą w Fukushima, która lada chwila eksploduje.

Znów wprawia w ruch globus.

Prezydent Drouin się nie rusza. Jego głos staje się stanowczy.

– Właśnie. Daleko od bycia szkodliwymi, nasze „laboratoryjne potwory” mogą okazać się bardzo przydatne dla ludzkości.

Kula ziemską, poddana sile kinetycznej, wciąż obraca się, skrzypiąc.

– Co mi pan tu opowiada?

– Słyszałem przed chwilą, że w Fukushima wykorzystano roboty najnowszej generacji wyprodukowane przez profesora Frydmana, te jednak okazały się niezdolne do działania, gdyż nie zaadaptowały się w terenie.

– Jaki to ma związek z panem?

– Myślę, że moje mikrokobiety dałyby tam sobie radę.

Przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych zatrzymuje gwałtownie globus.

– Chyba nie mówi pan poważnie. Poziom napromieniowania jest tam śmiertelny dla każdej formy życia.

– Emceki z Fontainebleau zostały poddane specjalnej kuracji. Są odporniejsze na promieniowanie niż przeciętne jednostki.

Avinashi Singh przygląda mu się z niedowierzaniem.

– Chciałby pan wysłać swoje małe wywiadowczynie do napromieniowanej centrali nuklearnej w Fukushima?

– Tak czy inaczej, powiedziała pani, że są skazane na śmierć. Równie dobrze można dać im szansę, być może wszystkim nam się przysłużą. Ponadto będziemy mogli wysłać ich tam nie dwie lub trzy, jak w wypadku robotów Frydmana, lecz całą małą armię, która na miejscu dostosuje się do okoliczności. One są bardzo inteligentne i roztropne.

Przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych kartkuje akta, po czym wydaje z siebie gardłowy odgłos wyrażający niezadowolenie.

– Jaffar nigdy się na to nie zgodzi. A ja wyjdę na osobę, która nie dotrzymuje słowa. Prawdę mówiąc, Jaffar siedział na pana miejscu godzinę temu, w tym gabinecie, i zobowiązałam się zmusić pana do uległości. Gdybym pozwoliła teraz panu działać, on zarzuciłby mi „prookcydentalizm”. W wielu krajach określenie to uchodzi za obelgę. Moja neutralność została podana w wątpliwość. Cóż, podobnie jak pan, muszę myśleć o swojej reelekcji.

Stanislas Drouin przesuwa się tak, żeby znaleźć się dokładnie naprzeciw niej i móc spojrzeć jej w oczy.

– Na razie powinna pani przede wszystkim martwić się tym, co powie japoński premier. Kryzys jest znacznie bardziej poważny w Fukushima niż w biurach ONZ w Nowym Jorku. W chwili gdy rozmawiamy, ludzie umierają od napromieniowania,

a tysiące innych spotka ten sam los, jeśli serce reaktora eksploduje. Co do reperkusji, mogą objąć całą planetę, wykraczając znacznie poza określenia „pro-” czy „antyokcydentalny”.

Avinashi Singh odwraca się w stronę globusa i obraca go powoli.

– Czego się pani obawia, pani przewodnicząca?

– Nie ukrywam, że po wczorajszej historii otrzymałam wiele telefonów. Wyrok na pana jest jednogłośnie. Zresztą rzecz ma się podobnie z Izraelem.

– Nic nowego, o ile wiem.

– Istotnie, ale nie chciałabym wyjść na tchórza.

– Woli więc pani nas ukarać, niż próbować ratować ludność japońską?

Kobieta siedzi przez chwilę w zamyśleniu.

– Przez pana straciłam twarz – mówi w końcu stanowczo.

– Proszę raczej się zastanowić, jak ocenią panią przyszłe pokolenia. Na gorąco, w trakcie trwania ostrego kryzysu, niczego nie widzimy. Chcąc zadowolić większość, chowamy się za plecami silniejszych. Proszę sobie teraz wyobrazić, że misja Emceków w Fukushima zakończyłaby się powodzeniem. W końcu moje małe wywiadowczynie odniosły sukces w Iranie, udowodniły, że potrafią wypełnić zadaną misję. Byłaby pani wówczas przewodniczącą ONZ, która ośmieliła się zlecić misję ostatniej szansy, w którą nikt nie wierzył.

Avinashi Singh obserwuje obracającą się Ziemię.

– Pozostaje ryzyko ośmieszenia się. Mogłabym także uchodzić w przyszłości za naiwną przewodniczącą, która pozwoliła małej kobietce udawać istotę pozaziemską i uwierzyła, że grupa tych istot mogłaby zapobiec eksplozji centrali nuklearnej. Poza tym istnieje ryzyko, że będę miała na

głowie wszystkie kraje wspierające Iran. Jest ich więcej, niż pan myśli. Poczynając od Rosji i Chin.

– Jeśli zależy pani wyłącznie na sprawieniu przyjemności większości, mógłby panią zastąpić program informatyczny.

– Jak pan śmie odzywać się do mnie w ten sposób?

– Prawo daje mi nagła konieczność. Prawdziwą liderkę czyni z pani umiejętność podejmowania odważnych, dalekowzrocznych decyzji.

Przewodnicząca Organizacji Narodów Zjednoczonych waha się, czy protestować, po czym, przewyciężając niezadowolenie, oznajmia:

– Prezydencie Drouin, proszę o dzień do namysłu.

– Nie mamy go. Każda mijająca minuta zwiększa ryzyko eksplozji.

Prezydent Drouin ma poczucie, że szala przechyliła się na jego stronę.

– Dobrze, proszę przejść do poczekalni.

Avinashi Singh zakłada płaszcz. Schodzi na Piątą Aleję, kupuje wegetariańską kanapkę i lemoniadę, po czym udaje się na spotkanie z osobą, która doradza jej w podejmowaniu wszystkich decyzji: do Angeliny, słynnej medium i astrolożki.

Dzwoni domofonem.

– To ja, Avi. Pilna sprawa.

– Jestem zajęta z klientem – odpowiada głos w słuchawce.

– Priorytet czerwony.

Drzwi się otwierają. Przewodnicząca mija mężczyznę, niezadowolonego, że został z jej powodu wyproszony. Ukrywa twarz, żeby nie zostać przez niego rozpoznana.

Angelina praktykuje prastarą sztukę – odczytywanie przyszłości z wnętrzości łabędzia. Sięga do klatki po jednego z ptaków i odcina mu głowę na oczach przewodniczącej. Kiedy

zwierzęciem wstrząsają jeszcze drgawki, rozcina je, odsłania trzewia i oświetla je, aby przyjrzeć im się pod lupą. Krew spływa na stopy obu kobiet.

207. ENCYKLOPEDIA: KRWAWA HRABINA

Wśród największych kryminalistek w historii ludzkości należy wymienić hrabinę Elżbietę Batory.

Urodziła się na Węgrzech w 1560 roku w rodzinie królewskiej zaliczającej do swoich bliskich księcia Zygmunta z Transylwanii, króla Polski, licznych biskupów, a nawet jednego kardynała.

Elżbietę Batory opisywano jako kobietę bardzo piękną i zalotną, o pełnych wdzięku gestach. W młodości jej silna seksualność przyciąga zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

W wieku piętnastu lat poślubia Franciszka Nádasdy'ego, węgierskiego hrabiego. Austriacki cesarz Maksymilian Habsburg uczestniczy osobiście w ich weselu.

Kiedy jej mąż wyruszył walczyć z Serbami, Elżbieta urządziła się w cytadeli w Trenczynie, warownym zamku o grubych murach i głębokich piwnicach.

Spacerując po pobliskim miasteczku z jednym ze swoich kochanków, spotyka starą kobietę i wyśmiewa jej brzydkie zmarszczki. Kobieta, słysząc to, odpowiada: „Pewnego dnia będziesz do mnie podobna”. Wówczas Elżbietę Batory ogarnia paniczny lęk przed starością. Któregoś dnia rano policzkuje służącą, która pociągnęła ją za włosy podczas czesania, i łamie jej nos. Krew spływa jej na dłonie. Podobno hrabina stwierdziła wtedy, że skóra w tym miejscu stała się bielsza i delikatniejsza. Zaintrygowana Elżbieta obmywa twarz w misce wypełnionej krwią tej samej służącej i natychmiast ma wrażenie odmłodzenia.

Elżbieta Batory nabierze zwyczaju wykrwawiania swoich pokojówek, później zaś organizuje grupę osób, które porywają młode dziewczice i sprowadzają je do zamku. Zaspokajając tym samym swoje skłonności do sadyzmu (które jej mąż z uśmiechem nazywał „rozrywką w chwilach nudy”), każe urządzić salę tortur w zamku i spędza całe godziny na dręczeniu młodych dziewcząt i wykrwawianiu ich z pomocą ekipy asystentów.

Gryzie je, aby spijać krew bezpośrednio u źródła (inspirując tym zapewne Bramę Stokera do napisania *Drakuli*), a ostatecznie kąpie się w wielkich baliach wypełnionych ich krwią.

Wrzaski dochodzące z zamku są tak ogłuszające, że skarżą się mnisi z sąsiadującego z nim klasztoru. Cesarz nigdy nie zwróci uwagi na te zażalenia, które szybko odchodzą w zapomnienie. Nawet rodzice ofiar nie mają odwagi zeznawać.

Hrabina Batory, wiedząc, że jest chroniona przez cesarza we własnej osobie, nie zadaje sobie już nawet trudu, żeby się ukrywać.

Urządza podróżną salę tortur w swojej karocy, żeby móc się rozrywać podczas długich tras.

Niemniej odnosi wrażenie, że błękitna krew wysoko urodzonych dziewczic jest skuteczniejsza w walce ze starością niż ta należąca do chłopek. To ją zgubi. Rodzice ofiar zaczynają się jednoczyć. Hrabina powoli traci wsparcie, ostatecznie zostanie aresztowana w sierpniu 1610 roku. Na terenie zamku w maleńkich celach zostają odnalezione na wpół wykrwawione dziewczęta, a także zakopane zwłoki oraz notes, w którym Elżbieta Batory notowała nazwiska i zadawane ponad sześciuset osobom tortury. Po jednym z

procesów, podczas którego wszyscy jej sprzymierzeńcy opowiedzą ze szczegółami o dziesięciu latach zbrodni (podobno arystokratki z bliskiego kręgu cesarza również uczestniczyły w sadystycznych orgiach, co umacniało tylko jej poczucie bezkarności), ci ostatni zostaną spaleni na stosie. Elżbieta, posiadając szlacheckie korzenie, zostanie skazana na życie w zamurowanej komnacie swojego zamku.

Po upływie trzech lat, gdy zauważono, że nikt nie odbiera jedzenia z przygotowanego w tym celu otworu, uznano, że umarła.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom VII

208.

Widziana z daleka biała chmura wydobywająca się z elektrowni atomowej Fukushima Dai-Ichi ma w sobie coś z rośliny. Przypomina srebrzystą kapustę rozkładającą liście.

David jest zaniepokojony.

„Po zielonym jeźdźcu grypy, czyżby to miał być biały jeździec nuklearny?”

Dwadzieścioro czworo Emceków, którzy wydali się niezbędni do przeprowadzenia akcji ratowniczej, wysiada z ciężarówki. Pułkownik Ovitz wybrała te kobiety, które zdobyły najlepsze oceny z ćwiczeń w trudnym terenie. Japoński inżynier o nieprzeniknionej twarzy przemawia, stojąc obok Davida, a tłumacz oznajmia:

– Dyrektor Kobayashi mówi, że temperatura na miejscu jest podwyższona i należy założyć, że eksplozja może nastąpić w trakcie misji. Dyrektor Kobayashi twierdzi, że roboty Frydmana

były zbyt delikatne i nie mogły poruszać się po ruinach. Pyta, czy są tu samce Emceków. Miałby większe zaufanie do samców niż do samic.

– Proszę powiedzieć dyrektorowi Kobayashiemu, że wszystko jest w porządku, panujemy nad sytuacją – odpowiada David.

Następnie nachyla się do Aurore, która towarzyszy mu podczas tej delikatnej misji, i szepcze:

– Myślisz, że dadzą radę?

Młoda kobieta nie potrafi ukryć oznak niepokoju.

– Nie mam pojęcia. W koktajlu DNA Emceków znajdują się geny Pentezylei. Amazonkom udało się przeżyć w pobliżu odpadów nuklearnych, ale nie znam ich odporności na wysokie napromieniowanie.

Pomagają mikrokobietom w przygotowaniu ekwipunku. Zebrani wokół dziennikarze rejestrują każdy gest.

– Wiem tylko, że jeśli my, ich bogowie, poprosimy je, żeby tam poszły, one pójdą i zrobią wszystko, żeby odnieść sukces. Przynajmniej, w przeciwieństwie do robotów Frydmana, nie będzie im przeszkadzał teren, którego kształtu nie da się przewidzieć.

– Zresztą nie ma innego rozwiązania. Jeśli im się nie uda, będziemy musieli poddać je wszystkie eutanazji – przypomina Aurore.

David przygląda się centrali. Trzy reaktory są uszkodzone, wydostają się z nich chmury oparów wodnych. To jednak ten pośrodku znajduje się na granicy fuzji i domaga się pilnej interwencji. Z każdą minutą temperatura wzrasta.

– Pomyśleć, że wymyśliliśmy im piekło... a teraz do niego zmierzają – szepcze Aurore.

– Nieładne podziękowanie za ich pracę w służbie ludzkości

– przyznaje David.

Na szczęście Natalia Ovitz dawno temu przewidziała możliwość wykorzystania Emceków w sytuacjach związanych z energią nuklearną i kazała przygotować kombinezony antyradiacyjne w ich rozmiarze. Wszystkie mikrokobiety są również wyposażone w system audio i wideo działający na wysokich częstotliwościach, który pozwala im jednocześnie filmować i otrzymywać wskazówki dotyczące wykonywanych manewrów.

Dwadzieścia cztery mikrokobiety sprawdzają nawzajem szczelność swoich kombinezonów antyradiacyjnych. Następnie ustawiają się gęsiego i ruszają w stronę grożącej wybuchem elektrowni.

David Wells, Aurore Kammerer, pułkownik Ovitz, a także dyrektor Kobayashi z centrali Tepco, jego tłumacz, przedstawiciel japońskiego rządu i trzech japońskich kamerzystów wsiadają do ciężarówki wyposażonej w nadajniki, specjalnie przygotowanej na potrzeby tej misji. Naprzeciw nich znajdują się ekrany, pulpity i mikrofony.

Dwadzieścia cztery Emceki wkraczają na błotnisty teren i poruszają się wśród coraz bardziej chaotycznej scenerii: szczątki stalowych belek i grube rury walają się po wielkich płytach metalu i betonu. Termometry wskazują wyraźny wzrost temperatury. Liczniki Geigera zaczynają skwierczeć pod wpływem promieniowania alfa, beta, gamma i X emitowanych przez jądro reaktora. Para zasnuwa podłóżę i mikrokobiety są zmuszone włączyć latarki, żeby móc iść naprzód.

Wkrótce odkrywają wejście do centrali numer trzy, najpotężniejszego reaktora o mocy tysiąca stu megawatów. Na wielkiej tablicy, nieco wystrzępionej i przypalonej, mikrokobiety dostrzegają twarz uśmiechniętego inżyniera, który przykazuje

założyć kask i strój ochronny przed wejściem głębiej. Napis po japońsku zdaje się głosić: Witamy w tym cudownym miejscu, arcydziele nauki i technologii.

Zgodnie z sugestią prezydenta Drouina obrazy z kamer wideo umieszczonych na małych kaskach są bezpośrednio transmitowane do dziesięciu ciężarówek, w których tłoczą się dziennikarze z całego świata, którzy z kolei przekazują je dalej do swoich sieci. Dzięki temu miliony widzów śledzą wydarzenia na żywo.

Dyrektor mówi do tłumacza, który zwraca się do Francuzów:

– Pan Kobayashi pyta, czy pana dziewczyny mogłyby iść prosto naprzód.

Idąc gęsiego przez porzuconą centralę, mikrokobiety wpadają nagle na ludzkie postacie. Widzowie podskakują.

Po dokładnym sprawdzeniu okazuje się, że to trzy człekokształtne roboty Francis Frydmana. Stoją naprzeciw wejścia zawałonego betonowymi słupami. Usiłują się przez nie przedostać, lecz ich ludzkie rozmiary uniemożliwiają im to. W kółko powtarzają te same niepotrzebne gesty, niczym automaty na jarmarku.

– Na wypadek gdyby wciąż jeszcze istniała wątpliwość co do wyższości biologii – zwraca uwagę David – oto dowód.

– Sądziłam, że mają wolną wolę i samoświadomość – dziwi się Natalia.

– Być może promieniowanie je zakłóciło – wyjaśnia młody naukowiec.

– Albo winny jest ich sposób myślenia – uzupełnia Aurore.
– W końcu zostały zaprogramowane jako walczący żołnierze. Być może nasz drogi kolega, doktor Francis Frydman, powinien wyprodukować roboty nacechowane płcią. Jedne z męskimi

umysłami, inne z kobiecymi. Dwa różne sposoby myślenia uzupełniałyby się nawzajem.

Ten oryginalny pomysł zaciekawia Natalię, na razie jednak ma ona inne priorytety.

Dyrektor mówi coraz szybciej. Tłumacz wyjaśnia po francusku:

– Pan Kobayashi mówi, że wasze małe kobietki muszą przejść przez te drzwi, następnie skręcić w drugi korytarz po lewej, a później iść prosto.

David nachyla się nad mikrofonem i przekazuje wskazówki Emmie 393, kapitanowi misji, która naturalnie idzie na czele pochodu. W obiektywach kamer mikroludzi otoczenie robi się coraz trudniejsze do przejścia, popękane ściany zapadają się, odsłaniając mniej lub bardziej powyginane metalowe konstrukcje.

Dyrektor centrali nuklearnej Tepco prowadzi grupę w stronę serca reaktora grożącego eksplozją. Liczniki Geigera trzeszczą coraz głośniejsze, a strzałki wskaźników napromieniowania znajdują się już na czerwonym polu. Temperatura jest bardzo wysoka, ale Emceki, mimo że pocą się w skafandrach, wciąż podążają naprzód. Zatrzymują się przed drzwiami z funkcją śluzy.

Dyrektor wydaje instrukcje: to ostatnie drzwi, jakie trzeba otworzyć, przekręcając zawór, który pozwoli zimnej wodzie napłynąć do zbiornika chłodzącego.

– Licznik Geigera wskazuje już dziesięć tysięcy milisiwertów – zwraca uwagę Aurore. – Ludziom zabrania się wstępu przy poziomie dwustu pięćdziesięciu milisiwertów.

Japończyk mówi prędko, tłumacz również:

– Pan Kobayashi mówi, że liczniki Geigera, w które je wyposażyliśmy, mają ustawione ograniczenie do dziesięciu

tysięcy milisiwertów. Kobiety znajdują się zapewne w strefie o znacznie wyższym napromieniowaniu.

Aurore czuje dreszcz przebiegający jej po plecach.

Tłumacz wylewa z siebie coraz szybszy potok słów:

– Dyrektor mówi, że muszą przejść przez te drzwi. Ale pojedynczo, nie możemy ryzykować, żeby zginęły wszystkie jednocześnie.

Informacja zostaje przekazana w sposób bardziej stonowany. Emma 393 przechodzi przez uchylone drzwi. Spogląda na swój licznik Geigera, którego strzałka uderza o kraniec czerwonego pola, pokonuje strefę przejściową i zgodnie ze wskazówkami dyrektora rusza w stronę zaworu kontrolującego zbiornik z płynem chłodzącym. Sięga w stronę metalowej gałki, żeby podważyć stalową korbę. Udaje jej się lekko ją przekręcić.

Dyrektorowi Kobayashiemu wyrywa się cichy okrzyk zwycięstwa. Mówi szybko, a tłumacz przekazuje dalsze wskazówki.

Emma 393 napiera na gałkę dociskającą korbę. Niestety, poziom napromieniowania jest zbyt wysoki, Emma daje z siebie wszystko, lecz w pewnym momencie osuwa się na ziemię. Kamera umieszczona na jej kasku wpatruje się już tylko w sklepienie, wstrząsana agonalnymi drgawkami swojej właścicielki.

Japończyk natychmiast zarzuca tłumacza entuzjastycznymi instrukcjami, które ten ostatni streszcza:

– Pan Kobayashi nalega, żeby wysłać tam natychmiast kolejną!

David i Aurore nie ruszają się z miejsca, dopiero Natalia przekazuje rozkaz do mikrofonu łączącego ich ze stojącą teraz na czele pochodu mikrokobietą.

– Następna – mówi ze źle ukrywanym wzruszeniem w głosie.

Druga małeńka kobieta w skafandrze mija drzwi i podchodzi do zwłok towarzyszki. Oświetla ją i filmuje: widać teraz twarz małej Emmy 393, na wpół spaloną pod przeźroczystym kaskiem. Po chwili wahania nowa Emma opanowuje się, podnosi metalowy pręt i kontynuuje przerwana pracę.

Zyskuje kolejne kilka milimetrów.

Japoński dyrektor oraz wszyscy dziennikarze i widzowie, którzy śledzą wydarzenia na żywo, zaczynają odczuwać zdenerwowanie. Wykorzystawszy całą swoją energię, mikrokobieta osuwa się na zwłoki swojej towarzyszki.

Dyrektor przeklina oschle po japońsku, ale Natalia uprzedza go i rzuca do mikrofonu.

– Następna.

Kolejna Emma wchodzi przez śluzę, przekracza leżące zwłoki, podnosi żelazny pręt i wsuwa go w korbę, żeby znów przekręcić ją o kilka milimetrów.

Dwadzieścia trzy Emceki próbowały przekręcić zawór, lecz zdaniem dyrektora Tepco to nie wystarczyło, żeby uwolnić płyn chłodzący.

Została już tylko jedna mikrokobieta, Emma 651, i wszyscy mają świadomość, że ona jedyna ma szansę uratować sytuację. W ciężarówce nikt nie śmie się odezwać. Wszyscy wstrzymują oddech, serca biją jak oszalałe. Dyrektor Kobayashi nie wydaje już rozkazów, tylko się poci i spazmatycznie mruga powiekami.

Mała Emma stanowi obecnie ich jedyną szansę. Rusza naprzód. Kamera filmuje, a latarka na czole oświetla dwadzieścia trzy ciała leżące jedno na drugim przed zaworem zbiornika z płynem chłodzącym.

Emma 651 staje w tej samej pozycji, co pozostałe małe kobiety, i uruchamia dźwignię, żeby przekręcić korbę. Ta znów ustępuje o kilka milimetrów.

W ciężarówce Tepco niepokój sięga zenitu.

Wszyscy wiedzą, że jeśli jej się nie uda, temperatura prętów będzie nieustannie wzrastać w reaktorze aż do wystąpienia fuzji, która pociągnie za sobą eksplozję, która z kolei może dotknąć również pozostałe reaktory. To mogłoby spowodować katastrofę znacznie poważniejszą niż poprzednie.

– Proszę cię, Emmo 651... niech ci się uda – szepcze David.

Mikrokobieta znów napiera na gałkę i zyskuje dodatkowe kilka milimetrów, zaczyna jednak odczuwać działanie promieniowania: jej uchwycone przez kamerę dłonie drżą.

W pewnym momencie, kiedy przerywa dla nabrania oddechu, jej dłoń ześlizguje się z gałki i kobieta osuwa się na ziemię. Nieruchomieje. Wszyscy czekają. W centrali nuklearnej panuje całkowity bezruch.

– Cóż, przynajmniej próbowaliśmy – szepcze Natalia.

Wszyscy wbijają wzrok w ekrany, oczekując cudu, który się nie wydarza. Japoński dyrektor krzyczy coś w swoim języku. Spogląda na Francuzów wściekłym wzrokiem, jak gdyby miał im za złe, że dali mu złudną nadzieję. W autokarze dziennikarzy padają coraz bardziej zgryźliwe komentarze... Oczy odwracają się od ekranów, na których widnieje nieruchomy obraz sufitu.

To Natalia zauważa pierwszy ruch. Jedna z kamer czołowych się porusza.

Ta należąca do Emmy 651.

Zdołała się podnieść i czerpiąc resztkę sił z chęci osiągnięcia sukcesu, usiłuje dokończyć rozpoczętą czynność. Emma 651, której oddech jest coraz bardziej nierówny, a kask zaparowany, jest zawzięta. Kolejne kilka milimetrów zdobyte.

Nagle dźwignia przesuwana się gwałtownie naprzód, a zawór się przekręca.

Dyrektor Tepco wydaje z siebie okrzyk radości.

Emma 651 upada, aby już więcej się nie podnieść.

Japończyk odwraca się w stronę ekranu kontrolnego i trajkocze:

– Pan Kobayashi mówi, że płyn chłodzący został wreszcie skierowany do zbiornika reaktora. Mówi, że temperatura, która do tej pory tylko rosła, ustabilizowała się i zaczyna opadać.

Ulga, a także podziw ogarniają widzów.

Smartfon Natalii dzwoni, a na ekranie pojawia się nazwisko „Drouin”.

Wie, że prezydent również śledził wydarzenia na żywo. Na pewno dzwoni, żeby jej pogratulować i obdarzyć na nowo zaufaniem, lecz nie odbiera, wpatruje się tylko w ekran, na którym czołowa kamera wstrząsana jest ostatnimi drgawkami konającej Emmy 651. Zaciska szczęki, choć jednocześnie narasta w niej żołnierska duma ze swoich wojowniczek, które poświęciły się całkowicie obcej sobie sprawie.

Nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon, mówi, jak gdyby zwracała się sama do siebie:

– Misja wypełniona.

209.

Widziałam obrazy.

Znów to zrobili – osiem tysięcy lat później znaleźli rozwiązanie swoich kłopotów w zmniejszeniu rozmiarów. A jeśli to rzeczywiście właściwa odpowiedź na problem inwazji ludzkiej? Mniejsi lokatorzy zawsze będą mniej uciążliwi niż duzi. Człowiek dziesięciokrotnie mniejszy zużywa dziesięciokrotnie mniej surowców, je dziesięć razy mniej, żyje dziesięć razy krócej,

krótko mówiąc: przeszkadza dziesięć razy mniej.

*Trzeba sprawdzić, jaki obrót przybiorą sprawy tym razem.
„Emceki” – dziwna nazwa.*

Jeśli o mnie chodzi, pamiętam, co się stało osiem tysięcy lat temu...

*Rozwiązanie okazało się gorsze niż sam problem.
Niewdzięczni miniludzie zwrócili się przeciwko swoim panom i stwórcom.*

210.

– A teraz oddaję głos Georges’owi, który nadaje na żywo z Pałacu Elizejskiego, gdzie prezydent Drouin zorganizował punkt informacyjny dla prasy.

– Lucienne, proszę posłuchać rozmowy, która właśnie się zaczyna.

Prezydent zasiada na podwyższeniu i oznajmia:

– Przede wszystkim, panie i panowie, chciałbym podziękować Emmie 651, która ocaliła wiele ludzkich istnień. Wszyscy śledziliśmy bezpośrednio sposób, w jaki dwadzieścia cztery małe żołnierki wyprodukowane w naszych laboratoriach zdołały zapobiec katastrofie, której skutki mogłyby okazać się niewymierne. W naszym żargonie nazywamy te istoty Emcekami, od inicjałów MC oznaczających mikrocłowieka. Kosztem własnego życia Emceki weszły na teren grożącej wybuchem elektrowni jądrowej i zdołały zapobiec najgorszemu. Ani jedna nie przeżyła, a wszystkie udowodniły, że daleko im do bycia szkodliwymi, potrafią także ratować ludzkie istnienia. Oprócz tego Emceki pokazały swoją odporność na promieniowanie, co pozwala nam otworzyć nową drogę dla badań nad odpornością człowieka na radiację. Dlatego zdecydowałem, aby w najbliższych dniach laboratorium

państwowe, które z największą dyskrecją wyprodukowało prototypy ludzkie o zredukowanych rozmiarach, zostało sprywatyzowane. Odtąd, używając skrótu PP, od PigmejProd, będziemy wypożyczać te małe istoty w celu rozwiązywania problemów ekstremalnych, gdzie ani ludzie, ani psy, ani nawet roboty nie potrafią działać skutecznie. Skontaktowałem się ze mną dziś rano prezydent Chile, który poprosił o dostawę dziesięciu Emceków w celu uratowania grupy górników uwięzionych kilkaset metrów pod ziemią w kopalni po tąpnięciu, które nastąpiło w regionie San José. Odtąd dzięki PigmejProd będziemy mogli przywrócić Francji jej historyczną rolę ratowniczką całego świata. Otrzymałem już gratulacje od wszystkich przywódców państw i liczne podobne prośby. Sądzę, że blask bijący od naszego narodu nigdy nie był równie jasny, a to dzięki innowacji trzymanej dotąd w tajemnicy, która świadczy zarazem o postępowości i odwadze naszych naukowców. Teraz, panie i panowie dziennikarze, słucham waszych pytań.

– Wspomniał pan o przywódcach państw, którzy składają gratulacje, ale jak się ma sprawa z prezydentem Jaffarem i Irańczykami, którzy wciąż domagają się odszkodowania za zniszczenie setek ich elektrowni? Żądane kwoty są olbrzymie. Jeśli dobrze zrozumiałem, domagają się również całkowitej destrukcji tych, które określają nie jako istoty będące wytworem wysokich technologii, ale jako „mordercze wywiadowczynie”!

– Nie ma na razie mowy o wypłacaniu komukolwiek odszkodowań. Rozmawiałem z przewodniczącą Organizacji Narodów Zjednoczonych, Avinashi Singh, i dostarczyłem jej dowody, że te rzekome elektrownie były instalacjami wojskowymi, a także że Irańczycy szykowali się do wykorzystania pocisku z głowicą nuklearną.

– Pocisk nuklearny mający jaki cel, panie prezydencie?

Zniszczenie Izraela?

– Nie. Rijadu.

– Rijadu?

Wśród publiczności przebiega głuchy szmer.

– Tak, powiedziałem „Rijad”. Przypomnijcie sobie te wszystkie masakry szyickich pielgrzymów przez sunnickich żołnierzy, pożary szyickich meczetów w Iraku, w Pakistanie, w Egipcie. W odwecie Irańczycy postanowili wyprodukować swój pocisk „Wieczna zemsta”. Pierwszy nie został użyty z powodu pandemii grypy, dlatego mieli zamiar wznowić plan i wystrzelić drugi pociski, „Wieczna zemsta 2” w dniu święta Aszura, które jest dla nich dniem śmierci szyickich męczenników zamordowanych przez sunnitów w VII wieku.

– Ma pan dowody?

– Wkrótce będę je miał.

Już jedna z dziennikarek podnosi rękę.

– A zatem, panie prezydencie, czy również Emcekom zawdzięczamy ocalenie Rijadu przed pociskiem atomowym?

– Zgadza się. Nazwa tej operacji brzmiała „Ladies of the Rings”. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej oprócz tego, że wkrótce przedstawimy niezaprzeczone dowody i że nie zamierzamy oczywiście płacić żądanych odszkodowań.

Szmery wśród dziennikarzy. Kamery najeżdżają, aby uchwycić twarz prezydenta w zbliżeniu.

– Panie prezydencie! Wyjawił pan istnienie ekipy naukowców, która wyprodukowała Emceki. Czy stanowią oni gałąź armii albo Krajowego Centrum Badań Naukowych?

– Nie... To niezależna pracownia. Mamy wiele laboratoriów wolnych od politycznego nadzoru, które prowadzą przyszłościowe badania. O wynikach ich prac informujemy dopiero wtedy, gdy uznamy to za konieczne. Teraz jednak, kiedy

Emceki są już znane, postanowiłem pozwolić laboratorium na jeszcze większą autonomię. Jak już wspomniałem, przemianujemy je na PigmejProd. Państwo zachowa pięćdziesiąt jeden procent akcji, a czterdzieści dziewięć procent zostanie sprzedane prywatnym inwestorom, trochę tak, jak to uczyniliśmy w wypadku niektórych banków albo przedsiębiorstw komunikacyjnych i transportowych.

– Panie prezydencie! Pytanie praktyczne: czy może nam pan podać nazwiska francuskich naukowców, którzy opracowali Emceków?

– Na razie wolą pozostać anonimowi. Wystarczy, że powiem, że mikroludzie są produktem dawnych inwestycji i złożonych badań genetycznych, które wymagały olbrzymich wysiłków ze strony niewielkiej grupy zdeterminowanych osób.

Ręce unoszą się, domagając się prawa do zadawania dalszych pytań. Stanislas Drouin wskazuje przypadkowo jedną z osób.

– Niektórzy twierdzą, że sprawa Emceków to pana joker w grze o reelekcję. Czy przyznaje pan, że w chwili gdy sondaże plasują pana bardzo nisko, walka z bezrobociem okazała się całkowitym fiaskiem, a międzynarodowa równowaga ekonomiczna jest oceniana niekorzystnie, cała ta historia wypływa w idealnym momencie?

– Po raz kolejny mamy tu do czynienia z oczernianiem, zapewne ze strony moich kolegów z opozycji. Problem naszego kraju polega na tym, że niezależnie od tego, co człowiek zrobi, jest krytykowany i zmuszony do usprawiedliwiania się.

– Mimo wszystko, panie prezydencie, nie ma pan żadnej myśli związanej z wyborami, skoro pańska kadencja zbliża się powoli do końca? Obecnie szacuje się, że otrzymałby pan dwadzieścia trzy procent głosów, a pana przeciwnik trzydzieści

sześć.

Stanislas Drouin wykonuje uspokajający gest w stronę zebranych na sali.

– Uważam, że rządzenie nie polega na dobrych wynikach w sondażach, lecz na planowaniu przyszłości naszych dzieci.

Dziennikarze notują wypowiedź.

– Dobry prezydent to człowiek, który potrafi podejmować ryzyko, żeby bronić awangardowych idei. I niby przypadkiem awangardowe idee są zawsze z początku odrzucane, następnie przyjmowane, a dopiero znacznie później stają się oczywiste.

211.

Dłoń wciska przycisk uruchamiający ekran tabletu używanego w charakterze telewizora.

Gdzieś w jednym z zakamarków nowojorskiego labiryntu systemu kanalizacyjnego, niedaleko Central Parku, między Piątą i Szóstą Aleją, piętnaście metrów pod powierzchnią, którą przemierzają pociągi i samochody, Emma 109 również śledzi wydarzenia rozgrywające się w elektrowni w Fukushima i wypowiedź prezydenta Drouina.

Przygląda się gniazdku, które zaczęła sobie urządzać. Po jednej stronie broń, dzidy i łuki, które pozwalają jej bronić się przed atakami hord szczurów. Po drugiej – przedmioty elektroniczne, a dokładnie smartfony oraz tablet, który podłączyła do wielu małych baterii.

Usiłuje sobie przypomnieć regułę, którą wpajała jej bogini Natalia: 1. Zbieramy informacje. 2. Zastanawiamy się. 3. Działamy.

A teraz, gdy uważa, że zebrała już dostatecznie wiele informacji i wystarczająco się zastanowiła, postanawia działać i zmienić świat.

W jej głowie rodzi się już pewien precyzyjny plan.
KONIEC TOMU PIERWSZEGO

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Christine Villanova Josset, która podsunęła mi pomysł na jajorodność ludzi przez zwykłą myśl rzuconą podczas obiadu: powiedziała mi, że jedna z jej ciężarnych przyjaciółek wolałaby umieścić dziecko w lodówce i urodzić w okresie lepiej dopasowanym do jej kariery zawodowej.

Monique Parent Bacan, która rozmarzyła mnie, opowiadając przepięknie o szczegółach moich poprzednich egzystencji, i Philippe'owi Roux, który sprawił, że poczułem się, jakbym tam był. Podczas seansu autohipnozy.

Dziękuję plemieniu Baoulé z Lamto, które gościło mnie w 1983 roku (gdy przygotowywałem reportaż na temat mrówek *Dorylus*) i którego wspomnienia wciąż jeszcze przydają mi się podczas pisania powieści rozgrywających się w afrykańskim lesie.

Biologowi Gérardowi Amzallag, dzięki któremu odkryłem dzieło Jeana Baptiste'a Lamarcka i Paula Kammerera, a także tę wspaniałą anegdotę na temat samic jaszczurek, które mutują w celu rozmnażania się bez udziału samców.

Mélanie Lajoinie i Sébastienowi Tesquet, cierpliwym czytelnikom, którzy przeczytali wszystkie wersje tej powieści (dwadzieścia jeden wersji w ciągu dwóch lat, za każdym razem z inną intrygą) i dawali mi konstruktywne rady. Spotkali się na stronie www.esra.com (*Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej online*) i w tym roku się pobiorą.

Sylvainowi Timsitowi (webmasterowi strony www.bernardwerber.com), który również przeczytał wiele wersji tej powieści i wniósł szczególne spojrzenie na współczesną ekologię.

Isabelle Smets, która zainspirowała mnie kilkoma tematami

psychologii stosowanej.

Francisowi Frydmanowi, dzięki któremu odkryłem sztuczną inteligencję, i Philipowi K. Dickowi.

Historykowi Franckowi Ferrandowi za anegdoty, które pomogły mi podczas opracowywania historycznych fragmentów encyklopedii.

Anonimowej czytelniczce, która podczas Salon du Livre w Paryżu w marcu 2012 roku zadała mi zagadkę o trzech zapalkach tworzących kwadrat (której rozwiązanie zostanie wyjawione w tomie drugim).

Czytelnikom, którzy są ze mną od ukazania się *Imperium mrówek* przed dwudziestu laty. Dwadzieścia lat... To dla nich połączyłem tę powieść z pierwszą trylogią (wprowadzając ponownie wątek rodziny Wellsów, *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej* oraz zasadę „mniejszy, bardziej kobiecy, bardziej solidarny”).

Dziękuję również Richardowi Ducousset, Muguette Miel Vivian, Reine Silbert oraz doktorowi Frédérikowi Saldmannowi.

Podziękowania zechcą także przyjąć Laurent Avoyne, Gilles Malençon i Stéphanie Janicot, z których rozmowy zaczerpnąłem niektóre anegdoty użyte w tej powieści.

MUZYKA SŁUCHANA PODCZAS PISANIA POWIEŚCI

The Doors: album *The Very Best of the Doors*.

Antoni Dworzak: *IX Symfonia e-moll „Z Nowego Świata”*.

Feliks Mendelssohn: *Symfonia nr 4 A-dur*.

Johannes Brahms: *III Symfonia F-dur*.

Clint Mansell: muzyka z filmu *Fontanna*.

Mike Oldfield: album *Ommadawn*.

Muse: album *The Resistance*.

Dave Porter: muzyka do serialu *Breaking Bad*.

Hans Zimmer: muzyka do filmu *Incepcja*.

Peter Gabriel: album *New Blood*.

Iron Maiden: album *Powerslave*.

¹ Za Biblią Tysiąclecia, Poznań 2003 [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

² René R. Khawam, *Le livre des ruses*, Editions Phébus, Paris 2010.

